

HANS HELLMUT KIRST

*POWOJENNI
ZWYCIĘZCY*

Oto niezwykle i przerażające zarazem dzieje człowieka nazwiskiem Zygryd Sonnenberg, jego przyjaciela i jego nieudanej rodziny. Był tylko fryzjerem. Zarówno on sam, jak i wszyscy jego bliscy stali się w jakiś sposób ofiarami epoki, w której żyli.

Wydawało się wówczas wszystkim, że nastął czas przełomu, w którym wiele zależy od Yadzi, a jednocześnie świta nadzieja na lepszą przyszłość. Było to jednak tylko złudne mniemanie, gdyż panujące stosunki wielu zniszczyły, a w ogóle sprzyjały powstawaniu konfliktów i budziły gniew.

Zygryd Sonnenberg i jego przyjaciel zrozumieli ducha tych czasów. Nie chcąc ulec bez oporu, postanowili bronić się. Byli zdecydowani walczyć na śmierć i życie. Zygryd nie zawahał się nawet przed zabójstwem.

Spróbuję opowiedzieć o tym wszystkim w tej powieści, a być może uda mi się wyjaśnić istotę niektórych poczynań.

Księga I

Rok 1950 — DZIEŃ BEZ ZEMSTY

1. Świat, który trudno zrozumieć

Pociąg, zapewne mocno przeładowany, sapiąc i dysząc wjechał na dworzec. Zatrzymał się, cały dygocąc. Nazwę stacji obwieszczała zaledwie jedna, krzywo zawieszona, ale niedawno odmalowana tablica: Rosenberg. Rozległo się donośne wołanie: „Trzy minuty postoj! Wysiadający pasażerowie udadzą się do przejścia w celu sprawdzenia biletów! Toalety na dworcu są nieczynne!”

W zatłoczonych wagonach mrowili się ludzie. Kilku, przepychając się gwałtownie, wydostało się przez okna. Inni spadali przez otwarte drzwi i ze stopni wagonów jak opite krwią pijawki.

Wśród pasażerów, którzy wysiedli z pociągu tego dnia w maju 1950 roku, znajdowali się dwaj mężczyźni w znoszonych i spranych mundurach dawnego Wehrmachtu. Tak samo jak setki tysięcy podobnych im w ostatnich latach, powracali do tych resztek Niemiec, jakie pozostały po drugiej wojnie światowej. Obaj mieli chlebaki, zwinięte koce i nic poza tym. Niczego zresztą wówczas nie potrzebowali.

Twarze ich były wymięte, wychudłe i szare jak ich mundury. Jednakże w oczach pobłyskiwała dziecięca ciekawość i ostrożnie zaczajona nadzieja. Nie poszli za kłębiącą się gromadą zdążającą do przejścia, lecz, nie porozumiewając się ani słowem, ruszyli niespiesznie w stronę stojącego na peronie napełnionego wodą koryta.

Kiedy tam doszli, uwolnili się od swego nędznego bagażu, opuszczając go po prostu na ziemię, i powoli zdjęli kurtki. Widząc to, przybiegł natychmiast zawiadowca stacji, spasiony człowieczek, nawykły do komenderowania tonem z dziedzica koszarowego.

— Zanieczyszczanie wody jest zabronione! U nas wszystko zaczyna

powoli wracać do normy. Musicie uprzejmie zastosować się do tego! — krzyknął.

— Do kogo on mówi? — Niższy z repatriantów rozejrzał się wo kół. — Jest tu jeszcze ktoś oprócz nas?

Zawiadowca stacji dopiero teraz przyjrzał się przybyszom trochę dokładniej. Miał przed sobą dwóch mężczyzn o podobnym mniej więcej wyglądzie; zresztą to samo można było powiedzieć o wszystkich repatriantach. Co prawda jeden z nich był trochę wyższy, wyglądał też na lepiej odżywionego, a poza tym zachowywał się dość powściągliwie, natomiast ów drugi, mniejszy, robił wrażenie bezczelnego typu. W każdym razie zawiadowca zorientował się, że jeśli zechce postawić na swoim, będzie miał przeciwko sobie ich obu. Byli bowiem jak bracia.

— No dobrze — powiedział niby to już udobruchany — na pewno jesteście repatriantami, co?

— Wcale nie! Myśmy się tylko przebrali za repatriantów — odezwał się żywo mniejszy. — Tak naprawdę przysyła nas Wysoka Komisja Sojusznicza w celu zbadania jakości wody na niemieckich dworcach kolejowych.

— Nie straciliśmy jeszcze poczucia humoru, co? — zaczął się ostrożnie wycofywać zawiadowca. — Bravo! To mi się podoba.

Oni tymczasem pozdejmowali koszule i nachylili nad korytem, prawie zanurzając się w nim. Nie zważając na to, że woda jest letnia i stęchła, a przy tym niespecjalnie czysta, ochlapali się nią prychając, zadowoleni z długo oczekiwanego odświeżenia.

Kiedy wycierali się do sucha koszulami, drobniejszy z nich — był to Tomasz Brandin — przyglądał się koledze z pewnym zaciekawieniem i troską.

— Jak się zatem czujesz, Zygrydzie, mój szanowny przyjacielu? Nie ogarnia cię na nowo uczucie miłości do stron rodzinnych?

Zygryd Sonnenberg nie odpowiedział. Jak urzeczony patrzył na teren stacji i na to, co było widać poza nią. Budynek dworcowy leżał w ruinie, ale była to ruina trochę uporządkowana — gruz starannie ułożono w stosy, oczyszczono dróżki, urządzono prowizoryczne wejście i wyjście, całość ogrodzono płotem i zbudowano z desek barak z napisem: „Sprzedaż biletów — Nadawanie bagażu — Biuro dworcowe”.

Wydawało się jednak, że dalej prócz ruin nie ma już nic, tylko stosy

kamieni, wzgórki gruzu, resztki murów z martwymi oczodołami w miejscach, gdzie dawniej były okna.

— Mój Boże — odezwał się przerażony Zygfyrd Sonnenberg. — Jak to się mogło stać?!

— Nie pytasz chyba mnie. — Tomasz Brandin spojrział na niego lekko zdziwiony. — Z tym powinienes się zwrócić do kogo innego. Może do tych, którzy bezpośrednio lub pośrednio uczestniczyli w tym kataklizmie. Niektórzy z nich z pewnością jeszcze żyją, nawet tu, w twoim Rosenburgu. Poza tym przecież wiedziałeś wcześniej, że twoje miasto było bombardowane jeszcze w samym końcu wojny. Mówiono o tym w ostatnim komunikacie, jaki udało ci się usłyszeć prawie pięć lat temu.

— No tak — przyznał zdławionym głosem Zygfyrd Sonnenberg — ale ja nie tak to sobie wyobrażałem. Nie aż tak! Miasto wygląda jak starte z powierzchni ziemi!

— A jednak nie całkiem — mitygował go Tomasz Brandin — kilka domów jeszcze stoi. Widać kwitnące drzewa i krzewy, także ludzie w pociągu byli dość weseli. Okolice jest rzeczywiście taka wspaniała, jak mi zawsze opowiadałeś. Właśnie teraz prezentuje się w całej krasie! — Wskazał budowlę, wznoszącą się w pewnej odległości na łagodnym wzgórku. Twór ten, złożony z dziwacznie sfłoczonych tarasów i wieżyczek, coś w rodzaju niedużego zamku, z daleka robił wrażenie zachowanego całkiem dobrze. Był to właściwy Rosenburg, od którego wzięło nazwę miasto. — Dawniej, patrząc z dworca, na pewno nie można było dojrzeć tego cacka w pełnej okazałości.

— Nie było to wcale potrzebne — odparł gniewnie Zygfyrd Sonnenberg. — To właśnie tam wzięło początek wiele nieszczęść, które spadły na nasze miasto! Nawet w ostatnich czasach. Być może znów zanosi się na coś podobnego.

— Czyżby to była siedziba Wernersów? — zapytał Tomasz Brandin z nagłym ożywieniem. — Mam na myśli tę wpływową rodzinę, o której mi tyle opowiadałeś.

— O którą zawsze tak bardzo wypytywałeś! — poprawił go Zygfyrd Sonnenberg. — A ja czasem zadawałem sobie pytanie, skąd się bierze ta ciekawość? Przecież wcale nie znasz tych ludzi.

— Nie.

— No, to już wkrótce poznasz ich bliżej. Tu po prostu nie sposób

uniknąć styczności z nimi, z wszelką pewnością tak samo jest także dzisiaj. Brali oni wprawdzie udział we wszystkich wojnach, ale sami dotychczas jeszcze żadnej nie przegrali.

Tomasz Brandin usiłował podtrzymać towarzysza na duchu:

— Nie musisz patrzeć na wszystko aż tak pesymistycznie!

— Czy mogę inaczej patrzeć na tak kompletne zniszczenie?

— Wobec tego pociesz się, że akurat ten śliczny, przedziwny zameczek jak z bajki pozostał nienaruszony — poradził mu Tomasz Brandin.

— Właśnie ten zameczek zasługiwał na zbombardowanie — powiedział twardo Zygfyrd. Taka reakcja u człowieka zazwyczaj bardzo zrównoważonego godna była uwagi. — To, co nazywamy losem, zawsze dotyka nie tych, których naprawdę powinno dosięgnąć.

— Słusznie! — potwierdził Tomasz Brandin. — Zawsze krzywdzi tylko biedaków i pocziwców! Oni są bezradni i stworzeni jakby tylko po to, by ich gnębić i wyzyskiwać. Nie znają języka, w którym mogliby się poskarżyć lub wyrazić protest. Stale są zdani na czyjąś łaskę i niełaskę.

— Czy koniecznie tak musi być, Tomaszu? I czy my także mamy być tacy?

— Nie musimy i wcale nie mamy zamiaru! Skąd twój pesymizm?

— Stąd, że teraz pora pomyśleć o wszystkich, którzy żyli razem ze mną tu, w tym mieście, w moim świecie. Zadaję sobie pytanie, co się z nimi działo, kiedy nasz Rosenburg zamieniał się w gruzowisko?

— Zdaje mi się, Zygfyrdzie, że co do tego mogę cię uspokoić. Podczas jazdy pociągiem wyczytałem w gazecie, że statystyka dowodzi pewnej prawidłowości: zmasowane ataki bombowe były w stanie równać z ziemią co mniejsze miasta jak ten twój Rosenburg, ale nie potrafiły jednocześnie uśmiercić całej ludności. Tylko co dziesiąty gryzie ziemię lub raczej odłamki betonu.

— Nigdy nie potrafiłeś mnie skutecznie uspokoić — stwierdził Zygfyrd Sonnenberg. — Dla mnie ważna jest jedynie odpowiedź na pytanie, kto z mojej rodziny pozostał przy życiu.

— Spróbujmy się o tym przekonać, drogi przyjacielu. Obawiam się, że nie można wykluczyć pewnych niespodzianek, które po części mogą się okazać nawet przyjemne.

Znów ubrani w stylu odpowiednim dla repatriantów powracających z niewoli opuścili dworzec kolejowy w miasteczku Rosenberg, którego oficjalna nazwa brzmiała „Rosenburg-Nowe Osiedle”. Szli wśród ruin uprzątniętymi do czysta ulicami. Na zwalach gruzu rosły dzikie krzewy obsypane wiosennym kwieciami — złociście żółtym, ciemnofioletowym, białym.

Wydawało się, że Tomasz Brandin postanowił nie dostrzegać nic oprócz piękna kwiatów. Natomiast jego przyjaciel Sonnenberg wyglądał na przytłoczonego potężnymi rozmiarami zniszczeń.

— To był kiedyś nasz kościół! — powiedział, wskazując na piętrzące się wysoko kamienne usypisko. — Tu mnie ochrzczono i tu później brałem ślub.

— Jedno i drugie zapewne przeżywałeś z prawdziwą rozkoszą?

W ciągu ubiegłych pięciu lat niejednokrotnie okazywało się, że lepiej nie słyszeć tego rodzaju słownych zaczepek. Tomasz Brandin bowiem z upodobaniem odgrywał rolę upartego prowokatora, z premedytacją prawiąc przykrości.

Zygfryd Sonnenberg nie dał się odwieść od rozważań na temat ruin.

— Tuż obok kościoła znajdowała się moja ulubiona restauracja. — Wskazał inny wzgórek cegły. — Wytworna, po mieszczańsku solidna kuchnia! Serwowane tu kielbaski, duszone z kapustą i smażone na wędzonce, były na poziomie światowym, lepsze niż w Norymberdze!

— Może to i strata — zaśmiał się z jakimś trudem Tomasz Brandin. — W obozie jedliśmy pieczone szczury. I nie powiedziałbym, że robiliśmy to bez przyjemności.

Zygfryd Sonnenberg wydawał się w tej chwili głęboko pogrążony we wspomnieniach. Znów wskazał jakąś stertę ceglanego gruzu.

— Tam mieścił się przytułek dla około pięćdziesięciorga nieślubnych dzieci i sierot. Wspierałem ten zakład nie tylko finansowo, ale też moralnie.

— Bardzo to piękne — stwierdził wyrozumiale Tomasz Brandin. — Oczywiście zależało ci na tym, by w swoim Rosenburgu mieć opinię szlachetnego obywatela. Czyżbyś miał ochotę nadal odgrywać podobną rolę?

Zygfryd Sonnenberg odparł:

— Wojna przecież zmieniła tak wiele, a może nawet wszystko. Po prostu przekształciła.

— Nie jestem tego aż tak bardzo pewny.

— W każdym razie nie" zamierzam godzić się na to, by mnie znów wykorzystywano i posługiwano się mną jak wygodnym narzędziem. Zwłaszcza po wszystkim, co działo się przez ten czas i co my obaj musieliśmy przeżyć.

— Twoje słowa brzmią bardzo obiecująco!

Zygfyrd Sonnenberg wskazał jeszcze jeden rozciągający się przed nimi obszar zasłany różowawoczerwonym gruzem.

— To był hotel. Pod pewnym względem można się było w nim czuć dość swobodnie.

— I właśnie dlatego bywałeś jego gościem! Dopiero teraz cię poznaję.

— Ale wciąż jeszcze nie dość dokładnie, Tomaszu. Dlaczego tak jest, zrozumiesz już niedługo. O ile moja rodzina zachowała się przy życiu. Jeśli ocalał z niej ktokolwiek, także potrafi cię wprowadzić w zdumienie. Oczywiście chciałbym, ażeby wszyscy jeszcze żyli!

— Dlaczego nie miałyby się okazać, że tak właśnie jest? Przecież ty także przetrwałeś wszystko. Gdzie właściwie mieszkałeś?

— Zaraz za rogiem, przy ulicy Górskiej pod numerem piątym. Chodźmy, to ci pokażę.

Zygfyrd szybko ruszył przed siebie. Obaj z Tomaszem skręcili w boczną ulicę, wciąż przyspieszając kroku. Zygfyrd szedł z wyrazem napięcia na twarzy, przeszukując oczyma otoczenie. Widocznie i tu nie miał nadziei ujrzeć nic oprócz resztek zrujnowanych budynków. Gdzieś tam stały ściany, tu i ówdzie zachowały się jeszcze ramy okienne, choć pozbawione szkła. O kilka kroków od nich stała otwarta na oścież brama, a na niej widniała tabliczka z nazwiskiem, które nie dało się odczytać. Jednak Sonnenberg je znał.

— To był kiedyś mój dom!

Wydawało mu się, że stoi nad grobem, choć ów grób nie był jeszcze nieodwołalnie zamknięty.

Jego przyjaciel wygłosił niemal fachową opinię:

— Całkiem solidny budynek, z pewnością porządnie podpiwniczony. Jestem pewien, że tam na dole można było przeżyć.

— Masz rację, Tomaszu — powiedział Zygfyrd z dumą i odrobiną nadziei — zawsze dbałem o to, by wszystko było solidne. Starłem się także odpowiednio budować. Ale rozejrzyj się tylko! Jak okiem sięgnąć, żywego ducha. Wygląda na to, że wszyscy wymarli!

— To tylko tak się wydaje — podtrzymał go na duchu przyjaciel, uważnie przyglądając się otoczeniu. — Spójrz naprzeciwko, zdaje się, że tam ktoś jeszcze żyje.

Najpierw dostrzegli jedynie szybko poruszający się cień. Potem spośród resztek murów wyszła na światło dzienne jakaś istota ludzka, okutana w szmaty i pokryta pyłem. Surowa, energiczna twarz starej kobiety była okolona gęstwą brudnych, białosiwych włosów.

— Akuratnie ona! — wyrzucił z siebie Zygfyrd Sonnenberg.

— Z wyglądu niezwykle miła starsza pani! — ocenił ją Tomasz Brandin w przystępie dobrego humoru.

— Tę panią Gartner — szepnął Zygfyrd nie bez nutki mimowolnego uznania — zawsze nazywano piekielną babunią! Czegoś podobnego widocznie nie sposób wytepić.

Ciemnoszara istota, jakby żywcem przeniesiona z innej epoki, wy-miętoszona i zakurzona, podeszła do przybyszów. Umierając wprost z ciekawości, zlustrowała ich spojrzeniem; sapła przy tym mocno, a potem z nagłą wyszczerzyła do nich zęby.

— Czy nie mylą mnie przypadkiem moje stare oczy? Czy to rzeczywiście jesteście ty, Zygfyrdzie, mój miły, kochany chłopcze?

— Tak, to ja.

— A więc przeżyłeś — stwierdziła żywo starucha, powszechnie nazywana matką Gartner. — Chwast nie ginie tak łatwo.

— Co można stwierdzić na pani przykładzie — oświadczył przyjaźnie Tomasz Brandin.

— A któż to taki? — prychnęła stara kobieta. — Kogo przyprowadziłeś ze sobą, Zygfyrdku? Czy to przypadkiem ktoś z naszych?

— On przyjechał ze mną — stwierdził Sonnenberg i wreszcie zapytał: — Co dzieje się z moją rodziną?

— Kogo masz na myśli?

— Ma się rozumieć, moich najbliższych! Żonę, córkę, matkę, siostrę!

— Czy to naprawdę twoi najbliżsi, mój drogi chłopcze? Jesteś pewien, że są ci oddani? A może to tylko ty jesteś im oddany?

— Czy chce pani przez to powiedzieć, że stosunki wewnątrz rodziny są chwilowo niejasne? — zainteresował się Tomasz Brandin.

— Ależ to diabelnie bystry chłopak! — stwierdziła z podziwem starucha. — Gdzieś się na niego natknął?

Zygfyrd Sonnenberg odrzekł niecierpliwie:

— W tej chwili jest to zupełnie bez znaczenia, matko Gartner. Na razie interesuje mnie tylko jedno: czy moja rodzina przeżyła?

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę ni to z ciekawością, ni to ze współczuciem. Potem odezwała się:

— A dlaczego by miała nie przeżyć?

— To znaczy, że żyją! Wszyscy?

— I co z tego, że żyją? Bardzo mnie dziwi, że taki z ciebie delikatny i wrażliwy fryzjer! Jesteś całkiem inny niż twój ojciec, maszynista kolejowy. To był dopiero kawał chłopca!

— Gdzie oni mieszkają?

Starucha nareszcie dała się nakłonić do zaspokojenia jego ciekawości.

— Przy Dworcowej.

— Ale tam nie ma żadnych domów!

— Z wyjątkiem jednego. Pod numerem trzynastym. Tam właśnie zagnieździli się niejako w twoim imieniu.

— Dworcowa trzynaście. To dom mistrza Adama. Pracowałem u niego jako czeladnik, a on przygotowywał mnie do egzaminu mistrzowskiego. Wspaniały człowiek! — zwięźle wyjaśnił Zygfryd Tomaszowi, po czym znów zwrócił się do pani Gartner: — To znaczy, że on na szczęście też przeżył!

— Na nieszczęście, powiedz lepiej. Jaki tam wspaniały człowiek. Przez całe życie był postarzałym durniem, i to już od wczesnej młodości.

— Przecież to nadzwyczaj szlachetny i dobry człowiek.

— Na jedno wychodzi. W każdym razie, chcąc zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie, na parę tygodni przed końcem wojny wysłał żonę i troje dzieci na wieś. Tymczasem pociąg, którym jechali, został zbombardowany, a oni wszyscy zginęli.

— O mój Boże! — Tylko tyle był w stanie powiedzieć wstrząśnięty Zygfryd Sonnenberg.

— Z Panem Bogiem to inna sprawa! — zabułgotała starucha. — Nigdy nie wiadomo, co on właściwie zamierza. W każdym razie także wtedy, jednej z najbliższych nocy, zbombardowali nasz Rosen-burg, a szczególnie mocno okolicę dworca. Rozbili coś około trzystu domów, ale nie ruszyli domu twego mistrza Adama, największego w świecie durnia.

— Takie było zrządzenie losu!

— Zdaje mi się, że twoja rodzina, Zygfrydzie, była tego samego

zdania, bo od razu zaczęła się nim opiekować, zapewne w twoim imieniu. Tak troskliwie się zaopiekowali, że cały ich klan w komplecie przeprowadził się do jego domu. Dzięki temu także i ja doznałam pomyślnego zrządzenia losu: mogłam osiąść w tej ruinie.

— Właściwie powinnaś być za to wdzięczna, matko Gartner — powiedział Zygfryd, ciężko wzdychając.

— Ależ jestem przecież wdzięczna, mój kochany, grzeczny chłopczyku! Żebyś wiedział, jak bardzo! Trzymam nawet na wodzy swój podobno bardzo ostry język. Powiedziałam może, że baby w twojej rodzinie mają serca jak z kamienia, a języki jak brzytwy? Nie powiedziałam! Niech zaświadczy twój przyjaciel.

— Zaświadczam — zapewnił ją życzliwie Tomasz Brandin. — Z ochotą stwierdzam, że jest pani jedyną w swoim rodzaju filantropką.

— Oj, okrutnie podstępny z pana typek! — zawołała rozradowana matka Gartner. — Niech się pan znów pokaże jak najszybciej!

— W każdym razie ogromnie ucieszyłaś mnie tą wiadomością — odezwał się z kolei Zygfryd Sonnenberg. — Nigdy ci tego nie zapomnę, matko Gartner.

— Nawet spodziewałam się tego, to do ciebie podobne. Mam jednak nadzieję, że w ciągu tych lat nauczyłeś się dbać o własną skórę. Nie daj się z niej obedrzyć, bo masz tylko jedną!

Zygfryd Sonnenberg uśmiechnął się do przyjaciela. Następnie pochwycił go za rękę i pociągnął ze sobą z powrotem do zbombardowanej dzielnicy, do domu pod numerem trzynastym.

— Chodźmy razem odwiedzić moją rodzinę — powiedział.

Tomasz Brandin nieznacznie zwolnił kroku. Być może próbował w ten sposób dać przyjacielowi trochę czasu na zastanowienie się.

— Pani Gartner — zauważył — to, jak mi się wydaje, osoba okropna, chociaż w swoim rodzaju nie zrównana.

— Już za mojej młodości ludzie bali się jej, a niektórzy nawet nienawidzili, chociaż jednocześnie czuli dla niej respekt. Ona jest po prostu nie do zniszczenia.

— Jak trucizna — stwierdził Tomasz.

— Właśnie, dokładnie tak!

— O ile mi wiadomo, niektóre choroby leczy się trucizną, a zatrucie zwalcza się przez zastosowanie odtrutki. Ta kobieta mogłaby odgrywać podobną rolę.

— Wydaje mi się, że wywarła na tobie głębokie wrażenie.

— Nastroiła mnie refleksyjnie. W tej chwili zadaję sobie pytanie, czy jest wskazane, bym szedł razem z tobą do twojej rodziny.

Zygfryd Sonnenberg zatrzymał się i uważnie popatrzył na przyjaciela.

— Odechciało ci się?

— Zygfrydzie, zawsze będę robił to, co uznasz za słuszne. To ty orientujesz się w sytuacji, a nie ja. Jednak może byłoby wskazane, ażebym na razie zrezygnował z pójścia z tobą i zatrzymał się gdzie indziej. Na parę dni. Później zobaczylibyśmy, co robić dalej.

Zygfryd przycupnął na stosie gruzu i pociągnął przyjaciela, by usiadł obok niego.

— Potrzebuję cię, Tomaszu! W ciągu tych straszliwych pięciu lat po raz pierwszy w życiu udało mi się znaleźć przyjaciela. Nie mam zamiaru wyrzekać się ciebie, tym bardziej że właśnie teraz twoja przyjaźń jest mi naprawdę potrzebna.

Pierwsze interludium

Jak przyjaciele dostali się do niewoli

W pierwszych miesiącach roku 1945 ostateczny koniec Wielkoniemieckiej Rzeszy stał się oczywisty nawet dla najmniej rozgarniętych świadków wydarzeń. Hitlerowski Wehrmacht przestał istnieć. Tylko tu i ówdzie walczyli młodzieniaszkowie, starcy i generałowie. Lecz nawet wówczas jeszcze słuchano nieludzkich rozkazów.

Jednak żołnierze, którzy byli jednocześnie sprawcami i ofiarami wielkiej rzezi, nie chcieli już dłużej w niej uczestniczyć. Wygłodzeni, zdemoralizowani, jak odurzeni, bez nadziei na cokolwiek poddawali się.

Niebawem Amerykanie, Anglicy i Francuzi zagarnęli miliony jeńców, a następnie uprowadzili ich i zamknęli w niezliczonych obozach. Na Wschodzie to samo czynił we właściwy sobie, odmienny od innych sposób zwycięski Związek Sowiecki, wspierany przez licznych sprzymierzeńców.

Tomasza Brandina schwytano w Królewcu. Gnieździł się on w tym czasie nocami w hali pogrzebowej na Cmentarzu Północnym, natomiast za dnia trudnił się oporządzaniem grobów, pieleniem chwastów i uprzaniem alejek. Przy okazji tych zajęć często odwiedzał pewien grób. Był

w nim pochowany jego ojciec. Tomasz godzinami przesiadywał tam nieruchomo, bez łez, z pobladłą twarzą.

Z jego rodziny przy życiu nie pozostał już nikt. Starszy brat poległ wcześniej. Matka i młodsza od niego siostra nie przeżyły bombardowania. Słyszał, że podczas ucieczki podobno utknęły w roztopionym asfalcie i spłonęły jak pochodnie. Ojciec został zamordowany, zarżnięty jak narowiste zwierzę. Syn wiedział, przez kogo.

Pewnego dnia, kiedy Tomasz siedział przy grobie, ukazali się rosyjscy żołnierze i powlekli go z sobą. Prawie bez oporu pozwolił się zabrać z Cmentarza Północnego i ruszył na spotkanie innych cmentarzy.

Zygfryd Sonnenberg, uciekając się do rozmaitych sztuczek, rozmyślnie przedostał się w owych dniach do Berlina. Zetknął się tam z podobnymi sobie i przez kilka tygodni ukrywał razem z nimi przy ulicy Uhlanda. Nosił cywilne ubranie i zajmował się strzyżeniem oraz czesaniem żon i córek swoich przyjaciół, co czynił, ku zdumieniu klientek, z prawdziwie artystycznym smakiem.

Chętnie też uczestniczył w rozmowach na najczęściej wówczas poruszany temat: kiedy już nadejdzie ostateczny przypuszczalnie koniec wszystkiego, powinien nastąpić — jak sądzono — początek czegoś absolutnie nowego. Z tak przerażających błędów należało wreszcie wyciągnąć pewną naukę i nabyć wiedzy, niezbędnej do zbudowania uczciwszego, lepszego świata, opartego na braterstwie ludzi.

Pewnego razu w pierwszych powojennych tygodniach Zygfryd Sonnenberg udał się w drogę z Berlina do Poczdamu z zamiarem odwiedzenia pewnej młodej damy, która pilnie potrzebowała jego artystycznej interwencji. Przechodził właśnie obok dworca kolejowego, kiedy zatrzymał się tam pociąg wiozący jeńców wojennych. Patrzył na nich ze współczuciem. Gdy tylko zauważyli go rosyjscy strażnicy, rzucili się na niego, pochwycili i wsadzili do pociągu. Prerażony Zygfryd Sonnenberg wrzeszczał bez przerwy. Udało mu się przekrzyczeć nawet rozgłośny śmiech siepaczy. Zjawił się jakiś przyzwoicie wyglądający oficer i zapytał go z rozbawieniem:

— Człowieku, czemu tak okropnie wrzeszczysz?

— Nie jestem hitlerowcem!

— Żaden z was nim nie jest — odpowiedział oficer ze znużoną miną — i żaden nim nigdy nie był. Możesz zapytać kogo tylko chcesz. Wszyscy są przyzwoitymi Niemcami, oszukanyymi przez Hitlera. Zresztą nie zanoszą się na to, by ich kto o to pytał. Najważniejsze, że liczba się zgadza.

Zygfyrd Sonnenberg potrzebował sporo czasu, by zrozumieć, co oznacza to stwierdzenie. Ów transport jeńców wojennych stał się mianowicie niekompletny. Jak powiedział mu jeden ze współtowarzyszy, któryś z jeńców wyskoczył z wagonu w czasie jazdy. Trzeba więc było uzupełnić stan transportu i właśnie to zrobiono. Liczba znów się zgadzała. W ten sposób Zygfryd Sonnenberg, podobnie jak parę dni wcześniej Tomasz Brandin, trafił na Sybir.

Gdy Sonnenberg i Brandin stanęli przed numerem trzynastym przy ulicy Dworcowej w Rosenburgu, popatrzyli na budynek niemal z podziwem. Był on bowiem — rzecz zdumiewająca — nietknięty. Miał przejrzyste szyby w oknach, zamykające się drzwi i świeżo pomalowane ściany, tak jakby w tych stronach w ogóle nie było wojny.

Umieszczony nad wejściem szyld jaśniał w świetle wiosennego słońca. Soczyscie niebieskimi literami na śnieżnobiałym tle obwieszczał: „Adam i Sonnenberg. Połączone zakłady fryzjerskie”. Zygfryd przeczytał to niemal z zachwytem. Wzruszony, pochwycił przyjaciela za rękę.

— Co na to powiesz?

Tomasz Brandin nie musiał nic mówić, gdyż z domu, kołysząc się w biegu i żywo gestykulując, wypadł nieduży człowieczek, jasnoszary od stóp do głów. Miał pokryte szronem włosy i ziemistoszarą twarz. Ubrany był w wiszący na nim jak worek biały fartuch sięgający prawie kostek. Był to mistrz Adam. Przypadł do Zygfyryda Sonnenberga, przycgarnął go i o mało nie udusił pomimo swojej mizernej postury.

— Więc jesteś nareszcie, mój drogi! — dyszał zziębnięty. — A wciąż mówiłem, że powrócisz! Byłem tego pewny! I rzeczywiście jesteś tu z powrotem! Teraz znowu wszystko pójdzie jak należy! O Boże, jak ja na ciebie czekałem, drogi chłopcze!

Sonnenberg ochoczo odwzajemnił serdeczne uściski swego starego mistrza. Tomasz Brandin bez ruchu stał obok, z błyskiem w oczach uważnie wszystko rejestrując.

— Jesteś nam potrzebny, Zygfyrdzie, i to bardzo pilnie! — sapał mistrz Adam. — Przyjechałeś akurat w najwłaściwszym momencie! Bo naprawdę sam już nie wiem, co by się tu dalej działo bez ciebie!

— Powiedziano mi, że u ciebie mieszka moja żona.

— Z całą rodziną! Oddałem im do dyspozycji górne piętro domu.

Zrozumiałe, że ze względu na ciebie! Twoja szanowna droga małżonka w tych czasach biedy była dla mnie wprost niezastąpiona. Wiesz, że jestem naprawdę dobrym fryzjerem, prawie takim jak ty. Ale wcale nie znam się na interesach. Ona mi wszystko załatwiła. W twoim, że tak powiem, zastępstwie!

— Gdzie ją znajdę?

— Na pierwszym piętrze. Tam gdzie zawsze było nasze biuro. Mój Boże, jaka ona będzie szczęśliwa! Mieliśmy ciebie już za zmarłego.

— Czasami mnie samemu też tak się zdawało — powiedział Zygryd Sonnenberg, uśmiechając się z wysiłkiem. Potem wskazał Tomasza Brandina: — Ten człowiek jest dla mnie jak ktoś z rodziny. To mój przyjaciel.

— Serdecznie witam! — zawołał stary Adam. — Mój dom jest również pańskim domem! Czy przypadkiem pan też jest fryzjerem?

— Stałem się nim jako przyjaciel Zygryda. Z prostej konieczności.

— No, to porozmawiajcie sobie trochę na ten temat — zachęcił obu Zygryd. — Ja tymczasem pójdę zobaczyć się z moją kochaną żoną.

Zygryd Sonnenberg skierował się na piętro. Z czasów terminowania i czeladnictwa znał tu najdrobniejsze nawet szczegóły: schody w odcieniu dębu, wyłożoną surowym kamieniem posadzkę w korytarzu i drzwi tak zwanego biura, pokryte lakierem w kolorze kości słoniowej.

Przed tymi właśnie drzwiami zatrzymał się na moment. Poczul, że musi głęboko zaczerpnąć powietrza. Z napiętym wyrazem twarzy zastukał. Nie czekał na wezwanie, lecz zdecydowanie pchnął drzwi. I naraz ujrzał żonę siedzącą na krześle. Spojrzała na niego, a jemu wydało się, że nie opuszczał domu nawet na dzień.

Niemal całkiem spokojnie, bez najmniejszego cienia niechęci, a nawet dość przyjaźnie Ewa-Ingeborga powiedziała:

— No, to jesteś. Nareszcie.

Podniosła się od porządnie utrzymanego biurka i z gracją podeszła do niego, przyglądając mu się zielononiebieskimi oczyma. Następnie podała mu rękę. Wydała mu się, podobnie jak dawniej, chłodna i silna, niemal zdobywca. Uśmiechnęła się.

— Mam wrażenie, że wszystko zniosłeś zupełnie dobrze, nie straciłeś nawet specjalnie na wadze. Co prawda nie wyglądasz zbyt kwitnąco, ale jednak zdrowo. Pięknie!

Przyjrzał się jej uważnie.

— Trudno powiedzieć, by twoje powitanie było szczególnie tkliwe.

— A czemuż to, Zygfydzie, miałoby być tkliwe? — Uśmiech Ewy-Ingeborgi stał się jeszcze bardziej wyraźny, jej zmysłowo mroczna twarz sylfidy nabrała jedwabistego blasku. — Wszystko między nami zostało uporządkowane należycie i bez niedomówień. Jeśli zaś chodzi o tak zwaną miłość, to zrezygnowaliśmy z niej już od dawna.

— Ty z niej zrezygnowałaś, Ewo-Ingeborgo — stwierdził.

— Dajmy temu w tej chwili spokój, Zygfydzie! Chodź, siadaj przy mnie. — Rozmyślnie przyjaznym gestem położyła mu rękę na ramieniu i poprowadziła do krzesła stojącego przy biurku. Usiadł tylko po to, by spełnić jej życzenie. Zajęła miejsce naprzeciw, po drugiej stronie biurka. — Bądź co bądź cieszę się, że znowu widzę cię wśród nas — powiedziała, a zabrzmiało to szczerze i taka zapewne była jej intencja. — Jesteś tu bardzo potrzebny i mam nadzieję, że będę mogła na tobie polegać.

Upewnił się więc, że wszystko przedstawia się tak samo jak dawniej, jak w chwili, kiedy zmuszeni biegiem wojennych wydarzeń musieli się rozstać. Uzgodnili wówczas, że nie będą od siebie oczekiwać niczego w sensie fizycznym, jednak pod każdym innym względem pozostaną jednością. Ich prawie szesnastoletnie małżeństwo obfitowało w komplikacje od samego początku. Lecz wtedy właśnie ułożyli się między sobą zgodnie z zasadami rzekomo zdrowego rozsądku, tym bardziej że chodziło o wspólne interesy.

— Do czegoż tu jestem potrzebny? — spytał.

Wyjaśniła mu to natychmiast:

— Dzięki szczególnemu przypadkowi, a raczej pomyślnemu zbiegowi okoliczności, ten dom ocalał, pozostał pusty i dostał się nam, stając się nową podstawą naszej egzystencji. Przychyliłam się do propozycji twego mistrza i opiekuna Adama, który miał jedyny w mieście nie zniszczony salon fryzjerski. Poprosił mnie, bym prowadziła finansowe sprawy jego przedsiębiorstwa. Przyjęłam tę propozycję, jednak pod warunkiem, że jeśli powrócisz do domu, przyjmie cię jako równoprawnego współnika. W taki to sposób wszystko przygotowałam i myślę, że powinieneś być ze mnie raczej zadowolony.

— Więcej niż zadowolony, Ewo-Ingeborgo. Podziwiam cię! Zresztą podziwiałem cię zawsze, ale tym razem po prostu z wrażenia przenika mnie dreszcz! Jesteś wcieleniem doskonałości, przynajmniej jeśli chodzi o interesy.

— O twoje interesy, Zygfrydzie, które zresztą uważam za swoje własne. Zawsze mogłeś polegać na mnie, podobnie jak ja na tobie, jak przypuszczam.

— Oczywiście możesz — zapewnił ją, po czym zmienił temat rozmowy. — A co porabia nasza kochana córeczka?

— Dagmara, twoja kochana córka, bez przerwy gania jak ciekająca się suka, choć sama nie ma pojęcia, że już dostaje cieczi. Zdążyła wyrosnąć i ma piętnaście lat, a wygląda, jakby była parę lat starsza. Zobacysz ją przy kolacji, bo wcześniej na pewno nie przyjdzie do domu.

— Zatem gania, jak powiedziałaś?

— Tak, ale raczej w sensie emocjonalnym. W głowie łęgnie się jej mnóstwo pomysłów. Wynikają z zachłyśnięcia się pokojem i wolnością, a wszystkie są zbawienne dla ludzkości, jak to obecnie w zwyczaju. Brak jej ojca.

— W tej chwili ma go z powrotem — powiedział Sonnenberg. Wydawało się, że cieszy go myśl o córce. — To, co powiadasz o niej, brzmi bardzo obiecująco.

— Wobec tego przypuszczalnie nie wyraziłam się dostatecznie dokładnie. — Ewa-Ingeborga wyraźnie nastawiała go nieprzychylnie. — Czy to już wszystko, czego chciałeś się dowiedzieć? Nie pytasz nawet, jak się miewa twoja matka?

— Ależ tak! Oczywiście! — zapewnił ją pospiesznie Zygfryd. — A więc, jak się jej powodzi?

— Dokładnie tak, jak przypuszczasz: bez żadnych zmian. Zatem dobrze, wprost znakomicie.

— Czyżby jeszcze teraz uważała się za niemiecką matkę bohaterów?

— Coś w tym rodzaju. Ale przynajmniej pod jednym względem, co powinno cię zadziwić, poszła na pewne ustępstwa. Pomimo że na początku zdecydowanie mnie nie uznawała, teraz zaczyna okazywać mi szacunek.

— Prawdę mówiąc wcale mnie to nie dziwi, chyba raczej trochę niepokoi. — Wypowiedział tę myśl zbyt pochopnie, toteż usiłował szybko zmienić temat. — Co też słyhać u mojej siostry?

— Twoja siostra Eryka jest na pewno najlepsza z nas wszystkich — zapewniła go z przekonaniem, a nawet niemal z zachwytem Ewa-Ingeborga. — Bez niej i bez jej stosunków bylibyśmy już całkiem skończeni.

— A jakież to stosunki?

— Co do ich rodzaju zorientujesz się przy kolacji. Dzisiaj wypadnie ona na pewno szczególnie uroczyste, że się tak wyrażę, na twoją cześć. Eryka jest związana z pewnym oficerem armii okupacyjnej, Amerykaninem. Jest to w samej rzeczy przyzwoity, życzliwy człowiek, w ogóle wspaniały chłopak, przynajmniej z uwagi na pokaźne zasoby żywności, którymi dysponuje.

— Mój Boże — powiedział Zygryd Sonnenberg, szczerze zdziwiony — jak bardzo inny jest ten świat, który zastałem po powrocie!

— Teraz i ty należysz do tego świata, Zygrydzie!

Stary mistrz Adam prowadził tymczasem Tomasza Brandina po obszarze swojej działalności, to znaczy po salonie fryzjerskim. Pomieszczenie było obszerne, lecz z jego niegdyś zbyt bogatego wyposażenia pozostało zaledwie kilka poplamionych lusterek, popękanych umywalk i wygniecionych foteli. Wydawało się, że nawet zalatuje z lekka stęchlizną.

— Nie wygląda zbyt pięknie, wiem o tym! — stwierdził stary mistrz Adam z niewyraźnym uśmiechem. Potem jednak, widocznie chcąc sam siebie podnieść na duchu, dodał: — Pomimo wszystko jest to najlepszy zakład, jaki tu mamy.

Nie było w tym nic dziwnego, gdyż był to jedyny zakład w mieście.

— Po prostu wspaniały! — pochwalił Tomasz Brandin i zasiadł w jednym ze skrzypiących, wygniecionych foteli fryzjerskich. — Prawdziwy komfort w porównaniu z tym, czym jako fryzjerzy musieliśmy się zadowalać w sowieckim obozie jenieckim.

— To znaczy pan i Zygryd?

— Trochę mu pomagałem. W pomieszczeniu barakowym, niewiele większym od celi więziennej, mieliśmy jedynie wywróconą do góry dnem drewnianą skrzynię. A nasi tak zwani klienci z długimi, skołtunionymi włosami stali gromadą na dworze.

— To znaczy, że mieliście ręce pełne roboty.

— Tak długo, jak długo starczało światła dziennego. Ostatni obóz, w którym przebywaliśmy prawie cztery lata, liczył około pięciu tysięcy jeńców, ale tylko jednego fryzjera, właśnie Zygryda. Ja miałem prawo mu pomagać. Oprócz tego tłumu jeńców była jeszcze równa setka strażników, którzy oczywiście mieli pierwszeństwo.

— A jednak mój Zygfyrd dawał sobie z tym radę, prawda? — Tego mistrz Adam był absolutnie pewny. — Jest jednym z najlepszych w naszym zawodzie! Nie ma po prostu rzeczy, z którą by sobie nie poradził. Dopóki był u mnie, mój interes kwitł. Mam nadzieję, że teraz będzie tak samo jak dawniej.

— Również tak myślę. Nawet Rosjanie uważali go za wyjątkowo dobrego fryzjera.

— A pan, panie Brandin, pomagał mu w pracy?

— Tak, przygotował mnie tak gruntownie, że miałem odwagę występować jako fryzjer — potwierdził Tomasz. — Bo cokolwiek Zygfyrd zamierzy, to mu się udaje. Choć nikt by się po nim tego nie spodziewał...

— Ale ja w niego wierzę! — zapewnił mistrz Adam. — To swego rodzaju geniusz. Kiedy brakowało nam prądu, obudował zakład ekranami ze srebrzystego papieru. Dzięki temu mogliśmy strzyc i czesać do późna, nie oglądając się na światło elektryczne. Potrafił też zużytkować nawet najdrobniejsze resztki mydła. W tym celu skonstruował bęben do mieszania. Wyrabiał w nim pianę o różnym zastosowaniu: jedna służyła do kremowania, a druga do golenia. I jeszcze kilka innych rzeczy wymyślił. Nie ma drugiego takiego jak on!

— Wypada mi to tylko potwierdzić! — Tomasz Brandin ochoczo przyłączył się do hymnu pochwalnego na cześć swego przyjaciela. — Zresztą od siebie mogę dodać, że nawet uratował mi życie.

— Wspaniale! A w jaki sposób?

— Przyjmując mnie na swego współpracownika, bo tylko to umożliwiło mi przetrwanie. Dzięki niemu, a więc razem z nim, zajmowałem uprzywilejowaną pozycję. Żebym się mógł utrzymać w roli fryzjera, wynalazł coś, co nazwał hełmem do wstępnego strzyżenia. Mieliśmy tego trzy wielkości. Zawsze któraś z nich była w sam raz na czyjąś głowę. Wystarczało, bym klientowi wcisnął taki hełm na głowę, i już mogłem go z grubsza ostrzyc. Wykończenie było zawsze dziełem Zygfyda.

— Bardzo zręcznie, nadzwyczaj pomysłowo, wprost genialnie! Taki właśnie jest mój Zygfyrd. — Mistrz Adam sapnął uszczęśliwiony. — A teraz jest z powrotem u nas!

— Razem ze mną.

— Musi pan wiedzieć, że chętnie witam każdego, kto potrafi do

czegoś przyłożyć rękę, każdego godnego zaufania, pracowitego człowieka. Bo tylko tacy ludzie mogą tu ruszyć coś z miejsca. Serdecznie bym się cieszył, gdyby pan, jako przyjaciel mego Zygfyryda, wziął w tym udział. Z całą pewnością!

— Któż by mógł nie cieszyć się z tego?

— Panie Brandin, jestem naturalnie panem we własnym domu — zapewnił z dumą stary Adam, ale od razu dodał: — Muszę jednak mieć też wzgląd na pewne osoby.

— Na kogo mianowicie?

— Mój drogi panie — odezwał się znów mistrz z pewnym zastanowieniem — ponieważ jest pan przyjacielem mego Zygfyryda, powinien pan orientować się w niektórych sprawach z jego osobistego życia, na przykład wiedzieć, jak układają się stosunki między nim a jego żoną. A do tego jeszcze jego matka...

— Szacowna gromada solidnych pań, co?

— Można by tak powiedzieć! I właśnie z nimi trzeba umieć ułożyć sobie stosunki...

— Co pana, jak się zdaje, nie wprawia w szczególny zachwyty. Dlatego też pokłada pan nadzieję w Zygfyrydzie. Nawet moje pojawienie się nie jest z pańskiego punktu widzenia tak całkiem niepożądane. Zgadza się?

Stary mistrz Adam pochylił nisko pokrytą szronem starczą głowę, co wyglądało jak poważne przytaknięcie na znak zgody.

— Pański przyjazd budzi we mnie nową nadzieję. Chyba się nie mylę?

Zygfyryd Sonnenberg wciąż jeszcze siedział w tak zwanym biurze naprzeciwko swojej żony Ewy-Ingeborgi. Biurko zalegało między nimi jak kłoda. Spojrzała na niego. Podobnie jak wcześniej zachowywała się życzliwie, lecz z rezerwą, a to, co mówiła, brzmiało wprost niepokojąco trzeźwo.

— Odnoszę w tej chwili nieodparte wrażenie, że wymagasz ode mnie stanowczo zbyt wiele — oświadczył jej wymijająco.

— To rozumiame — zapewniła go, jak gdyby chcąc pójść na znaczne ustępstwa. — Ostatecznie musiałeś niemało wycierpieć. Ale też po nas nie przetoczyło się to wszystko bez śladu. Z tą okolicznością, Zygfyrydzie, powinniśmy się pogodzić bez wahania, i to oboje.

— Czego oczekujesz w związku z tym, Ewo-Ingeborgo?

— Niczego, Zygrydzie, na razie niczego — oświadczyła prawie wesoło. — Przede wszystkim chciałabym ci zwrócić uwagę na to, że w tym szczęśliwie ocalałym budynku znajduje się nawet łazienka. Napuszczę ci więc teraz pełną wannę ciepłej wody. Kąpiel na pewno zrobi ci dobrze. A potem mógłbyś się przespać parę godzin.

— Gdzie?

— W moim pokoju, tam jest twoje miejsce.

— A przypadkiem nie w twoim łóżku, Ewo-Ingeborgo?

— Ma się rozumieć, że nie, Zygrydzie! Każę tam wstawić coś do spania wyłącznie dla ciebie. Oficjalnie znów będziemy żyli ze sobą, pozornie najściślej związani. Tak jak wypada małżonkom.

— I to już wszystko?

— Jak zwykle, Zygrydzie! Tak jak zawsze bywało. Jak wtedy, zanim cię powołała ojczyzna, jak mawia twoja kochana mamusia!

— O Boże! Ewo-Ingeborgo, wówczas nie ułożyło się między nami wiele spraw. Były to nieporozumienia godne pożałowania, ale przecież wszystko da się przezwyciężyć.

Jak sobie teraz przypominał, początkowo ich związek zapowiadał się bardzo obiecująco. Wiele rozkosznych miesięcy potajemnego a nieodpartego wzajemnego pociągu, pierwsze nieśmiałe i delikatne zetknięcie ich warg, potem zbliżenie ciał, a wreszcie szczęście ich pierwszego wzajemnego zespolenia. Wszystko to było nieskończenie cudowne, wspaniałe i zarazem bolesne. Podobnie jak wszyscy zakochani, także oni byli przekonani, że przed nimi nikt jeszcze nie doznawał podobnego szczęścia i nikt po nich nie dozna takiej rozkoszy.

— Czyżbyś zapomniała, Ewo-Ingeborgo, o tym wszystkim, co istniało kiedyś między nami?

— Prawdopodobnie, Zygrydzie — odpowiedziała, uśmiechając się sama do siebie. — Czyżbyś ty zapomniał, że zaszły pewne wydarzenia, które stały się przyczyną zerwania naszych intymnych związków? Za owe wydarzenia jedynie ty byłeś odpowiedzialny.

— Nie możesz, a raczej nie chcesz o tym zapomnieć, prawda? Wciąż jeszcze nie potrafisz zrozumieć, że w istocie chodziło tylko o przypadkowe błahе wyskoki. Prawdę mówiąc, poszło właściwie o jeden jedyny przypadek.

— Była to ogromnie wstydliva, a dla mnie głęboko upokarzająca afera! — Ewa-Ingeborga jeszcze w tej chwili okazywała oburzenie. — Zadałeś się wtedy z okropnym dziewczyszką!

— Bo nagle odsunęłaś się ode mnie! Nie było mi już wolno nawet dotknąć ciebie!

— Bo nie byłąm twoją własnością. A ty ze mną postępowałeś tak, jakbym nią była. Nie mogę pozwolić, by mnie tak traktowano. Żadnemu mężczyźnie tego nie wolno!

— Miałbym teraz prawo utrzymywać, że zawsze byłaś bezlitosna, Ewo-Ingeborgo. Jednak wolałbym ci coś zaproponować: może byśmy przynajmniej spróbowali zacząć wszystko raz jeszcze od początku?

— Nie wykluczam takiej możliwości, Zygfyrdzie. Zwłaszcza jeśli potrafisz w najbliższych latach zmienić się w sposób zasadniczy. Być może przestałeś już niewolniczo ulegać swoim potajemnym, niepohamowanym, wręcz dzikim zachciankom, może zacząłeś myśleć na tyle trzeźwo, że moglibyśmy prowadzić wspólnie rozsądne życie. I moglibyśmy na sobie wzajemnie polegać. Spróbujmy! Ale na razie bez żadnych oczekiwań w sferze intymnej. Jesteś gotów?

— Przecież muszę, Ewo-Ingeborgo. Poczekajmy więc i przekonajmy się, jak ułożą się sprawy. A teraz pozwól, że ci przedstawię pewną prośbę, z którą zapewne zgodzisz się, bo bardzo mi na tym zależy.

Znów spojrzała na niego podejrzliwie:

— O co ci chodzi, Zygfyrdzie?

— Nie przybyłem sam. Przyprowadziłem ze sobą przyjaciela.

— Kogo?

— Przyjaciela.

— Czy ty naprawdę możesz mieć przyjaciela? O ile cię znam, trudno sobie wyobrazić coś podobnego. Co to za człowiek?

— Jak ci powiedziałem, jest to mój przyjaciel. Przeżyliśmy razem pięć lat piekła, do czego nie trzeba już nic dodawać. Nie możesz go odprawić.

— A co się stanie, jeżeli go jednak odprawię?

— W takim razie będę musiał odejść razem z nim. Dokądkolwiek. Na zawsze. Nie sprawi mi to może szczególnej przykrości po tym wszystkim, co mi powiedziałaś na temat moich perspektyw na przyszłość.

— Chciałabym go zobaczyć! — wykrzyknęła spontanicznie Ewa-Ingeborga.

Spotkanie, którego zażądała Ewa-Ingeborga, odbyło się już po paru minutach w tym samym pokoju biurowym. Zygryd Sonnenberg przyprowadził do żony swego przyjaciela Brandina.

Oboje przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę bez słowa. Czynili to z coraz bardziej widocznym upodobaniem, co Zygryd zauważył z zadowoleniem.

— Dzień dobry, panie Brandin! — powiedziała, kiedy mu się przyjrzała dość dokładnie.

— Dzień dobry, pani Sonnenberg — odpowiedział.

Miał przed sobą nadzwyczaj atrakcyjną, dyskretnie zmyslową, w pełni dojrzałą kobietę z jasnymi, mądrymi, przenikliwie patrzącymi oczyma. Ona zaś ujrzała wychudzonego, szczupłego, jak gdyby sprężonego do skoku, dość młodego jeszcze mężczyznę o wyrazistych rysach twarzy, w których można było wyczytać wesołość, skłonność do drwiny i ciekawość. Od razu uznali się wzajemnie za niezwykle interesujących.

— Więc to pan jest przyjacielem mego męża — przemówiła, ważąc słowa.

— Tak, to ja nim jestem, pani Sonnenberg.

— A w jaki sposób to się objawia? — zapytała ze zdumiewającą bezpośredniością. — Mówiono mi, że męskie przyjaźnie przybierają najróżnorodniejsze formy. Niektóre z nich, wynikające z warunków wojennych, okazują się nieuchronne w okresach ograniczeń w obozach jenieckich.

— Co się tyczy tych spraw, mogę panią uspokoić, pani Sonnenberg — zaśmiał się bezceremonialnie Tomasz Brandin. — Wszystko, co nas łączy, jest absolutnie normalne. Zdarzają się przecież normalne przyjaźnie.

— W ten sposób zostało powiedziane wszystko — oświadczył z kolei Zygryd jakby na zakończenie.

— Chyba rzeczywiście — przytaknęła mężowi Ewa-Ingeborga, spoglądając przy tym niefrasobliwie na stojącego przed nią uśmiechniętego Tomasza. — Pozostanie pan zatem tu, panie Brandin — postanowiła. — U nas. — Omal nie wymknęło się jej „u mnie”. — Ustawimy dla pana łóżko w tym gabinecie. Zgoda?

Przyjaciele uznali, że przywitanie wypadło dość poprawnie. Z ulgą spojrzeli jeden na drugiego.

— Ale na początek — zdecydowała Ewa-Ingeborga jako troskliwa

gospodyni — powinniście się wykąpać. Tylko nie razem, raczej po kolei. Kolejność ustalcie sobie sami. Ja tymczasem wyłożę wam koszule, pozostałą bieliznę i garnitury. Przechowałam tego dość dużo. Potem prześpijcie się jakieś dwie lub trzy godziny przed uroczystą kolacją. Żebyście nabrali sił do tego, co was czeka.

— A cóż to takiego?

— Mnóstwo rzeczy, Zygfydzie. Przede wszystkim twoja matka! Nie możesz się jej przecież wymknąć, choćbyś nawet bardzo chciał. Mam jednak nadzieję, że jesteś na to przygotowany.

— Czy jest w tym domu cokolwiek, na co nie musiałbym być przygotowany? — odpowiedział jej Zygfyd Sonnenberg.

2. Cuda z trudem torują sobie drogę

Gdy Zygfyd Sonnenberg, po przyjemnie ciepłej kąpieli, obudził się w sypialni swojej żony Ewy-Ingeborgi, oczywiście nie znajdując jej u swego boku, z zadowoleniem spojrzął w stronę oślepiającego wiosennego słońca.

Ktoś bowiem rozsunął na boki zasłony okienne. Pomiędzy wpadające do pokoju światło a jego łóżko wślizgnął się jakiś duży, czarny cień. Gdy do reszty otworzył oczy, stało się oczywiste, że przy łóżku siedzi kobieta o surowej twarzy. Była to jego matka Emma.

— Zdążyłem się więc obudzić o właściwym czasie — powiedział.

— To ja ciebie obudziłam — poprawiła go szorstkim głosem.

— Dobrze, że cię widzę, mamó — oświadczył ugodowo. — Jak ci się wiedzie?

— Tak, jak może się wieść starej, ciężko doświadczonej życiem kobiecie, mój chłopcze. — Wypowiedziała to właściwym sobie tonem ni to udręki, ni to wesołości. Lustrowała go przy tym spojrzeniem wielkich jak u łani oczu, które jednak nie miały w sobie nic z łagodności tego zwierzęcia. — Niewiele sadła zeszło ci z żeber, włosy ci nie posiwały, ale wydaje mi się, że jesteś nerwowy, a co najmniej bardzo niespokojny.

— Bądź co bądź w ciągu tych lat, mamó...

— To samo, mój synu, spotkało także nas! Może przypuszczasz, że nasze życie w ostatnich latach było czystą rozkoszą? Zresztą zawsze

miałeś bardzo sentymentalne usposobienie. Zapewne nie zmieniłeś się pod tym względem?

— Radziłbym ci nie żywić takiej nadziei — powiedział tonem niemal ostrzeżenia.

— Wcale nie żywiłam takiej nadziei, mój synu, raczej obawiałam się tego. Jeśli się omyliłam, to tym lepiej!

— Tym lepiej dla kogo, mamó?

— Ma się rozumieć, dla ciebie, a przez to również dla nas wszystkich! Powiedzmy, dla twojej rodziny. Bo teraz musisz pokazać, co naprawdę potrafisz!

j

— Proszę cię, mamó, daj mi trochę czasu — bronił się — czuję się jeszcze bardzo, ale to bardzo zmęczony.

— Oczywiście, mój chłopcze, przyznaję, że na pewno zasłużyłeś sobie na dłuższy wypoczynek i chętnie byśmy ci go użyczyli. Ale zrobimy to dopiero później; najpierw trzeba uporządkować to, co najpilniejsze. — Mówiąc to, przedstawiała oczywiście swój punkt widzenia. — Zjawiłeś się naprawdę bardzo późno, dosłownie w ostatniej chwili.

— Jesteśmy jednymi z pierwszych, których Rosjanie zwolnili. Po nas przyjadą jeszcze setki tysięcy innych. Czy twoim zdaniem zjawią się za późno?

— Zygfyrdzie, mój synu, czyżbyś po powrocie do domu zamierzał spocząć na laurach?

— Na razie muszę pójść do ubikacji. W tej chwili, jak mi się wydaje, jest to sprawa najpilniejsza. — Zygfryd Sonnenberg zrzucił koc, wstał i truchtem spieszył do drzwi.

— Pozostań tutaj! — rozkazała mama Emma. — Znam te twoje napady! Miwaleś je już w wieku dziecięcym. Gdy tylko musiałeś o czymś decydować, od razu zanosilo się na to, że narobisz w spodnie. W ten sposób, mój chłopcze, nie wyrzecz na mnie wrazenia.

— O jakie to rozstrzygnięcie może twoim zdaniem chodzić tym razem?

— Połóż się z powrotem, Zygfrydzie, a ja ci wszystko wyjaśnię w ciągu paru minut. Mam nadzieję, że przez ten czas zdołasz jeszcze zapanować nad sobą.

Zygfryd w samej tylko pizamie zatrzymał się w pobliżu drzwi. Stamtąd przyglądał się uważnie swojej matce. Do tego momentu nie wyrządzili jedno drugiemu nawet najmniejszej przykrości; przynajmniej żadne z nich nie poczuło się dotknięte.

- Co zamierzasz mi więc wyjaśnić?
- Najpierw to, mój synu, że pozostając tu bez ciebie musiałyśmy się przebijać przez życie z najwyższym wysiłkiem!
- Czego, przynajmniej po tobie, specjalnie nie znać!
- Możesz sobie oszczędzić dowcipnych uwag w tym stylu! Nie walczyłyśmy tu o nic innego, jak tylko o to, ażeby uchronić się przy życiu. Trzeba też było ocalić to, co zdołałyśmy w tym czasie zdobyć. Było to zresztą możliwe w jakimś stopniu, w tym miejscu oddam ci sprawiedliwość, dzięki temu, co zdołałeś w poprzednich latach. Jesteśmy ci wdzięczne, ale teraz musi się to nam opłacić. Nam wszystkim, i tobie też!
- Bój się Boga, mamó, o tym możemy jeszcze porozmawiać kiedy indziej.
- Tylko tchórze starają się omijać nieuniknione niebezpieczeństwa, mój chłopcze! — Była niezbyt przekonana, że to, co mówi, jest słuszne, jak zawsze zresztą. — Dla mnie ważne jest, byś się możliwie wcześniej zorientował, w jakiej sytuacji się znalazłeś. Ażebyś nie popełnił żadnego błędu!
- Tak? W jakiej to mianowicie znalazłem się sytuacji?
- Mama Emma spróbowała mu to wytłumaczyć:
- Dzięki twojej reputacji i twoim uzdolnieniom jako fryzjera mogliśmy się ulokować u twego podstarzałego już mistrza, utrzymując się w ten sposób na powierzchni. Na nasze szczęście miał on do dyspozycji prawie nietknięty dom. Oczywiście możemy to uznać tylko za rozwiązanie tymczasowe. Ty już zadbasz o to, ażebyśmy na tym nie poprzestali!
- Jak to sobie wyobrażasz? Powiedz mi jak najszybciej, bo coraz bardziej odczuwam potrzebę natychmiastowego odwiedzenia ubikacji.
- Absolutnie nic nie obiecuj mistrzowi Adamowi, a już w żadnym wypadku nic takiego, co mogłoby zobowiązywać ciebie wobec niego na dłuższy czas! — Matka Emma mówiła to z proroczą wprost żarliwością.
- Musisz teraz postępować konsekwentnie, wybiegając myślą daleko w przyszłość. Powinieneś mianowicie odbudować nasz dom, a potem rozwinąć w nim swoją działalność. Oczywiście wspólnie z nami.
- To na pewno będzie kosztowało masę pieniędzy.
- Których, mam nadzieję, dorobimy się, Zygrydzie, mój synu.

Powinniśmy tego dopiąć zarówno dzięki twoim ogólnie uznawanym zdolnościom, jak też przez nasze, a przede wszystkim moje, stosunki, nie tylko dawne, dotychczas podtrzymywane, ale też świeżo nawiązane. Nie zaniedbywałyśmy ich, ale zrećnie poszerzałyśmy z zamiarem późniejszego wykorzystania. To znaczy ja, ale także twoja żona.

— Wy obie wspólnie? Bardzo dziwny wydaje mi się taki sojusz po tym wszystkim, co dawniej rozgrywało się między wami. Przecież nienawidziłaś jej jak zarazy!

— Ona mnie tak samo — uśmiechnęła się cierpko mama Emma. — Ale kiedy nastały czasy klęski, nie miałyśmy innego wyjścia, jak tylko wspólnie pchać biedę, i to w tym samym kierunku. Teraz oczekujemy tego samego także od ciebie!

— Co ma znaczyć, że stary Adam może odejść. Zrobił swoje i można go spisać na straty! I ja mam brać w tym udział?

— Czyżbyś wciąż jeszcze ulegał takim samym jak dawniej strasznie sentymentalnym porywom? — zapytała z niezadowoleniem starsza pani Sonnenberg. — Nie miałaś z nich nic oprócz przykrości i rozczarowań! Niczego cię to nie nauczyło? I teraz, ledwie przyjechałeś, już zdążyłeś popełnić, jak słyszałam, dwa poważne błędy!

— Naprawdę? — Zygryfd nadal stał tuż przy drzwiach i stamtąd ze zdumieniem patrzył na matkę. Trudno zresztą określić, czy ze zdumieniem, czy też może podziwem. — Dwa błędy, powiadasz? Jakież to?

— Bardzo lekkomyślnie i całkiem niepotrzebnie, a przy tym zbyt daleko poszedłeś na rękę Adamowi. To zresztą da się naprawić. Oprócz tego wprowadziłeś do naszej rodziny, jako jej członka, swego niby to przyjaciela i zrobiłeś to w sposób bardzo stanowczy.

— Pozwól, mamó, że w związku z tym coś ci wyjaśnię — powiedział Zygryfd zdecydowanym głosem. — Tomasz Brandin nie jest moim niby to przyjacielem, lecz moim prawdziwym przyjacielem! Jest związany ze mną, a tym samym ze wszystkimi, którzy poczuwają się do związku ze mną. Proszę cię, miej to na uwadze.

— Co to ma znaczyć, mój synu? — Spojrzała na niego zdziwiona. — Jakim tonem do mnie przemawiasz? Czy to może ma być jakaś nowa forma wyrażania czułości? No dobrze, nie mam nic przeciwko przyjaźniom, czasem bywają nawet bardzo pożyteczne. Tylko co mają one wspólnego z więzami rodzinnymi? Nie uznają takich rzeczy! To wszystko jest w najwyższym stopniu podejrżane. Zdecydowanie.

" — Ewa-Ingeborga dopiero co przyjrzała się memu Brandinowi nieco dokładniej i ty też powinnaś to zrobić. W każdym razie ona go akceptuje!

— Wcale tego nie przeoczyłam. Jej reakcja była pochopna i jeszcze może mieć przykre następstwa. Zastanów się tylko nad tym. Przecież Ewa-Ingeborga nie tylko akceptuje go, on chyba jej się podoba. Czy to cię nie niepokoi?

— Jedyna rzecz, jaka mnie w tej chwili niepokoi — odparł Zygfryd Sonnenberg bez szacunku dla matki — to coraz mocniejsze pragnienie wyjścia za potrzebą.

— To idź sobie — mruknęła niechętnie. — Ale potem, synu, jeszcze porozmawiamy!

W tym momencie z sieni dobiegł dziewczęcy głos. Jego właścicielka głośno domagała się:

— Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć!

Dziewczę było jeszcze po dzieciennemu delikatne, ale jednocześnie nieco rubaszne w sposobie bycia. Zgrabna figurka tkwiła w wypchanych sztruksowych spodniach i bawełnianej, mocno znoszonej koszuli, na drobnych stopach miała ciężkie trepy, na które zużyto sporo drewna i niewiele skóry. Jasną buzię, na której malował się wyraz czujnej ciekawości, okalały blond włosy, nie robiące wrażenia szczególnie wypielęgowanych.

— Gdzie jest mój ojciec? — krzyknęło dziewczętko. — Chcę go też wreszcie powitać!

Była to Dagmara; miała już piętnaście lat. Była jedynym owocem początkowej fazy małżeństwa Zygryda i Ewy-Ingeborgi Sonnenbergów. Bezpośredni, rezolutny sposób bycia odziedziczyła przypuszczalnie po matce.

Natknęła się na ojca w sieni na piętrze, w drodze od drzwi pokoju, w którym sypiała matka, do ubikacji. Wpadła na niego, objęła z całych sił, wilgotnymi wargami raz po raz delikatnie dotykała jego twarzy. On zaś, ubrany w piżamę, przyjmował to trochę zmieszany.

— Jesteś więc nareszcie — szeptała do niego konspiracyjnie, podobnie jak to czyniła kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem. — Mój Boże, jak ja czekałam na ciebie. Teraz wreszcie coś się tu zmieni!

Nie pytał, co ma się zmienić. Odczuwał pewną obawę przed zadaniem tego pytania. Świat tego dziewczęcia składał się oczywiście z oczekiwań,

które jednocześnie były też wymaganiami. Zresztą w rodzinie Zygfrйда nie było chyba nikogo, kto stanowiłby pod tym względem wyjątek.

Próbował uciec się do zgrabnych komunałów, rzucił parę wcale nie wyszukanych komplementów.

— Jesteś wspaniałą dziewczyną — powiedział — bardzo się rozwi-
nęłaś, jesteś już atrakcyjną małą damą!

W odpowiedzi zapewniła go:

— Zdaje mi się, że ty, ojczce, nie zmieniłeś się nic a nic. Zewnętrznie na pewno nie, w sposobie bycia także nie. Dokładnie tego właśnie spodziewałam się i na to czekałam.

Po raz drugi nie zapytał, dlaczego. Jego zapotrzebowanie na komplikacje zostało już zaspokojone z nadwyżką.

— Porozmawiamy o tym jeszcze — powiedział wymijająco.

W sieni ukazał się Tomasz Brandin. Wyszedł z tak zwanego biura, gdzie ustawiono mu do spania leżankę. Obudzony hałaśliwym powita-
niem, też przypuszczalnie kierował się do ubikacji.

Miał na sobie piżamę kolorem, deseniem i krojem identyczną z tą, w którą był ubrany Zygfryd Sonnenberg. To mamie Emmie w ostatnich miesiącach wojny udało się zdobyć cały tuzin takich piżam. Dostała je z przeniesionej do Rosenburga centrali zaopatrzenia oficerów w zamian za artykuły żywnościowe, przede wszystkim za smalec i masło. Później, przez parę miesięcy po zakończeniu wojny, znów wymieniała po kolei dziesięć tych piżam na żywność, przeważnie na jajka i mąkę. W tej chwili tu, w sieni, spotkały się dwa pozostałe jeszcze z całego tuzina egzemplarze w całej swojej niebiesko-białej pasiastej okazałości.

Na ten widok Dagmara wybuchła niepohamowanym śmiechem, i

— Wyglądacie, jakbyście przespali całą wojnę!

Zygfryd uśmiechnął się, chociaż był już z lekka zmaltretowany. Z
niejakim pośpiechem przedstawił córce Brandina:

— To mój przyjaciel. Mam nadzieję, że się zrozumiecie. W tej chwili
chciałbym was przeprosić! — Nareszcie udało mu się dotrzeć do
ubikacji.

Dagmara i Tomasz pozostali sami. Przyglądali się sobie ciekawie,
bez śladu nieufności, raczej z instynktownym wyczekiwaniem. Po chwili
zaczęli się do siebie uśmiechać. Potem Dagmara podeszła do Tomasza i
podała mu rękę.

— Zaraz po przyjeździe odstawiliście tu wspólnie niezmiernie efek-

towny numer! Ubrani jak przystało na zabiedzonych repatriantów, z ponurymi minami, w wyświechtanych do granic wytrzymałości łachach. Pocziwy stary Adam był podobno wzruszony do łez. Nawet na mojej mamie wywarliście silne wrażenie. Ale w tej chwili czujecie się znów wspaniale w tych piżamach wyfasowanych od szefa kompanii.

Tomasz Brandin udawał całkowitą wyrozumiałość, a jednocześnie starał się nie okazywać coraz większej życzliwości, jaką odczuwał dla tego dziewczęcia.

— Droga panno Sonnenberg, czasy, po których pozostały z nas tylko skóra i kości, nareszcie minęły. Zresztą trwały aż nadto długo.

— Typowe! — zawołała z ożywieniem Dagmara. — To przecież odpowiada duchowi czasu! Jak najszybciej zapomnieć o wszystkim! Wojna była, skończyła się i już wszystko przezwyciężone, wytarte z pamięci! Może dlatego, że możecie wreszcie znów włożyć czyste łachy. A na uroczystej kolacji i z pewnością przy wielu innych okazjach opchacie się i opijecie do syta. Zrobicie to zresztą z rozkoszą. A potem znów rozkwitną rozmaite interesy. Czy to nie jest zbyt proste, proszę pana?

Tomasz Brandin z należytą uwagą wysłuchiwał tego potoku słów, a był to dopiero pierwszy spośród wielu innych, jakie miały jeszcze popłynąć. Dagmara zauważyła to i doznała niemałej satysfakcji.

— Sama powierzchowność, panno Sonnenberg, znaczy naprawdę niewiele, przynajmniej w wypadku moim i pani ojca — powiedział Tomasz Brandin. — To, w czym występujemy, w obrzydliwych łachach repatriantów czy też w czystych piżamach, nie ma żadnego wpływu na nasz charakter. Wcale nie musi się pani tego obawiać. Poza tym mogłaby się pani zwracać do mnie po imieniu, jeśli ma pani ochotę. Nazywam się Tomasz.

— Nie chcę, panie Brandin, jeszcze nie teraz! — oświadczyła Dagmara z całą stanowczością. — A już w żadnym razie, jeśli pan jest przypadkiem jednym z tych sentymentalnych repatriantów, którzy chodzą po Rosenburgu stadami.

— Miała pani jakieś nieprzyjemne przeżycia, panno Sonnenberg?

— Sprzykrzyła mi się ta cała gadanina — powiedziała szorstko. Gdy spojrział na nią ze zdziwieniem, dodała: — Nudzi mnie po prostu, kiedy bez przerwy słyszę, że ktoś tam był od początku przeciwny temu

wszystkiemu, to znaczy Hitlerowi i wojnie, ale okoliczności nie pozwalały mu niestety nic na to poradzić.

— Ani myśli pani przyznać, że ktoś z nas mógł pobłądzić lub okazać ludzką słabość?

— Uważa mnie pan za dziecko, panie Tomaszu? Znam już te wasze tanie wymówki. Uważacie się za biedne ofiary! I pan, i mój ojciec, i wszyscy inni!

— O mnie może pani myśleć, co tylko pani zechce, Dagmaro. Ale swego ojca, jak przypuszczam, w ogóle pani nie zna. Była pani jeszcze dzieckiem, kiedy musiał stąd odejść.

— Znam przecież swoją matkę, do tego także babcię Emmę. To mi wystarcza. Najzupełniej.

— W swoich obliczeniach powinna pani na razie potraktować ojca jako niewiadomą — poradził jej oględnie Tomasz Brandin. — Natomiast jeśli chodzi o mnie i o to, co pani sama o mnie myśli...

— Jeśli o to chodzi, to, otwarcie mówiąc, wołałabym się mylić, panie Tomaszu.

— Może byśmy tak odbyli krótką przechadzkę, jeśli mogę panią o to prosić?

— A co pan sobie po niej obiecuje?

— Powiedzmy: sobie parę informacji, a pani coś w rodzaju wyjaśnienia. Pokaże mi pani w mieście to, co chciałbym zobaczyć, a sama dowie się, dlaczego chciałem to zobaczyć. Zgoda?

— Zrobi się, panie Tomaszu! Nie wygląda mi pan na układnego pieska!

— Domyślam się, że lubi pani psy?

— Po prostu lubię wszystko, co ma związek z tymi cudownymi stworzeniami, które tak często krzywdzimy. Lubię ich stałą czujność, gotowość do zdecydowanej obrony i bezwarunkowe oddanie. Potrafią się poświęcić dla tego, do kogo są przywiązane. Być może nie mają innego wyboru. Czy pana stosunek do mego ojca nie jest tego właśnie rodzaju?

— To nie jest wykluczone, Dagmaro.

— A co może z tego wyniknąć?

— Jeszcze nie wiem i nawet nie przeczuwam. Ale bądź co bądź mam pewną wyobraźnię, podobnie jak pani ojciec. Właśnie podpowiada mi ona, że być może od tej przechadzki rozpocznie się jakaś przygoda. Chętnie panią do niej wciągnę, a jestem mocno przekonany, że pani sobie tego życzy.

— Wyjaśnijmy sobie, że jedynie po to, ażeby zabić czas! Do chwili, kiedy rozpocznie się obfite i ciężkie uroczyste zarcie, które pana czeka. A także mego ojca. Ale pan jest zapewne łasy także na całkiem inne przyjemności. Niech pan więc zaczyna!

Opuszczając ubikację na piętrze domu Adama, Zygfryd Sonnenberg ujrzał w sieni swoją siostrę Erykę. Zaczekała na niego, uśmiechając się czule.

— Zygfydzie! — powiedziała po prostu i nic ponadto.

Eryka, jego „mała” ukochana siostrzyczka, była od niego młodsza o dziesięć lat, miała ich więc teraz trzydzieści. Była to promieniejąca serdecznością, pełna wdzięku, doskonale zbudowana istota, wąska w biodrach, długonoga, o proporcjonalnie zaznaczonym biuście i pośladku.

Oboje spojrzeli na siebie uszczęśliwieni. Bardzo powoli, jakby pod wpływem jakiejś magicznej siły, zbliżyli się do siebie. Gdy stanęli wreszcie twarzą w twarz, oczy obojga lśniły jak gwiazdy.

— Eryko — powiedział Zygfryd i nic więcej.

Podali sobie ręce. Potem on dotknął policzkiem jej policzka — bardzo tkliwie, lecz zarazem nieśmiało, tłumiąc czułość. Nie zadawali sobie pytań w rodzaju: „Jak ci się powodzi? Co porabiasz? Jak przeżyłeś ten czas?” Milczeli.

Po chwili dopiero obydwoje prawie jednocześnie powiedzieli to samo:

— No, to jesteś!

Bez żadnych pytań. Po prostu stwierdzili: Jesteś!" W ten sposób zostało wypowiedziane wszystko, co oboje odczuwali. Od dawna kochali się i pod tym względem nic się nie zmieniło.

— Ślicznie wyglądasz! — stwierdził następnie. — Nigdy, nawet w najskrytszych marzeniach nie potrafiłbym wyobrazić sobie piękniejszej siostry.

— Ty, Zygfydzie, także jesteś najlepszym bratem, jakiego można sobie wymarzyć. Tak samo jak dawniej. — Przyjrzała mu się z troskliwym zainteresowaniem. — A jednak wydajesz mi się jakiś zmieniony. Jesteś już inny.

— Ale nie w stosunku do ciebie, Eryko.

— Nie, to nie wchodzi w grę, czuję to. — Ucałowała go jeszcze raz

serdecznie. — Jednak sędzę, że nie jesteś już tym samym człowiekiem, który z konieczności opuścił nas pięć czy sześć lat temu. Teraz zachowujesz się całkiem inaczej. Jakoś poważniej! Bardziej stanowczo. Z kolei on ją uściskał.

— Jeżeli tak jest rzeczywiście, to ty jako jedyna w tym domu osoba spostrzegłaś to. Może powinnaś od razu o tym zapomnieć. Dla nas obojga ważne jest jedynie, ażeby nic się nie zmieniło w naszych wzajemnych stosunkach. Jeżeli rzeczywiście tak będzie, spokojnie zniesiemy całą resztę.

— Kochany braciszku — powiedziała zaniepokojona Eryka — zdaje mi się, że w tych niedobrych latach niejedno musiało cię spotkać. Czego oni od ciebie chcieli? W jakie przykre sprawy zostałeś wciągnięty?

— Jedynie w bardzo prozaiczne, w tamtym czasie zupełnie normalne. W sumie było to piekło na co dzień! Po tysiąc razy sam to robiłem, a miliony razy tego doznawałem. Nie było to nic nadzwyczajnego, tylko życie w zbiorowości w tak zwanej dziejowej chwili i w latach, które nastąpiły po niej. Nie zamierzam jednak obciążać wiedzą o tym nikogo, a zwłaszcza ciebie.

Drugie interludium

Jakie były ich dalsze losy,
nim się ze sobą zetknęli

Upływały tygodnie i miesiące, a Zygfryd i Tomasz, nadal na Syberii, żyli z dnia na dzień jak w transie. Wokół siebie widzieli tylko liche drewniane chaty, roztopianą błotnistą ziemię i ogrodzenie z kolczastego drutu. Czasem wydawało się im, że ockną się lada chwila, ale za każdym razem znów ogarniała ich całkowita apatia. Ratowała ona ich, a przynajmniej oteępiała.

Oba obozy, podobne do siebie jak dwie odbitki z tej samej kliszy, były oznaczone numerami rzędu dziesiątek tysięcy. Składały się jedynie z prymitywnie skleconych stajen dla dotkniętego zarazą ludzkiego bydła. Obóz, w którym znajdował się Zygfryd Sonnenberg, był oddalony od obozu Tomasza Brandina zaledwie trzydzieści kilometrów. I tu, i tam było tak samo — tylko z rzadka chleb, czasem chochla wodnistej zupy, od przypadku do przypadku ciepła, przypominająca herbatę lura,

nierz o smaku pomyj, lecz pomimo to przyjmowana niemal z wdzięcznością. Nic dziwnego, że ludzie marli setkami, a wkrótce już tysiącami — przede wszystkim starzy, chorzy i pozbawieni woli przeżycia.

Po pewnym czasie zaczęto sobie szeptem przekazywać hasła, podawane jak gdyby przez kogoś z podziemia, w rodzaju: „Sowieci próbują dorównać hitlerowcom! Wymordują nas! Tam byli Żydzi, a tu jeńcy!” Co prawda, przyznawano, jest chyba jakaś różnica. Potrafili ją dostrzec prawdziwi Niemcy, którzy jeszcze nie wymarli, nawet tu, w obozie.

Tomasz Brandin zajmował się w swoim obozie grzebaniem zmarłych. Był jednym z młodszych, przy tym dość zdrowy, a więc nadawał się do pracy. Z racji swego zajęcia dostawał codziennie, wyjąwszy niedziele, dodatkową porcję kapuśniaku. Pomagało mu to przetrwać.

Podczas owej pracy wyspecjalizował się w układaniu zwłok w stosy. Potrafił je fachowo kłaść tak, by trupy górnej warstwy leżały w odstępach pomiędzy trupami dolnej na wzór rozmieszczonych w skrzynce cygar. Zbiorowe groby, przy których pracował, robiły wrażenie czegoś wzorowo zorganizowanego. W dodatku prowadził niezwykle dokładną ewidencję pochówków. Nawet kompetentny sowiecki oficer wyrażał się o niej z nader wysokim uznaniem:

— Robisz to wprost genialnie, Brandin! W razie gdyby zmarł nasz dozorca cmentarza, dostaniesz po nim miejsce.

— Ale czy my musimy bezwarunkowo wymrzeć z głodu, panie poruczniku?

— Nikt tego nie chce, Brandin! Tym bardziej że i my, wiedz o tym, głodujemy. Prawie tak samo jak i wy. Jako naród jesteśmy kompletnie wykrwawieni dzięki waszym wielkoniemieckim talentom. Zgodnie z rozkazem waszego fuhrera, wydanym przed odwrotem, żyjemy na spalonej ziemi. Na dobitkę zima okazała się najbardziej surowa z tych, jakie ludzie pamiętają. Musimy sobie radzić z nią wspólnymi siłami!

W drugim obozie, odległym od tego niecałe trzydzieści kilometrów, Zygfryd Sonnenberg także starał się utrzymać przy życiu. Stosunki panowały tu podobne. Również i tu ludzie tysiącami rozstawali się z życiem. Komendant, którego czyniono za to odpowiedzialnym, chodził bocianim krokiem od jednego stosu trupów do drugiego z mroczną, skamieniałą twarzą. Prawie codziennie koło południa odbywał w asyście paru osób lustrację obozu. Robił to w taki sposób, jakby chciał wszystkim się przyjrzeć, by nic nie uszło jego uwagi.

Pewnego razu spośród wielotysięcznego tłumu bezbronnych ludzi, z masy ziemistoszarych mundurów, wynurzył się ktoś i grzecznie zapytał:
— Czy wolno mi będzie przedstawić pewną propozycję?
Komendant był zaskoczony, że zdumienia wprost nie wierzył własnym uszom.

— Co to ma znaczyć? — Jego asysta, czyli adiutant, tłumacz i dwaj strażnicy z pistoletami maszynowymi, już miała przejść do działania. Jednakże komendant ich powstrzymał. Był ciekaw, czego chce jeniec, przepychający się ku niemu. — Kim jesteś i o co ci chodzi?

— Nazywam się Sonnenberg i pozwalam sobie jedynie na przedstawienie propozycji. Jest rzeczą zrozumiałą, że w takich okolicznościach można osiwieć. Ale nawet siwe włosy powinny być dobrze utrzymane. Mógłbym się tym zająć, jestem fryzjerem i zapewniam pana, że wcale nie byle jakim.

Komendant był wyraźnie ubawiony.

— Czy to znaczy, że chcesz mnie obsługiwać?

— Potrzebne mi są do tego tylko dwa narzędzia, grzebień i nożyce. Gdybym je mógł dostać...

I dostał je. Pierwsze strzyżenie wzbudziło zadowolenie komendanta. Był niemal uszczęśliwiony, przeglądając się w lusterku, które trzymał przed nim Zygfryd Sonnenberg. Uznał, że jego włosy zostały wymodelowane w sposób niesłychanie wytworny; powstało coś jak skrzyżowanie czaszki Stalina z głową Cezara.

— Świetnie, Sonnenberg! — wykrzyknął. — Od tej chwili jesteś fryzjerem moim i moich podwładnych!

Zygfryd przyjął to do wiadomości, robiąc sobie pewne nadzieje na przyszłość. Świeżo upieczonemu fryzjerowi pozwolono zabrać ze sobą grzebień i nożyce.

Jednak gdy Zygfryd Sonnenberg powrócił do baraku, ażeby z ulgą położyć się w swoim obskurnym kątku, natknął się na trzech drabów, którzy zastąpili mu drogę. Podobnie jak on byli to jeńcy, ale całkiem innego pokroju. Jeden z nich stał wyprostowany, drugi był gotowy do skoku, trzeci przyczajony, a wszyscy trzej na coś zdecydowani. Któryś z nich — zresztą Zygfryd później nie mógł sobie przypomnieć który, oświadczył mu:

— Nieprzeciętna z ciebie świnia, chłopie! Nędzny dureń! Próbowalesz jak pluskwa uczeplić się tych Sowietów. A im tymczasem chodzi tylko

o to, żebyśmy wyzdychali! Współpracujesz z tymi bydlakami, włączysz im w tylek! Dostaniesz za to solidną nauczkę, ty nędzne ścierwo! Tak jak każdy zdrajca!

Potem rzucili się na niego wszyscy trzej jednocześnie. Powalili go na ziemię, okładali pięściami i kopali w dołek, brzuch i pośladek. Omijali tylko twarz — „specjaliści” tego rodzaju nie lubią pozostawiać widocznych śladów.

W każdym razie Zygfryd Sonnenberg po pobiciu leżał w błocie przed swoim barakiem. Kilku kolegów z niechęcią i lękiem zaciągnęło go na legowisko. Sonnenberg oddychał z największym trudem. Było jasne, że nie ma szans na przeżycie najbliższych dni. Lecz wtedy zjawił się Tomasz Brandin.

Późnym popołudniem tego dnia, to jest 1 maja 1950 roku, tym razem w Rosenburgu-Nowym Osiedlu, Tomasz Brandin wybrał się na przechadzkę. Towarzystwa dotrzymywała mu Dagmara, córka Zygfryda Sonnenberga. Będąc już na dość poufalej stopie, szli sobie niespiesznie, mijając gruzowiska, szczątki budynków, ale też nieznacznie tylko uszkodzone domki. Droga prowadziła pod górę, w kierunku Rosenburga.

Tomasz włożył na tę okazję jedno ze starszych ubrań Zygfryda — jasnopopielate, jeszcze w całkiem dobrym stanie. Wisiało na nim jak pofałdowany worek, ale nie wyglądało śmiesznie. Tomasz czuł się w nim wcale nie najlepiej, jednak żywa ciekawość Dagmary nie pozwoliła mu się nad tym zbyt długo zastanawiać.

— Cóż pan zamierza teraz począć, panie Tomaszu?

— Najpierw spróbuję sobie wyrobić ogólną orientację, Dagmaro. Ostatecznie chcę wiedzieć, gdzie właściwie wylądowałem. Muszę stwierdzić, że zniszczenia w tym mieście nie są aż tak wielkie, jak wydawało się na pierwszy rzut oka.

— Panu nie wydają się, ale dla wielu setek ludzi są bardzo wielkie, zwłaszcza w okolicy dworca i rynku. W innych miejscach pozostało trochę nie uszkodzonych domów. Nie poniósł też szkody ten Rosenburg, który pana w widoczny sposób szczególnie interesuje. Ciekawa jestem, dlaczego?

— Może dlatego, że jest to bardzo oryginalna, osobliwa buda

— rzucił pospiesznie Brandin, jakby chcąc zmienić temat. — Tylko król Ludwik II Bawarski, ów marzyciel na jawie, mógłby sobie wymyślić coś podobnego, oczywiście w przyływie niezbyt wybujałej fantazji. W każdym razie w tym otoczeniu Rosenberg wydaje się jakiś nadęty i niegustowny.

Opinia ta była chyba trafna. Tak zwaną bramę zamkową stanowiły właściwie nieco rozszerzone drzwi wejściowe, okna przypominały zbyt duże otwory *strzelnicze*, a mnóstwo przybudówek, nadbudówek i wieżyczek w rozmaitych miejscach sprawiało, że całość można było uznać za wyrób cukierniczy ułożony z cegieł.

— Czy w takim czymś mieszkają ludzie? — zapytał Tomasz z lekką zamyślny.

— Mieszkają, i to przypuszczalnie o wiele lepiej niż mieszka wielu innych w piwnicach, pomieszczeniach zastępczych albo na noclegach na zmianę! U nich nawet ustęp jest większy niż cały salon fryzjerski mistrza Adama!

— Właścicielami są Wernersowie, prawda?

— Skąd pan wie, panie Tomaszu?

— Pani ojciec mi o tym mówił, panno Dagmaro. W ubiegłych latach rozmawialiśmy o wielu sprawach; czasem tylko po to, by zabić nudę. Dlatego wiem co nieco o jego rodzinie, oczywiście także o pani, i o tym mieście. Nie sposób było pominąć tego czy innego szczegółu także o Wernersach. Jacy to są ludzie, pani zdaniem?

Dagmara w lot zrozumiała, o co mu chodzi, i chętnie podjęła temat.

— Wernersowie dostali się do tej luksusowej budy drogą korzy stnych ożenków. Na ogół mają opinię bardzo wysoko urodzonych. W tej chwili jest ich tylko dwoje; jak ludzie powiadają, całe szczęście, że tylko dwoje.

— Pani jest tego samego zdania?

Dagmara udała, że nie słyszy pytania.

— Przebywa tam niejaki pan Werners, jak dawniej tytułowany generałem. Podobno wciąż jeszcze pozostaje przy życiu sporo panów tej profesji. W każdym razie nam wystarczy ten jeden, tym bardziej że podobnie jak kiedyś, tak i teraz uważa siebie za osobistość zgoła wyjątkową. Oprócz niego przebywa tam jego córka imieniem Izolda.

— To brzmi nieźle, powiedziałbym nawet, obiecująco.

— Zgadza się! Izolda jest podobnego kalibru jak jej tata generał.

Przy tym to nieodrodna córka swojej matki. Ta mianowicie uznała zbyt pochopnie, że nie zdoła przeżyć zagłady Niemiec, i odebrała sobie życie.

— A poza tym nie ma w tej budowlu żadnych ofiar bombardowania, żadnych uchodźców, żadnych wygnańców?

— Coś podobnego nie może się zdarzyć u Wernersa! Już zawczasu kazał ogłosić, że jego buda grozi zawaleniem i w znacznej części nie nadaje się do zamieszkania. Naprawdę tak nie jest, ale jemu potwierdzono to urzędowo. Uzyskał to bez trudu dzięki swoim stosunkom.

— Jest to zatem poważany pan, prawda?

— Jest nim, bo był kimś dawniej i jest kimś teraz; bo posiada niemało. Jego jest ziemia, lasy, dzieła sztuki. Wiele ludzi w okolicy wciąż jeszcze zależy od niego: właściciele gospodarstw, pokątni bankierzy, administratorzy zrujnowanych domów... I tak dalej, aż do burmistrza włącznie.

— Zatem w tej luksusowej ciupie gnieździ się ich tylko dwoje?

— W sumie pięcioro! — oświeciła go Dagmara. — Oprócz taty generała i jego córeczki Izoldy jest tam jeszcze kucharka, pełniąca zarazem obowiązki ochmistrzyni, sprzątaczk i służącej. Poza tym, niby wilk w owczarni, jest ogrodnik, zatrudniany również jako kierowca, naganiacz na polowaniach i jako ochrona osobista. Czy to pana naprawdę interesuje, panie Tomaszu?

Skinął potakująco głową, nie przestając patrzeć na Rosenburg.

— To dopiero cztery osoby, a kto jest piąty?

— Ksiądz proboszcz naszego kościoła, zresztą także zniszczonego bombardowaniem. Zabiega teraz u najwyższych czynników o odbudowę. Jest to człowiek bardzo przemyślny, a przy tym troskliwie obdarowywany. Toteż odżywiony jest dość dobrze.

— Osobliwy układ — powiedział w zamyśleniu Tomasz Brandin. Jednocześnie jak urzeczony, jak przyciągany tajemną siłą szedł w kierunku Rosenburga.

— Ostrożnie! — zawołała Dagmara. Zawahała się i pozostała nieco w tyle. — Wchodzi pan na prywatną drogę, zamkniętą dla tak zwanych nieuprawnionych. Musi się pan liczyć nawet z tym, że ktoś nie pozwoli nam wejść. Ci ludzi z zasady bronią wszystkiego, co jest ich własnością, nawet kiedy nikt nie chce i nie może im jej zabrać.

Pomimo wszystko Brandin wszedł na prywatną drogę, nie przeczuwając nic złego. Okazało się, że „droga” jest wspaniałą aleją lipową długości

około stu metrów, gęsto obrzeżoną drzewami sięgającymi wysokości domu. Dagmara szła za nim, choć z pewnym ociąganiem. Nagle rozległ się ostry głos:

— Stać! Ani kroku dalej! Czego tu szukacie?

W otwartych drzwiach zamku kolejno ukazało się kilka postaci. Najpierw pojawił się wyprężony brytyjski dog w przepiękne łąty z jarzącymi się bursztynowymi oczyma — pies rasy bez wątpienia najlepszej z możliwych. Po nim wyszła osoba rodzaju żeńskiego wyglądająca na bardzo pewną siebie.

— To właśnie ona — powiedziała Dagmara przytłumionym głosem, jak gdyby chcąc ostrzec Tomasza.

Była to więc Izolda, córka owego Wernersa. Brandin przyglądał się jej jak napotkanemu w drodze posągowi. Mało brakowało, a nie zauważyłby, że pod osłoną jej imponującej postaci zbliża się jeszcze ktoś trzeci, zapewne jakiś usłużny duszek. Trzymał w objęciu, jakby to było dziecko, strzelbę śrutówkę. Należało podejrzewać, że naładowaną.

— Nie macie tu czego szukać! — znowu odezwała się Izolda. — Nie przyjmujemy wizyt, a już w żadnym razie bez wcześniejszej zapowiedzi.

— Lepiej odejźmy — poradziła Dagmara — bo ta walkiria jest prawdopodobnie o wiele groźniejsza niż jej ojciec. On stara się przynajmniej zachować pozory, a ona nie cofnie się przed niczym. Panu na pewno też nie ustąpi!

— Lady — przemówił Tomasz Brandin, a w jego zamyśle miało to brzmieć łagodząco — chcieliśmy tylko przejść się tu kawalek. — Mówiąc to ruszył w jej kierunku.

— Ani kroku dalej! — zawołała rozkazująco Izolda, co, jak się wydawało, dotyczyło nie tyle Brandina, co raczej groźnej psiej bestii i uzbrojonego pachołka. Tamci obaj zachowywali się nader grzecznie, całkiem inaczej niż ich pani. — Jeżeli chce pan sobie pospacerować ze swoją małą, niezależnie od tego, z jakim zamiarem, to proszę to robić gdzie pan chce, ale nie tu! To droga prywatna!

W odpowiedzi na to Dagmara rzekła z wyraźnym oburzeniem:

— Wypraszam sobie! Nie jestem żadną małą! Ani dla niego, a już w żadnym wypadku dla pani!

— Dobrze już, dobrze! — zawołał Tomasz Brandin. Usiłował uspokoić i jedną, i drugą, a jednocześnie wysilał się, by ukryć, jak bardzo jest ubawiony tym zajściem. — Poprosiłem tylko swoją towarzyszkę,

ażeby mi wskazała drogę do Rosenburga. Nie zorientowałem się, że jesteśmy na prywatnym gruncie. A może przeoczyłem tabliczkę informacyjną?

— A właśnie, nie ma żadnej tabliczki! — powiedziała zaczepnie Dagmara. — Dziesięć lat temu naprawili i poszerzyli tę drogę za państwowe pieniądze, więc jaka tam prywatna!

— To oszczerstwo! — prychnęła gniewnie Izolda. — Ta droga należy wyłącznie do nas! Proszę to uprzejmie przyjąć do wiadomości!

— Pani życzenie, lady, znaczy dla mnie tyle co rozkaz — zapewnił ją Tomasz. Złożył przy tym głęboki ukłon i wykonał ręką ruch zamiatania ziemi kapeluszem w stylu rokokowym. — W każdym razie jestem niezmiernie rad, najczcigodniejsza panno Izoldo, że wreszcie miałem szczęście zetknąć się z panią.

Powiedziawszy to, odwrócił się od tej Joanny d'Arc domowego chowu, a ona nadal stała wraz z rasowym psem i giermkim uzbrojonym w śrutówkę.

Tymczasem w domu mistrza Adama przygotowywano wcześniej zapowiedzianą, z rozmachem zaplanowaną uroczystą kolację. Miała się ona odbyć na cześć syna, z okazji jego powrotu do domu. Kierowanie całością przygotowań leżało w rękach mamy Emmy, która wciąż jeszcze potrafiła zaprzęgać do roboty całe otoczenie.

Mistrz Adam własnoręcznie przekształcił swój salon fryzjerski w salę bankietową. Stał tam teraz długi stół z desek ułożonych na drewnianych kozłach, przykrytych białymi prześcieradłami, zazwyczaj zawiązywanych wokół szyi klientów. Sam mistrz, widocznie już odpowiednio pouczony, pościagał ze wszystkich zakątków krzesła. Było ich w sumie dwanaście, bardzo różnorodnego kształtu. Tak zarządziła mama Emma.

Ewa-Ingeborga, żona Zygryda, musiała zająć się kuchnią. Jako główne danie przewidziano cztery pieczone kaczki. Za przekąski, desery i trunki odpowiadała Eryka, siostra Zygryda. Córka Dagmara miała ustawić talerze oraz rozłożyć sztućce i serwetki — wszystko prawie nowe, prosto z amerykańskich zasobów. Na razie nie było jej jednak widać.

— Ta latawica na pewno znów gdzieś gania — burczała mama Emma — i to nie wiadomo z kim!

W ogólnym rozgardiaszu przygotowań także Zygfryd Sonnenberg zawędrował do kuchni. Na pizamę nałożył biało-niebieski płaszcz kąpielowy. Wyglądał w nim jak pacjent sanatorium. Z rozkoszą węszył wokół piekarnika.

— To pachnie Bożym Narodzeniem! Zupełnie jak za młodych lat! — Usiadł w kątku przy oknie, skąd miał dobry widok, zajmując w ten sposób nieświadomie stałe miejsce mistrza Adama. Z tego też miejsca oświadczył głośno: — Gdyby to było możliwe, chętnie bym się teraz napił dobrego piwa.

— To się da zrobić — powiedziała Ewa-Ingeborga. — Co o tym myślisz, mamó?

— Dlaczegoż by nie? — odpowiedziała mama Emma życzliwym tonem. — Zatem butelka piwa i dwie szklanki. Jedna dla niego, a druga dla mnie. Bo chciałabym wreszcie trochę pogadać z kochanym synkiem. Bez żadnych przeszkód.

Rozmowa odbyła się w pokoju zwanym biurkiem. Pokój ten, podobnie jak parę innych, ucierpiał na skutek przygotowań do uroczystej kolacji. Również stąd zabrano krzesła do salonu fryzjerskiego, który stał się salą bankietową. Pozostało tylko jedno, stojące przy biurku. Na nim to właśnie spoczęła mama Emma. Syn patrzył na nią pobłaźliwie. Oparty o ścianę, dawał do zrozumienia, że czeka na to, co ona powie. Matka niechętnym wzrokiem przyjrzała się leżance, rozłożonej dla Brandina, lecz nie zasłanej.

— Nie wydaje mi się jakoś, by miał on specjalne zamiłowanie do porządku.

— Przyzwyczaisz się, mamó, do niego, a on do ciebie. Nie widzę tu żadnych problemów. Mam nadzieję, że ty też nie.

— O tym jeszcze zdążymy porozmawiać, synku! — Napełniła dwie szklanki. Zygfrydowi przysunęła tę, do której naląła mniej. Wypił łączywie do dna, lecz nie okazywał zadowolenia. Uśmiechnęła się do niego. — Wydajesz mi się nierówny, nerwowy i niezadowolony. Rozumiem to, chłopcze, bo wiem, jak wiele przeżyłeś. Ale w tej chwili jesteś nareszcie na łonie własnej rodziny. Powinieneś więc być szczęśliwy i zadowolony.

— A jednak nie jestem, mamó!

— Dlaczego, synku?

— Dlatego, że tu wszystko jest dla mnie zbyt głośne, zbyt bezwzględ-

dne i zaborcze. Myślałem sobie, że przyjdę do domu, rodzina mnie przyjmie z otwartymi ramionami, a potem zasiądziemy sobie wszyscy razem. Tylko my! Po to, by zastanowić się nad sobą i swoją sytuacją. A tymczasem co tu się dzieje? Urządza się coś w rodzaju festynu! Kazałaś ustawić dwanaście krzeseł. A przecież nasza rodzina liczy zaledwie pięć osób: ciebie, mnie, moją żonę, moją córkę i do tego moją siostrę Erykę. No dobrze, dodajmy do tego mistrza Adama i Tomasza Brandina. Poza tym nie mamy nikogo!

— Nie rób dramatu, Zygrydzie, to ci nie służy! Zwłaszcza teraz. Nerwy zawsze miałeś nie najmocniejsze.

Zygryd głośno zaczerpnął powietrza na wpeł otwartymi ustami. Poczuł, że chyba rzuci się na matkę. Zamiast tego powiedział jednak tylko z lekkim przymusem:

— Wciąż jeszcze traktujesz mnie jak dziecko!

— Jesteś i będziesz moim dzieckiem! — oświadczyła mu z czarującym uśmiechem. — Być może nie zawsze byłam szczególnie miłą, kochaną mamusią, ale dobrą i troskliwą matką byłam stale! Zawsze pragnęłam tylko twego dobra i na ogół je osiągałam. Chyba w to nie wątpisz?

— Dlaczego miałbym wątpić? Nic by się przez to nie zmieniło. — Teraz z kolei on się uśmiechnął. — Chcesz zatem teraz, od razu pierwszego wieczoru, postawić mnie wobec gromady ludzi, którzy w samej rzeczy nie mają mi nic do powiedzenia oprócz przedstawienia swoich wymagań. I chcesz, żebym się do nich zastosował, prawda?

— Wydaje mi się, że jednak poczyniłeś pewne postępy! — stwierdziła z radością mama Emma. Pewna siebie, ciągnęła dalej: — A zatem Adam! Ten jest już skreślony z rejestru!

— Przez ciebie?

— Przez ciebie także. To będzie twoje najważniejsze zadanie.

— Dlaczego moje? — Zygryd pozwolił sobie jednak w tej chwili na ton lekko zaczepny. — Czyżbym w twoich oczach był nie tylko dzieckiem, ale w dodatku słabeuszem?

— Jesteś nim — przyznała dobitnie — pod pewnym względem. Oczywiście jesteś też znakomitym specjalistą, miewasz ciekawe pomysły, a nawet masz w sobie coś z ducha wynalazczego, co udawało ci się już dawniej świetnie zużytkować pod względem handlowym. Chyba nie zabraknie ci tego także i teraz. Czasy wydają się sprzyjać nowym pomysłom. Musisz to wykorzystać. Ja ci w tym pomogę.

- Kogo jeszcze będę miał szczęście gościć dziś wieczór?

- Pozwoliłam sobie zaprosić przede wszystkim mego przyjaciela od wielu lat, Adolfa Greinera. Znasz go przecież. Jest to człowiek życzliwy, rozważny, bardzo szczerzy, a przy tym ciągle jeszcze jest mężczyzną. Pomimo że okazjonalnie nazywałeś go dziadkiem Greinerem, bądź uprzejmy darować sobie to określenie ze względu na mnie.

— Nie ma rzeczy, której nie zrobiłbym dla ciebie! — zapewnił ją patetycznie Zygryd. — Kogóż jeszcze poza nim mam zaakceptować?

— Eryka, twoja ukochana siostra, niewątpliwie przyprowdzi swego obecnego przyjaciela, Amerykanina. Wolałabym się w tej chwili nie wdawać w bliższe szczegóły. Mamy mu jednak co nieco do zawdzięczenia.

— Czy ona z nim sypia?

— Jasne! — stwierdziła mama Emma. — Ze skutkiem najlepszym dla nas wszystkich. Czyżby to cię niepokoiło?

— Cóż mogłoby mnie niepokoić? Jeżeli oni się kochają, to wszystko w porządku. Tym bardziej że jednego jestem pewien: Eryka wie, czego chce i kim sama jest. Nie można jej posądzać o nic nieobyczajnego.

— Jeżeli chodzi o jej wybranego, jest to niejaki John Frankfurter. Na pewno dawniej miał na imię Hans. Prawdopodobnie jest Żydem wywodzącym się z Niemiec. Lecz teraz uchodzi on tu za nader wpływowego oficera amerykańskich wojsk okupacyjnych. No, co na to powiesz?

— Obojgu gratuluję wyboru! — oświadczył spontanicznie Zygryd.

— Możesz, nawet powinieneś! — zachęciła go matka. — Tylko jeśli mogę ci doradzić, rób to w miarę powściągliwie. Bo taka miłość w czasach przełomowych to zazwyczaj nic trwałego. Przy tym trzeba też uwzględnić, że powoli, ale nieustannie zbliża się koniec okresu wspaniałości amerykańskiej okupacji.

— O Boże! Mamo, jaka ty jednak potrafisz być niedobra, wyrachowana, a przy tym konsekwentna. Nie tylko nie zmieniłaś się pod tym względem, ale nawet udoskonaliłaś w osobliwy sposób!

— Cieszy mnie, chłopcze, że to zauważyłeś — przyjęła jego słowa jako dowód uznania. — Jestem tu na pewno jedyną osobą nie angażującą się bez potrzeby uczuciowo, nie paplającą niepotrzebnie i nie budującą zamków na lodzie!

— Wydaje mi się, że Ewa-Ingeborga w ostatnich latach niejednego nauczyła się od ciebie. A jak przedstawia się sprawa z moją córką? Piętnastolatka powinna już chyba mieć przyjaciela?

— Ma, i to nie byle jakiego! On także przyjdzie! Lecz jeśli chodzi o niego, jest to maniak polityczny lub ktoś w tym rodzaju. Jeden z tych, co to chcą bez przerwy poprawiać świat. Powinieneś nam pomóc wziąć go w karby, a może nawet przegnać. Choćby ze względu na swoją córkę.

— Nie wydaje mi się, by były to już wszystkie niespodzianki, jakimi chciałabyś mnie uszczęśliwić z okazji tej kolacji w bardzo zażyłym gronie.

— Domyślasz się trafnie, synku. Przyjdą również twoi przyjaciele z czasów młodości.

— Przyjaciele? Czyżbym ich kiedykolwiek miał?

— Naturalnie, miałeś i masz jeszcze dotychczas. Są dobrzy, a przy tym niezbędnie potrzebni. Dwaj, jeśli mogę ci przypomnieć. Po pierwsze poczciwy Konrad Kahlers.

— Ten, którego kiedyś nazywaliśmy Węgorzem? Oblesny typ, gotów prześlizgnąć się przez każdą nieczystość.

— Teraz jest on naszym burmistrzem. Przy tym najlepszym, jakiego mieliśmy kiedykolwiek dotychczas. Tak uważam. Towarzyszyć mu będzie Jurgen Wiese, ten, którego zawsze nazywałeś Polipem. Teraz jest to nasz szef policji. Obaj bardzo się cieszą na spotkanie z tobą!

— Dlaczego ze mną? — zapytał z powątpiewaniem Zygfryd Sonnenberg. — W samej rzeczy obaj panowie byli przecież zawsze przyjaciółmi Ewy-Ingeborgi.

— Są nimi także dzisiaj. Najlepsi przyjaciele twojej żony są tym samym również naszymi przyjaciółmi. Dziś wieczór zanoszą się na bardzo ciekawe spotkanie. Bądź na to przygotowany!

Zygfryd Sonnenberg nie zdążył wyrazić sprzeciwu, gdyż do pokoju nazywanego biurem wszedł właśnie Tomasz Brandin, który miał tu miejsce do spania. Wyglądał na mocno rozweselonego.

— Nie przeszkadzam przypadkiem? — zapytał.

— Mnie nie! — zapewnił go Zygfryd Sonnenberg. Odczuł ogromną ulgę na widok radośnie usposobionego przyjaciela.

— Mnie również nie — stwierdziła powściągliwie mama Emma. — Zdążyłam już tymczasem omówić z moim kochanym synem prawie wszystkie ważne sprawy. — Następnie, z instynktowną nieufnością, zapytała Tomasza Brandina: — Co też pan robił przez ten czas?

— Włóczyłem się — powiedział żwawo Tomasz — wzdłuż i wszerz po okolicy. Ażeby przyjrzeć się jej ogólnie. — Stał obok swego

przyjaciela Zygryda i podobnie jak on oparł się o ścianę. — Towarzystwa dotrzymywała mi Dagmara. Wspaniałe dziewczę, moje gratulacje, Zygrydzie! Co prawda zawsze posądzałem cię o mnóstwo rzeczy, jednak nigdy o to, że masz aż taką córkę.

— Czasem — odezwał się Zygryd, uśmiechając się przy tym łagodnie — człowiek sam nie może pojąć, jak wiele zdziałał w życiu.

— Dokąd to, panie Brandin, poszła z panem Dagmara? — starała się dowiedzieć czujna mama Emma. — Robi pan wrażenie, jakby to był naprawdę przyjemny spacer. A więc, dokąd?

— Do Rosenburga.

— Przypuszczam, że był to wyłącznie pański pomysł, panie Brandin, bo Dagmara unika tego obiektu jak zarazy. Ale to czysty nonsens. Wyraźny przesąd! — Mama Emma mocno starała się, by stwierdzenie to brzmiało rzeczowo. — Czegóż to szukał pan właśnie tam?

— Ja też zadaję sobie to pytanie — powiedział drwiąco Zygryd.

— Czysty przypadek! — zapewnił ich Tomasz Brandin, udając, że nie rozumie, o co chodzi. — Cały ten Rosenburg jakoś mnie pociągał w zestawieniu z tymi wszystkimi gruzowiskami. Chciałem mu się przyjrzeć nieco bliżej. Nigdy bym jednak nie uwierzył temu, co przy okazji zobaczyłem.

— Co takiego? — zapytali jednocześnie matka i syn.

— Najpierw ukazał się czujny pies dobrej rasy — opowiadał Brandin — a potem walkiria o młodzieńczych ruchach nosząca wspaniałe imię Izolda. Ta pewna siebie dama zainscenizowała z naszym udziałem wygnanie z rajy, korzystając przy tym z pomocy pacholka ze śrutówką.

— A jednak wyszliście z tego żywi! — stwierdził ubawiony Zygryd.

Mama Emma była jednak nie na żarty przerażona.

— Nie powinien pan nigdy dopuszczać się czegoś podobnego, panie Brandin. A już w żadnym wypadku będąc razem z Dagmarą, moją wnuczką. O Boże, pan musi być albo bardzo lekkomyślny, albo niczego nieświadomy, albo kompletnie obłąkany.

— Tym ostatnim był zawsze — powiedział Zygryd, robiąc jednocześnie oko do przyjaciela. — Dziwne tylko, że wszyscy uważają go za normalnego.

— Chyba tak naprawdę jest! — Mama Emma spojrzała na Brandina z politowaniem. — Jest pan tu dopiero od pięciu czy sześciu godzin, panie Brandin, i już się pan wdaje w bardzo przykre awantury! Uwierzyć wprost nie mogę, że było to jedynie dzieło przypadku.

— W takim razie nie wierz! — Zygryd pozostawił sprawę jej własnemu uznaniu.

— Obaj jesteście absolutnie niczego nieświadomi! — obwieściła stanowczo mama Emma. — Widocznie nie chcecie pojąć, co tu się w istocie rozgrywa!

— Z tymi Wernersami z Rosenburga? — dopytywał się Zygryd.

— Oszczędź sobie niewczesnych domysłów, synku! — powiedziała surowo. — Dla pana, panie Brandin, lepiej by było trzymać się z dala od tamtego domu. — Spojrzała na niego z surową naganą. — Podczas sześcioletniej nieobecności mego syna działy się tu rozmaite rzeczy, a wiele z nich całkiem bezpośrednio dotyczy także nas.

— Czy ten Werners osobiście brał w nich udział? Można wiedzieć, w jaki sposób? — nie ustępował Zygryd.

— Wszystko we właściwym czasie! — rozstrzygnęła sprawę mama Emma. — Na razie usilnie doradzam wam obydwom, abyście w przyszłości unikali wypraw podobnego rodzaju. Wystarczy, że zapytacie mnie, zanim postanowicie cokolwiek, choćby wam wydawało się to nawet mało ważne. Pytajcie mnie, obstawaj przy tym!

Skwitowali to milczeniem.

Mama Emma wyszła, ruszając na spotkanie wielkiej świątecznej imprezy. Jak zawsze, tak i teraz była pewna, że udało jej się oczyścić glebę przez wyrwanie chwastów.

Mama Emma uważała, że wszystko jest proste i zrozumiałe. Z rozmysłem dobrana, zestawiona z wyrachowaniem i przezornością rozszerzona rodzina Sonnenbergów stawiała się w komplecie. „Z okazji powrotu syna”, jak twierdzono. Wprawdzie w momencie ogólnego powitania zapanowało pewne skrępowanie, lecz pomimo to nie brakło serdeczności. Zygryd Sonnenberg, w ciemnym garniturze, który włożył na usilne życzenie żony, miał prawo uważać, że jest bohaterem uroczystości. Matka zaaranżowała to umiejętnie. Ścisnął więc wyciągnięte ku sobie ręce, patrzył w twarz bez wyrazu, pozwalał, by go brano w objęcia. Słowa powitania spływały po nim jak letni deszcz.

Pozwolono mu zasiąść na honorowym miejscu przy świątecznym stole. Na prawo od niego ulokowała się matka, wciąż czujna i gotowa go osłaniać. Krzesło po jego lewej ręce było przewidziane dla ukochanej

siostry Eryki, co go uradowało. Na razie jednak była ona dość mocno zajęta wnoszeniem potraw i wynoszeniem resztek.

Miejsce obok Eryki zajął jej aktualny przyjaciel John Frankfurter — nieduży, prawie filigranowy, na pozór niezwykle ruchliwy mężczyzna. Obok mamy Emmy przycupnął jak zwykle Adolf Greiner, niezbyt trafnie nazywany dziadkiem. Dość postawny, raczej zadbany, ubrany poprawnie w stylu profesora gimnazjalnego.

Po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Zygryda, siedziała jego żona Ewa-Ingeborga, pomiędzy owymi „przyjaciółmi z młodych lat”, którzy utrzymywali, że są w równym stopniu przyjaciółmi jej, jak i jego. Jednym z nich był Konrad Kahlers, burmistrz — jowialny, miły, mrugający oczyma i skłonny do poufałości. Drugi to Jurgen Wiese, miejscowy szef policji — godny, z widoczną pewnością siebie rozglądający się wokół w chwilach, gdy akurat nie był z zadumą i oddaniem wpatrzony w Ewę-Ingeborgę.

Pozostali uczestnicy świątecznej wyzerki usadowili się następująco. Przy jednym krótszym boku stołu siedziała rozbawiona Dagmara wraz z wyglądającym na mruka przyjacielem. Przy drugim ulokował się szczęśliwy dzięki własnej nieświadomości Adam, mając obok siebie gotowego do pałaszowania Brandina. Taka była dwunastka uczestników owego pamiętnego wieczoru.

Początkowo rozmowa nie toczyła się zbyt żywo. Należało przecież spożyć olbrzymie porcje jedzenia, a przy tym niemało wypić. Większość tego wszystkiego ze względu na swoją Erykę dostarczył John Frankfurter z amerykańskich magazynów wojskowych. Były to stopy puszek z konserwami i całe baterie butelek. Obecni przepijali do niego.

Rozmowy umilkły do reszty, gdy wniesiono cztery smażone kaczki. Były one dostatecznie mięsiste, upieczone na chrupko, nadziane jabłkami i ugarniowane czerwoną kapustą i knedlami kartoflanymi. Wszyscy zajadali w milczeniu, mlaskając tylko z zadowoleniem.

Jednak już wkrótce rozległy się głośnie rozmowy i zapanował radosny nastrój, pobudzony prawdziwym francuskim koniakiem, również dostarczonym hurtowo przez Johna Frankfurtera i podanym w szklankach.

Ze szczytu stołu mama Emma odezwała się do syna tonem zachęty:

— No widzisz, jak ludzie cieszą się z twego powrotu do domu! Powinieneś czuć się szczęśliwy i wdzięczny!

— Niedobrze mi — próbował wykręcić się Zygfryd — przypuszczalnie jedzenie było zbyt tłuste, a koniak zbyt mocny jak dla mnie. Trzeba to najpierw strawić.

— Chcesz przez to dać do zrozumienia, że znów musisz wyjść? Opanuj się, proszę!

W tym samym niemal momencie John Frankfurter podniósł szklanę, nachylił się w stronę Zygfyda i oświadczył:

— Należy panu pozazdrościć i jednocześnie pogratulować!

— Mnie, mister Frankfurter? Czemuż to, pańskim zdaniem?

— Z powodu pańskiej siostry Eryki! To cudowne, przemiłe stworzenie. Wypije pan ze mną jej zdrowie?

Eryka jedną ręką ujęła dłonie Johna i przyciągnęła je do siebie. Drugą rękę wyciągnęła do brata.

— Wypijesz z nim? — zapytała.

— Oczywiście, chętnie! Za wasze zdrowie i szczęście!

Dziadek Greiner, z lekka ubawiony, uśmiechnął się do mamy Emmy:

— Oto co znaczy umieć rozpoznawać znaki czasu! Jaki piękny, szlachetny gest pojednania! Ci sami, którzy niedawno byli wrogami, dziś pragną stać się przyjaciółmi. A jest to możliwe dzięki naszym kobietom, niemieckim kobietom! Ich wielkoduszość wydaje się czasem wprost bezgraniczna.

W pokoju unosił się zapach resztek pieczeni, alkoholu i potu. Frankfurter zaproponował kubańskie cygara.

— Średniej jakości — powiedział — zaledwie po dolarze sztuka.

Konrad Kahlers, burmistrz, siedzący po przeciwległej stronie stołu, mrugnął na siedzącą obok Ewę-Ingeborgę.

— Nasz Zygfryd, jak się wydaje, na szczęście prawie nie zmienił się.

— Najpewniej, i to pod żadnym względem — zapewniła go poufale.

Konrad Kahlers skinieniem głowy zgodził się z nią.

— Jeszcze zobaczymy. Wszystko zależy od tego, co tu się będzie działo w najbliższym czasie. Najlepiej byłoby zacząć od razu jutro.

— Czy to naprawdę musi się stać tak szybko? — zapytała Ewa-Ingeborga.

Tymczasem z drugiej strony stołu przysunął się do niej Jurgen Wiese, drugi z przyjaciół młodości, obecnie główny zwierzchnik policji w Rosenburgu. Uroczystym, prawie urzędowym tonem przyrzekł jej:

— W razie gdybyś kiedy popadła w jakiegokolwiek kłopoty, moja

najczcigodniejsza Ewo-Ingeborgo, wydobędę cię z nich! Pod tym względem możesz na mnie liczyć.

— Lepiej nie przeszkadzaj, Jurgenie — poradził mu Kahlers. — Nie masz przecież najmniejszego pojęcia, o co tu w istocie chodzi!

— Dojdę tego — zapewnił z przekonaniem Wiese. — Na dłuższą metę nic się przede mną nie ukryje! Poza tym swoją propozycję kierowałem do Ewy-Ingeborgi. — Mówiąc to, spojrzął w stronę Zygryda.

W tym samym czasie wśród rozbawionego towarzystwa wybuchła ogromnie hałaśliwa kłótnia. Rozpętała ją Dagmara, występując przeciwko swemu „politycznie uświadomionemu” przyjacielowi.

Właśnie przed chwilą odezwała się do niego prowokacyjnie:

— Jak myślisz, kim jesteś właściwie? Kimś w rodzaju reformatora świata? Pęknię ze śmiechu! Przecież jesteś tylko owcą w stadzie, podobnie jak wszyscy tu obecni. Twierdzisz, że wszystko cię mdli i rzygać ci się chce! Ale siedzisz tak samo jak pozostali, napychasz sobie brzuch i zaćmiewasz umysł alkoholem. Brak ci przy tym odwagi, by powiedzieć to, co rzekomo myślisz!

— Nie mam zamiaru psuć rodzinnej uroczystości, Dagmaro! — broił się chłopak. — W tej chwili chcę być tolerancyjny.

— To dobry chłopiec — pochwalił go Adam, już przyjemnie podпиты. — W samej rzeczy wszyscy oni są dobrzy, choć czasem trochę nieprzytomni. Myśmy swoje przeżyli! Nad czym to nie musieliśmy przejść do porządku i naprawdę przeszliśmy!

— No, oczywiście! To jest właśnie to! — stwierdziła zaczepnie Dagmara. — Po prostu przejść do porządku! Nad hitlerowcami, spalonymi Żydami, przegraną wojną, po prostu nad wszystkim. Najważniejsze, że to nareszcie minęło! A więc nie trzeba nic więcej robić, tylko napychać się do syta, upijać, wygłaszać wielkie przemówienia. Nikt nie wiedział, dokąd maszeruje w zwartym szyku. Prawda, że tak to wygląda, panie Brandin?

Uśmiechnął się do niej.

— Naturalnie nie było to tak bardzo proste, Dagmaro. Ale pani niewiele może o tym wiedzieć! W czasie kiedy powstawała tak zwana Trzecia Rzesza, nie było pani jeszcze na świecie. A kiedy oficjalnie przestała istnieć w roku czterdziestym piątym, miała pani równe dziesięć lat.

— Podobne zagrywki może pan sobie darować! — zawołał z kolei przez stół przyjaciel Dagmary. — Niech pan tylko nie próbuje nas oczerniać jako zbyt młodych i pochopnie twierdzić, że jesteśmy niedojrzali i nie mamy doświadczenia! Wystarczy otworzyć oczy. Sami widzimy, co się dzieje: na dworze, zaraz za drzwiami, i tu, w pokoju. Mamy tego dość!

— Nie wystarczy po prostu mieć czegoś dość — poddał mu pod rozwagę repatriant Tomasz Brandin, uśmiechając się zagadkowo. — Trzeba także wiedzieć, jak do tego doszło. W waszym mniemaniu my starsi, niejako z pełną świadomością, jakkolwiek mając przyćmiony umysł, stopniowo doprowadziliśmy nasz naród do ruiny. Myślicie z pewnością, że myśmy Hitlera uważali za Boga i zanosiliśmy do niego żarliwe błagania: „Wybaw nas od wszelkiego zła: od Żydów, komunistów i zdrajców ojczyzny! Poślij ich do piekła, a nas na pola bitewne, byśmy mogli bronić prawdziwych wartości niemieckiego człowieczeństwa.” Byliśmy zatem, waszym zdaniem, gotowi zabijać na rozkaz. Tępić innych, ażeby nas nie wytępiono! Czy naprawdę tacy byliśmy i tak się to odbywało?

— Proszę pana! — zaatakował go aktualny przyjaciel Dagmary, dodatkowo jeszcze przez nią zachęcony. — Czy pan przypadkiem usiłuje bawić się naszym kosztem?

— Dzieci, dzieci! — błagalnie zawołał stary mistrz Adam. — Tylko nie tym tonem i nie przy okazji tak wyjątkowego wieczoru jak dzisiejszy! Wasz problem wynika przypuszczalnie stąd, że sporo pijecie, a nie jesteście do tego przyzwyczajeni.

— Za to wy macie piekielnie wytrzymałe żołądki, potraficie strawić dosłownie wszystko! Nawet takiego Hitlera! — zawołała Dagmara. — Jesteście gruboskórnymi dinozaurami, które powinny nareszcie wymrzeć!

Stary Adam potrzęsął z zakłopotaniem głową. Ewa-Ingeborga również spojrzała z niezadowoleniem. Dziadek Greiner roześmiał się beczącym głosem. Dagmara, z przymrużonymi oczyma, obserwowała Tomasza, po którym znać było, że czuje się swojsko niczym pomrukujący kocur.

Po chwili mama Emma władczym skinieniem dała burmistrzowi Konradowi Kahlersowi znak, by rozpoczął nieuniknioną uroczystą mowę. Wygłaszanie oficjalnych przemówień w Rosenburgu-Nowym

Osiedlu było nie tylko jego przywilejem, lecz także coraz częściej ujawnianą pasją.

Nożem, który już dawno przestał być czysty, zastukał w pełną szklanę. Natychmiast zapanowała cisza. Nic dziwnego, ponieważ dłuższe przemówienie sprowadza przyjemne odprężenie i zapewnia spokojne trawienie. Konrad Kahlers podniósł się ociężale, nie zapominając uśmiechnąć się poufale do Ewy-Ingeborgi. Rozejrzał się wokół jowialnie, nie pomijając mamy Emmy i zaznaczając z lekka ukłon w jej stronę.

— Mój drogi, dobry Zygfydzie, przyjacielu mojej młodości! — zaczął. — Oto znów przebywasz wśród nas! Wielce szanowna, czcigodna pani Emmo! Moja równie godna szacunku Ewo-Ingeborgo! Kochani, drodzy przyjaciele! Niezawodni towarzysze drogi życiowej i serdecznie mi bliscy! Nadeszła wielka, doniosła, a nas wszystkich ogromnie wzruszająca chwila. Ty bowiem, mój drogi Zygfydzie, powróciłeś nareszcie do domu! Radość mnie ogarnia, gdy cię widzę przed sobą, w otoczeniu twoich bliskich, których kochasz i którzy kochają ciebie. Musiałeś znieść trudne do opisanego uciążliwość, wiemy o tym. Musiałeś przejść przez piekło okropnych, bezlitosnych lat powojennych, a jednak przetrwałeś wszystko. Znosiłeś to wszystko z wytrzymałością, właśnie: z niezłomną wytrzymałością niemieckiego człowieka. Widać to po tobie, co mnie napawa poczuciem szczęścia i co u ciebie chwalebne. A wszyscy, którzy cię otaczają, przyłączają się do mego głosu...

Obecni spojrzeli na Zygfyda Sonnenberga siedzącego na honorowym miejscu. Matka wyrozumiale, siostra czule, John uważnie, a dziadek Greiner z lekka sceptycznie. Ewa-Ingeborga uśmiechnęła się do niego. Naczelnym policjant Wiese kiwnął znacząco głową i pociągnął tęgi łyk. Chwilowy przyjaciel Dagmary sapnął pogardliwie, a staruszek Adam płakał ze wzruszenia, nie wstydząc się łez. Natomiast Dagmara patrzyła badawczo na Tomasza Brandina, który coraz bardziej zaczynał ją interesować.

Siedział on zagłębiając się w fotelu i uważnie obserwował Zygfyda. Widział w jego oczach błysk czujności, podobnie jak w owym momencie niewoli, kiedy to jego życie niemal wisiało na włosku z powodu nieodpowiedniego ostrzyżenia pewnego sowieckiego człowieka. W tej chwili reagował tak samo.

Burmistrz Kahlers, nieświadom oczywiście niczego, ciągnął dalej:

— Losu twego, mój przyjacielu Zygfydzie, nie sposób nazwać

inaczej, jak tylko ciężkim. Lecz również to, co rozpętało się w tamtym czasie nad nami, którzy pozostawaliśmy w ojczyźnie, trudno skwitować jako coś lekkiego bądź mało istotnego. Także my musieliśmy bronić własnej skóry, a do tego trzeba było mieć sporo odwagi i zdecydowania. Lecz i to już minęło, ponieważ nareszcie powróciłeś do nas. Od tej chwili już wspólnie będziemy pokonywali wszelkie możliwe przeszkody.

— Jakie? — zapytał przyczajony Sonnenberg.

— Jakie się tylko nadarzą! — zawołał głośno Kahlers i dorzucił: — Bo któż, proszę cię, Zygfrydzie, mógłby zakłócić harmonię naszych serc? Jesteś tu, a my wszyscy wokół ciebie! W duchu wszyscy bierzemy cię w objęcia. A teraz oddaję ci głos!

— Przemów! — ponagliła go szeptem mama Emma.

Podniósł się więc Zygfryd Sonnenberg, unosząc jednocześnie szklankę. I rzekł:

— No, to na zdrowie!

Tyle tylko miał do powiedzenia.

Zygfryd Sonnenberg i Tomasz Brandin wkrótce opuścili bardzo już rozweselone towarzystwo. Ramię w ramię, chwijając się z lekka, wyszli obaj na dwór. W milczeniu sikali na najbliższą ruinę, malowniczo oświetloną blaskiem księżyca.

— No, to co powiesz? — zapytał Zygfryd.

— Co mam powiedzieć? — Tomasz wzruszył ramionami, nie przerywając swojej czynności. — Wszystko to jest jakieś bardzo ludzkie.

Stojące przed nimi ruiny wyglądały jak interesujące obiekty archeologiczne. Z domu Adama, który mieli za plecami, dolatywała melodia popularnej niemieckiej pieśni o uroczej dolinie, śpiewanej widocznie na cześć Zygfryda, gdyż była to ulubiona pieśń „przyjaciół z młodych lat”.

— Połapałeś się, Tomaszu, w tej zagrywce?

— Zdaje mi się, że tak, Zygfrydzie. Oni oczywiście chcą od ciebie czegoś, przypuszczalnie nawet bardzo wiele. Czy to coś niezwykłego?

— Na pewno nie u mojej kochanej rodzinie. Trafnie odgadłeś. Niesłychany pośpiech, z jakim chcą to rozegrać, ledwie zdążyłem przyjechać, zmusza mnie jednak do zachowania ostrożności.

— Odniosłem wrażenie, że parę osób szczerze się cieszy z twego powrotu do domu.

— Tak, parę osób. Moja kochana siostra i moja cudownie samowolna córka. Także poczciwy stary Adam. Ale wszyscy pozostali, jak mi

się zdaje, są wprost niesamowicie na coś zdecydowani. Dobrze wiedzą, czego chcą ode mnie, od dawna już wiedzieli.

— Tym razem jednak nie masz zamiaru wchodzić z nimi w układy. Zgadza się?

— Być może, Tomaszu. Ale lepiej nie mieszaj się, wolałbym ciebie do tej gry nie wciągać.

— Ale ja mam na to ochotę! — zapewnił go serdecznie Brandin. — Jak ci wiadomo, z natury lubię się bawić, a poza tym jestem przecież zaprzyjaźniony z tobą. Tylko z tobą i z nikim więcej. Pozostanę zatem przy tobie.

— Mam nadzieję, że nie jedynie ze względu na mnie?

— Wyłącznie lub, powiedzmy lepiej, głównie ze względu na ciebie. — Tomasz Brandin uśmiechnął się w stronę księżycy. Domyślasz się trafnie, jest jeszcze coś poza tym.

— Tak też myślałem od dłuższego już czasu, na długo przed naszym przyjazdem do Rosenburga. Od razu uderzyła mnie twoja spontaniczna gotowość udania się razem ze mną jeszcze tam, w obozie. A jednak nigdy nie zapytałem cię o przyczynę. Natomiast teraz pytam. Dlaczego?

— Słusznie przypuszczasz, Zygfrydzie. Nie nalegaj tylko, bym ci zaraz wszystko wyjaśnił. Może lepiej jutro albo w ciągu najbliższych dni. W tej chwili jest mi niedobrze, zbiera mi się na rzyganie. Twoja rodzina i przyjaciele upili nas nie tylko pięknymi przemówieniami, ale też mnóstwem alkoholu. My po prostu nie możemy tego znieść. Ty także jesteś jak ogłuszony.

— Ale do utraty przytomności jeszcze mi daleko i tobie też. Nie wykręcaj się więc. Wiesz, że możesz mi zaufać.

Tomasz Brandin dowiedział zatem, że rzeczywiście ufa przyjacielowi.

— Chodzi o człowieka nazwiskiem Werners, tego, który rezyduje tam wyżej, w Rosenburgu. Jesteś zaskoczony?

— Nie — powiedział po prostu Sonnenberg. — W ubiegłych latach bez przerwy wypytywałeś o niego. Musiałem ci o nim opowiadać wciąż od początku. Nie zadawałem ci przy tym żadnych pytań. Nadszedł jednak czas, bym ci ich kilka zadał. Odpowiesz na nie?

— Odpowiem, skoro przywiązujesz do tego tak wielką wagę. Masz do tego prawo. A więc ten Werners... W ostatnich miesiącach wojny był jednym z generałów w twierdzy królewieckiej. Jednym z trzech lub czterech. Werners był jednak szczególnie zajadłym psem. Skazał mego

ojca w trybie doraźnym na śmierć i w dodatku przyglądał się, jak ten wyrok niezwłocznie wykonano.

— Z jakim uzasadnieniem?

— Z argumentacją wówczas pospolitą: tchórzostwo w obliczu wroga, niegodne zachowanie, zdrada ojczyzny! Ojciec był kapitanem piechoty i zorientował się, że wszystko jest stracone, że należy unikać niepotrzebnych ofiar. O to też głównie dbał. Dzięki niemu tysiące ludzi pozostałyby może przy życiu. Nie pozwolono mu jednak tego dokonać. Werners rozkazał, że ojciec ma zginąć.

— Kochałeś swego ojca?

— Nie, tak nie było — wyznał Tomasz — ledwie go znałem. Ścisłej mówiąc, w tamtej wielkoniemieckiej epoce rzadko nadarzała się okazja do wzajemnego poznania. W owym czasie wyginęli po kolei wszyscy z naszej rodziny, aż wreszcie pozostaliśmy tylko we dwóch z ojcem.

— Rozumiem, w takich okolicznościach można się wzajemnie zbliżyć.

— On stał się dla mnie kimś niezwykle, niepodobnym do nikogo innego w moim życiu, niejako symbolem ostatniej nadziei. Wtedy właśnie go zamordowali, podobnie jak mordowano setki tysięcy ludzi w owych miesiącach głady. Ale w tym wypadku znamy mordercę i rachunek musi zostać wyrównany. Werners musi mi zapłacić!

— Jak?

— Tak samo jak mój ojciec: własnym życiem! Dlatego, Zygrydzie, jestem tu z tobą.

W migotliwej poświacie księżycowej stali jeden obok drugiego. Wreszcie Zygryd Sonnenberg oświadczył:

— Wydaje mi się, że obaj nabawiliśmy się całego mnóstwa kłopotów. Spróbujmy nie dać się powalić. Wspólnymi siłami.

3. Nie ma nic stałego — wszystko jest stanem przejściowym

Łagodnie słońce świeciło nad Rosenburgiem, złocąc delikatnie nawet ruiny. Ludzie uśmiechali się do siebie. Przynajmniej ci, którzy tego dnia w maju 1950 roku odwiedzili salon fryzjerski starego mistrza Adama. Salon otwarto oficjalnie o godzinie dziewiątej rano. Wkrótce zrobiło

się tłoczno od ciekawskich. Sprawił to Zygryd, gdyż wiadomość o jego powrocie rozniosła się szybko, a o jego nadzwyczajnych uzdolnieniach jeszcze nie zapomniano. Pojawiło się wiele pań z zamiarem poddania fryzur zabiegom upiększającym.

— W ostatnich latach nigdy tu nie było takiego tłoku — twierdził uszczęśliwiony mistrz Adam. — Jest zupełnie jak za najlepszych przedwojennych czasów.

Adam obsługiwał klientów w dziale męskim, korzystając z fachowej pomocy Tomasza Brandina. Tomasz wykonywał strzyżenie wstępne, którego nauczył się od Zygryda w obozie jenieckim. Stary mistrz z werwą załatwiał resztę. Rozlegał się tylko szcęk nożyc i szmer grzebieni, a włosy spadały jak zeschnięte liście. Tymczasem damy z zadowoleniem pozwalały się obsługiwać Zygrydowi Sonnenbergowi.

— Ma pan takie pewne, dobroczynne dotknięcie ręki, mistrzu!

Miał je rzeczywiście, i to od dawna. Znała je także jego żona Ewa-Ingeborga. Lokowała się zazwyczaj przy kasie, z pozornym spokojem czyniła własne spostrzeżenia w tej materii. Nie zaniedbywała przy tym systematycznego podwyższania ustalonych cen. Wiedziała przecież, jak szczególnymi kwalifikacjami dysponuje mąż.

Był on z pewnością niezrównanym mistrzem w swoim kunszcie. Jedyne za pomocą nożyc, grzebienia i brzytwy potrafił ujarzmić najbardziej niesforną czuprynę i nadać jej pełen polotu ostateczny kształt. Udawało mu się też nastroszyć i napuszyć nawet zupełnie rzadkie kosmyki, tak że włosy wydawały się gęste i bujne. Z widocznym skutkiem starał się też wysubtelnić rysy twarzy klientek przez odpowiednie uczesanie.

W samej rzeczy Zygryd Sonnenberg nie utracił nic ze swoich niepowszednich umiejętności. Stało się tak dlatego, że w obozie jenieckim miewał okazję wprawiać się, czesząc sowiecki personel kobiecy, ale też dzięki temu, że odwykł od nakazów mody i dawnych wzorców. Teraz mógł kierować się jedynie własną wyobraźnią, mógł działać jako indywidualny twórca. Panie i panienki w Rosenburgu były zachwycone i jego maestrią, i nim osobiście.

— Zygrydzie — wyznała mu pewna dawna klientka, która teraz stała się jako jedna z pierwszych — przecież ty przez te lata stałeś się jeszcze lepszy. Po prostu wspaniały! Jak to dobrze, że jesteś wreszcie z powrotem!

Nie uszło to uwagi Ewy-Ingeborgi siedzącej przy kasie. Nie szło wcale o ewentualną zazdrość ze strony pani Sonnenberg; ta już od dawna nie wchodziła w rachubę. Liczyła się tylko szczególna wartość jej męża jako fryzjera. Pod tym względem bardzo go jej dotychczas brakowało.

Zygfyrd, o czym mistrz Adam wiedział i na co już wcześniej się przygotował, odpowiednio do typu włosów, które miał czesać, używał dwu rodzajów wody. Była to woda z kranu, w Rosenburgu wciąż jeszcze świeża i czysta, do włosów mocnych i gęstych. Oprócz niej stosował deszczówkę, trzymaną w piwnicy, by zachowała chłód. Za jej pomocą łatwo zmiękczało się włosy łamliwe i splątane.

Adam przysyłał Brandinowi spojrzenia wyrażające zachwyt nad kunsztem Zygfyryda. Sam Brandin był szczerze zdziwiony, bo przyjaciel wykazywał zdolności, o jakie go nawet nie podejrzewał — żarliwą radość twórczą, pełne polotu zrozumienie i subtelne wyczucie oczekiwania dam. Brandin spojrział przez salon w stronę Ewy-Ingeborgi, a ona z widocznym zadowoleniem skinęła mu głową.

Przy najbliższej nadarżającej się okazji nawiązał z nią rozmowę.

— Może pani sobie pogratulować Zygfyryda!

— Ależ doceniam go! Przecież oboje, i on, i ja, jesteśmy równoprawnymi właścicielami wspólnego przedsiębiorstwa. Mój mąż oczywiście dopuści pana do spółki. Ja obojście nie mam nic przeciwko temu.

— A co na to pani mama?

— Ma pan na myśli moją teściową? Tak, ona sobie wyobraża, że wciąż jeszcze jest najwyższym autorytetem i głową rodziny. Musi pan sobie jakoś ułożyć z nią stosunki; jak przypuszczam, nie będzie to chyba łatwe. Ze mną sprawa jest znacznie prostsza, także ze względów czysto ludzkich. Nie powiedziałabym wcale, że pan jest niesympatyczny. A jak podoba się panu nasza córka?

Gdy Brandin odszedł bez słowa, uśmiechnęła się tylko w ślad za nim. Uśmiechała się jeszcze, gdy w salonie pojawiła się mama Emma. Rozejrzała się badawczo, wyłowila wprawnym spojrzeniem to, co najistotniejsze, i na tej podstawie stwierdziła:

— Ten Zygfyrd jest już z powrotem w swoim żywiole! To po prostu wspaniały chłopak! Spodziewam się, że poradzi sobie także i z tym wszystkim, co go tu jeszcze czeka.

Zygfyrd Sonnenberg skupił całą uwagę na klientkach. Do pielęgnowania ich włosów używał również oliwy — prawdziwej, z oliwek,

pochodzącej z Włoch. Udało mu się w kuchni wyszperać całą pięcioletrową bańkę tego specjału. To mister Frankfurter przyniósł ją dla swojej Eryki. Stosując czystą oliwę — Zygfyrd wpadł na to jeszcze będąc w Rosji, gdzie używał oleju słonecznikowego — fryzjer z wyobraźnią artysty może dokonać wielu rzeczy.

Udało mu się mianowicie — właśnie jako jednemu z najlepszych w swoim rzemiośle, i to nie tylko w Rosenburgu — w ciągu kilku przedpołudniowych godzin opracować specjalną metodę, która wkrótce miała się okazać bardzo doniosła. Wystarczyło tylko zrozumieć, jak wszechstronne zastosowanie może mieć oliwa: zarówno do włosów, jak do skóry, a także do rąk zajętych pielęgnowaniem włosów.

Dzięki nabytemu przez praktykę doświadczeniu powstał najnowszy preparat Zygfyda: „mieszanka uniwersalna Sonnenberga”, której podstawowym składnikiem była starannie przefiltrowana oliwa; oprócz tego wchodziły do niej dodatki — czysty alkohol i dyskretna domieszka substancji zapachowych. Teraz należało tylko jak najszybciej rozpocząć wytwarzanie tego specyfiku na skalę przemysłową — butelkować i rozprowadzać. Powstała szansa na masową sprzedaż towaru o dobrej marce! Ewa-Ingeborga już sobie obliczała przyszłe zyski.

Kiedy koło południa zamknięto zakład, wszyscy byli radośnie zmęczeni. Tomasz Bradin oparł się o ścianę, Zygfyrd, szczęśliwy i lekko osłabiony, opadł na fotel fryzjerski i wyciągnął nogi daleko przed siebie. Stary mistrz Adam, zataczając się trochę, podbiegł do kasy.

Od tego, co mu pokazała Ewa-Ingeborga, prawie stracił mowę. Ale po chwili stwierdził z zadowoleniem:

— To przekracza nawet moje najśmielsze oczekiwania! Nareszcie Zygfyrd znów ruszył do przodu! Mój Boże, że też ja tego doczekałem!

Radośnie sielankowy nastrój po raz drugi zakłóciła ruchliwa jak zawsze mama Emma.

— Tylko nie wymawiajcie się znużeniem, moi drodzy! — zawołała. — Za chwilę podam obiad. Nasz gość właśnie przyszedł! Powinnaś się nim zająć, Ewo-Ingeborgo!

— Dobrze — odpowiedziała skwapliwie Ewa-Ingeborga i wyszła.

Zygfyrd Sonnenberg spojrzął za nią.

— Gość? Kto to taki?

— Konrad Kahlers, burmistrz. Nie mówiłam ci o tym? Tym razem przyszedł wyłącznie w twojej sprawie; zyczy sobie pomówić z tobą.

Zygryd wyprostował się w fotelu fryzjerskim. Zaczął mówić bardzo powoli ze szczególnym naciskiem na każde słowo:

— Nie przypominam sobie, bym się ubiegał o rozmowę z panem Kahlersem.

— Bo też nie było to wcale potrzebne, mój chłopcze! Ostatecznie Kahlers jest prawie członkiem naszej rodziny. Był zawsze do naszej dyspozycji, ilekroć go potrzebowaliśmy, i robił dla nas wszystko, co tylko było w jego mocy. Tym razem jest, że się tak wyrażę, twoim gościem.

— A czegoż to chce ode mnie?

— Sam ci powie już po obiedzie. Ugotowałam właśnie ulubioną potrawę twoją i Konrada. Mogę ci poradzić tylko tyle. Postaraj się wysłuchać, co ma ci do powiedzenia. Zasługuje na to, a przy tym możemy zyskać my wszyscy. Tak samo myśli też Ewa-Ingeborga.

W tym miejscu wtrącił się do rozmowy zniecierpliwiony Tomasz Brandin:

— Czy wobec tego wszystkiego, co miałem okazję tu usłyszeć, nie mogłaby ona zostać panią Kahlers?

— To nie pańska sprawa, panie Brandin. To, a również wiele innych rzeczy! — zareagowała szorstko mama Emma. — W każdym razie nie jest ona panią Kahlers!

— Ale mogłaby nią zostać w każdej chwili — odezwał się wyzywająco Zygyryd — gdybym nie powrócił do domu.

— Ależ chłopcze, mój chłopcze! — łagodził sprawę stary Adam. — O czymś podobnym nawet we śnie nie powinienesz myśleć!

— Dlaczego właściwie nie? — zapytał uprzejmie Tomasz. — Takie wypadki są przecież rzeczą bardzo ludzką. Od kiedy to wdowy muszą bezwarunkowo usychać, zwłaszcza gdy są aż tak atrakcyjne?

— Dość tego bredzenia! — rozkazała mama Emma z jej tylko właściwą energią. — Nie ma tu zastosowania nic z tego, co się wam roilo w czasie długich nocy w obozie jenieckim. Nareszcie wszystko odbywa się u nas mniej więcej normalnie. A teraz do stołu!

Obiad, o którym można było powiedzieć tylko to, że jest naprawdę przepyszny, podano w obszernej mieszkalnej kuchni domu Adama, wyposażonej w pokaźne resztki starych frankońskich mebli. Posiłek

przebiegał bez ciekawych rozmów. Spożywano go raczej milczkiem, niemal w skupieniu. Sznyce wieprzowe w sosie grzybowym zostały bowiem uduszone na wolnym ogniu, a podano do nich pieczone, brązowozłociste ziemniaki.

— Smaczne, bardzo smaczne — stwierdził ze znawstwem Konrad Kahlers. — Nikt tego nie robi tak jak ty, mammo Emmo! Prawda, Zygrydzie?

— Mnie i Tomaszowi co najmniej przez ostatnich pięć czy sześć lat nie było dane doznawać takiej rozkoszy. — Było to powiedziane na w pół żartem i tak samo zostało przyjęte. Obecni pośmiali się trochę, nie przestając jeść. Brandin w ogóle nie odrywał się od jedzenia. W milczeniu pochłaniał kawały mięsa.

Jednakże po wspaniałym obiedzie mama Emma z właściwą sobie bezpośredniością odesłała z kuchni większość obecnych.

— Ty, drogi Adamie, powinieneś się przespać godzinę. Pan, panie Brandin, także! Ewa-Ingeborga i ja mamy jeszcze co nieco do zrobienia w piwnicy i przy kasie. A wy możecie się czuć zupełnie nieskrępowani.

W ten sposób w parę minut Kahlers i Sonnenberg pozostali w kuchni sami. Dokładnie tak, jak to obmyśliła mama Emma. Dla zachęty postawiła im na stole butelkę ziołowej wódki i dwa kieliszki. Na razie jednak jej nie ruszali.

Obaj patrzyli na siebie i chociaż się znali prawie od urodzenia, zachowywali się tak, jakby zobaczyli się po raz pierwszy. Wreszcie Konrad Kahlers odezwał się, przybierając ton sztucznie konfiden-
cjonalny:

— Bądź co bądź jesteśmy starymi przyjaciółmi z czasów dzieciństwa!

— Naprawdę? — Zygryd Sonnenberg znów doznał uczucia, że ktoś go tu chce wykorzystać, a może w ogóle oszukać, co temu Konradowi w ciągu ich znajomości niejedną raz się udawało, oczywiście z zachowaniem wszelkich pozorów „przyjaźni”. — Nigdy nie byłem do końca pewny — powiedział Zygryd — do kogo właściwie kieruje się twoja tak zwana przyjaźń. Do mnie czy do Ewy-Ingeborgi?

— Uwielbiam i podziwiam ją, przyznaję! Zresztą nie tylko teraz, ale także zanim jeszcze została twoją żoną. Dlaczego miałbym zaprzeczać, dobrze wiesz o tym! A jednak wyszła potem za ciebie, a nie za mnie. Zawsze odnosiłem się z szacunkiem do tego faktu, że się tak wyrażę, w stu procentach, i powinieneś to wreszcie uznać. Przestań więc wciąż

od nowa głądzić na ten temat! Jestem twoim przyjacielem i właśnie jako przyjaciel już kilka razy angażowałem się w twoje sprawy!

— I teraz znowu? Dlaczego? Po co?

— Ciągłe jeszcze nie znasz mnie dość dobrze. — Kahlers spojrział zmartwiony jak dziecko, które chcą wygonić z ulubionego miejsca zabawy. — Przypuszczalnie uważasz, że stale zamierzam zrobić coś dla własnej korzyści? No tak, to nie jest całkiem pozbawione racji. Ale znacznie słuszniej będzie, jeśli ujmiemy to tak: nie przejmuję się tym, że mnie przypadnie gorsze miejsce. Stąd też bierze się moja stała gotowość do ustępstw.

— Sądzę, że niemało jest w Rosenburgu ludzi, którzy uśmialiby się z tego oświadczenia, jeżeli jeszcze jest im do śmiechu.

— No, dobrze — zgodził się rubasznie Kahlers — niektórzy uważają mnie za świnię, a inni znów za dobroczyńcę. Bądź co bądź mam zwyczaj nigdy nie oszukiwać ani nie zwodzić przyjaciół, a w tym przypadku chodzi o dwoje przyjaciół: o ciebie i Ewę-Ingeborgę. Poza tym wchodzi w grę mama Emma. Nigdy nie zaryzykowałbym wykantowania jej.

Ten ostatni argument podziałał przekonująco nawet na Zygfyda.

— Jak mi się zdaje, chcesz teraz wykazać — powiedział — że nie orientuję się w pewnych możliwościach, jakie mogłyby zaistnieć w Rosenburgu. To masz na myśli?

Konrad Kahlers uśmiechnął się z ogromną ulgą. Wyczuł, że został zrozumiany. Zupełnie jakby był gospodarzem tego domu, pochwylił stojącą w pogotowiu butelkę wódki i nalał do kieliszków po brzegi. Podnieśli je, stuknęli się i wypili do dna. Zygfyd wstrząsał się:

— Okrutnie wspaniała woda; także do tego muszę się przyzwyczaić!

Kahlers przytaknął Sonnenbergowi i spróbował jeszcze bardziej poprawić nastrój.

— Za czasów hitlerowskich, jak ci oczywiście wiadomo, zachowywałem się raczej powściągliwie, a robiłem to całkiem świadomie. Nie było to zupełnie bezpieczne, zdarzały się momenty, w których czułem się nawet jak ścigany. Jeśli jednak, będąc urzędnikiem miejskim, przeżyłem wszystko bez szkody dla siebie, w niemałym stopniu zawdzięczam to mamie Emmie. Ona wstawiła się za mną.

— Rozplączę się ze wzruszenia! — bezceremonialnie roześmiał się Zygfyd Sonnenberg. — Moja wspaniała matka bohaterów rzeczywiście nigdy nie była stworzeniem bezmyślnie drepzczącym w stadzie. Nigdy

nie omieszkała ubezpieczyć się, zawsze rozpoznawała, skąd wieje wiatr. Teraz też wszystkim wyznaczyła role: mnie wziętego fryzjera, Ewie-Ingebordze czarującej przynęty, a tobie poważnego burmistrza, z którym należy pozostawać w dobrych stosunkach.

— Jeżeli ty, Zygfydzie, jesteś z tego zadowolony, to i ja zaczynam mieć nadzieję! Teraz mogę wypowiedzieć się nieco wyraźniej! — I wreszcie wyjaśniło się, o co chodzi. Sprawa dotyczyła terenu nazywanego „Łąkami Północnymi”.

Owe Łąki Północne stanowiły dziko zarosnięty, podmokły kawał ziemi, właściwie leżący odłogiem. Nie nadawał się on do wykorzystania — ani rolniczego, ani jakiegokolwiek innego. Pojawiali się tam tylko samotni spacerowicze lub szukające odosobnienia zakochane pary. Łąki owe zajmowały obszar prawie czterdziestu tysięcy metrów kwadratowych. Dziadek Zygfyda, to znaczy teść mamy Emmy, kupił je kiedyś bardzo tanio, a potem pozostawił w spadku potomkom, nie przeczuwając wcale, jak cennym obiektem okażą się one w rękach rodziny.

Burmistrz Kahlers usiłował wszystko to wyjaśnić swemu przyjacielowi Sonnenbergowi, wyrażając się wszakże nad wyraz ostrożnie.

— Te Łąki Północne na razie uchodzą za kawał byle jakiego gruntu, ale w istocie zyskają na wartości, gdy tylko nadarzy się okazja odpowiedniego ich wykorzystania.

— Czyżby tam była ropa? — zapytał ironicznie Zygfyd.

— Nonsens. — Burmistrz próbował wypowiedzieć się bardziej konkretnie. — Chodzi mianowicie, słuchaj mnie teraz uważnie, Zygfydzie, o sprawę następującą. Federalne ministerstwo komunikacji, którym kieruje pewien kolega partyjny, planuje rozbudowę autostrady z Frankfurtu do Monachium względnie odciążenie jej za pomocą nowego odgałęzienia prowadzącego przez Würzburg. Nasz Rosenberg ma się stać czymś w rodzaju węzła drogowego. Odpowiednie plany są już gotowe, ministerstwo wyraziło zgodę i trzeba jeszcze tylko tu, na miejscu, wystawić dokument w sprawie wykupu gruntów.

— Czy ja mam dać na to pisemną zgodę?

— Nie ty jeden, Zygfydzie. Na tym właśnie polega problem. Można by tę sprawę łatwo rozwiązać, gdybyś się zgodził zrobić początek. Obszar, który jest w twoim posiadaniu, a więc te Łąki Północne, nie wystarczy do zrealizowania projektu. Trzeba by koniecznie powiększyć go o inny teren, leżący w bezpośrednim sąsiedztwie.

— Chodzi więc o ziemię należącą do Wernersa — stwierdził przytomnie Sonnenberg. — Czy akurat z nim muszę wdawać się w interesy?

— Tak jednak trzeba. Nawet koniecznie! I to jak najszybciej, nie komplikując sprawy. Bo inaczej ten wielki przyszłościowy projekt mogą nam sprzątnąć sprzed nosa. Pomyśl tylko: bezpośrednie połączenie z dwoma autostradami! Na Boga! Nie dostrzegasz, jakie to może otworzyć możliwości przed tobą i przed nami wszystkimi?!

— Ale także przed tym Wernersem!

— A jeśli nawet! W każdym razie jestem gotów dopilnować, by Werners nie obłowił się nadmiernie na tych transakcjach. Musimy jednak jak najszybciej dojść z nim do porozumienia. Na razie pierwszy ruch, jaki należy wykonać w Rosenburgu, należy do nas. Rzecz jednak w tym, że poza tą jedną bierze się pod uwagę jeszcze dwie inne lokalizacje owego skrzyżowania autostrad. Na terenie innych gmin. W każdym razie nie wolno dopuścić do przeniesienia tego węzła gdzie indziej, także w twoim własnym interesie!

— Ale też w interesie tego pana Wernersa!

— Lepiej dałbyś spokój niewczesnym uprzedzeniom, Zygfydzie. W tym wypadku chodzi o poważne interesy. Mama Emma jest tego samego zdania, co nie powinno być dla ciebie całkiem obojętne.

— Tym bardziej że wy oboje, to znaczy mama Emma i ty, jak się wydaje, macie prawdopodobnie dość dokładne wyobrażenie o proficie, jaki uzyskacie z tego interesu.

— Oczywiście, mamy! — Konrad Kahlers uznał, że sprawę można już uważać za załatwioną. — Korzyści są widoczne jak na dłoni. Gdy tylko obaj właściciele, to jest ty i Werners, oddadzą teren pod budowę autostrady i dwóch dużych dojazdów, pozostanie jeszcze sporo wolnego terenu. Można tam będzie postawić stacje benzynowe, gospody, hale składowe, a nawet fabryki i kto tam wie, co jeszcze!

— Wizja ta sama w sobie nie jest szczególnie piękna, Konradzie. Zwłaszcza kiedy się pomyśli, że na leśnych polankach powstaną jedno po drugim śmietniska.

— Lepiej porzuć podobne argumenty, Zygfydzie! Jediną rzeczą dla ciebie ważną jest to, że możesz jeszcze wytargować dość pokaźną zapłatę, a ministerstwo komunikacji jest gotowe wypłacić ci ją natychmiast. Mógłbyś za nią odbudować dom Sonnenbergów. Zresztą mama Emma jest tego samego zdania. We własnym domu urządziłbyś sobie

obszerny salon fryzjerski z wszelkimi możliwymi nowościami, z amerykańskimi wysokowydajnymi urządzeniami. No więc? Wystarczy tylko, byś podpisał.

— Jak pan się u nas czuje? — To pytanie zadała mama Emma Tomaszowi Brandinowi w pokoju, który nazywano biurkiem, w czasie kiedy Kahlers i Sonnenberg rozmawiali w kuchni. Robiła wrażenie osoby życzliwej, co zdarzało się jej raczej rzadko. — Jak się panu układają sprawy?

— Świetnie! — odpowiedział, siedząc na rozłożonym łożku polowym. — Wyżywienie jest bajeczne, opieka bezwzględnie doskonała. Panują tu wprost rajske warunki w porównaniu z tym, co przeszliśmy dotychczas.

— Słucham tego z przyjemnością! — Siedziała przy biurku na krześle jak na tronie i odpowiednio do tego spoglądała majestatycznie na rozmówcę. — Mam też mocną nadzieję, panie Brandin, że zależy panu na tym, ażeby tym wszystkim cieszyć się nadal?

— Tak, rzeczywiście zależy mi na tym — potwierdził z rosnącą uwagą.

— Jest pan przyjacielem mego kochanego syna — stwierdziła mama Emma. — Przypuszczam, że jako przyjaciel będzie pan zapewne gotów uczynić wszystko, co może się dla niego okazać dobre i korzystne.

— Może pani tak przypuszczać, pani Sonnenberg. — Tomasz nie bez skutku starał się być bardzo uprzejmy. — Czy mogłaby pani jednak nieco dokładniej oświecić mnie, jakiego rodzaju pomoc ma pani na myśli?

— Chętnie to uczynię, panie Brandin. — Mama Emma spojrzała na niego znacząco. — Mój ukochany syn jeszcze nie wie, a w każdym razie nie wie dokładnie, co go tu czeka. Natomiast pan, słabiej niż on obeznany z tutejszymi warunkami, w ogóle nic o tym nie wie. Jestem pełna wyrozumiałości, ale pan, na pewno bezwiednie i, mam nadzieję, że nierozmyslnie, wywołał niestety godne pożałowania zajście. Musi pan tę sprawę załagodzić.

— Chętnie, bardzo chętnie! Wystarczy, by mi pani wyjaśniła, o co chodzi.

— Obraził pan ciężko pewną osobę z rodziny Wernersów, a miano-

wicie córkę generała, Izoldę. Na domiar złego w obecności mojej wnuczki Dagmary, dziecka jeszcze nieletniego.

— Ach, o to chodzi! Więc jeśli istotnie tak było i pani zdaniem, pani Sonnenberg, powinienem tego żałować, to nie będę się opierał. Proszę jednak uwzględnić, że Dagmara nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Ona tylko znajdowała się w moim towarzystwie.

Mama Emma sapnęła niechętnie.

— Nie musi pan udawać dżentelmena, przynajmniej w stosunku do tego okropnie upartego dziecka. Dagmara z rozkoszą wplącze się w każdą głupotę. Nie powinien pan jej w tym pomagać!

— Jeżeli pani sobie tego nie życzy, to nie będę. — Tomasz Brandin bawił się tą rozmową, wydawała mu się niezwykle obiecująca. — Zatem pani zdaniem popełniłem poważny błąd. Przykro mi z tego powodu, ale co mam teraz zrobić? Przeprzić? To zrozumiałe, jeśli pani sobie tego życzy. Ale jak? I kogo?

Mama Emma słuchała go raczej chętnie, jakkolwiek nie bez odrobiny podejrzliwości, która zresztą nigdy jej nie opuszczała. Jednak od swego zamysłu nie pozwoliła się odwieść.

— Proszę więc przyjąć do wiadomości, mój drogi panie, że bardzo mi na tym zależy, by nasze stosunki z rodziną Wernersów układały się jak najlepiej. Dlaczego tak jest, jako przyjaciel Zygryda dowie się pan prawdopodobnie już niedługo. Dlatego też uważam, że przeprosiny są konieczne i powinny nastąpić jak najszybciej. Przeprzić należy pana Wernersa i jego córkę Izoldę. Jest pan gotów to zrobić?

— Ależ naturalnie! — zapewnił Tomasz z wyraźną przyjemnością, a nawet z niejaką gorliwością. — Pytanie tylko, jak tego dokonać. W jaki sposób dostanę się do Izoldy i jej ojca, mając na drodze groźnego psa i człowieka ze śrutówką? I w ogóle jak wchodzi się do tego Rosenburga?

— Mogę panu w tym pomóc, panie Brandin. Za pośrednictwem pewnego duchownego, który tam mieszka. To człowiek nie tylko niezwykle miły, ale też mocno wobec mnie zobowiązany. Jeśli więc jest pan gotów spełnić moje życzenie, ułożę całą rzecz.

— Zgoda! Przeprzężę zatem za wszystko, za co tylko mógłbym przeproszać. Zadowolona pani?

— Nie! — krzyknęła, tknięta nagle przecuciem. — To wszystko wydaje mi się zbyt łatwe i jednocześnie podejrzane. W końcu znam

swego syna i jeśli pan jest rzeczywiście jego jedynym przyjacielem, to pańska gotowość niepokoi mnie.

— Całkiem niepotrzebnie — zapewnił ją Tomasz Brandin. — To, co mi Zygryd opowiadał, wzbudziło we mnie głęboki szacunek dla pani. Przecież on zna panią od dzieciństwa.

Przyjrzała mu się badawczo. Wreszcie, potrząsając głową, powiedziała:

— Wcale niełatwo zrozumieć, w jaki sposób dwaj tak zupełnie różni ludzie zdołali znaleźć do siebie drogę.

— Tak jakoś się złożyło — powiedział skromnie Brandin.

Trzecie interludium

Jak znaleźli do siebie drogę

Była to rzecz całkiem normalna w tamtym czasie i w tamtym miejscu — zarówno w jednym obozie, jak i w drugim, oddalonym tylko trzydzieści kilometrów. Jeńcy marli jak muchy tak tu, jak i tam, i niedługo w obu obozach pozostała przy życiu już tylko połowa ich pierwotnej liczby. Na skutek tego wprost nieuniknione stało się połączenie obu obiektów. Po dziesięciogodzinnym marszu pozostałość obozu, w którym znajdował się Brandin, znów przerzedziła się, co miało też pozytywny skutek, gdyż tym, którzy wyżyli, dostały się nieco większe porcje zupy. Zmordowani, powlekli się do baraków, które im przydzielono. Tam trafili pod władzę tak zwanego samorządu jeńców wojennych.

Jeden z członków owego samorządu przyjmował nowicjuszków, którzy nadchodzili, ślaniając się, i rozmieszczał ich. Odbywało się to w tonie żywo przypominającym komendę: „Ty tu, ty tam! Miejsca jest dość i będzie go tylko przybywać!”

Tomasza Brandina skierowali do baraku szóstego.

— Tam, w tyle, jest jeszcze jedno legowisko.

— Ale ktoś już na nim leży!

— Na pewno nie poleży zbyt długo. Gwarantuję, że lada dzień wyciągnie kopyta. Wtedy zajmiesz tę podwójną klatkę tylko dla siebie. Powinieneś być nam za to wdzięczny.

Brandin wpełzł do przegrrody. Zobaczył w niej człowieka pobitego,

okrwawionego, ledwie dyszącego. Leżał zeszywniały, podobny do trupa, z woskowoblada twarzą. Szeroko otwarte oczy wlepił w przybysza.

— Kto cię tak urządził, chłopie? — zapytał Brandin? — Rosjanie?

— Tak zwani koledzy — powiedział skatowany człowiek dziwnie wyraźnym głosem. — To ci wyjaśni wszystko. Nie troszcz się lepiej o mnie, jeżeli chcesz żyć bezpiecznie. — Po tych słowach Zygfryd Sonnenberg zamknął oczy i umilkł. Zdawało się, że sam siebie uważa za nieżywego.

Jeszcze tej samej nocy ktoś włamał się do tak zwanego szpitala obozowego. Ściągnął stamtąd środki opatrunkowe, maści gojące i tabletki uśmierzające ból; leki te były przeznaczone dla chorych Rosjan. Brandin próbował je aplikować swemu sąsiadowi w baraku.

Następnego dnia w obozie rozpętało się istne piekło. Komendant, w najwyższym stopniu oburzony z powodu włamania, zarządził apele, szczegółowe przeliczanie, wyczytywanie imiennych list, rewizje osobiste, przeszukiwanie baraków. Tego typu zabiegi, jak uczyło doświadczenie, mogły się ciągnąć godzinami. Nic też dziwnego, że przy takich okazjach niejeden padał i leżał jak martwy tak długo, aż wreszcie odnoszono go w pobliże cmentarza.

Jednakże tym razem ktoś we właściwym czasie podszeptał komendantowi, że chodzi o barak szósty. Tym kimś był niemiecki tłumacz, który stale przemyślał, jakby dowieść swego oddania. Tam też udał się komendant wraz ze swoim orszakem.

W składzie orszaku znajdowała się również osoba odpowiedzialna za opiekę medyczną nad obozem — lekarka, znana jeńcom tylko z imienia Natasza. Szybko i wprawnie zbadła ona człowieka leżącego na pryczy w głębi, na lewo. Następnie oświadczyła:

— Odnalazłam przy nim wszystkie lekarstwa skradzione w szpitalu. Wygląda na to, że zostały zastosowane właściwie.

Komendant pochylił się niechętnie nad chorym.

— Sonnenberg — stwierdził, jednocześnie odruchowo przeciągając ręką po swojej misternej fryzurze. — Czy to było potrzebne? Mogłeś mnie przecież poprosić o lekarstwa, nie odmówiłbym ci ich.

Na to tłumacz, przechodząc do roli informatora, odezwał się wyraźnie słyszalnym szeptem:

— To nie mógł być ten człowiek, przecież on prawie nie może się ruszać. Ale obok niego od niedawna leży niejaki Brandin...

— On tego nie zrobił — oświadczył z najwyższym wysiłkiem Zygfyd.

— Dobrze już, dobrze — wielkodusznie załagodził sprawę komendant, człowiek z natury dobry. — Powracaj jak najszybciej do zdrowia, Sonnenberg, zanim cię będę potrzebował do następnego strzyżenia! Bardzo mi na tym zależy.

Na tym poprzestał, uważając sprawę za załatwioną. Była załatwiona, ale tylko w jego mniemaniu. Z afery tej miały zrodzić się straszliwe następstwa, ale też rzadko spotykana prawdziwa przyjaźń.

Wczesnym popołudniem tego wspaniałego wiosennego dnia w Rosenburgu-Nowym Osiedlu — a jest wciąż jeszcze maj roku 1950 — niecałe pół godziny po rozmowie z burmistrzem Kahlersem, Zygfyd Sonnenberg niedbałym tonem, lecz zdecydowanie oświadczył, że nie ma zamiaru od zaraz znów uszczęśliwić swoją obecnością zakładu fryzjerskiego mistrza Adama.

Życzył sobie na razie, zgodnie z własnymi słowami, „rozprostować nogi” na starym bruku rodzinnego miasta. Potrzebował też pilnie świeżego powietrza.

Zaraz potem wyszedł, nie zważając na sprzeciwy. Z uśmiechem przemierzał ruiny w samym śródmieściu Rosenburga, zdążając w kierunku rynku. Tam, u wejścia do piwnicy mocno uszkodzonego, lecz wciąż jeszcze nadającego się do użytku ratusza, spostrzegł tabliczkę informacyjną: „Do policji”. W instytucji tej rezydował, będąc jej „naczelnym funkcjonariuszem”, drugi spośród „przyjaciół z czasów młodości”, Jurgen Wiese. Siedząc w swojej biało otynkowanej piwnicznej izdebce, uszczęśliwiony mrugał do Zygfyda:

— Bardzo ładnie, że mnie odwiedzasz, mnie jako pierwszego! Traktuj to jako dowód zaufania. Zresztą zasłużyłem sobie na nie.

Ow Jurgen Wiese, chudy, mizerny człowieczek prawie karłowatego wzrostu, pomimo swego wyglądu sprawiał wrażenie ogromnie zadufanego w sobie. Uważał się za kogoś niezwykle sprawnego, zwłaszcza intelektualnie, a poza tym nad wyraz energicznego i bezbłędnie przewidującego. Tonem bez mała uroczystym oświadczył Zygfydowi:

— Na mnie możesz zawsze liczyć. Znajdujesz się pod moją opieką!

— Naprawdę, Jurgenie? — Zygfyd, uprzejmie zaproszony, usiadł

na chybottliwym krześle przed sfatygowanym biurkiem zbitym z desek świerkowych. — Co przez to rozumiesz?

— Dla ciebie, Zygfydzie, załatwię po prostu wszystko. Tym bardziej że odgaduję, z czym do mnie przychodzisz. — Jurgen Wiese udawał domyślnego; jego zmiętoszona twarz przypominająca jamnika i prze nikliwe spojrzenia miały wywierać wrażenie mocno urzędowe. — Jesteś tu prawdopodobnie w związku z uznaniem ciebie za zmarłego?

Sonnenberg był pewny, że się przesłyszał.

— Powiedziałeś coś o uznaniu za zmarłego? Czy to ma dotyczyć mnie?

— Nie ma sprawy, której nie dałoby się uporządkować! Oczywiście zakładając, że znajduje się ona we właściwych rękach i zajmie się nią odpowiednia głowa! Powierzysz ją na pewno mnie. Ze względu na moje doświadczenie i naszą przyjaźń. Bądź co bądź nie jestem byle kim! — Sam mocno wierzył, że tak jest rzeczywiście.

Jurgen Wiese, policyjny dygnitarz Rosenburga, od dawna wytrwale piął się w górę w czasach wszelkich możliwych niemieckich i wielkonemieckich reżimów. Zaczęło się to już w roku 1930, gdy miał osiemnaście lat. Za czasów Republiki Weimarskiej przezornie nie wiazał się z żadną partią. Potem, w Trzeciej Rzeszy, stał się ostrożnie lawirującym „rodakiem”, a teraz z kolei obywatelem, przewidująco afirmującym kształtowanie się już jawnie demokratycznej Republiki Federalnej.

Również w sferze czysto prywatnej pozostawał nie rzucającym się w oczy człowiekiem. Co prawda był jednym z tych, którzy odczuwali duży pociąg do Ewy-Ingeborgi. Uwielbiał ją nieustannie, lecz raczej w wyidealizowany sposób. W każdym razie całkiem inaczej niż ten Konrad Kahlers, ówczesny burmistrz, który nadal miał chrapkę na Ewę-Ingeborgę. Przypuszczalnie ze względu na nią dotychczas nie ożenił się.

Jurgenowi Wiese było wszakże dane z biegiem czasu uwolnić się od tego rodzaju marzeń. Poślubił mianowicie pewną właścicielkę sklepiku warzywnego i spłodził z nią troje dzieci. Bardzo ładne, jego zdaniem wszystkie podobne do niego. Niestety tylko jedno z nich było rodzaju męskiego. W każdym razie Wiese okazał się prawdziwym przyjacielem Zygfyda z młodych lat. Zamierzał też pozostawać nim nadal.

— Chłopie, Jurgen, przecież to skończona brednia! Jakie tam uznanie za zmarłego! Przecież ja żyję! Siedzę przed tobą!

Szef policji przytaknął.

— Ale teraz musimy to uwiarygodnić urzędowo! Potrzebne są do tego różne dokumenty. Może to być na przykład twoja metryka urodzenia, książka żołdu lub książeczka wojskowa, potem dokumenty zwolnienia z obozu jenieckiego. Na ich podstawie możemy sprawę załatwić...

Zygryd Sonnenberg miał wrażenie, że znajduje się na obcej planecie.

— Człowieku, po prostu nie mogę pojąć tego piramidalnego nonsensu. Któż to ośmielił się złożyć wniosek o uznanie mnie za zmarłego i dłaczego?

— Nie wiesz? — Jakkolwiek Jurgen Wiese był stale przekonany, że jako urzędnik policji wyznaje się we wszystkich, nawet najbardziej drobiazgowych sprawach, to jednak w tej chwili był zdumiony. — To niedobrze. Ale jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, kto zażądał dokumentu, to wiedz, że twoja matka.

Wydawało się, że oświadczenie to specjalnie nie zaskoczyło Sonnenberga. Bądź co bądź liczył się on z czymś podobnym. Zrozumiał, że fakt ten do reszty rozwiewa jego wątpliwości.

— Dlaczego to zrobiła?

Jurgen Wiese był ciągle gotów sprostac doniosłości wydarzeń. Pomimo to zareagował z pewnym zakłopotaniem:

— Czyżbyś nie wiedział?

— Wyjaśnij mi, o co chodzi!

— Dobrze już, dobrze, Zygrydzie. Przy tym bardzo bym cię prosił, byś rozumiał swoją kochaną mamę. To osoba godna powszechnego podziwu. Zdecydowanie broni twoich spraw i jak może stara się ułatwić ci działanie. To ze względu na te Północne Łąki, jak przypuszczam...

Zygryd Sonnenberg nareszcie rozumiał sytuację, w jakiej się znalazł. Pojął, jak ważki motyw naprawdę wchodzi tu w grę. Jego ojciec, maszynista kolejowy, wprowadził do testamentu poważne zabezpieczenie; może przeciwko swojej żonie, mamie Emmie, a być może z uwagi na niego, Zygryda. Decydująca klauzula postanawiała, że w razie sprzedaży dowolnej działki ziemi, a więc dotyczyło to także Łąk Północnych, niezbędna jest zgoda obojga: zarówno matki, jak i syna. Zatem postarano się stworzyć pozory, że jednego z nich dwojga już nie ma.

— Ja istnieję! — stwierdził Zygryd Sonnenberg. — Jestem tu,

chłopie! W tym miejscu. To mi wystarczy. Tym twoim urzędowym uwiarygodnieniem mogę się podetrzeć!

— Nie bądź tylko taki pewny siebie! — ostrzegł go przyjaciel, poważnie zatroskany. — Nie masz chyba pojęcia, że nawet w tak porządnie jak nasz urządzonym świecie możliwe jest po prostu wszystko.

W wielkim świecie wokół Rosenburga w tym roku 1950 działy się jeszcze następujące rzeczy:

Pokojową Nagrodę Nobla przyznano profesorowi Ralphowi Bunche, wnukowi czarnoskórego niewolnika ze Stanów Zjednoczonych. Dostał ją za starania mające na celu uśmierzenie konfliktu między Żydami a Arabami. Zmarł Hermann Ehlers z CDU; wielce zasłużony i szanowany pierwszy przewodniczący niemieckiego Bundestagu. Minister gospodarki Ludwig Erhard dążył do osiągnięcia dla zachodnich Niemiec w znacznym stopniu nieskrępowanej gospodarki rynkowej, a jednocześnie bardzo ostrożnie, przy pomocy zachodnich mocarstw, przygotowywano remilitaryzację. W tym samym czasie pomimo wszystko jedynie na Zachodzie jeszcze około półtora miliona ludzi podawano za zaginionych.

Churchill zamyślał utworzenie armii europejskiej przeciwko bolszewizmowi. W Anglii aresztowano i skazano za szpiegostwo na rzecz ZSRR fizyka atomowego Klausa Fuchsa, który dawniej wyemigrował z narodowosocjalistycznych Niemiec. Jednocześnie Związek Sowiecki i Chińska Republika Ludowa zawarły układ o przyjaźni na trzydzieści lat. Harry Truman, prezydent Stanów Zjednoczonych, przygotowywał odwołanie ze stanowiska amerykańskiego naczelnego dowódcy na Dalekim Wschodzie, MacArthura.

Literacka Nagroda Nobla dostała się Bertrandowi Russellowi. Pokojową Nagrodę Księgarstwa Niemieckiego, przyznaną po raz pierwszy, dano Maksowi Tau, ocalałemu Żydowi, który z powodzeniem działał na rzecz pojednania. T.S. Eliot napisał *Cocktail party*, Christopher Fry *Wenus pod obserwacją*, a Hemingway powieść *Za rzekę, w cień drzew*.

W roku tym zmarli: Henryk Mann, wyjątkowo utalentowany i biegły w historii brat Tomasza Manna. Również Jadwiga Courts-Mahler,

bardzo niemiecka pisarka o czułościowej fantazji, wydawana w milionowych nakładach. Następnie Ernst Wiechert, Bogu i przyrodzie oddany prozaik z Prus Wschodnich, na którym piętno wycisnęły katusze doznane w obozie koncentracyjnym. Potem zmarł też najcelniejszy spośród wszystkich satyryków wyszydających nader ludzkie słabości, „najstarszy poeta wszechczasów”, niegdyś jeszcze rówieśnik Oskara Wilde'a, a ostatnio ponad osiemdziesięcioletni starzec, żyjący w Anglii Irlandczyk George Bernard Shaw.

Malarze uznani przez narodowych socjalistów za „zwyrodniałych”, a więc Arp, Beckmann, Braque, Dix i Chagall, nareszcie zyskali światowy rozgłos i znów tworzyli obrazy budzące ogólne zainteresowanie. Podobnie też Hartung, Hofer i Kokoschka. Humanści Jaspers, Jung i Malraux należeli do uwielbianych i bardzo poczytnych autorów tamtych dni. Natomiast Kurt Weill, który oprócz „Opery za trzy grosze” skomponował wiele innych utworów, zmarł na wygnaniu w Stanach Zjednoczonych.

Albert Einstein stał się bezgranicznie uwielbianym bożyszczem światowej nauki. Opublikował swoją *Ogólną teorię pola*, genialne, lecz dla zwykłego śmiertelnika niezrozumiałe uzupełnienie jego słynnej teorii względności.

Ludność świata oceniono w tymże roku 1950 na 2,3 miliarda. W Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się budowa pierwszych elektrowni atomowych, później nazwanych reaktorami atomowymi. Jednocześnie w Europie hodowano trzydzieści tysięcy odmian róż. Był to triumf ogrodników.

W tym samym czasie tylko w Niemczech zarejestrowano 988 tysięcy wdów, a oprócz tego 1 300 tysięcy sierot — nie mających ani ojców, ani matek, kompletnie opuszczonych istot. Setki tysięcy jeńców wojennych wciąż jeszcze napływały bądź przekradały się do domu, przeważnie ze Wschodu.

W modzie damskiej dominował styl wyraźnie kobiecy — małe kapelusiki, krótkie ułożone w loki włosy, średniej długości spódnice. Pojawiały się pierwsze płyty długogrające, pierwsze książki formatu kieszonkowego, pierwsze telewizory. Zainteresowani sportem mieli możliwość odnotować nowy rekord świata w pchnięciu kulą — 17,95 metra, który osiągnął J. Fuchs ze Stanów Zjednoczonych.

Późnym popołudniem owego dnia, idąc samotnie w kierunku Rosenburga, Tomasz Brandin był radośnie podniecony, a jednocześnie zaciekawiony. Minął gęstą aleję potężnych dekoracyjnych lip i w pewnej odległości przed sobą ujrzał gościnnie otwartą bramę. Tym razem nie było w niej widać ani groźnego psa, ani też wojowniczej istoty rodzaju żeńskiego. Stał tam jedynie duchowny, ubrany na czarno od stóp do głów.

Uśmiechnął się do Brandina powściągliwie, lecz bez wątpienia serdecznie. Podobnie też brzmiał jego głos:

— Jeśli pan nazywa się Brandin, to pańska wizyta jest zapowiedziana. Uprowadziła nas o niej nasza szanowna pani Emma Sonnenberg. Sądzę, że jej rekomendacja zobowiązuje. Pan zapewne myśli podobnie. Mogę tak uważać?

— Może ksiądz.

— Prosił pan o rozmowę w celu złożenia wyjaśnienia. Z panem Wernersem i jego córką Izolda. Ażeby zapobiec ewentualnym nieporozumieniom. O to chodzi?

— Właśnie o to chodzi!

— W takim razie bardzo pana proszę za mną.

Duchowny poszedł przodem. Poruszał się w swoim ubraniu jak w mundurze. Brandin, zaciekawiony, dreptał za nim. Wkrótce znaleźli się w parterowym pokoju, rozmiarami przypominającym salę; wydawał się prawie tak rozległy jak boisko piłki nożnej.

Nad pokojem wisiał ciężki, przygnębiająco masywny belkowany strop. Posadzka była wyłożona w kratkę białymi i niebieskimi płytkami. Pośrodku stał ogromny, niezgrabny stół dębowy. Wokół niego ustawiono toporne krzesła z wysokimi oparciami. Ich wygniecione siedzenia pokrywała popękana skóra.

Na ścianach wisiało przesadnie dużo olejnych obrazów. Wszystkie bez wyjątku przedstawiały ponuro a dumnie przed siebie wpatrzonych przodków. Było ich znacznie więcej niż tuzin. Pod nimi zaś, niby uzupełnienie pocztu antenatów, ujrzał Tomasz Brandin dwie żywe ludzkie istoty. Najpierw wysokiego, chudego mężczyznę o sępiej twarzy. Był to generał Werners. Miał na sobie garnitur w stylu myśliwskim. Obok niego stała jego córka Izolda. Wrażenie, jakie Tomasz Brandin odniósł na jej widok poprzednio, teraz pogłębiło się jeszcze. Izolda była nabita, umięśniona jak koń, lecz wcale nie tłusta. Kształtami przypominała raczej walkirię. .

ff Oboje utkwili w Brandinie pytające spojrzenie.

— Niech pan podejdzie! — zawołał Werners. Jego nawykły do rozkazywania fałset brzmiał przejmująco, zupełnie jakby wciąż jeszcze dowodził dywizjami. — Jeszcze bliżej!

Tomasz posłusznie podbiegł. Miał ochotę popatrzeć na nich z bezpośredniej odległości. Jednakże nie przybrał wojskowej postawy. Uśmiechnął się do Izoldy. Wydawało się, że się zaczerwieniła, i to go wyraźnie ucieszyło,

— Pan się nazywa Brandin, a na imię ma pan Tomasz? — zapytał wyniośle, ale nie bez odcienia protekcyjnalnej łaskawości Werners, generał. — Jaki rodzaj wojsk? Jaki udział w działaniach?

— Ostatnie pięć lat w rosyjskiej niewoli. Przedtem w jednostce sanitarnej w pobliżu Drezna.

— Drezno — odezwał się generał Werners z wyczuwalną odrazą — to jeden z bardzo ponurych, najokropniejszych rozdziałów tej wojny! Bezlitosna rzeź setek tysięcy bezbronnych ludzi, przeważnie kobiet i dzieci. I właśnie ci ludzie, którzy są odpowiedzialni za tę masakrę, teraz uzurpują sobie prawo do osądzania nas.

— Ale niestety prawdą jest, że w bardzo wielu wypadkach nie bez uzasadnienia — niemal łagodnie odezwał się Brandin.

— Pozostawmy ten temat — odparował szorstko Werners. — W każdym razie pan szczęśliwie przeżył, podobnie jak ja, a też pański przyjaciel Sonnenberg. Powinniśmy być za to wdzięczni Panu Bogu! — Generał rozejrzał się za swoim duchownym, ale ten akuratnie oddalił się; ostatecznie nie był już tu potrzebny. Wobec tego Werners kontynuował rozmowę, znów z żołnierską rzeczowością.

— Więc pan nazywa się Brandin.

— Czyżby pan skądś znał to nazwisko? — nad wyraz uprzejmie zapytał Tomasz.

— Ma się rozumieć — stwierdził Werners, nadal całkowicie w roli wodza i ojca żołnierzy, nawet jeszcze w tej chwili. — Brandin to nazwisko bardzo często spotykane w północnych Niemczech. Jego południowoniemiecka wersja brzmi Brandner. Natknąłem się na pewną liczbę żołnierzy o tym nazwisku, chyba nawet kilkudziesięciu, jeszcze zanim zostałem dowódcą dywizji. Wciąż mam znakomitą pamięć.

— Naprawdę?

— Tak jest! — Werners wydawał się lekko zniecierpliwiony. — Ale

przecież nie po to pan tu przyszedł. Powiedziano mi, że życzy pan sobie złożyć przeprosiny. No dobrze, niech pan zaczyna! Ja zawsze chętnie idę ludziom na rękę. Wcale nie jestem taki, za jakiego mnie tu niektórzy uważają. Na przykład pański przyjaciel Sonnenberg.

Tomasz Brandin zdawał się tego wszystkiego nie zauważać. Patrzył gdzieś poza generała Wernersa, na Izoldę. Widział tylko ją jedną. Ona udawała, że spełnia obowiązek reprezentacyjny, stała niczym posąg, wewnątrz skupiona. Tylko iskrzącymi oczyma przyglądała się gościowi uważnie, jak się zdawało — nie bez sympatii. Brandin to zauważył.

— Jestem całkowicie gotów przeprosić pana. Musi mi pan tylko powiedzieć, za co i dlaczego, panie Werners. Jednakże proszę, by pan nie podawał w wątpliwość mego nastawienia do pańskiej córki, panny Izoldy.

— Co to ma znaczyć? — zwrócił mu ostro uwagę Werners. — Co moja córka może obchodzić pana, akuratnie pana? Jestem absolutnie pewny, że nie zwróciła na pana wcale uwagi. Prawda, moje dziecko?

— Oczywiście nie, ojczule! — zapewniła Izolda. Jednocześnie, kierując wzrok prosto przed siebie, usiłowała nie spojrzeć ani na ojca, ani na Brandina. — Wiem przecież — dorzuciła cicho, lecz stanowczo — kim jestem i czego chcę.

— I ja jestem o tym przekonany! — zgodził się z nią Werners. Przy tym, już niemal oburzony, mierzył Brandina oczami. — Czy ten Sonnenberg przypadkiem nie nakłonił pana do czegoś nieodpowiedniego?

— On w ogóle nie wie, że tu jestem.

Generał Werners posłyszał wewnętrzny sygnał ostrzegawczy.

— Czyżby pan działał w jego interesie, wcześniej tego z nim nie uzgadniając? Niedobrze, gdyby tak rzeczywiście było. Sonnenberg nie należy do ludzi nieszkodliwych.

— Dla pana, panie Werners?

— Nie dla mnie osobiście, chociaż od czasu do czasu usiłował czegoś dokonać w tej materii. Jednak gdyby tak było, wychodziłby z całkowicie błędnych założeń. On mnie źle ocenił, przypuszczalnie nawet uznał za wroga, którym oczywiście nigdy nie byłem. Zawsze spełniałem tylko swój obowiązek! Zatem mogę pana zapewnić, że nie miałem absolutnie nic wspólnego z tym, że w roku czterdziestym czwartym nie przedłużono mu zwolnienia, lecz powołano do służby wojskowej.

Tomasz Brandin zareagował na to niezwykle uprzejmie.

— Dowiaduję się tego po raz pierwszy. Lecz w razie gdyby sprawy rzeczywiście tak się miały...

— Wiem tylko tyle, że Zygryda Sonnenberga trudno było uważać za uświadomionego pod względem narodowym. Pozwalał sobie nawet na wygłaszanie poglądów o treści wprost wrogiej. To z pewnością godne pożałowania. Ale nawet on, mam nadzieję, z biegiem czasu mógł się niejednego nauczyć. Mam rację, panie Brandin?

W tym momencie do rozmowy włączyła się Izolda.

— W stosunku do pana Sonnenberga — wtrąciła, głęboko oddychając — mogło zaistnieć jakieś nieporozumienie. Ale to można by wyjaśnić. Także ty, drogi ojczy, życzyłbyś sobie tego, podobnie jak pan Brandin i ja.

— Pańska szanowna córeczka wypowiedziała myśl godną najwyższej uwagi! — zapewnił Tomasz.

— Niekoniecznie mojej! — rozstrzygnął sprawę Werners. Znów przemawiał prawdziwie po generalsku, ze stanowczością nabytą przez wydawanie rozkazów. — Jeśli idzie o podstawowe zasady, jestem niewzruszony. — Był w tej chwili zdeklarowanym zwolennikiem porządku, swego własnego porządku. Wymagał jednoznaczności i przejrzystości. Zaś jako zwolennik własnego porządku przewidywał, że obecny ład niedługo rozleci się z trzaskiem. Dawna moralność i obyczajność przerodziła się w rozpasaną zmysłowość. Takie pojęcia, jak wierność, małżeństwo, honor zostały wyparte przez dziko wzbierający egoizm. Mężczyzna przestał już być sobą, gdyż zbyt wielu mężczyzn zmieniło się w rozgadane baby. Dlatego więc zarządził: — Bardzo proszę, panie Brandin, ażeby się pan powstrzymał od jakichkolwiek osobistych wypowiedzi, które by dotyczyły mojej córki. Nie pańska to sprawa! A ty — zwrócił się do Izoldy — lepiej będzie, jeżeli teraz pójdziesz do swego pokoju. O tym, co pozostało jeszcze do wyjaśnienia, porozmawiamy później.

Izolda wyprostowała się dumnie, przez co jej okazała figura zaprezentowała się jeszcze lepiej. Odeszła, nie omieszkawszy niemal poufale zerknąć w stronę Brandina. Zarejestrował to z niemalym zadowoleniem, ale nie było mu jednak dane delektować się tym zbyt długo. Generał Werners bowiem stwierdził:

— Niech pan wie, że zawsze jestem prostolinijny i grzeczny. Proszę

więc nie wodzić mnie na manowce! Bo może mnie pan poznać z innej strony, a tego wolałbym panu oszczędzić.

— Nie oszczędził pan tego jednak Zygfydowi Sonnenbergowi. To chciał pan dać mi do zrozumienia?

— Nonsens! W razie gdyby pański Sonnenberg myślał coś podobnego, niech mu pan to wyperswaduje. Nie jestem pamiętliwy i bardzo sobie cenię dobrą, owocną współpracę, na przykład taką, jaką mi zaoferowała pani Emma Sonnenberg. W najwyższym stopniu godna uwagi i szacunku starsza pani. To ona tu pana przysłała, czy też...

— Niezupełnie ona — powiedział Tomasz Brandin. — Miałem jedynie zamiar przeprosić pańską córkę, pannę Izoldę. Uczynię to bardzo chętnie, nawet jeśli to nie jest konieczne.

— Proszę mi tu nie prawić andronów! — Werners sprawiał wrażenie oburzonego. — Niech pan nie usiłuje z łaski swojej przeinaczać sensu naszej rozmowy za pomocą jakichś wątpliwej wartości sztuczek. Takie manipulacje mogą mi się skojarzyć z nieprzyjemnymi wspomnieniami o Zygfydzie Sonnenbergu. On także miał zwyczaj wykrętnie i kłamliwie omijać właściwy temat zawsze, gdy tylko wymagało się jasności.

— Czyżby pan uważał za zuchwałstwo moje napomknienie o pańskiej szanownej córce, pannie Izoldzie?

— Zapewne nie jest pan w stanie zorientować się w osobliwych stosunkach panujących u nas w Rosenburgu — stwierdził Werners, wciąż jeszcze oczekując, że Brandin go zrozumie. — Nie ma pan o nich najmniejszego pojęcia. Jednak powinien pan głębiej zastanowić się nad nimi, zbadać je dokładniej. Radzę to panu. Bo po prostu wierzyć mi się nie chce, by pan dążył do zagrożenia pozycji swego przyjaciela Sonnenberga. A poza tym lekkomyślnie chciał sobie zrobić wroga z tak znakomitej osoby jak mama Emma.

— Zgodnie z pańską wskazówką przekażę pańską opinię właściwemu adresatowi. — Miał na myśli Zygfyda Sonnenberga.

— Niech pan to zrobi odpowiednio taktownie, jak też, mam nadzieję, ze skutkiem! — poradził mu władczy tonem Werners, generał. — To już wszystko, co miałem panu do powiedzenia. Niech pan traktuje moje słowa jak coś w rodzaju rozkazu.

— Rozkazy już od dawna nie są mi w stanie zaimponować — powiedział Brandin, nawet w tej chwili jeszcze zachowując spokój i nie ruszając się z miejsca. — W ciągu kilku lat dawano mi ich bardzo wiele.

Było między nimi niemało takich, które okazywały się bardzo problematyczne, a nawet kompletnie bez sensu, idiotyczne. Niektóre można było uznać za przestępcze, lekkomyślne, nie liczące się z życiem wielu ludzi. Nie wyobrażam sobie, by coś podobnego mogło trwać wiecznie.

— Niech pan uważa, by nie stać się ofiarą tego sposobu rozumowania, jaki uprawia pański przyjaciel Sonnenberg — ostrzegł go generał.

— I on, i ja zdążyliśmy razem przeżyć okropne pięć lat — wyjaśnił Tomasz Brandin. — Przez cały ten czas nie dbaliśmy o nic innego, jak tylko o to, by jakoś przeżyć, co też nam ostatecznie się udało. Powinien pan mieć to na uwadze. Pańska czcigodna córka, panna Izolda, jak się wydaje, zrozumiała to. Natomiast pan nie.

— Och, Brandin, człowieku! Proszę nie popisywać się pustą gadaniwą! Pan i panu podobni uważacie się oczywiście za biedne, przesładowane istoty, nie rozumiane przez świat. Po prostu nie jesteście zdolni wyrzeć poza swój własny, mocno zawężony horyzont.

— Ale pan, panie Werners, jest zdolny?

— Musi pan wiedzieć, że zawsze byłem zdecydowanym przeciwnikiem Hitlera. Kilkakrotnie znajdowałem się już niemal jedną nogą w obozie koncentracyjnym, prawie tuż pod szubienicą. Za to, że służyłem razem z bojownikami oporu. Niewola także nie została mi oszczędzona. Pomimo to w Rosenburgu, po powrocie do domu, oszkalowano mnie bez miary. A przecież zawsze spełniałem tylko swoją powinność. Niech pan się także nad tym zastanowi.

— Mam się teraz wzruszyć, panie Werners?

— Sądzę, że dałem panu, panie Brandin, dostateczną szansę na zastanowienie się, z kim i z czym stanął pan tu twarzą w twarz. A także nad tym, jak niezwykle wspaniałą matkę ma pański przyjaciel i kolega Sonnenberg. W razie gdyby on wciąż jeszcze tego nie dostrzegał, będzie dobrze, jeśli pan mu to wytłumaczy.

Bezpośrednio po rozmowie z policyjnym dygnitarzem Jurgenem Wiese Zygfryd Sonnenberg udał się do mamy Emmy. Przebywała ona w pokoju wyłącznie dla niej zarezerwowanym, na najwyższym piętrze domu Adama. Pośrodku tego pomieszczenia stało ogromne, masywnie zbudowane łóżko małżeńskie, w stylu naśladowującym meble wiejskie,

pomalowane w kwietny ornament aż do baldachimu. W tym to potężnym i wspaniałym meblu do spania mistrz Adam przez parę dziesiątków lat umacniał swój stan małżeński, to jest powiększał rodzinę. Tam poczęło się jego troje dzieci. Zginęły razem z matką w bombardowaniu nocnym, w chwili kiedy uważały, że są już w bezpiecznym miejscu. Ojciec Adam pilnował domu i dzięki temu wyżył. Teraz, rezygnując z wszelkich wygod, gnieździł się na poddaszu, a w najlepszym i najobszerniejszym w całym domu pokoju zamieszkiwała mama Emma. Pokój ten był rzecz jasna czysty i wymuskany. Na krzesłach leżały poduszki, szafy były starannie pozamykane, szyby w oknach przejryste.

W chwili gdy Zygryfd Sonnenberg wchodził do pokoju, na łożu małżeńskim siedzieli obok siebie jego mama Emma i jej tak zwany stały wielbiciel lub też towarzysz życia, którego już od przeszło dziesięciu lat nazywano dziadkiem Greinerem. On i mama Emma stanowili parę zgraną równie jak dwa dobrze dobrane konie w zaprzęgu. Było to dwugłowe zwierzchnictwo rodziny. Dziadek Greiner, prawie równolatek mamy Emmy, nieznacznie tylko przekroczył sześćdziesiątkę. Podobnie jak ona był osobnikiem nadzwyczaj żwawym i wytrzymałym, żądnym uciech i stale skłonny do wygłaszania ironicznych dowcipów, nigdy nie pozbawionych podstępnej złośliwości.

Zygryfd Sonnenberg przysiadł się do tych dwojga, lokując się na samym końcu łóżka.

— Przeszkodziłem wam może?

— Nie przeszkodziłeś. Zresztą nie mógłbyś nawet — powiedział dziadek Greiner, ubawiony. — Kiedy nie chcemy, by nam przeszkadzano, zamykamy drzwi.

— Właśnie zapowiedziano nam twoje przyjsię, drogi synu — odezwała się mama Emma. — Nie powinno cię to dziwić, bo u nas działa już telefon. — Z troską spojrzała na Zygryfda. — Właśnie ten drapak Wiese zatelefonował do mnie i powiedział, że możesz być trochę rozdrażniony. Czyżby rzeczywiście tak było?

— A gdyby tak było, to co wówczas?

— Wówczas musiałbyś sobie uświadomić, że nie masz do tego żadnych podstaw! — stwierdził Greiner. Opiekuńczym gestem objął ramiona mamy Emmy, a ona, jak się wydawało, uśmiechnęła się do niego, aczkolwiek niepewnie.— W tym wszystkim ważne jest jedynie

to, kto z kim jest związany. Przyjaźnie, mój drogi chłopcze, zawsze są dobre, ale powstają i przemijają. Rzadko kiedy są trwałe. Tym, co bezwzględnie najważniejsze, jest rodzina.

Zaliczał się do niej oczywiście także i ten Greiner, co było zupełnie zrozumiałe. Ale Zygfryd Sonnenberg nie słuchał go. Patrzył tylko na swoją matkę.

— Przedstawiono mi — powiedział do niej — kopię pisma. Wniosku o uznanie za zmarłego. Chodziło o mnie!

— Tylko bez nerwów, drogi chłopcze! — wtrącił się dziadek Greiner. — To wynika z obecnej sytuacji i jest zupełnie normalne.

Zygfryd ponownie spojrzął tylko na matkę.

— Czy to prawda, że ty żądałaś uznania mnie za zmarłego?

Mama Emma pragnęła, by Zygfryd ją zrozumiał, lecz nie okazało się to wcale łatwe. Potrząsnęła swoją śnieżnobiłą lwią grzywą.

— Nie możesz tego zrozumieć? Irytujesz mnie. Chciałabym, ażebyś był mądrzejszy i bardziej rozważny. W tym wypadku, mój drogi, chodziło o zachowanie i wykorzystanie wspólnego dziedzictwa.

Na to zabrał głos znów Greiner:

— Potrzebne do tego były dwa podpisy: twojej kochanej mamy i twój własny. Ale ciebie nie sposób było znaleźć. Nikt nie wiedział, gdzie przebywasz i czy w ogóle jeszcze żyjesz. Natomiast udało się znaleźć świadków, którzy stwierdzili twoje zejście.

— To znaczy, że rzeczywiście próbowano uznać mnie za zmarłego? I moja żona Ewa-Ingeborga zgodziła się na to?

— To zrozumiałe. W trakcie załatwiania tej sprawy przepytano także ją, podobnie jak wszystkich członków naszej rodziny. Nawet Erykę. W końcu wszyscy musieli przyznać, że nie możemy postąpić inaczej. Co cię w tej całej sprawie tak bardzo podnieca?

Zygfryd usiłował sobie wyobrazić, w jaki sposób dokonywano tego rodzaju „przepytывania rodziny”, jak doprowadzono do wspomnianego „uznania”. Bądź co bądź uważał, że zna swoją matkę już od dawna, a nie dopiero od przedwczesnej śmierci swego ojca.

— No dobrze — stwierdził — ale ja żyję i jestem tu!

— Wszyscy bardzo cieszymy się z tego — zapewnił Greiner serdecznym tonem prawdziwego dziadka — trzeba zatem, byś teraz wraz ze swoją mamą podpisał wszystkie umowy, które przygotował Kahlers, tak jak uzgodniono z gminą, krajem i władzami federalnymi. W rezul-

tacie od razu staniesz się bogaty! Będziesz więc mógł pięknie odbudować rodzinny dom, a poza tym urządzić salon fryzjerski najwyższej klasy. A oprócz tego jeszcze zarabiać.

— A co się stanie, jeżeli nie będę chciał?

— Czy to ma być żart? — zważo zapytał Greiner. Jednak wkrótce zarówno on, jak i mama Emma zrozumieli, że nie jest to wcale żart. Zygryf próbował im obojgu wyjaśnić swoje stanowisko.

— Dlaczego akuratnie ja mam dać Wernersowi szansę dalszego wzbogacenia się moim kosztem? A Konradowi Kahlersowi dopomóc w osiągnięciu jeszcze jednego sukcesu na burmistrzowskim urzędzie? Czy po to, by jeszcze bardziej imponował Ewie-Ingebordze? Poza tym myślę o naszym starym mistrzu Adamie. Nie chce mi się wierzyć, by ktoś ośmielił się żądać ode mnie pozbycia się tego pocziwego człowieka.

— Mój synu — odezwała się mama Emma, przyglądając się Zygryfowi z lekceważeniem — od dawna, już jako dziecko, byłeś obdarzony niesłychanie bujną wyobraźnią. Na szczęście nie przeszkadzało ci to bardzo trzeźwo myśleć, a nawet skrupulatnie liczyć. Jako fryzjer byłeś nie tylko artystą w swoim zawodzie, ale też zręcznym kupcem. Dlatego właśnie także w tej chwili nie posądzam cię o jakiegokolwiek zbędne porywy uczucia.

Zygryf Sonnenberg patrzył uparcie przed siebie, a w głowie chaotycznie kłębiły mu się myśli. Wreszcie odezwał się zmęczonym głosem:

— A więc próbowano mnie uznać za zmarłego po to, by w ogóle niepotrzebny stał się mój podpis pod umową prawdopodobnie wątpliwej jakości.

— Umowa jest korzystna dla ciebie, Zygrydzie! Korzystna dla twojej rodziny. Poza tym jesteś teraz na miejscu i możesz ją przecież podpisać.

— A gdybym tak odmówił podpisania, to co wtedy? Poszukacie innego sposobu na wyłączenie mnie? Teraz, kiedy już nie sposób uznać mnie za zmarłego, może udałoby się ogłosić mnie chociażby za niepoczytalnego? Jako osobnika niezdrowego na umyśle na skutek przeżyć w niewoli. Bylibyście nawet zdolni wyszukać lekarza, który by to potwierdził.

— To rzeczywiście wcale nie taka głupia idea — powiedział teraz pan Greiner, siłąc się na dowcipnie ironiczny ton. — Moglibyśmy się nad nią zastanowić, gdyby ci zależało na uchyleniu się od udziału w transakcji.

— Ja bym brzydziła się czegoś podobnego! — zawołała mama Emma, po czym szybko dorzuciła: — Nie jest to przecież wcale konieczne. Przecież memu synowi Zygfyrdowi prawdopodobnie dopiero co udało się zręcznie spowodować wyżkę ceny z korzyścią dla siebie i rodziny.

— Naprawdę, mammo?

— Przejrzałam cię na wylot, mój chłopcze! Od razu zrozumiałam, dlaczego kazałeś swemu Brandinowi, by się zajął Wernersem.

— Czy on to zrobił?

— Zrobił, i to z dość dobrym skutkiem. Wydaje się, że mocno zachwiał pewnością siebie Wernersa, w związku z czym jest on już gotów do ustępstw. Dał mi to do zrozumienia ksiądz. Wszystko zapowiada się bardzo obiecująco. Okazuje się, że także pod tym względem jesteś nieprzeciętnie utalentowany. Wykapany mój syn!

— No to brawo, brawo — zawołał uszczęśliwiony pan Greiner — wspaniale!

Późnym wieczorem tego samego dnia, po treściwej rodzinnej kolacji, spożywanej z efektami wizualnymi i akustycznymi, Zygfyrd Sonnenberg wy dostał się na dwór, mając u boku przyjaciela. Za towarzyszkę przechadzki mieli pełną butelkę najlepszego brytyjskiego dżinu z zasobów dostarczonych przez Johna Frankfurtera. Eryka wetknęła ją bratu. Przyjaciele udali się z butelką przez zalany księżycowym światłem śródmiejski obszar gruzów w stronę dawnego domu Sonnenbergów. Zbliżyli się z określonym zamiarem i zaczęli badawczo przyglądać się ruinie. Stwierdzili przy tym, że sklepienie piwniczne wygląda jak w ogóle nietknięte. Było przy tym uszczelnione, co prawda nieumiejętnie, ale za to dokładnie. Dałoby się na nim prawdopodobnie dość szybko odbudować parter. Jednak górne piętro wraz z dzwonowatym dachem było najwidoczniej ciężko uszkodzone.

— Bądź ostrożny! — poradził Brandin przyjacielowi. — Odnoszę wrażenie, że górna część fasady może runąć lada chwila i przywalić każdego, kto się znajdzie na zagrożonej przestrzeni. A nie przypuszczam, byś ostatnio czuł się zmęczony życiem.

— Wprost przeciwnie, chłopie! Tu, w Rosenburgu, staję się coraz bardziej żwawy!

W zdziczałym ogródku przed domem, w pobliżu drzwi wejściowych,

Zygryd i Tomasz usiedli na pniu zwałonego drzewa. Ruina domu jaśniała w świetle księżyca, a na górnej części fasady zaznaczały się pokaźne pęknięcia. Sonnenberg wyciągnął butelkę dżinu, która nęcąco zabulgotała.

— Układa mi się podobnie jak tobie — stwierdził Tomasz Brandin.
— Znosi się na to, że ja także będę coraz bardziej ochoczy.

— Życzę ci tego! Słyszałem, nie muszę ci specjalnie wyjaśniać od kogo, że złożyłeś wizytę Wernersowi.

— I to z nie byle jaką przyjemnością!

— Czy on przeczuwa, kim ty jesteś i dlaczego tu przyjechałeś?

— Nic podobnego! Brandinów spotykał w życiu całe gromady: wyłącznie podwładnych, którzy walczyli, służyli, dostawali odznaczenia, ginęli lub bywali rozstrzeliwani. Uznał za rzecz o wiele ważniejszą skorzystać z okazji, przybierając pozę przeciwnika Hitlera i świadomego bojownika oporu. A w dodatku człowieka wielokrotnie oszkalowanego po powrocie do domu.

— To do niego podobne! — Zygfryd roześmiał się z irytacją i podał przyjacielowi butelkę. — Do Hitlera mógł rzeczywiście mieć pretensje, bo ten jego fuhrer nie awansował go, w każdym razie nie tak szybko, jak się tego spodziewał. W ostatnich dniach wojny Werners był zaledwie generałem majorem; jestem pewien, że miał chęć zostać feldmarszałkiem. Nawet to może wzbudzić niechęć. Zwymyślany zaś bywał rzeczywiście niejedyn raz, mianowicie przez przesiedleńców ze wschodu. Dlatego, że skutecznie wzbraniał się przyjąć do swego zameczku choćby jednego z nich.

— Strasznie zeświniony jest ten świat! — stwierdził Tomasz Brandin, trzymając w objęciach butelkę dżinu, jakby to było niemowlę. Pomimo wszystko robił wrażenie zadowolonego.

— Zeświniony, mój drogi, to jeszcze zbyt słabe określenie — odpowiedział Zygfryd, patrząc w zadumie na pęknięcie w fasadzie domu. — Już próbowali mnie uznać za zmarłego i bez wątpienia podaliby mnie za umysłowo chorego, gdyby im to było potrzebne.

— Poniekąd nie odbiegałoby to od prawdy — powiedział Brandin z głębokim namysłem — zwłaszcza zważywszy to wszystko, co musieliśmy przeżyć w obozie jenieckim. Ale też przez kilka dni po wyjściu z obozu. Kilka razy wydawało mi się wtedy, że jestem żywym trupem. Albo kimś, komu usiłują wydmuchać z głowy mózg.

— Czuje się zupełnie tak samo — stwierdził Zygfryd.

Wydawało się, że mówienie o czymkolwiek poza tym nie jest potrzebne, a zresztą okazało się to niemożliwe. W tym momencie bowiem, z mlaskaniem i prychnaniem, wynurzyła się z piwnicznej ruiny szkaradna postać kobiety nazwiskiem Gartner, nazywanej „piekielną babcią”. Owinięta w duży czarny koc jak w togę, podeszła do nich, kołysząc się niczym kaczką. Stanąwszy przed nimi, bez słowa sięgnęła po butelkę z dżinem. Stojąc w rozkroku, piła z niej z niebywałą przyjemnością.

Potem usiadła pomiędzy obydwojma mężczyznami.

— Wyglądacie obaj jak zmoczone gatki! Dla mnie jako służącej to widok wcale nie taki przykry. Ale pomimo wszystko, chłopaki, szkoda mi was. Zauważyliście już wreszcie, w jaką straszną kupę gówna wpadliście?

— Gdyby nawet tak było — powiedział Zygfryd — to także potrafilibyśmy się wydostać. Zgodnie z zasadą, która mówi, że życie jest okrutne, ale ogromnie pouczające.

— Tak samo właśnie mawiał twój legalny ojciec, maszynista kolejowy. Wspaniały człowiek! Ale nawet on szybko się połapał, na co, a ściślej mówiąc, na kogo człowiek może się w życiu nadziać.

— Prawdopodobnie wyobrażam sobie, co pani przez to rozumie — odezwał się do niej zachęcająco Tomasz Brandin.

— Nawet ty, chłopaczkę, nie potrafisz sobie wyobrazić tak okropnego świństwa! — pouczyła go. — Chociaż wydajesz mi się bardzo sprytny, Tomaszu, to nie możesz mieć o tym żadnego pojęcia! Nikomu innemu nie uda się też tego zgłębić, tylko mnie.

— Wobec tego oświeć nas, Klementyno! — zażądał stanowczo Sonnenberg.

— Skoro naprawdę przy tym obstajesz, mój drogi malutki, to spróbuję. — Pragnąc pokrzepienia, znów pochwyciła butelkę z dżinem. — Twój dziadek — obwieściła — był prawdziwym geniuszem w waszej rodzinie. Zresztą ty daleko od niego nie odbiegłeś, chłopcze, nie tylko pod względem wyglądu. Ten dopiero wiedział, jak się zabierać do interesów! Czego tylko się jął, od razu sypało się złoto. Jego świnię były najwspanialsze w całej okolicy, jego krowy dawały najtłustsze mleko, a jego konie mogły uchodzić za najszlachetniejsze wierzchowce. Skupował łąki i lasy. Ale potem zmarł. Przedwcześnie. Chcesz wiedzieć, na co?

— Niekoniecznie, Klementyno. Lecz o ile cię znam, zechcesz mnie oświecić pod tym względem. Tak?

— Zmarł ze zmartwienia z powodu swego syna, a twego ojca, to znaczy w związku z jego ożenkiem. Z tą Emmą. Poznał się na niej i zrozumiał, że ona jest niebezpieczna. Nie zgadzał się na ten związek. Tym bardziej że twój ojciec mógł sobie wybrać którąś spośród wielu innych dziewcząt. Choćby mnie. Ale dajmy temu spokój.

— Dajmy temu spokój — chętnie zgodził się Zygfyrd. — Ale co twoim zdaniem zaszło potem?

— Ty się urodziłeś! A wkrótce potem twój ojciec zaczął zaniedbywać dom i gospodarstwo, a także swoją żonę. A może ona jego. Całą posiadłość zagrażała ruina. Uciekł z domu i został maszynistą kolejowym. Spełniło się w ten sposób jego gorące marzenie z lat dziecińczych. Przez pięć dni w tygodniu był w drodze. W ciągu pozostałych dwóch dni upijał się, często do nieprzytomności. Zapewne po to, ażeby zapomnieć.

— Czy to się działo tu, w tym domu?

— Przeważnie. Często nosił cię na rękach po pokojach, po ogrodzie. Zabierał cię po prostu śpiącego.

— To się zgadza z moimi najwcześniejszymi wspomnieniami z dzieciństwa — stwierdził Zygfyrd Sonnenberg. Światło księżycowe przeszkadzało mu, odwrócił więc głowę, wypatrując głębokiego cienia. — Jak przez gęstą mgłę widzę jeszcze teraz twarz ojca. Była wilgotna od potu i łez. Wydawał mi się ogromnie opuszczony, smutny i znużony. Przyciskał mnie do siebie, można by powiedzieć, że trzymał się mnie. Potem zmarł.

— A wiesz ty, chłopcze, jak on zmarł? W jakich okolicznościach i dlaczego?

— Nie — głos Zygfryda brzmiał szorstko. Nie pochwycił butelki z dżinem, którą mu podawał Brandin. — Wiera tylko tyle, że pewnego dnia ojciec już nie żył. Potem staliśmy nad jego grobem, a matka mówiła „opanuj się”.

— Powiedz, chłopcze, chcesz naprawdę dowiedzieć się, jak twój ojciec umierał?

— Opowiedz mi o tym, Klementyno, jeżeli rzeczywiście wiesz o wszystkim.

— Tak, wiem to, mój chłopczku, wiem dokładnie. Bo tej nocy,

kiedy twój ojciec zmarł, ale jeszcze zanim to się stało, znów upił się w moim mieszkaniu prawie do nieprzytomności. Nie skarżył się na nic i na nikogo; miało się wrażenie, że jest całkowicie zagubiony. Zawlokłam go więc do tego domu, do jego żony, a twojej matki. Tu zwymiotował i stracił równowagę. Potem leżał, błądy jak ściana, dysząc ciężko, na podłodze obok drzwi.

— A co na to jego żona?

— Stała i patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca. Powiedziałam jej: „Wezwij lekarza, Emmo! Natychmiast. Bo zemrze!”

— Sprowadziła lekarza?

— Nie. Twój ojciec zmarł jeszcze tej samej nocy. Na tym samym miejscu, do którego go doprowadziłam, to jest na podłodze obok drzwi. Żona go tam zostawiła, a on leżał tak długo, aż skonał.

Tomasz Brandin usiłował wczuć się w to, co w tej chwili musiał przeżywać jego przyjaciel. Z trudem udało mu się otrząsnąć z odrętwienia, w jakie popadł słuchając opowiadania.

— Przypuszczalnie — powiedział wreszcie do diabelskiej babuni — przypuszczalnie widzi pani to wszystko tak, jak teraz akuratnie chce widzieć.

— Być może — dodała, sapiąc — jestem już tylko starą, brzydką, podstępą kobietą. Ale nigdy nie kłamię. Zygfryd wie o tym.

Zygfryd przytaknął jej ruchem głowy, a potem ponownie wręczył butelkę dżinu takim gestem, jakby to była jakaś szczególna nagroda. Opróżniła ją do dna. Zygfryd przyglądał się staruszce w zamyśleniu.

— Wyczuwam, matko Klementyno, że to jeszcze nie wszystko.

— Przecież już ci wystarczy! — wykrzyknął zaniepokojony Brandin.

— Wtedy — powiedziała powoli — w życiu twojej matki istniał już ten Greiner. I tamtej nocy, kiedy twój ojciec umierał, był u niej.

4. Rachunki do wyrównania

Następny dzień maja roku 1950 dla kilku osób z rodziny Sonnenbergów zaczął się pomyślnie, a nawet bardzo obiecująco. Gdy Zygfryd po bardzo niespokojnym śnie (oczywiście nie z własną żoną) wstał ze swojej połowy podwójnego łóża małżeńskiego, przyjrzał się uważnie Ewie--Ingebordze. Stała właśnie przy umywalce, ubrana bardzo ponętnie.

- Jestem już zdecydowany odbudować dom mego ojca, nasz dom — oświadczył Zygryd.

Ewa-Ingeborga niezwłocznie przekazała wielką nowinę dalej. Mianowicie mamie Emmie, a tym samym także Greinerowi.

Obydwoje byli uszczęśliwieni.

— A to świetnie! — stwierdził z zadowoleniem dziadek Greiner. — Poszedł dobrą drogą.

— Nie ma w tym nic dziwnego — orzekła mama Emma z wielką pewnością siebie. Położyła się z powrotem do łóżka, w którym wciąż jeszcze leżał jej „towarzysz życia”. — Zygryd może miewać budzące grozę napady fantazji, ale gdy tylko chodzi o interes, potrafi być zadziwiająco obrotny i przebiegły. Odziedziczył tę cechę po dziadku. Od tego dziadka nawet ja miałam okazję wiele się nauczyć.

Wydawało się zatem, że świętek Sonnenbergów w Rosenburgu powrócił do dawnego ładu. Również stary mistrz Adam w absolutnej nieświadomości sądził, że może tak uważać, gdyż jego salon nadal potrafił w niezrównany sposób napełniać kasę. Niemalą zasługę miała w tym względnie tabliczka, na której jaskrawoczerwoną farbą wymalowano napis:

„Do Szanownych Pań klientek.
Mistrz Zygryd Sonnenberg znów
czesze”.

Był to wspólny pomysł Brandina, Adama i Ewy-Ingeborgi, który oczywiście natychmiast wywołał oczekiwany efekt: „szanowne panie” przyszły! Pojawiły się żony dyrektora szkoły i przewodniczącego rady miejskiej, małżonka rzeźnika i połowica miejscowego dygnitarza policyjnego Jurgena Wiese. Jak zwykle wówczas, wszystkie były bezbarwne i zaniedbane. Ale teraz, po raz pierwszy po wielu latach wyrzeczeń, mogły sobie pozwolić na pewne upiększenie. Zygryd obsługiwał je z należytą uwagą.

Pracował szybko łagodnymi, lecz pewnymi ruchami rąk, przemawiając z wycuciem. Przy okazji każdą z pań zapewniał, że na razie może być mowa jedynie o wstępnych zabiegach. Chwilowo brak mu jeszcze przyrządów, aparatury i kosmetyków, o których uzyskanie właśnie się stara. Dlatego bardzo prosi o wyrozumiałość.

Panie przeglądały się w lustrze, po czym zachwycone zerkały ku

górze na Zygfyda. Ich fryzury odzyskiwały kształt i blask, włosy spływały miękko i jedwabście. Był to wynik, jak stwierdzał ze znawstwem mistrz Adam, jedynie oszczędnego zastosowania deszczówki i oleju słonecznikowego. Poza tym Zygfyd nie zmieniał w istotny sposób klientkom ich dotychczasowego uczesania. Tego rodzaju zawodowe subtelności, jak sam zapowiadał, miał zamiar zastosować dopiero później, po trzecim lub czwartym zabiegu wstępnym.

Adam uśmiechał się więc pełen szczęścia, a Ewa-Ingeborga z coraz większym zadowoleniem inkasowała pieniądze, popatrując od niechcienia na klientki, rozplývające się z zachwytu nad zręcznością mistrza. Nawet Brandin uważał, że jeszcze raz ma okazję stwierdzić, jak genialny jest na swój sposób jego przyjaciel Zygfyd również jako fryzjer. Ponadto Tomasz uznał, że geniusz ten umie także świetnie kalkulować.

W „salonie” panował przyjemny, pełen wzajemnego zaufania nastrój. Nie zmienił się nawet w chwili, gdy krótko przed południem pojawiła się uderzająco piękna blondynka ze wspaniałymi, promiennie błękitnymi oczyma. Stworzenie to robiło wrażenie niezwykle serdecznego, sympatycznego i szczerego.

— Szczęść Boże! — zawołała na cały salon do wszystkich obecnych, po czym zwróciła się do Ewy-Ingeborgi, siedzącej przy kasie w pobliżu drzwi. — Doskonale pani wygląda, pani Sonnenberg!

— Pani również! — Trudno było jednocześnie określić, co się kryje za tymi słowami. Brandin, uważny jak zawsze, odniósł wrażenie, że Ewa-Ingeborga być może powiedziała „Pani mnie również”.

Tymczasem promienna osoba, nie dając się zbić z tropu, zbliżyła się do Sonnenberga.

— No, nareszcie jesteś z powrotem, Zygfydzie!

— Cieszę się, że cię widzę, Margot — zapewnił ją Zygfyd. Było widoczne, że stara się zachować formy czysto zawodowej uprzejmości. Poprowadził ją do jednego z foteli i uśmiechnął się w stronę lustra do jej odbicia. Następnie zaczął rozczesywać powódź zdrowych, jedwabistych włosów. — Nic się nie zmieniło — stwierdził.

W tym momencie wszedł do salonu Konrad Kahlers, burmistrz, z jowialnym, a w jego intencji serdecznym „szczęść Boże”. Potem ni to łaskawie, ni to przyjaźnie skinął głową Adamowi i Brandinowi i zajął się bezpośrednio Ewą-Ingeborgą. Pochwycił jej wyciągniętą ku sobie

rękę, pochylił się nad nią jak do pocałunku, ale właściwie po to, by ją znacząco przytrzymać.

Następnie zawołał do Zygfyryda:

— Rad jestem, że cię widzę, przyjacielu! Z zadowoleniem usłyszałem, że zamierzasz z powrotem włączyć się do naszego życia, wejść na naszą arenę. Jestem z pełnym uznaniem!

— Cieszę się, że jesteś rad z mego powrotu — powiedział Sonnenberg mimochodem, po czym dał do zrozumienia, że jest właśnie mocno zajęty swoją klientką. — Na razie nie rozpraszajmy się.

Zostało to potraktowane jak poufały żart. Kahlers z zadowoleniem mrugnął do Ewy-Ingeborgi i zauważył:

— Nasz poczciwy Zygfyryd, jak się zdaje, naprawdę ochoczo zabrał się do pracy!

Ona przytaknęła mu ruchem głowy.

Z kolei Kahlers zwrócił się kordialnie do mistrza Adama:

— Ponieważ, jak widzę, wszystko układa się wspaniale, muszę i ja to podkreślić, występując w odpowiedniej roli. Czy mogę zatem prosić o jak najlepsze golenie i strzyżenie?

Stary mistrz w asyście Brandina zajął się nim niezwłocznie. Podeszła do nich Ewa-Ingeborga i w czasie gdy obaj fachowo zajmowali się głową Kahlersa, ona zabawiała go uprzejmą, nie zobowiązującą rozmową, adresowaną do jego serca i uczuć. Ewa-Ingeborga potrafiła bowiem bardzo zręcznie podgrzewać całkiem na wolnym ogniu mężczyzn, którzy o nią zabiegali, jak na przykład Kahlers i Wiese, a także inni.

Sytuacja, jaka wytworzyła się w salonie, umożliwiła Zygfyrydowi nieskrępowaną rozmowę z Margot.

— Co mogę dla ciebie zrobić, moja kochana? — zapytał.

Spojrzała na niego mrugając.

— Najpierw, Zygfyrydzie, moje włosy! Ciemnieją zbyt szybko. Sądzisz, że dałoby się na to coś poradzić?

— Podobne zjawisko, Margot, samo w sobie nie przedstawia szczególnego problemu, jeżeli ma się potrzebne preparaty. Ja ich jeszcze nie mam. Ale odrobinę cierpliwości. Spróbuję dla ciebie, dla twoich włosów, skomponować specjalną mieszankę.

— Jesteś wspaniałą — przyznała powściągliwie Margot — i zawsze byłeś taki, nie tylko jako fryzjer. Dlatego tak bardzo się cieszę, kochany Zygfyrydzie, że jesteś z powrotem. Brakowało mi ciebie jak mało kogo.

Margot zaliczała się do niewielu osób, które odegrały jakąś rolę w życiu Zygfyda, dostarczając mu chwil najbardziej radosnych. Jakkolwiek były one niezmiernie krótkie, to jednak dawały mu uczucie prawdziwego szczęścia. Obecnie, jak się dowiedział, Margot była już mężatką, żoną adwokata, który osiedlił się w Rosenburgu.

— Jesteś szczęśliwa, Margot? — zapytał ją cicho, jednocześnie niemal pieszczotliwie masując jej potylicę.—Czy jesteś przynajmniej zadowolona?

— W jakimś sensie zadowolona byłam zawsze i teraz też jestem. Ale czy szczęśliwa? Czy można nią być kiedykolwiek? A przecież tak, przynajmniej raz byłam rzeczywiście szczęśliwa. I ty o tym wiesz.

Wiedział. Ale to piękne wyznanie niestety nie wiązało się z jego osobą. Widział teraz, jak się uśmiecha, nie rumieniąc się nawet w celu zachowania pozorów. Wobec niego nie musiała, pomimo że był jedynym świadkiem tego, co się stało przed dziesięciu już laty. Zdarzyło się wówczas, że Zygfyd zupełnie przypadkowo postanowił po przyjacielsku odwiedzić Margot. Zastał ją wówczas w sytuacji niezmiernie delikatnej, całkiem niedwuznaczej. Naga leżała w łóżku z mężczyzną, a tym mężczyzną był jej brat.

Zygfyd powiedział jedynie „przepraszam” i wycofał się jak najspieszniej. Później często spotykał ich oboje, pojedynczo lub razem. Nigdy jednak nie uległ pokusie, by choć słówkiem pisać o tamtej niedwuznaczej scenie. A w wypadku gdy słyszał jakiegokolwiek aluzje na ten temat, ucinał je od razu, mówiąc: „Nie próbujcie mi wmawiać byle czego!”

— Oboje kochamy i szanujemy cię bardzo — wyznała teraz cichutko Margot — a memu kochanemu bratu powodzi się dobrze. Wspólnie z moim obecnym mężem w pierwszych latach po wojnie otworzył tu, w Rosenburgu, kancelarię adwokacką. Ale wkrótce rozstał się z nami. Domyślasz się, dlaczego.

— Nie chcę się niczego domyślać, Margot! Ale mimo wszystko chętnie bym się dowiedział, gdzie w tej chwili przebywa twój brat i czym się zajmuje.

— Mieszka w Monachium — rozkoszowała się dotykiem jego rąk w czasie masażu — działa jako adwokat, doradca podatkowy i zarządca majątków. W tym też charakterze wszedł do wspaniale rozwijającego się przedsiębiorstwa budowlanego: wysokościewce, domy szeregowe, wille miejskie, koszarowe czynszowce i rezydencje wiejskie. Rozumiesz?

— Tego właśnie spodziewałem się po nim. Przecież interesował się tą dziedziną już od dawna. Przy tym brzmi to obiecująco dla mnie. — Wprawnie rozczesywał ciemnozłotą powódź włosów Margot i układał je w zadziwiająco miękkie fale. — Chętnie bym porozmawiał z twoim bratem.

— Czy ma tu przyjechać?

— Zrobiłby to?

— W każdej chwili! Na pewno przyjedzie, jeśli ci tylko na tym zależy.

— Zależałoby mi na tym — stwierdził Zygfyrd, po czym znów zajął się jej wspaniałymi włosami. — Nadam im iskrzący połysk, jaki ma łan pszenicy w świetle słonecznym. Zastanawiam się, czy nie sporządzić dla ciebie ekstraktu z kory brzoźowej i kwiecica mięty. W carskiej Rosji była to swego rodzaju tajna recepta na użytek wysoko urodzonych dam.

Tym sposobem Zygfyrd Sonnenberg wynalazł jeszcze jeden ze swoich preparatów kosmetycznych, które później sprawdziły się jako niezwykle skuteczne. Kiedy miała rozpocząć się produkcja, chciał ten środek nazwać „mieszanką Margot”. Lecz potem, już w trakcie fabrykacji, eliksir ten, być może ze względu na Ewę-Ingeborgę, otrzymał nazwę „Środek Sonnenberga numer jeden na wzmocnienie włosów”.

W tej chwili nie dało się jednak cokolwiek przewidzieć, pomimo że wszystko było ze sobą bardzo ściśle powiązane, zwłaszcza fryzura Margot i twórcze myśli Zygfyryda. On sam zaś był ciekaw tylko jednego.

— Czy naprawdę mogłabyś, moja kochana, nakłonić swego brata, ażeby się tu zjawił?

— Ależ tak, Zygfyrdzie! — skwapliwie zapewniła go Margot. — Nie ma rzeczy, której nie zrobiłby dla ciebie. Wcale nie muszę brata o to jakoś specjalnie prosić. Jeśli tylko chcesz, przyjedzie choćby jutro.

Obiad w domu Adama, przygotowany tego dnia przez mamę Emmę po prostu kunsztownie, był wyjątkowo smakowity: pieczeń wieprzowa z knedlami z tartych kartofli i specjalnymi dodatkami, a wszystko to ułożone w stożek na dwóch ceramicznych półmiskach.

Wszyscy zasiedli do stołu w obszernej kuchni. Panował nastrój rodzinnej zażyłości. Rodzinnemu spotkaniu przewodziła mama Emma wraz z nieodstępnym Greinerem. Ton nadawała również Ewa-Ingeborga, usadowiona pomiędzy Zygfyrydem a Tomaszem. Obecny był także

mistrz Adam, chodząca dobroć, zatroskany o wszystkich, nieporadny i uległy, o ufnym spojrzeniu wyblakłych niebieskich oczu. Obok niego Dagmara, wyraźnie ożywiona, czujna i niezmiennie gotowa do sprzeczkki, spoglądała to na podane potrawy, to jakby ze szczególnym upodobaniem gdzieś w przestrzeń, ponad Tomaszem Brandinem.

Z początku uczestnicy tego uroczystego obiadu bez żadnych zahamowań opychali się wszystkim, co im podano. Milczenie przerwał dziadek Greiner, który żując oświadczył:

— Jest to, moja droga Emmo, z wszelką pewnością najlepsza pieczeń wieprzowa, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się jeść.

— Przyrządziłam ją według domowego przepisu mojej teściowej, a więc babki Zygfyryda, na cześć, że się tak wyrażę, mojego syna.

— To cię powinno napełniać wdzięcznością, mój chłopcze — napomniał go serdecznie Greiner. — Ciesz się z tego!

— Toteż się cieszę — powiedział Zygfyrd Sonnenberg, spoglądając przy tym na Tomasza Brandina. — Nie wymaga to przecież żadnego wysiłku, prawda?

— Absolutnie żadnego — zapewnił go przyjaciel, nie przerywając zucia — a czegoś podobnie wspaniałego byliśmy pozbawieni przez kilka lat! Więc trzeba być wdzięcznym.

Po tych słowach do rozmowy wtrąciła się Dagmara, córka Sonnenberga.

— Czy tylko to sprawia wam radość, bohaterowie? Mój Boże, jacy jesteście znużeni, rozpijaczeni i żarłocznici. Czy poza tym już nic was nie interesuje?

Mama Emma spojrzała na Ewę-Ingeborgę nakazującym wzrokiem i ta odezwała się pośpiesznie:

— Powinnaś być trochę bardziej opanowana, Dagmaro. Czasami zachowujesz się wprost prowokacyjnie! Ja naprawdę nie tak cię wychowałam!

— Taka się teraz zrobiłam, zwłaszcza kiedy muszę patrzeć na to wszystko — odburknęła Dagmara. — Kto żyw, tylko się opycha! Zupełnie jakby ten Hitler nie był winien niczemu więcej jak tylko temu, że przez całe lata nie mogliście najeść się wieprzowej pieczeni. A może trafniej byłoby powiedzieć „nażreć się”?

— Och, ta nieszczęsna młodzieńcza paplanina — zawołał Greiner, wchodząc w tym momencie w rolę prawdziwego dziadka. — Po prostu nie sposób tego wyplenić!

— Tak samo jak u nas, Niemców, hitlerowskiej sraczki!

— Proszę cię, Dagmaro — powiedziała surowo matka, zachęcona spojrzeniem pani Emmy — bądź uprzejma mieć wzgląd na swego ojca i jego gościa! Zechciej pamiętać, skąd powrócili.

— Tylko bez sporów! — prawie ze łzami w oczach prosił mistrz Adam. — Nieporozumienia można załagodzić cierpliwością, wyrozumiałością i tolerancją! Nie jesteś tego samego zdania, Zygfyrdzie?

Zygfyrd, najedzony do syta, przechylił się w krzesło do tyłu. Patrzył na otaczających go ludzi z pogodą i życzliwością, które odczuwał także wobec swojej córki Dagmary. Natomiast dziewczynę po raz pierwszy zastanowiło coś, co Brandin zauważył już dawno: ojciec miał jasno połyskujące, chytre jak u lisa oczy! Jej udawane oburzenie ustąpiło miejsca zaczajonej ciekawości.

Zygfyrd Sonnenberg zaś, wygodnie wyciągnięty, powiedział:

— Przede wszystkim muszę poruszyć kilka podstawowych spraw.

Od razu wyjaśnił, co ma na myśli. Po pierwsze, salon fryzjerski Adama należy przedzielić przepierzeniem. Mniejszą część przeznaczony się dla klienteli męskiej, większą dla damskiej. Po drugie, trzeba wstawić znacznie więcej luster, pokrywając nimi całe ściany, ażeby lokal rozjaśnić i stworzyć w nim właściwą atmosferę. Po trzecie, konieczne jest wystaranie się o różne podstawowe środki, niezbędne do pielęgnacji i układania włosów, jak olejki, mydła, tłuszcze, a także czysty alkohol. I to w okazałych ilościach.

— Słuszne spostrzeżenie, bardzo trafne, wszystko jest absolutnie niezbędne! — Mistrz Adam na znak zgody wygłosił niemal hymn pochwalny. — Tylko jak to zdobyć? Stolarza do przepierzenia mógłbym wystraszyć pod warunkiem, że będziesz chesał jego żonę. W Rosenburgu znów mają całe lustrzane ściany. Może tam da się coś wskórać, bo Werners lubi pieniądze. Ale środki do pielęgnacji to u nas wciąż jeszcze towar deficytowy. Tylko jedna osoba mogłaby ich dostarczyć: mister Frankfurter, który z twoją siostrą... — spojrzał w stronę mamy Emmy. — To jednak byłoby chyba zbyt śmiałe?

— Stanowczo zbyt śmiałe! — przytaknęła energicznie. — Dotychczas dostarczał nam jedynie trunków i konserw. Bardzo wielkodusznie, ze względu na Erykę. Ale mnie to się nigdy specjalnie nie podobało.

Dagmara wybuchnęła radosno-szyderczym śmiechem, po czym jeszcze raz wtrąciła się do rozmowy:

— A ty z pewnością stale się nim brzydziłaś, co? Przypuszczalnie dlatego, że to Żyd! Co jednak, droga babciu, wcale ci nie przeszkadzało żyć jego kosztem, podobnie jak nam wszystkim, i to wcale nieźle. Wydaje ci się jednak, że teraz powoli staje się on niepotrzebny. Ale mojemu kochanemu tatusiowi jeszcze nie! Tata go bardzo potrzebuje z uwagi na tak zwane podstawowe środki, które będzie potem wcierał we włosy starym babom.

— Cóż to za okropne zachowanie! — wyrzuciła z siebie ogromnie oburzona mama Emma. — Czy musimy znosić coś podobnego?

Wówczas niezwłocznie wkroczył do akcji pan Greiner.

— To oczywiście, Dagmaro, że nie jesteśmy żadnymi tam antysemitami. Nie mamy absolutnie nic przeciwko naszym żydowskim bliźnim. Tym bardziej że wówczas, w pierwszych miesiącach po wojnie, skwapliwie chwytałyśmy się każdej deski ratunku. Osiągnęliśmy wtedy samo dno bytowania. Zostaliśmy doświadczeni najzupełniej niewinnie.

— Ale teraz — domyślała się Dagmara — nie są wam już potrzebni Żydzi z amerykańskich wojsk okupacyjnych?

Stary mistrz Adam aż zaniemówił z przerażenia. Jednak Brandin uśmiechnął się życzliwie do Dagmary, również oczy taty Zygfyda wydawały się dodawać jej otuchy. Ewa-Ingeborga spojrzała z niepokojem na pana Greinera i panią Emmę. Trzymali się za ręce, jak gdyby uspokajając się wzajemnie.

Następnie mama Emma, bardzo opanowana, ale zapewne mądrze przewidując skutek, powiedziała:

— Pozwalasz się ponosić domysłom, Dagmaro, ale są one całkiem bezpodstawne. Jeżeli mnie w tej sprawie coś się nie podobało i ciągle jeszcze nie podoba, to tylko ten niejasny i wątpliwy ich wzajemny stosunek. Nie są małżeństwem, a żyją razem!

— Ale robią to bardzo chętnie, babciu!

— Jednak to nie zgadza się z naszą moralnością, o której należałoby sobie przypomnieć! Powinni się wreszcie pobrać albo rozejść. Czy nie myślisz tak samo, Zygfydzie?

Zebrani spodziewali się po nim zbyt wiele, co też usiłował dać im do zrozumienia.

— Potrzebuję trochę czasu, by to osądzić!

— Ostatecznie — odezwał się z uśmiechem Tomasz Brandin — podobno nawet Pan Bóg potrzebował sześciu dni, by stworzyć świat. A my jak długo tu jesteśmy?

— Bardzo słuszna uwaga! — stwierdził z właściwą sobie żywością Greiner. — I któż z nas jest Bogiem?

— Jednak niektórzy sprawiają wrażenie, jakby się nim czuli — powiedział Zygfyd.

Mama Emma załagodziła sytuację.

— Oto właściwa droga! Byle tylko niczego nie burzyć! To właśnie powinnaś zrozumieć, Dagmaro. A poza tym przygotowałam dla ciebie twój ulubiony przysmak: omlet cesarski ze świeżych jajek, z mnóstwem rodzynków, obficie posypany cukrem! Co na to powiesz?

Dagmara nie dała się jednak udobruchać w żaden sposób; każdy objaw łagodności wydawał się jej nad wyraz podejrzany. Odpowiednio do stanu ducha reagowała nie kontrolowanymi wybuchami wściekłości.

— Sami nie zdajecie sobie sprawy, jaką jesteście zafajdaną zgrają! Matka, bez skrupułów tyranizująca syna przy gorliwym poparciu rzekomego dziadka! Dalej żona, która tylko stara się bezwstydnie wykorzystać męża. I do tego jeszcze siostra, zdobywająca pokazne korzyści w łóżku amerykańskiego Żyda. A wszystko to rzekomo dla dobra rodziny!

Pomimo wszystko Zygfyd popatrzył na córkę z aprobatą.

— Tylko tak dalej! A co poza tym?

— By nie mówić zbyt wiele, powiem jeszcze o nieświadomym wykorzystywaniu swojej osoby dobrotliwym niedołądze! — wyrzucił z siebie gniewnie podlotek. — O panu mówię, panie Adamie! Pan wie, że lubię pana, i to bardzo. Ale musiałam to kiedyś wreszcie powiedzieć!

— Oj, dziecko, dziecko! — Tylko tyle był w stanie wykrztusić stary mistrz. — Dokąd nas to zaprowadzi?

— No dobrze — orzekła z oburzeniem mama Emma. — Skoro oplułaś już wszystkich, możesz odejść!

— Zdaje mi się, że ona jednak jeszcze nie wszystko powiedziała. — Zygfyd Sonnenberg spoglądał na swoją Dagmarę z zaciekawieniem. — Przecież ta kolekcja niedwuznacznych epitetów nie jest kompletna. Czyżbyś zapomniała o mnie?

— Jeżeli chcesz to koniecznie usłyszeć, kochany tatusiu, to czemuż by nie? — Głos Dagmary stawał się piskliwy, chwilami traciła oddech. — Bardzo łatwo zauważyć, że obaj, Tomasz i ty, chcecie tylko, by wam nikt nie przeszkadzał w realizacji waszych prywatnych zamierzeń lub tego, co za nie uważacie. Zupełnie jak staromodna para małżeńska,

która nareszcie odgrodziła się od świata drutem kolczastym i idzie na wszelkie możliwe ustępstwa, byle tylko spokojnie spędzać dnie i noc. Stwierdzenia te były tak zuchwałe, że prawie wszystkim obecnym odebrały mowę. Z wyjątkiem jednej tylko osoby — Tomasza Brandina. Dopytywał się teraz ciekawie:

— Powiedz, Dagmaro, jak właściwie na to wpadłaś?

— Instykt, wycucie, spostrzegawczość! — zawołała prowokacyjnie. — A może jesteś w stanie dowieść mi, że moje przypuszczenia są fałszywe?

— W każdej chwili, Dagmaro! Z miejsca. Tylko po co miałbym to robić? Bardzo ci na tym zależy?

— A jeżeli powiem „tak”, to co wtedy, Tomaszu?

Na Zygfrydzie Sonnenbergu jako jedynym, jak się zdawało, cała ta scena nie zrobiła żadnego wrażenia; właściwie bawiła go.

— Twierdzenia, przypuszczenia, komentarze można wypowiadać w każdej chwili w dowolnej ilości. Ale czego tylko tkniemy, w dłoni pozostanie nam jedynie rzadki muł, przeciekający między palcami. Pomimo to trzeba sobie jeszcze zadać pytanie, czy z tego czasem nie da się czegoś zrobić.

— Brawo, mój synu! — zawołała do niego mama Emma. — Zrób coś z tego! Ty potrafisz!

W godzinach popołudniowych Zygfryd Sonnenberg udał się do ukochanej siostry Eryki. Odnalazł ją na obrzeżu Rosenburga w domu, w którym od kilku lat zamieszkiwała razem z Johnem Frankfurterem. Budowlę tę, pomyślaną jako willa, wystawił sobie kiedyś za państwowe pieniądze pewien wyższy funkcjonariusz SS. Luksusowa buda była odpowiednio wykończona — niezdarne belki, dużo zimnego marmuru i ciemności jak w zamku rycerskim. Jednakże Eryka potrafiła wnieść ciepło nawet w tę dostojną atmosferę, stworzoną przez ludzi z narodów panów. Osiągnęła to dzięki delikatnym, przejrzyстым firankom, jasnym tapetom i wzorzystym wschodnim kobiercom. Zapanowała tu prostota i wygoda.

Odczuwało się je tym mocniej, że Eryka wprost promieniowała serdecznością. Zygfryd zrozumiał to od razu. Siostra uściskała go i zaprowadziła do Johna. John siedział przy biurku. Był szczerze

uradowany odwiedzinami Zygryda. Wyszedł mu na spotkanie i zawołał:

— Witam cię serdecznie!

— Bardzo bym chciał być serdecznie przyjmowany — powiedział szczerze Zygryd — jednak muszę was trochę rozczarować. Prawdę mówiąc, przychodzę tu nie po to, by złożyć wam grzecznościową wizytę. Raczej chciałbym od was co nieco wyprosić. Sądzę jednak, że pan jest przyzwyczajony do petentów.

— Rzeczywiście, Zygrydzie — spokojnie potwierdził Frankfurter — ale też ze względu na Erykę coraz częściej zajmuję się nimi i robię to chętnie. Gotów jestem zająć się zwłaszcza panem. Bardzo mi zależy na tym, by się czymś panu przysłużyć. Uwielbiam i kocham pańską siostrę. Sądzę, że trafnie domyślam się, co łączy was oboje. Proszę mi jednak najpierw powiedzieć, czego się pan napije.

— Tego samego, co pan.

— Przed nadejściem wieczoru — powiedział John — uznaję głównie wodę mineralną.

— Bardzo mi odpowiada ten wybór.

Rozsiedli się w dużym pokoju na parterze, w obszernym, szeroko rozstawionym zespole wypoczynkowym, złożonym z foteli i kanapy. Wraz z nimi ulokowała się Eryka. Usiadła tuż obok Johna, jak gdyby szukając jego opieki, on zaś objął ją czule.

Zygryd przyglądał się obojgu z baczną uwagą. Nabierał pewności, że oto ma przed sobą dwoje kochających się ludzi. Nawiązanie z nimi serdecznego kontaktu nie sprawiło mu trudności.

Spontanicznie powiedział:

— Jesteście ze sobą szczęśliwi, to się wyczuwa.

— Wiedziałam, że to zauważysz — powiedziała Eryka, wdzięczna i uszczęśliwiona.

— Ale zapewne patrzy pan na nas nie bez pewnych zastrzeżeń — powiedział John Frankfurter, uśmiechając się wyrozumiale. — Na pewno chciałby pan zadać nam parę konkretnych pytań. To dobrze. Pan, przede wszystkim pan, ma do tego niezaprzeczone prawo. Na przykład, dlaczego Eryka i ja dotychczas nie pobraliśmy się.

— No dobrze. Jak mi się zdaje, pan czeka na to pytanie, a więc zadaję je. Dlaczego?

— Jest kilka przyczyn, Zygrydzie. — Pogodna życzliwość Frankfur-

tera mieszała się z odrobiną niepokoju. — Po pierwsze ta, że gdybyśmy mieli wziąć ślub, mama Emma obstawalaby przy związku pobłogosławionym przez Kościół. Ja byłbym natomiast za tym, by ceremonia ślubna odbyła się według obrzędów mojej religii, to znaczy żydowskiej. Ale nie chcę tego żądać od Eryki.

— Ależ możesz, a nawet powinienes — zdecydowanie oświadczyła Eryka.

— Nie mogę, zresztą nie wolno mi tego robić, Eryko, kochanie. Muszę mieć wzgląd na twoją rodzinę.

— Już nie musisz — zawołała — zwłaszcza teraz, kiedy Zygfryd jest tu z powrotem! Teraz on jest tak zwaną głową naszej rodziny, zgodnie z niepisanim, ale wciąż jeszcze przestrzeganim prawem. O ile go znam, nie będzie miał żadnych zastrzeżeń co do naszego ślubu, niezależnie od obrzędu, w jakim się odbędzie. Prawda?

— Zgadza się — potwierdził Zygfryd, patrząc tkliwie na siostrę — ale w najbliższym czasie nie obiecuj sobie zbyt wiele pod tym względem.

— Przynajmniej dopóty, dopóki rządzi tu jeszcze mama — od razu domyśliła się Eryka. — Czy to chciałeś powiedzieć?

Skinął głową.

— Nasza mama w ciągu długich niestety lat mojej nieobecności, ale nie tylko w tym czasie, zdołała gruntownie opanować sytuację w rodzinie. Ale troszczyła się też o nią, osłaniała jak kwoka i broniła jej jak pies łańcuchowy. Do tego wszystkiego należy się odnieść z szacunkiem. Nie można tak po prostu, z dnia na dzień, zapomnieć o tym albo przejść nad tym do porządku.

— Zapewne chcesz przez to powiedzieć — domyśliła się Eryka — że potrzebujesz czasu, ażeby się z tym uporać, a my musimy się z tym pogodzić. No dobrze, zastosujemy się do twoich życzeń. Tylko jak długo ma to trwać?

— Będzie to oczywiście zależało od tego, jak dalece uda mi się uporządkować panujące tu stosunki, tak by można uznać je za normalne. Właśnie w tej dziedzinie liczę na pańską, Johnie, wciąż jeszcze wpływową pozycję i wynikające stąd możliwości.

Frankfurter uśmiechnął się niby to z aprobatą, nie wypuszczając z objęć Eryki.

— Pozycja — powiedział — możliwości, wpływ? — Potrząsnął głową. — Tak było kiedyś, Zygfrydzie.

Bądź co bądź jest pan wciąż jeszcze kapitanem armii Stanów Zjednoczonych. Zatem nadal przysługują panu poważne uprawnienia, zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznego i finansowego rozwoju naszego powiatu. Mając je, można zdziałać niesłychanie wiele.

— Ogromna pomyłka, Zygrydzie — stwierdził John z nutką żalu w głosie. — W żadnym wypadku nie jestem tu kimś w rodzaju amerykańskiego gauleitera o rozległych uprawnieniach, jak uważają niektórzy. Większość Niemców pozostających pod moją opieką zdołała sobie chyba dość dobrze uświadomić, że nie jestem nikim więcej, jak tylko urzędnikiem opiekuńczym ustanowionym na ten obszar. Moje kompetencje ograniczają się do udzielania pomocy we wprowadzaniu demokracji, wpływy zaś szybko maleją.

— Zatem jest pan jedynie narzędziem — powiedział Zygryd Sonnenberg — jednym z wielu kółek, częścią mechanizmu gigantycznego walca wyrównującego teren. Być może z zadaniem przerobienia pozostawionego przez hitleryzm społeczeństwa na porządnych ludzi. A właściwie po co?

— Wydaje mi się, Zygrydzie, że potrafi pan pewne rzeczy przewidzieć — odrzekł John Frankfurter — ale nie może pan wiedzieć, co naprawdę może jeszcze spotkać nas względnie pana osobiście. Chodzi o wskrzeszenie pańskich Niemiec. Proces ten będzie się mianowicie tolerować, a może nawet wspierać. Nawet w sensie militarnym.

Zygryd poczuł się tak, jakby go kto pobudzał do śmiechu na cały głos. Nie roześmiał się jednak. Powstrzymała go od tego powaga malująca się na twarzy Johna Frankfurtera, przypominającej wizerunek bizantyjskiego anioła.

— Czyż my, Niemcy, nie doszliśmy do kresu, do punktu zerowego? Czy nie staliśmy się w dziejach świata narodem ludzi trędowatych, winnym śmierci milionów? Narodem, który wydał mnóstwo przestępców wojennych, rozsianych po całym kraju, nie wyłączając naszego Rosenburga?

— Zygrydzie, to było dawno.

— A cóż się zmieniło, Johnie?

— Niemcy, a przynajmniej ich zachodnia resztką, stały się nadzwyczaj cennym sezonowym artykułem przetargu międzynarodowego. Niedługo będziecie znów potrzebni. I to bardzo pilnie.

— Co? Ten świat gruzów?

— Ale ten świat jest nadal zaludniony, ludzi jest dużo i, jak się zdaje, można ich wykorzystać. Ponadto wykazują oni szczególne cechy, które dziś widocznie znów zaczynają być w cenie: wytrwałość, cierpliwość i niezniszczalną energię. Idealny typ wańki-wstańki!

— A więc przy pomocy tych widocznie dość pokaźnych pozostałości po bohaterach zamyśla się coś jeszcze zaaranżować?

— Przypuszczalnie bardzo wiele. Bo właśnie tego typu osobnicy są bardzo poszukiwani. Mogą się przydać do stawienia oporu potencjalnemu wrogowi zachodniego świata, Związkowi Sowieckiemu.

Zygryd był szczerze przerażony.

— Wydaje mi się, że to kompletny obłąd!

— Jestem tego samego zdania — gorliwie zgodziła się Eryka — ale ja bym to sformułowała trochę inaczej. Wydaje mi się, że John ma na ten temat zbyt katastroficzne wyobrażenia.

— Jeśli o to chodzi, moja kochana, musisz uwzględnić moją niepokromioną żydowską wyobraźnię i moje doświadczenie życiowe.

Zygryd Sonnenberg uznał, że na podstawie swoich bogatych doświadczeń ma prawo stwierdzić:

— Nasze Niemcy zdążyły tymczasem znaleźć się na zadupiu świata! Mamy na sumieniu nie tylko Europę, ale też inne kontynenty. Światowa wojna, którą rozpętaliśmy, kosztowała około stu milionów ofiar! Wśród nich było także pięć do sześciu milionów ludzi pańskiego, żydowskiego, wyznania; pozabijano ich, zagazowano, spalono! I teraz wy, Amerykanie, którzy nie bardzo moglibyście istnieć bez swoich Żydów, chcecie ponownie uaktywnić tych samych Niemców?

— Sytuacja nie dojrzała jeszcze do podjęcia decyzji, ale wszystko wskazuje na to, że raczej nieuniknione staną się działania w tym kierunku.

— Nawet razem z ludźmi typu Wernersa?

— Tego na pewno nie da się uniknąć. I on, i inni jemu podobni chyba już coś wietrzą. Nadarza się dla nich okazja. Zmiany nie dokonają się z dnia na dzień, ale w ciągu dwóch lub trzech lat na pewno!

— Trzy lata — zastanowił się Zygryd — to co najmniej tysiąc dni! A w ciągu tysiąca dni może się jeszcze zdarzyć niejedno. W ciągu tego czasu, jak trafnie mówi niemieckie przysłowie, moglibyśmy spróbować dokładnie ostrzec swoje owieczki. Tym sposobem uporządkowalibyśmy zarówno sprawy osobiste, jak i nasze wspólne interesy. Czy mogę pod tym względem liczyć na pana, Johnie?

— Jestem gotów na to, Zygfrydzie.

Rozmowa zesłała nagle na tematy bardzo konkretne. Sonnenberg potrzebował bowiem olejów, tłuszczów, mydła, alkoholu i kremów kosmetycznych w każdej osiągalnej ilości. John mu to przyrzekł — ze względu na Erykę.

Tego samego dnia po południu Tomasz Brandin akurat dokładnie namydlał twarz policyjnego dygnitarza z Rosenburga, Jurgena Wiese, by go następnie ogolić, gdy nagle podbiegł do niego stary mistrz Adam.

— Daj, ja to zrobię! Bo tam ktoś czeka na ciebie, chłopcze.

— Gdzie?

— Przed domem, na ulicy. Ona chce koniecznie porozmawiać z tobą.

— Kto?

— No, właśnie ona! Dlaczego pytasz? Przecież dobrze wiesz, o kogo chodzi. Nie pozwól, by czekała. Każda inna niech czeka, ale nie ona! Zrobię za siebie tę robotę.

Tomasz zaczął starannie myć ręce. Tymczasem stary mistrz zajął się policjantem. Ten zaś próbował kolejny raz podkreślić, że nic nie ujdzie jego uwagi. Patrząc na odbicie Adama w lustrze, spytał nieco przyciszonym głosem:

— Dlaczego twój nowy pracownik znów urządza sobie przerwę?

— Ma randkę — szepnął znacząco Adam, nie przestając starannie mydlić jego twarzy.

Wiese był jednak rasowym policjantem.

— Randki w godzinach pracy? Czyżbyśmy rzeczywiście doszli już do stanu, w którym mało kto naprawdę wie, co to dyscyplina? Randka?! Ten Brandin dotychczas jeszcze nie zameldował się i nie przedstawił mi swoich dokumentów. Powinieneś tego dopilnować.

— Dobrze, Wiese. Polecę mu. Ale przypuszczam, że w tej chwili jesteś ciekaw, z kim się umówił?

Adam powiedział mu. Na to Wiese po prostu zdrętwiał. Na jego twarzy, przyuczonej do demonstrowania urzędowej powagi i służbowego zdecydowania, ukazał się wyraz zadumy.

— Cóż by to miało znaczyć? — zapytał. — Ten Brandin to zdaje się naprawdę godny uwagi typek! Trzeba go mieć dobrze na oku!

Tymczasem Brandin zdjął fryzjerski fartuch, oczyścił szczotką ma-

rynarke i wyszedł na zewnątrz. Tam, wśród uprzątniętych z miałkiego gruzu ruin, ujrzał osobę, którą spodziewał się spotkać.

Była to Izolda Werners, córka generała, w towarzystwie swego psa posokowca.

— On się wabi Pluto — powiedziała na powitanie. — Pluto wygląda co prawda na niesłychanie groźną bestię, ale jest stworzeniem zupełnie łagodnym. Może być całkiem dobroduszny i spokojny tak długo, aż mu polecę, by się zachował inaczej.

Pomimo wszystko Tomasz zbliżył się do Izoldy z pewną ostrożnością.

— Bądź co bądź tym razem nie zabrała pani ze sobą tego człowieka ze strzelbą, gotowego jej użyć. Czy mogę zatem uważać, że pani mnie w ten sposób poniekąd ośmiela?

Izolda była ubrana w luźny kostium myśliwski, który jednakże nie był w stanie należycie ukryć jej nader obfitych kształtów. Po pańsku wyniosłe, a nawet wyraźnie odpychającym tonem, powiedziała:

— Panie Brandin, jeśli tu przyszedłem, to wcale nie po to, aby okazać panu grzeczność, lecz raczej by wyjaśnić ewentualne nieporozumienie.

Przyglądał się jej z uprzejmym uśmiechem. Twarz miała lekko zaróżowioną w przedwieczornym blasku; operowy głos zdradzał siłę wyrazu, godną dzieł Wagnera. Brandin był skłonny delektować się jej wspaniałą, po trosze onieśmielającą go postacią.

— Niech mnie pani oświeci, panno Werners, co pani ma na myśli, mówiąc o nieporozumieniach? Chyba nie chodzi o zdarzenia, które dotyczą pani osoby w jakimś związku ze mną?

— Oczywiście nie! — odpowiedziała krótko. Jednocześnie przyciągnęła do siebie psa tak gwałtownie, że warknął groźnie na Brandina. — Jestem tu jedynie po to, by wyjaśnić parę rzeczy, ale nic takiego, co mogłoby w jakikolwiek sposób dotyczyć nas obojga. Proszę, niech pan przyjmie to do wiadomości. — Pospiesznie odwróciła się i niemal tanecznym krokiem ruszyła przed siebie.

Szła sama, ale jak gdyby zapraszając go do pójścia ze sobą.

Poszedł za nią nie zwlekając. Kroczył również za jej posokowcem, który teraz, jakby dla zmylenia, biegł obok niej truchcikiem, spokojny niby owieczka. Ciekawość Brandina rosła z każdym krokiem, coraz bardziej przyciągała też jego uwagę wspaniała germańska sylwetka Izoldy. Ona tymczasem zdążyła w kierunku dość zaniedbanego parku miejskiego. Tuż za parkiem rozciągały się wspomniane już kilkakrotnie Łąki Północne.

Zatrzymała się przy chybotałej, ale jeszcze dość wytrzymałej lawce.

— Usiądźmy tu!

Była to zachęta, ale jednocześnie rozkaz. Usiedli. Każde z nich na końcu tego urządzenia. Pluto, bez żadnej komendy, przycupnął między nimi.

Izolda pieszczotliwym ruchem pogłaskała tę bestię z piekła rodem, a ona lasiła się do niej. Potem powiedziała:

— Jeszcze raz panu radzę, panie Brandin, niech pan źle nie zrozumie motywów, które skłoniły mnie do tej rozmowy. W żadnym wypadku nie są one natury osobistej.

— Rozumiem i żałuję.

Opędziła się niechętnym ruchem ręki.

— Jestem tu tylko ze względu na mego ojca.

Brandin spojrział na nią uważnie.

— Czy to znaczy, że ojciec panią do tego nakłonił?

Izolda zareagowała dość gwałtownie, aż jej Pluto zaczął się niepokoić.

— Jeśli panu przypadkiem wydaje się, panie Brandin, że akurat mój ojciec mógłby mnie do tego nakłaniać, to pan go nie zna.

— Zatem przyszła pani z własnej inicjatywy, panno Werners, ażeby ze mną porozmawiać?

— Ale w żadnym razie o sprawach prywatnych, to znaczy osobistych! — Pluto warknął, niejako potwierdzając to, co mówiła jego pani.

— Niepokoi mnie tylko ewentualne nieporozumienie, jakie mogło zaistnieć w toku pańskiej rozmowy z moim ojcem. On naprawdę nie zasługuje na to. Dobrze by było, gdyby pan wytłumaczył to także swemu przyjacielowi, panu Sonnenbergowi.

— Och, czcigodna panno Izoldo, jeśli chodzi o niego, właściwie nie ma powodu do zmartwienia. Mój przyjaciel Zygryd, co już stało się widoczne, przyzwyczał się do istniejących obecnie stosunków i wymogów, chociaż początkowo szło mu to bardzo opornie. Już nawet zaczyna czuć się dobrze w obecnej sytuacji. Sądzi pani jednak, że pani ojca wciąż jeszcze drażnią pewne sprawy?

— Na pewno jest bardzo czuły, jeśli w grę wchodzi honor.

— A więc w tym rzecz? Dotychczas przypuszczałem, że chodzi jedynie o Łąki Północne i przyległe do nich grunty. Według powszechnej opinii można na nich zrobić świetny interes.

— Ależ nie o to chodzi, panie Brandin, to sprawa przecież zaledwie

drugorzędna, a może całkowicie uboczna! — Izolda sprawiała w tej chwili wrażenie osoby odważnej i zdecydowanej otwarcie wyjawić prawdę. — Chodzi przede wszystkim o rozpoczęcie wszystkiego od nowa. O naszą wspólną przyszłość!

Tomasz był zdumiony. Pochylił się bardziej, aby lepiej przyjrzeć się Izoldzie. Nie zbliżył się jednak do niej zanadto, bo przeszkodził mu w tym Pluto.

— Jestem zmuszony prosić, czcigodna panno Werners, by pani wyjaśniła mi to nieco dokładniej.

— Sądzę, panie Brandin, że nie jest pan w dostatecznym stopniu poinformowany o tym, że w naszym Rosenburgu od kilkadziesiąt lat istnieje coś w rodzaju politycznej rywalizacji, by nie powiedzieć wrogości. Chodzi mianowicie o rodziny Sonnenbergów i naszą. Zaczęło się to jeszcze, zanim dorósł ojciec Zygryda, maszynista kolejowy, który zawsze był bardzo niespokojnym duchem. Już dziadek Zygryda dał się poznać jako osobowość w najwyższym stopniu samowolna.

— A do tego jeszcze ta mama Emma!

— Tak, przyłączyła się do nich jeszcze ta kobieta! Kobiety myślą jednak znacznie bardziej realistycznie niż mężczyźni i dlatego przede wszystkim nastawione są na zachowanie, utrzymanie i obronę wszystkiego! Przypuszczam, panie Brandin, że nie jest pan głupcem, a więc rozumie, a przynajmniej pragnie mnie zrozumieć! Ze względu na swego przyjaciela.

Tomasz Brandin z niemałym trudem utrzymywał równowagę. Winę za to ponosił między innymi Pluto. Nie pozwalał Brandinowi na najmniejsze nawet zbliżenie do Izoldy, bo wydawało mu się to podejrzane.

— Mam zatem — usiłował podsumować rozmowę Brandin — tak urobić mego przyjaciela Zygryda, by zgodził się realizować z pani ojcem wspólny projekt?

— Byłby to z pewnością dobry początek — oświadczyła Izolda z ogromną ulgą — ale ja, proszę pana, wcale się tego nie domagałam. Podałam jedynie taką myśl. Gdyby pan jednak był gotów wyrzucić pod tym względem wpływ na pana Sonnenberga, byłabym panu wdzięczna. Bardzo!

— Gdyby mi pani jeszcze wyznała, czcigodna panno Izoldo, że znalazła się pani tu po trosze też ze względu na mnie, to czułbym się szczęśliwy.

Izolda Werners wlepiła oczy w Tomasza. Mocno przyciągnęła do siebie psa, ale on pomimo to prężył się groźnie do skoku.

— Tak i nie — powiedziała z wolna — tak, jeśli zechce mi pan pomóc w rozwiązaniu trudnych problemów mego ojca. Nie, gdyby pan przypadkiem próbował w jakikolwiek sposób zagarnąć mnie dla siebie. Na coś podobnego dotychczas nikt się nie poważył!

— Chętnie bym się poważył właśnie na to, Izoldo — mówiąc to, spojrzął na nią bardzo zdecydowanie. — Trudne by to było jednak do zrealizowania, przynajmniej w tej chwili, a już w żaden sposób w obecności pani piekielnego psa. Przy okazji naszego następnego spotkania niech go pani lepiej zostawi w domu.

— Może go zostawię, Tomaszu, ponieważ uważam, że pan jest rozsądny i taktowny. Jestem pewna, że nie zechce się pan wdawać w jakieś dwuznaczne historie. Przynajmniej ze mną. To mnie napawa ufnością co do nas obojga. Ale na razie chodzi o sprawy całkiem innej natury i znacznie bardziej pilne.

Niemal w tym samym czasie Zygfryd Sonnenberg znów oglądał swój na wpół zrujnowany dom rodzinny. Zachowując niezbędną ostrożność, wspiał się na górne piętro po stojącej tam już prymitywnej drabinie.

Chodząc na czworakach, dokładnie obejrzał strop, uszczelniony deskami, resztkami papy z dachu i kawałkami blachy. Z zadowoleniem stwierdził, że dom jest zupełnie dobrze zabezpieczony od deszczu, śniegu i żaru słonecznego. Jedynym fragmentem zagrażającym bezpieczeństwu była górna część fasady. Mogła ona zawalić się w każdej chwili nawet na skutek mocniejszego podmuchu wiatru. Bez trudu dawało się też samemu spowodować jej runięcie. Na przykład za pomocą belki ułożonej na podobieństwo dźwigni. Można by jej koniec wsunąć w któryś z otworów w ścianie, a potem podłożyć pod nią drewniany kłoc lub cegłę. Wystarczyłoby wtedy stąpnąć na belkę, a kilkotonowa masa gruzu natychmiast poruszyłaby się i runęła w dół. Po dokonaniu tego odkrycia Zygfryd usiadł na występie muru. Z zastanowieniem patrzył gdzieś przed siebie, a trwało to sporo czasu. Lecz wkrótce ktoś go wyrwał z ważkich i

dalekosiężnych rozmyślań.

Pojawił się mianowicie przybysz, który spoglądając w górę zawołał:

— Jestem tu, mój drogi! — Głos jego brzmiał jasno i rzeczowo, nie pozbawiony był jednak serdecznego od cienia. — Tak jak sobie życzyłeś. — Był to brat pięknej Margot, to znaczy adwokat, mieszkający obecnie w Monachium. Ucieszył się niezmiernie z niespodzianki, jaką sprawił Siegfriedowi. — Czyżbyś mnie nie oczekiwał tak szybko?

Sonnenberg zszedł zwinnie na ziemię i zbliżył się, wyciągając na powitanie obie dłonie. Uścisnęli je sobie z radością.

— Że też jest jeszcze na świecie ktoś taki jak ty!

— Wydawało mi się, że koniecznie powinienem się stawić na twoje wezwanie, Siegfriedzie! Wiesz przecież doskonale, czym można sobie kogo innego zobowiązać. Tylko prawdziwą przyjaźnią!

Sądziła, że są sami. Jednakże z piwnicy podglądała ich Klementina. Z ogromną ciekawością, lecz jednocześnie z nie ukrywanym zadowoleniem.

Stary mistrz Adam pofatygował się do mamy Emmy na górne piętro. Zależało mu bowiem stale na tym, by była ona zadowolona.

Jak zwykle zastał u niej, w dawnej własnej sypialni, tak zwanego dziadka Greinera. Zdążył się już przyzwyczaić także i do tego.

— Na coś się tu zanosi! — obwieścił im obojgu.

— Na co mianowicie? — zapytali zaciekawieni.

— Nasz Thomas Brandin miał odwiedziny ni mniej, ni więcej, tylko tej Izoldy Werners. Był z nią na spacerze! Co to może znaczyć?

Mama Emma roześmiała się z ulgą. Pan Greiner zawtórował jej beczaniem. Oboje mrugnęli do siebie z zadowoleniem.

— To przecież wspaniale!

— To, że ona próbuje wplątać w coś naszego Thomasa? — Adam spojrzał na nich speszony. — Po co ona tu się kręci?

— Ona jest bez reszty oddana swemu ojcu — oświecił go Greiner. — Będąc dobrze wychowaną osobą, odmiennie niż inne dzieci, nie uczyni nic, co nie odpowiadałoby interesom jej ojca. Moim zdaniem na tym polega prawdziwa solidarność rodzinna.

— Ale proszę mi powiedzieć — dopytywał się Adam — co ma z tym wspólnego ów Brandin?

— Jest przecież przyjacielem mego syna Siegfrieda — stwierdziła mama Emma — i słucha go.

— I to wyjaśnia wszystko — uzupełnił Greiner. Trudno było nie dostrzec radosnej satysfakcji tych dwojga. — Sytuacja rozwija się wprost wspaniale. Dzięki temu na pewno zyskamy więcej, niż spodziewaliśmy się. Jak się zdaje, ten chłopak ma jednak tęgą głowę!

Ukochany brat Margot, adwokat z Monachium, ruszył teraz wraz ze swoim przyjacielem Siegfriedem Sonnenbergiem na małą przechadzkę. Po jakichś dziesięciu minutach wylądowali w ocalałym „Frankońskim Dzbanie”, restauracji na obrzeżu ich niegdyś tak sielankowego miasteczka. Usiedli przy stoliku.

Gdy pojawił się wreszcie ktoś z obsługi, zaproponował im niechętnie wodę mineralną, piwo bezalkoholowe bądź wino z wodą sodową. Oni poprosili jednak, by przyszedł właściciel. Ten zbliżył się z ociąganiem, jednak skoro tylko się zorientował, kim są goście, stał się od razu uprzejmy

i osobiście podał im wysokiej klasy frankońskie wino w pękatej butelce z późnego zbioru rocznika 1933. Podziękowali mu, a gospodarz zapewnił:

— Z przyjemnością panom podaję, czcigodni panowie! Cieszę się, że mogę panów powitać jako swoich gości. Jes tem zawsze do usług. Pod każdym względem.

W milczeniu, delektując się, wypili pierwszy kieliszek wybornego trunku. Przy tym spoglądali na siebie znacząco. Następnie bardzo szybko przystąpili do rzeczy.

— O co więc chodzi, Siegfriedzie? — zapytał brat pięknej Margot.

— Tak całkiem dokładnie jeszcze nie wiem — wyznał Sonnenberg.

— W każdym razie mam zamiar odbudować swój dom, dom mojej rodziny.

— Wydaje mi się, że rozumiem — odrzekł nie zwlekając adwokat.

— Ale do tego potrzebny jest kapitał. Oczekujesz go ode mnie?

— Możesz mi zupełnie po prostu powiedzieć „nie”, mój drogi. Odniosę się do twojej decyzji z szacunkiem. Nie będę się czuł rozczarowany i nie zrobię ci najmniejszej wymówki.

— Wiem o tym, Siegfriedzie — powiedział brat Margot — ale domyślałam się, że zwracasz się do mnie nie tylko jako do przyjaciela, lub raczej, powiedzmy sobie, jako do zaprzyjaźnionego człowieka interesu. Przy tym prawdopodobnie jesteś w stanie wyobrazić sobie, że ja osobiście w ogóle nie posiadam sumy, jaka ci jest potrzebna w związku z twoim zamiarem. Gdybym miał te pieniądze, moglibyśmy zakończyć tę część naszej rozmowy. To oczywiste, że oddałbym ci do dyspozycji wszystkie środki.

— Ale ja bym ich nie przyjął! Myślałem natomiast o czym innym: o twoich kontaktach w sferze handlu nieruchomościami. Ten rodzaj handlu zapewne zdążył już na nowo rozkwitnąć.

— Ja także przez cały czas myślę o tym samym. Nie przewiduję szczególnych trudności w uzyskaniu sumy, którą uznasz za niezbędną. Zadaję sobie tylko pytanie, czy to jest naprawdę konieczne. O ile mi wiadomo, już wkrótce mógłbyś sprzedać za bardzo dobrą cenę część swego gruntu.

— Mógłbym, oczywiście — rzucił przeciągle Zygryd Sonnenberg.

Spoglądał przy tym przyjaźnie na adwokata, jak gdyby czekał, co jeszcze doda.

Wydawało się, że brat Margot coraz lepiej pojmuje, o co chodzi Zygfydowi. Ze zrozumieniem skinął głową.

— Prawdopodobnie liczysz się z pewnymi komplikacjami. Może z machinacjami niejakiego burmistrza Kahlersa, ale zapewne także z samowolą innych uczestników tej transakcji, na przykład niemieckonarodowego awanturnika Wernersa. Zamierzasz zabezpieczyć się przed tym?

— Właśnie tak. Czy mogę liczyć na to, że pomożesz mi odbudować dom? Nawet jeżeli rozwieje się nadzieja na tę drugą transakcję, którą ktoś tak podejrzanie mocno forsuje?

— Mogę ci to obiecać, Zygfydzie! Zwłaszcza jeśli przedstawiś mi odpowiednie zabezpieczenie, co jest konieczne. Na przykład nie tylko swoje wybitne uzdolnienia fryzjera i producenta, lecz także swoją własność ziemską.

— Mam nadzieję, że wiesz o poważnych trudnościach, z jakimi przyszło mi się borykać. Mianowicie zgodnie z testamentem mego ojca we wszelkich decyzjach związanych z wykorzystaniem Łąk Północnych absolutnie jednakowe uprawnienia ma dwoje spadkobierców: moja matka i ja.

— Ta przeszkoda wcale nie musi być nie do pokonania, Zygfydzie, chociaż w samej rzeczy wydaje się bardzo kłopotliwa. Spróbuj ją obejść w jakiś sposób, może okaże się on zaskakująco prosty. Albo dojdź do porozumienia. Cała reszta będzie już tylko dziecinną igraszką.

Zamilkli na dłuższą chwilę, jedynie delektując się winem rodem z Frankonii. Było ono wprost oszałamiająco ciężkie.

— Dla ciebie, Zygfydzie — zapewnił adwokat serdecznie — zrobiłbym wszystko, co tylko potrafię. Ze względu na moją siostrę Margot. Bo to, co zrobiłeś wówczas dla niej lub raczej dla nas obojga...

— To było zrozumiałe samo przez się. Nie warto tego wspominać. Powinieneś wreszcie o tym zapomnieć!

— Nigdy o tym nie zapomnę! — Brat Margot podniósł kieliszek i spojrzał przezeń, jakby chcąc blaskiem wina ozłocić swego rozmówcę. — O ile cię jednak znam, Zygfydzie, nie lubisz nic dawać w prezencie. Podobnie jak i ja. Nawiasem mówiąc, do zwyczajowego adwokackiego honorarium nie przywiązuje żadnej wagi.

— Zatem do czego, mój przyjacielu? Powiedz, a zrobię, co tylko będzie możliwe. No więc?

— Chodzi o Margot, moją ukochaną siostrę. — Adwokat pospiesznie wychylił kieliszek do dna, po czym znów go napełnił. Mówiąc dalej, nie patrzył na Zygfyda, lecz uporczywie przyglądał się kieliszкови. — Moja ukochana siostra Margot to stworzenie nadzwyczaj wrażliwe, bardzo potrzebuje miłości. Często była przy tym nieszczęśliwa, w niemałym stopniu też z mojej winy. Tylko ty jeden wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

— Nie wiem, mój drogi. Powinieneś to sobie wreszcie zapamiętać.

— No dobrze, już dobrze! — Z wdzięcznością położył ręce na rękach Zygfyda. — A jednak los Margot interesuje mnie niezmiernie. — Robił wrażenie, że chce w jakiś sposób naprawić to, co powiedział przed chwilą. — Ona miała oczywiście mnóstwo rozmaitych przyjaciół, przez co bardzo cierpiałem. Ale w tej chwili jest już zamężna, zresztą na skutek mojej dość pochopnie udzielonej pomocy. Małżeństwo to nie wydaje mi się zupełnie idealne. A jednak mogło być gorzej niż jest.

— Kiedy spotkałem Margot ponownie u siebie w salonie fryzjerskim — odrzekł Zygfyd Sonnenberg — sprawiała wrażenie osoby odprężonej, prawie radosnej.

— Opowiedziała mi o tym. I to z ożywieniem, od dawna u niej nie spotykany. Wydawało mi się, że gdy znów ujrzała ciebie,

naprawdę poczuła się niezwykle uszczęśliwiona.

— Dlaczegoż to?

— Pewnie z radości, że wreszcie odnalazła prawdziwego przyjaciela. Bo jesteś nim dla niej. A teraz ja ciebie proszę: spróbuj być nim naprawdę!

— Czy to jest twoje, że się tak wyrażę, roszczenie wzajemne?

— Jest to z mojej strony jedynie prośba i nic ponadto. Mam przy tym mocną nadzieję, że spełnienie tej próśb nie sprawi ci kłopotów.

— Absolutnie żadnych. Ale nie mogę ci nic obiecywać.
— Toteż wcale nie musisz — zapewnił go adwokat. Jakby przecząc swoim słowom, uśmiechnął się z niezwykłą ufnością. — Zawsze byłeś uczynny dla swoich przyjaciół, a tym bardziej będziesz uczynny teraz.
— Dlaczego tak sądzisz?
— Wydaje mi się, że twoja osobowość pozostała w istocie nie zmieniona; jesteś teraz tylko znacznie bardziej stanowczy i zdecydowany niż dawniej.
— Od tamtego czasu upłynęło co najmniej pięć lat. A były to lata z pewnością najgorsze w moim życiu. Właściwie nie sposób ich opisać.
— Oczywiście nie mogę wiedzieć o wszystkim, co się działo wokół ciebie, mój drogi. Jedno tylko można z pewnością stwierdzić: nie zdołało cię to zniszczyć. Dlatego chętnie bym się dowiedział, co musiało się wydarzyć, byś się stał takim, jakiego cię teraz oglądam.
— Rozmaite rzeczy — odpowiedział Siegfried, niemal z uśmiechem. *Zamówił* następną butelkę wina. — Wszystko odbywało się bardzo po ludzku. Oczywiście zależnie od okoliczności. Za każdym razem należy to rozumieć inaczej.

Czwarte interludium

Jak w owym czasie wspólnie próbowali przetrwać

Siegfried Sonnenberg leżał na swoim miejscu na pryczy. Oddychał z najwyższym trudem. Ciało miał rozpalone. Thomas Brandin zaopiekował się nim z oddaniem. Patrzył na leżącego obok Siegfrieda jak na własnego brata, a może nawet ojca. Całkiem niedawno stracił ojca w straszliwych okolicznościach. Teraz wmuszał w Siegfrieda tabletki, wlewał w niego herbatę. Zapas lekarstw, które skradł, a które na polecenie komendanta pozostawiono mu, wyczerpywał się powoli. Siegfried raz po raz wymiotował. Pomimo to Uporczywie się dopytywał:

—Dlaczego to robisz?

—Bo akurat tu jestem, chłopie! Myślę też sobie, że nie jest wykluczone, że kiedyś mnie przytrafi się to, co teraz tobie, i może znajdzie się ktoś, kto mi pomoże.

Po kilku dniach przy „trupiarni”, jak nazywano pryczę, na której leżeli obok siebie Thomas i Siegfried, pojawił się potężny, zwalisty mężczyzna. Nie musiał się przedstawiać. Wszyscy w obozie, w tej liczbie również Brandin, wiedzieli, że jest to Eichler, sierżant, herszt grupy, która kontrolowała sytuację wewnątrz tego przedsonka piekiel. Obejrzał Sonnenberga okiem znawcy i orzekł:

— Ten wykituje.

— Me sędzę — powiedział cicho Brandin. — Me chcę tak sędzić.

— W samej rzeczy trudno mieć coś przeciwko temu — stwierdził od niechcenia sierżant. — Jeden kolega opiekuje się drugim, to w porządku. Ale ten tu wyciągnie kopyta, ręczę ci. Kiedy już będzie po wszystkim, zameldujesz się u mnie.

Siegfried wciąż jednak żył. Także w parę dni później, kiedy w baraku pojawił się starszy szeregowy Vesper. Jako organizator wewnętrznej obozowej hierarchii był on, by tak rzec, prawą ręką sierżanta Eichlera. Był to nieduży człowieczyna o delikatnym prawie wyglądzie. Zbliżył się tanecznym krokiem, bez mała jak dziewczyna, a głos jego też zabrzmiał eunuchowato. Natomiast treść tego, co mówił, nie była zbyt łagodna.

— Co to ma znaczyć, chłopie! — powiedział do Brandina, spojrzawszy przedtem przelotnie na Sonnenberga. — Próbujesz może przedłużać to nędzne, nikomu niepotrzebne życie? To nie leży w naszym interesie. Marnujesz tylko lekarstwa, kiedy inni koledzy mogliby z nich skorzystać z lepszym skutkiem. A może nie wiesz, że ten Sonnenberg to wazeliniarz? Jak pluskwa uczepełił się Sowietów.

— Co mnie to obchodzi? — odrzekł Brandin. — Czy to w ogóle powinno mnie obchodzić? A poza tym zastanawiam się, za kogo albo za co właściwie się uważacie?

Vesper niemalże się zmartwił.

— Jeżeli tego nie wiesz, to źle, bardzo źle dla ciebie. Bo my tu dbamy o spokój, porządek i bezpieczeństwo, o sprawiedliwy podział żywienia i ochronę prawdziwych kolegów. Ale ta fryzjerska pluskwa nie należy do nich. Jasne?

— A co by było, gdyby dowiedział się o tym komendant?

— Czy to przypadkiem ma być pogróżka, ty gówniarzu?

— To tylko sugestia. Przemysł to sobie, kolego.

Vesper wycofał się, jakby przejęty nadzwyczajnym obrzydzeniem. Ale tylko po to, by zaraz pojawić się ponownie. Tym razem w towarzystwie sierżanta Eichlera. Za tymi dwoma iście niedźwiedzim truchtem toczył się jeszcze jeden stwór. Był to plutonowy Beckmann nazywany zabijaką, a czasem zabójcą.

Przemówił Eichler:

— Mamy zamiar porozmawiać z tobą, Brandin, po dobremu. Nie chcemy, by ci przypadkiem przychodziły do głowy głupie myśli. Co by cię w takim razie mogło spotkać, zaraz ci zwięźle powie kolega Beckmann.

Beckmann uczynił to niezwłocznie z prawdziwą ochotą. Zaaplikował mianowicie Brandinowi „nacieranie”. Ale takie łżejsze, zgodnie z zapowiedzią. Użył do tego zabiegu tylko nóg. Kopnął Brandina w kostki, a potem w podbrzusze. Brandin padł na ziemię, zwinął się i leżał bez słowa nieruchomo. Nagle z którejś z pobliskich pryczy odezwał się urywaniem starczym głosem trzęsący się mężczyzna. Nazywał się Schulze, miał niewiele ponad czterdzieści lat, był wygłodzony i wyniszczony gorączką. Brandin odstąpił mu kilka tabletek z tych, które przeznaczał dla Sonnenberga. Człowiek ten zaskrzeczał teraz ochryple:

— Ależ, koledzy! Przecież tak nie można robić!

Eichler zareagował natychmiast:

— Co śmiesz twierdzić, ty gówniarzu? — Potem ustąpił miejsca Beckmannowi, zabójcy, który już się zbliżał, gotów zająć się nową ofiarą.

Tymczasem Tomasz Brandin zdołał się pozbierać. Ból jeszcze nie zaćmił mu umysłu. Krzyknął ostrzegawczo do starego Schulzego:

— Trzymaj z łaski swojej język za zębami! Naprawdę nic nie widziałeś!

— No, widzisz! — stwierdził z zadowoleniem Eichler. — Już się trzymasz właściwej drogi. A na przyszłość, mam nadzieję, nie zboczysz z niej ani na włos!

Wyszedł, a jego asysta za nim: jeden krokiem tanecznym, drugi człapiąc jak niedźwiedź. Po raz któryś z rzędu przywołali swój światek do porządku. Miało to skutek wprowadzie tylko przejściowy, ale na razie jednoznaczny i przekonujący.

Dopiero po paru godzinach Tomasz Brandin wyszedł z baraku. Wyglądało na to, że pragnie tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Podreptał wszakże do latryny, która stale była przepełniona. Mnóstwo przykucniętych, zgarbionych postaci, tępo wpatrzonych przed siebie, wypinało do tyłu zadki, z których sączyła się krwawa breja. Przeszedł obok nich, nie zatrzymując się.

Jeszcze trochę pokluczył, wreszcie zbliżył się do bramy, która oddzielała obóz od budynków sowieckiej komendantury. Tu powiedział wartownikowi, że chce rozmawiać z panią doktor.

Dopuszczono go do niej. Sowiecki żołnierz zaprowadził go do baraku mieszczącego lazaret. Natasza ze znajomością rzeczy szybko zlustrowała go spojrzeniem.

— Jest pan naprawdę chory, Brandin. — Stwierdziła to nie bez zatroskania, lecz on skromnie udał, że tego nie zauważa.

— Pani doktor, przyszedłem poprosić, by pani zabrała Sonnenberga do swego szpitala.

— Nie mogę, nie wolno mi tego robić — zapewniła go z żalem, jakkolwiek zachowując pewien dystans. — Zgodnie z zasadami, których muszę przestrzegać, mam obowiązek leczyć tylko choroby, a nie obrażenia, bo jeńcy mogą je sobie zadawać wzajemnie. W ten sposób udaje im się nie tylko bezprawnie korzystać z opieki lekarskiej, ale w dodatku wyłudzać dla siebie lepsze wyżywienie.

— Możliwe. Ale może nie zawsze tak jest! — poddał jej pod rozagę Brandin. — Nie przypuszczam, by pani chciała pozbawić komendanta następnego eleganckiego strzyżenia. Jedno jest pewne: jeżeli pani nie pomoże Sonnenbergowi, on umrze.

Słyszając to, lekarka Natasza udała się do baraku szóstego. Przebadala Sonnenberga nadzwyczaj dokładnie i na koniec stwierdziła:

— Ten człowiek ma malarię, a więc do szpitala.

Sonnenberg z wrażenia aż się wyprostował, ze zdumieniem spojrzął na Nataszę i starając się przybrać zdecydowany ton, wystękał z wysiłkiem:

— Nie, bez niego nie pójdę! — Wskazywał przy tym na Brandina. — Jeżeli zostawię go samego, oni go zatłuką!

Lekarka Natasza przymknęła ciemne, błyszczące oczy. Potem nagle wskazując ręką na Brandina, oświadczyła:

— Pan przypuszczalnie ma także malarię. Zabierajcie się więc obaj do szpitala.

Dzięki temu na parę tygodni byli bezpieczni.

Konrad Kahlers, burmistrz w Rosenburgu-Nowym Osiedlu, zaniepokoił się, a być może odczuł nawet pewną obawę. Zatelefonował bowiem do niego przyjaciel z młodych lat, Jurgen Wiese, naczelnik policji.

— Zdaje się, że będziemy mieli pewne kłopoty z naszym Zygfydem. Być może będę musiał wkroczyć służbowo!

Burmistrz Kahlers natychmiast udał się na dół, do piwnic ratuszowych, gdzie mieściły się biura policji w Rosenburgu.

Przemierzając pokoje, by w końcu dojść do Wiesego, nie doznawał specjalnej satysfakcji z objawów szacunku, jaki mu okazywali urzędnicy.

Było mu tylko pilno zobaczyć się z szefem policji.

Ten siedział przy swoim biurku, zagrzebany w papierach. Odłożył na bok kilka z nich, a jeden podał Kahlersowi takim ruchem, jak by mu wręczał order na poduszce. Kahlers nie wziął go jednak do ręki.

— Tak dalej być nie może — orzekł Wiese — musisz im to wytłumaczyć. Bo pomimo całej życzliwości, przynajmniej w stosunku do Ewy-Ingeborgi, musiałbym przemówić językiem urzędowym, i to odpowiednio ostro. Zygfyd jest naszym przyjacielem, co uważam za bardzo zobowiązujące. Ty zapewne podobnie.

— Ja też, z pewnością! — potwierdził natychmiast Kahlers, pragnąc dotrzeć do sedna sprawy. — A o co właściwie chodzi, chłopie?

— O tego Brandina! O to, że niespieszno mu przedstawić dokumenty i zameldować się w policji. Zamiast to uczynić, większość czasu spędza na zajęciach nie budzących najmniejszego zaufania. Właśnie o tym należy niezwłocznie powiadomić naszego Zygfyda. Bo to, co robi ów Brandin, jak mogę się domyślić, na pewno nie jest po myśli Zygfyda.

— Cóż się właściwie ostatnio stało?

— Tego Brandina widziano, ni mniej, ni więcej, tylko w towarzystwie Izoldy Werners. Odbывał z nią przechadzkę. Prawie całą godzinę przesiedzieli na ławce w parku miejskim. Dziwisz się, co?

— Rzeczywiście dziwię się. Ale twojej żalostnej nieświadomości spraw dotyczących Zygfyda. Jestem mianowicie najzupełniej pewny, że dokładnie o tym wiedział, wyraził zgodę, a może nawet zachęcił Brandina.

— Nie żartuj, Konradzie. To przecież niemożliwe po tym wszystkim, co miało miejsce między Sonnenbergami a Wernersami! Przecież to była śmiertelna wprost nienawiść!

— Taka nienawiść nie musi przecież trwać wiecznie — powiedział Kahlers pobłażliwie, choć z odcieniem dezaprobaty. — Nie ma najmniejszego powodu martwić się o naszego Zygryda.

— Ależ ja muszę się martwić! Zwłaszcza ze względu na tę drugą sprawę, o której muszę z tobą zaraz pomówić. Mam na myśli wniosek o uznanie go za zmarłego.

— Jestem o tym poinformowany, Zygryd także. Zapomnij o sprawie jak najszybciej.

— Zapomnieć?! — zawołał Wiese, szczerze zdziwiony. — Po prostu zapomnieć o fakcie urzędowo zarejestrowanym? Przecież tego nie można, ot, tak sobie, uznać za niebyłe. Chcąc unieważnić orzeczenie o uznaniu zmarłego, wydane na podstawie wniosku, należałoby ponownie przedstawić odpowiedni wniosek: wniosek o unieważnienie. Musiałby to uczynić poprzedni wnioskodawca, a więc pani Emma Sonnenberg.

— No dobrze, więc zwróć się do niej!

— Zrobiłem to. Całkiem urzędowo. Wezwałem ją do wycofania wniosku. Na to udzieliła mi takiej odpowiedzi: „Przecież to absurd żądać od mnie czegoś podobnego. On żyje, jest tutaj, a więc nie zmarł!”

— To się zgadza! — przytaknął Kahlers i zaraz zrozumiał, jakie trudności wynikają z całej sprawy: na pewno niepotrzebne, a być może bardzo szkodliwe. — O Boże! Chłopie, nie przesadzaj, przynajmniej akurat nie teraz! Nie zapaskudź sprawy!

— Muszę się jedynie zastosować do przepisów służbowych — powiedział Wiese, usilnie starając się udawać ważną osobistość — a one stanowią, że dopóki wniosek o uznanie za zmarłego nie zostanie anulowany na drodze prawnej, dopóty nasz Zygryd oficjalnie nie istnieje. To właśnie należałoby mu niezwłocznie zakomunikować. Powinienem to uczynić ja. A może ty, jeśli ci na tym zależy.

— Nie przywiązuję do tego najmniejszej nawet wagi, Jurgenie — oświadczył Kahlers. Wiedział, że mama Emma byłaby temu przeciwna. Ona po prostu umiała wyciągnąć korzyść z każdej nadarzającej się okazji. Nawet z takiej, jak nieobecność syna! Jedno było w tym wszystkim pomyślnie dla Kahlersa: nareszcie oboje, to znaczy mama

Emma i on, działali zgodnie. Dlatego teraz, nastrojony nadzwyczaj przyjaźnie i wyrozumiale, powiedział: — Zwykle jesteś przecież człowiekiem bardzo rozważnym i zasługującym na zaufanie. Twoją zaletą była też zawsze pewna powściągliwość. Dlaczego teraz zaczynasz nas pouczać? — Po czym ostrzegł go już zupełnie bezceremonialnie: — Po prostu nie mogę zrozumieć, czemu ostatecznie tak bardzo ci zależy na tym, by ludzie uważali cię za idiotę?

— Czy mówisz tak dlatego, że zamierzam spełnić swój obowiązek? — Wiesie siedział w fotelu wyprostowany jak kukła. — Dlatego, że w potrzebie jestem po stronie przyjaciela, naszego przyjaciela? Czyżbyś przypadkiem chciał mi w tym przeszkodzić?

— To oczywiście, Jurgenie, że możesz robić wszystko, co uważasz za konieczne i słuszne. Ale w tym wypadku chętnie bym ci udzielił dobrej rady, na co przecież zawsze mi pozwalałeś. Przypomnij sobie, że to, co ci radziłem, zawsze było po twojej myśli. Robiłem to ze względu na przyjaźń, bo nasze drogi życiowe biegły bardzo blisko siebie, i dlatego, że moje korzyści były też twoimi korzyściami. I właśnie to samo, mój drogi, może mieć miejsce także w tym wypadku.

— W jaki sposób? — zainteresował się Wiesie.

— Nie martw się o Brandina, bo któż to w końcu jest. Przede wszystkim uważaj, Jurgenie, byś mi niepotrzebnie nie spłoszył naszego Zygryda! Stoimy w obliczu wielkich rozstrzygnięć, od których zależy przyszłość Rosenburga, a które, szczerze mówiąc, mogą mi jeszcze na dłuższy czas zapewnić pozycję burmistrza. Dzięki temu i ty mógłbyś się pewnie czuć na swoim stanowisku.

— No dobrze, już dobrze! — wybuchnął Jurgen. Kahlers za każdym razem potrafił go zgłębić. — Jednak nie mogę zrezygnować z przestrzegania podstawowych zasad urzędowego działania. Czuję się do tego zobowiązany.

— Toteż wcale nie musisz, Jurgenie. Znasz mnie przecież, niczego ci nie wmawiam i niczego od ciebie nie żądam. Tym razem tylko nakłaniam cię, byś się nie spieszył. Okaż trochę cierpliwości! Jeszcze tylko przez jakieś dwa, trzy dni, potem możesz zacząć działać. Jednak do tego czasu, mój drogi, że tak powiem, broń u nogi! Mogę na tobie polegać? Mogę? No, to świetnie, chłopie.

Późnym popołudniem tego dnia Zygfryd i Tomasz, kordialnie przygarnięci przez mistrza Adama, zapewne na polecenie mamy Emmy, stawili się w kuchni. Na stole stała ciepła jeszcze, pachnąca babka, przeznaczona wyłącznie dla nich, a na fajerce dzbanek prawdziwej kawy, pochodzącej niewątpliwie z dostaw Johna Frankfurtera.

Zabrali się z ochotą do jednego i do drugiego, a Tomasz Brandin ze śmiechem oświadczył:

— Chwilami wydaje mi się, że odbywam tu kurację tuczącą, ale muszę przyznać, że bardzo mi to odpowiada! Tobie także?

Zygfryd skinął głową, odłamał sobie kawał babki i obwąchał go jak pies obwąchuje kość.

— Zdziwiająca — powiedział w zamyśleniu — jak szybko człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, cokolwiek go w życiu spotyka.

— Od tego można się nabawić nieprzeciętnego rozstroju żołądka — powiedział Brandin, wciąż jednak zajadając ze smakiem — ale to nas chyba nie zniechęci, prawda?

Zygfryd Sonnenberg zauważył bijącą od przyjaciela niczym nie zmaconą wesołość. Nie miał mu jej za złe, korciło go jednak, by zgłębić jej przyczynę.

— Jak ci się dzisiaj powiodło? Tak samo dobrze jak mnie? Wiesz, jest to wielki błysk, tylko nie sposób od razu sprawdzić, co zdążył oświetlić.

— Zdaje mi się, że tak — potwierdził Tomasz Brandin — bo doznałem jedynej w swoim rodzaju przyjemności, mając możliwość porozmawiania z panną Izoldą Werners. Sama zachęciła mnie do rozmowy, a ja podczas niej czułem się tak, jakbym się znalazł na scenie operowej albo na festiwalu wagnerowskim w Bayreuth. Zatem trudno chyba twierdzić, że nie pozostaję pod głębokim wrażeniem! Chcesz wiedzieć, dlaczego?

— Chcę — zapewnił Zygfryd — ale dopiero po kawie. Mam ochotę podelektować się nią w niezamąconym spokoju.

Niemal uroczyście dopili kawę za zdrowie Johna Frankfurtera i Eryki, ukochanej siostry Zygfrйда. Potem Zygfryd usiłował dowiedzieć się czegoś od Tomasza.

— Czego ta Izolda mogła chcieć właśnie od ciebie?

— Dokładnie tego, czego się domyślasz! Usiłowała mnie do czegoś namówić! Wyglądało to tak, jakby wcześniej nagrała tekst na płytę,

a potem tylko go z niej odtwarzała. Chodziło jej mianowicie o to, że jej tata, godny najwyższego szacunku pan generał Werners, jest podobno kimś nadzwyczaj miłym, lecz pomimo to całkowicie nie docenianym. Stara się on bardzo dostosować do układów, które wytworzyły się ostatnio w Rosenburgu. Należałoby więc, jak dała do zrozumienia pójść mu na rękę, co mogłoby się zresztą opłacić.

— Opłacić? A komuż to? — zapytał ubawiony Zygfryd. — Temu Wernersowi? Mnie? A może także tobie?

— Bardzo możliwe. Ja też mógłbym wyciągnąć z tego pewne korzyści — dorzucił bezceremonialnie Brandin. — Myślę o Izoldzie Werners. To dziewczyna absolutnie niepowtarzalna lub, jeśli wolisz, niesłychanie obiecująca.

— Czy to ma być dowcip, czy też mówisz poważnie? — zapytał z niedowierzaniem Zygfryd.

— Niekoniecznie. Powinieneś jednak stale pamiętać, że jestem twoim przyjacielem, Zygfrydzie. Miej więc do mnie tyle zaufania, ile go masz do samego siebie. Dzięki temu moglibyśmy pozwolić sobie na niejedno.

— Bardzo możliwe, Tomaszu. Ale widzisz, zawsze dotychczas sądziłem, że jesteś tu wcale nie z osobistego upodobania, lecz raczej po to, by dokonać swoistych porachunków.

— Jedno nie musi wykluczać drugiego. Także zemstą nie musisz koniecznie sycić się na zimno. Dość łatwo wyobrazić sobie nawet wielką przyjemność, jaką można mieć przy tej okazji. Wydaje mi się, że właśnie nadarza się taka szansa.

— Z którą, jak uważasz, łączą się pewne ustępstwa?

— Takie ustępstwa nie muszą być nieodwracalne. Proszę cię, zastanów się tylko.

Zygfryd odłożył na bok nadgryziony kawał babki.

— Czy to znaczy, że chcesz mnie namówić, ażebym oficjalnie poszedł na ustępstwa ojcu twojej Izoldy? A przynajmniej dał jej to do zrozumienia? Tylko po to, by jej sprawić przyjemność, z czego ty mógłbyś później wyciągnąć korzyści?

— Mniej więcej tak powinieneś to rozumieć — z ożywieniem potwierdził Tomasz Brandin — ale nie zapominaj przy tym, że my dwaj uważamy za korzyść zupełnie coś innego niż ci ludzie, i to nie tylko w tym jednym wypadku. Czy wyraziłem się dość jasno? Zatem jeśli

teraz oficjalnie wkroczysz na ścieżkę pojednania, a przynajmniej dasz do zrozumienia, że tego chcesz, może się to opłacić, zresztą nie tylko mnie.

Zygryd patrzył na przyjaciela z coraz większym zainteresowaniem.

— To, co teraz wymyśliłeś, mocno przypomina mi coś z naszego poprzedniego wcielenia. Jak dawno to było? Parę miesięcy temu, czy też wiele lat?

— Nauka nie poszła w las.

— A więc zgoda, Tomasz! Przyjmuję twoją propozycję.

— Mogę powiadomić o tym Izoldę?

— Nie tylko możesz, ale nawet powinieneś. — Zygfryd Sonnenberg chwycił odłożony na bok kawał babki, ażeby go dojeść. Rozkosze tego świata nakładały się jedna na drugą. — Powiedz więc na ucho swojej Izoldzie, że pod twoim wpływem jestem przypuszczalnie gotów poczynić pewne ustępstwa. Ona na pewno wyśpiewa tę wiadomość swemu ojcu. Opowiesz to samo mojej kochanej mamie w razie, gdyby cię zapytała, co należy przyjąć za pewnik. Nie powinniśmy jej żałować tej przyjemności. A także naszemu Kahlersowi, bo ona go powiadomi natychmiast.

— Świetnie! — stwierdził mocno uradowany Tomasz Bran-din. — Rozumiemy się doskonale!

— A więc całkiem zbędne jest zapewnianie się o tym, że tak właśnie jest, nie uważasz?

Już wcześniej Konrad Kahlers, burmistrz, zaprosił na mającą odbyć się przed południem następnego dnia „konferencję” osoby zainteresowane perspektywami rozwoju Rosenburga. Impreza odbywała się w tak zwanej dużej sali obrad.

Pomieszczenie to było tylko nieznacznie uszkodzone. Belkowany strop, boazeria, posadzka, a także stół i krzesła — wszystko z ciemnego dębu, który wyglądał jak czymś oblepiony. Całe wyposażenie sali pochodziło jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Okna sprawiały jednak wrażenie całkiem nowych, lecz o wiele gorszej jakości, prowizorycznych. Wstawiono je długo po wielkim nocnym bombardowaniu.

Burmistrz Kahlers przezornie przyszedł pierwszy, by móc pojedynczo witać uczestników konferencji, co czynił w sposób wyraźnie serdeczny, przemawiając do nich niemal uroczyście. Powtarzał te same sformułowania, z niewielkimi tylko odchyleniami:

— I mam mocną nadzieję na dobrą, owocną współpracę...

Jako pierwszy wszedł Werners, generał w stanie spoczynku. Postawę miał godną, acz sztywną, ubrany był modnie, w stylu myśliwskim. Towarzyszyła mu córka Izolda. Prowadzi ona jego korespondencję, wyjaśnił burmistrzowi, i dotrzymuje mu towarzysztwa ze względu na stan jego zdrowia, gdyż wciąż jeszcze cierpi on na skutek niektórych przejść wojennych... Kahlers zapewnił, że całkowicie to rozumie.

Następnie przydreptali dwaj miejscy radni, obaj z tej samej partii, do której należał też burmistrz, podobno kompetentni w sprawach komunikacji i projektowania zabudowy. Wraz z nimi zjawił się przedstawiciel rządu federalnego, starszy radca stanu we właściwym ministerstwie. Ci trzech panowie byli uderzająco podobni do siebie. Robili wrażenie niepozornych, lecz rzeczowych, usiłowali też być bezstronni: jak idealni urzędnicy.

Dopiero w trzy minuty po oznaczonej godzinie ukazał się Sonnenberg, a wkrótce po nim Brandin.

— Mój przyjaciel — wyjaśnił Zygfyrd — przychodzi ze mną, ażeby mnie odholować w razie, gdyby zrobiło mi się tu niedobrze. To taki sposób zapobiegania ewentualnym skutkom niewoli wojennej. — Uśmiechnął się przy tym prosto w twarz przyglądającym mu się uczestnikom konferencji, lecz, jak się wydawało, rozmyślnie nie zważając na obecność Wernersa.

— Zatem zabierzmy się do pracy dla dobra naszego pięknego miasta rodzinnego — powiedział Kahlers, a następnie wskazał obecnym przewidziane dla nich miejsca. Sam zasiadł za jednym z węższych boków stołu. Na prawo od niego miał możliwość ulokować się Werners z córką Izoldą. Zygfyrdowi i jego koledze Brandinowi wskazał gestem, by zasiedli po lewej stronie. Pozostali trzech panowie, z przedstawicielem rządu federalnego pośrodku, usadowili się naprzeciwko.

Konrad Kahlers zagaił „konferencję” — tak uparcie, na swój sposób oficjalnie, nazywał to robocze spotkanie. Oświadczył, że dziękuje uprzejmie szanownym zebrany za przybycie i ma mocną nadzieję, że dziś odbędzie się decydująca rozmowa, która uwzględni interesy wszystkich, zarówno obecnych osób, jak i całej miejscowej społeczności, a także kraju i federacji. — A teraz niech mi będzie wolno poprosić pana przedstawiciela ministerstwa komunikacji o wygłoszenie podstawowego referatu.

Atmosfera w pokoju była nadzwyczaj napięta, a jednocześnie jakby wyciszona. Prawie wszyscy uczestnicy konferencji, jak się wydawało, zajęli się przeglądaniem przedstawionych sobie dokumentów. Izolda spojrziała pytająco na Tomasza, który skinął w jej stronę głową. W geście tym kryła się poufałość i obietnica zarazem. Ona zaś zaczerwieniła się, wyraźnie ucieszona. Następnie krótko poszeptała z ojcem. On natomiast wyprostował się na tyle, na ile było to w jego wypadku możliwe.

Tymczasem przedstawiciel rządu federalnego już wygłaszał referat, o który go poproszono na wstępie. Wszystko, o czym mówił, było przeważnie znane. Wiedział o tym, co jednak nie przeszkadzało mu wypowiadać rozwlekłych komunałów urzędniczych, normalnych w podobnych okolicznościach, tym razem na temat Łąk Północnych i przyległych gruntów. Było to podobno potrzebne, by tak rzec, ze względu na interes ogółu.

Potem skwapliwie rozłożył przed zebranymi mapę z umieszczoną w samym jej środku gminą Rosenberg. Czerwonym, odbijającym od tła kolorem zaznaczono na niej określone zmiany w terenie, czyli właśnie „regulacje”. Odpowiadały one zaplanowanemu systemowi zjazdów i wjazdów na trójpaszową w każdym kierunku autostradę, o której budowie już zdecydowano, zapewniając na ten cel środki finansowe.

— Jest to przedsięwzięcie jedyne w swoim rodzaju. Dzięki niemu nastąpi rozkwit Rosenburga!

Konrad Kahlers także był tego świadom, toteż żwawo obwieścił:

— Nie widzę żadnych trudności, przynajmniej w tej chwili już nie. — Rozejrzał się wokół, po czym zatrzymał wzrok na Zygfrydzie. — Odnosnie do tej sprawy brak nam jedynie mającej zasadnicze znaczenie zgody naszego szanownego współobywatela Sonnenberga. Obecnie jednak możemy być jej pewni. Prawda, Zygfrydzie?

Zygfryd nadzwyczaj uprzejmie skłonił głowę na znak zgody, a zarazem po raz pierwszy obrzucił Wernersa lekko przymglonym spojrzeniem pokerzysty.

— W każdym razie nie będzie mojej winy, jeśli projekt ten kiedykolwiek spełźnie na niczym.

— Ani mojej! — dorzucił pospiesznie Werners.

Był już pewny swego, a niepoślednie znaczenie miały w tym względzie wskazówki jego córki Izoldy. Sądził, że jest w stanie przejrzeć tego Sonnenberga, który teraz powinien być gotów do poważnych ustępstw.

A zresztą, któż to w ogóle jest? Nie zorientowany w polityce pieniacz! Owszem, bardzo zręczny fryzjer, posiadający ruinę domu i kawał podmokłej łąki. Kim natomiast jest on sam, Werners? Wciąż jeszcze panem na Rosenburgu wraz z przyległymi polami, łąkami i lasami, a w dodatku z generalską pensją! Poza tym wszystkim ma do dyspozycji jeszcze inne dochody z umów dzierżawnych i udzielonych pożyczek. To wszystko sprawiło, że czuł ogromną własną przewagę. Toteż postanowił okazać ją natychmiast, przede wszystkim w sprawie natury zasadniczej.

— Jak wszyscy panowie wiecie, prezentowałem się tu zawsze jako przykładnie aktywny obywatel i kolega. Poniosłem też poważne straty, w niemałej części w czasie wojny. Zostałem oszukany i podle wykozystany przez tego Hitlera, podobnie zresztą jak wszyscy. Ale zdziwiło mnie mocno, bym nie powiedział: boleśnie dotknęło, gdy spostrzegłem, że w swoim własnym mieście staję się obiektem obraźliwych posądzeń i oszczerczych zarzutów.

KahAers by\ do giębi przerażony widząc, jakim toiem potoczyła się konferencja. Werners grał po prostu zbyt wysoko. Brakło jednak czasu na zastanawianie się, kto lub co mogło go skłonić do urządzenia takiego widowiska.

— Ależ, na miłość boską, szanowny panie Werners! — odezwał się prawie błagalnie zaniepokojony burmistrz. — Na tego rodzaju nieporozumienia i pomyłki byliśmy narażeni w większym lub mniejszym stopniu my wszyscy. Ale to przecież należy już do przeszłości! Natomiast dziś chodzi nam o zaplanowanie i ukształtowanie naszej przyszłości!

— Ja też opowiadam się za tym! — zdecydowanie zapewnił generał w stanie spoczynku. — Całkowicie jestem gotów stanąć w jednym szeregu ze współobywatelami. Żądam tylko zapewnienia, wiarygodnego zapewnienia, że jestem w tym środowisku osobą pożądaną. Na przykład w postaci oficjalnego odwołania zniesławienia, na jakie mnie wystawiono. To umożliwiłoby mi zaangażowanie się na rzecz mego miasta bez żadnych zastrzeżeń. Dla naszego wspólnego dobra.

— No tak, no tak, panie Werners! — uspokajał go Kahlers. Trudno było nie zauważyć, jak bardzo stara się pokonać jeszcze tę jedną, zupełnie nieoczekiwaną przeszkodę. — Jeżeli pan stanowczo przy tym obstaje, możemy tego dokonać.

Burmistrz spojrział pytająco na obu radnych miejskich. Oni zaś, jak dwa posłuszne osły, pokiwali głowami.

— Dlaczego nie? — powiedział jeden.

— Dlaczego nie? — powiedział drugi.

Na to Kahlers, podsumowując ich opinie, stwierdził:

— Może pan być tego pewien, panie Werners.

Generał, wydawało się, już w tej chwili przekonany, że rozstrzygnął na swoją korzyść tę partię narodowo-politycznego pokera, ciekaw był jeszcze wysokości spodziewanej wygranej. Dlatego zadał pytanie:

— Czy tak samo uważa pan Sonnenberg?

— Nie — odpowiedział Zygryd z przekonującą prostotą. Werners z wrażenia rozpaczliwie chwycił powietrze, jego twarz człowieka nawykłego do rozkazywania zaczerwieniła się lekko. Izolda błagalnie spojrzała na Tomasza. On zaś, zadowolony, szturchnął Zygryda ostrzegawczo w bok. Radni miejscy tym razem wyjątkowo nie kiwali, lecz raczej potrząsali swoimi wrzuszająco baraniami łbami. Przedstawiciel rządu federalnego siedział sztywno, godny i zarazem otepiały. Natomiast burmistrz, z trudem panując nad sobą, odezwał się:

— Nad czymś podobnym należałoby się najpierw dobrze zastanowić!

— Czy mam przypadkiem uważać, panie Sonnenberg — zapytał z kolei Werners z lekka drżącym głosem — że pan sprzeciwia się odwołaniu zniesławienia mojej osoby?

— Tak — oświadczył Zygryd zaskakująco zgodnie.

Konrad Kahlers próbował łagodzić.

— Proszę uprzejmie zrozumieć, że pan Sonnenberg przez dłuższy czas nie był obecny w Rosenburgu. Dlatego też nie może wiedzieć, co tu się w tych latach działo, a o czym wspominał pan, panie Werners. Czy może zatem stwierdzać bądź zaświadczać cokolwiek w sprawie odwołania zniesławienia, nie mając o tym żadnego pojęcia? Czy tak przedstawia się sprawa, Zygrydzie?

— Właśnie tak — stwierdził Zygryd z podejrzaną skwapliwością. Obecni uznali, że mogą odetchnąć z ulgą. Uważali tak nawet w chwilę potem, gdy Zygryd dorzucił: — Jednakże sądzę, że na dzisiejszym spotkaniu zupełnie nie o to chodzi! Jak się orientuję, mamy tu sfinalizować pewną transakcję, a nie rozprawiać się z przeszłością czy jak tam ktoś chce nazwać te eksperymenty.

— Nie pozbawiona racji uwaga — zgodził się Kahlers. — Sądzę, że powinniśmy się zgodzić z tym stwierdzeniem.

— A mój honor? — upierał się Werners.

— Nie ucierpi na tym! My pozostali w pełni przychyłamy się do pańskiego osobistego życzenia — uspokoił go burmistrz. — Już w najbliższych dniach zostanie wydane odpowiednie oświadczenie. Przyrzekam to panu, panie Werners, zaręczam panu własnym słowem. Teraz jednak proszę pozwolić, byśmy załatwili sprawę, w której się zebraliśmy, to znaczy kupno potrzebnego terenu. Czy mogę prosić, panie starszy radco stanu, o kontynuowanie referatu?

Tak też się stało. Po raz drugi stwierdzono, że i Łąki Północne, i przyległy do nich teren byłyby bardzo pożądane. Jedno i drugie jednocześnie! Czy zatem panowie właściciele byliby gotowi zdecydować się na sprzedaż ich? Wspólnie? Wydawało się, że potwierdzają, gdyż żaden z nich nie oponował.

— Chodzi o wspólnie uzgodniony obiekt! — wywodził z werwą przedstawiciel rządu. — Połączeni nabywcy, kraj i władze federalne, reprezentowani przeze mnie jako pełnomocnika, są gotowi zapłacić za ten teren milion marek. Wypłata nastąpi w sposób zgodny z życzeniem sprzedawców, bądź gotówką, bądź w ratach, wraz z przysługującymi procentami. Pozwalam sobie zadać pytanie, czy panowie wyrażają zgodę?

— Dlaczego by nie? — sapnął wyraźnie ucieszony Werners. Po ojcowsku prawą ręką objął ramiona swojej ukochanej córki Izoldy. Ta przytuliła się do niego, jednak nie przestając patrzeć swoimi dużymi oczyma na Tomasza Brandina.

On uśmiechnął się do niej, słysząc jednocześnie, jak Zygfryd śmieje się z cicha, a następnie przeciągle mówi:

— Dlaczego nie?

Burmistrz Kahlers rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał udzielić błogosławieństwa i zarazem uściskać całą społeczność miasta Rosenburga.

— No, to doszliśmy do porozumienia!

Werners, ciągle sapiąc z zadowolenia, znów poprosił o głos, a dokładnie mówiąc, sam się z nim wtrącił.

— Chciałbym wszakże podkreślić, że nie jest mi wcale łatwo zrezygnować z terenu, o którym tu mowa. Wiązałem z nim nie byle jakie

plany! Pomimo to, jak panowie widzicie, jestem gotów poddać się konieczności wynikającej z potrzeb naszego miasta i współobywateli.

— Brawo! — zawołał z uznaniem Konrad Kahlers. — Dziękuję najmocniej za pańską gotowość, panie Werners. — Zabrzmiało to niemal tak, jakby w tym doniosłym momencie powiedział „panie generale”. — Przyjmuje pan zatem ofertę?

— Zrozumiałe! Przecież, ogólnie rzecz biorąc, życzę sobie tego. Ustępstwo musi się jednak opierać na wzajemności, zgodnie z zasadą: każdemu po równej części, to znaczy każdemu po połowie!

— A więc pięćdziesiąt do pięćdziesięciu! — Zdawało się, że Zygfryd Sonnenberg tylko czekał na to oświadczenie. Rozbawiło go ono w sposób widoczny. — A może się tylko przesłyszałem?

— W żadnym razie, panie Sonnenberg! — odparł Werners, niezmiennie pewny siebie. Wyrazu lekkiego zmieszania na twarzach kilku obecnych w ogóle nie raczył zauważyć. — Ostatecznie chodzi w tym wypadku o obiekt wspólny, zatem wspólnota, do której doszliśmy, musi obejmować wszystko.

— W tym wypadku jednak — zaproponował coraz bardziej rozweselony Zygfryd — wszystko da się obliczyć bardzo dokładnie. Moja część powierzchni tego terenu wynosi co najmniej sześćdziesiąt procent. Odpowiednio do tego należy podzielić zapłatę.

— Jeśli chodzi o pańską część, która pana zdaniem stanowi sześćdziesiąt procent całości, to mamy do czynienia z terenem podmokłym, zaniedbanym i leżącym odlegiem. Natomiast moja część to ziemia urodzajna, nadająca się pod budowę, o twardym podłożu i mająca własną, nadającą się do wykorzystania żwirownię! Przedstawiciel rządu federalnego zapewne będzie mógł to potwierdzić.

Istotnie potwierdził, ale dodał:

— Tu chodzi jednak o całość.

— Werners próbował zinterpretować to twierdzenie na swoją korzyść.

— A więc całość! Niech pan to ma na uwadze, panie Sonnenberg.

— Pan stanowczo przesadza! — stwierdził Zygfryd.

— Ja — oświadczył wyniośle generał — bronię tylko swego prawa! Zaniepokojony Kahlers wykrzyknął:

— Bardzo proszę bez stwierdzeń na wyrost! Powinniśmy to omówić!

— Ale z pewnymi ludźmi nie sposób rozmawiać! — zawołał prowokacyjnie Sonnenberg. — A zwłaszcza z tymi, którzy uważają, że zawsze

muszą tylko zarządzać i rozkazywać. W każdym razie nie ze mną takie postępowanie!

— Proszę bez pochopnych wniosków! — jęknął zmaltretowany Konrad Kahlers. — Muszę panów przed tym ostrzec!

Tymczasem Zygryfd Sonnenberg zmierzał już w kierunku drzwi.

Podążał za nim Tomasz Brandin, nie zapominając po drodze mrugnąć do Izoldy w sposób wielce obiecujący. W tej chwili nikt już nie tylko nie wiedział, ale nawet nie przeczuwał, co się święci.

Mama Emma, mając u boku pana Greinera, pełna najlepszych nadziei przyjęła syna w kuchni domu Adama. Ponieważ oczywiście zależało jej na tym, by rozmowa z Zygryfem była jak najbardziej poufna, przeczornie zapobiegła możliwym zakłóceniom.

Starego mistrza Adama namówiła, by pozostał w salonie fryzjerskim w związku z zamierzoną przebudową. Ewę-Ingeborgę wysłała do Kahlersa, by mu zaniósła coś z jej wypieków — placek z migdałami i miodem, jeden z jej najwspanialszych specjałów. Dagmara dostała polecenie, ażeby zajęła się Brandinem, do czego była bardzo skora. Chciała mu przegrać zbiór płyt Armstronga, Goodmana i Basiego, w które wspaniałomyślnie zaopatrzył ją „wujek” John Frankfurter.

W ten sposób pozostało ich tylko troje — zawsze czujna mama Emma, wciąż siedzący przy niej dziadek Greiner i Zygryfd, którego niewzruszony spokój miał w sobie coś niepokojącego.

— Jesteś już zupełnie dojrzały! — z ogromnym uznaniem powiedziała do syna mama Emma. — Od dawna to wyczuwałam, ale nawet ja nie potrafiłam przewidzieć, do jakiego stopnia. Zaczynasz mi naprawdę przynosić radość.

— Skoro tak mówisz, mamu, to zapewne tak jest — powiedział Zygryfd uprzejmie, choć dość ostrożnie. — Nie umiem sobie tylko wytłumaczyć, czym zasłużyłem na tak poważną bądź co bądź pochwałę. Ale ty mi to na pewno wyjaśnisz. — Zygryfd unikał patrzenia w bystre, szarozielone oczy matki. Skupił swoją uwagę jedynie na butelkach, które postawiła przed nim. Zawierały one bowiem trunek wysokiej klasy, z pewnością najlepszy, jakiego kiedykolwiek dostarczył John Frankfurter. — Uważasz, że zasługuję na coś tak wspaniałego?

Greiner, największy spryciarz w rodzinie, przemówił swoim łagodnie brzmiącym głosem kaznodziei:

— My, to znaczy twoja kochana mama i ja, zostaliśmy poinformowani, do czego okazałeś się zdolny przed niecałą godziną na naradzie z Kahlersem i Wernersem w ratuszu. Chociaż twój sprzeciw robi wrażenie czegoś niesłychanie zuchwałego, to jednak, jak to się powszechnie mawia, nie pozwoliłeś, by ci ktoś z mleka zebrał śmietankę. To nas właśnie ucieszyło, mój kochany.

— Zygfyrd—stwierdziła mama Emma, mocno zadowolona—jest bądź co bądź moim synem, a ja jestem i z pewnością mogę być z niego dumna.

— Tak jest, masz do tego prawo — stwierdził Greiner, a zwracając się do Zygfyryda, dodał: — Dołożyłeś tym łobuzom i pewnie pieką ich teraz tłuste tyłki. Tańczą właśnie tak, jak myśmy im zagrali. Kahlers dopiero co wszystko nam wyczerpująco opowiedział. Werners zdążył już się zorientować, że obiecywał sobie stanowczo zbyt wiele. Nie chce się boleśnie rozczarować!

— A byłby to nader rozkoszny widok — powiedział Zygfyrd, głęboko 'zamyślony.

— Nie zaprzataj sobie głowy takimi marzeniami, synu — upomniała go mama Emma. — Osiągnąłeś już ogromnie dużo, to ci powinno wystarczyć.

— To znaczy co?

Pod wpływem zachęcającego spojrzenia swojej towarzyszki życia Greiner znów udzielił mu wyjaśnienia:

— Ten Werners, jak zapewnia nas Kahlers, jest teraz gotów na wszelkie możliwe ustępstwa, byle tylko zawrzeć transakcję. Nie upiera się już przy podziale zapłaty w stosunku pięćdziesiąt do pięćdziesięciu. W tej chwili jest gotów zadowolić się czterdziestu procentami. No i co powiesz na to, chłopcze?

— A co by się stało, gdybym jednak nie zdecydował się na wejście w ten układ?

— Proszę cię, Zygfyrdzie, nie pozwalaj sobie na kiepskie żarty — upomniała go mama Emma tonem lekkiej nagany. — Przynajmniej jeśli chodzi o tę sprawę. Jest ona zbyt ważna dla nas wszystkich.

— Ale nie dla mnie. Ostatecznie istnieją także inne rozwiązania.

— Bardzo możliwe, synu. Ale w obecnej sytuacji to właśnie rozwiązanie ma znaczną przewagę nad wszystkimi innymi.

— Moim zdaniem niekoniecznie — zaoponował łagodnie Zygfyd.

— Ale moim zdaniem, tak! — Mama Emma była już znacznie bardziej apodyktyczna. — W końcu myśmy przez kilka miesięcy pracowali nad przygotowaniem tego projektu, to znaczy Kahlers i ja. Robiliśmy to co prawda pod twoją nieobecność, ale w końcu przecież tylko dla ciebie. A ty przyjechałeś akurat na czas, ażeby złożyć podpis.

Zygfyd Sonnenberg chwilowo jakby zaniemógł. Wyciągnął korek z butelki oryginalnej szkockiej whisky, leżakowanej przez dwanaście lat, i pociągnął z niej potężnie, patrząc przy tym na mamę Emmę, a potem na Greinera.

Ten mrużąc oko zawołał „na zdrowie”, po czym nadzwyczaj łagodnie dodał:

— Dlaczego miałby nie podpisać? Możesz być o to zupełnie spokojna, kochana Emmo. Zygfyd nie jest ostatecznie niewdzięcznym synem. Nie jest też ani głupim szczeniakiem, ani beznadziejnym bałwanem.

— Dlaczego to niby — zapytał bardzo uprzejmie Zygfyd — nie miałbym być jednym bądź drugim?

Jeszcze jedno poufnie zachęcające spojrzenie pani Emmy skłoniło Greinera do dalszych wywodów.

— Jesteś, mój drogi, rozsądny i bystry, toteż wiesz, że pod względem czysto prawnym nie wolno ci podejmować jakichkolwiek decyzji samemu, a tylko wspólnie z twoją kochaną mamą.

— Działasz w tym wypadku, mój synu, z mego upoważnienia i w uzgodnieniu ze mną — oświadczyła zdecydowanie pani Emma — zatem zawsze potwierdzę twój podpis, jeżeli zostanie złożony po mojej myśli.

— Czegóż trzeba ci jeszcze! — zagrzewał go słowem Greiner. — Wszystko tu się cudownie zgadza.

— To wprost obezwładniające! — Zygfyd wstał, tuląc w ramionach, niby dziecko, butelkę starej szkockiej whisky. — Na razie mam zamiar upić się. Jutro zobaczymy, co dalej.

Następny dzień był na pewno najpiękniejszy w ciągu całej tegorocznej wiosny w Rosenburgu. Już wczesnym przedpołudniem zrobiło się ciepło jak w lecie. Słońce prześwitywało przez ruiny. Drzewa i krzewy okryła jasna zieleń, dokoła rozlegał się ptasi śpiew.

Przy śniadaniu w domu Adama zgromadziła się prawie cała rodzina Sonnenbergów. Mama Emma własnoręcznie upiekła mocno pachnący chleb, który należało nie kroić, lecz łamać. Ewie-Ingebordze udało się dostać świeżo zrobione, złocistożółte masło. Dagmara z kolei przyniosła najlepszą angielską marmoladę truskawkową z zasobów Eryki i Johna. Tomasz Brandin zwierzył się jej któregoś dnia, że strasznie tęskni za taką właśnie marmoladą.

Spożywali więc śniadanie — oczywiście w świetnym nastroju, z widocznym apetytem, niewiele przy tym mówiąc. Wydawało się, że zapanowała wśród nich oczekiwana harmonia. Zygfyrd zachowywał się swobodnie, prawie wesoło, co najmniej tak, jakby go nie dręczyły żadne problemy. Poza tym oświadczył, że po smakowitym śniadaniu zamierza udać się do ruin domu rodzinnego.

— Ażeby je obejrzeć w związku z odbudową, która oby nastąpiła jak najszybciej. Pójdę przodem razem z Tomaszem. Cieszyłbym się, gdybyście tam przyszli wkrótce za nami, ty, kochana mamo, a z tobą nasz- szanowny pan Greiner. Ażebyście mogli wyrazić swoje życzenia, sugestie, wymagania, które chętnie uwzględnię.

Tak obiecująca oferta została przyjęta z radością. Mama Emma i jej Greiner zamienili porozumiewawcze spojrzenia. Wydało im się, że ich posiew już wschodzi.

— Przyjdziemy z przyjemnością.

— Świetnie! — Zygfyrd szybko odszedł, a za nim Tomasz. Wypadało obejrzeć z bliska scenę wydarzeń, w tej chwili już nieuniknionych.

Doszło do tego niecałe pół godziny później. Migotliwe światło wiosennego słońca zalewało ruiny domu Sonnenbergów. Ptaki wyśpiewywały tu chyba jeszcze wdzięczniej niż gdzie indziej. Kwitnące krzewy pachniały odurzająco.

Zygfyrd Sonnenberg zatrzymał się przy odosobnionej, jak gdyby wspinającej się do nieba podziurawionej i popękanej frontowej ścianie domu. Parę metrów za nim, niewidoczny z poziomu ulicy, przycupnął gotowy do skoku Tomasz Brandin. Bezpośrednio poniżej nich stanęli w oczekiwaniu przytuleni do siebie pani Emma i jej Greiner. Z radosną niecierpliwością spoglądali w górę.

Zygfyrd zawołał do nich:

— Wszystko to odbudujemy i rozbudujemy! Aby było większe i piękniejsze niż dawniej! Wysokość pozostawimy taką jak przedtem.

Tak bym proponował. Całą przestrzeń od piwnicy aż do poddasza wykorzystamy na mieszkanie i zakład. Dla was obojga zamyślam przygotować górne piętro: ze wszystkimi komfortowymi urządzeniami, z własną toaletą i łazienką. Zgoda?

— Oczywiście zgoda, kochany chłopcze! — potwierdził Greiner i spojrzął w górę na niego.

— Teraz wszystko zostanie tu doprowadzone do należytego porządku — oznajmiła z radością mama Emma.

— Niczego bardziej sobie nie życzę! — zawołał Zygfyrd. A potem przyjaźnie i z troską dorzucił: — Radziłbym wam jednak, byście stanęli gdzie indziej! Właśnie tam, gdzie stoicie, nie jest całkiem bezpiecznie!

— Ale dlaczego, mój synu?

— Sterczy nad wami fasada, która w każdej chwili może się zawalić. Chciałem was tylko ostrzec!

— Dobrze, dobrze! — zaśmiała się nie tylko mama Emma, lecz także jej Greiner. Lecz beztronski śmiech obojga miał się stać ostatnim przejawem ich życia. Fasada bowiem rzeczywiście runęła. Opadła jak za naciśnięciem dźwigni, zwała się prosto na panią Emmę Sonnenberg i pana Greinera i ze straszliwym łoskotem przysypała oboje. Uniosły się kłęby gęstego kurzu. Wydawało się, że na moment przesłoniły nawet słońce nad Rosenburgiem.

Przerażone ptactwo odfrunęło. Jasna zieleń najbliższych drzew wyglądała jak pospiesznie upudrowana duszącym kurzem. Nad miejscem tragedii wkrótce zaległa martwa cisza.

Arenę przedpołudniowych wydarzeń natychmiast zaczęli zwiedzać ciekawscy. Ludzie z Rosenburga zbiegali się tłumnie jak sępy do padliny. Ujrzeni olbrzymi stos kamieni, który właśnie przekopano w poszukiwaniu oznak życia ofiar i w celu ich wydobycia. Odnalezione zwłoki były zmiążdżone i leżały trochę dalej, przykryte płachtą namiotową.

Można było też dojrzeć Zygfyda Sonnenberga i Tomasza Brandina. Siedzieli jeden przy drugim na pniu zwalonego drzewa. Szeroko otwartymi oczyma rejestrowali wszystko, co się działo wokół; twarze ich były nieruchome.

Dokładnie widzieli, jak podchodzą do nich żądni widowiska ludzie, przeważnie kobiety, niektóre z dziećmi, ale też mężczyźni. Wszyscy ze

zdziwieniem kręcili głowami. Nie przeoczyli też pani Klementyny, „diabelskiej babki”. Darła się wniebogłosey, grając przy zwłokach rolę płaczki. Wreszcie nadszedł pierwszy policjant. Usiłował zachować się jak przystało na stróża porządku publicznego: zajął się odgrózeniem miejsca wypadku. Potem pojawił się także jego przełożony, szef policji Jurgen Wiese. Ten z kolei wszystko, co zwracało tu jego uwagę, starał się traktować całkiem rzeczowo, zgodnie z zasadami kryminalistyki. Najpierw jednak skinął Zygfydowi głową i rzucił:

— Okropność. Wyrazy współczucia. Tego nam akuratnie brako wało.

Następnie Wiese pracowicie, ze znajomością rzeczy obejrzał teren wypadku, gdyż mogło to być przecież miejsce zbrodni. Odmierzał krokami odległości, wspiął się na górną kondygnację, dokładnie zbadał wszystko, co mu się wydało godne uwagi. Potem jednak pokręcił głową, którą sam uważał za bardzo mądrą. Jego świńskie oczka zaczęły się rozszerzać.

Na szczęście, zresztą nie tylko dla niego, na miejscu okropnego wydarzenia zjawił się Konrad Kahlers, burmistrz. Po pobieżnym obejrzeniu stosu gruzu i zwłok zauważył Zygfyda. Podszedł do niego i będąc już blisko, wyciągnął obie ręce i przygarnął go do siebie.

— Brak mi po prostu słów — zapewniał, obejmując Sonnen-berga — ażeby wyrazić, jak bardzo nad tym ubolewam, jak głęboko ci współczuję, drogi przyjacielu! Jakież to straszny wypadek!

— Dziękuję. — Zygfyd poklepał Konrada po ramieniu. — Powinieneś wyjaśnić też naszemu Jurgenowi Wiese, że jest to nieszczęśliwy wypadek. Zdaje mi się, że nie jest on tego samego mniemania co ty.

— On jest przecież policjantem — usprawiedliwił go Tomasz Brandin.

Burmistrz Kahlers był wszakże zdecydowanym, a również wytrawnym praktykiem, dlatego też wiedział, co ma w tej sprawie do zrobienia. Nie przeciągał więc szczegółowo zaplanowanego składania kondolencji, lecz niezwłocznie zajął się szefem policji. Wziął go na stronę.

— Co o tym myślisz?

— Muszę z żalem stwierdzić — odpowiedział gorliwie Wiese — że pewne rzeczy nie podobają mi się, a nawet mnie niepokoją.

Odpowiedź szefa policji absolutnie nie odpowiadała zamysłom Kahlersa. Zygfyd Sonnenberg był bowiem pilnie potrzebny na miejscu.

Na jakiegokolwiek wątpliwości nie można było sobie pozwolić. To właśnie musiał wytłumaczyć Jurgenowi Wiese.

Burmistrz przybrał nutę sentymentalną. Odwoływanie się do uczuć zawsze okazywało się bardzo skuteczne.

— Wiese, mój drogi towarzyszu doli i niedoli, tu chodzi w końcu nie o byle kogo, tylko o naszego przyjaciela z lat młodości. My go kochamy. W razie gdyby się znalazł w przykrew sytuacji, potrzebowałby naszej skutecznej pomocy, ażeby mógł się wydostać z kłopotów. Toteż ty mu tej pomocy zapewne nie odmówisz.

— Oczywiście nie odmówię. Nie mógłbym tak postąpić choćby ze względu na naszą Ewę-Ingeborgę!

— No widzisz! — powiedział Kahlers. — Zatem zrób coś! Mam nadzieję, że będzie to zarówno skuteczne, jak przekonujące. Nie tylko z punktu widzenia kryminalistyki. Tu chodzi o przyjaźń, chłopie! A to przecież nie jest tylko urojenie.

Jurgen Wiese zgodził się z tym poglądem i od razu zajął się poszukiwaniem dowodów odciążających. Polecił wykonać pomiary, sporządzić szkice, przeprowadzić oględziny lekarskie. Następnie kazał rozpocząć przesłuchania, w wyniku których wkrótce powstały zeznania świadków. To oficjalne przepytywanie prowadził osobiście.

Wyniki okazały się jednoznaczne. Miały przy tym charakter urzędowy, a więc były niepodważalne.

Zygfryd Sonnenberg wypowiedział się w sposób następujący:

— Krótco przed zawaleniem się górnej części fasady tego zrujnowanego domu zatrzymałem się w odległości dwóch do trzech metrów od niej. Wszystko stało się niesłychanie szybko, zaledwie w ułamku sekundy. Po prostu nie można było temu zapobiec.

Potem zeznawał Tomasz Brandin:

— W momencie zawalenia znajdowałem się w odległości około pięciu metrów za ścianą, która nagle runęła. Widziałem, jak znacznie przechyliła się w stronę przeciwną niż ta, po której ja stałem. Czegoś podobnego nie dało się przewidzieć, więc niezmiernie mnie to zaskoczyło. Następnie ujrzałem przerażoną twarz mego przyjaciela.

Teraz przysła kolej na panią Klementynę Gartner, „diabelską babkę”. Pomimo że jeszcze przez dłuższy czas okropnie przeraźliwie lamentowała, to jednak gdy oficjalnie przepytywał ją szef policji Jurgen Wiese, odpowiadała całkiem do rzeczy.

— Mogę tylko potwierdzić to wszystko, co powiedzieli panowie Sonnenberg i Brandin. Każdy szczegół. Widziałam wszystko zupełnie dokładnie. Znajdowałam się wtedy w prowizorycznej toalecie na dworze. Ale właśnie stamtąd wszystko dobrze widać i dokładnie słyhać.

— Jest pani gotowa zeznać to nawet pod przysięgą, jeżeli okaże się to konieczne?

— Jestem i mogę! Pan Sonnenberg stał daleko, tam na górze, a pan Brandin spory kawał za nim. Ta nadwerężona frontowa ściana już od dawna groziła zawaleniem. Obawiałam się, że to się stanie lada dzień albo i lada godzina. Kiedyś to się musiało stać. Poza tym mogę jeszcze zaświadczyć, że Zygfryd wyraźnie ostrzegł swoją matkę i towarzyszącego jej pana Greinera, ażeby nie przystawali zbyt blisko tego zrujnowanego domu. Ale oni tylko śmiali się z tego! Tak to było!

Wobec tego Jurgen Wiese uważał, że może w imieniu policji urzędowo stwierdzić, co następuje:

— Miał tu miejsce niewątpliwie nieszczęśliwy wypadek. Nadzwyczaj tragiczny, godny najgłębszego ubolewania, jednak stwierdzony niedwuznacznie. Nic innego i nic ponadto. Zatem odnośne badania niniejszym urzędowo uznaje się za zakończone. Zwłoki ofiar wypadku wydaje się w celu pogrzebania.

Zwłoki leżały w prostych trumnach z dobrego gatunkowo, starannie obrobionego i zabejcowanego drewna bukowego. Wystawiono je w domu Adama, w salonie fryzjerskim. Na drzwiach wejściowych do zakładu wisiała tabliczka z napisem: „Z powodu śmiertelnego wypadku zamknięte do odwołania”.

Trumny, już zamknięte i pokryte k wiatami, stały pośrodku tego pokoju, w którym przy uroczystych okazjach, jak na przykład po powrocie Zygfryda, stawiano duży stół. Krzesła, zazwyczaj używane przy tych spotkaniach, stały pod ścianami. Wszystkie były zajęte.

Teraz bowiem, w wigilię uroczystego pogrzebu, w którym na pewno zamierzało wziąć udział wiele osób z Rosenburga, wypadało po raz ostatni uczcić „drogich zmarłych”. Migotały świece, unosił się zapach świeczyny i parafiny, a także alkoholu. Przygotowano mnóstwo tego

rodzaju środków pocieszających: maliniak i piwo, koniak i dzin, wiśniak i wino frankońskie. Uczestnicy żałobnej uroczystości na pewno uważali za konieczne krzepić się tymi trunkami.

Nie zabrakło nikogo prawie spośród należących lub pragnących należeć do tego kręgu towarzyskiego. Zaistniał tylko jeden zauważalny wyjątek: aktualna sympatia Dagmary, ów młodzieniec dążący do uzdrowienia Niemiec, otrzymał od niej wskazówkę, że tym razem ma trzymać się na uboczu. Wyjaśniła mu, że sama musi przebywać ze swoją najbliższą rodziną, do której on nie należy i długo jeszcze nie będzie należał.

Tomasz Brandin siedział w kącie, a Dagmara ulokowała się obok niego, jakby się chciała nim zaopiekować. Przyjął to z zadowoleniem. Centralną postacią był Zygfryd Sonnenberg. Mistrz Adam tuż przed trumnami ustawił dla niego największe krzesło, jakie miał w domu. Tam właśnie siedział teraz, raczej spokojny, milczący, jak gdyby zagniewany, z twarzą bez wyrazu. Odnosiło się wrażenie, jakby lada chwila miał zasnąć. Tak jak się zasypia po dobrze wykonanej robocie.

Troskliwy mistrz Adam nie dopuścił jednak do tego. Jego głębokie wzruszenie przerodziło się w nieustanny potok słów. Ponieważ powodowany isticie ojcowską troską usiadł tuż za Zygfrydem, temu nie pozostawało nic innego, jak tylko puszczać mimo uszu takie na przykład żałobne lamenty:

— • Twoją drogą mamę, mój Zygfrydzie, ogromnie szanowałem. Była to cudowna osoba. Zawsze wyrozumiała, gotowa do pomocy, bezinteresowna. Kiedy byłem już prawie skończony, ona podniosła mnie na duchu, wspierała radą i czynem! Mój Boże, zadawałem sam sobie czasem pytanie, czym byłbym, gdybym nie miał jej? Winienem jej najgłębszą wdzięczność.

Zygfryd Sonnenberg słuchał z niewzruszoną cierpliwością, chwilami nawet przytakiwał mu zupełnie mechanicznie ruchem głowy. W pewnej chwili wziął do ręki szklankę napełnioną piwem i rozejrzał się po mrocznym pokoju wypełnionym migotliwym światłem świec. Następnie, nie pijąc, odstawił szklankę z powrotem.

Na wpeł przymkniętymi oczyma dostrzegł, że jego ukochana siostra Eryka wraz ze swoim Johnem Frankfurterem przystanęła oddzielnie w najdalszym zakątku. Oboje w milczeniu trzymali się za ręce, robiąc wrażenie przygnębionych. Pomimo to uśmiechnęli się do Zygfryda, gdy

tylko spostrzegli, że patrzy w ich stronę. Nieco bardziej w bok od niego, bezpośrednio przy trumnach, siedziała Ewa-Ingeborga, jego żona: mężnie znosząca żalobę, ubrana czarno i wyprostowana, co uwydatniało jej kształty. Oczywiście demonstrowała pełne godności pogodzenie się z losem. Po obu jej stronach, jak zwykle, stali zatroskani o nią panowie — Konrad Kahlers i Jurgen Wiese.

Kahlers, być może pod wpływem wylewnych zwierzeń mistrza Adama, najprawdopodobniej uznał, że także powinien wygłosić parę okolicznościowych refleksji.

— Nasza droga, niestety już zgasła mama Emma to była wielka, dostojna pani. Obdarzona przenikliwym rozumem i wielką dobrocią, zawsze szlachetna i wyrozumiała, pewna siebie i życzliwa. Ona jeszcze wiedziała, co to prawdziwa wielkość. Na niej, mój drogi Zygfydzie, możesz się wzorować. Musisz! I zapewne będziesz.

Odnosiło się wrażenie, że Wiese nie chciał pozostać w tyle. Również jemu udało się choć w części wyrazić kłębiące się w nim uczucia. Następnie napełnił swój kieliszek, a także kieliszki Ewy-Ingeborgi i Kahlersa frankońskim winem marki „Kitzinger Mainleite”. Potem wyglądało to tak, jakby pił, wznosząc kieliszek w stronę trumny.

— Ileż to zawdzięczamy mamie Emmie! Jurgen, mój drogi chłopcze, mawiała do mnie często, nie daj się nigdy sprowadzić na manowce! Masz poczucie sprawiedliwości, więc staraj się zachować je na zawsze! A jak umiała gotować! Jak się nami opiekowała, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, my, przyjaciele z czasów młodości! Nigdy nie będziemy mieli kogoś takiego jak ona. Zgadzasz się przecież ze mną, Zygfydzie?

— Tak, zgadzam się z tobą — odpowiedział Zygfyd.

Na szczęście w tym momencie Zygfyd Sonnenberg nie musiał powiedzieć już nic więcej. Bo oto drzwi otwarły się szeroko. I weszła Izolda Werners.

Przyniosła olbrzymi bukiet wiosennych kwiatów. Pomimo swoich rozmiarów nie mógł on jednak przesłonić jej rozłożystej sylwetki. Izolda, dysząc z wysiłku, przebiegła spojrzeniem po niemym zgromadzeniu żalobnym. Tylko Zygfyd Sonnenberg spojrział na nią. Podeszła do niego i zatrzymała się. Podała mu przywiezione kwiaty.

— Bardzo pana proszę o wybaczenie, że weszłam tu nie proszona. Sama nigdy bym się na to nie považyla. Spełniam tylko szczególne

życzenie mego ojca. Ojciec prosi, by wolno nam było uczestniczyć w żałobnej uroczystości. Przychodzę tu w jego imieniu.

— To piękny, szlachetny gest, Zygrydzie! — zawołał Konrad Kahlers. — Na pewno go nie odrzucisz.

— Dlaczego miałby odrzucać? — zapytał Wiese. — To przecież jeszcze jeden wyraz hołdu, złożonego naszej mamie Emmie, który należy się jej niepowtarzalnej osobowości nawet poza granicą życia.

Zygryd Sonnenberg najpewniej nie chciał pozostać głuchy na słowa uznania. Zwłaszcza zaś dlatego, że zdążył dostrzec poważne zainteresowanie Tomasza Brandina zarówno samym wydarzeniem, jak i osobą, która je wywołała. Wstał więc i podszedł do Izoldy. Jej ręce wydawały się drżeć z emocji.

Zaznaczył lekki ukłon.

— Jeśli pani sobie życzy zniżyć się do nas, panno Werners, to chętnie tu panią widzimy.

— Brawo! — zawołał burmistrz Kahlers, niemal nie ścisząc głosu.

— Tak właśnie powinno być! — stwierdził policyjny dygnitarz Wiese.

— Dziękuję, dziękuję! — szepnęła Izolda z niezmierną ulgą. Uszczęśliwiona patrzyła na Zygryda. — Panie Sonnenberg, to uprzejmość o wiele większa, niż mogłam się kiedykolwiek spodziewać. Proszę pozwolić, że złożę te kwiaty na trumnie pańskiej matki.

Zygryd wskazał trumnę stojącą po prawej stronie.

— Niech pani uczyni to, po co pani tu przyszła.

Tam też położyła swoje kwiaty Izolda Werners. Uczyniła to z uroczystym gestem przypominającym błogosławieństwo, który wyglądał na wystudiowany. Prawie wszyscy obecni patrzyli na to z uznaniem i zadowoleniem.

Robiła wrażenie bardzo szczęśliwej, jakby wybawionej z kłopotu. Przelotnie tylko zerknęła w stronę Tomasza Brandina, a zaraz potem zwróciła się znów do Zygryda Sonnenberga.

— Proszę pana o wyrozumiałość dla tego bukietu wiosennych kwiatów. Mój drogi tata właściwie obstawał przy ciężkiej wiązance w ciemnych barwach, odpowiednich do powagi ceremonii. Ja jednak pozwoliłam sobie wybrać żywe, radosne kwiaty. Niech będą jak ostatnie pozdrowienia z rodzinnych stron.

— W moim odczuciu jest to bardzo trafny wybór — stwierdził Zygryd, tym razem nawet zupełnie szczerze.

— Wobec tego, odchodząc, mogę się czuć uspokojona. Bo na tym kończy się tu moja misja. Nie chciałabym już dłużej przeszkadzać.

— Czy mogę pani dotrzymać towarzystwa? — zapytał Tomasz Brandin.

— Ależ naturalnie, dlaczegoż by nie? — Izolda okazała się nadzwyczaj uprzejma. — Jeżeli pan sobie tego życzy i jeżeli pan Sonnenberg lub kto inny nie ma nic przeciwko temu, bardzo mi to odpowiada.

— Chętnie z wami pójdę — odezwała się Dagmara, wstając ze swego miejsca.

— Pozostaniesz tu! — łagodnie, ale zdecydowanie upomniął ją ojciec. — Tomasz sam to załatwi!

Potem Tomasz Brandin wyszedł razem z Izoldą Werners.

Nad Rosenburgiem-Nowym Osiedlem zalegała zimna, przejrzysta noc. Gwiazdy na niebie iskrzyły się niby na obrazku z dziecięcej książki z baśniami. Księżyc rozsiewał łagodny blask, jakby przeznaczony do wykorzystania przez poetę.

— Zimno mi! — oznajmiła Izolda Werners.

— Proszę więc pozwolić, bym panią trochę ogrzał — zaproponował Tomasz Brandin. — Ja w każdym razie czuję się jak w pełni lata.

Objął ją prawą ręką i przyciągnął do siebie. Nie bronila się, ale pozostała bierna, nie przytuliła się do niego. Wyczuwał jednak, że jest gotowa to zrobić.

— Jestem bardzo, bardzo zadowolona — wyznała mu — może nawet w pewnym stopniu szczęśliwa! Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze. Pan Sonnenberg okazał się niezwykle wyrozumiały i to mnie bardzo wzruszyło. W niemałym stopniu zawdzięczam to zapewne panu, panie Brandin.

— Dla pani, panno Werners, zawsze jestem gotów zrobić niejedno — zapewnił ją niemal patetycznie. — Nawet nie wyobraża pani sobie, jak wiele.

Izolda ożywiła się w zauważalny sposób. Wydawało się, że doznała ogromnej ulgi. Powiodła się jej wielka, trudna misja! Toteż w tej samej chwili przylgnęła cała do mężczyzny, który obejmował ją opiekuńczo. Była mu wdzięczna — wprost niezwykle.

Tymczasem zbliżyli się do zdewastowanego po części parku miejskiego, w którym bezładnie mieszały się trawniki i kępy krzewów. Jednakże w świetle księżycy to miejskie pustkowie roztaczało urok tajemniczego

ogrodu. Spoczęli na tej samej ławce, na której siedzieli razem całkiem niedawno, ale tym razem bez psa i bez przypadkowych świadków.

— Jestem naprawdę bardzo wdzięczna panu, panie Brandin — odezwiała się znów, siedząc już trochę bliżej niego. — Wyznaję to jednak panu z uczuciem niemałego przygnębienia.

— To zrozumiałe! — zgodził się z nią Brandin i przygarnął ją jeszcze mocniej, jakby chcąc ją ogrzać. — Przypuszczam, że nie jest pani przyzwyczajona, by ktoś bez żadnych zastrzeżeń spełniał pani życzenia. Mężczyźni są w pani życiu zapewne czymś w rodzaju owocu zakazanego. Z jednym jedynym wyjątkiem: pani ojca!

— Być może trafnie to pan ocenił, Tomaszu — powiedziała po cichu. Spojrzała na niego przeciągle z wyrazem zapytania w oczach.

Wyprostował się trochę bardziej, ażeby jego głowa znalazła się w sąsiedztwie jej głowy. Bądź co bądź był od niej o kilka centymetrów niższy, co zresztą wydawało się nie przeszkadzać mu specjalnie.

— Porozmawiajmy o tym Izoldo.

Ona zaś zapytała, już prawie nie szukając wymówki:

— Dlaczego?

Na to on pochylił się nad nią, dotykając policzkiem jej policzka. Zachowywał się dość nieśmiało, można by rzec — prawie czule. Nie opierała się, chociaż lekko zadrżała. Jego lewa ręka przesunęła się po jej włosach, po szyi i zatrzymała się na piersi. Izolda zadygotała.

Tomasz Brandin powiedział ostrożnie:

— Można by powiedzieć, Izoldo, że mamy niesłychanie sprzyjającą okazję. Jesteśmy razem: ty i ja! Co prawda mogłabyś sobie pomyśleć coś, co mnie z pewnością nie dotyczy, a mianowicie, że po kilku latach niewoli jestem tylko wygłodzonym zwierzęciem, które rzuca się na każdą napotkaną zdobycz. A jeśli chodzi o ciebie, mógłbym cię uważać za tak zwaną wspaniałą partię! Małżeństwo z córką bardzo wpływowego ojca, godną najwyższej stawki. Nawet w sensie czysto fizycznym.

— Nie mów tak, Tomaszu! Proszę cię, nie mów tak nigdy więcej! — Nachyliła się do niego i od razu poczuła jego ręce jednocześnie na plecach i na piersi. Dyszała ciężko. — Czy ja jestem dla ciebie przedmiotem — jęknęła, nie próbując się jednak uwolnić — i niczym więcej?

— Nie jesteś, Izoldo! Lecz właśnie dlatego powinnaś się zgodzić na to, czego pragnę. Całkiem po prostu kocham ciebie!

— Powiedz to jeszcze raz, Tomaszu! Proszę.

— Kocham cię, Izoldo. Nie pragnę niczego więcej, jak tylko stać się częścią ciebie samej. Chcę, byśmy należeli do siebie! Ażeby żadne z nas nie musiało pytać, kim jesteś, skąd pochodzisz, co posiadasz. Abyśmy nie mieli wobec siebie absolutnie żadnych zastrzeżeń. Niczego bardziej nie pragnę. Jesteś na to gotowa?

Oczywiście była. I dowiodła mu tego. Z determinacją, o jaką po prostu trudno było ją posądzać. Już po chwili przeniknął ją dreszcz rozkoszy.

Zanosilo się na to, że rodzinne zgromadzenie przy obu trumnach w domu Adama, pomyślane jako uroczystość żałobna, przerodzi się niedługo w ponure pijaństwo. Uczestnicy jak błędni patrzyli tępo przed siebie, zerkając na swoje szklanki, które ani na chwilę nie pozostawały próżne. Tymczasem żałobne świece wciąż migotały i wydawało się, że nie wypalą się nigdy.

Stary mistrz Adam wyszedł, do głębi wzruszony, zalany łzami. Czując wszakże przemożną skłonność do rzygania, udał się do swego pokoju, wstępując po drodze do toalety. Eryka i John oddalili się bez słowa, trzymając się za ręce, raz jeszcze serdecznie i z pełnym zrozumieniem uśmiechając się do Zygfyda. Wkrótce także Dagmara wypadła na dwór jak burza z oznakami gwałtownego niezadowolenia. Przypuszczalnie miała zamiar wytropić Tomasza razem z tą całą Izoldą!

Przy uroczystości ciemnych trumnach pozostało już niewiele osób. Przede wszystkim demonstracyjnie siedział niewzruszenie cierpliwy Zygfyd Sonnenberg, od czasu do czasu tylko poziewając bez skrepowania. Wciąż obecna była też jego niezmiennie czujna małżonka Ewa-Ingeborga. Oprócz nich wytrwali także przyjaciele — Kahlers, burmistrz, i Wiese, szef policji. Jeden wewnętrznie przyczajony, drugi z gruba ciosany i zarozumiały. Teraz ponownie wysunęli się na pierwszy plan.

— Prawda, że zrobiliśmy dla ciebie po prostu wszystko? — dopytywał się natarczywie Wiese. — Ja, Zygfydzie, włączyłem się w każdym razie do sprawy, załatwiłem ci całkowite oczyszczenie z podejrzeń! Powinieneś mi być za to wdzięczny.

— Za to, że spełniłeś swój obowiązek? — zapytał Zygfyd, zdradzając

rozbawienie. — Nie powinienem chyba podejrzewać, że jako funkcjonariusz policji byłbyś skłonny działać wbrew wynikom śledztwa i własnemu przekonaniu?

— Oczywiście, to nie wchodzi w rachubę — stwierdził przyciśnięty do muru Wiese.

Ten cały Jurgen Wiese nie przedstawiał specjalnego problemu, lecz o wiele gorzej wyglądała sprawa z Konradem Kahlersem. W żadnym wypadku nie był on bowiem naiwnym urzędniczyzną, lecz szczwanym kombinatorem. Zresztą wkrótce popisał się znów swoimi umiejętnościami. Pozwolił sobie nawet demonstracyjnie uściskać Zygryda. Poderwał go z krzesła i po prostu z całego serca przytulił do swojej otylej piersi.

— Kochasz swoją matkę! Toteż jesteś gotów postąpić zgodnie z jej ostatnią wolą, mój przyjacielu. Jestem tego pewien!

Sonnenberg był zdecydowany zrezygnować z dowodów tak przesadnej serdeczności. Udało mu się to jednak dopiero za pomocą zdumiewająco celnego stwierdzenia:

— Przez cały wieczór mówi się tu ciągle o osobie spoczywającej w jednej trumnie. Wciąż od nowa! Ale nie usłyszałem ani jednego słowa o drugiej trumnie, w której leży pan Greiner. Nawiasem mówiąc, nie jest wykluczone, że być może to właśnie on mnie spłodził.

— Nie snuj tak karkołomnych domysłów, drogi Zygrydzie! — poradził mu troskliwie Kahlers. — Nie daj się sprowadzić na manowce! Chodzi jedynie i wyłącznie o sprawy jak najbardziej realne, tyżące się naszego Rosenburga. Przy tym w tej chwili ich bieg zależy tylko od ciebie.

— Kimże wreszcie jestem? — poddał mu pod rozagę Zygryd. — Czy synem człowieka, którego ojcostwo można udowodnić niepodważalnie? Na pewno jednak synem matki, która zdecydowała się żądać urzędowego uznania mnie za zmarłego.

— To była tylko pożałowania godna pomyłka i nic poza tym!

— Tę pomyłkę trzeba mieć na uwadze — uparcie oświadczył Zygryd — ponieważ dopóki będę uchodził oficjalnie za zmarłego, co przypuszczalnie potrwa kilka miesięcy, dopóty zgodnie z prawem nie będzie mi wolno podpisać nic wiążącego. I to już wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Działo się to w przepięknym miesiącu maju roku 1950. Jeszcze pięć

lat później, w roku 1955, wydawało się, że nie zaszły w tej materii żadne istotne zmiany. Wszystko układało się tak, jak gdyby właśnie wtedy rzucono kości, co zadecydowało o dalszym biegu wydarzeń, a w Rosenburgu ustawiono zwrotnice regulujące ich kolejność.

Oto jeszcze jeden błąd! Przypuszczalnie brzemienny w okropne skutki, ale widocznie nieunikniony. Pomimo to niektórzy byli zadowoleni z tego, co się stało.

'::

Księga II

Rok 1955 — POSIEW WSCHODZI

1. Każda rzecz wydaje się mieć odpowiednią cenę

Pewnego dnia w pełni lata roku 1955 pociąg osobowy jadący z Frankfurtu do Monachium zatrzymał się na dworcu w Rosenburgu. Zahamował szybko, niemal bez zgrzytu; po chwili stał już, prawie bezgłośnie. Tylko elektryczna lokomotywa warczała z lekka, przypominając swojski odgłos wody gotującej się w imbryku.

Zaledwie kilka osób wysiadło z pociągu. Niektórzy z ciężkimi bagażami, inni nieśli sfatygowane walizy i torby. Wszyscy żwawo i z ochotą zdążali do wyjścia.

Z wagonu pierwszej klasy niedbale wysiadł Zygfyrd Sonnenberg. Robił wrażenie lekko otyłego, jego twarz nabrała różowego odcienia i blasku, tylko w oczach jak dawniej pobłyskiwała lisia chytryść. Rozglądał się za Tomaszem Brandinem i niedługo dojrzał go przy środkowych drzwiach wyjściowych. Pozdrowili się z daleka podniesieniem ręki; więcej nie było trzeba.

Ruszyli sobie na spotkanie, nie zwracając uwagi na nikogo. Obaj mieli na sobie lekkie letnie garnitury w takim samym szarym kolorze. Zygfyrd był nieco spocony, zapewne z powodu wypchanej teczki, którą miał ze sobą. Brandin wziął ją od niego.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał do nich jak zwykle uprzejmy zawiadowca. Był to ten sam kolejarz, który przed pięciu laty, w roku 1950, powitał ich tu w tak niemiły sposób. Teraz wyglądał jednakże na znacznie lepiej odżywionego i dzięki temu był nieporównanie bardziej zyczliwy. — Miał pan przyjemną podróż, panie Sonnenberg? — pytał, starając się przybrać poufały ton.

— Na to wygląda — odpowiedział Sonnenberg, mrugnawszy zna-

cząco do Brandina. — Nawet bardzo przyjemną, tylko pytanie, dla kogo?

Zawiadowca stacji wziął to za udany żart. Zaśmiał się z aprobatą, przykładając wyprostowaną prawą dłoń do świecącej czerwienią służbowej czapki. Oczywiście czuł się nareszcie wzorowo umundurowany, zgodnie z duchem czasu.

— Powiedziałem w restauracji przy dworcu, aby przygotowali nam coś do zjedzenia — obwieścił Brandin przyjacielowi. — Mam nadzieję, że zgodzisz się na to.

— Do czegoś podobnego nie trzeba mnie nigdy namawiać! — odparł wesoło Zygfyrd.

W ciągu ostatnich pięciu lat objadali się obaj co prawda nad miarę, ale nie starczyło tego jeszcze do zaspokojenia głodu nagromadzonego w ciągu dziesięciu lat wojny i okresu powojennego. Sądząc z wyglądu zewnętrznego, osiągnęli już jednak stan bliski pełnego nasycenia.

W głównej sali prowizorycznie odbudowanej z ruin restauracji obok dworca stały wyszorowane do czysta stoły. Ale w przyległym gabinecie, zarezerwowanym wyłącznie dla nich, stoliki były przykryte białymi obrusami. Na obrusach leżały podobnie białe serwetki i połyskiwały kieliszki. Obok nich znajdowały się mocno zużyte, sądząc z wyglądu, sztucce. Frankońskie wino, na pewno znakomite, czekało już w drewnianym wiaderku wypełnionym kruszonym lodem.

Przyjaciele zasiedli blisko siebie i wymienili szybkie spojrzenia. Potem spróbowali wina. Następnie z widocznym apetytem spożyli pieczone kielbaski z kapustą. Dopiero później, gdy oddaliła się usługująca im opieszale ślamazarna dziewczyna, zaczęli swobodnie rozmawiać.

— Przypuszczalnie wszystko poszło całkiem dobrze — stwierdził Tomasz Brandin. — Znać to po tobie, jak mi się zdaje.

— Mało tego, że dobrze, poszło najlepiej, jak można sobie wyobrazić — przytaknął przyjacielowi Zygfyrd Sonnenberg, przysuwając sobie jednocześnie świeży chleb i pikantny ser. — Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy nasze staranne przygotowania. Brat Margot jako adwokat, a John Frankfurter za pomocą swoich amerykańskich stosunków zrobili po prostu wszystko, co tylko możliwe, ażeby doprowadzić do skutku tę wielką transakcję.

— Zatem to znaczy, że tak jak zaplanowałeś, możesz tu sobie teraz wybudować fabrykę kosmetyków?

— O dowolnych rozmiarach, jaka mi się tylko zamarzy! Z produkcją opartą na moich recepturach i dodatkowo na amerykańskich licencjach, jakie uzyskam w przyszłości; z udziałami, które odpowiadają wszelkim oczekiwaniom. Zatem przedsiębiorstwo mamy gotowe.

— To wspaniale, Zygrydzie. Dla ciebie.

— I dla ciebie, Tomaszu! Bądź co bądź w ostatnich latach działałeś u mnie jako kierownik przedsiębiorstwa i osiągałeś świetne rezultaty. Teraz rozszerzymy twoje kompetencje.

— To brzmi całkiem dobrze — powiedział Tomasz z wdzięcznością i jednocześnie z żalem. — Ale sam wiesz, że jestem niestety zajęty innymi interesami. Muszę uporać się ze swoim najważniejszym problemem. Wciąż jeszcze. Bez żadnych zmian.

Żaden z nich nie musiał ani słowem wspominać, co oznacza ów „najważniejszy problem”. Był to mianowicie zespół spraw związanych z Wernersem. W czasie, który zdążył upłynąć, wiele się w nich zmieniło.

Wówczas, w roku 1950, zdaniem „generała” zachodziła obawa, że jego ukochana córeczka może się dostać jakiemuś Brandinowi i tym samym klanowi Sonnenbergów. Dlatego zdecydowanie usunął Izoldę z Rosenburga, wysyłając ją do krewnej o poglądach takich samych, jakie on wyznawał. Posiadała ona majątek ziemski w Dolnej Saksonii. Tam też pozostawała jego córka, pozornie całkowicie odizolowana od świata, objęta najsurowszą rodzinną cenzurą pocztową.

— Ale teraz Izolda ma tu powrócić. Powiadomiła mnie o tym. Jak się wydaje, ojciec pilnie jej potrzebuje. To mnie napawa ogromną nadzieją.

— Drogi Tomaszu — odezwał się przyjaciel, starając się być wyrozumiały. — Po co te wszystkie zabiegi? Przecież nie odniosą one żadnego odczuwalnego efektu. Machnij wreszcie ręką na Wernersów! Na drodze prawnej nie do伯iesz się do niego jako prawdopodobnego mordercy twego ojca. Nie możesz przedstawić przeciwko niemu żadnych dowodów, które byłyby przydatne dla sądu.

— Pomimo wszystko nie myślę z tego rezygnować. Wiesz o tym dobrze!

— Naprawdę nie mogę dopatrzeć się w tym jakiegokolwiek praktycznego sensu. Czyżbyś przypadkiem chciał spróbować publicznie skompromitować Wernersa? Nie zrobisz tego chyba na podstawie materiałów, które pracowicie zbierałeś i które ja znam. Są co prawda

bardzo obrzydliwe, ale wcale nie mogą stanowić podstawy do złożenia skargi. Jedynym skutkiem, jaki byś przez to osiągnął, byłaby poważna sprawa o zniesławienie, wniesiona przeciwko tobie. Wtedy ty mógłbyś zostać skazany.

— W takim wypadku miałbyś za przyjaciela kandydata na skazańca — zażartował Brandin, choć wcale nie było mu do śmiechu. — Bądź pewny, że oszczędzę ci tego. Nie zapomnę jednak nigdy o tym, że istnieje rachunek, który trzeba wyrównać!

— O co ci chodzi naprawdę, Tomaszu? Chcesz wywołać wielką sensację, wzbudzić niepewność, prowadzić wojnę podjazdową? Chłopie, to wszystko pociągnie za sobą ogromne zamieszanie, które będzie niekorzystne dla mnie i dla naszych wspólnych interesów!

— Oficjalnie mógłbyś zachować dystans wobec moich poczynań. Wcale by to nie przeszkadzało po cichu bawić się pewnymi sprawami. Zresztą nie po raz pierwszy pozwolilibyśmy sobie na tego rodzaju pomysły.

— Za nic w świecie nie dam się wciągnąć w coś podobnego! Znajdujemy się nie w piekielnej dżungli obozu jenieckiego, tylko w Rosenburgu. Różnica to co prawda niezbyt wielka, ale reguły gry obowiązują przecież inne. Jeśli w tym mieście zaatakujesz Wernersa wprost, że tak powiem, frontalnie, na pewno poruszysz całą masę rozmaitych grup i kręgów i z pewnością narobisz sobie mnóstwo wrogów.

— Kogo takiego na przykład?

— Nie tylko tego idiotę Wiesego, ale też wyrafinowanego Kahlersa. Prawdopodobnie również Ewę-Ingeborgę. Ale przede wszystkim nie powinieneś tak bezkrytycznie hołubić nadziei, że Werners dopuści cię do swojej córki.

— Wielkie rzeczy! Werners wciąż jeszcze jest starym, zajadłym militarystą. Czy niektórzy ludzie podobnego pokroju, nie widząc innego wyjścia, po prostu nie kapitulowali? Dlaczego nie miałbym go wpędzić w ślepy zaułek w ten czy inny sposób?

Zygfryd Sonnenberg z zastanowieniem potrząsnął swoją niewątpliwie mądrą głową.

— Przyjacielu, czy naprawdę konieczne są takie niezbyt bezpieczne kombinacje? Żyjemy przecież w czasach wielkich interesów, a generałowie także mają ochotę w nich uczestniczyć. Na ruinach zakwita nowe, bogate życie!

— Nie spodziewaj się, że uwierzę, że teraz ty także zboczyłeś na tę drogę.

— Patrzę na te sprawy, Tomaszu, znacznie prościej, całkiem realistycznie, widzę je wprost namacalnie. Żadna Izolda nigdy nie należała do twego świata, a już w żadnym wypadku jakiś Werners. Nie wspinaj się więc do nich! Pozostań razem ze mną.

— Ażeby ostatecznie doczekać chwili, kiedy będziesz robił wspaniałe interesy Bóg wie z kim, może nawet z samym Wernerssem? Czegoś podobnego nie powinieneś wymagać ani od siebie, ani ode mnie.

— Tego typu interesy mają wartość względną — odezwał się z namysłem Sonnenberg. — Nie muszą koniecznie przynosić korzyści niejakiemu Wernersowi.

— Tylko bez pochopnych obietnic, Zygfydzie! Jeśli chodzi o zysk, to można się układać z samym diabłem. Zresztą doświadczyłem już tego. Występuję wtedy jako twój tak zwany pracownik na kierowniczym stanowisku, ale muszę trzymać się dokładnie twoich wskazówek.

— Nie musiałyby zawsze tak być, Tomaszu — zapewnił Zygfyd po jeszcze głębszym zastanowieniu. — Na przykład w wypadku, gdybym uczynił cię moim współnikiem, nad czym zresztą zastanawiam się już od pewnego czasu.

Brandin był wyraźnie ubawiony.

— Na Boga, człowieku! Jesteś zdaje się rzeczywiście usposobiony do wygłaszania oryginalnych dowcipów. Mnie w każdym razie nie wydają się one zbyt udane. Czyżbyś przypadkiem rozważał ewentualność mojego wżenienia się w twoją rodzinę? Którą zatem damę miałbym uszczęśliwić? Przecież chyba nie twoją żonę, Ewę-Ingeborgę?

— Nie ją — odparował z przekonaniem Sonnenberg. — Jest mi miła i wiele dla mnie warta. Zdaje mi się, że nawet nie przeczuwa, jaką przedstawia dla mnie wartość. — Spojrzał na przyjaciela znacząco. — Dziwna rzecz, że nie wpadłeś od razu na to, o kogo może chodzić. Oczywiście o moją córkę Dagmarę. Jednak już od paru lat dostrzegam, że masz jakieś wewnętrzne zahamowania pod tym względem.

— Nie tylko ja, lecz my oboje — stwierdził Brandin.

— Moim zdaniem całkiem niepotrzebnie. Dagmara jest ci przecież przychylna. By nie powiedzieć po prostu, że cię kocha! Jestem tego absolutnie pewny.

— Cóż z tego? — zapytał Tomasz Brandin, jednocześnie zdziwiony i poruszony. — Przypuszczalnie nie liczysz się z tym, że kiedyś mogą pokusić się o wtargnięcie w twoje najbardziej osobiste sprawy. Nie wspominam już o tym, że Dagmara jest jeszcze dzieckiem.

— Była nim może pięć lat temu, kiedy tu przyjechaliśmy. Teraz ma już dwadzieścia lat. Też mi dziecko!

— W każdym razie ja jestem około dwudziestu lat starszy od niej. Powinieneś się nad tym zastanowić.

— Niecałe, Tomaszu. Wyprzedzasz ją niewiele ponad piętnaście lat. Taka różnica wieku wydaje mi się nawet bardzo pożądana w małżeństwie. Zresztą dowodzą tego spostrzeżenia, jakie zdołałem poczynić.

— Ale przecież twoja córka — zawołał Tomasz Brandin już mocno podniecony — ma całkiem inne usposobienie niż ja i niż my obaj!

— To tylko tak się wydaje — powiedział od niechcenia Sonnenberg. — Przejrzałem ją. Wiem, dlaczego ona nas tak prowokuje. Uważa, że musi się bronić przed zdegradowaniem jej do roli panienki do wzięcia. Przy okazji zastanów się nad tym. — Potem po przyjacielsku dorzucił: — A teraz, mój drogi, chodźmy! Udajmy się do domu, jak zwykle nazywamy to miejsce.

Zygfryd i Tomasz wyszli z restauracji przy dworcu w Rosenburgu. Po dziesięciu latach, jakie razem spędzili, byli zżyci bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Zawiadowca stacji, czatujący także tu, jakby gotów do usług, powtórnie uklonił się, przykładając prawą dłoń do czerwonej czapki służbowej. Oni obaj nadal nie zwracali na to uwagi, co urzędnika wcale nie uraziło: salutował sam dla siebie i to mu wystarczało.

Przecieli całkiem już uporządkowany plac przed dworcem. Rosły na nim starannie przycięte drzewa i krzewy, stały też pomalowane na zielono ławki. Ścieżki były grubo posypane żwirem, a zieleń między nimi schludna i zadbana. Poszli na przełaj, tuż obok tabliczki z napisem zabraniającym chodzenia po trawnikach. Wydawało się, że Rosenburg, znów objęty urzędowym nadzorem, prezentuje się dość porządnie.

— Nasz wóz stoi w pogotowiu — powiedział Brandin, wskazując zaparkowanego volkswagena.

— Niech drynda postoi — zdecydował Sonnenberg. — Nie potrzebujemy jej, do domu mamy paręset metrów. — Potem przyznał się z zakłopotaniem: — Wciąż jeszcze ogarnia mnie chęć przejścia tego kawałka drogi metr po metrze. Tak jak wtedy, pięć lat temu, kiedy przyjechaliśmy i szukaliśmy naszego domu. A potem jak urzeczeni zbliżaliśmy się do rzeczywistości, od której widoku robiło się nam jakoś straszno.

Tymczasem dom Sonnenbergów został z dawnych ruin odbudowany i poważnie rozbudowany. Fasada robiła wrażenie solidne, prawie imponujące. Jej kształt odpowiadał dokładnie dawnemu stanowi, ale teraz zdobiły ją jasne barwy, użyte obficie, wprost rozrzutnie. Przeważały biel i błękit. Ściany zostały wzmocnione, a stropy wybetonowane.

Na parterze znajdował się zakład fryzjerski Sonnenberga. Składał się on z dwóch salonów, damskiego i męskiego. Pomiędzy salonami mieściły się pokój przyjęć, poczekalnia i sklep firmowy. Było to przedsiębiorstwo znakomite, mające liczną klientelę, bez konkurencji w okolicy.

Stary mistrz Adam naturalnie już od dłuższego czasu nie wchodził w rachubę. Przed trzema laty powiesił się na ramie okiennej, używając do tego powiązanych ze sobą, wypranych chemicznie prześcieradeł fryzjerskich. Uczynił to, nie skarżąc się na nic i na nikogo. W liście pożegnalnym napisał tylko tyle: „Idę za swoimi najdroższymi!” Miał okazały i wzruszający pogrzeb.

Wkrótce po tym tuż za odbudowanym domem Sonnenbergów zaczęła się sadowić jakaś budowla, wyglądająca na razie na nędzną szopę. Bardzo szybko owa szopa rozrosła się w rodzaj baraku stanowiącego wytwórnię, najpierw z trzema, potem dwunastoma, a wreszcie dwudziestoma sześcioma pracownikami. Wytwarzali oni produkty Sonnenberga: eliksiry, mikstury i preparaty specjalne do skóry i włosów.

Widok tego budynku niejednen raz wprawiał Zygfrйда Sonnenberga w zachwyty, lecz dopiero tego dnia był to zachwyty prawdziwy.

— Nieodwołalnie stanęliśmy tu mocną stopą — powiedział z dumą do przyjaciela. — Położyliśmy trwałe fundamenty i tak będziemy postępować nadal. Na większą skalę!

— Nie bądź zbyt pewny, że od razu zaczniesz nadawać ton w Ro-

senburgu — uśmiechnął się Tomasz z pewnym przymusem. — Przecież inni nie stali tymczasem z założonymi rękami. Na przykład Werners. On też zasłużył się dla odbudowy miasta z ruin, i to dość poważnie, za pomocą swoich żwirowni, szklarni i przedsiębiorstwa przewozu ziemi. Teraz już się zabiera do budowy fabryki cementu!

— A niech tam! Wszystko jest jedną wielką kupą gnoju! — uważał za wskazane stwierdzić Zygfyrd, jakby to na nim nie robiło żadnego wrażenia. — Jest to tylko robienie interesów metodami przedwczorajszymi! Tymczasem już zupełnie niedługo zapanuje, zresztą nie tylko u nas, wysoko wyspecjalizowana produkcja, organizowana na skalę ponadregionalną. To właśnie zamierzam rozwijać. Razem z tobą!

— Przyjemnie się tego słucha, Zygfyrdzie. Dla ciebie może to wszystko ułożyć się pomyślnie, ale nie znaczy to wcale, że od razu też dla mnie. Gdy usłyszałem o zamierzonym powrocie Izoldy, a potem przeczytałem list, który napisała do mnie, wpadłem na pewien pomysł. Chętnie ci pokażę ten list, ale tylko tobie.

— Chłopie, mogę cię jedynie ostrzec! Unikaj pewnego typu kobiet. Nigdy nie waż się ich lekceważyć! Kiedy od ciebie czegoś koniecznie chcą, a najczęściej chcą, potrafią ci przyczynić tyle kłopotów, że możesz się nimi udławić. Wiem, co mówię.

W tym momencie jak na komendę otworzyły się główne drzwi salonu fryzjerskiego Sonnenberga. Pojawiło się w nich młodziutkie, ciemnowłose, zmysłowo wyglądające stworzenie o pełnych wargach i szarobłękitnych ognistych oczach. Ta synteza kobiecości rzuciła się w stronę Zygfyryda jakby na jego spotkanie.

— No, to jesteś nareszcie! — zawołała.

Była to Chrystiana Clements, jedna z fryzjerek w jego salonie. Była ona nie tylko jedną spośród pięciu, lecz też najbardziej atrakcyjną z nich, najbardziej przymilną i najbardziej spragnioną miłości. W Zygfyrdzie widziała swego mistrza i mentora. Dlatego też ciągle starała mu się podobać. Pod każdym względem.

Jej sposób bycia wprawiał Sonnenberga w wyraźne zakłopotanie, zwłaszcza w obecności Brandina. Powstrzymywało go to od zbliżenia się do owej piękności z salonu fryzjerskiego, ale mimo wszystko raz po raz rzucał ogniste spojrzenia w jej stronę. Teraz na powitanie wyciągnął

do Chrystiany jedynie prawą rękę, uważając przy tym na utrzymanie odpowiedniego dystansu. Ona pochwyciła jego dłoń i przyciągnęła do siebie.

Brandin bezceremonialnie wsunął się między nich. Ostentacyjnie objął Chrystianę jedną ręką i odezwał się przybierając naturalny ton:

— No, jak to pięknie, panno Clements! To mi dopiero serdeczne powitanie! Od razu widać, jak wspaniała atmosfera panuje w naszym zakładzie. Nie powinienem chyba przypuszczać, że jest to swego rodzaju osobista deklaracja, złożona zupełnie otwarcie. A może jednak?

— Nie — zapewniła solennie Chrystiana.

— Proszę, nie wtrącaj się, Tomaszu — poprosił powściągliwie Zygfyrd.

Chrystiana Clements zaczerwieniła się nieznacznie. Odeszła natychmiast, kołysząc się z lekka i uwydatniając w ten sposób sporo powabnych krągłości. Brandin także spoglądał za nią nie bez upodobania. Lecz potem skierował na przyjaciela szczere spojrzenie.

— Jeżeli ja się nie wtrączę, mój drogi, zrobią to z pewnością inni. Bardzo prawdopodobne, że także twoja żona!

— W takim razie nie znasz dobrze Ewy-Ingeborgi! — Sonnenberg roześmiał się ironicznie. — Przynajmniej jeżeli chodzi o te sprawy, jest ona tolerancyjna.

— Nie łudź się, Zygfyrdzie! Jest to bądź co bądź kobieta i przy tym twoja żona. Być może ze względu na jakiś ukryty cel lub z wyrachowania mogłaby przymknąć oczy. W każdym razie jednego nie zniesie: uszczuplenia stanu swego posiadania.

— Ejże, Tomaszu, mój przyjacielu, nie wywołujesz ty czasem wilka z lasu?

— Z pewnością tylko napomykam o tym, nad czym ty prawdopodobnie zastanawiałeś się już nieraz.

— Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny i wiesz o wszystkim, co ma ze mną związek.

— Dlatego też jestem pewny, że gdyby Ewa-Ingeborga zwąchała, że może mieć kłopoty z tego powodu, wołałaby sama ciebie w nie wpędzić. Miałbyś wtedy z tym taki kram, że nie wiem, czy starczyłoby ci sił, by sobie poradzić. Jeżeli w ogóle wiedziałbyś, jak to zrobić.

Odbudowany z rozmachem dom Sonnenbergów, do którego Zygryd wchodził w tej chwili, był nadzwyczaj solidny, obszerny i porządnie wyposażony. W ozdobnym wnętrzu, w którym jednak widoczna była zamierzona funkcjonalność, przeważały jasne barwy.

Na parterze, oprócz salonów fryzjerskich, mieściło się biuro i dalsze dwa przybudowane pomieszczenia. Pozostawały one w osobistej dyspozycji Tomasza Brandina. Piętro było zajęte na mieszkanie Sonnenbergów. Składało się ono z dużej kuchni, przyległego do niej obszernego pokoju służącego najczęściej za jadalnię oraz dwóch sypialni — dla pana i pani domu — przedzielonych łazienką. Na poddaszu było jeszcze kilka pomieszczeń z przyjemnymi dla oka ukośnymi stropami. Znajdował się tam pokój do pracy Zygryda, nazywany także laboratorium, a obok niego pokoje dla pozostałych członków rodziny. Jeden przeznaczony dla córki Dagmary, a urządzony osobiście przez Zygryda z sercem i niemałą fantazją. Drugi — stale zarezerwowany dla jego ukochanej siostry Eryki. Ona jednakże prawie z niego nie korzystała, ponieważ nadal żyła z Johnem Frankfurterem.

Do domu należały również rozbudowane z podobnym rozmachem piwnice. W beczkach, baryłkach i gąsiorach mieściły się tam surowce, przeznaczone do produkcji wyrobów firmy Sonnenberg. W piwnicy znajdowało się ponadto przyjemne mieszkanko z łazienką i toaletą, złożone z większego pokoju mieszkalnego i mniejszej sypialni. Rezydowała tam nie opłacając czynszu, pod stałą życzliwą opieką Zygryda, Klementyna Gartner, dawniej przezywana diabelską babcią. Teraz jednak zachowywała ona trudną do wytłumaczenia powściągliwość. Nie znaczyło to jednak wcale, że nie jest w każdej chwili gotowa bez zahamowań ukazać swą prawdziwą twarz. Gdyby tylko życzył sobie tego jej Zygryd...

Jakkolwiek na razie nie zanosilo się na to, czujność Klementyny nie osłabła ani trochę. Po prostu podglądała wszystko i nic nie uszło jej uwagi. Opanowane przez nią okna piwniczne stały się niemal punktami obserwacyjnymi. Dojrzała więc i tym razem, że jej Zygryd jest uległy wobec tej natrętnej Chrystiany. A potem ten mały, sprytny drań, ten cały Brandin, do którego ona, Klementyna, czuła pewną słabość, splawił luksusową lafiryndę.

Klementyna miała świadomość, że obaj zachowali się co prawda bardzo zręcznie, lecz najpewniej wcale nie przeczuwali, czyje w istocie

wzbudzili oburzenie. Mianowicie Ewy-Ingeborgi. Przecież nieprzypadkowo uznała ona mamę Emmę w ostatnich latach jej życia za swoją ulubienicę. To musiało coś znaczyć.

Zygfryd Sonnenberg rozejrzał się za Klementyną. Spozobregła to z zachwytem. Natychmiast ukazała się w jednym z szeroko otwartych piwnicznych okien.

— Tu jesteś więc, moja kochana staruszko! — zawołał. — Brakowało mi twego widoku.

— Witaj w imię boże, mój drogi mały! — burknęła z zadowoleniem. — Dobrze, że już jesteś z powrotem, choć od razu ze swoim przyjacielem. Świetnie wyglądasz! Przypuszczam, że nie tylko ze względu na tę śliczną fryzjerkę, której ci oczywiście nie gratuluje.

— Nic chyba nie ujdzie pani uwagi, co? — rzekł z uznaniem Brandin.

— Po to ostatecznie tu jestem, chłopaczku. Jako ktoś w rodzaju Cerbera, jak to powiedział mój Zygfryd. Ze względu na niego. A teraz chciałabym mu coś szepnąć. W cztery oczy.

Sonnenberg wysłał Brandina ze swoją teczką przodem do Ewy--Ingeborgi.

— Powiedz jej, że zaraz przyjdę. Chcę tylko szybko sprawdzić, czy w sklepie wszystko biegnie jak należy. Tymczasem możesz zakomunikować mojej kochanej żonie wiadomość, która ją niewątpliwie ucieszy: że wszystko jest na najlepszej drodze! Powinna być ci za to wdzięczna. Taka wiadomość stwarza przyjemną atmosferę.

Brandin oddalił się bez zbędnych ceregieli. Klementyna popatrzyła za nim z zastanowieniem, po czym powiedziała do Zygryda:

— Możesz sobie pogratulować, że masz w nim przyjaciela. Bo wróg nawet ja nie chciałabym w nim mieć. Zadaję sobie tylko pytanie, czy on rzeczywiście jest twoim przyjacielem i czy pozostanie nim nadal.

Zygfryd patrzył na nią z niedowierzaniem. Zanosilo się na to, że rozmowa przez piwniczne okno przybierze całkiem nieoczekiwany obrót.

— Czyżbyś przypadkiem uważała się za upoważnioną do powątpiewania w tę przyjaźń?

— Nie, mój drogi! — odparła stanowczym tonem. — Nie mam żadnego prawa i nie podejrzewam go o nic. Ten chłopak jest w porządku. Próbuje się nawet przeciwstawić twojej Ewie-Ingebordze, a to przecież wiele znaczy. Trzeba tylko mieć nadzieję, że i w przyszłości będzie taki!

Nie jest to wcale proste w czasach, kiedy matki sprzedają własne dzieci, a żony robią z mężów towar do zaoferowania, korzystając z pomocy rzekomo dobrych przyjaciół.

Sonnenberg przysiadł na kamieniu leżącym tuż obok piwnicznego okienka, ażeby porozmawiać ze swoją Klementyną nieco bardziej szczegółowo.

— Przypuszczam, że masz na myśli Konrada Kahlersa?

Z uznaniem skinęła głową.

— Ty chyba słyszysz, jak trawa rośnie, mój kochany chłopcze, i za to cię lubię. W każdym razie Kahlers, ten burmistrz, na którego sam tylko Bóg wie, w jaki sposób Rosenberg mógł sobie zasłużyć, w czasie kiedy ciebie tu nie było, wciąż kręcił się wokół Ewy-Ingeborgi. Nie pytaj mnie, dlaczego. Na pewno nie z czystej miłości. O co mu naprawdę chodzi, wytłumaczy ci prawdopodobnie wkrótce twoja żona.

— Dziękuję, moja staruszko! — powiedział Zygfyd. Podniósł się trochę ociężale. Chęć natychmiastowego odwiedzenia ślubnej żony znacznie w nim osłabła. Postanowił przedtem zajrzeć do salonów fryzjerskich.

Udał się najpierw do działu dla panów. Odniósł wrażenie, że wszystko przebiegało tu zgodnie z oczekiwaniami, bez zakłóceń. Trzej fryzjerzy, których sam wyszukał i przeszkolił, pilnie pracowali. Wytwornie prostą fryzurę, którą sam wprowadził i która weszła lokalnie w modę — średnio przycięte i gładko uczesane włosy — można było uznać za model z Rosenburga.

Praca w salonie dla pań była nieporównanie bardziej urozmaicona i odpowiedzialna. Sonnenberg bowiem szybko zorientował się, że płeć piękna łoży na fryzury przeciętnie pięciokrotnie, a nawet dziesięciokrotnie więcej niż mężczyźni.

— Mistrzu Sonnenberg! — zawołała do niego małżonka dygnitarza policyjnego w Rosenburgu (dzięki datującej się od młodości lat przyjaźni jej męża z Zygfydem miała zapewnione usługi po cenach niższych) — zdaje mi się, że moje włosy straciły blask.

— To złudzenie, droga pani! — zapewnił ją Zygfyd, rzuciwszy na jej włosy okiem znawcy. — To, co naprawdę jedwabiste, nie błyszczysz, lecz lśni łagodnie, tak jak właśnie u pani.

— Kiedy pan tak mówi, mistrzu Sonnenberg, to na pewno tak jest — zgodziła się skwapliwie. — Ale czy nie można by tak trochę wzmocnić tego jedwabistego lśnienia?

— Można, oczywiście! Na przykład przez zastosowanie w krótkich odstępach czasu kilku specjalnych zabiegów polegających na przemywaniu i płukaniu. W cenie dziesięciu marek za każdy zabieg. To cena zniżona, dla uprzywilejowanych klientek. Dla pozostałych piętnaście marek. Proszę się od razu zapisać na następny tydzień, zaaplikujemy to cztero- lub sześciokrotnie. Będzie pani zdumiona! Niech pani uprzejmie pozdrowi małżonka, mego przyjaciela Jurgena.

Gorliwie zainteresował się następną klientką. Była nią pani Hurek, żona mistrza rzeźniczego, wyjątkowo wymagająca, ale też wypłacalna osoba. To, co tracił na nielicznych „cenach zniżonych”, bez trudu odbijał sobie na „damach salonowych” jak ta oto.

— Życzy pani sobie czegokolwiek? — zapytał uprzejmie, uśmiechając się do niej w lustrze.

— Panie Sonnenberg! — poskarżyła się, poprawiając swoje sto kilogramów w jęczącym z wysiłku fotelu. — Proszę się przyjrzeć mojej skórze! Wygląda na przegrzaną i wydaje mi się, że wydziela zbyt wiele wilgoci. Jak można temu zaradzić?

Nie obzerać się, nie opijać się, zażywać więcej ruchu — pomyślał Sonnenberg, jednak spoglądał na nią zyczliwie. Odpowiedział:

— Nieco starsza skóra, a każda skóra zaczyna starzeć się około dwudziestego piątego roku życia, ma na ogół tendencję do wysychania. Pani skóra jednak nie wysycha, a to samo w sobie jest dobrym objawem. — Jego swoboda bycia wprost imponowała. Nie ma prawie rzeczy, której nie dałoby się poprawić. Skomponowałem właśnie specjalnie dla pani pewien krem, który skutecznie obniża wydzielanie potu przez zbyt wydajne pory w skórze. Poddamy się więc odpowiedniej kuracji i pani twarz stanie się z powrotem buzią różowego dzieciaczka!

— Jestem panu bardzo, ale to bardzo wdzięczna, panie Sonnenberg! — wykrzyknęła z zachwytem.

— Nie ma za co! Proszę pozdrowić szanownego małżonka. Chętnie porozmawiałbym z nim prywatnie w najbliższych dniach, byłoby to bardzo wskazane. Niech mu pani zupełnie poufnie napomknie, że jego zamiar postawienia fabryki wyrobów mięsnych na terenie Łąk Północnych wydaje się obecnie możliwy do urzeczywistnienia.

Powiedziawszy to, uchylił się od wysłuchiwania nie tylko dalszych wyrazów uznania, lecz także dodatkowych pytań. Pospiesznie zwrócił się do następnej klientki, jego zdaniem nieporównanie bardziej wyma-

gającej uwagi, i to pod każdym względem. Najczęściej obsługiwał ją osobiście. Ponieważ jednak tym razem nie było to możliwe, zajęła się nią jego aktualnie najlepsza i najrzęczniejsza siła fachowa, to jest Chrystiana Clements.

Klientką tą była Margot, nie tylko żona miejscowego obrońcy sądowego, lecz także siostra adwokata posiadającego duże kancelarie w Monachium i Frankfurtach. Właśnie wobec niego czuł się Sonnenberg niezmiernie zobowiązany, gdyż otaczał on opieką prawną jego interesy. A tym samym też wobec Margot.

Wciąż jeszcze sprawiała ona wrażenie rozpieszczonego, kapryśnego, stale niezadowolonego dziecka. Zygfryd zgiął się nad nią, wychylając się daleko do przodu. Jednocześnie wszakże, niby to szukając oparcia, objął jedną ręką Chrystianę, ona zaś lekko przytuliła się do niego. Cała jego uwaga, jak się zdawało, była jednak skierowana na Margot. Ani jemu, ani jej nie marzyło się nawet, że kiedyś zostanie ona jego trzecią żoną. W każdym razie w owej chwili skoncentrował się wyłącznie na szkicu, który sam wykonał.

— Tak mniej więcej wyobrażam sobie fryzurę, którą mi zasugerowałeś — mówił. — Jest ona co prawda bardzo fantazyjna, ale ty możesz sobie na nią pozwolić. Twoje pełne wyrazu rysy twarzy dadzą się zharmonizować z najbardziej zadziwiającymi metamorfozami uczesania!

Ja tu sobie plotę w kółko — myślał tymczasem — i uprzejmą gadaniną odwlekam to, czego nie sposób uniknąć: rozmowę z moją żoną Ewą-Ingeborgą. Instynktownie wietrzył kłopoty. Ale cóż — zapytywał sam siebie — nie sprawia kłopotów w dzisiejszych czasach? Niemal w pośpiechu, jakby obawiał się czegoś poważnego, cofnął rękę z jędrnego pośladka Chrystiany.

Margot odrzuciła powódź jedwabistych włosów z oszalamiająco ślicznej buzi, ażeby bez przeszkody znacząco spojrzeć na niego.

— Jak tam, Zygfrydzie? Jesteś zadowolony? Czy na tym wyjeździe udało ci się przy pomocy mego brata zawrzeć korzystną umowę?

— Najlepszą, jaką można sobie wyobrazić! — stwierdził. Pomimo że ogarnęła go znów chęćka ulokowania dłoni poniżej krzyża Chrystiany, nie uczynił tego. Uznał, że teraz bardziej wskazane jest skupić całą uwagę na Margot. — Jestem ci za to wdzięczny — powiedział — i to bardzo!

— Zawsze tak ładnie mówisz, Zygfrydzie!

— I myślę tak samo, jak mówię, tym razem z wszelką pewnością. Chętnie bym ci udowodnił swoją bezgraniczną wdzięczność, droga Margot. Ale nie wiem, a raczej jeszcze nie wiem, w jaki sposób mógłbym to uczynić. W razie gdybyś miała jakieś określone życzenia, wystarczy, byś mi je wyjawiała.

Obrzuciła go łagodnym spojrzeniem.

— Może byśmy o tym porozmawiali, Zygfrydzie, nawet jutro. U mnie. Na przykład wczesnym wieczorem, jeśli ci to odpowiada, przy filiżance herbaty. Mój mąż niestety nie będzie mógł być obecny, bo wyjechał. Czy pomimo to przyjdiesz?

— Czemu nie, droga Margot — odpowiedział Zygfryd, nie ociągając się specjalnie. Przy tym jednak, jak gdyby chcąc uspokoić Chrystianę, znów położył rękę na jej krzyżu, choć tym razem nieco wyżej. Jednocześnie nie przestawał mówić: — W każdym razie, droga Margot, twoje włosy robią wrażenie wprost wspaniałe, są mocne, a przy tym miękkie i wypielęgowane aż po same koniuszki. Jeśli pozwolisz, obmyślę dla ciebie jeszcze inne, całkiem nowe uczesanie.

— Pozwalam ci także na to, po prostu na wszystko. Robię to z prawdziwą przyjemnością!

Uśmiechnął się do niej dyskretnie. Pozostawił też w spokoju Chrystianę i oddalił się pospiesznie. Uczynił to, uświadomiwszy sobie przypuszczalnie, że czeka go jeszcze jedno tylko spotkanie, które nie zamieni się chyba w łańcuch pretensji. Przestał się więc ociągać z pójściem do Ewy-Ingeborgi.

Zygfryd Sonnenberg spotkał się z żoną w tak zwanym głównym biurze przedsiębiorstwa. Pokój ten zaanektowała ona na swój wyłączny użytek. Znajdował się na parterze, tuż za salonami fryzjerskimi. Urządzony był w sposób bardzo praktyczny — nie przeładowany, jasny, uporządkowany, odpowiednio do upodobań właścicielki.

Pod ścianami stały półki, coraz ciasniej zapełniane dokumentami. Na ścianach rozwieszono plansze z prospektami, wykazami wyrobów i planami produkcyjnymi. Ponadto w pokoju tym znajdowały się trzy biurka. Dwa mniejsze, stojące na uboczu, były przeznaczone dla Zygfryda Sonnenberga i Tomasza Brandina. Przy jednym rozwiązywano zagadnienia rozwoju, przy drugim załatwiano sprawy dostaw i wysyłki. Natomiast trzecie biurko, rozparte na środku pokoju,

reprezentowało poniekąd ośrodek zarządzania firmą. Było to biurko Ewy-Ingeborgi.

Ona sama, jakkolwiek w tej chwili już lekko ponad czterdziestoletnia pani, miała wciąż jeszcze szansę uchodzić za niezwykle zadbaną i atrakcyjną piękność, stosownie do pozycji męża — wziętego fryzjera i wybitnego przedsiębiorcy. Z Ewy-Ingeborgi emanowała mocna, lecz wcale nie narzucająca się zmysłowość. Wyrażały ją kusząco pełne wargi i zamglone spojrzenie. Potrafiła ona oddziaływać nadzwyczaj podniecająco, ale nie na niego, swego oficjalnego małżonka.

I oto właśnie uśmiechnęła się do niego. Nawet wstała, aby przywitać go chłodnym, zdecydowanym uściskiem dłoni. Nadstawiła policzek, który on musnął ustami. Potem zapraszającym gestem wskazała pokryty brązową skórą fotel, stojący przed jej biurkiem.

Zygfryd zagłębił się w nim zgodnie z jej poleceniem. Podsunęła mu teczkę przyniesioną przez Brandina, rozłożyła na biurku kilka zebranych razem dokumentów, po czym rzekła bardzo rzeczowym i oficjalnym tonem:

— Wygląda na to, że wszystko w tej sprawie układa się zgodnie z oczekiwaniami.

— Można by nawet powiedzieć, że bardzo obiecująco, Ewo-Ingeborgo.

— Cokolwiek przez to rozumiesz, Zygfrydzie, mam nadzieję, że nie może to zmienić naszych najbardziej osobistych stosunków.

— Nie powinnaś w ogóle brać pod uwagę tych rzeczy, Ewo-Ingeborgo. Przecież łączy nas ostatecznie coś znacznie bardziej istotnego, i to już od wielu lat. Można by to nazwać naszym handlowym życiem rodzinnym.

— Byłam zawsze tego samego zdania — zgodziła się — choć nie zawsze przychodziło mi to łatwo. Bądź co bądź dzięki naszemu rozsądkowi i oczywiście tolerancji zdołaliśmy bardzo udanie ułożyć między sobą te sprawy. Zresztą od dawna nie praktykujemy tego, co ludzie powszechnie nazywają małżeństwem. Pomimo to jesteśmy i pozostaniemy nadal rodziną, jak sobie obiecaliśmy. Niezniszczalną wspólnotą! Zawsze się z tym zgadzałeś. Czy mogę przyjąć, że wciąż jeszcze tak uważasz?

— Bez cienia wątpliwości!

— A jednak, jeśli i teraz mam temu wierzyć, byłoby bardzo wskazane,

ażebyś był trochę ostrożniejszy. Zresztą nie tylko jeśli chodzi o tę Chrystianę Clements, bo jej nie mam ci w ogóle za złe. Ale nie powinieneś się przy tym zachowywać tak, jak to robisz. Przynajmniej przy ludziach! Takie zachowanie nie robi dobrego wrażenia.

— Bardzo cię proszę, Ewo-Ingeborgo — mówił, starając się zyskać jej wyrozumiałość. — Przecież nie można podawać w wątpliwość istnienia naszego rodzinnego współdziałania. To jednak zobowiązuje. Fakt, że zatrudniam u siebie parę kobiet, nie ma żadnego znaczenia. One tylko pojawiają się i znikają.

— Ale pewne granice trzeba zachowywać, Zygfydzie. Ja zawsze trzymałam się tej zasady. Pod tym względem nie można mi nic zarzucić ani wysunąć w stosunku do mnie choćby cienia podejrzenia.

Zygfyrd potrafił docenić, jak bardzo niezwykła jest pod tym względem ona, jego żona! Był bowiem pewny, że miewa dość śmiało, choć utrzymane w tajemnicy przygody. Musiała je przecież mieć. Przy swojej urodzie! Wydawało mu się, że Ewa-Ingeborga emanuje taką zmysłowością, jak gdyby była żywcem wyjęta z magazynu dla panów. Zatem można było przyjąć, że folguje ona swoim zachciankom nie tylko od czasu do czasu. Zygfyrd bez trudu wyobraził sobie, jak to może wyglądać w praktyce.

Przede wszystkim z Konradem Kahlersem — z nim przypuszczalnie nawet dość regularnie. Jeśli on nie ożenił się dotychczas, to zapewne ze względu na nią. Jurgen Wiese też wchodził w rachubę, gdyż był jej zawsze bardzo uległy, rzekomo kierując się szczerą przyjaźnią.

Oprócz tych dwóch można się było oczywiście domyślać istnienia jeszcze paru chłopów. Być może był jednym z nich któryś z jego fryzjerów albo ten czy ów spośród dostawców. Poza tym być może też, co trudno wykluczyć, Tomasz Brandin.

Zamyśliłeś się nad czymś tak głęboko, że aż. żal na ciebie patrzeć stwierdziła z politowaniem. — Powinieneś oprzytomnieć.

Zgodził się z nią pospiesznym skinieniem głowy. Poczuł, że wyrwała go z ponurej zadumy. Wolał jednak nie powracać do niewesołych myśli. Udał, że z zainteresowaniem przekłada dokumenty.

Zatem pewne było tylko to, że ona sypia z innymi! Należało jednak przypuszczać, że nigdy nie robiła tego tu, w tym domu. Postępowała zgodnie ze swoimi zasadami: unikać wszelkiego rozgłosu, nie dopuścić, by choćby najdrobniejszy szczegół przedostał się do publicznej wiado-

mości, nie dawać punktu zaczepienia do ewentualnego skandalu. Była przecież mistrzynią w sztuce udawania. Zresztą nie tylko w tej jednej dziedzinie.

— Wracajmy więc do rzeczy, Zygfrydzie — upomniała go. — Jak sądzisz, co osiągnąłeś w sprawie swego projektu wykorzystania Łąk Północnych? Lub też co możesz osiągnąć?

Był rad, że ma okazję oderwać się od niewesołych myśli.

— Chodzi o rozwinięcie naszej produkcji na poważną skalę. W tej chwili można uważać, że mamy na nią prawie pełne zabezpieczenie finansowe. Będzie można nawet dołączyć do tego także inne przedsiębiorstwa; może fabrykę wyrobów mięsnych, może zakłady chemiczno--farmaceutyczne? W sumie to wszystko jest niezwykle obiecujące.

— Dla kogo, Zygfrydzie? — zapytała, łagodnie przyuczajona niczym kotka. — Dla ciebie?

— Dla nas obojga, Ewo-Ingeborgo, to rozumiałe. Dla naszej rodziny.

— Pod jakimi warunkami, jak uważasz?

— Warunki? — zapytał, mocno zaskoczony. — Jakies szczególnie warunki? Czy ktoś zgłaszał jakies warunki i domagał się ich uwzględnienia? Może ty?

Ewa-Ingeborga od razu odparowała jego pełne niepokoju pytania swoim własnym pytaniem:

— Czyżbyś był naprawdę pewny, że twoje projekty są jedynym rozwiązaniem możliwym do przyjęcia? Może się przecież okazać, że są zbyt ryzykowne i ostatecznie tylko wciągną nas w wieloletnie inwestycje. Być może są to tylko nader wątpliwej wartości spekulacje. Ostatecznie mamy pod ręką całkiem inne możliwości. Wydaje się, że nadarza się właśnie jedna, bardzo pewna.

— Jakaż to?

— Dobrze by było, gdybyś jak najszybciej porozmawiał o tym z Konradem Kahlersem, najlepiej już jutro.

— Muszę to zrobić? — W Zygfrydzie obudziła się podejrzliwość. — A jeżeli uznam, że to jest całkowicie zbędne i odmówię? Jeżeli będę zdecydowanie obstawał przy swoim własnym projekcie zagospodarowania Łąk Północnych?

— Wtedy, mój drogi Zygfrydzie — oświadczyła mu Ewa-Ingeborga, uśmiechając się gdzieś w przestrzeń — będę cię musiała skłonić, byś się zapoznał z moimi szczególnymi warunkami.

— Zatem słucham cię!

— Jak dobrze wiesz — zaczęła mu wyjaśniać, rozkoszując się każdym wypowiedzianym słowem — twoja droga mama, pani Emma, na krótko przed śmiercią przelała na mnie wszelkie swoje prawa do Północnych Łąk. Ujęła to w testamencie i uwierzytelniała notarialnie! Był to nadzwyczaj zobowiązujący dowód zaufania, za który z pewnością powinienam być jej wdzięczna. Toteż zachowuję tę wdzięczność.

— No dobrze, moja droga. To są rzeczy znane — stwierdził ze znużeniem. — Ale powiedz, jakie to ma znaczenie? Pod względem czysto praktycznym.

— Po prostu takie, Zygfydzie, że prawo dysponowania Łąkami Północnymi przysługuje nam obojgu. Obydwoje mamy jednakowe udziały, to znaczy że do każdego z nas należy pięćdziesiąt procent. Cokolwiek więc tam się zbuduje, a pozostawiłam ci z pełnym zaufaniem wolną rękę w tych sprawach, będzie należało w połowie do mnie!

— Przy bliższym wejrzeniu okaże się to chyba tylko nieporozumieniem — odparł Zygfyd. — Muszę ci zwrócić uwagę, moja droga Ewo-Ingeborgo, że twój pięćdziesięcioprocentowy udział, którego istnienia wcale nie neguję, dotyczy jedynie ziemi, lecz wcale nie wszystkiego, co na niej stanie.

— Drogi Zygfydzie, nie próbuj uważać *mnie* za głupią — poradziła mu stanowczym tonem. — Faktem jest, że bez mojej zgody nie możesz na naszych Łąkach Północnych niczego zdziałać. Niczego beze mnie! Ale w całkowitej zgodzie ze mną wolno ci wszystko.

— Mój Boże! — odezwał się zmaltretowany Sonnenberg. — Zawsze domagałaś się ode mnie mnóstwa rzeczy, a teraz jeszcze tego?

— Jesteśmy przecież związani ze sobą.

— Oczywiście tak jest, Ewo-Ingeborgo! — odpowiedział z przekonaniem i z odrobiną nadziei. — Nasza wspólnota trwa już dwadzieścia lat, a my zawsze staraliśmy się korzystać z niej jak najlepiej i przeważnie to nam się udawało.

— Dodam tylko, że udawało się dotychczas, Zygfydzie. Może się to jednak zmienić z dnia na dzień. Na przykład gdybyś przeniósł swoje zainteresowanie na inną kobietę. Co wtedy?

— Tylko bez głupich pomysłów! — zawołał prawie błagalnie. — Zlituj się! Chyba nie mówisz tego z powodu jakiejś Chrystiany!

— Przecież w pracy masz wokół siebie tyle kobiet! — prowokowała go nadal.

- Ale poślubiony jestem tylko tobie!
- To ładnie, że jeszcze o tym pamiętasz — powiedziała z właściwym sobie łagodnym uporem. — Dlatego też mam nadzieję, że będziesz się liczył z moimi radami.
- Z jakimi mianowicie?
- Po pierwsze, spotkaj się jak najszybciej z Konradem Kahlersem i wysłuchaj jego propozycji. Potem możesz porozmawiać ze swoim przyjacielem Brandinem i razem z nim zagłębić się we wspomnieniach z obozu jenieckiego. I może właśnie to nasunie ci wniosek, że nigdy jeszcze nie powodziło ci się tak dobrze jak teraz! Przynajmniej tego powinieneś się nauczyć na podstawie swoich doświadczeń z przeszłości. A może uważasz inaczej?

Piąte interludium

O tym, jak zacieśniała się niezwykła przyjaźń

W wigilię Bożego Narodzenia owego roku, którą spędzili razem w lazarecie obozowym, Zygfryd i Tomasz obchodzili „święto dużego, tłustego szczura”.

Brandinowi udało się go schwytać dzięki pomocy życzliwego wartownika. Niezwykle okazałe zwierzę, przypominające niedużego królika, zostało najpierw wypatroszone, potem ugotowane w wodzie ze stopionego śniegu, a wreszcie upieczone nad ogniskiem, rozpalonym z drewna.

Przyrządzenie świątecznej pieczeni stało się możliwe dzięki nieoczekiwanemu podarunkowi w postaci piętnastu gramów masła. Nie pożałowała go obozowa lekarka, Natasza. Spożyli tę potrawę w świetle z wysiłkiem migocącej świecy. Wydawało się, że Sonnenberg najadł się wówczas nieźle.

Brandin usiłował okazać lekarce wdzięczność. Począwszy od tego wydarzenia, starał się być jej stale w czymś pomocny. Tymczasem w obozie śmierć nadal zbierała obfite żniwo. Najgorzej było w okresie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Ludzie wili się, wstrząsani napadami wysokiej gorączki, i krzyczeli, przywołując swoje żony i dzieci, swoje matki, Pana Boga bądź jakiegoś psa. Kryjąc się przed śmiercią w zakątkach, dławili się i konali, charcząc, a wreszcie milkli i sztywnieli.

Nieraz — i w dzień, i w nocy — zdarzało się, że lekarka Natasza wybuchała płaczem. Może z wyczerpania, a może pod wpływem zwątpienia. Brandin usiłował dodać jej otuchy.

— O ile mi wiadomo, pani doktor, w wielkoniemieckich obozach jenieckich podobno padał co drugi sowiecki jeniec. Lecz kiedy tak patrzę na pani wysiłki i pomyślę, że pani zapewne nie jest wyjątkiem, zdaje mi się, że w sowieckich obozach zginie tylko co trzeci niemiecki jeniec. Taki wynik można by po prostu uznać za oznakę zmian na lepsze.

W odpowiedzi na tę uwagę lekarka Natasza odwróciła się od Brandina, ażeby się zająć Sonnenbergiem. Dzięki jej staraniom Zygfryd szybko powracał do zdrowia. Już w pierwszych dniach nowego roku był w stanie znów ostrzyć komendanta obozu z wynikiem, który zadowolili ich obu.

W tym czasie owemu niedźwiedziowatemu mężczyźnie imieniem Grigorij niczym cień towarzyszył myszaty, prawie łysy osobnik, niejaki Fiodor. Tego to człowieczka zachęcał komendant, by również kazał się *ostrzyć* fryzjerowi.

W odpowiedzi na to Fiodor, z całkiem niezwykająną u siebie ironią, wskazał swoją lśniącą czaszkę.

— Cóż tu zostało do strzyżenia? Już prawie nie używam grzebienia. Niedługo wystarczy mi gałganek do zmywania.

Sonnenberg uprzejmie zaoferował swoje usługi.

— Proszę mi pozwolić, bym nieco dokładniej obejrzał pańską głowę.

Pozwolono mu na to. On zaś pochylił się nad łysą prawie czaszką Fiodora, zaczął ją obmacywać, a następnie masować. Potem stwierdził:

— Przypadek nie jest beznadziejny, a więc możliwe jest uzyskanie poprawy. Oczywiście pod warunkiem, że otrzymamy środki, które zresztą powinno się zdobyć bez trudu.

— Załatwione! — przyrzekł niedźwiedziowaty komendant, jednocześnie klepiąc Fiodora po wątlej łopatce. — Powinno cię to zainteresować, towarzyszu. Chociażby ze względu na naszą Nataszę! Ażebyś się jej podobał.

Fiodor ofuknął go szorstko. Jednocześnie dał do zrozumienia, kim tu jest: świeżo mianowanym komisarzem politycznym obozu. Występując więc w tym charakterze, oświadczył:

— Nie dbam o sprawy osobiste, na pierwszym planie stawiam kulturę!

Fiodor miał zupełnie zdecydowany pogląd na sprawy kultury. Zamyślał o wspólnym, w miarę możliwości godnym człowieka przetrwaniu dzięki uprawianiu sztuki i pobudzaniu umysłów. Na przykład poprzez czytanie utworów literackich — począwszy od Goethego, przez Puszkina, aż po Gorkiego. Ponadto przedstawienia teatralne — Eurypides, Szekspir — przy czym przychodziło mu na myśl, by na modłę klasyczną role kobiece obsadzać mężczyznami. Do tych to wspaniałych zamierzeń usiłował teraz pozyskać Sonnenberga i Brandina, będących bez wątpienia ulubieńcami komendanta, jak też godnej szacunku lekarki obozowej.

Zygfryd, który coraz szybciej powracał do zdrowia, jednak się bronił.

— Jestem zaledwie fryzjerem, a jeśli mi się zdarza występować w roli szerzącego kulturę, to tylko przy czesaniu włosów. Na przykład, kiedy chcę wycesać z nich pokłady brudu i robactwo lub rozplatać kołtun. To można by rzeczywiście uznać za podstawowe działanie kulturalne.

— Ja jako lekarka mogę tylko poprzeć ten projekt — wtrąciła się skwapliwie Natasza. — Będzie to też po myśli naszego komendanta.

— Zgadza się — przytaknął niedźwiedziowaty Grigorij — tak zrobimy, Fiodorze. A może masz coś przeciwko temu?

— Oczywiście nie — zapewnił Fiodor — nie możemy jednak zaniedbywać realizacji moich zamierzeń kulturalnych, czyli intelektualnego przezwyciężania istniejących warunków wspólnymi siłami.

W tej materii Fiodor został natychmiast oświecony przez Sonnenberga i Brandina.

— Współpraca niemieckich jeńców wojennych z sowiecką komendą, do czego pan, panie komisarzu, wyraźnie zmierza, nie jest całkiem bezpieczna. Przecież w naszym obozie, i nie tylko w naszym, znajdują się resztki elementów wielkoniemieckich, które nie tak łatwo wyeliminować.

Fiodor roześmiał się. Uważał, że panuje nad sytuacją bez reszty.

— Właśnie na te typy ostrzę sobie zęby. Z przyjemnością przekonałbym ich w dyskusji i pozyskał dla nas! Zrobiłbym to przy twojej pomocy, Brandin, i przy twojej, Sonnenberg. Powinniśmy się wzajemnie zrozumieć. Zgadza się ze mną?

— Nie, panie komisarzu! — zawołał przerażony Brandin. — Nigdy nie można mieć pewności, jakie metody postępowania zastosują ci osobnicy. Kiedy zginie ktoś, kogo podejrzewają o współpracę z tak

zwanym wrogiem, od razu są w stanie spędzić dowolną liczbę rzekomych świadków, a ci pod przysięgą zeznają wszystko, czego tamci od nich zażądataj.

— Bo wy, Niemcy, zgłupieliście do reszty! — rozeźlił się Fiodor i odszedł, przejęty odrazą. Za nim wyszli komendant i lekarka. Oboje nie omieszkali jednak uśmiechnąć się z uznaniem do Sonnenberga i Brandina.

Niedługo w lazarecie pojawił się niemiecki komendant obozu, sierżant Eichler. Tym razem był sam i spoglądał na obu przyjaciół z wyraźną życzliwością.

— To jak, dobrze się wam powodzi? Ciesz się mnie to. Doszło do moich uszu, że Sowietci zamyślają was wyróżniać. Bardzo odpowiada to mnie i moim przyjaciółom, jeżeli tylko będzie służyło naszym interesom, to znaczy interesom naszych kolegów.

— A jeżeli nie, to co wtedy?

— Lepiej nawet nie myślcie o tym — poradził im Eichler. — Radzę wam, byście dobrze oszacowali, kto tu się naprawdę liczy. I wzięli to pod uwagę. A w ogóle nie macie wyboru. Przynajmniej w naszym przekonaniu. Ostatecznie jeszcze wiemy, co przedstawia prawdziwą wartość. A więc od tej chwili działamy razem. Jasne, chłopcy?

Izolda Werners powróciła nareszcie do domu. Generał, w towarzystwie swego strażnika przybocznego, służącego i kierowcy w jednej osobie, powitał ją na dworcu w Rosenburgu. Objął ją wspianiałym gestem ojca i wysokiego dowódcy wojskowego zarazem.

— Witam cię, moje drogie dziecko — zawołał — bardzo mi ciebie brakowało. Jesteś nam potrzebna!

Nader czuła idylla rodzinna została dostatecznie mocno zaakcentowana. Ojciec i córka ucałowali się w policzki. Służący, zginając się w głębokim ukłonie, wręczył jej ogromny bukiet kwiatów. Potem odjechali w kierunku Rosenburga.

— Jestem ogromnie przejęty — zapewniał każdego, kto tylko miał ochotę słuchać, obecny przy tym zawiadowca stacji. — Było to po prostu przedstawienie. Do tego wysokiej klasy!

Do właściwego punktu kulminacyjnego owego „przedstawienia” doszło jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem. Działo się to bez

świadków, ale skutki okazały się niezmiernie doniosłe nie tylko dla jego bezpośrednich uczestników, lecz także dla całego prawie Rosenburga. Miejsce akcji stanowił park miejski.

Tym razem można było go uznać za zadbane — wysypane żwirem alejki, wystrzyżone trawniki i przycięte krzewy. Na jednym z klombów kwitły czerwone róże, obok stały pomalowane na zielono ławki. Jedna z nich, jakkolwiek odnowiona, była wciąż tą samą ławką sprzed pięciu lat.

Siedział na niej Tomasz Brandin — w jasnym blasku księżyca, wygodnie rozparty, z wyciągniętymi nogami. Patrzył przed siebie rozmarzony, wdychając woń kwiatów i czekał. Wcale nie nadaremnie.

Posłyszał spieszne stąpanie, ktoś się zbliżał. Odgłos kroków przypominał stukot kopyt zniecierpliwionego żrebaka. Brandin wstał i ujrzał wyczekiwaną przez siebie Izoldę. Rozwarł ramiona, a ona rzuciła się w jego objęcia. Wytrzymanie tego zderzenia wymagało od Tomasza nie lada siły.

— Jesteś! Nareszcie, nareszcie! — zawołali oboje prawie jednocześnie. Objęli się mocno, jakby chcieli się wzajemnie przeniknąć.

— A więc się stało! — powiedział Tomasz.

Nie należy sądzić, by w ciągu tych pięciu lat, które Izolda spędziła na wygnaniu, nie utrzymywali kontaktów. Tomasz niejedną raz jeździł do niej do północnych Niemiec. Spotykali się potajemnie, a także często pisywali. Listy ich były pełne jednoznacznych zapewnień, które, jak się zdawało, nareszcie miały się ziścić.

— Nie zmieniłeś się ani na jotę i także ja się nie zmieniłam — szepnęła, siedząc tuż przy nim na parkowej ławce. — Wszystko jest tak samo jak dawniej.

Dotykał wargami jej policzka, czoła, nozdrzy, jej ust i uszu, na co ona, jak wyczuwał, pozwalała mu z zapiętym tchem. Jego ręce gładziły jej obfite, lecz jednocześnie gładkie i jędrne ciało.

— Gdyby tylko twój ojciec wiedział! — powiedział, śmiejąc się z cicha.

— Jeśli o to chodzi — odpowiedziała mu — nie musisz się wcale martwić. Odnoszę wrażenie, że on po uszy tkwi w swoich interesach. Prawdopodobnie uważa, że wszystko, co było między nami kiedyś, już dawno minęło.

— Ale przecież nie minęło!

;

— Teraz dopiero zaczyna się naprawdę — powiedziała tkliwie, z bezgranicznym oddaniem.

— Tak twierdzisz! — Tomasz przygarnął ją mocno. — Ja też tak uważam.

Jednakże, ponieważ znał ją dobrze, żywiołowa łaskawość, którą mu w tej chwili okazywała, wydała mu się mocno niezwykajna, a nawet dziwna. Tego rodzaju zachowanie nie licowało bowiem z poczuciem kobiecej godności czy czegoś, co się pod tą nazwą kryje, a czego ona nie zaniebdywała demonstrować przy każdej nadarżającej się okazji.

Po chwili wszakże Tomasz Brandin wytłumaczył sobie, że *to* długo-trwałe rozstanie mogło sprawić, iż jest ona niepoahamowana w swojej tęsknocie. Zważmy też, że była to cudownie łagodna, czarowna noc w pełni lata!

W świetle księżycy skóra Izoldy jaśniała i lśniła od potu, jej obfite ciało oczekiwalo spełnienia. Pewnymi ruchami zaczął ją rozbierać, na co ona przyżwalała bez oporu.

— Jesteś wprost cudowny! — wzdychała. Miał wrażenie, że ona się pod nim po prostu rozplynie.

Nie ociągał się z posmakowaniem tych wspaniałości, które mu ofiarowywała. Obnażył Izoldę do reszty i legł na niej. Z jej ust wyrwał się krzyk wyrażający uczucie szczęścia, które ją przenikało. Widocznie w ciągu ubiegłych pięciu lat nauczyła się sporo nowego w tej materii.

Kiedy już się spełniło, Izolda przez dłuższą chwilę leżała przytulona do niego i drżąca.

— Wszystko, co wspólnie przeżywamy, jest niewypowiedziane wspaniale! Nareszcie należymy do siebie, nie uważasz, mój Tomaszu? Cóż mogłoby nas teraz jeszcze dzielić?

Następnego dnia przed południem Zygfryd Sonnenberg, jak mu nakazała Ewa-Ingeborga, odwiedził Konrada Kahlersa, jednego ze swoich rzekomych przyjaciół z lat młodości, najbardziej przez nią wyróżnianego wielbiciela.

Miało to miejsce w ratuszu miasta Rosenburga w gabinecie burmistrza. Trudno było nie dostrzec, że urządżano ów gabinet z myślą o podkreśleniu jego okazałości. Biurko sporządżono z niemieckiego dębu, podłogę pokrywał wschodni kobierzec — dość gustowny, chociaż

raczej mizernego gatunku. Na ścianach wisiały w pozłocistych ramach stare miedzioryty przedstawiające miasto Rosenburg w średniowieczu. Konrad Kahlers wstał, rozwarł ramiona i wyszedł na spotkanie Zygryda Sonnenberga. Było oczywiste, że chodzi mu o zademonstrowanie pewnej serdeczności. Uściskali się, chociażby po to, by nie spojrzeć sobie prosto w oczy. Następnie zasiedli naprzeciw siebie w pokrytych skórą fotelach, starając się nie dopuścić do zapadnięcia choćby chwili ciszy. Kahlers oświadczył z podziwem:

— Ale z ciebie cwaniak, mój drogi. Jesteś chytry jak lis! Stwierdzam to nie bez zdumienia, a nawet z głębokim uznaniem. Raz po raz odczuwam satysfakcję z faktu, że jesteśmy z sobą zaprzyjaźnieni, co nierzadko bywało dla nas korzystne.

— A cóż to, Konradzie, skłania cię do formułowania podobnych stwierdzeń?

— Twój rozsądek, Zygrydzie, i twój instykt! Oczywiście także nasza wieloletnia przyjaźń, która łączy mnie również z twoją szanowną małżonką, Ewą-Ingeborgą. Mamy wzajemne głębokie zobowiązania, to przecież wyjaśnia wszystko!

— Jak, twoim zdaniem, powinno by to wyglądać w obecnych układach?

Kahlers nie okazał najmniejszego zmieszania. Oświadczył:

— Pięć lat temu obstawałeś przy tym, ażeby nie pozbywać się Łąk Północnych pod ten zjazd z autostrady. Powiedziałem sobie wtedy: przecież to czysty nonsens! Nie odrzuca się ot, tak sobie, zaferowanej kwoty w wysokości pół miliona. Ale później zdałem sobie sprawę z tego, że jednak miałeś rację! Bo oto teraz twoja ziemia jest warta dwa razy tyle!

— Czy nie jest to jedynie twoje przypuszczenie, Konradzie? Spodziewam się, że masz właśnie zamiar przedstawić mi całkiem konkretną propozycję.

— Nadzwyczaj solidną, Zygrydzie! — Głęboko zaczerpnął tchu i powiedział, robiąc przy tym wrażenie zupełnie szczerego: — Jak zdążyłeś się tymczasem dowiedzieć, u nas, na Zachodzie, zaczyna się organizować nowoniemieckie wojsko. Przyznano mu pokazny etat. Ministerstwo, które się tym zajmuje, pod względem możliwości finansowych znacznie góruje nad innymi władzami Republiki.

— Masz zamiar wspierać przedsięwzięcie tego rodzaju? Niecałe

dziesięć lat po katastrofie, na pewno największej, jaką przeżyła ludzkość? Katastrofie rozpętanej przez nas, Niemców! I już chcesz zarobić na remilitaryzacji? O to ci chodzi?

— Sprawa wygląda niezupełnie tak, Zygfydzie! — Kahlers zdjął marynarkę; od pach aż do piersi oblepiała go zapocona koszula. — Nigdy nie chciałem czegoś podobnego! Musimy jednak dostosować się do nowych okoliczności, mój przyjacielu. Jeżeli my tego nie zrobimy, to bardzo szybko znajdą się inni, którzy nie będą ociążać się ze zbiciem na tym kapitale.

— Na ile liczysz?

— Mogę ci to określić dość dokładnie. Bundeswehra ma zamiar zakupić w naszej okolicy kawał ziemi wielkości mniej więcej twoich Łąk Północnych. Ty, jako zdeklarowany antimilitarysta, za którego lubisz się podawać, czego zresztą ja też się nie wypieram, możesz przy tym czuć się w pewnym stopniu spokojny. Planuje się mianowicie zbudowanie tam nie koszar, lecz tylko pewnego rodzaju uczelni wojskowej, to znaczy szkoły wywiadowczej.

— Za jaką cenę?

— Jak już wspomniałem, Zygfydzie, za milion niemieckich marek. Płatnych z miejsca. Tę sumę pięć lat temu oferowano tobie i Wernersowi razem, a teraz dają ją tylko tobie. Powinieneś w lot chwytać okazję. Tym bardziej że inwestycja mocno pobudziłaby naszą gospodarkę.

— Przy okazji jednak Werners zarobi na dostawach gleby, żwiru z własnych żwirowni, a poza tym i cegieł z własnej cegielni. Dochody przyniesie mu także cementownia, której budowę zaplanował ostatnio. Bardzo możliwe, że zrobił to specjalnie ze względu na ten obiekt.

— Gdyby tak nawet było, Zygfydzie, to co z tego? Czy nie możesz wreszcie zapomnieć tego, co podobno wydarzyło się w przeszłości? Twoja wrogość w stosunku do Wernersa jest wprost denerwująca, wygląda na zaciętrzewienie. Jest to, proszę cię, zjawisko niedzisiejsze!

— Dla ciebie i tobie podobnych z pewnością tak, ale nie dla mnie! Chodzi mi o szczerłość, uczciwość i prawdę. Czyżby ten Werners zdążył już tymczasem złożyć wyznanie takiej mniej więcej treści: „tak jest, byłem hitlerowcem i militarystą, współuczestniczyłem w tym wszystkim i innych zmuszałem do współuczestnictwa, ale żałuję tego”?

— Gdzież tam, Zygfydzie. On nigdy nie wykrztusi czegoś podobne-

go, a ty o tym wiesz! Należy do ludzi zatwardziałych, których nikt i nic nie zmieni. Ale z biegiem czasu także tacy jak on powymierają.

— To długo potrwa, Konradzie.

— Mój drogi, czy chcesz koniecznie czekać, aż to się stanie? Przecież jesteś kupcem! Dlatego też powinienesz szybko obliczyć, że zakłady Wernersa z realizacji projektu wojskowego mogą mieć około stu tysięcy marek czystego zysku. Ale cóż to jest wobec okrągłego miliona, zainkasowanego prawie bez wysiłku!

Teraz i Zygryfryd zdjął marynarkę. Również on zaczął się obficie pocić. Poprosił o rosenburskie piwo. Było już przygotowane, nawet przezornie ochłodzone. Sączyli je w skupieniu, nie przepijając do siebie.

— Milion — powiedział z namysłem Zygryfryd. — Wydaje się, że to w samej rzeczy całkiem przyzwoita suma.

— Dokładnie tak samo, mój drogi, uważa także Ewa-Ingeborga.

— Jednak nie podzielam tego poglądu! — oświadczył Sonnenberg, co zabrzmiało bardzo zdecydowanie. — Wieloraka przydatność tego gruntu sprawia, moim zdaniem, że jest on wart nieporównanie więcej.

— Czy to twoje przypuszczenie — Kahlers nastawił uszu, bo przekonał się już nieraz, że reakcje tego człowieka trzeba śledzić bardzo uważnie — czy też jakaś spekulacja? A może coś jeszcze innego?

— Znacznie więcej! — oświadczył mu Zygryfryd. Z teczki, którą przyniósł ze sobą, wydobyl kilka arkuszy papieru gęsto pokrytych kolumnami cyfr. — Przejrzyj sobie jak najdokładniej, Konradzie, te wielokrotnie sprawdzone zestawienia. Dopiero potem będziesz mógł sobie pozwolić na własny sąd o tej sprawie.

Z dokumentów, które pochwycił zaciekawiony Kahlers, wynikało przede wszystkim, że salony fryzjerskie Sonnenberga w ostatnich latach osiągały coraz wyższy zysk. Nie był on, co prawda, nadzwyczaj wysoki, ale wzrastał systematycznie. Nie stanowiło to jednak dla niego specjalnego zaskoczenia — Zygryfryd dowiódł przecież, że jest solidnym fryzjerem. Kahlersa, dla którego liczby miały konkretną wymowę, naprawdę zdumiały dane dotyczące produkcji kosmetyków Sonnenberga. Wykazywały one wyraźnie, że w ciągu pierwszych dwóch lub trzech lat po roku 1950 następował stały wzrost obrotów od dziesięciu do dwudziestu procent. Natomiast potem, to znaczy w czwartym, a obecnie już w piątym roku, obroty rosły coraz szybciej — o trzydzieści, czterdzieści i więcej procent rocznie, przypominając prawdziwą eksploz-

ję. I oto w bieżącym roku zanosilo się na to, że owa, wydawałoby się z pozoru, niesłychanie prymitywna produkcja w szopie na tyłach domu przyniesie obrót przekraczający trzy miliony marek.

— Coś podobnego! — szepnął Kahlers z zapartym tchem. — Chłopie, czegoś takiego nie tylko sobie nie wyobrażałem, ale nie uważałem w ogóle za możliwe do osiągnięcia!

— Rozwój może przebiegać dalej w tym samym tempie — zapewnił Zygfryd z łaskawą wyrozumiałością. — W porównaniu z tymi sumami zaferowanymi przez ministerstwo milion znaczy niewiele więcej niż kieszonkowe na drobne wydatki.

— Chłopie, to brzmi cholernie dobrze! — powiedział Kahlers. Zalewany falami gorąca, porozpinał koszulę aż do pępka, a potem, zupełnie jak gdyby już umierał z pragnienia, wypił duże piwo.

— Czy mógłbym ci, mój przyjacielu, być w czymkolwiek pomocny?

— Możesz, Konradzie! Bardzo bym to sobie cenił. Ażeby ten wielki obiekt doprowadzić do pełnego rozkwitu, bardzo by mi się przydała skuteczna osłona, którą mógłbyś mi zapewnić przez swoje rozliczne znajomości. Oczywiście, jeśli się na to zgodzisz.

— Drogi przyjacielu! Dlaczego nie miałbym być gotów do udzielenia ci pomocy? — Kahlers okazał zarówno dbałość o zysk, jak zainteresowanie tak z urzędu, ale też osobiste. — Wyjaśnij mi więc wszystko, Zygfrydzie, jak to się mówi, wyłóż karty na stół. Co twoim zdaniem jest dla ciebie naprawdę ważne?

— Chcę tylko mieć zapewniony pierwszy ruch na szachownicy, to znaczy móc przewidzieć rozwój sytuacji. Bez żadnych ograniczeń. — Sonnenberg był niemal pewny, że już może sobie pozwolić na absolutną szczerłość.

— Nawet gdyby to było skierowane przeciwko twojej żonie?

— Powiedzmy lepiej: chcę działać wspólnie z nią, z wami obydwójkiem! Jestem na to przygotowany, ale muszę mieć swobodę nadawania kierunku, nie wchodząc w kolizję z prawem.

Kahlers zdumiewająco trafnie zrozumiał, co ma to oznaczać.

— Zatem zależy ci na tym, by zapewnić sobie decydującą większość, a więc co najmniej pięćdziesiąt procent wszystkich udziałów! Tylko dla siebie! No dobrze, Zygfrydzie, jestem skłonny pójść na to. Nasuwa mi się przy tym jednak pytanie: co powiedziałyby na taki układ nasza Ewa-Ingeborga?

— Przecież to jest właśnie ta sprawa, którą powinieneś spróbować jej wyjaśnić, Konradzie. Nikt nie potrafi tego zrobić lepiej od ciebie.

— Jak sądzisz, Zygfyrdzie, jakie warunki należałoby jej zatem przedstawić?

— Powinieneś, mój drogi, postarać się wytłumaczyć naszej Ewie-Ingebordze, że w jej dyspozycji znajdzie się jedna trzecia wszystkich udziałów. Wynika z tego taki rachunek: jeśli ja, po założeniu spółki akcyjnej, będę miał pięćdziesiąt jeden procent udziałów, a ona trzydzieści trzy procent, to pozostanie jeszcze szesnaście procent. Właśnie dla ciebie. Co o tym sądzisz?

— To brzmi niesłychanie przekonująco, Zygfyrdzie! Uważasz, że Ewa-Ingeborga wyrazi zgodę na udział w tym przedsięwzięciu?

— To już twoja sprawa, mój drogi! Bądź co bądź na razie za gwarancję szesnastoprocentowego udziału, którego z pewnością nie odrzucisz.

— Ależ nie, w żadnym wypadku! — Kahlers był już gotów popłynąć z wartkim nurtem, szumiącym wokół niego jak górski potok. — Dlaczego nie miałbym się tym zająć?

Zygfyrd Sonnenberg z upodobaniem przyglądał się swemu przyjacielowi z czasów młodości. Był bowiem pewny, że zdołał go wmanewrować w ciężkie kłopoty. Wydobyć się z nich będzie niezwykle trudno...

Bez względu na to, jakie decyzje podejmował Konrad Kahlers, zawsze brał pod uwagę tylko jedno — zysk i stratę. Musiał w to wliczyć też Ewę-Ingeborgę. Teraz dopiero miało się okazać, ile była dla niego warta.

2. Prawie niczego nie można obliczyć

Jurgen Wiese, uważający się za autorytet policyjny w mieście Rosenburgu, siedział medytując w swoim pokoju służbowym w podziemiach ratusza. We własnym mniemaniu był kimś nadzwyczaj godnym zaufania, o rzadko spotykanym poczuciu sprawiedliwości. Z wszelką pewnością zasługiwał też na odpowiednie uznanie.

Doznawał jednakże męczącego uczucia, że jest nie dostrzegany i pomijany. Nie tylko Ewa-Ingeborga miała dla niego coraz mniej czasu, a Zygfyrd prawie bez przerwy wyjeżdżał, lecz także Konrad Kahlers,

burmistrz, jak wydawało się, coraz częściej chadzał własnymi drogami, z rzadka tylko wtajemniczając go w swoje sprawy. Dla człowieka, który coś znaczył, a poza tym był przyjacielem i urzędnikiem, podobne traktowanie stało się prawie nie do zniesienia.

Jeśli chodzi o sprawy służbowe, wszystko układało się całkiem pomyślnie. Mieszkańcy Rosenburga sprawowali się dość przyzwoicie. Co prawda lubili dobrze zjeść i wypić, kiedy tylko nadarzała się okazja. Było to całkiem zrozumiałe po tylu latach wyrzeczeń. Natomiast jedynie wyjątkowo urządzali awantury. Działo się tak zapewne dlatego, że Jurgen Wiese miał twardą rękę i konsekwentnie dbał o porządek. Ale czy ktoś mu przynajmniej za to podziękował?

Sam sobie wszakże nakazał niewzruszenie pozostawać w gotowości do poświęceń. Nie zapomniał o tym nawet w chwili, gdy zameldowano mu przybycie pani Klementyny Gartner. Pomimo że teraz traktowano ją niemal jak kogoś z rodziny Sonnenbergów, on jednak nie zapominał, że dawniej nazywano ją diabelską babunią. Dlatego też wciąż jeszcze uważał ją *za osobę* wysoce podejrzaną.

Z początku usiłował skierować ją do któregoś z pomniejszych urzędników. Okazało się to jednak niemożliwe. Musiał ją przyjąć. Zwłaszcza kiedy zapewniono go, że chodzi o „nader delikatną sprawę”.

Nie okazał się na tyle elegancki, by ją powitać — ona go powitała pierwsza. Uczyniła to z poufałością nabytą w ciągu kilkudziesięciu lat. Zupełnie jak gdyby on był wciąż jeszcze chłopakiem: dość nieokrzesanym, a przy tym wyraźnie głupawym. A w ogóle niezłym towarzyszem zabaw, z którym można było zawsze wspólnie splotać jakiegoś figla.

— Coś mi się zdaje, że jesteś mocno zapracowany! — zawołała. — Czyżbyś ostatnio próbował ruszyć głową, kochasiu?

Jurgen Wiese wziął się w garść, by zachować obojętność wobec jej beczelnych odzywek. Ta okropna kobieta jest już taka, zresztą taka była zawsze. Temu nie dało się w żaden sposób zaradzić. Nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko udawać, że go to ogromnie bawi.

Babcia Gartner rozejrzała się po jego pokoju, roześmiała się beczącym głosem i potrząsnęła głową pokrytą białymi kosmykami.

— To po prostu nie może być prawdą, mój mały! Wciąż jeszcze gnieździsz się w tej obskurnej norze? Wśród starych mebli, za obszary panymi firankami, na dywaniku zeszytym z gałganów. Dobrze się czujesz w tej ruderze? A tymczasem wszyscy inni...

Jurgenowi Wiese wypadaloby odpowiedziec, ze jest to rozmyslna prostota, jaka przystoi prawdziwemu urzednikowi. A poza tym wlasnie stwarzaja mu widoki na nowe, znacznie lepsze pomieszczenie w związku z planowanà rozbudowà ratusza. Mógłby te¿ napomknàc o prawie nowej maszynie do pisania, o rozpostartej na ścianie fladze Republiki Federalnej, o portrecie prezydenta, wbudowanej umywalce i solidnej szafie pancernej.

Zorientowal siê jednak, ze nie miałoby sensu zwracać Klementynie uwagê na podobne rzeczy. Ta starucha była zdolna zauważać tylko to, co sama miała ochotę zobaczyć. Chcąc sobie oszczędzić dalszej niepewności, zapytał:

— No więc, pani Gartner, co panià do mnie sprowadza? — I natychmiast poprawił siê: — Co cię do mnie sprowadza?

Ona zaś, wcale nie zapraszana, rozsiadła siê wygodnie w fotelu przed jego biurkiem. Całym ciałem, otyłym zapewne na skutek ciągłego objadania siê, nachyliła siê ku niemu. Widząc, że siê przed nią cofa, zaśmiała siê szyderczo.

— Chłopcze, oniemiiesz ze zdziwienia, kiedy usłyszysz, co ci mam zamiar szepnąć! Może ci nawet tchu zabraknąć. Ale może te¿ nie.

— O cóż więc chodzi?

— Od niedawna — wyznała, sapiąc z zadowolenia — mam telefon! — Spojrzała na niego badawczo.

— No, to pięknie! — powiedział Wiese ze zrozumieniem, jak przystało na policjanta. — Takie rzeczy siê zdarzają. A w ogóle zastanawiam siê, czego ty chcesz wlasciwie z tym swoim telefonem.

— Widzisz, Jurgenie, mój chłopcze, nad tym samym i ja siê z początku zastanawiałam. Ale to kochany Zygfyrd, u którego, jak wiesz, mieszkam w suterenie, twój przyjaciel, a mój dobroczyńca, rozumiejący jeszcze, co to są ludzkie uczucia i co to jest wdzięczność, kazał mi po prostu postawić taki aparat w pokoju.

— Po prostu dlatego, że jest ludzki i pełen wdzięczności? — Wiese pozwolił sobie na wyniośle ironiczny ton. — Chyba nie myślisz tak naprawdę, babciu Gartner?

— Pewnie, że nie, mój chłopcze! Znasz przecie¿ naszego Zygfyda i ja go te¿ znam! To zimny kalkulator. Nie robi nic, jeźli mu siê nie oplaci.

— A na czym, twoim zdaniem, może to polegać w tym wypadku?

— Widzisz, już od dawna nie sypiam zbyt dobrze. Zdarza się, że chodzę sobie nocą po okolicy lub wokół domu i wytwórni. Prawie tak jak pies podwórzowy. I to właśnie zauważył mój poczciwy Zygfyrd. Wiese roześmiał się z ulgą.

— To do niego podobne! Zatrudnił cię jako swego rodzaju bezpłatnego nocnego stróża z własnym telefonem.

— Ależ mądrała z ciebie, Jurgenie, domyśliłeś się właściwie! Robię to bardzo chętnie właśnie dla Zygfyryda. Kiedy jego salony fryzjerskie już zamykają, a wytwórnia przestaje pracować, przełączają linię na mój aparat. Gdyby ktoś jeszcze zadzwonił, to jestem na miejscu. I udzielam informacji, jeśli tylko mogę; zapisuję też to, o co ktoś poprosi.

Jurgen Wiese nie przestawał się bawić. Rozweselała go u Zygfyryda Sonnenberga granicząca wprost z geniuszem umiejętność obracania wszystkiego na swoją korzyść. Pod tym względem nie miał sobie równych!

— No, świetnie! — odezwał się z uznaniem. — Jesteś u niego za psa podwórzowego. Ale cóż ja mam z tym począć, kochana staruszko?

— Mam nadzieję, że nic. Nawet z tymi telefonami, które ostatnio odbierałam. Zdarzyło się to już dwa razy, za jednym i za drugim razem w środę. Jakiś głos odezwał się do mnie: „No, to jak będzie z dzisiejszym wieczorem, moja myszko? Urządźmy to, co zwykle?” Albo jakoś podobnie.

Jurgenowi Wiese wydało się, że to, czego musi wysłuchiwać, jest niezmiernie śmieszne, wprost niedorzecznie głupie! Mój Boże, przecież to wstrząsające i groteskowe jednocześnie! Staruszka, od lat już stojąca nad grobem, i te rzekome szeptu miłosne? Przypuszczalnie ktoś niespełna rozumu — wnioskował zgodnie z zasadami kryminalistyki.

— Czy ten ktoś rzeczywiście powiedział ci na ucho coś tak nieprzyzwoitego?

— Nie wygłupiaj się, mój mały! — napomniała go szorstko babcia Gartner. — Ma się rozumieć, że on nie mnie miał na myśli.

Wiese nastawił ucha.

— Jeżeli nie ciebie, to kogo w takim razie?

— Tego ja już nie mogę wiedzieć, mogę się najwyżej domyślać. Chcesz wiedzieć, co mi wówczas przyszło do głowy?

Jurgen Wiese oczywiście chciał. Tym samym od razu uległ podstępnej pokusie, jaka go naszła.

—No, to kogo?

Klementyna Gartner sapnęła ze zdziwienia i zerknęła na niego.

—Jak ci już mówiłam, mój mały, mogę się tylko domyślać. Mój rat ma numer trzydzieści trzy dwadzieścia jeden. Prywatny telefon y-Ingeborgi Sonnenberg ma numer trzydzieści trzy dwadzieścia dwa. :em bardzo łatwo o pomyłkę.

—Czyżbyś przypadkiem twierdziła, że owe telefony były skierowane niej?! — zawołał Jurgen Wiese, zdumiony i oburzony jednocześnie.

—Lepiej uspokój się szybko, chłopcze! — poradziła mu od serca mentyna. — Niczego podobnego nie twierdziłam. Ale ty koniecznie ialeś usłyszeć odpowiedź. No, to ją masz.

—Nonsens, po prostu nonsens! — uważał za konieczne stwierdzić sse. Jednocześnie usiłował nadal rozumować logicznie zgodnie isadami kryminalistyki. — Nawet gdyby ktoś, telefonując, źle wybrał ner, bez zastanowienia nie wygłaszałyby podobnych propozycji.

—Bez zastanowienia nie! — zgodziła się wyrozumiale Klemen-a. — Rozumie się przecież, że najpierw się zgłosiłam. Tak samo, jak zawsze robi nasza pani Ewa-Ingeborga. A jej głos brzmi podobno wie tak samo jak mój. Odezwałam się więc po prostu „tak, proszę!” ystarczyło. Chłopisko natychmiast złożył swoją ofertę.

—Podobne rzeczy mają miejsce — rozstrzygnął sprawę doświad-ny we własnym mniemaniu małomiasteczkowy kryminolog. — Zre-I powtarzają się raz po raz. Są przecież tacy nazarci, podli rozpust-y, którzy tylko wałkonią się i próbują świntuszyć przez telefon. Nie ioba mi się jednak, że coś podobnego dzieje się już nawet u nas, na im terenie.

iabcia Klementyna nie odpowiedziała ani słowem. Spojrzała tylko ;amyśleniu na Jurgena Wiese. Wyglądało na to, że czeka na całkiem ikretne pytanie, które musiało teraz paść. W wypadku tego poli-nta było to oczywiste. Toteż usłyszała je natychmiast.

—Potrafisz opisać ten głos? To znaczy podać jego charakterystyczne hy? A może ten głos wydaje ci się nawet pod jakimś względem znany?

—To mogłoby się zdarzyć — odpowiedziała przeciągle Klementyna, :yglądając mu się uważnie przymrużonymi oczyma. — Pewne Jobieństwo... No tak, to by już było możliwe.

—Do czyjego głosu?

—Oj, chłopcze, lepiej dajmy temu spokój — odparła na wszelki

wypadek. — Czyżbyś się koniecznie domagał, ażebym cię oświeciła pod tym względem?

— Rozumiesz przecież, że muszę to wiedzieć. A więc?

— No, to pięknie, mój mały. Głos tego mężczyzny, który oczywiście uważał, że rozmawia z piękną Ewą-Ingeborgą, wydał mi się istotnie znany. I to jak! Brzmiał on mianowicie zupełnie, jakby należał do Konrada Kahlersa!

Jurgen Wiese oniemiał na dłuższą chwilę. Poruszył się niespokojnie w fotelu, spojrzął też przez moment na flagę Republiki Federalnej. Wreszcie zaczął się przypatrywać własnym rękom, złożonym jak do modlitwy na krawędzi stołu.

Potem podniósł się, pełen niepokoju. Spojrzął nie na Klementynę Gartner, lecz na portret ówczesnego prezydenta Republiki. Jego energiczna twarz atlety lśniła od potu, zupełnie jakby właśnie toczył zaciętą walkę. Miał uczucie, że spotyka go coś przerażającego. Zapytał tylko:

— Zygryd wie o tym?

— Ma się rozumieć! — odpowiedziała szybko Klementyna. — Miałam mu może nic o tym nie mówić?

— Jak on zareagował?

— Najpierw, kiedy to usłyszał, tylko się śmiał. Równie głupio jak ty. Zwłaszcza z tego, że ktoś mnie nazwał myszką. Ale potem powiedział, że to być może tylko zwyczajna pomyłka lub niewczesny wyglup jakiegoś chłopaka albo nawet coś, o czym powinna wiedzieć policja. To znaczy ty! A potem Zygryd rzekł: „Zwróć się do naszego Jurgena Wiese, już on się tym zajmie!” Zajmiesz się?

— Zajmę się. Przecież muszę—stwierdził dygnitarz policyjny, targany wątpliwościami, lecz pomimo to wciąż jeszcze w dobrej formie. Nie mówił, co o tym myśli. A myślał, że ta Ewa-Ingeborga i ten Konrad nie dotrzymują umowy, tylko wszystkich po prostu oszukują. Nawet jego! Zdecydowanym tonem oświadczył jedynie: — Obowiązek to obowiązek!

W domu Sonnenbergów na pierwszym piętrze obok kuchni, w rozbudowanej jadalni, spożywano kolację. Ewa-Ingeborga przygotowała ją starannie, stosując najlepsze przepisy mamy Emmy. Podawała mianowicie dopiero co złowione węgorze, ugotowane w sosie koperkowym, a do tego młode kartofle i chrupiącą mizerię.

' Stawili się na tę wieczerzę, podobnie jak to bywało dawniej, prawie wszyscy członkowie szeroko rozumianej rodziny Sonnenbergów, z wyjątkiem mamy Emmy i dziadka Greinera, którzy spoczywali w Bogu na miejscowym cmentarzu, a obok nich mistrz Adam. Nie było też ukochanej siostry Zygfyryda, Eryki, i jej Johna Frankfurtera. Oboje przeprosili za swoją nieobecność — niezbyt dobrze się czuli w letnim upale — i kazali wszystkim serdecznie pozdrowić.

Zygfyryd, odgrywający rolę pana domu, miał przyjemność podejmować jako gości obu przyjaciół swoich własnych i swojej żony — Kahlersa i Jurgena Wiese. Tym razem przybyli osobno w krótkich odstępach czasu. Wydawało się, że zachowują się wobec siebie z rezerwą, a nawet ostentacyjnie unikają się. Nie mąciło to im jednak nastroju oczekiwania na rozkosze stołu. Tomasz Brandin, już całkiem zadomowiony u Sonnenbergów, zajął się podawaniem trunków.

— Co mogę panom zaproponować?

— To samo co zawsze — powiedział Kahlers, usiłując zachować swobodny ton. — Wszystko w tym domu jest znakomite! Pomimo to jednak za każdym razem przeżywam nową niespodziankę. — Spojrzał przy tym w stronę kuchni, gdzie znajdowała się Ewa-Ingeborga. Wybiegła zaraz, ażeby przywitać się z nim i z Jurgenem Wiese; uczyniła to w sposób szczególnie serdeczny. — Jak się miewasz, myszko? — zawołał. — Ładnie wyglądasz! Jesteś coraz piękniejsza.

— Jak ją nazywasz? — zapytał Wiese, nastawiając ucha. Aż nazbyt dobrze zapamiętał to pieszczotliwe przezwisko, przecież babcia Klementyna tak sprytnie mu je powtórzyła. — Powiedziałeś „myszko“?

— Powiedziałem. Jak zwykle zresztą! Przecież to mile brzmi. Wołaliśmy tak na nią jeszcze jako dzieci. Masz coś przeciwko temu?

Nie mieli możliwości prowadzenia dalszej wymiany poglądów na ten temat, gdyż ukazała się Dagmara, córka Sonnenbergów. Ubrana była tym razem jak dama: biała jedwabna bluzka, skromnie zapięta pod szyją, przybrana romantycznymi falbankami, do tego czarna aksamitna spódnica, u góry dopasowana i rozkloszowana u dołu.

Osobą godną szczególnej uwagi był towarzyszący Dagmarze młody człowiek, jej aktualny przyjaciel. Nie ma znaczenia, jak się nazywał. Był to chłopak średniego wzrostu, z wyglądu bardzo krzepki. Jak się miało wkrótce okazać, zgodnie z duchem czasu — obrońca ojczyzny.

Oczywiście dlatego Dagmara gdzieś go wyszukała i przyprowadziła ze sobą. W celu prowokacji. Po pierwsze ze względu na swoją rodzinę, a po drugie, całkiem jednoznacznie mając na względzie Tomasza Brandina. Odczuwała nieprzepartą potrzebę ciągłego wchodzenia z nim w kolizję.

Najpierw jednakże wszyscy zajadali z apetytem.

— Wyśmienite! — zawołał Kahlers.

— Wprost niezrównane! — potwierdził też Wiese, nabierając łyżką zupy. — Twoje talenty jako pani domu, czcigodna Ewo-Ingeborgo, dorównują umiejętnościom mamy Emmy. Bez reszty!

Lecz nim jeszcze wniesiono węgorki w sosie koperkowym, których smakowity zapach już rozchodził się z kuchni, do akcji wkroczyła Dagmara. Zachęciła „przyjaciela”, który z nią przyszedł, by wygłosił swoje poglądy. On też nie pozwolił się zbyt długo prosić.

— Jest to dla mnie szczególnie zaszczyt — oświadczył grzmiącym głosem że wolno mi przebywać w tym doborowym towarzystwie! Czuję się na skutek tego mocno zobowiązany, jeśli mogę sobie pozwolić na takie stwierdzenie.

— Niech pan sobie pozwala u nas, mój drogi, na co tylko ma pan ochotę! — odpowiedział Zygfryd Sonnenberg. Proszę nas uważać za bardzo tolerancyjnych, przynajmniej dopóty, dopóki jesteśmy przy kolacji.

Przez pewien czas nie przerywali jedzenia. Konrad i Jurgen uśmiechali się do Ewy-Ingeborgi, unikając przy tym jednak patrzenia na siebie wzajemnie. Tymczasem Dagmara wytrwale zachęcała swego aktualnego przyjaciela:

— Mów wreszcie dalej!

Toteż chłopak przemówił, nie zważając na dopiero co wniesione na stół węgorki w koperkowym sosie. Ze swoją szczupłą, wyrazistą twarzą sportowca wydawał się jakby stworzony do udziału w najbliższej olimpiadzie. Donośnym głosem obwieścił całemu towarzystwu swoje poglądy:

— Oto dotarliśmy właśnie do zwrotnego punktu w historii Niemiec, a może po prostu do rozdroża. Po potwornych klęskach możemy wreszcie znów z optymizmem spojrzeć w przyszłość! Jest to nakaz chwili dziejowej!

— Mogę cię prosić o jeszcze jeden kawałek węgorka? — zapytał

Zygryd Sonnenberg żonę; poza tym jednym nic więcej go w tej chwili nie interesowało. Dostał dwa kawałki, za które grzecznie podziękował. Również Brandin, Kahlers i Wiese pragnęli jedynie, ażeby im nikt nie przeszkadzał w jedzeniu.

Dagmara ani myślała kapitulować. Ponownie zachęciła swego przyjaciela, ażeby się popisał jeszcze innymi poglądami. Ten nie dał się prosić.

— Ten cały Hitler i jego poplecznicy — obwieścił — zabrali się do roboty, jak to się często mówi, zbyt śmiało, może też głupio, a wcale nie wykluczone, że po części nawet zbrodniczymi metodami. Przyjmijmy, że to nawet prawda! Ale przynajmniej pod jednym względem mieli słusność: byli przekonani, że ich obowiązkiem jest obrona naszego Zachodu. Przed napierającymi azjatyckimi hordami!

— No dobrze, można i tak — odezwał się pobłażliwie Zygyryd, byle się tylko pozbyć natręta. Na moment oderwał wzrok od talerza. — Ale można by też utrzymywać, że dopiero Hitler i jego wielkoniemiecka zgraja opryszków zmobilizowała te, jak pan powiada, azjatyckie hordy i pobudziła je do niezwykłych wyczynów. Lecz jakkolwiek się sprawy miały, zawsze znajdują się osobnicy, gotowi wszystko wyjaśnić i niby to historycznie podbudowywać. Zresztą nie ma to żadnego wpływu na mój apetyt, przynajmniej w tej chwili.

— Ale przyzna pan zapewne, panie Sonnenberg, że ta Bundeswehra, którą mamy utworzyć, jest nieuniknioną, historycznie uzasadnioną koniecznością. Zachód, jego kultura, nasi ludzie, religia i dorobek naszej odbudowy. Tego wszystkiego trzeba bronić.

Ponieważ nikt z obecnych na to nie zareagował, zdecydowany młodzieniec uciekł się do bezpośredniego zapytania. Zwrócił się zaś do tej osoby, od której mógł z pewnym prawdopodobieństwem oczekiwać odpowiedzi twierdzącej.

— Pan jest na pewno tego samego zdania, panie burmistrzu?

Kahlers o mały figiel nie udławił się, a jednak przytaknął głębokim skłonem głowy, po czym, nie patrząc na nikogo, wykrztusił:

— Ależ tak, dlaczegoż by nie!

— Zatem przyznaje pan, panie burmistrzu, że gotowość do obrony jest naszym obowiązkiem. A pan Sonnenberg chyba też to potwierdzi?

Zygyryd, jak się wydawało, odzyskał już dobry humor.

— Dlaczego to akuratnie my musimy od razu maszerować, latać

samolotami bombowymi, z łoskotem jeździć po kraju czołgami. Jeżeli już chcą nas koniecznie mieć w tym zachodnim przymierzu obronnym, to ostatecznie można by się umówić, że zajmujemy się urządzeniami sanitarnymi, szpitalami, kuchniami polowymi i burdelami frontowymi.

— Moglibyśmy też być żandarmerią polową — uzupełnił Jurgen Wiese z nagłym ożywieniem. — To także potrafimy! Ręczę za to!

— Co to ma znaczyć?! — wykrzyknęła Dagmara, raczej podniecona niż oburzona. — Mówimy o najistotniejszych problemach naszych czasów, a tymczasem niektórzy z was stroją sobie żarty albo po prostu młóć słomę! Wszyscy robią uniki! A ty, Tomaszu, jesteś chyba najgorszy ze wszystkich! Przyjechałeś tu rzekomo po to, by się uporać ze swoją niby to przeszłością! Czyli porachować się z niektórymi ludźmi, jak sam mówisz. To znaczy, kiedyś mówiłeś.

— W samej rzeczy tak, Dagmaro! Ale zrobię to na swój własny sposób!

— Człowieku! — prychnęła pogardliwie z niewątpliwą satysfakcją. — Przecież nie robisz nic innego, jak tylko razem z innymi obydwoma rękami zgarniasz pieniądze. Gówno cię obchodzi, z kim w zмовie to robisz i czym kosztem. Podobnie jak całą resztę.

— Proszę cię, uspokój się! — zawołała surowo Ewa-Ingeborga.

— Niedobrze mi się robi na widok was wszystkich! — głośno folgowała sobie Dagmara. — A najbardziej na widok tego Brandina! Ten jest już wyraźnie gotów nawet wleźć do otyłego tyłka niejakiej Izoldy Werners. Właśnie, tej kobyły zarodowej!

Córka Sonnenbergów wstała. Wyszła, tupiąc- głośno, a za nią podreptał jej aktualny przyjaciel; do wyjścia zachęciło go nieznaczące skinienie jej paluszka. Wszyscy pozostali patrzyli za nimi.

— Mój Boże, co się stało z tym dzieckiem, pod którym wpływem ona się znalazła? — zapytała Ewa-Ingeborga z nie udawanym zmieszaniem. Przyjaciele usiłowali ją uspokoić. Kahlers obiema rękami pochwycił jej prawą dłoń; Wiese uczynił to samo z lewej strony. — Co to właściwie było? — westchnęła wstrząśnięta.

— Prawdopodobnie głos młodzieży! — odpowiedział beztrząsco Zygryd Sonnenberg. — Musimy się powoli przyzwyczajać do tego, a zwłaszcza Tomasz, jak mi się zdaje. Ale niekoniecznie tak od razu. Tymczasem możemy się jeszcze podelektować ucztą.

Bezpośrednio po tym incydencie Ewa-Ingeborga opuściła tak bardzo niejednakowo usposobionych gości. Było to z jej strony nie tylko bardzo taktywne, lecz także rozsądne. Tomasz Brandin otworzył jeszcze dwie butelki frankońskiego wina z winnicy Julius Echter—Spital w Wiirzburgu, znakomitego pod względem jakości win, lecz tak brzemiennego w następstwa rocznika 1945.

Konrad Kahlers w przekonaniu, że nadaje ton całemu towarzystwu, uznał, że może się wypowiedzieć autorytatywnie, a przynajmniej łagodząco.

— Podobnie jak zawsze, i tym razem kolacja była wyśmienita, co zresztą jest już tradycją w domu Sonnenbergow! Jednakże rozmowy, jakie tu " -"-owadzono, nie wydają mi się zbyt odpowiednie. — Zwracając się zaś do Jurgena, dodał: — Nie uważasz tak samo, drogi przyjacielu?

Ten wszakże tym razem wykonał nieoczekiwany unik, na co wszyscy z miejsca zwrócili uwagę:

— Wiele rzeczy jest tu, jak mi się zdaje, niejasnych! Ja sam czuję się wobec nich, otwarcie mówiąc, nie najlepiej. Mówię to nie tylko jako przyjaciel, lecz także jako urzędnik policji. — Spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Kahlers lekko zaniepokojony, a Brandin zdumiony. Na prostej i pocziwej urzędniczej twarzy Jurgena malowała się udręka. — Odczuwam brak jasności i szczerości, i to niestety również w naszym kręgu.

— Na miłość boską, o jakiej niejasności mówisz? — zapytał Kahlers. — Przecież po tylu latach stagnacji znajdujemy się w okresie przejściowym, a może nawet przelomowym. Nie jest wcale łatwo ją przezwyciężyć. Lecz trzeba do tego dążyć.

— Ale nie bez względu na okoliczności! — stwierdził Wiese z iście oślim uporem. — Zwłaszcza kiedy działają podłe, nieobyczajne świntuchy! Bez względu na to, o kim myślę, wcale nie mam zamiaru tego tolerować!

— O czym ty mówisz, chłopie? — zapytał z rozdrażnieniem Kahlers. Jurgen Wiese odchrząknął głośno. Następnie, świadom swojej urzędniczej powagi, zwrócił się do kogoś, kto mu wyraźnie przeszkadzał:

— Mogę pana prosić, Brandin, ażeby nas pan pozostawił samych ze względu na pewną delikatną, bardzo poufną sprawę?

— Pan Brandin tu pozostanie! —zadecydował natychmiast Zygfried,

kładąc szczególny nacisk na słowo „pan”. — Nie mam przed nim żadnych tajemnic.

— Tym bardziej że domyślam się, Wiese, o, przepraszam, panie Wiese, o czym chce pan teraz mówić. Przypuszczalnie jest to sprawa dość jednoznacznych propozycji składanych przez telefon. Być może były one kierowane do naszej czcigodnej Ewy-Ingeborgi, ale trafiły pod niewłaściwy adres.

— Pan o tym wie? — zapytał policjant ze zdumieniem, lecz nadal tonem ściśle urzędowym. — Od kogo?

Od naszej babci Klementyny, ma się rozumieć. Mam prawo uważać się za jedną z jej najbardziej zaufanych osób. Zygfyrd może to potwierdzić.

— Potwierdzam — odezwał się Zygfryd.

— Dajmy więc temu spokój! — poradził burmistrz Kahlers. Z właściwą sobie wielkodusznością próbował ominąć problem, podobnie jak to czynił zawsze, ilekroć sprawa dotyczyła jego osobiście. — Zajmiesz się tym, co jest do zrobienia. Jak zwykle bez niepotrzebnego rozgłosu, nie naprzykrzając się nam, a już w żadnym wypadku nie mieszając nas do tej sprawy. Mamy na głowie znacznie ważniejsze rzeczy. Prawda, Zygfrydzie?

— Tak mi się zdaje — odparł skwapliwie Sonnenberg i rzucił Jurgenowi zachęcające spojrzenie. Ten uznał w duchu, że zbyt wielu ma przeciwko sobie, a poza tym czuł się coraz mniej pewnie.

Osobliwy problem, bez reszty zaprzatający Wiesęgo, był właściwie łatwy do sprecyzowania, tego Zygfryd był niezbiec pewny. Mianowicie do tego czasu pomiędzy Jurgenem a Konradem panowała swego rodzaju życzliwa równowaga, szczególnie w stosunku do Ewy-Ingeborgi. Jak się wydawało, nie wyróżniała ona ani jednego, ani drugiego, obu darząc jednakowymi względami. Już od wielu lat sprawiały one wrażenie odpowiednio wyważonych. Tym razem jednak zasada ta widocznie nie sprawdziła się.

— Co tu się właściwie dzieje? — dopytywał się Wiese.

— Sam zobaczysz — uspokoił go Kahlers. — Ale zanim się zorientujesz, powinieneś, jak zawsze, wychodzić z założenia, że między przyjaciółmi wszystko jest zawsze oczywiste, nawet to, czego się na razie nie rozumie. W każdym razie między nami, to znaczy między mną a Zygfrydem, nie ma spraw niejasnych. Zgadza się?

— Nie bardzo — stwierdził z namysłem zapytany.

— A jak wygląda sprawa ze mną? — zniecierpliwził się Wiese.

— Nie bądź w gorącej wodzie kąpany — poradził mu po przyjacielsku Kahlers. — Zawsze trzeba rozpatrywać wszystko, lub raczej wszystkich, po kolei. Przy tym robić to z całą otwartością, na co mi z pewnością pozwolił, Zygfydzie.

— Czekam na to już przez cały wieczór, Konradzie. Oświeć więc nas, co tam znowu wykombinowałeś?

— Ja stwierdzam tylko, że w tym wzorze istnieje pewna niewiadoma — oświadczył Konrad Kahlers — wielkość niedostrzegalna i nieobliczalna.

— Któż by to miał być?

— Twój Tomasz Brandin, Zygfydzie, bo kto inny?

Wszyscy spojrzeli w tej chwili na Tomasza jak na raroga. Sądząc z zachowania, Brandin był trochę zakłopotany, lecz jednocześnie pochlebilo mu to. Z ufnością zwrócił się do swego przyjaciela Zygfyda:

— Powiedz, dlaczego akurat ja?

Kahlers przez chwilę zwlekał z wyjaśnieniem. Wreszcie powiedział.

— Tu, w naszym Rosenburgu, wyróżniają się obecnie trzy grupy ludzi mających coś do powiedzenia. Jedną z nich reprezentuję ja, obdarzony zaufaniem mojej partii, która cieszy się niezmiennie poparciem bezwzględnej większości. Oprócz tego dotychczas bez zastrzeżeń popiera mnie policja, a więc mój Jurgen Wiese. Drugi ośrodek reprezentujesz ty, Zygfydzie. Twój ekonomiczny wpływ na nasze sprawy publiczne stale rośnie. Natomiast trzecią siłą jest Werners, nie natknąć się na niego właściwie nie sposób.

— Co wspólnego z tym wszystkim ma Tomasz? — zapytał Sonnenberg niejako w imieniu Brandina.

— Na pozór jeszcze nic — odezwał się przeciągle Kahlers — ale nie wykluczone, że już wkrótce bardzo wiele. Oczywiście jeśli mnie dobrze poinformowano.

— O cóż to chodzi tym razem, panie Kahlers? — dopytywał się ciekawie Brandin.

— Zatem, mój drogi — zaczął z namysłem mówić Kahlers — dotychczas należał pan, raczej bez zastrzeżeń, do jednej z tych trzech grup, a mianowicie do tej, która gromadzi się wokół naszego przyjaciela Zygfyda. Był pan w niej, jak mi mówiono, bardzo czynny. Na pewno nie myłę się, Zygfydzie?

— W żadnym wypadku — zapewnił pospiesznie Zygfryd i skinął Brandinowi głową. — Tomasz jest moim najlepszym pracownikiem! Ja zajmuję się klientelą, pracuję nad nowymi preparatami, projektuję i konstruuje niezbędną do tego aparaturę. Ewa-Ingeborga prowadzi księgowość, a Tomasz załatwia całą resztę: zakupy i sprzedaż, operacje finansowe i reklamę. Wszystko robi wspaniale!

— Wiadomo! — stwierdził burmistrz. — Wszyscy bardzo dobrze o tym wiedzą i w związku z tym łatwo sobie wyobrazić, że ktoś podejmie próbę pozyskania dla siebie tak wykształconego i uzdolnionego pracownika, czyli po prostu zatrudnienia go u siebie. Zrobił to mianowicie Werners.

— Chce pan przypadkiem na siłę rozweselić mnie i do tego jeszcze mego przyjaciela Zygfryda? — Tomasz Brandin wydawał się mocno ubawiony. Może nawet trochę zanadto, bo Sonnenberg spojrział na niego bardzo uważnie. — Jak pan wpadł na coś podobnego?

— Dzięki kilku faktom, o których powiadomiono mnie, panie Brandin. — Kahlers zerknął z uznaniem na Jurgena Wiese, który miał trochę zakłopotaną minę. Oczywiście policjanci, których sobie wychował, byli bardzo pilni, a burmistrz doceniał to. — Jak mi zameldowano, panie Brandin, zetknął się pan ponownie z Izoldą Werners bezpośrednio po jej powrocie do domu. W parku miejskim. W sposób nader intymny.

— A jeśli nawet, to kogo to obchodzi? Kogo to w ogóle może obchodzić?

— Nas! — stwierdził Kahlers. — A więc przynajmniej Zygfryda i mnie.

— Mnie niekoniecznie! — odparł Sonnenberg.

W tej chwili Jurgen Wiese znów zabrał głos.

— Przyjaciele, to po prostu nie trzyma się kupy! Co prawda miłość zawsze bywa nieobliczalna, ale i ona zna jakieś granice! W tym wypadku na pewno je przekroczyła. Panna Werners i jakiś Brandin, który na dobitkę jest blisko zaprzyjaźniony z naszym Zygfrydem. Trudno to brać za dobrą monetę! Tego nie da się połączyć w całość.

— Jedyne na pierwszy rzut oka. — Burmistrz uparcie trzymał się swego toku rozumowania. — Należy jednak pamiętać o jednym: Werners zawsze potrafił z żelazną konsekwencją udowadniać swoje znaczenie i swoje wpływy. Nawet nie zważając na pewne narodowo-niemieckie epizody w swojej przeszłości. Ale w tej chwili już się powoli

starzeje, coraz łatwiej się męczy i nie może się należycie skoncentrować na własnych interesach.

— No, proszę, jak pięknie! — powiedział Sonnenberg w przystępie wesołości, która jednakże miała szybko minąć. — To przecież bardzo obiecująca diagnoza! A ponieważ pochodzi od ciebie, Konradzie, na pewno okaże się trafna.

Kahlers skinął głową.

— Stwierdzam zatem, że Werners pilnie potrzebuje kogoś, kto by go w sposób odczuwalny odciążył. Jedyne z tego powodu sprowadził do domu swoją ukochaną córkę, Izoldę. Szybko przekona się jednak, że ona nie podoła temu zadaniu, przynajmniej o własnych siłach.

— Więc kto jej pomoże?

— Nie chcę nic twierdzić ani nikogo podejrzewać — powiedział w zamyśleniu burmistrz. — Wiem tylko tyle, że w ostatnich dniach Brandin kilkakrotnie usiłował uzyskać wgląd do naszych urzędowych dokumentów. Interesowały go zwłaszcza wpisy do ksiąg wieczystych, rejestry firm i zgłoszenia nowych przedsiębiorstw. Stale szukał czegoś pod którąś z ostatnich liter alfabetu, przypuszczalnie nazwisk na W jak Werners. Czy to nie dość wyraźne?

— Sprytny z ciebie kombinator, Konradzie — orzekł z uznaniem Sonnenberg. — Masz dar kojarzenia, związany z twoim zawodem. Ale pomimo to nie powinieneś próbować poróżnić mnie z Tomaszem. To nie uchodzi.

Brandin dorzucił:

— Ani słowa więcej, bo przebierze się miarka!

Jurgen Wiese był prawdopodobnie tego samego zdania. Tym bardziej że nawet nie zdawał sobie sprawy, o jak wysoką stawkę zaczyna się właśnie gra.

— W każdym razie mnie chodzi jedynie o tego okropnego świntucha, który się kryje wśród nas! Muszę go znaleźć!

Na nikogo w towarzystwie nie spoglądano z taką mieszaniną pogardy i pobłażania, jak na tego policjanta. A jednak żaden z nich nie doceniał Jurgena Wiese, a zwłaszcza jego zawodowej konsekwencji. Nie przeczuwając nic złego i udając wzajemną przyjaźń, przepijali do siebie.

Po wszystkim Zygfyrd i Tomasz pozostali w pokoju sami. Obaj znajdowali się w stanie bliskim absolutnie błogiego opilstwa. Mogli na szczęście sobie pozwolić na pozostawanie w nim bez konieczności zmiany miejsca; z dostaniem się do własnych łóżek miałoby kłopoty.

Obaj kompani spoglądali na siebie porozumiewawczo. Sonnenberg odezwał się pierwszy:

— Chyba wersja, łącząca ciebie z Wernersem, którą podsunął sam Kahlers, to tylko jego własna wątpliwej wartości kombinacja, prawda?

— Ja też tak z początku myślałem — wyjaśnił powoli Brandin — ale po przemyśleniu zadałem sam sobie pytanie: dlaczegoż by właściwie nie spróbować?

Zygfyrd, pomimo zamroczenia, powiedział, zastanawiając się głęboko:

— Odradzałem ci to, ale widocznie nadal skupiasz uwagę na tym Wernersie. Czy to naprawdę konieczne? Przecież on się starzeje, ludzie jego pokroju już wymierają. Możesz więc oszczędzić sobie zbaczania z prostej drogi i krążenia po manowcach. Lepiej zajmij się moją córką Dagmarą. Przemyślałeś już, drogi przyjacielu, moją sugestię w tej sprawie?

— Przemyślałem, Zygfyrdzie. Doszedłem jednak do wniosku, że to nie ma sensu. Dagmara mnie nie cierpi. Zdaje mi się, że ona mną po prostu gardzi. Przecież dzisiejszy wieczór kolejny raz tego dowiodł.

— Ależ to kompletna niedorzeczność! — szczerze oburzył się Sonnenberg. — Jej zachowanie jest jedynie pewnego rodzaju wyzwaniem. Ona chce tym sposobem wy badać, co mogłoby was zbliżyć, a może chce cię sprowokować. Może to być też objaw miłości. A już co najmniej stanu bardzo bliskiego temu uczuciu.

— Zapewne mówisz o tym, Zygfyrdzie, na podstawie swego osobistego doświadczenia.

— Przypuszczalnie tak, a szkoda. Bo w stosunku do Ewy-Ingeborgi popełniłem całą masę błędów. Ale można z nich wyciągnąć pewne wnioski. Tym bardziej potrafi się później cenić przyjaciela. Właśnie dlatego mogę, jak sądzę, utrzymywać, że Dagmara kocha ciebie. Prawdopodobnie kochała cię już od pierwszego spotkania. Ty ją też kochasz! Ale nigdy się do tego nie przyznałeś ani nie dałeś tego po sobie poznać.

— Przesadzasz, Zygfyrdzie! Dagmara kocha tylko ciebie. Bardzo

często wyraźnie to wyczuwam. A ponieważ jestem twoim przyjacielem, jakąś cząstkę tej wielkiej sympatii do ciebie próbowała czasem przenieść także na mnie. W istocie rzeczy staję się dla niej niejako namiastką twojej osoby. Pomimo to nie miałbyś nic przeciwko temu, ażebyśmy Dagmara i ja...

— Nawet najmniejszego zastrzeżenia — oświadczył Zygryd. — Byłoby to najlepsze rozwiązanie, jakie można sobie wyobrazić. Dlaczego więc nie chcesz?

— Pozwól, Zygrydzie, że będę pod tym względem całkiem szczery. Przyznaję, że Dagmara byłaby cudownym spełnieniem moich najpiękniejszych marzeń. Ale jest to sprawa bardzo odległa! Potrzeba przecież czasu na to, by nasze wzajemne kontakty rozwinęły się i umocniły.

— Uważasz zatem, że lepiej obrać drogę okrężną. Zatrzymując się nawet być może przy niejakej Izoldzie Werners?

— Być może nawet tak, Zygrydzie. Wyobraź sobie, że ostrzeżenia, które wykrztusił Kahlers, wcale mnie nie odstraszyły. Na odwrót: podsunęły mi parę pożytecznych pomysłów. Mógłby z tego wyniknąć jakiś układ bardzo opłacalny dla nas obu. Dlaczego więc nie miałbym przynajmniej spróbować?

Zygryd Sonnenberg energicznie przytaknął głową. Potem z niezwykłą serdecznością uściskał Tomasza.

— Mój Boże! — zawołał. — Brak ci rozwagi, jesteś trochę zwariowany i nieobliczalny, podobnie jak i ja. Ale dlatego właśnie uważam cię za przyjaciela. Będiesz nim zawsze?

— Też mi pytanie — powiedział, uśmiechając się, Tomasz.

W owym roku 1955, a także w latach bezpośrednio poprzedzających go, w świecie poza Rosenburgiem zaszły ważne wydarzenia. W roku 1951 Indie, jako pierwsze państwo, zakończyły stan wojny, w jakim pozostawały z Niemcami. Zachodnioniemiecki kanclerz federalny Konrad Adenauer, będący jednocześnie ministrem spraw zagranicznych, odbył podróż do Francji, Anglii i Włoch, wszędzie zwracając na siebie powszechną uwagę, a także spotykając się z serdecznym powitaniem. Zanosilo się na to, że Niemcy znów staną się „kims”, przynajmniej pod względem gospodarczym.

Założono Komitet na rzecz Unii Paneuropejskiej. Wydawało się, że

jest to pierwszy bardzo ważny krok na drodze do zjednoczenia Europy Zachodniej. Pomimo że bardzo tego chciano, a nawet głośno domagano się, to jednak nie ziściło się to w następnych dziesięciu, dwudziestu i więcej niż dwudziestu latach, przynajmniej nie w oczekiwanym stopniu. W tej Europie każdy naród uparcie pielęgnował własny ogródek.

W roku 1952 lekarz z lasu dziewiczego, organista i przyjaciel ludzkości, Albert Schweitzer otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla; nagrodę literacką dostał Francois Mauriac. W tym samym roku zmarli: Waldemar Bonsels, autor ulubionej *Pszczółki Mai*, Albert Bassermann, powściągliwy a pełny wyrazu aktor niemiecki, po żałosnej emigracji, oraz Horst Caspar, geniusz sceniczny, niezapomniany odtwórca postaci z wczesnych sztuk Fryderyka Schillera. Wśród zmarłych w tym roku znaleźli się też: Kurt Schuhmacher, zachodniemiecki socjaldemokrata, ciężko doświadczony wieloletnim pobytem w obozie koncentracyjnym, poza tym pisarz Alfred Neumann, jeden z wielu wygnanych, których książki palono, lecz który nigdy nie przestał tęsknić za ojczyzną. Zmarł wówczas również Norweg Knut Hamsun, który popełnił ciężki błąd polityczny, ale napisał kilka książek zaliczanych do najwspanialszych dzieł jego czasów.

W roku 1953 dostał Nagrodę Nobla nawet Winston Churchill; oczywiście literacką. Wzbudziło to niepokój wśród poetów wszystkich krajów. Uznali oni bowiem to wysokie wyróżnienie za manifestację polityczną.

W Stanach Zjednoczonych dramaturg Arthur Miller napisał, niby sygnał ostrzegawczy, swoje *Czarownice z Salem*. Gdy w Anglii wstąpiła na tron Elżbieta II, jej koronacja stała się uroczystą okazją do zapoczątkowania w Europie, w ślad za Ameryką, triumfalnego pochodu telewizyjnego.

Roku tego nie przeżył Stalin. Wkrótce po jego śmierci w Związku Sowieckim został stracony Beria, bezlitosny ciemiężyciel i najokrutniejszy spośród hersztów tajnych służb. W Stanach Zjednoczonych obrano prezydentem dzielnego wojskowego Eisenhowera. Straceni zostali Ethel i Juliusz Rosenbergowie; wydali oni Związkowi Sowieckiemu dokumentację broni atomowej, dzięki czemu wytworzyła się swego rodzaju równowaga wzajemnego zagrożenia.

Wystarczy pięć, a najwyżej siedem bomb atomowych, a cała Europa

Środkowa zostanie zdmuchnięta jak świeca! — takie stwierdzenie można było usłyszeć już niedługo potem. Ze Wschodu.

Wśród osobistości zmarłych w roku 1954 znaleźli się: Colette, francuska pisarka, która do końca życia zażywała uciech zmysłowych, czego jej na pewno nie należało żałować. Następnie Klemens Krause, światowej sławy dyrygent z Austrii — tego nawet hitlerowcy nie potrafili wykończyć; nie powiodło się im to także, jeśli chodzi o Furtwänglera. Muzyka nigdy nie daje się podporządkować sprawom polityki. Był wśród zmarłych również Otto Gebühr, niemiecki aktor filmowy, któremu udało się w niezapomniany sposób wyczarować na ekranie postać najbardziej pruskiego spośród wszystkich królów, Fryderyka II, zwanego Wielkim.

Z kolei za rok 1955, dokładniej tu przedstawiany w odniesieniu do miasta Rosenburga, należałoby odnotować, że podobnie jak w roku 1954 nie przyznano w nim nikomu Pokojowej Nagrody Nobla — przypuszczalnie z uzasadnionych przyczyn. Być może *zasługiwał na nią ów* godny uwagi, niepospolity Niemiec, Konrad Adenauer. Udał się on bowiem do Moskwy, całkiem bez skrępowania uściskał kremlowskich przywódców — a było to po przedstawieniu baletu „Romeo i Julia” — ażeby tylko wydrzeć im niemieckich *jeńców* wojennych. Wkrótce już setki tysięcy wynędzniałych postaci podążyły do swoich rodzinnych stron w Niemczech. Niedługo po tym w okrojonych Niemczech Zachodnich miała miejsce tak zwana oficjalna wizyta: przybyła irańska para panująca. Począwszy od tego wydarzenia cesarzowa Soraya cieszyła się niebywałym zainteresowaniem coraz bardziej zyskujących na popularności kolorowych magazynów. Jednakże zaledwie parę lat później szach dostarczył powodu do gwałtownych protestów. W trakcie wrzenia w Berlinie został zastrzelony pewien student. Stało się to pierwszym hasłem do wybuchu tak zwanej studenckiej rewolty, która zrodziła terrorystów.

W owym roku zmarł również Paul Claudel, z wszelką pewnością najbardziej tajemniczy poeta i głosiciel chrześcijańsko-katolickich przekonań. Gdy od rady miasta Paryża zażądano, by jego imieniem nazwano jakąś ulicę, rada zakomunikowała: „Brak nam odpowiednio długiej i mrocznej ulicy”.

W Anglii rozstał się z życiem T.E. Lawrence, „Arabski Lawrence”, nader kontrowersyjny, lecz zapewne najbardziej wnikliwy znawca

arabskiego świata. Natomiast Niemcy straciły pisarza wywierającego największy chyba w tym stuleciu wpływ, Tomasza Manna. Zmarł w Szwajcarii.

W tymże czasie przestali pisać Theodor Plievier i Alfred Polgar. Pierwszy z nich powziął kiedyś zamiar stworzenia gigantycznej panoramy drugiej wojny światowej; drugiemu udało się prześledzić niejako najsubtelniejsze odgałęzienia intelektualnych prądów naszej epoki. Jak opętani malowali urzekające obrazy Karl Hofer, Max Ernst i Oskar Kokoschka. Ponadczasowa stawała się sztuka Chagalla.

Któregoś z najbliższych wieczorów Izolda Werners i Tomasz Brandin spotkali się znów w parku miejskim na „swojej” ławce przy rabatach różanych. Przywitali się bardzo czule. Prawie nie odzywali się do siebie, jakby im brakowało słów na określenie własnych uczuć.

Siedzieli przytuleni do siebie i wpatrywali się w łagodnie rozświetloną noc. Tomasz doznawał przy tym pewnych trudności, chcąc objąć Izoldę. Jej zbyt obfite kształty sprawiały mu kłopot. Zdawało mu się też, że wyczuwa u niej jakąś powściągliwość, gdyż tym razem nie rzucała mu się w objęcia ze zwykłą u siebie namiętnością. Zamiast tego wzdychała głęboko.

— Co ci jest? — zapytał z lekka zatroskany. — Żle się czujesz?

— Jestem do głębi szczęśliwa z tobą i dzięki tobie! — zapewniła go od razu. Przytuliła się do Tomasza, jakby szukając jego opieki. — Ale właśnie dlatego odczuwam niepokój.

— Ze względu na twego ojca? — zapytał. — Czyżby się dowiedział, że znów się spotykamy? Należało się spodziewać, że to nastąpi wcześniej czy później. Obawiam się też, że zaczęto już o tym mówić. Trudno mi jednak uwierzyć, że możesz się przejmować czymś podobnym. A jeżeli nie o to chodzi, to o co właściwie?

Miał w tej chwili wrażenie, że ona się ociąga, gorączkowo szukając odpowiednich słów. Nieznacznie odsunęła się od niego i wyprostowała, by móc mu spojrzeć prosto w oczy.

— Proszę cię, Tomaszu mój ukochany, miej na uwadze, że to, z czego chciałabym ci się zwierzyć, obchodzi jedynie nas oboje. Przede wszystkim nie powinieneś od razu mówić „nie”, czego mógłbyś potem żałować lub co mogłoby mnie obrazić. Postaraj się, proszę, reagować powściągli-

wie. Bo nie wymagam od ciebie niczego, nie usiłuję cię w żadnym wypadku do czegokolwiek zobowiązywać. Mam jedynie zamiar powiadomić cię o czymś. To konieczne.

— Zwierz mi się, Izolda! — Brandin był niezmiernie ciekaw i lekko zaniepokojony. — Słucham cię!

Na to Izolda bardzo poważnie, z determinacją oświadczyła:

— Zdaje mi się, Tomaszu, że będę miała dziecko.

Brandin przyjrzał się jej uważnie — jej twarz w świetle księżyca w pełni rysowała się całkiem wyraźnie. Niemyim zapytaniem, pełnym kobiecej powagi, odpowiedziała na jego spojrzenie. Zadał sobie pewien trud, by przytrzymać ją nadal w objęciu.

— Chętnie zastosuję się do twojej rady, moja ukochana Izolda, i na razie nie powiem nic. Musisz jednak wiedzieć, że moja reakcja będzie całkiem jednoznaczna. Nie przypuszczam, byś mogła oczekiwać po mnie czegoś innego.

— Zastanów się jednak nad tym — zaproponowała mu, w oczywisty sposób starając się zabezpieczyć pod każdym względem. — Proszę cię, nie niszczyć niczego, poczekaj trochę!

Tomasz przystał na jej propozycję. Przez dłuższy czas siedzieli razem w milczeniu. On tymczasem myślał zapewne tak: piekielnie szybko odbyło się wszystko z tym dzieckiem, a ona zorientowała się zdumiewająco wcześnie! Zdał sobie wszakże sprawę z tego, że nigdy nie wolno mu zadać jej określonego rodzaju pytania, a mianowicie: „Uważasz więc, że dziecko, które będziesz miała, jest naszym dzieckiem?” Było ono bowiem dla niej po prostu nie do przyjęcia wobec wrodzonej dumy i przez pokolenia pielęgnowanego poczucia własnej godności.

— No dobrze — powiedział stanowczo, być może odrobinę za głośno, ale z przekonaniem. — Uważasz więc, że jesteś matką dziecka, o którym mi mówisz. Lecz dziecko to ma także ojca i ja nim jestem! Zatem stanowimy teraz nierozdzielny zespół. Czy nie jest tak?

Niezmiernie uszczęśliwiona, rzuciła się na niego. Omal go nie udusiła. Oboje zadyszali się. Nie zauważyli policjanta, podglądającego ich spoza pobliskich krzaków, zresztą na pewno uznaliby to za nieistotne.

— Już wszystko dobrze — powiedziała Izolda, tuląc się mocno do Tomasza. — Wszystko dobrze się łoży. Jeśli tylko oboje jesteśmy na to zdecydowani. A jesteśmy, prawda?

Następnego dnia Zygfryd Sonnenberg odwiedził swoją umiłowaną siostrę Erykę. A tym samym, nie tylko z konieczności, lecz w sposób całkiem zamierzony, także Johna Frankfurtera. Eryka bowiem wciąż jeszcze z nim żyła. Nadal bez ślubu, lecz pomimo to szczęśliwie, co było zresztą widoczne. Oboje powitali go z niekłamaną serdecznością.

Zygfryd długo i tkliwie trzymał w objęciach siostrę. Potem wykrzyknął do Johna z całego serca „szalom”. John kiwnął głową.

— Pokój tobie — odpowiedział, a zabrzmiało to, jak gdyby po tych słowach postawił duży znak zapytania.

John i Eryka, podobnie jak wewnątrz ich domu, prawie nie zmieniali się, co Zygfryd uznawał za zjawisko godne uwagi na tle Rosenburga. Nie zauważało się u nich nadmiernego dobrobytu. Ich dom wraz z umeblowaniem wydawał się w ciągu lat niezmienny podobnie jak wzajemne uczucia tych dwojga ludzi.

— Po co przyszedłeś? — zapytał bez ogródek John. Od lat już nie nosił amerykańskiego munduru, chociaż podobnie jak dawniej pracował w miejscowej jednostce armii Stanów Zjednoczonych. Od dawna jednakże nie czuł się już kimś ważnym. Działał zaledwie w charakterze swego rodzaju doradcy na usługach pozostałości niegdyś licznej i potężnej dowództwa wojskowego. Jak się wydawało, zdążyło się ono zamienić w towarzystwo popierania określonych tendencji gospodarczych w nowych Niemczech. — Czyżbyś chciał nam przypomnieć, że najwyższy czas, byśmy się wreszcie, twoja siostra i ja, pobrali? — zażartował John Frankfurter, uśmiechając się też po trosze nad samym sobą.

— Z jakiej racji miałbym to robić?

— Jedyne ty mógłbyś mieć prawo zapytać o to jako aktualna głowa rodziny, do której należy także twoja siostra Eryka. To zupełnie zrozumiałe. Żyjemy razem już prawie dziesięć lat, chociaż według zapatrywań przyjętych w Rosenburgu pozostajemy w nie uregulowanym, a może nawet nieobyczajnym związku. Gdyby cię to jednak miało uspokoić, Zygfrydzie, to wiedz, że sytuacja ta wkrótce się zmieni.

Potwierdziła to Eryka.

— Zdecydowaliśmy się na ślub. Weźmiemy go w którymś urzędzie stanu cywilnego. W każdym razie zamierzamy potem opuścić Rosenburg i zamieszkać w Ameryce. Przecież wspominałam ci już o tym, Zygfrydzie.

— Dlatego właśnie przyszedłem do was! Możecie brać ślub albo nie brać go wcale, jest mi to obojętne. Uważam to zresztą za nieistotne. Do czego innego przywiązuję natomiast wielką wagę: do tego, byście pozostali tu obydwójcie!

— Dlaczegoż to, Zygfydzie? — zapytał John Frankfurter z nutką goryczy w głosie. — Czyżbym miał pomagać w uzbrajaniu nowej armii tym ludziom, którzy już niejedną raz zmieniali w gruz i popiół całe połacie Europy Środkowej? Przy tej okazji potwory, same siebie nazywające ludźmi, brały udział w mordowaniu moich rodziców, moich krewnych i milionów moich rodaków. Nigdy o tym nie zapomnę.

— Jesteś przecież Żydem — stwierdził Zygfyd, niby to szukając wytłumaczenia, ale w istocie z niewątpliwym wyrachowaniem. — Dlaczego więc nie chcesz wreszcie być taki, za jakich was ludzie uważają: trzeźwo myślący, obrotny i wyrachowany? Nie pociąga cię to?

— Złożyłem już tu niejako wypowiedzenie — powiedział po prostu John Frankfurter. — Nie mam zamiaru być dłużej członkiem wojskowej instytucji zbrojeniowej. Wstręt budzą we mnie niemieckie i amerykańskie zabawy w obronę, niezależnie od tego, przeciwko komu są wymierzone!

— We mnie także! — zgodziła się z nim Eryka. — Dlatego też i ja nie chcę tu dłużej pozostawać.

Zygfyd Sonnenberg niby to chętnie zgadzał się z ich poglądami.

— Wasze motywy także mnie trafiają do przekonania. Akceptuję je bez żadnych zastrzeżeń.

Tak mocno zaakcentowane zrozumienie trochę zaniepokoiło Erykę, znała przecież swego brata. Do pewnego stopnia.

— Czyżbyś przypadkiem zamierzał stwarzać nam jakieś komplikacje?

— Skądże znowu, nic podobnego! — załagodził sprawę Zygfyd. — Argumenty, które podał John, jak już powiedziałem, uważam za całkowicie uzasadnione. Poddaję tylko pod rozwagę, że mogą istnieć również całkiem inne możliwości.

— Dla ciebie? — zapytał John Frankfurter, nastawiając ucha.

— Powiedzmy: dla nas, dla nas wszystkich! — odrzekł Zygfyd z przekonaniem. — A tym samym także dla tak zwanej rodziny, jeśli coś podobnego jeszcze istnieje, czego bardzo bym sobie życzył. Dla rodziny, do której należycie także wy oboje.

— Nie słuchaj, co on mówi! — poradziła swemu Johnowi zaniepokojona Eryka. — To mój brat i ja go kocham! Ale on raz po raz usiłuje coś wymóc, chce rządzić i gotów jest zagarnąć wszystko i wszystkich. Zdałam sobie z tego sprawę już jako dziecko, ale Zygfryd tymczasem nauczył się dążyć do upatrzonego celu o wiele sprytniej i bezwzględniej. Muszę cię ostrzec przed nim!

John Frankfurter, jak wydawało się, mocno się nad czymś zastanawiał. Po chwili, zupełnie wbrew ogólnie przestrzeganej przez siebie zasadzie powstrzymywania się od picia alkoholu przed zachodem słońca, zaproponował dwunastoletnią szkocką whisky. Nalewał trunek niemal ceremonialnie. Potem zadał pytanie:

— Cóż więc zamierzasz mi zaoferować, Zygfrydzie?

— Coś bardzo konkretnego, a pod względem finansowym na pewno nie do odrzucenia — oświadczył mu Zygfryd Sonnenberg — mianowicie rzecz następującą. Nie jest w tej chwili całkiem wykluczone, że stracę swego najbliższego i najbardziej zaufanego dotychczas współpracownika, to jest Tomasza Brandina. I to na czas nieokreślony, być może nawet na kilka lat. Zresztą muszę się z tym pogodzić.

— Nie mów nic więcej! — zawołała z oburzeniem Eryka. — John jest zdecydowany wyjechać z tego kraju, a ja pojedę razem z nim.

— Moja droga Eryko, o ile cię znam, kochasz swój kraj — odparł bardzo oględnie jej brat. — Chętnie pozostałabyś tu jeszcze dłużej, oczywiście tylko razem z Johnem. Bardzo by mi to odpowiadało i pozostawało w zgodzie, powiedzmy, z naszym wspólnym interesem. Przecież przedsięwzięcia, które tu podjąłem, łącznie z zaplanowaną rozbudową fabryki, rozwijają się na nie byle jaką skalę. Sam już nie podołam wszystkiemu.

— Zachodzi obawa, że to wszystko przerodzi się w typową Sonnenbergomanię! — Eryce zrobiło się żal niczym nie zakłóconej dotychczas harmonii, jaka wytworzyła się między nią a Johnem. — Próbujesz oczywiście wyhodować coś w rodzaju niezawodnego klanu familijnego, podobnie jak to niegdyś robił twój dziadek, a później twoja matka. Potem ten klan będzie wytrwale pracował dla ciebie. Nawet Johna chcesz włączyć do niego!

Zygfryd usiłował ją udobruchać.

— Kochana siostrzyczko, w tym wypadku chodzi o majątek Sonnenbergów i wszelkie związane z nim widoki. Ty też masz w nim swój

udział, a kiedy pobierzecie się, będziesz go miała wspólnie z Johnem jako swoim małżonkiem. Taki udział musi być jednak wynikiem zgodnej z przepisami prawa transakcji handlowej z dokładnie sprecyzowanymi i zalegalizowanymi umową warunkami. Znasz mnie przecież.

— Jakimi warunkami? — zainteresował się John.

— Gdy tylko Tomasz Brandin, jak należy się spodziewać, odejdzie ode mnie, będę pilnie potrzebował kierownika przedsiębiorstwa: energicznego, zdecydowanego i obdarzonego wyobraźnią. Najchętniej przyjąłbym kogoś z twoim rozeznanie, twoimi umiejętnościami i stosunkami. Najważniejsze jednak w tym wszystkim jest zaufanie. Jestem pewny, że ty nigdy mnie nie oszukasz, chociażby ze względu na Erykę. O to właśnie chodzi mi przede wszystkim. Sprawę zapłaty uważam za drugorzędną. Ustalenie warunków w tej kwestii pozostawiam tobie samemu, Johnie.

— Dobrze, Zygfydzie. Jeśli przyjmę twoją propozycję, postawię swoje żądania. — Frankfurter powiedział to tonem dość zdecydowanym. — Ale dopiero wtedy, szanowny szwagrze, kiedy umożliwisz mi szczegółowy wgląd do wszystkich swoich dokumentów. Mogę na to liczyć?

— Ależ ma się rozumieć! — zapewnił go uradowany Zygfyd. — Będziesz miał absolutnie pełny wgląd we wszystko bez wyjątku! Dopiero wtedy się zdziwisz!

Na to John Frankfurter odpowiedział w zamyśleniu:

— Jesteś niezwykłym człowiekiem, Zygfydzie. Nawet moja Eryka ciągle to podkreśla. W związku z tym stale zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób stałeś się tym, kim jesteś. Gdzie i w jaki sposób zrodziło się to u ciebie? Czy w obozie jenieckim?

— To możliwe — powiedział Zygfyd Sonnenberg i, jak się zdawało, uśmiechnął się sam nad sobą. — Była to dla mnie wielka szkoła życia, mój uniwersytet! Powoli zaczynam sobie z tego zdawać sprawę.

Szóste interludium

O tym, jak nadal usiłowali wyżyć

Wydawało się wówczas, że wszystko układa się bardzo obiecująco, a już co najmniej rysuje się pewna nadzieja na przyszłość. Gdy Zygfyd Sonnenberg i Tomasz Brandin wyszli razem z lazaretu, pozwolono im

wprowadzić się do pierwszego z brzegu pomieszczenia w baraku oznaczonym numerem pierwszym, w bezpośrednim sąsiedztwie komyndy. Jakkolwiek niewiele różniło się ono od obskurnej graciarni o rozmiarach cztery na pięć metrów, jednak było wyposażone w nieznacznie tylko popękane szyby okienne i nadający się do użytku piec.

Otworzyli tam „zakład fryzjerski dla jeńców wojennych”. Odtąd pracowali i sypiali w tej izbie. Wydawało im się, że nastąpiły niemal rajskie warunki. Przynajmniej przez pierwszych kilka dni mogli tak uważać. Praktyka fryzjerska, którą się zajmowali, odbywała się nie tylko w dni powszednie, lecz także w niedzielę. Zależało to jednakże od tego, czy właśnie było widno. Nie posługiwali się lampą, gdyż w obozie nie było lamp — mieli je tylko Sowieci. Na obsługę fryzjerską straży obozowej zarezerwowany był w tygodniu piątek i sobotnie przedpołudnie. Specjalne zarządzenie postanawiało, że do strzyżenia komendanta, komisarza i lekarki należy używać osobnych grzebieni i nożyczek.

Sonnenberg starał się działać w sposób zorganizowany i tym sposobem należycie uporządkować sytuację. Miał przy tym na względzie, ażeby każdy z jeńców był strzyżony przynajmniej jeden raz na dwa miesiące. Jedno strzyżenie musiało jednak w takim razie trwać nie dłużej niż siedem, a najwyżej osiem minut. Ażeby osiągnąć taką sprawność, wyćwiczyli odpowiednią kolejność czynności. Wstępne strzyżenie, które wykonywał Brandin, posługując się skonstruowanymi przez Zygfrieda hełmami, trwało nie dłużej niż trzy minuty, a wykończenie strzyżenia przez Sonnenberga — około czterech minut.

Ledwie zdążyli dokonać pierwszych, niewątpliwie udanych prób w tej dziedzinie, już pojawił się u nich sierżant Eichler, ucieleśnienie tak zwanego wewnętrznego kierownictwa obozu, które nosiło też nazwę samorządu jeńców. Razem z nim przyszli jego obaj „siłacze” — plutonowy Bachmann, noszący przezwisko „czyściciel”, oraz starszy szeregowy Vesper, często trafnie porównywany z dręczącym wyrzutem sumienia. Wszyscy trzej rozsiedli się wygodnie.

Eichler oświadczył tonem niemal serdecznym:

— Akceptujemy twoje starania, kolego Sonnenberg, a nawet wyrażamy swoje uznanie. Od tego wszystko tu zależy, jak ci wiadomo. Począwszy od tej chwili znajdujesz się pod naszą opieką razem ze swoim zakładem!

Znaczyło to, że chcą oni mieć w zakładzie swój „udział”, a więc pobierać haracz. Z każdych dawanych za strzyżenie trzech do pięciu gramów tytoniu bądź kromki chleba, bądź jednego ziemniaka, względnie paru liści kapusty. W wyjątkowym wypadku mógł to być szczur; jeśli był rośły, wystarczał nawet jako zapłata za dwa strzyżenia.

— To twoje przedsiębiorstwo, Sonnenberg, powinien ktoś obsługiwać.

— Przewidzieliśmy już, że będzie to robił stary Schulz — powiedział Brandin.

— Stary gaduła? — zaoponował pogardliwie specjalista od urabiania sumienia Vesper. — Ten parszywy gówniarz z baraku, gdzieście byli przedtem? Ten dureń będzie zawsze gotów tylko powtarzać wszystko za wami jak papuga, a do takiego zakładu wcale się nie nadaje.

— Ale myśmy go już zgłosili do komendy jako trzeciego — powiedział Sonnenberg. Z miejsca zrozumiał, do czego zmierza Brandin.

— Stanowczo zbyt pochopnie, chłopie! — stwierdził Eichler, a w jego głosie pobrzmiwała pogrożka. Jednocześnie mrugnął do Vespera.

Vesper zaś odezwał się:

— E, co tam? Tan zasraniec Schulz wcale tego nie chce. Jestem pewny. Trzeba, byś go o to zapytał, kolego Bachmann.

Wszyscy zrozumieli, co to ma znaczyć. Bachmann, „czyściciel”, z ochotą wyszczerzył zęby.

— Jasna sprawa. Wypytam go, choć z góry wiem, jaka będzie odpowiedź. Jeżeli w ogóle warto się tym zajmować.

Sonnenberg oczywiście chciał oszczędzić owego „wypytywania” biednemu Schulzowi. Na pewno można mu było pomóc w jakiś inny sposób.

— Zatem zgoda — oświadczył Eichlerowi i jego przybocznym. — My będziemy odwalać całą robotę, a wy będziecie ją organizować i pobierać zapłatę. Ale niech z tego pozostanie także coś dla nas, domagam się tego!

Obiecali mu to niemal uroczyście. Interes okazał się świetny. Podali sobie ręce. Następnie Sonnenberg zaaplikował wszystkim trzem niemieckim władcom obozowym znakomite fryzury, w dodatku rozrutnie wypolerowane za pomocą oleju słonecznikowego. Odeszli zadowoleni.

— Naprawdę godzisz się robić to, czego chcą te wieprze? — zapytał przerażony Tomasz Brandin.

— Ma się rozumieć, że nie — oświadczył bez wahania Zygfryd. —

Jeśli nie chcemy, by nas te łotry pożarły z kośćmi, pozostaje nam tylko jedno wyjście: musimy ich załatwić.

— Powiedziałeś: załatwić?

— Właśnie to powiedziałem i dokładnie to miałem na myśli, Tomaszu. Nie mamy wyboru, musimy przeżyć bez względu na okoliczności, jeśli nie chcemy zdechnąć. Ręczę ci, że wykitujemy, jeżeli nie będziemy zdecydowanie bronić swojej skóry.

Wkrótce pojawiły się epidemie — następowały jedna po drugiej prawie tak szybko jak dzień po nocy. Jeszcze wczoraj cały obóz był zachlastany krwawym szlamem, a już dzisiaj jeńcy tłumnie wymiotowali jadownicie żółtym śluzem. Czego więc można było oczekiwać jutro? Gorączki z potami, dreszczy, ataków duszności?

— Czyżbyś naprawdę był zdecydowany zmierzyć się z tymi bezwzględnyymi oprychami? — zapytał Brandin.

— Albo oni, albo my! — Taka była odpowiedź Zygfyryda.

Tomasz Brandin miał zaszczyt stawić się u pana Wernersa w dużej, ostatnio dość okazale odrestaurowanej komnacie zamku Rosenburg. Werners stał jak posąg u szczytu długiego stołu. Po prawej ręce miał córkę.

Brandin, nie czekając na zaproszenie, podszedł do nich. Skłonili się sobie wzajemnie i nieruchomo stali naprzeciw w odległości około trzech metrów. Werners spoglądał majestatycznie, a Izolda z lekka ośmielając się. Tomasz wydawał się zniecierpliwiony jak dziecko. Wśród członków klanu Sonnenbergów miewał dość okazji do przećwiczenia podobnego zachowania.

Po chwili Werners, wciąż jeszcze tonem generalskim, zapytał:

— Panie Brandin, co zamierza mi pan zakomunikować?

— Przypuszczalnie dokładnie to, panie Werners, co pan chciałby ode mnie usłyszeć — odpowiedział uprzejmie Brandin. Nie omieszkał przy tym zachęcająco uśmiechnąć się do Izoldy.

— Zatem zapewne to, czego można spodziewać się po kimś z charakterem, poczuciem odpowiedzialności, a przy tym człowieku honoru?

— Obawiam się, że w tych sprawach nie wyznaję się zbyt dobrze. Czy mógłby mi to pan wyjaśnić trochę dokładniej?

Generał przybrał jeszcze bardziej sztywną postawę i bardziej surowy

wyraz opalonej twarzy, która zabarwiła się purpurą; nerwowo zaciskał dłonie, dłonie wyższego dowódcy wojskowego. Rzucił okiem na córkę. Na to Izolda wykrzyknęła do Tomasza tonem ostrzeżenia a jednocześnie zachęty:

— Ojciec wie wszystko!

— Naprawdę wszystko? No, jeżeli sprawy tak wyglądają — stwierdził z zadowoleniem Brandin — to możemy oczywiście oszczędzić sobie dalszych wyjaśnień.

— To istotnie staje się zbyt — oświadczył Werners tonem surowej nagany. — Pomimo to, panie Brandin — ciągnął wcale nie zbity z tropu — oczekuję w tej chwili pańskiego wyznania, pańskiego przyznania się. Możliwie wyraźnego!

— W jakiej kwestii, proszę pana? — Tomasz udał niewzruszenie tępego. Był dość zręczny, by nie dać po sobie zbyt łatwo poznać, że coraz bardziej bawi go ta sytuacja.

— W takim razie — zagrzmiał generał — muszę być brutalnie szczery, to znaczy przemówić do pana, że się tak wyrażę, prosto z mostu! Nie radzę się przy tym wykręcać, panie Brandin. Uchyłać się od odpowiedzialności! Byłoby to tchórzostwo!

— Tchórzostwo? Tak pan przed chwilą powiedział, panie generale? — Był to pierwszy i zarazem ostatni wypadek, kiedy to Brandin zwrócił się do niego per „generale”. Bo gdy Werners napomknął o „tchórzostwie”, w pamięci Brandina ożyło wspomnienie, które błyskawicznie skojarzyło mu się z ojcem. Niewiele ponad dziesięć lat temu, kiedy ojciec stał przed tym oto zdeterminowanym bojownikiem o ostateczne zwycięstwo, padło dokładnie to samo sformułowanie. — Czy pan rzeczywiście powiedział „tchórzostwo”?

— Tak jest, powiedziałem! Ale mając niezłomną nadzieję, że pana to nie dotyczy. Przynajmniej tak wynikało z opowiadań mojej córki, Izoldy. — Było oczywiste, że Werners najpewniej nie był w stanie niczego sobie przypomnieć. — Przestańmy wreszcie krążyć wokół sprawy. Tu trzeba ostatecznie wyjawić swoje zdanie, po męsku, uczciwie, nie zwlekając! Bowiem moja córka spodziewa się dziecka.

Tomasz Brandin na jakiś czas oderwał się od gnębiącej go myśli o wydarzeniu z przeszłości. Nie zachodziło bowiem najmniejsze nawet niebezpieczeństwo, że zdoła kiedykolwiek zapomnieć o nim. Powrócił

więc do gry na arenie rodzinnej i skinął Wernersowi głową na znak całkowitej zgody.

— Jeśli pańskiej czcigodnej córeczce zależy na tym, ażeby dziecko, które się jej urodzi, miało ojca i życzy sobie mnie uważać za niego, to ja jestem gotów zaręczyć, że nim jestem. Izolda wie o tym — oświadczył.

— Dziękuję ci! — westchnęła gwałtownie. Chciała uściskać swego Tomasza, ale tata Werners zdecydowanym ruchem ręki powstrzymał ją przed tym.

— To nie jest przecież takie całkiem proste!

— Czyżby pan miał coś przeciwko temu? — prowokacyjnie zapytał zdziwiony Brandin.

Ojciec Izoldy, mając już przyznanie się ojca dziecka, nie widział żadnego powodu, by pospiesznie błogosławić temu związkowi. Miał bowiem w tym wypadku moralną przewagę, przy czym nadawała się ona do wykorzystania. Nic więc dziwnego, że generał zagrzmiął tonem surowej nagany:

— Ma pan więc czelność oświadczać mi prosto w oczy, że skrzywdził pan moją córkę! To nieobyčajne i nieprzyzwoite, wprost obrzydliwe! W istocie jest to upokarzające nie tylko dla mojej córki, lecz i dla mnie! Powinien się pan wstydzić, panie Brandin! Wstyd panu?

— To już się stało, ojcze, i nie odmieni się — zawołała Izolda, drżąc cała. — My się przecież kochamy — wyznała.

— Ech, co tam! Coś podobnego to skandal! — Oburzenie generała było dobrze zaplanowane. Oficerowie jego sztabu podczas drugiej wojny światowej nieraz zasmakowali próbek tego gniewu. Rozmyślnie demonstrując oburzenie, nader skutecznie podnosił także gotowość bojową. — Nigdy bym nie przypuszczał — wrzeszczał — że mogę od kogoś doznać takiej zniewagi. Właśnie ja! Czy muszę się z tym godzić?

— Wcale pan nie musi — odparł życzliwie Tomasz Brandin. — Może pan o mnie zapomnieć i tym samym w Ogóle nie przyjmować do wiadomości, że wchodzę w rachubę jako ojciec dziecka pańskiej córki, Izoldy. Ja zaś po prostu zniknę z jej życia. Z życia pańskiej córki.

— Nie, tylko nie to! — zawołała błagalnie Izolda. — Proszę, ojcze, nie to!

— Ostatecznie nie jestem potworem! — Werners zdecydowanie odsunął od siebie podejrzenie. — Jestem ojcem i kocham swoją córkę,

i to bardzo. Toteż jeśliby ona miała teraz znaleźć się w okolicznościach, z których, Bóg mi świadkiem, nie byłbym specjalnie rad, to pomimo wszystko gotów jestem pogodzić się z tym, co się stało. W każdym razie konieczne byłoby złożenie odpowiedniego wyjaśnienia! Jest pan gotów uczynić to, panie Brandin?

— To zależy oczywiście od tego, jaki rodzaj wyjaśnienia ma pan na myśli.

— A więc — zaczął Werners, nachylając się nieco w stronę Tomasza, jak gdyby zaznaczając przez to z lekka swoją życzliwość — bądź co bądź jest coś, co przemawia za panem. Przede wszystkim pańska szczerza, niedwuznaczna gotowość zadeklarowania się jako ojciec dziecka mojej córki. Bardzo to sobie u pana cenię.

— Cudownie, ojcze! — zawołała z ulgą Izolda. — Przebaczasz, rozumiesz nas!

— Zapewne nie omieszka pan jednak postawić określonych warunków, panie Werners — zauważył Brandin. — Jakie one będą?

— Są zarówno nieuniknione, jak i same przez się zrozumiałe! — oświadczył generał. — Ale najpierw chcę się wypowiedzieć, mam nadzieję, ostatecznie, w pewnej oczywistej sprawie. Moja Izolda ma zostać matką, a pan ojcem jej dziecka. W żadnym wypadku nie cieszę się z tego powodu, jednakże mam zamiar pogodzić się z tym.

— Jesteśmy ci za to wdzięczni — zapewniła go zapłoniona Izolda. — Prawda, Tomaszu?

Tomasz zaś oświadczył beztrąsko:

— Ależ oczywiście, dlaczegoż by nie?

Z odpowiedzi tej Werners, jak należało oczekiwać, wyciągnął wnioski jako pan domu.

— Należy więc uważać, że dzisiaj odbyły się wasze zaręczyny. Ślubu nie należy zbyt długo odkładać, ażeby dziecko przyszło na świat w odpowiednich układach rodzinnych. Mam przy tym mocną nadzieję, że będzie to męski potomek i ze względu na moje nazwisko, i ponieważ myślę nie poskąpić mu części mego pokaznego majątku. Rozumiemy się?

Oczywiście rozumie! Następnie Werners pozwolił nareszcie swojej córce paść w otwarte ramiona jej Tomasza. Z odrobiną pobłażania, a nawet z pewną nadzieją przyglądał się im jako ojciec, który niedługo już miał się stać dziadkiem. Sądził, że podobnie jak w wielu

bitwach, tak i w tym wypadku dowiódł swoich zalet wytrawnego stratega nie byle jakiego formatu.

Następnie klasnął w dłoń. Na ten sygnał szeroko otworzyły się za nim podwoje. Jego stale gotowy do usług przyboczny strażnik, w tej chwili bez swojej śrutówki i dzięki temu niemal budzący zaufanie, pełnił odpowiedzialną funkcję przytrzymującego drzwi. Obok niego przeszła z godnością okazała gospodyni — zaufana Wernersa. Zachodziła obawa, że okaże się ona równie potężna jak prawie wszystko w tym domu. Wniosła na tacy brzuchatą butelkę szampana marki Fiirst Metternich oraz trzy kieliszki z czeskiego kryształu.

— Wypijmy, moi kochani! — zachęcił Werners córkę i zaakceptowanego już zięcia z dobrze wyćwiczoną serdecznością w stylu kasyno wym. — Zatem za waszą, za naszą pomyślność!

Wydarzenie miało oprawę dość uroczystą. Potem, gdy służba już się oddaliła, zasiedli u szczytu dużego stołu. Wydawało się, że rzeczywiście są rodziną.

— Odtąd więc, mój drogi Brandin — przemówił *znów życzliwie* Werners — należy pan do nas! Ponieważ dzielnie pan stanął u boku mojej córki, moja rodzina jest również pańską rodziną! Czy rozumie pan, co to znaczy?

— Jeszcze niezupełnie — oświadczył zięć teściowi. Ujął przy tym czule, lecz nie bez zmieszania, ręce swojej narzeczonej, które wysunęły się w jego stronę. — Jestem jednakże pewny, panie Werners, że pan mnie oświeci także pod tym względem.

— W ciągu ubiegłych lat — powiedział na to generał do Tomasza Brandina — zwracałem na pana dość baczną uwagę. Doszedłem przy tym do przekonania, że bez pana taki Sonnenberg nie byłby przypuszczalnie tym, kim jest teraz. Dało mi to wiele do myślenia. Zaprezentował się pan zatem jako człowiek nadzwyczaj solidny. Nie jest to wcale najmniej ważny spośród powodów, dla których z przyjemnością witam pana u siebie. Czy byłby pan gotów współpracować ze mną?

— Dlaczego nie, panie Werners? Ale pod jakim względem? I w jakim zakresie?

— No tak, jako swego zięcia już, bądź co bądź, zaakceptowałem pana. Tym samym należy pan do mojej rodziny. Jednocześnie nadzwyczaj chętnie widzę pana u siebie jako doświadczonego handlowca.

Będziemy tu pana potrzebowali, młody panie! Zdaje pan sobie z tego sprawę?

Tomasz z uczuciem zdeterminowanego pływaka, wessanego przez wir w głąb rzeki, miał odwagę twierdzić, że zdaje sobie sprawę! Izolda uściskała go żywiołowo. Werners spoglądał z upodobaniem na nich oboje.

Niedługo potem w Rosenburgu rozpętało się coś, co właściwie mogło uchodzić za ledwie za podjazdową „wojnę niewieścią”. Przynajmniej Tomasz Brandin tak pozwolił sobie określić te scysje. Rozśmieszały one nie tylko jego, ale też Zygryda. W delikatnych sytuacjach Zygryd zazwyczaj wykazywał swego rodzaju szósty zmysł. Tym razem jednak zmysł ten omal nie odmówił mu posłuszeństwa, i to w sposób dość przykry.

Wszystko zaczęło się na pozór bardzo niewinnie. W salonie fryzjerskim Sonnenberga pewna obsługiwana właśnie dama poczuła się nie dość dobrze potraktowana, a mianowicie nie wyróżniona stosownie do swojej godności. Rzecz sama w sobie mogła się zdarzyć. Ale damą tą okazała się właśnie Margot. Była ona przy tym żoną i siostrą dwóch najbardziej wpływowych adwokatów. Pomijając poza tym fakt, że od wielu lat była blisko zaprzyjaźniona z Zygrydem. Ona to właśnie okazywała niezmierne oburzenie.

— Nie przyjrzałaś się, dziecinko, dość uważnie odcieniowi moich włosów, jak ci zalecił mistrz Sonnenberg. Bardzo mi się to nie podoba! — Pomimo że panna Chrystiana Clements, jak ogólnie wiadomo, była obdarzona nadzwyczajnymi zdolnościami nie tylko jako fryzjerka, jednak nie powstrzymało to pani Margot od wygłoszenia uwagi w tonie ostrej nagany: — To, co pani sobie pozwoliła zrobić z moimi włosami, moja panienko, jest po prostu niechlujstwem! Są za ciemne, bez połysku, zupełnie matowe!

Chrystiana odebrała to jako skierowane do siebie wyzwanie, co ją ogromnie wzburzyło.

— Ależ, proszę łaskawej pani, nic więcej nie mogę zrobić z pani włosami! Gdybym pani włosom nadała jeszcze jaśniejszy odcień, uzyskalibyśmy efekt odpowiedni dla każdej innej osoby, tylko nie dla damy. Ale pani nie o to przecież chodzi?

— Co pani mówi? — Margot chwyciła powietrze jak złota rybka w akwarium z zepsutym aparatem do napuszczania tlenu. — Czyżby pani sobie pozwalała na aluzję do prostytutki? W stosunku do mnie!

— Nic podobnego nie powiedziałam! - odparła Chrystiana pewnym siebie tonem.

— Pomimo to wypraszam sobie nad wyraz niestosowny przytyk! — prychnęła na nią Margot. — Kim pani jest właściwie? Proszę natychmiast powiadomić mistrza Sonnenberga. Życzę sobie zaraz się z nim rozmówić!

Zygfryd był jednak podobno nieobecny. W jego zastępstwie ukazała się Ewa-Ingeborga. Udała, że jest w najwyższym stopniu zatroskana, okazała wiele zrozumienia i życzliwości. Chrystiana, która jej towarzyszyła, musiała się wycofać na drugi plan.

— Gdyby pani, właśnie pani, droga Margot, miała być niezbyt zadowolona — zapewniała Ewa-Ingeborga — byłoby mi bardzo przykro. A także Zygfrydowi. Bo on, jak wiem, darzy panią ogromnym szacunkiem. Czyżby się zdarzyło coś niewłaściwego?

— Ta oto osoba — Margot z oburzeniem wskazała Chrystianę — pozwoliła sobie na wygłaszanie w stosunku do mnie wprost nieprawdopodobnych uwag.

— Nic takiego nie mówiłam! — broniła się panna Clements. — Jeżeli zdarzyło się coś podobnego, to dlatego, że zostałam źle zrozumiana, być może rozmyślnie!

— Sama pani słyszy! — zawołała zaczepnie Margot. — Ta osoba ma odwagę pomawiać mnie o fałszywe oskarżenia! Czy muszę to znosić?

— Nie musi pani! — szybko rozstrzygnęła rzecz Ewa-Ingeborga. — Zygfryd na pewno nie będzie tego tolerował.

— Ależ ja tylko...

— Cokolwiek miało miejsce, panno Clements — bardzo zdecydowanie zareagowała pani Sonnenberg — ustalimy, na co pani sobie pozwoliła! Z pewnością nie umiała pani obsłużyć jednej z naszych najlepszych klientek, nad którą mój mąż roztacza szczególną opiekę, w sposób, jakiego sobie życzyła.

— Ta osoba — wyrzuciła z siebie Margot, chcąc dobić Chrystianę — miała nawet czelność twierdzić, że nie jestem damą, a więc stawiać mnie na równi z prostytutką!

— To nieprawda! — zawołała z oburzeniem Chrystiana.

— Ale na pewno powstało takie wrażenie. Dość tego! — zakończyła rozmowę Ewa-Ingeborga. Zwróciła się z kolei do tej „samiczki”, jak

z upodobaniem nazwała Chrystianę, i syknęła na nią: — Niech pani natychmiast stąd odejdzie, panno Clements! Proszę z tym skończyć!

— Chce mnie pani może zwolnić? — krzyczała Chrystiana, w najwyższym stopniu wzburzona. — A może grozi mi pani wypowiedzeniem, pani Sonnenberg? Nie pytając o zdanie męża? Uważa pani, że może sobie na to pozwolić?

Oczywiście nie mogła sobie na to pozwolić i obie o tym wiedziały. Ewa-Ingeborga spoglądała jednak na Chrystianę z najwyższą pogardą, co nie sprawiało jej trudności.

— Niech pani tyle nie mówi, dość tych wybryków! Proszę zabierać się z łaski swojej! Dokądkolwiek, byle tylko znalazła się pani jak najdalej ode mnie!

Chrystiana zabrała się zgodnie z poleceniem, wiedząc doskonale, dokąd ma się udać. W sąsiednim pokoju zaparzyła lekko drżącymi rękami mocną, aromatyczną kawę. Następnie zaniosiła ją w brązowym ceramicycznym dzbanku, z dwoma takimiż filiżankami, na najwyższe piętro domu.

Znajdowało się tam tak zwane „laboratorium” Zygfyda Sonnenberga. Tu zazwyczaj preparował swoje wyroby kosmetyczne i przystosowywał je do praktycznego użytkowania. Przy tego rodzaju zajęciach przesiadywał często wiele godzin, a czasem poświęcał na nie całe noce. Dlatego właśnie w tej obszernej pracowni na poddaszu było też miejsce do spania — szeroka, wygodna, skórą obita sofa.

Przywykł przychodzić tu dość często. Zazwyczaj sam, lecz ostatnio czasem też z Chrystiana. Była ona prawdopodobnie jedyną, poza Tomaszem Brandinem, osobą, której wolno było przychodzić tu do niego o każdej porze nawet bez uprzedzenia.

Również tym razem Chrystiana weszła bez ceregieli i spotkała się z miłym powitaniem.

— Odstaw kawę, moja ślicznotko! Rozgość się! Jeszcze tylko parę notatek i już jestem bez reszty do twojej dyspozycji!

— Jestem zmartwiona — powiedziała smutnym głosem — i tym razem wcale nie w nastroju.

Spojrzał na nią sponad swojej roboty.

— Zdenerwowałaś się czymś może, kochanie?

— Zdenerwowanie to zbyt słabe słowo w porównaniu z tym, co mnie spotkało. Zostałam ciężko obrażona, i to przez twoją żonę. Potraktowała mnie jak najgorsze gównno.

Zygryf podniósł się i podszedł do niej.

Przyłgnęła do niego. Oboje wyczuwali swoje ciała. Ze względu na letnią spiekotę on miał na sobie jedynie koszulę i spodnie, a ona nic prócz fryzjerskiego fartucha. Lecz zanim opadli na posłanie, zdążył jej jeszcze powiedzieć:

— Czasem trzeba po prostu udać, że się nie słyszy, moja śliczna, ażeby się niepotrzebnie nie podniecać. Przecież mówi się tak dużo, a większość tego nie zasługuje na odpowiedź. Dawno już do tego doszedłem. Nie wdawaj się więc nigdy w spory z tymi, którzy zawsze mają rację, ani też z tymi, którzy włos dzielą na czworo. Najważniejsze, że są jeszcze ludzie tacy jak my, którzy nie potrzebują niczego więcej jak tylko kochania. Kochajmy się więc!

Rozebrali się, pomagając sobie wzajemnie. Wystarczyło im na to parę wyćwiczonych już ruchów. Od razu byli gotowi zewrzeć się ze sobą. Lecz nagle, gwałtownie pchnięte, otworzyły się nigdy nie zamknięte na klucz drzwi tego azylu, stale uważanego za bezpieczny.

Ukazała się Ewa-Ingeborga. Szybkim, wprawnym spojrzeniem zarejestrowała wszystkie rzucające się w oczy szczegóły. Nie była wcale oburzona, wyglądała raczej na rozbawioną. Roześmiała się nawet.

Kochankowie odsunęli się od siebie, nie zaskoczeni specjalnie tym, że im przeszkodzono. Zygfryd wstał i stwierdził ze zdziwieniem:

— Ależ, moja droga, to nie uchodzi! Przecież to wcale nie było potrzebne!

Ostatecznie Ewa-Ingeborga wiedziała o tym romansie. Istniała przecież między nimi milcząca umowa, zakładająca wzajemną tolerancję.

— Czyżbyś ostatnio postanowiła nam przeszkadzać? — zapytał Zygfryd.

— To, co wy tu uprawiacie, jest mi całkiem obojętne — powiedziała Ewa-Ingeborga—jeżeli odbywa się w miarę dyskretnie. Na tym mi nie zależy. Tym razem jednak muszę ci zakomunikować, że twoja panna Clements zachowała się w najwyższym stopniu nieodpowiednio wobec jednej z naszych najpoważniejszych klientek. Chodzi o panią Margot.

— Dobrze, załatwię to wszystko jak należy — zapewnił ją sprzedawca grzecznie Zygfryd.

— Poza tym muszę jeszcze stwierdzić, że twoja panna Clements nie przestrzega moich zaleceń w sprawie ubierania się, za co jestem

odpowiedzialna w naszym salonie. Pomimo wszelkich możliwych ulg na okres letnich upałów poleciłam, ażeby jednak pod fartuchem fryzjerskim nosić bieliznę, a więc przynajmniej figi i stanik. Nie widzę tu jednak nic z tych rzeczy!

— Czegoś podobnego wcale nie potrzebuję! — wykrzyknęła wojowniczo Chrystiana.

W tym momencie zabrał głos Zygfyrd. Zdążył tymczasem okryć swoją nagość i stał już gotowy do obrony.

— Co to wszystko ma znaczyć, Ewo-Ingeborgo?

— Życzę sobie porozmawiać z tobą teraz i tu! W cztery oczy.

— Chcesz tego, Zygfyrdzie? — Chrystiana wyprostowała się, demonstrując swoją uderzającą piękność. — Może jesteś zdania, że jestem tu zbędna?

— W żadnym wypadku, moja ślicznotko! Należysz do mnie, a Ewa--Ingeborga wie o tym. Jeśli jednak ona chce porozmawiać ze mną, to nie ma na to rady.

— Proszę się zatem natychmiast zabierać, panienko! — zażądała stanowczo pani Sonnenberg.

Chrystiana Clements tylko się uśmiechnęła. Wślizgnęła się w swój fartuch, który był niejako jej drugą skórą. Następnie wyszła tanecznym krokiem.

— Czy to było konieczne? — zapytał Zygfyrd. Stał teraz przed swoją żoną, owinięty w prześcieradło jak w rzymską togę. Miał świadomość, że wygląda trochę śmiesznie.

Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem żmii.

— Zawsze usiłowałam nie dostrzegać twoich rozmaitych siusiumajtek z branży fryzjerskiej i kilku innych bezwstydnie narzucających się bab. Ale to nie może trwać dłużej i odbywać się wyraźnie na oczach wszystkich.

— Zlituj się, proszę, Ewo-Ingeborgo! Ostatecznie mój stosunek do Chrystiany można określić jako dość powściągliwy. Podobnie jak twój do Konrada Kahlersa!

— To błędne porównanie, Zygfyrdzie! — odparła, ogromnie oburzona. — Nigdy ci nie żałowałam Chrystiany, ale ostatnio ta osoba zaczyna być zbyt agresywna nawet w stosunku do mnie. A ponieważ nie robisz nic, by jej wskazać właściwe miejsce, muszę więc uważać, że tolerujesz, a może nawet popierasz jej bezwstydną zuchwałość.

— Wypraszam sobie, Ewo-Ingeborgo! — Sonnenberg od razu zorientował się, że rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku. Niebezpiecznym zwłaszcza dla niego, dla jego wielkich zamierzeń, które starał się wprowadzić w czyn możliwie bez przeszkód. Dlatego też nie zawahał się wyprzeć własnych uczuć. — Mój Boże, kim wreszcie jest ta Chrystiana! Na pewno to stworzenie przyjemne i życzliwe dla mężczyzny. Ale w samej rzeczy kompletnie bez znaczenia, jeśli chodzi o nas oboje.

— Nie próbuj niczego wmawiać ani sobie, ani mnie! — Ewa-Ingeborga spojrzała na niego badawczo i spostrzegła, że na jego twarzy malują się raczej wszystkie inne uczucia niż pewność siebie. — Twój roman z tą Chrystiana zbyt rzuca się w oczy i ma ustać natychmiast!

— A jeżeli nie ustanie?

— Będą mogły z tego wynikać dla mnie całkiem jednoznaczne wnioski! Na przykład powód do rozwodu. Łatwy do udowodnienia w każdej chwili.

Zygryd z trudem panował nad sobą.

— Czy rzeczywiście zmierzasz do tego? Nie mogę wprost uwierzyć!

— A jednak będziesz musiał uwierzyć! — oświadczyła mu jego żona aż nazbyt wyraźnie. — Nie mogę pozwolić, by mnie ktoś po prostu wyłączył i odsunął! A wszystko wskazuje na to, że tak właśnie jest. Wiem też, że składałeś Konradowi Kahlersowi bardzo jednoznaczne propozycje wbrew moim interesom! Nie mam więc teraz wyboru i muszę się bronić. Licz się z tym, począwszy od tej chwili!

3. Rzeczy trudno wyobrażalne zdarzają się co dzień

Narzeczony Izoldy Werners Tomasz Brandin został przez nią zaproszony na herbatę. Sama ją przygotowała i podała w „małym salonie” na zamku Rosenburg. Był to okazały pokój, wykończony pluszem, skórą, aksamitem i jedwabiem, z dębowymi meblami i wschodnimi kobiercami.

Siedzieli tuż przy sobie na barokowej kanapie, a za nimi wisiał pociemniały olejny portret jakiegoś przodka.

— Mój ojciec — oświadczyła mu uszcześliwiona — pozbył się

oczywiście wszelkich uprzedzeń wobec ciebie. Daje swoją całkowitą zgodę i nawet zapatruje się na wszystko bardzo przychylnie.

— Mam nadzieję, że nie popełnia błędu! — zauważył powściągliwie Tomasz. Uwolnił swoje ręce z jej dłoni, ażeby się zająć piciem herbaty. Okazała się wprost znakomita.

— Mój ojciec ma zamiar — mówiła dalej Izolda nie bez dumy — oddać nam do dyspozycji całe piętro, to znaczy pięć pokoi. Dla nas i dla naszego dziecka. Zdaje mi się, że już się porusza we mnie. Chcesz zobaczyć?

Gdy skinął głową, pochwyciła jego rękę i położyła sobie na brzuchu. Poczul tylko obfite pokłady mięsa i nic poza tym. Trudno było oczekiwać czego innego w tak wczesnym okresie ciąży.

— Spodziewam się — powiedziała, tuląc się do niego — że będzie to chłopczyk. Ojciec bardzo tego pragnie!

— Ja właściwie wolę dziewczynki — odpowiedział żartobliwie Brandin. — W tym wypadku chodzi nie tyle o coś w rodzaju następcy tronu, co o twoje dziecko.

Dokładnie o to właśnie chodziło — o dziecko Izoldy, a nie o ich wspólne dziecko. Był to kompleks Brandina, z którym on jednak nie miał zamiaru się obnosić. Przynajmniej na razie.

Usiłowała udawać radość.

— Nie robi mi różnicy, co się urodzi, Tomaszu. Najważniejsze, abyś ty był ze mną szczęśliwy!

Wkrótce pojawił się tata generał Werners w myśliwskim stroju ze skrzypiącymi butami. Udawał niezwykłą kordialność.

— Nie chciałbym — wołał do nich — psuć tej pięknej idylli! Pomimo to chętnie wypiłbym filiżankę herbaty razem z wami. — Dostał ją niezwłocznie i zasiadł naprzeciwko nich w skórzanym fotelu. Zachowywał się tak, jakby lokował się na punkcie obserwacyjnym niedaleko przedniego skraju swoich oddziałów. Skinął narzeczonym głową — życzliwie, ale bez przesady, i zapytał: — A więc, panie Brandin, mój drogi zięciu, zapewne zdążył pan już zastanowić się nad tym, w jakie pan wchodzi układy? A może mam prawo spodziewać się, że jest pan gotów wyciągać z tego pewne wnioski?

— Na pewno kilka, panie Werners, a być może nawet wszystkie, jakie mi się nasunęły. Do których przywiązuje pan szczególną wagę?

Generał poczuł się należycie uhonorowany, co mu się, jak uważał,

należało. Mrugnął z uznaniem do swojej Izoldy, ona zaś, jak się wydawało, zarumieniła się z radości. Potem zwrócił się znów do swego zięcia:

— Najpierw najważniejsze, panie Brandin. Pański udział w interesach pana Sonnenberga. Czy to da się rozwiązać?

— To sprawa raczej mało skomplikowana, panie Werners. Oświeciłem swego przyjaciela Zygryda w przedmiocie mojej specjalnej sytuacji i pańskich szczególnych życzeń. On zgadza się z nimi.

— Tak całkiem bez zastrzeżeń?

— Oczywiście nie bardzo chętnie i z pewnym wahaniem — wyjaśnił Brandin takim tonem, jakby go zapytano jedynie, co myśli o pogodzie. — Wysuwał kontrargumenty i kontrpropozycje. W każdym razie pogodził się z tym, że teraz, należąc już właściwie do pańskiej rodziny, chcę i nawet muszę dla niej pracować.

— Mogę! — poprawił go Werners. — To brzmi bądź co bądź całkiem przyjemnie! Zatem nie będzie ani nagłego zerwania, ani rujnującego rozłamu, ani też raptownego zwolnienia?

— Nic z tych rzeczy, panie Werners. Zygryd i ja jesteśmy przyjaciółmi i nadal pozostaniemy. Pan nie ma przecież nic przeciwko temu?

— Ależ skąd! — zawołał generał wprost z zachwytem. Zaraz jednak zupełnie trzeźwo mówił dalej: — A więc, jak pan wie, mój drogi panie Brandin, ten Sonnenberg nie jest moim przyjacielem! Oby się to gruntownie zmieniło. Być może z czasem stanie się to nawet pod pańskim wpływem, gdy on uzna, że należy się liczyć z faktem pańskiego wejścia do mojej rodziny!

Tomasz milczał i jednocześnie, ciekaw prawdy, z zainteresowaniem przyglądał się Wernersowi. Ów natomiast wciąż jeszcze wyglądał na zdecydowanego i po ojcowsku pewnego siebie pana, nadal dbałego o autorytet dowódcy wysokiego szczebla. Oczy jego nie miały jednak blasku, dłonie dygotały, a przez kościste ciało przebiegało nie kontrolowane drżenie — oznaka starczego niepokoju.

— Najważniejszą na razie sprawą, którą powinien pan mieć na uwadze, drogi panie Brandin, jest projekt pana Sonnenberga dotyczący zagospodarowania tak zwanych Łąk Północnych.

Tomasz ze zrozumieniem kiwnął głową, nie zapominając jednocześnie ująć dłoni Izoldy, ażeby w jego obecności nie czuła się osobą nie bardzo potrzebną. Przytuliła się do niego z wdzięcznością.

— W sprawie wykorzystania tych Łąk Północnych rysują się obecnie dwie możliwości. Albo wykupi ten teren Bundeswehra, albo Sonnenberg postawi tam zakłady wytwórcze, które sobie zaplanował.

— Słusznie! — przytaknął mu Werners. — W pierwszym wypadku, to jest gdyby Bundeswehra zakupiła Łąki, moglibyśmy się automatycznie stać jej dostawcami, jak zaręczył nam Kahlers. Dostarczalibyśmy więc piasku, żwiru, kamienia budowlanego, cegły i cementu, wykonywalibyśmy wykopy i plantowali teren. Natomiast w drugim wypadku, to znaczy gdyby przeszedł projekt Sonnenberga, to czy mielibyśmy te same korzyści? Może za pańskim pośrednictwem, mój drogi, dzięki pańskiej z nim zażyłości? Jak pan sądzi, udałoby się panu tego dopiąć?

— Sądzę, że tak — oświadczył bez skrępowania Tomasz.

— No, to ma pan moje błogosławieństwo! — Tata generał wyprostował się dumnie, choć z pewnym trudem. — Teraz nie będę wam już przeszkadzał. Wasze narzeczeństwo napawa mnie wielkimi nadziejami na przyszłość.

Zygryd Sonnenberg poprosił do siebie Klementynę Gartner, której nikt już w Rosenburgu nie śmiał nazywać „diabelską babcia”. Czujna jak najlepszy pies podwórzowy strażniczka jego domu skwapliwie przemknęła ze swojej piwnicy do laboratorium na poddaszu. Tam rozsiadła się na leżance, czekając, co powie.

— Czego się napijesz? — zapytał ją.

— Znadto mnie rozpieszczasz, mój mały! — Wciąż jeszcze odnosiła się do niego z pełnym uznaniem. — Toteż nie jest ci chyba zupełnie obojętne, że mój zapas koniaku powoli się kończy.

— Już jutro każę ci zanieść nową skrzynkę — skwapliwie obiecał jej Zygfryd.

— Jesteś dobrym chłopcem — zapewniła go, spoglądając na niego z czułością. Jej starcza twarz wypełniła się ostatnio i wyglądała nawet na zaróżowioną: korzystała cichcem z pudru w jego zakładzie. Sprawiała też wrażenie zadbanej, była bowiem jedną z nielicznych osób, które Zygfryd cesał osobiście. — Dla ciebie zrobię po prostu wszystko! A o cóż to chodzi tym razem?

— Jestem zmartwiony — oświadczył jej z przymrużeniem oka. — Mianowicie z powodu Ewy-Ingeborgi.

Klementyna parsknęła śmiechem.

— Zmartwiony z powodu kochanej żony? Dopiero teraz? Z nią nie ma żartów, powinieneś to rozumieć! Zwłaszcza kiedy chodzi o pieniądze. Bo wtedy potrafi być taka jak twoja mama Emma!

— Dlatego właśnie chciałbym wiedzieć o niej nieco więcej. Poznać rozmaite szczegóły, którymi dotychczas nie zwracałem sobie głowy.

— Oj, biednyś ty! — stwierdziła ubawiona starucha. — To aż do tego doszło? Jeszcze raz! Chcesz pójść na całego?

— Muszę, niestety; mam nadzieję, że mi pomożesz.

— Mój drogi chłopcze! Wiesz, że czasem naprawdę się cieszę, że nie wyszłam za mąż? Być może powinnam powiedzieć, że cieszyć się może ten, kto się ze mną nie ożenił. Zdążyłam się już napatrzeć na wiele małżeństw, które kończyły się w zakładach pogrzebowych. Ale na stare lata bardzo chętnie wtrącę się do tej sprawy. Jestem ci wdzięczna za każdą przyjemność, nawet taką drobną.

— Nie pożałuję ci przyjemności, Klementyno. A więc zrobisz to dla mnie?

Stara kobieta z miejsca zorientowała się, o co chodzi Zygfydowi.

— Chcesz więc dokładnie wiedzieć, kiedy, gdzie i jak często twoja kochana żona ma się z kimś spotkać albo już się spotkała. Tylko z Kahlersem, czy także z innymi? O to chodzi?

— Ale ostrożnie! — upomniał ją.

— Takie sprawy to moja specjalność! — powiedziała i roześmiała się beczącym głosem. — Wiesz także, mój mały, że zawsze z rozkoszą udaję słońcę w składzie porcelany! Ale tobie tego nie zrobię. Ty jesteś moim jedynym dobroczyńcą, a ja ciebie nawet kocham. Powinieneś o tym wiedzieć.

— Zawsze o tym wiedziałem, matko Klementyno.

Ona tymczasem siedziała rozparta i uśmiechała się do niego konfidencjonalnie. Zarumieniła się jeszcze mocniej z radości na myśl, że ma mu coś do zakomunikowania już w tej chwili.

— Trzymam właśnie coś w zanadrzu, ale wprost krępuję się wyśpiewać ci to, mój mały.

— Na pewno przezwyciężysz opory, Klementyno — zażartował Sonnenberg. Jego ciekawość rosła nieustannie. — A teraz zdradź wreszcie tajemnicę, kochana staruszko!

Przybierając zasmucony wyraz twarzy, mówiła dalej:

— Na wstępie muszę ci zwrócić uwagę na gospodynię Wernersów. Jest to baba okropna, prawie taka jak ja. Dlatego zawsze nienawidziła mnie, ale ja się z tego tylko cieszyłam. Na nieszczęście, a może w tym wypadku na szczęście, jest to moja daleka krewna. Wiedziałeś o tym?

— Nie — przyznał się Zygfryd. Ogromnie go to rozbawiło, przynajmniej w tej chwili. — Nie wydaje mi się jednak, by to było całkiem bez znaczenia, bo pewne rodzinne podobieństwo...

— Tylko bez przytyków, mój chłopaczku! — zawołała Klementyna Gartner, wyraźnie zadowolona. — Ta głupia posługaczka mogłaby być u mnie najwyżej dziewczyną na posyłki! Ale ostatnio usiłuje się mnie ucześcić, aby mieć przed kim wyładować swoją złość!

— Na tobie?

— Człowieku! Na coś podobnego ona się nigdy nie odważy! — Klementyna była coraz bardziej rozweselona. — Jeśli ona chce się przed kimś wy wnętrzyć, to chodzi jej o Izoldę i na dodatek o twego Brandina. Ma się rozumieć!

— Czuje się na pewno odepchnięta na dalszy plan przez Izoldę? — domyślił się Sonnenberg.

— Jasna sprawa, człowieku, właśnie o to chodzi. Bo dotychczas ten fałszywy babsztyl panował tam nad sytuacją. Przynajmniej tak się jej zdawało! Dogadzała generałowi jedzeniem, ścieliła mu łóżko, odwijiała mu z rolki papier toaletowy. Była tam, można powiedzieć, panią domu! A teraz wtargnęła w jej dziedzinę jakaś dama. W dodatku w towarzystwie domniemanego ojca jej dziecka. A jej się to nie podoba. I to bardzo.

— No i co? — Zygfryd był niezmiernie ubawiony. — Co ona ma zamiar z tym począć?

— Zrobić jej świństwo, bo cóż by innego?

— W jaki sposób?

— Zaskoczy ją znieńcka! — Klementyna z zadowoleniem odchyliła się do tyłu. — Chodzi o to, że zdołały się dogadać dwie gospodynie domowe: jedna tu, w Rosenburgu, i druga w Niemczech Północnych. Zdaje się, że Izolda, jako bardzo zadufana w sobie i wyniosła dama, na obie gospodynie oddziaływała jak środek na wymioty. Toteż rzygają one teraz piekielnie paskudnymi plotkami na jej temat.

— Opowiadaj dalej — rzucił niecierpliwie Sonnenberg.

— Nie musisz się od razu rumienić, bo chodzi tylko o pranie bielizny, a mam na myśli bieliznę Izoldy! Pojmujesz?

— Jeszcze nie całkiem, mamuniu.

— Powiem ci więc prosto z mostu. Gosposia z północy, gdzie Izolda na polecenie swego ojca musiała pozostawać przez kilka lat, upodobała sobie spokrewnioną ze mną gosposię z południa. Zadaniem tej pierwszej było spakować walizy Izoldy i zawieźć je do Rosenburga. Potem doszło do poufnych rozmów między dwoma kuchtami. Przy tej okazji jedna szepnęła drugiej, że w ciągu ostatnich czterdziestu dni bielizna Izoldy pozostawała całkiem czysta.

— No proszę, jak pięknie! — odezwał się Zygfryd Sonnenberg wciąż jeszcze nie rozumiejąc, o co chodzi. — Całkiem czysta bielizna. Kto ją dziś ma?

— Oj, biedny, głupi chłopcze! — westchnęła wyrozumiale Klementyna. — U kobiety nie zawsze można doliczyć się czterech, a szczególnie czterech tygodni! Jeżeli Izolda miała tak długo czystą bieliznę, to znaczy, że w ciągu tego czasu nie miała miesiączki!

— A więc była już w ciąży, zanim przyjechała tu z powrotem? — zrozumiał w końcu Zygfryd.

— No widzisz, mój mały, nareszcie zaświtało ci w głowie.

— To znaczy, że Izolda zaszła w ciążę nie z Tomaszem, tylko z kimś innym!

— Zrozumiałe! — przytaknęła mu Klementyna. — Spróbujesz wytłumaczyć to swemu Brandinowi? Czy też ja mam to zrobić? Dla ciebie podejmę się nawet tego.

— To nie będzie chyba konieczne — powiedział Zygfryd, tym razem z głębokim namysłem. — Mam mianowicie przykre przecucie, że Tomasz już sam domyślił się, jaką z nim prowadzą grę. Ale nie przejmuję się tym, oficjalnie wcale nie chce o tym wiedzieć. To nie może go odwieść od decyzji, którą już podjął.

— O Boże! — jęknęła uszczęśliwiona babcia Klementyna. — A jeszcze lepiej: do ciężkiego diabła! Ależ to piękne! Obaj jesteście szczywanymi, nieludzko podstępными łotrami. Przyjaźnić się z wami to po prostu rozkosz. Jestem całym sercem po waszej stronie! Mogę się tylko spodziewać, że nie skręcicie sobie przy tej okazji karków. A gdyby się tak stało, będę was gorzko oplakiwała.

— Całkiem niepotrzebnie, matko Klementyno! To, co myśmy przeżyli wspólnie z Tomaszem, to po prostu zeszloroczny śnieg w porównaniu z tym, co nas może jeszcze spotkać.

Siódme interludium

Jak zaczęli uprzątać ze stołu

Wszystko wskazywało na to, że w obozie jenieckim o pięciocyfrowym numerze, który to obóz na wniosek komisarza został przez komendanta opatrzony nazwą „Czerwona Przyszłość”, zupełnie przyzwoicie działa „zakład fryzjerski”. Typowe strzyżenie wykonywano tam szybko i na całkiem niezłym poziomie. Zarazem przestrzegano zasad higieny.

Sonnenbergowi i Brandinowi wszystko mogłoby się ułożyć bardzo pomyślnie. Bez przerwy mieli zajęcie, a klientela była im wdzięczna. Jednakże tak zwane wewnętrzne kierownictwo obozu znów wmieszało się poważnie w ich sprawy. Któryś z tej grupy, najczęściej Vesper, zajmował się organizacją ruchu w zakładzie. On to postanawiał, kiedy kogo należy strzyć. W tym celu wydawał numerowane kupony na podstawie własnego wykazu.

Drugi spośród nich, przeważnie buhajowaty Bachmann, po prostu panoszył się w budzie fryzjerskiej. Pilnował tam spokoju i porządku oraz odpowiedniego, jego zdaniem, tempa strzyżenia. Służyła mu do tego pięciominutowa klepsydra, którą musiał mu zmajstrować któryś z kolegów z szyjek od butelek. Jego główną czynnością było jednakże pobieranie należności, czego dokonywał skrupulatnie przy użyciu puszek po konserwach i kartonowych pudełek.

Sierżant Eichler pojawiał się tylko od czasu do czasu w celu przeprowadzenia dorywczej kontroli. Zadawał też zapracowanym fryzjerom pytania, wcale nie tak bardzo znów nieuprzejme:

— No, chłopcy, macie jakieś pomysły? A może skargi? Nie macie, co? Nie jesteście aż tacy głupi.

Widać było, że odpowiada mu milczenie Zygfyryda, które przyjmował jako oznakę szacunku. Tomasza prawie nie zauważał. Wychodził zadowolony.

Bachmann, który pozostawał razem z obydwoma przyjaciółmi, uśmiechał się z zadowoleniem. Co godzina skręcał sobie papierosa, a w przerwach opychał się chlebem i udzielał im rad.

— Głębszy kieliszek wódki też nie byłby od rzeczy, koledzy. Powin niście ją zorganizować przy okazji wyczesywania Iwanom z włosów ich tłustych wszy. Czasem poniewierają się u nich napoczęte butelki. Jeśli więc chcecie naszemu Eichlerowi i mnie zrobić szczególną przyjemność...

— Nie chcemy — powiedział Sonnenberg. Ostatni „klient” już odszedł, słońce zachodziło. Zaraz miało się odbyć codzienne rozliczenie, przy którym dostawali tylko jakieś ochłapy.

Tym razem poborca należności przewidział dla nich cztery kromki chleba, prawie dziesięć gramów tytoniu, dwa małe kartofle i jednego chudego szczura, co uważał za dowód wspaniałomyślności. Teraz jednak przysunął to wszystko z powrotem do siebie, spoglądając na Sonnenberga i kręcąc ze zdziwieniem głową.

— Co się z tobą dzieje, człowieku? Nie podobają ci się nasze metody?

— Już od dawna mi się nie podobają, Bachmann!

— Czyś ty chory, Sonnenberg? — zapytał kpiąco. — Nie wyglądasz na takiego. A może uderzyła ci na mózg mania wielkości? Uważaj, bo to nie jest bezpieczne, przynajmniej kiedy masz do czynienia ze mną!

Brandin odsunął się ostrożnie na bok pod piec. Stojąc tam, znajdował się już poza polem widzenia mordercy Bachmanna. Ten zważał tylko na Sonnenberga, który stał teraz przed nim wyprostowany.

— Tak dalej być nie może, Bachmann. My tu pracujemy, a wy bierzecie zapłatę. Nie tylko nie macie do tego prawa, ale bierzecie za dużo! Żądam dla nas dwóch trzecich od wszystkich przychodów, jakie z tego macie.

— Chyba się z choinki urwałeś, ty dupku! — Byczysko Bachmann od razu zrozumiał, na co się zanosí, i zareagował zgodnie z zasadą wyrażoną przez Eichlera: dławić w zarodku! — Zwykle łazisz po obozie jak obity pies, a nagle zebrało ci się na odwagę i bezczelnie pyskujesz! Akurat mnie, Sonnenberg, ty śmierdzielu. Nie ze mną ta zabawa, durniu! — I uderzył Sonnenberga prosto w środek twarzy. Raz po raz walił w nią swoją potężną dłoń. Zygryd zataczał się, krwawiąc obficie.

Nagle do akcji wkroczył Tomasz Brandin. Nie zwlekając, chwycił spod pieca najgrubszy, najdłuższy i najbardziej sękaty kawał drewna i grzmotnął nim z trzaskiem w czaszkę Bachmanna. Jeden cios wystarczył — zwinął się z charkotem. Był martwy.

— No widzisz — rzekł Zygryd Sonnenberg, ocierając krew ciekącą z nosa i kącików ust. — Był wściekle pazerny! Teraz ma za swoje!

W nocy wspólnie, co zupełnie zrozumiale, wywlekli trupa na dwór. Zaciągnęli go na wzgórek, gdzie codziennie składano „ubytki”. Było to blisko głównej bramy i zaledwie kilka kroków od ich baraku. Ten trup był już trzynasty tej nocy.

Dagmara, córka Zygfyryda i Ewy-Ingeborgi, w kuchni domu Sonnenbergów zażądała od Tomasza Brandina, ażeby się wytłumaczył. On akuratnie wziął sobie dzbanek z kawą. Dagmara zdecydowanym gestem odebrała mu go i odstawiła z powrotem na palenisko.

— Cóż ty sobie właściwie myślisz? Naprawdę chcesz się przenieść do Wernersów? — prychnęła na niego jak kotka. — Nie możesz zrobić czegoś podobnego ojcu ani nam, ani mnie! Kompletnie zwariowałaś?

— Usiądźmy — zaproponował Tomasz — i omówmy wszystko punkt po punkcie. Gdybyś ty, Dagmaro, nie odszukała mnie, sam prosiłbym cię o rozmowę. Ja też uważam, że jest ona konieczna.

— Nie próbuj mnie przypadkiem zagadać! — zawołała podejrzliwie. A następnie dorzuciła cichutko, prawie niedosłyszalnie: — Bardzo cię proszę, Tomaszu, nie rób tego.

Ostatnie słowa nie uszły jego uwagi. Dlatego nadzwyczaj uprzejmie poprosił ją, ażeby się przysiadła, i wypła wraz z nim kawę. Zgodziła się. Spojrzała przy tym wymownie na niego.

— Słucham cię!

Na to on rozważnie rozpoczął wywód.

— Zatem punkt po punkcie, Dagmaro! Zacznijmy od twego ojca, którego zapewne bardzo kochasz. Tak powinno być. Musisz sobie też zdać sprawę z tego, że twój ojciec i ja jesteśmy przyjaciółmi. Staliśmy się nimi w okolicznościach najcięższych i najstraszliwszych, jakie można sobie wyobrazić. Pozostaniemy więc nimi do końca życia!

— Ależ to tylko pusta gadanina! — rozgniewała się. — Znam mnóstwo podobnych zapewnień! Pomyśl tylko: wierność do grobowej deski żonie, ojczyźnie, współtowarzyszom! Przecież to wszystko bzdura, człowieku! Bzdurna gra na uczuciach!

— Nie zawsze, Dagmaro. Przynajmniej nie w wypadku twego ojca i moim!

Roześmiała się drwiąco.

— Tomaszu, to, co się tu dzieje, jest po prostu absurdalne! Ty przyczepiasz się do Wernersów, od których ojcu zbiera się na wymioty. A tobie podobno też, przecież dość często tak twierdziłeś. I właśnie ty rzucasz się na Izoldę, na tę krzepką kobyłę! Czy to ma być miłość?

— Miłość — powiedział Brandin z głębokim zastanowieniem, patrząc na nią wymownie — zawsze mi się jawiła jako uczucie, które w życiu ludzkim może się wydarzyć tylko jeden jedyny raz.

— O kim właściwie mówisz? — zapytała, słuchając w podnieceniu.

— O tobie — odpowiedział jej po prostu.

Dagmara poczuła się jak wśród różowych obłoków. Zabrakło jej tchu. Z trudem zdołała wymówić:

— O mnie?

— Tylko o tobie.

Natychmiast zebrała wszystkie siły. Odważnie zawołała:

— Co to ma właściwie znaczyć? Znów jakiś zwodniczy manewr? Jesteś dokładnie taki sam, jak mój ojciec. On bez skrupowania idzie na większe ustępstwa, które go nic nie kosztują, jeżeli może choćby odrobinę na tym zyskać. Postępujesz wobec mnie tak samo, Tomaszu?

— Nic podobnego nie zamyślam, Dagmaro — zapewnił ją z rzadko u niego spotykaną powagą. — Jeden raz przynajmniej chciałem wypowiedzieć to, co naprawdę czuję do ciebie. Ale ty wcale nie musiałaś przyjmować tego do wiadomości. Możesz się zresztą pośmiać z tego albo szybko o wszystkim zapomnieć. Przynajmniej powiedziałem ci to, co musiałem powiedzieć.

— Twierdzisz, że mnie kochasz?

— Tak.

— A jeżeli ja ci powiem, że także Kocham Ciebie, Tomaszu, to co wtedy?

— Wtedy poczuję się bardzo szczęśliwy, Dagmaro, i nabiorę ogromnej wiary w pomyślną przyszłość. Niech tylko załatwię to wszystko, co mnie jeszcze czeka, a co oboje musimy mieć za sobą.

— Ależ to przecież nonsens, Tomaszu! Jeżeli prawdą jest, że mnie kochasz, czemu zresztą chętnie chciałabym wierzyć, to nie widzę żadnych trudności. Ojciec, jako twój przyjaciel, z wszelką pewnością powiedziałby „tak”. Na pewno udałoby mu się też uzyskać zgodę mojej matki. A ja sama zrobię po prostu wszystko, by usunąć z drogi wszelkie przeszkody. Gdzie masz problemy nie do pokonania? Ja nie widzę żadnych.

— Niestety, Dagmaro, nie wszystko jest takie proste — wyznał z pewnym ociąganiem Tomasz. — Nie idzie już tylko o nas dwoje. W grę wchodzi całkiem inne sprawy, a wszystkie je trzeba uwzględnić: wielostronne powiązania, wymuszone sytuacje, wątpliwości...

— Mnie to nie dotyczy, Tomaszu! Chyba mówisz o sobie? Chcesz przez to powiedzieć, że dla nas jest już za późno?

— Tego właśnie nie chciałem, Dagmaro — usiłował jej wytłumaczyć. — Chciałem raczej dać ci do zrozumienia, że musimy jeszcze poczekać jakiś czas. Może jeszcze tylko parę lat, powiedzmy trzy, najwyżej pięć. Wtedy z pewnością wszystko już będzie wyjaśnione. I wtedy wreszcie nadejdzie nasza chwila, Dagmaro.

— Człowieku! Możesz sobie darować podobne obiecanki! Nie jestem przecież małą dziewczynką! — oburzyła się szczerze. — Albo mnie kochasz, więc okaż to zaraz, albo nie kochasz, więc nie próbuj głupio zawracać mi głowy po to, byś sam mógł bez przeszkód załatwiać swoje sprawy seksualne. Nie jestem ostatecznie byle podrastającą siksą, z którą można sobie poigrać według upodobania. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę!

John Frankfurter poprosił o filiżankę herbaty swoją przyjaciółkę, Erykę Sonnenberg, siostrę Zygfyryda, którą w Rosenburgu z przymrużeniem oka nazywano jego „towarzyszką życia”. Było godne uwagi, że chodziło mu o herbatę indyjską, gdyż domagał się tego napoju tylko wtedy, kiedy uważał, że musi jakąś sprawę dokładnie przemyśleć, ażeby wyrobić sobie o niej zdanie.

Mocno pachnący napar znalazł się wkrótce na jego biurku. Było ono tak zarzucone książkami, dokumentami i notatkami, że z trudem znalazło się miejsce na filiżankę.

— Usiądź przy mnie — poprosił Erykę.

Uczyniła to natychmiast.

— Martwisz się czymś?

— Właściwie zawsze się czymś martwię, moja kochana — wyznał, uśmiechając się z uległością. — To przypuszczalnie cecha mojego żydowskiego narodu. Przez całe tysiąclecia byliśmy prześladowani, toteż i ja bardzo często doznaję uczucia, że muszę uciekać, i to jak najdalej.

— Tym razem jednak ze mną! — Eryka rozumiała go całkowicie. — Ale co cię szczególnie martwi tym razem? Może te dokumenty mego brata, nad którymi siedziałeś przez kilka ostatnich dni?

— I tak, i nie — odparł z wahaniem John. — My, Żydzi, mamy, powinienem powiedzieć „niestety mamy”, sporo fantazji. W tym wypadku nasuwa mi się przypuszczenie, że przedsięwzięcie twojego brata

może w przyszłości przynosić zdumiewająco duży zysk. Ale ponieważ z góry nie sposób nic dokładnie obliczyć, to może mamy do czynienia tylko z ryzykowną, bardzo niepewną spekulacją.

Eryka była gotowa udowodnić mu, że bez zastrzeżeń stoi po jego stronie.

— Masz wątpliwości, czy powinieneś się wdawać w interesy mego brata. W takim razie daj temu spokój, Johnie! Zresztą jakkolwiek postąpisz, zawsze cię poprę.

— A ja — wyznał jej — najchętniej już dzisiaj wyjechałbym z tobą do Ameryki. Nawet nie mając pojęcia, jakie możliwości otworzą się tam przed nami. Zaczynam się coraz bardziej obawiać tych Niemiec. Ale w Niemczech mam ciebie! Wiem od ciebie, jak bardzo kochasz brata. Wolałabyś chyba, ażeby mu pomógł, prawda?

— Tak, Johnie. Ale nie chcę, by ci to sprawiło jakikolwiek kłopot. A zwłaszcza nie chcę, by zepsuło nasz wzajemny stosunek.

Ujął ją delikatnie za rękę.

— Nie wyobrażam sobie tego, moja ukochana. Tym bardziej że bardzo lubię także twego brata. On znów, zapewne ze względu na ciebie, zawsze odnosił się do mnie przyjaźnie i absolutnie bez żadnych przesądów.

— Pomimo to, jak mi się wydaje, obawiasz się, byś się na nim nie zawiódł.

— Całkowicie wykluczyć tego nie sposób, Eryko. Dotychczas miałem z nim styczność tylko jako z twoim kochanym bratem. Ale teraz stanę twarzą w twarz z nim jako handlowcem. Chociaż w tym charakterze, muszę przyznać, jest on kimś naprawdę solidnym, to jednak trudno mi się oprzeć wrażeniu, że mam do czynienia z zuchwałym awanturnikiem. Jest przy tym obdarzony wszelkimi cechami, które w naszych czasach zapewniają sukces: energią, wytrwałością, stanowczością, pomysłowością i niestety wyraźną bezwzględnością.

— Taki nie był dla mnie nigdy — zaoponowała speszona Eryka. — Pomimo pewnych zastrzeżeń jest to człowiek miły, czuły i życzliwy. A przy tym mój brat.

— Pozostanie nim dla ciebie nadal. — John Frankfurter już niejedną raz zastanawiał się nad tym rodzinnym układem. — Ale poza tym mógł się przecież pod pewnymi względami zmienić.

— Być może przez to, co musiał wycierpieć na wojnie i w niewoli.

— To bardzo możliwe, Eryko. Musiał przejść przez piekło. Na pewno męczyli go, głodzili i poniewierali nim podobnie jak wieloma innymi. Decydujące lata, w ciągu których kształtował się jako człowiek dojrzały, zużył na walkę o zwyczajne przetrwanie.

— Nigdy nie mówił o tym ani słowa — stwierdziła ze zdziwieniem Eryka. — Skąd możesz wiedzieć?

— Do tego nie trzeba mieć specjalnie bujnej wyobraźni. Był przecież świadkiem dogorywania totalnej wojny, a potem, w obozie jenieckim, leżał wśród martwych, konających i głodujących. Na Boga, ten kto to wszystko przetrwał, nie może być zbyt delikatny.

— Uważasz, że Zygryd jest jednym z tego gatunku?

— Obawiam się, że z nim jest chyba jeszcze gorzej. Widzisz, po wojnie wszyscy starali się zapomnieć o swoich przeżyciach. Niejednemu udało się pozbyć wszelkich wspomnień o przeszłości. W ten sposób ludzie zakłamanie niejako uśmiercili własną pamięć. Zygryd tego nie zrobił.

— Mój Boże! Jeśli tak jest naprawdę, to czy nie zasługuje on na najgłębsze politowanie?

— Niekoniecznie. Należy się raczej obawiać, że podobnie jak jego przyjaciel Brandin uznał za konieczne ze wszystkich spadających na niego klęsk wyciągać przewrotne wnioski. Na przykład ten, zgodnie z którym ludzie stanowią tylko materiał. A więc skazani są na wyzysk, nadają się na nawóz, na rzeźne bydło, które można gnać wszędzie, na wszelkie wyobrażalne pola bitew. Lecz tacy Sonnenbergowie i Brandinowie sami nie chcą być rzeźnym bydłem. Dlatego też usiłują usunąć ze swojej drogi każdą przeszkodę, jaką tylko spostrzegą. Można by rzec, że nie chcąc sami stać się trupami, idą po trupach.

— Wyjedźmy stąd, Johnie! — odezwała się cichutko Eryka.

— Przecież tego nie chcesz — odpowiedział jej czule — bo po prostu nie możesz uwierzyć w to, o czym ci mówiłem. Ja sam także życzylibym sobie, ażeby to nie było prawdą. Nie odczuwam też niechęci do oferty twego brata.

— Nie możesz jej przyjąć, Johnie. Nie rób tego, zwłaszcza ze względu na mnie.

— Nie są ważne motywy, kochana Eryko. Być może jest wśród nich moja nienasycona ciekawość tych możliwości, jakie stwarzają nam dzisiejsze Niemcy.

— Johnie, czy nie okaże się, że jest to niebezpieczna przygoda?

— Nie myślę — zapewnił. — Zwłaszcza jeśli będę obstawał przy bardzo jasnych warunkach, które muszą się znaleźć w umowie. Będę przy tym żądał pełnej szczerości. Jeżeli Zygfyrd wyrazi zgodę, pójdę na współpracę z nim. Ale jedynie pod tym warunkiem, moja kochana Eryko. Ja też czasem bywam lekkomyślny. Na przykład to moje ciągłe poszukiwanie kraju nieograniczonych możliwości. Za taki kraj uważano dotychczas Stany Zjednoczone. Ale podobnie niezwykle twór kryje się chyba też gdzieś tu, przynajmniej w sferze myśli i ducha. A to mnie pociąga nieodparcie.

Konrad Kahlers miał prawo uważać, że swoimi sukcesami zdystansował wszystkich burmistrzów Rosenburga-Nowego Osiedla. Kilkakrotnie mu to przyznawano, nawet oficjalnie, na łamach miejscowego „Dziennika”. Teraz oto ponownie zaprosił do siebie przyjaciela z czasów młodości, Zygfylda Sonnenberga, fryzjera i przemysłowca, coraz bardziej wpływowego obywatela jego gminy.

„Całkiem prywatne” spotkanie odbyło się naprzeciwko biura burmistrza i urzędu miejskiego w mieszkaniu Kahlersa. Nazywał on je „norą”—zapewne żartobliwie. Bardzo mu zależało na tym, by uważano, że jest dowcipny, a w ogóle — że jest „swoim człowiekiem”.

„Norę” stanowiło trzypokojowe mieszkanie na parterze kamienicy przy rynku, z wejściem od frontu i tylnymi drzwiami od kuchni. Z pewnością nie należało do tanich, a urządzone było bez wyboru prawie wszystkim, co wówczas było do kupienia. Zygfyrd bez skrupowania obejrzał je, zajrzał nawet do sypialni.

Zobaczył tam szerokie francuskie łóżko. Było mocno skotłowane, lecz pościel wydawała się dość czysta. Futrzak, zeszyty z kilku owczych skór, leżał na podłodze.

W tym to pokoju i na łóżku, które w nim stało, Zygfyrd bardzo dokładnie wyobrazził sobie swoją żonę Ewę-Ingeborgę. Zdziwił go tylko brak śladów deklarowanego przez nią zamiłowania do porządku.

— Zatem wciąż jeszcze żyjesz tak jak dawniej — stwierdził Sonnenberg.

— Niestety, nie mam jeszcze rodziny, czego bardzo żałuję — zgodził się z nim Kahlers. — Zazwyczaj przesiaduję w swoim biurze, a często

też w salach konferencyjnych i innych lokalach. Dwa razy w tygodniu po trzy lub cztery godziny mieszkaniem tym zajmuje się gospodyni.

— Masz tu więc raczej ustronne schronienie — odezwał się rozmyślnie Zygfryd. — W tej dziurze możesz czuć się nieskrępowany, możesz tu wyprawiać, co ci się podoba i z kim się podoba.

— Nie zaprzataj sobie głowy podobnymi przypuszczeniami — poradził mu z pobłażliwością Kahlers. — Pod jednym względem zresztą masz rację. Nie obawiaj się, że ktoś nam w tym mieszkaniu przeszkodzi. Nikt tu nas nie może ani podglądać, ani podsłuchiwać i właśnie dlatego cię tu zaprosiłem.

Zasiedli w salonie w ciężkich, skórą obitych fotelach, stojących tuż obok siebie. Kahlers zaproponował piwo rosenburskie. Udziały w browarze: firma założycielska — pięćdziesiąt jeden procent, Werners — trzydzieści, Kahlers — dziewiętnaście. Piwo było już jako tako ochłodzone. Spróbowali bez szczególnej przyjemności, nie tylko z powodu mizernej jakości napoju.

— No, to jazda! — powiedział niecierpliwie Zygfryd. — O czym masz zamiar ze mną pogadać?

— Powiedzmy, o wynikach obliczeń twego szwagra, Johna Frankfurtem, dotyczących twoich interesów. Znam je, uzyskałem do nich dostęp.

— Od kogo?

— Od kogóż by? Od Ewy-Ingeborgi, twojej żony. Ona wie, czego doszukał się Frankfurter, i w zaufaniu powiedziała mi o tym. Czyżby cię to zaniepokoiło? Nie?

— Dlaczego miałoby to mnie niepokoić? — Zygfryd wpatrywał się uważnie w swoją szklankę z piwem, które wydało mu się jakieś niedowarzone. — Ostatecznie sam cię prosiłem, abys służył Ewie-Ingebordze radą w sprawach finansowych.

— Toteż bardzo się o to starałem. Ma się rozumieć, dokładnie według twojej propozycji.

; — Bezskutecznie?

— Prawie bez skutku, trzeba przyznać. Niestety, Zygfrydzie.

— Nie mogłeś jej przekonać, Konradzie, czy też nie chciałeś?

— Co za pytanie, mój drogi! — Kahlers sprawiał wrażenie zmartwionego. — Zrobiłem wszystko, co było możliwe. Ale ty znasz przecież Ewę-Ingeborgę. Jest bardzo nieufna i nadzwyczaj ostrożna. Nauczyła się tego przypuszczalnie od twojej matki Emmy, naszej drogiej nieboszczki.

— A ty musiałeś mieć to na względzie, prawda?

— Sam wiesz, Zygfydzie — przemówił Kahlers wprost uroczyście — jak bardzo czuję się zobowiązany wobec ciebie! Ale tak samo wobec Ewy-Ingeborgi! Dlatego też nie mogłem po prostu odmówić, kiedy mnie o to usilnie prosiła, niemal błagała.

— O co mianowicie?

— No, ażebym jej okazał pomoc, reprezentował jej interesy. Jej osobiste interesy, że się tak wyrażę.

Zygfyd pokiwał głową. Od dawna spodziewał się, że stanie się właśnie tak. Dlatego też powiedział teraz nie bez ironii:

— Mam więc od tej chwili uważać, że nosisz się z zamiarem pójścia ręką w rękę z Ewą-Ingeborgą przeciwko mnie?

— Ależ nic podobnego, chłopie! Przecież jestem twoim przyjacielem! Twoim i Ewy-Ingeborgi. Przy tym nie masz mi tego za złe, co sobie bardzo cenię. Ona jednak upiera się przy pewnym rozstrzygnięciu, które wprawia mnie w niemałą rozterkę. Sam to rozumiesz.

Sonnenberg roześmiał się ze złością, z odcieniem pogardy.

— Zatem już postanowiliście to sobie i uzgodniliście między sobą.

— Gdyby kiedykolwiek miały wyniknąć trudności — powiedział Kahlers tonem niemal ostrzeżenia — to tylko ty możesz ich nas nabawić! Ale jeszcze nie jest zbyt późno, by wszystko ułożyć jak najlepiej. Wystarczy, byś tylko sprzedał Łąki Północne. Możesz za nie dostać milion. Bez żadnego kłopotu!

— A Ewa-Ingeborga weźmie z tego pięćset tysięcy! Wspólnie z tobą.

— Dobrze by było, gdybyś się nie wykrecał od spełnienia żądań Ewy-Ingeborgi. — Kahlers splótł dłonie. — Zresztą nie możesz się wykreścić, bo ona obstaje przy swoim. Licz się z jej zdeterminowaniem.

— Iw dodatku z twoją przebiegłością! Bo ty chcesz czerpać zysk w każdym wypadku: jeśli nie wspólnie ze mną, to wspólnie z Ewą-Ingeborgą. Ponieważ ona, według ciebie, siedzi na dłuższym ramieniu dźwigni. Dlatego też zapewne uważacie, że jesteście w stanie położyć mnie na łopatkę. No, to spróbujcie!

Jego zdecydowana pewność siebie zaalarmowała Kahlersa. Na razie zareagował dość ostro.

— Zdaje ci się, Zygfydzie, że możesz sobie pozwolić na wie-

le? — Lecz momentalnie dodał już spokojnie: — Jest to ostatnia próba przywołania ciebie do rozsądku. Wygląda na to, że wdałeś się w ogromnie niepewne spekulacje, i nie jest wykluczone, że w ich wyniku stracisz cały majątek razem z udziałem Ewy-Ingeborgi.

— A wy chcecie mi w tym przeszkodzić, oboje, mocno ze sobą związani? To ostatnie przypuszczalnie niedługo już przestanie być tajemnicą?

— Na Boga, Zygfyrdzie! Usilnie namawiałem Ewę-Ingeborgę, błagałem ją, ażeby była wyrozumiała, ale nadaremnie. Ona upiera się przy wyraźnym określeniu swego stosunku wobec mnie, a także wobec ciebie.

— Zatem chce się rozwieść? — Zygfyrd roześmiał się drwiąco. — Ażeby odtąd żyć z tobą? Razem z pięćdziesięcioprocentowym udziałem w Łąkach Północnych? Człowieku, Kahlers, przyjacielu, czy ty naprawdę uważasz, że oboje możecie sobie pozwolić wobec mnie na coś podobnego?

Izolda Werners przyszła w odwiedziny do swego narzeczonego, Tomasza Brandina, aktualnie najbliższego współpracownika swego ojca. Brandin siedział w biurze, które mu urządzono w zamku Rosenburg. Mieściło się ono w jednym z pięciu pokoi, przewidzianych dla przyszłej pary małżeńskiej oraz ich dziecka.

Pierwszy, zamieszkały już pokój, był dość ciasny. Okna przypominały otwory strzelnicze, przy potężnej grubości ścianach stały, na razie puste, półki na akta. Pośrodku pokoju rozpiął się duży, niezdamny stół, przy nim stało obszerne krzesło.

Izolda tanecznym krokiem, przypominającym stąpanie kobyły, zbliżyła się i z braku innych możliwości usiadła na biurku na wprost narzeczonego. Na papierach, jakie tam leżały — notatkach, rachunkach, projektach, szkicach. Całą tę górę miłościwa panienska sprasowała wspaniałą obfitością swoich kształtów. Tomasz Brandin wydawał się nie dostrzegać tego.

Położył dłonie na potężnych, barokowo rozłożystych, lecz zarazem ponętnych biodrach Izoldy. Przedstawiały one widok, który mógłby wprawić w zdumienie samego Piotra Pawła Rubensa. A Tomasz ciekawie i ostrożnie dotykał jej wystającego brzucha.

— Jak się czuje twoje dziecko? — zapytał ją.

— Nasze dziecko — odpowiedziała, poprawiając go z naciskiem" — czuje się dobrze. Rośnie i rozwija się.

— Zdaje mi się, że dziecko jest już całkiem pokaźne, chociaż jest to jeszcze dość wczesne stadium — oznajmił ostrożnie.

— Wspaniale, Tomaszu! — zawołała niezwykle radośnie, z wyraźnym optymizmem. — Spodziewałeś się czego innego po nas obojgu?

Pochyliła się nad nim, ażeby go pocałować, i o mały figiel nie przewróciła się na niego. Tylko z pewnym wysiłkiem udało mu się utrzymać ją w stanie równowagi. Uszczęśliwiona, przytuliła się do niego.

Nie zdążyli wszakże ani wykorzystać tego biurka niezgodnie z jego przeznaczeniem jako legowiska, ani osunąć się razem na starą dębową posadzkę. Bo oto rozległo się stukanie do drzwi, które otworzyły się natychmiast, bez czekania na zaproszenie do wejścia. Ukazał się generał.

Hałaśliwie zrzedząc, ale demonstrując jednocześnie swoją wyrozumiałość, krzyczał:

— Dzieci! Cóż to oglądają moje stare oczy? Gruchacie sobie jak para turkawek, co? Nie inaczej. No dobrze, dobrze, wcale wam nie żałuję!

Zachowanie córki i zięcia odczuł jako zbyt swobodne, po nich zaś nie znać było ani śladu zakłopotania. Postanowił wszakże pominąć to milczeniem z uwagi na dobrą partię, jaka kroїła się jego Izoldzie. W istocie, choć tego Brandina trudno było uznać za odpowiedniego pod względem pochodzenia, okazał się jednak zdumiewająco solidny. Wypadało więc przymknąć oczy na jego parantele.

Narzeczeni irytująco opieszale uwalniali się z objęć. Izolda nadal siedziała na biurku. Tomasz wstał z krzesła, jedyne w tym pokoju, i podsunął je Wernersowi. Werners usiadł, wyciągnął nogi przed siebie i mrugając oczyma patrzył na „swoich kochanych”, jak zwykł ostatnio nazywać tę parę.

— Jak powiedziałem — przemówił ze sztucznym ożywieniem — nie ma rzeczy, której bym wam pożałował! Jednakże, jeśli mogę was o to prosić, używajcie wszystkiego, że się tak wyrażę, w odpowiednich granicach.

— W jakich? — Tomasz Brandin oparł się o półkę na dokumenty.

Stosowne wyjaśnienie usłyszał natychmiast. Werners był widocznie dobrze przygotowany do udzielenia odpowiedzi.

— Chodzi o opiekę, rodzicielską opiekę, zwłaszcza z uwagi na ciebie, Izoldo, moje dziecko.

— Ze mną, ojczy, wszystko jest w najlepszym porządku — zapewniła go Izolda, mrugając jednocześnie do Tomasza.

— Tak sądzisz! — Werners uśmiechnął się do Brandina. — Powinnaś się jednak oszczędzać w tym stanie, moja kochana córeczko. Unikaj wszelkiego zmęczenia, staraj się bardziej odpowiednio odżywiać, odprężać się na spacerach. Wszystko ze względu na dziecko, które ma przyjść na świat. Mogę chyba przypuszczać, że i pan jest tego samego zdania, mój drogi zięciu?

— W pewnym sensie całkowicie — oświadczył Brandin z zastanowieniem — ponieważ przyszła matka koniecznie powinna przestrzegać na co dzień pewnych zasad życia, które zachować wcale nie jest łatwo. Ale na to jest jeszcze zbyt wcześnie.

— Nie powiedziałbym! — Werners zaczął szerzej wyklądać swoje poglądy. — W ciągu życia, również jako żołnierz, nauczyłem się świadomie zapobiegać i zawsze na czas układać plany! Podobnie musi być też w tym wypadku. Ty, kochana Izoldo, na pewno chcesz stać się przykładną żoną i matką, co mnie osobiście uszczęśliwiłoby, a pana Brandina niewątpliwie ucieszyło.

Werners mógł bez końca pozostawać przy swoim ulubionym wówczas temacie. Traktował o nim z wciąż nowych punktów widzenia — obyczajności, porządku, obowiązkowości, poczucia przynależności. Wszystko to dotyczyło rodziny! Jego rodziny.

Po jego półgodzinnej, niemal uroczystej wygłoszonej przemowie odeszła Izolda. Wyglądała na bardzo wyczerpaną i oświadczyła, zgodnie zresztą ze wskazówką ojca, że pragnie odbyć odprężający spacer. Nawiedzona jednak gwałtownym głodem, od razu udała się do kuchni. Obaj panowie pozostali.

Werners zaraz zmienił temat rozmowy, zadając Brandinowi pytanie:

— A jak tam, mój drogi, przedstawiają się nasze interesy?

— Nie tak źle, ale też wcale znów nie tak nadzwyczaj wspaniale — rzeczowo odpowiedział Tomasz. Podszedł do biurka i wziął do ręki kilka przygotowanych, a przez Izoldę sprasowanych dokumentów. Następnie zaczął referować. — Kamieniołom dostarcza coraz więcej materiału, ale dochody nie rosną odpowiednio do tego. Następnie zakład ogrodnicy. Tam zwiększa się zapotrzebowanie na pracowników i daje się odczuć niewłaściwe wykorzystanie siły roboczej, co na dłuższą metę musi doprowadzić do dalszych strat. Dalej, pozyskanie drewna

w naszych lasach. Również to nie jest dostatecznie opłacalne, przynajmniej przez dłuższy czas, ponieważ nie nadąża się z zalesianiem.

— Rozumiem! — potwierdził Werners. Miotał się pomiędzy mocnym niezadowoleniem a uznaniem dla rodzaju rozpoznania. Ten Brandin bowiem, jak wcześniej już przeczuwał Werners, cechował się ogromną zdolnością przewidywania. Nawet mając bardzo niewiele czasu, mógłby wykonywać pracę o najwyższej wartości, na przykład gdzieś w sztabie generalnym pod kierownictwem Wernersa.

— Czy zdążył się pan, panie Brandin, zorientować, co jest główną przyczyną tego, że zakłady te nie funkcjonują należycie?

— Tak! Ich organizacja jest oczywiście właściwa. Widoczne jest też pewne planowanie, ogarniające całość. Brak jednak systematycznej kontroli.

— Brawo! — zawołał z uznaniem Werners. — Trafił pan dokładnie w sedno: brak systematycznego nadzoru!

— Którego oczekiwałem zresztą właśnie od pana, panie Werners.

— No, pod tym względem nie ma pan już racji, przynajmniej całkowitej — oświadczył generał. — Pan to zauważył, a ja otwarcie potwierdzam pańskie spostrzeżenie, ale tylko ten jeden jedyny raz. Niech pan zatem nie próbuje kiedykolwiek powoływać się na to, że przyznałem panu rację. Jest to, panie Brandin, nasza nader osobista rozmowa, przy tym całkowicie poufna. Obchodzi ona tylko nas obu.

— Nie muszę się więc obawiać, panie Werners, że całe przedsięwzięcie może się panu wymknąć z rąk?

— Ależ nie, człowieku! — Werners bronił się przed wyciągnięciem stosownych wniosków z sytuacji. — Ostrzegam pana. Niech pan nie przypuszcza, że mogę stracić orientację w tym wszystkim. Nikt mnie nie potrafi wydymać! — Była to wyrazista żołnierska niemczyzna, nierzadko pojawiająca się w ustach generałów z doświadczeniem frontowym. — Bądź co bądź nie jestem już jednak taki młody. Zdrowie mi poważnie szwankuje, co jest pośrednim skutkiem wojny. Rozumie pan.

Brandin rozumiał, co powoduje generałem.

— I dlatego jestem panu potrzebny? — zapytał bez skrępowania.

— No tak, ktoś taki jak pan jest u mnie mile widziany — powiedział Werners, zdobywając się ostatecznie na szczerłość. — Rad jestem, że

pan już należy do mojej rodziny, na skutek czego pan naprawdę nie powinien ponieść uszczerbku.

To właśnie chciał usłyszeć Tomasz Brandin. Już nie zwlekając, przedstawił swoje propozycje. Były to żądania dość jednoznaczne.

— Wyobrażam to sobie mniej więcej tak, panie Werners. Stałe pobory miesięczne dla mnie, na razie na okres jednego roku. Dalsza prolongata za obopólną zgodą. Poza tym powinien do tego dojść udział w całym czystym zysku, osiągniętym w czasie trwania umowy.

— W jakiej wysokości? — spytał bezdźwięcznie Werners.

— Dwadzieścia pięć procent — oświadczył Brandin, nie krępując się wcale.

— Bardzo dużo, mój drogi, bardzo dużo!

— Niekoniecznie. W każdym razie niewiele w wypadku tak różnorodnych przedsięwzięć, które właściwie trzeba najpierw doprowadzić do porządku. — Potem równie przyjaznym tonem dorzucił: — Bądź co bądź muszę się zatroszczyć o swoją przyszłą rodzinę, to znaczy o słuszne prawa mojej żony i o dziecko, którym trzeba się zaopiekować. Byłby pan gotów zaakceptować moje propozycje?

— No tak, dłaczegóż by właściwie nie — mruknął tym razem Werners i złożył dłonie na piersi w okolicy serca. Długo jeszcze jednak nie miało mu ono odmawiać posłuszeństwa. — Mówi pan o czystym zysku. Jest pan pewien, że może go pan osiągnąć?

— Całkiem pewien.

Werners zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Wie pan bardzo dobrze, że tu, w naszym Rosenburgu, jest tylko jedna osoba, która może nam sprawić poważne kłopoty. Zdaje mi się jednak, że, jak sam pan zresztą twierdzi, nie uczyni tego! Ten Zygfryd Sonnenberg to podobno pański przyjaciel.

— Sonnenberg jest moim przyjacielem nie podobno, ale naprawdę!

— Nawet po wszystkich zmianach, które ostatnio zaszły? Także teraz, kiedy pan jest związany ze mną, z nami? — Zobaczył, że Brandin w zamyśleniu kiwa głową. — Czy można by nawet przyjąć, że on jest skłonny współpracować ze mną lub z nami?

— Niekoniecznie pod każdym względem, panie Werners. Niech pan to ma na uwadze! Ale w sferze interesów jak najbardziej. Zygfryd Sonnenberg z chwilą gdy zaczyna liczyć, przestaje ulegać jakimkolwiek sentymentom.

— Co do tego, jak sądzę, ma pan rację — przyznał Werners. — Może on być niesłuchanie przekorny, zwłaszcza w dziedzinie polityki, ale ma pierwszorzędnego nosa do interesów. A ponieważ pan ma właśnie zamiar wspólnie ze mną skutecznie się dorabiać, oby się to panu udało, zatem wszystko zapowiada się całkiem obiecująco. Może powiedzie nam się także z fabryką cementu, którą postanowiłem zbudować. Czy moglibyśmy ją tu postawić?

— Tak jest, możemy — zabrzmiało to prawie tak, jakby Tomasz Brandin zawołał „na rozkaz”. Tak też mylnie zinterpretował to generał.

— Sądzi pan zatem, że projekt ten da się zrealizować?

— Oczywiście! Tym bardziej że dzięki pańskim doskonałym koneksjom pewne jest uzyskanie zasiłku władz krajowych. Pewny jest też poważny udział gminy. Musielibyśmy to jednak odpowiednio opłacić w dowód uznania. Mam na myśli Kahlersa, prawda?

— To po prostu wspaniały człowiek! — potwierdził Werners.

— Jaki udział dla niego?

— Powinniśmy się w tym wypadku okazać odpowiednio hojni, sądzę. Pan zapewne też tak uważa.

— Najwyżej dwadzieścia procent, a raczej mniej. Musi się pan postarać wytłumaczyć mu to, panie Werners.

— Załatwię to!

— Zatem jesteśmy w znacznej mierze zgodni ze sobą. Na razie.

Zygfryd Sonnenberg spotkał swoją żonę, Ewę-Ihgeborgę, we wspólnie urządzonej łazience, która mieściła się między ich sypialniami. Znajdowały się w niej dwie umywalki, muszla klozetowa, wanna i ogromne lustro. Po obu stronach lustra stały szklane szafki z kosmetykami i lekarstwami — jednymi i drugimi w bogatym wyborze.

W chwili spotkania on miał na sobie granatową wełnianą piżamę. Ona była w nocnej koszuli, bardzo cienkiej, lecz nie przejrzystej, z różowego jedwabiu, spływającej w dół aż do jej drobnych stopek. Zapach kosmetyków marki „Sonnenberg” wypełniał łazienkę.

— Wygląda to tak, jak byśmy się umówili. Przypuszczam, że to tylko przypadek.

— Wciąż jeszcze jesteś bardzo piękna — stwierdził Zygfryd — właściwie dopiero teraz tak naprawdę. Jesteś kobietą cudownie dojrzałą,

mam na myśli tylko fizyczną dojrzałość. Wyrażam ci swój najwyższy I podziw.

— Mam nadzieję, że nic sobie po tym nie obiecujesz! — odezwała się chłodno. Zaczęła czyścić zęby, co, jak uczy doświadczenie, nie działa na mężczyzn zbyt podniecająco. — Tylko nie próbuj zbliżać się, proszę! Za późno na to już od wielu lat.

— Popełniłem zapewne mnóstwo błędów w ciągu życia — powiedział, wyrażając uśmiechem pobłażanie dla samego siebie.

— Mogę ci tylko przytaknąć! — zawołała, po czym zaczęła głośno gulgotać, a on tymczasem przyglądał się w lustrze jej i sobie samemu. — Nie próbuj przypadkiem jeszcze teraz czegoś zmieniać, na przykład pleść trzy po trzy, ażeby uzyskać jakieś ustępstwa. Nie spodziewaj się ich ode mnie. Przejrzałam cię na wylot!

— Słusznie. — Zygfyrd był niemal gotów łagodnym uśmieszkiem potwierdzić wszystkie jej zarzuty, godzić się na każde żądanie. — Muszę przyznać, że cię straciłem. Ale przecież zawsze usiłowaliśmy zachować pewną wspólnotę, moja kochana. Przynajmniej pod względem rodzinno-finansowym, że tak to określe. Spodziewam się, że podtrzymamy ją także teraz! W tej sprawie jestem gotów na wszystko.

Zerknęła na niego zaniepokojona. Ogarnęła ją gwałtowna obawa. Zaraz jednak opanowała się. Uznała bowiem, że odgaduje ukryte zamiary Zygfyryda, jego taktykę zmierzającą do obudzenia wygasłych uczuć, a następnie zaliczenia w poczet własnych zysków tego, co tą drogą osiągnie. Osłabła ze zdenerwowania. Drżąc cała, oparła się o umywalkę.

— Co mi tu pleciesz i o co ci właściwie chodzi? — zawołała porywczo. — Nie staraj się mnie dłużej zagadywać. Nie pozwolę, byś mnie znów wykorzystywał w imię naszej rzekomej wspólnoty rodzinnej. Kiedyś musi się to wreszcie skończyć!

— Staram się znaleźć dla ciebie zrozumienie, kochana Ewo-Ingeborgo. Jestem ci je winien i możesz na nie liczyć.

— O Boże, nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś tak niegodziwego jak ty! Do czego zmierzasz tym razem?

— Do tego właśnie, na czym ci tak bardzo zależy — zapewnił ją prostodusznie. — Jestem w tej chwili gotów zgodzić się po prostu na wszystko. Zatem możesz swobodnie dysponować swoim pięćdziesięcioprocentowym udziałem w Łąkach Północnych. Możesz się rozwieść ze

mną i wyjść za mąż za Kahlersa. A gdybyś miała poza tym jeszcze jakieś życzenia, to bardzo proszę!

— Jesteś po prostu okropny — stwierdziła Ewa-Ingeborga, głęboko zaniepokojona. — Zawsze spodziewałam się po tobie wszelkich podłości. Ale tym razem chcesz chyba prześcignąć sam siebie. Znow jakaś niecna intryga wymierzona we mnie? Przerażenie już mnie ogarnia.

— Jak się też czujesz, mój wspaniały chłopie! — powitała Jurgena Wiese, ziejąc wprost nienawiścią, Klementyna Gartner, starucha ciesząca się specjalnymi względami Zygfrieda Sonnenberga. — Wciąż jeszcze odgrywasz rolę policyjnego bożyszczka czy też zdążyłeś się już upewnić, że jesteś zaledwie jednym z wielu dupków?

Policyjny dostojnik, który przyjmował ją w swoim biurze, jak zwykle usiłował zachować urzędową powagę, ale to nie wywierało szczególnego wrażenia na tym okropnym babsztylu. On wszakże podjął próbę zaimponowania nawet tej osobie. Jako biegły specjalista kryminalistyki, dostrzegający wszelkie związki przyczynowe, odezwał się:

— Zatem, szanowna matko Klementyno, prześledziłem sprawę tych zapewne omyłkowych połączeń telefonicznych, o których mi doniosłaś. Bardzo dokładnie, co w moim wypadku jest rzeczą zrozumiałą. A jednak bez konkretnych wyników.

— Trudno było spodziewać się ich — mruknęła rozweselona — zwłaszcza po tobie.

Jurgen Wiese udał, że nie słyszy przytyku.

— Bądź co bądź w żadnym razie nie można przekonująco udowodnić, że rozmowy te miały miejsce. Zaprzeczają temu zarówno rzekomy telefonujący, jak i osoba, do której prawdopodobnie telefonowano. Oto urzędowo stwierdzony stan rzeczy.

— Oj, ty mój mały, biedny pomyleńcze! — zawołała swobodnie Klementyna. — Już od dawna myślałam, że jesteś niedojrzały! Ale ty jesteś po prostu całkiem zielony, chłopie!

— Ostrożnie! — ostrzegł ją Wiese tonem bardzo oficjalnym. — Pomimo całej mojej zyczliwości proszę ze mną nie rozmawiać w ten sposób! Nie spodziewałem się tego po tobie, bo powinnaś się poczuwać do wdzięczności wobec Zygfrieda, a tym samym też wobec jego żony.

— Z którą ty od czasu do czasu sypiałeś, czego ci zresztą nie żałuję.

Ale ostatnio, jak mi się zdaje, ona ciebie trzyma z dala od siebie i najwyżej z rzadka dopuszcza na odległość strzału.

— To podejrzania! Wypraszam sobie! — zwrócił jej Wiese uwagę urzędowym tonem. — Pani Ewa-Ingeborga Sonnenberg ma pełne prawo cieszyć się moją szczególną sympatią, moim głębokim szacunkiem i moim wyłącznym uwielbieniem!

— Uważaj, chłopie, bo śmiać mi się chce! — Starucha z satysfakcją zmierzyła go spojrzeniem zimnych oczu. — Ty mi tu pleciesz bzdury o uczuciu, a tymczasem twój rzekomy przyjaciel Kahlers zdążył już zrobić swoje. Teraz chce się ożenić z twoją Ewą-Ingeborgą, a ona już zdecydowała się na rozwód. Pytali cię może o coś przedtem?

— Nie wierzę w to — wykrztusił zdławionym głosem Wiese.

— Mój wspaniały chłopcze, będziesz musiał temu uwierzyć! Wystarczy, byś spytał swego drogiego przyjaciela Konrada Kahlersa.

Stało się to natychmiast. Podekscytowany Jurgen Wiese wtargnął niepowstrzymanie do gabinetu burmistrza i stanął przed nim w postawie karzącego archaniola.

— To nie może, to po prostu nie śmie być prawdą!

— Co takiego? — zapytał go Kahlers, świadom oddziaływania własnych słów. — Co cię niepokoi, drogi przyjacielu?

— Czy to prawda, że ty Ewę-Ingeborgę, a więc ty z nią...

— Usiądź tu obok mnie — zaprosił go przyjaźnie Kahlers. — Powiedz, co ci mogę podać z trunków. A może dobre cygaro?

Wszystkie te propozycje Wiese odrzucił z ponurą determinacją. Nadal stał jak posąg.

— Istnieją pewne granice, których człowiek honoru...

— Tylko spokojnie, mój drogi, uspokój się! Proszę cię, nie działaj zbyt pośpiesznie. Postarajmy się porozmawiać rzeczowo i wszystko wyjaśnić jak mężczyzna z mężczyzną.

Wydawało się, że szef policji nie jest jeszcze zdolny pozbyć się dręczącej go obawy, że utraci Ewę-Ingeborgę.

— Tej cudownej, jedynej w swoim rodzaju, wspaniałej kobiety nie wolno plugawić!

— Jestem tego samego zdania — powiedział Kahlers i dodał łagodnie: — Powinieneś, drogi przyjacielu, zrozumieć, że kiedyś, wcześniej czy później, Ewa-Ingeborga musiała się zdecydować. Powiedzmy, na któregoś z nas dwu.

— Ale akurat na ciebie?

— A na kogóż by innego? — starał mu się po przyjacielsku wytłumaczyć Kahlers. — Oczywiście wiadomo mi, że i ty jesteś jej bardzo bliski i ona szanuje cię ogromnie. Ale jesteś żonaty i masz dzieci, a ja pozostałem kawalerem. Zawsze czekałem na nią. I właśnie stało się to możliwe. Musisz to zrozumieć.

— Nie pojmuję! — zawołał wojowniczo Wiese. — No dobrze, więc ona chce się rozwieść. Ale ja także jestem gotów rozwieść się w każdej chwili. Dla niej! Trzeba jej to od razu wyjaśnić, domagam się tego!

— Oj, chłopie — odezwał się Kahlers już niechętnie — Ewa--Ingeborga podjęła decyzję. Szybko i ostatecznie. Z tym faktem musisz się pogodzić i zachować się godnie, drogi Jurgenie.

Wiese ciągle jeszcze był oburzony.

— Nie chodzi tu przecież wcale o moją osobę — stwierdził — tylko o naszą przyjaźń, która dla mnie zawsze znaczyła bardzo wiele, a w której uczestniczyła później również Ewa-Ingeborga. Czegoś podobnego nie wolno niszczyć. Nie mogę tego znieść!

— Nie bądź w gorącej wodzie kąpany! Proponuję ci, zadzwoń do naszego Zygryfda. Powinien cię oświecić we wszystkim. Pilnie tego potrzebujesz.

— Chcesz do tego doprowadzić, Konradzie?

— Dłaczegóż by nie? Jeśli to może cię uspokoić, a więc wzmocnić naszą przyjaźń. — Kahlers podniósł słuchawkę swego zbiorczego aparatu telefonicznego i podał ją Jurgenowi Wiese.

Wiese pochwycił ją. Za pośrednictwem centrali ratuszowej kazał się połączyć z zakładami Sonnenberga.

— Bardzo proszę osobiście z panem Zygryfdem Sonnenbergiem.

Zygryfd zgłosił się od razu. Raźnym głosem zawołał:

— Jak się miewa nasz świetny, niestrudzony tropiciel przestępców? Mam ci służyć jakąś pomocą w tych sprawach?

Jurgen dobitnie oświadczył:

— Znajduję się w biurze burmistrza, to znaczy u naszego przyjaciela Kahlersa. Przysłuchuje się naszej rozmowie. Nie prosił mnie o to, ale ja sobie tego życzyłem. Korzysta z dodatkowej słuchawki.

— Przesyłam mu pozdrowienia!

— Usłyszał to i dziękuje — stwierdził rzeczowo szef policji — ale powróćmy do sprawy. Odbyłem z naszym przyjacielem zasadniczą

rozmowę, która mnie mocno zmartwiła. Zdaje mi się, że zanosi się na coś wprost okropnego.

— Mój drogi, to oczywiście w znacznej mierze kwestia zapatrywań. Z czasem dopiero się okaże, gdzie w tym wypadku kryją się okropności.

— Bądź co bądź wyraziłem swoją opinię, a ty, Zygfydzie, musisz o tym wiedzieć, że stoję całkowicie po twojej stronie!

— Dziękuję ci, czcigodny przyjacielu — głos Zygfyda był całkiem spokojny — ale pragnąłbym cię uspokoić, bo znam twoje odczucia.

— Także moją troskę o naszą Ewę-Ingeborgę? W związku z Kahlersem?

— Wiesz o tym, mój przyjacielu — oświecił go Zygfyd — że wszyscy popełniamy w życiu rozmaite błędy, dopuszczamy się tych lub innych grzechów, które często okazują się tylko przeoczeniami, zaniedbaniami bądź lekkomyślnością. Potem szukamy okazji do naprawienia ich. Czy Konrad wciąż jeszcze słucha?

— Tak, słucha i kiwa głową, że zgadza się z tobą.

— No pięknie! W takim razie mogę was zaprosić obu jednocześnie. Wiecie o tym, że za parę dni będziemy mieli letnie przesilenie. Za młodych lat przy tej okazji zapalaliśmy na Górnych Łakach słomiane wiechcie. Ale tym razem proponuję, ażebyśmy urządzili wielką wspólną uroczystość u mnie w domu. Razem z przyjaciółmi, którzy się jeszcze ostali, i ich rodzinami. Całość będzie nastawiona na wielkie pojednanie. Przyjdziecie?

— Jeżeli mnie przyzywasz, to przyjdę — zapewnił Wiese, po czym dorzucił: — Konrad także przyjdzie, właśnie kiwnął głową na znak zgody.

— Będziecie zadowoleni z tej uroczystości — powiedział Zygfyd. — Jestem tego pewny!

„Święto letniego przesilenia” w domu Sonnenbergów było pomyślane jako impreza niezwykle okazała. Odpowiednio do tego przebiegały przygotowania, które, jak się wydawało, zaabsorbowały Zygfyda bez reszty.

Wszystkie zewnętrzne warunki również okazały się bardzo obiecujące. Nad okolicą rozpościerało się bezchmurne, bezbrzeżne, jasnoniebieskie niebo. Dienne upały trwały długo — przeciągały się do późnej

nocy, zazwyczaj chłodnej w tym kraju. Nawet prognoza pogody okazała się pomyślna.

Ponieważ Zygryd postanowił sobie, że to „święto nad świętami” musi mieć radosny przebieg, zabrał się do jego przygotowania z niezwykłą wprost werwą. W związku z tym zaniedbał nawet salony fryzjerskie i wytwórnię kosmetyków. Zajął się wyłącznie organizowaniem. Raz po raz sam sobie udzielał zachęty: „Musi to być uroczystość niezwykła. Nie damy się prześcignąć nikomu!”

Ewa-Ingeborga już wkrótce zorientowała się, że ją także wciągnięto w wir przygotowań. Próbowwała się przed tym bronić.

— Czy to wszystko jest naprawdę konieczne? — pytała Zygryda z chorobliwą podejrzliwością.

On jednak wydawał się nie dostrzegać jakichkolwiek problemów. Wytrwale dodawał żonie odwagi.

„ — Proszę cię, zatroszcz się razem ze mną, ażeby wszystko wypadło jak najlepiej. Pieniądze nie odgrywają żadnej roli.

— Po co to urządzasz? — dopytywała się.

— Ze względu na ciebie, na siebie, a więc na nas oboje — wyjaśnił jej szybko — ponieważ ostatnio nieuniknione stały się pewne istotne zmiany w naszym życiu, ponieważ ty ich pragniesz, a ja godzę się z nimi. Musimy zatem zakomunikować o nich określonym osobom. Nasze rozstanie odbędzie się za obopólną zgodą! Pokażemy wszystkim, że robimy to spokojnie i z godnością, że jesteśmy wyżsi ponad przeciętność i dalecy od jakichkolwiek skandali rozwodowych. .

— Słuchając ciebie — stwierdziła wciąż podejrzliwa Ewa-Ingeborga — można by prawie uwierzyć, że myślisz tak zupełnie poważnie.

— Możesz śmiało tak uważać, Ewo-Ingeborgo.

— Ale jakie szczególne motywy i jakie ukryte myśli skłaniają cię do tego? Przecież zawsze je masz.

— Ja bym tego tak nie nazywał, moja kochana, przynajmniej tym razem. Chodzi tu raczej o coś, co mnie mocno wzrusza, o motyw natury wyraźnie moralnej...

— Moralnej! Do tego „wyraźnie"! Coś podobnego mówisz właśnie ty? To jest tym bardziej okropne!

— Poza tym, kochana Ewo-Ingeborgo, skłania mnie do działania pewna obawa. Zdarza się bowiem, że niektóre pary małżeńskie latami współżyją bardzo przykładowie, aż nagle któregoś dnia rzucają się

wściekle na siebie. Padają wtedy okropne wyzwiska i ohydne podejrzenia okraszone niewybrednymi epitetami. Wolałbym oszczędzić tego nam obojgu i jestem pewny, że podzielasz moje zdanie. Nie dopuszczam myśli, że może ci zależeć na urządzeniu publicznego prania brudów.

— Mogłabym się zgodzić z twoim poglądem — przyznała mu rację pod wrażeniem tego, co powiedział — jeśli tylko nie jest to znów jakiś podstęp. Ale po co ta cała uroczystość?

— Zrozum, że i ja ulegam czasem słabościom, marzeniom. Zresztą na swój sposób lubię używać świata. Toteż od dawna pragnąłem wielkiego święta w duchu zgody, przebaczenia, serdeczności. A tu właśnie nadarza się okazja. Bardzo cię proszę, byś mi tego nie odmawiała.

Ewa-Ingeborga była gotowa wyrazić zgodę na jego plan. Tym bardziej że w duchu także uznała takie rozwiązanie za całkiem odpowiednie. Pomimo to nie powiedziała mu po prostu „tak”, lecz wysunęła określone warunki.

— No dobrze, godzę się na obecność tej staruchy Klementyny, tym bardziej że w kuchni po prostu nie sposób obejść się bez niej. Również chętnie widzę twoją siostrę Erykę. Jednej osoby natomiast nie życzę sobie ujrzeć na twoim święcie pod żadnym warunkiem, mianowicie Chrystiany Clements.

— Dobrze — zgodził się Zygfryd.

Jego łatwe ustępstwo zbiło ją z tropu.

— I ty naprawdę uważasz, że wszyscy pozostali przyjdą? Na pewno będą próbowali się wykręcić. Dlatego że podobnie jak ja będą podejrzewać, że usiłujesz przy tym ogniu upiec własną pieczeń.

— Pozwól tylko, bym tę imprezę urządził — powiedział uśmiechając się Zygfryd. — Najważniejsze, byś się z pomocą Klementyny i Eryki zajęła całą stroną gastronomiczną. Dobrze? — Ujrzał, jak na znak zgody skinęła głową. — Całą resztę biorę na siebie.

Po tej rozmowie Zygfryd jak gdyby pozbył się ostatnich wątpliwości. Przestał się liczyć z jakimikolwiek trudnościami. Nie zmartwił się również tym, co miał mu do zakomunikowania John Frankfurter. John czuł się zapewne upoważniony do zabrania głosu również w imieniu Eryki i oświadczył:

— Jak wiesz, drogi Zygfrydzie, darzymy cię przyjaźnią, a nawet miłością. Czegoś podobnego powinienesz nam jednak oszczędzić.

— Przyjdziecie, i to oboje! — oświadczył stanowczo Zygfyrd. — Przede wszystkim Eryka, bo koniecznie potrzebujemy jej pomocy w przygotowaniach. Ale ty także! Zapytaj ją, proszę, i powtórz mi, co na to odpowiedziała.

Powtórzył natychmiast. Potem wyraził przede wszystkim żal, że być może został niewłaściwie zrozumiany. Eryka oczywiście weźmie udział w przygotowaniach do uroczystości, zaś on również się zjawi.

Następny kłopot wiązał się z Dagmarą. Uznała bowiem, że stanowczo musi się bronić przed uczestniczeniem w tym „podłym cyrku rodzinnym”. Nie szczędziła przy tym wulgarnego słownictwa.

Pomimo to Zygfyrd określił motywy jej postępowania właściwie.

— Być może uważasz mnie za sentymentalnego błazna. Wiedz jednak, że tak nie jest. Nie jest też wykluczone, że masz co nieco do zarzucenia postępowaniu swojej matki. Ale w tych sprawach także, proszę cię, poczekaj, aż dowiesz się czegoś więcej. Czy to możliwe, byś chciała uniknąć spotkania z Tomaszem Brandinem? Właściwie dla czego? Przecież mogłabyś skorzystać z okazji i pokazać mu, że jesteś moją nieodrodną córką. Ucieszyłbym się z tego!

— Och, ojciec! Na wymioty mi się zbiera, gdy pomyślę o tej złądacznej rodzinie!

— Pomimo to przyjdź, Dagmaro, ja cię o to proszę!

— No dobrze. Kiedy tak bardzo się przy tym upierasz, to przyjdę. Ale nie sama. — Była to z jej strony pogrożka, że przyprowadzi ze sobą kogoś ze swoich nowych chłopców, skorego do obrony ojczyzny. — Tylko nie spodziewaj się po mnie, że podam chociażby mały palec tej germańskiej poczwary Izoldzie, którą Brandin na pewno przyciągnie ze sobą.

— Wcale nie musisz! — Zygfyrd Sonnenberg już z góry cieszył się na samą myśl o tym spotkaniu. — Powinnaś rwać przy tym na uwadze, że Tomasz ujrzy was obie blisko siebie w tym samym pokoju. Będzie miał okazję porównać ciebie z tamtą. Co do wyniku porównania nie ma chyba wątpliwości.

— Zdaje mi się, że babcia Emma miała niestety rację, mówiąc niejednemu raz, że kiedy ty mówisz, lepiej byłoby zatkać uszy — stwierdziła Dagmara. — Chyba każdego potrafisz przegadać!

Uporano się nie tylko z tą jedną przeszkodą; udało się przewyciężyć również inne trudności. Rachunki za telefon, które już dotychczas z trudem udawało się zaliczać do kosztów handlowych firmy Sonnenberg, urosły w tych dniach niesłychanie. Sam Zygryd z istic łaścizną zwinnością przemyskał się po ulicach Rosenburga.

Osobiście odwiedził swego przyjaciela Kahlersa w jego biurze, ażeby mu wręczyć zaproszenie. Ten nie stwarzał żadnych problemów.

— Ależ oczywiście, mój drogi, dlaczegoż by nie? Jeżeli ty sobie tego życzysz, a Ewa-Ingeborga wyraża na to zgodę, to i ja nie mam nic przeciwko temu.

Jurgen Wiese jednakże stawiał pewien opór. Zwłaszcza gdy poproszono go, by zjawił się na uroczystości wraz z żoną. Dotychczas nigdy nie wprowadzał jej oficjalnie w środowisko Sonnenbergów. Przypuszczalnie dlatego, by sam mógł wyraźnie manifestować swoje zainteresowanie Ewą-Ingeborgą.

— Właściwie nie wiem — odpowiedział udając, że zastanawia się nad sprawą z urzędowego punktu widzenia — czy mogą podejmować się odpowiedzialności za coś podobnego. Proszę o czas do namysłu.

Sonnenberg wpadł zatem na pomysł, by poprosić o pomoc burmistrza Kahlersa. Ten zaś w ogóle nie przekonywał szefa policji, lecz po prostu polecił mu:

— Proszę cię o to, byś nie stwarzał niepotrzebnych trudności!

— W tym wypadku chodzi o naszą przyjaźń z lat młodości, drogi Jurgenie — przekonywał go dodatkowo Zygryd. — Wynikają z niej pewne zobowiązania, od których nie powinieneś się uchylać. Zamierzamy zaprezentować obraz pięknego, zakończonego już okresu życia. Dlatego konieczne jest, byś przyszedł razem z żoną.

— Ale co na to powie Ewa-Ingeborga?

— Można powiedzieć, że jej szczególnym życzeniem jest, ażeby twoja żona też przyszała, mój drogi — zapewnił go beztrasko Zygryd. — Czyżbyś chciał jej odmówić?

Oczywiście Jurgen Wiese nie chciał. Po męsku, jak przystało na szefa policji, chociaż na pewno z ciężkim sercem, okazał się gotów ponieść nawet tę ofiarę dla swojej „czcigodnej Ewy-Ingeborgi”. W ten sposób także on został pozyskany dla planowanej imprezy.

Zygryd, jak wydawało się, cieszył się niezmiernie na zbliżającą się uroczystość. Był ożywiony, bardzo swobodny, radośnie rozpromienio-

ny. Jego plany dotyczące zorganizowania zapowiedzianego „święta letniego przesilenia” stawały się coraz bardziej ciekawe i wydawały się przybierać formę marnotrawstwa. Uroczystość w domu Sonnenbergów miała się okazać niezrównanym fajerwerkiem.

Przybycie uczestników do ogrodu przy domu zostało wyznaczone na godzinę piątą po południu. Miało się tam odbyć powitanie połączone z podaniem trunków i małych przekąsek. W celu wytworzenia nastroju wzajemnej zgody i życzliwości przewidziano również odegranie paru utworów przez miejscową orkiestrę dętą noszącą dumną nazwę „Sokołów z Rosenburga”. Był to powszechnie lubiany zespół instrumentalny, który zyskał pewien rozgłos, występując w audycji „Kraj i ludzie”. Również lokalna prasa, a mianowicie „Dziennik Rosenburski”, kilkakrotnie już donosiła o „godnym uwagi głosie naszego ludu”.

Następnie miało się odbyć zwiedzanie zakładów przemysłowych Sonnenberga, ściślej — rozbudowanych ostatnio hal produkcyjnych. Przewodnikiem po tych obiektach, jak zapowiedziano, miał być sam ich twórca. Przewidziano, że przy tej okazji jako upominek dla gości rozda się obficie próbki najnowszych kosmetyków. Zwłaszcza zaproszonym damom oraz paniom uczestniczącym w uświetnieniu uroczystości pod względem artystycznym. Miało to stanowić dowód hojności przedsiębiorstwa, a zarazem też dowód jego zdolności wytwórczych.

W dalszej kolejności w salonach na parterze zaplanowano nadzwyczaj nastrojową godzinę wspomnień z rodzinnych stron. Rozsądnie skrócono ją do trzydziestu co najwyżej minut. Zaangażowano kwartet smyczkowy, a także za dość skromne honorarium bardzo szanowanego w mieście poetę Eгона Grabowskiego. Pochodził on wprawdzie z Prus Wschodnich, skąd został wygnany, lecz teraz usiłował zapaść korzenie w tym kraju.

A oto jego ulubione, zawsze „dobrze wypadające” tematy: odwieczne lasy; drzewa, które nie powinny zginąć; zabawne zwierzęta; dzieci wymagające opieki i miłości; brat człowiek, współtowarzysz twojej wędrówki; kochaj, jeśli chcesz, by ciebie kochano! Tego rodzaju poezja zawsze niejedno serce pobudzała do żywszego bicia. Zygfryd tym razem także na to liczył.

Początek uroczystego przyjęcia dla całej rodziny Sonnenbergów i ich

najbliższych przyjaciół zaplanowano na godzinę siódmą. Przewidywano, że potrwa ono trzy lub cztery godziny. Miało się odbyć na pierwszym piętrze — w jadalni i pokoju mieszkalnym. Tymczasem na parterze — w salonach fryzjerskich — zespół „Sokołów z Rosenburga” miał nadal wygrywać swoje żwawe melodie. Dwudziestopięciolitrowa beczułka piwa oraz smażone kiełbaski z kapustą powinny były ich zadowolić. Zygryd osobiście zaplanował jadłospis, po czym uzgodnił go z Ewą--Ingeborgą, siostrą Eryką i matką Klementyną. Za każdym razem zaznaczał, że pieniądze nie odgrywają roli. Propozycja, jaka powstała w rezultacie, przedstawiała się następująco:

1. Szynka frankońska na surowo, podana w bardzo cienkich plasterkach.
2. Zupa bawarska, urozmaicona knedlami wątrobianyrai, sporządzonymi bezpośrednio przed podaniem.
3. Lekko wędzone sieje — wprost z Jeziora Starnberskiego, złowione tego samego dnia.
4. Para prosiąt, upieczonych w całości na rożnie, opryskanych piwem, przyprawionych polnymi ziołami, podanych na glinianych półmiskach.
5. Kozie i owcze sery — do wyboru.
6. Mocno zaparzona kawa, a do niej słodczyce, zwłaszcza marcepan w stylu królewieckim, który matka Klementyna umiała sporządzać po mistrzowsku.
7. Rozmaite desery — budynie, ciastka, torty, drobne pieczywo i praliny. Do tego szampan.

— To po prostu gigantyczne przyjęcie, chłopie — stwierdził szczerze zdziwiony Tomasz Brandin. — A jeśli cię interesuje, jak wyglądasz w moich oczach, to muszę powiedzieć, że przypominasz mi kogoś, kto wypala cały las tylko po to, ażeby sobie ugotować zupę.

— Najważniejsze — orzekł z ożywieniem Zygryd — że ty także weźmiesz w tym udział. Razem ze swoją Izoldą.

— Mógłbym ci tu przyciągnąć nawet swego drogiego, wielce szanowanego pana przyszłego teścia — odpowiedział mu Brandin z wyzywającą uprzejmością.

— Nie chcesz chyba poważnie twierdzić, że on może się tu pokazać?

— Jeśli mu wytłumaczę, że zachodzi taka potrzeba, to przybędzie tu krokiem marszowym. Bo niezbyt wielki dystans dzieli generała od generalnego przedstawiciela jego interesów...

— Zostawmy go sobie na potem! Zapewne zamyślasz urządzić z nim widowisko szczególnego rodzaju. Nie traćmy więc pary na gwizdanie.

Tomasz Brandin podziwiał Zygfyda. Był dumny, że jest jego przyjacielem, a przy tym stale przygotowany na niespodzianki z jego strony. Uśmiechnął się do niego i powiedział w zamyśleniu:

— Zdaje mi się, że znów zdecydowałeś się zadziałać. Jak przystało fryzjerowi, starasz się namydlić od razu kilka twarzy, ażeby je potem ogolić na swój sposób. A ludzie naprawdę gromadą cisną się do ciebie. Wprowadziłeś ich w trans swoimi argumentami. Powiedz jednak, komu chcesz rzeczywiście dobrać się do skóry?

— Nie bądź zbyt niecierpliwy — poradził mu Zygfyd. — Sam zobaczysz we właściwym czasie. Ale wtedy w miarę możliwości nie pamiętaj o tej naszej rozmowie.

— Już o niej zapomniałem! — zapewnił go z zadowoleniem Tomasz Brandin. — Przyjmuję do wiadomości tylko to, że jest święto, święto, święto. Wszyscy powinni się cieszyć. Mamy zapewnioną zgodę i uczucia przyjaźni, wszyscy rzucają się sobie w objęcia! O to chodzi!

— Możesz to prawić każdemu, kto tylko zechce słuchać.

— Będę tak robił! — zapewnił go z gotowością Tomasz. — Nawet nie przeczuwasz, jak bardzo się cieszę na tak wspaniale zaaranżowany festyn!

Festyn jednak nie odbył się.

Stało się tak dlatego, że wczesnym przedpołudniem w dniu planowanej uroczystości Ewę-Ingeborgę znaleziono martwą. Leżała mianowicie w wannie, w pomieszczeniu pomiędzy sypialniami jej i jej męża. Znalazła ją tam pani Klementyna Gartner, która jak zwykle przed południem doglądała codziennego sprzątanania domu.

Powiadomiła Zygfyda, który znajdował się w salonie męskim. Razem z nim pobiegła z powrotem na pierwsze piętro. Tam podobno — zeznawała jako główny świadek — Sonnenberg „wydawał jedynie odgłosy zdumienia i przerażenia”. Tam — opowiadała dalej, uroczystie niemal podkreślając co ważniejsze szczegóły — stanął on „odrętwiały”, „zaczął się słaniać”, a potem „oparł się o drzwi”. Wówczas ona „podsunęła mu krzesło”, na które on „opadł bez słowa”.

Potem wszakże „pan Sonnenberg skrajnie osłabłym głosem wydał

połączenie, by powiadomiono domowego lekarza, doktora Kleina, a także pana Jurgena Wiese". Obaj prawie jednocześnie przybyli do domu Sonnenbergów już po paru minutach. Napotkali Zygryda siedzącego na stopniu schodów na korytarzu pierwszego piętra. Jak pozbawiony sił i oniemiały, wskazał ręką otwarte drzwi pokoju kąpielowego.

Doktor Klein, nieduży, lecz dostojny siwowłosy pan, udał się na miejsce wypadku. Tam uznał za wskazane stwierdzić, że zgon nastąpił na skutek nie tak rzadko zdarzającej się w domach awarii. Mianowicie lampa stołowa, która stała na półce bezpośrednio w pobliżu wanny, przypuszczalnie w wyniku gwałtownego poruszenia kąpiącej się, może też pośliznięcia po namydleniu, spadła na nią, a więc dostała się do wody. Tą drogą doszło do porażenia prądem o wysokim napięciu, co oczywiście spowodowało momentalne zatrzymanie akcji serca.

Lekarz wyraził swoje „głębokie współczucie”, po czym zabrał się niezwłocznie do wystawienia urzędowego świadectwa zgonu. Natomiast szef policji Jurgen Wiese, stojący tuż obok, jak się wydawało, przygotowywał się niejako do odegrania roli anioła pomsty. Przybrał sztywną i zdecydowaną postawę, jakkolwiek zapewne nie wiedział jeszcze dobrze, na co ma się zdecydować.

Pozostawiał to sobie na potem. Na razie okazał głęboki smutek, patrząc na Ewę-Ingeborgę. Lecz po chwili rzucił badawcze spojrzenie na doktora Kleina, a zaraz potem na Zygryda i babcię Klementynę.

— Wcale to nie jest takie wiarygodne — oświadczył wreszcie wiele znaczącym tonem.

— Co to ma znaczyć? — Lekarz poczuł się niemal obrażony. — Według najnowszych danych statystycznych podobne wypadki zdarzają się około sześćdziesięciu tysięcy razy w ciągu roku, i to tylko w gospodarstwach domowych w obrębie naszej republiki.

— Takie może być pańskie zdanie, panie doktorze — odpowiedział mu Jurgen z całą surowością — ale nie od razu również moje.

W tym momencie wtrąciła się matka Klementyna we właściwy sobie rubaszny sposób:

— Czy nasza dobra Ewa-Ingeborga ma leżeć w wannie tak długo, aż szanowni panowie uzgodnią między sobą rozbieżne poglądy?

— Ależ nie — zdecydował doktor Klein. — Jeśli pani czuje się dobrze, szanowna pani Gartner, również w sensie psychicznym, to

proszę uprzejmie wyjąć panią Sonnenberg z wanny. Proponowałbym ułożyć denatkę na łóżku, ubrać ją, uczesać i zrobić lekki makijaż. A może pan, panie Wiese, ma zamiar nam w tym przeszkodzić?

— Nie, pod warunkiem, że cała reszta w miejscu wypadku pozostanie nie poruszona — burknął naczelnik policji.

Lekarz oddalił się, nie omieszkawszy w dowód współczucia powtórnie uściśnąć dłoni Zygryda. Klementyna zajęła się zmarłą pod czujnym policyjnym okiem Jurgena Wiese. Przenosiła ją do sypialni niczym nagie małe dziecko.

Wiese zamknął drzwi pokoju kąpielowego. Następnie udał się na korytarz i podszedł do Zygryda, który wciąż jeszcze siedział na schodach. Odezwwał się do niego tonem oskarżyciela:

— Nie wygląda to zbyt pięknie.

— Nie zgrywaj się bez potrzeby, Jurgenie! — poradził mu Zygryd. — O co ci chodzi?

— Jestem w tej sprawie zupełnie bezstronny — zapewnił go Wiese — jakkolwiek chodzi tu o wyświetlenie przyczyn śmierci powszechnie lubianej i szanowanej osoby. Nic nie może mnie odwieść od spełnienia obowiązku.

— Poczekaj z tym, aż nadejdzie Konrad Kahlers — poradził mu Zygryd, znów czujny i spięty wewnątrz. — Zobaczymy wtedy, co mamy robić dalej.

— Czego ty się spodziewasz po Kahlersie? — zaśmiał się Wiese. — On cię całkiem po prostu zgnoi, gdy tylko będzie mógł, a nie widzę powodu, by nie mógł tego zrobić właśnie teraz.

— Wolnego, Jurgenie! Nie ma przecież do tego żadnego powodu!

Wiese nie zamierzał ustępować.

— Powiem ci otwarcie, że Kahlers w tym wypadku może być pewny mego wsparcia! Zdaje mi się, że to, co prawdopodobnie tu się wydarzyło, mocno wykracza poza wszelkie dopuszczalne granice. W tej sytuacji przestaje istnieć jakakolwiek przyjaźń!

Burmistrz Konrad Kahlers zjawił się zaraz potem. Ruszył zdecydowanie w kierunku sypialni Ewy-Ingeborgi. Nie interesowało go nic poza tym. Zygryd i Jurgen automatycznie poszli za nim.

Gdy Kahlers zbliżył się do zmarłej, przy której siedziała Klementyna, zawołał najpierw:

— O Boże!

Potem nachylił się nad Ewą-Ingeborgą. Wyglądało to, jakby delikatanie dotknął ustami jej policzka. Przez moment trwał w tej postawie. Było widoczne, iż drży na całym ciele. Potem wyprostował się z najwyższym trudem.

— O Boże! — zawołał raz jeszcze. — W jaki sposób mogło się to stać? — Po czym, niezmiernie wzburzony, spojrzął na Sonnenberga. — Od ciebie, Zygfrydzie, oczekuję odpowiedzi na to pytanie!

Obaj stali ramię w ramię i patrzyli na Ewę-Ingeborgę, leżącą na łóżku, w kwiecistej jedwabnej sukni. Oczy miała zamknięte, dłonie splecione, twarz lekko ułożoną. Klementyna szybko zdążyła przygotować ją należycie do ułożenia na marach. Nie było wcale wykluczone, że Sonnenberg, jak zwykle solidny i przewidujący w poczynaniach, wspólnie z Klementyną zastanawiał się już nad założeniem zakładu pogrzebowego...

— Życzę sobie — cicho, lecz bardzo stanowczo przemówił Zygfryd — pozostać sam na sam z moją ukochaną zgasłą żoną i moim czcigodnym przyjacielem Kahlersem.

Żądanie to zostało niezwłocznie spełnione. Klementyna mocno ujęła Jurgena pod rękę i pociągnęła go za sobą. Poszedł za nią, na odchodnym zdążył jednak jeszcze zawołać:

— Ostrzegam tylko!

Zygfryd i Konrad, przyjaciele z czasów młodości, patrzyli na siebie uporczywie ponad zwłokami Ewy-Ingeborgi. Trwało to dłuższą chwilę. Potem Kahlers odezwał się głucho:

— To nie miało prawa się stać! Raczej wszystko inne niż to! Odważyłeś się przez to, Zygfrydzie, wyzwąć mnie w sposób niestychanie zuchwały. Musiałeś się przecież domyślać, co dla mnie znaczy ta jedyna w swoim rodzaju kobieta.

— Z grubsza tak. Zwłaszcza w sensie finansowym, jeśli chodzi o rozmaite interesy.

— Ależ podstępna z ciebie bestia! — stwierdził Kahlers.

Brzmiała w tym po prostu nuta uznania.

— Lepiej oszczędź nam obydwom podobnych komplementów — odparł Zygfryd, uśmiechając się skąpo. — Ostatecznie wiem, że ty umiesz liczyć, a ty wiesz, że ja też to potrafię.

Kahlers zrozumiał, do czego odnosi się aluzja Sonnenberga. Mianowicie na skutek zgonu swojej żony Zygfyrd, jako jej małżonek, stawał się również jej głównym spadkobiercą. Kahlers wiedział, że Ewa-Ingeborga zaniedbała sporządzenia testamentu. Tym samym w tej chwili do niego jako głównego spadkobiercy należały w całości Łąki Północne. Niegdyś mama Emma potajemnie przeznaczyła je dla Ewy-Ingeborgi, a ona nie przeczuwała, że pewnego dnia śmiercią przyplaci tę darowiznę.

— Nigdy bym się nie spodziewał, Zygfyrdzie — wyznał Kahlers, a w głosie jego pobrzmiwała pogródka — że kiedykolwiek poważysz się mnie aż tak prowokować!

— O żadnej prowokacji, a zwłaszcza w stosunku do ciebie, nigdy nawet nie pomyślałem — zapewnił go spontanicznie Sonnenberg. — Może jedynie o wprowadzeniu koniecznej poprawki do naszych interesów. Nie powinna ona wypaść na twoją niekorzyść. Rozumiesz, co chce przez to powiedzieć?

W oczach burmistrza Kahlersa pojawiły się zimne błyski. Niemal bez zastanowienia stwierdził:

— Przypuszczam, że będzie to oferta, co? Ale na jakich warunkach, co masz na myśli?

— Tę ofertę, mój drogi, niedawno ci przedstawiłem: szesnaście do dziewiętnastu procent. Od wszystkich interesów, jakie wynikną z wykorzystania moich Łąg Północnych. Propozycja jest wciąż aktualna.

— Mój drogi, mając na uwadze obecny stan rzeczy, byłbym za udziałem w wysokości trzydziestu trzech i trzech dziesiątych procenta — zaproponował bez najmniejszego skrepowania Kahlers ze spojrzeniem utkwionym w martwej Ewie-Ingebordze.

— Stanowczo zbyt wysoko mierzysz, drogi Konradzie. Sam o tym wiesz. — Zygfyrd patrzył mu prosto w oczy i mówił rzeczowo. — Jestem jednak gotów pójść na dość poważne ustępstwa, byle bym w przyszłości mógł liczyć na twoje powiązania. Proponuję, byśmy się ugodzili na dwadzieścia pięć procent. Sądzę, że jest to oferta sensowna i całkiem do przyjęcia. Bo dokładnie tyle jesteś dla mnie rzeczywiście wart. Przyjmujesz moją propozycję?

Przyjął bez wahania. Podali sobie ręce — przy łóżku, na którym leżała podobno tak bardzo ukochana zmarła. Stali się zatem współnikami.

— Wszystko to jeszcze dzisiaj spiszemy i damy poświadczyć przez notariusza — powiedział Zygfyrd.

— Nieśpieszno mi — oświadczył Kahlers — bo pomimo wszelkich zarzutów i zastrzeżeń, jakie żywię w stosunku do ciebie, przyznaję, że słowa zawsze dotrzymywałeś.

— Pomimo to powinniśmy się ubezpieczyć na sto procent, Konradzie.

— Co przez to rozumiesz?

— No, więc przede wszystkim operacje handlowe. Możesz je spokojnie pozostawić mnie. Natomiast ty powinieneś się zatroszczyć o prestiż, prezencję i opinię naszego wspólnego przedsięwzięcia. Musisz jak najskuteczniej dawać wszystkim do zrozumienia, że jesteśmy najlepsi, najbardziej godni zaufania, patrzący w przyszłość, uczciwi!

— Już jesteśmy właśnie tacy. A ja będę nadal pracował nad tym jako twój partner. Mianowicie, jak już uzgodniliśmy, z udziałem w wysokości dwudziestu pięciu procent!

— Dobrze by było, gdybyś się zaraz zainteresował naszym Jurgenem Wiese. Obaj wiemy, że jest gotów popełnić całą masę głupstw. Na to nie możemy sobie pozwolić. Mógłbyś go jakoś uspokoić?

— Uspokoję go — obiecał Kahlers na swój zwykły sposób. Był on bowiem najważniejszym człowiekiem, gdy chodziło o podejmowanie decyzji we własnym interesie. Niedbałym ruchem ręki podkreślił niezachwiane zdecydowanie. — Ale cóż to teraz będzie z twoim tak wspaniałe zakrojonym świętem, przyjacielu?

— Powinno się jednak odbyć pomimo wszystko — odpowiedział z wolna Sonnenberg. — Bynajmniej nie ze względu na pokaźne sumy, jakie już wydałem. Ale dlatego, że jestem je winien naszym przyjaciołom.

— I naszej Ewie-Ingebordze! — uzupełnił skwapliwie Kahlers.

— Oczywiście — zgodził się Zygfryd. — Zatem święto rodzinne zmienimy w podniosłą uroczystość żałobną ku jej pamięci. Do niej kierowała się nasza wspólna miłość. Ona na to zasługuje.

Istotnie święto odbyło się. Niemało osób obchodziło je uroczystie, nie zdając sobie wcale sprawy z tego, w czym właściwie uczestniczą. Najpóźniej po pięciu latach niektórzy z uczestników mieli dowiedzieć się znacznie więcej. O ile pozostawali jeszcze przy życiu.

Księga III

Przełom lat 1959/1960 — ZBIERANIE PŁONU

1. Niebezpieczny ześlizg

Było to kilka dni przed Bożym Narodzeniem roku 1959. Przyśpieszony pociąg osobowy z Monachium do Frankfurtu zatrzymał się na stacji kolejowej Rosenberg-Nowe Osiedle. Nadjechał prawie bezgłośnie, gdyż w ciągu ubiegłych lat sieć kolejowa została zelektryfikowana z iście niemiecką dokładnością.

Wysiadło kilka osób, kilka innych wsiadło do pociągu. Odbędzie się to bez tłoku i pośpiechu, raczej spokojnie, niemal opieszale. Podróżni stąpali po starannie ułożonych płytach kamiennych wykonanych w zakładach Wernersa. Kroczyli pomiędzy umocowanymi na stałe tablicami z nazwą stacji, na których widniał starannie wymalowany napis „Rosenburg — Rosenberg — Rosenberg”.

Z wyczyszczonego na wysoki połysk wagonu pierwszej klasy, znajdującego się w połowie składu, wysiedli dwaj mężczyźni. Obaj robili wrażenie solidne, by nie powiedzieć — godne. Mieli na sobie dyskretnie szare skórzane płaszcze z brązowymi futrzanymi kołnierzami. Na pierwszy rzut oka miało się ochotę stwierdzić, że wyglądają jak bliźniacy — zresztą poruszali się też jednakowo. Obaj mieli mocno wypchane teczki.

Panowie ci zaliczali się do znanych w mieście osobistości. Jednym z nich był Zygfryd Sonnenberg, „fabrykant”, od dłuższego już czasu nie tylko fryzjer, a drugim Tomasz Brandin, nazywany „generalnym pomocnikiem” zjednoczonych przedsiębiorstw Wernersa. Obaj w zamyśleniu stanęli obok siebie, przyglądając się otoczeniu, które ostatnio nabierało kształtu coraz bardziej doskonałego.

Wśród świeżo wzniesionych domów stał dworzec kolejowy, całkowicie odrestaurowany i nawet rozbudowany. Nie miał teraz ozdób — był

nowoczesny i zimny w stylu, wzniesiony z betonu, stali i szkła. Niezdarne bloki mieszkalne na jego tyłach wyglądały jak przesłaniające widok przegrody, sięgające nisko zawieszzonego zimowego nieba. Wyasfaltowane ulice przypominały szare od topniejącego śniegu wstęgi, obrzeżone długimi szeregami pojazdów mechanicznych — blaszanych świętych krów postępu, którym zostało dotknięte także to miasto.

Zygfyrd i Tomasz zatrzymali się na parę minut na pustoszejącym peronie. Niemal z lekceważeniem rozglądali się wokół. Dawniej, zaledwie przed dziesięcioma laty, dało się stąd ogarnąć spojrzeniem cały Rosenburg. Natomiast teraz było widać tylko betonowe mrówkowce dla ludzi.

— Sam nie wiem — zastanowił się Zygfryd — czy mam ubolewać nad tym rozwojem, czy cieszyć się z niego?

Tomasz Brandin roześmiał się i łagodnie stwierdził:

— Masz oto przed sobą miasto Rosenburg, twój ni to piękny, ni to szkaradny, a zaledwie dziesięć lat temu obaj ujrzeliśmy tu obraz niemal kompletnej ruiny. Wtedy jednak, o ile sobie przypominam, wydało ci się to poniekąd zrozumiałe.

— Już wtedy — oświadczył Zygfryd Sonnenberg, jak gdyby chcąc przerwać snucie tego rodzaju refleksji — musieliśmy przyjmować wszystko takim, jakie było w rzeczywistości. Obaj też wyciągaliśmy z tego praktyczne wnioski. Tak samo będziemy postępować teraz. Z całą konsekwencją, na jaką nas stać.

— Uważasz, że potrafimy tego dopiąć?

— Musimy. Po naszych ostatnich przygotowaniach nabrałem pewności, że tamci się rozłożą!

— Sądzisz więc, Zygfrydzie, że możesz już zebrać swój wielki plon?

— Nasz wspólny plon, drogi Tomaszu! Trzeba będzie chyba usunąć jeszcze kilka przeszkód z drogi: i twojej, i mojej. Ale damy sobie radę. Ostatecznie załatwialiśmy już nie takich łotrów.

Brandin przytaknął mu. Wciąż jeszcze stali na peronie; teczki postawili obok siebie. Tymczasem pociąg bezgłośnie potoczył się w kierunku Frankfurtu. Zimowe słońce objęło ich mdłym blaskiem.

W tej chwili ociężale, ale usłużnie podeszli do nich dwaj mężczyźni. Jednym z nich był w jednej osobie przyboczny strażnik, pomocnik leśniczego, ogrodnik, służący i kierowca Wernersa. Wyprostował się posłusznie przed Brandinem i obwieścił mu:

— Nasz rolls-royce stoi w gotowości. Pan generał i pana małżonka oczekują na pana w zamku.

Tomasz niedbale wskazał swoją teczkę.

— Proszę ją zabrać i jechać przodem. Ja mam tu jeszcze co nieco do załatwienia.

Drugi mężczyzna, zazwyczaj pełniący obowiązki głównego odźwiernego w zakładach Sonnenberga, zbliżył się do Zygryda.

— Nasza paradna karetka zajęła! — Chodziło o kasztanowego cadillaca ze specjalnym wyposażeniem. Po cenie obniżonej załatwił go John Frankfurter, od pięciu lat działający jako „kierownik handlowy zakładów kosmetycznych Sonnenberga”.

Owemu usłużnemu duszkowi pozwolono również zaopiekować się teczką.

— Proszę ją schować do mego biurka. I nie dopuszczać do niej nikogo. Mój Boże — odezwał się Zygryd w zadumie — za każdym razem, kiedy przyjeżdżam na tę stację, przypomina mi się, jak znaleźliśmy się tu po raz pierwszy. Ile czasu upłynęło od tamtej chwili: sto lat, dziesięć lat, a może było to wczoraj?

— Wtedy wylądowało tu dwóch zafajdanych obdartusów. A tam, gdzie teraz stoi ławka, było koryto z wodą. Zrzuciliśmy z siebie kurtki i koszule i myliśmy się, rozebrani do pasa, wywołując święte oburzenie naczelnika stacji. Zaraz przybiegł do nas, pamiętasz? Zresztą nadal tu służy.

— Chętnie bym mu jeszcze raz zafundował coś podobnego — powiedział Zygryd. — Ale wtedy, mój drogi, chociaż mieliśmy za sobą tyle przeżyć, byliśmy wciąż jeszcze strasznie zuchwali. Po prostu nie mieliśmy nic do stracenia. Teraz strzeżemy tego, cośmy osiągnęli, powiększamy swoje zyski. To mnie nastraja jakoś smutno, chłopie.

— Całkiem niepotrzebnie. Nie musimy żałować swoich ówczesnych pięknych kawałów. Coś podobnego możemy zrobić także dzisiaj, z podobnym skutkiem, chociaż za pomocą innych środków.

— Masz może jakiś pomysł w tej materii? — zapytał Zygryd.

Tomasz Brandin zaczął powoli rozpinać płaszcz, podbity futrem podobnym do niedźwiedziego, potem spodnie, po czym ukazały się białe kalesony. Rozpiąwszy się do końca, zaczął w skupieniu sikać przed siebie. Na sam środek peronu wyłożonego płytami Wernersa. Zygryd Sonnenberg poszedł w jego ślady.

Naczelnik stacji, który przyglądał się im, przybiegł natychmiast. Miał zatroskany wyraz twarzy i wołał błagalnym głosem:

— Ależ proszę panów! Przecież czegoś podobnego nie można tu robić.

— My jednak możemy, jak pan sam widzi — oświecił go Tomasz, nie przerywając swojej czynności. Strumyki, które wydalali, tryskały w stronę przerażonego zawiadowcy. Brandin zaś ciągnął dalej: — Musieliśmy to zrobić akuratnie teraz, bo właśnie nas przyparło.

— Ale coś takiego nie może mieć miejsca, szanowny panie Sonnenberg, szanowny panie Brandin! — Główny kolejarz tej stacji, bliski już zwałnięcia, sapnął potężnie. — Ponieważ takie rzeczy są karalne!

Pomimo to obaj bez skrępowania sikali dalej. Ułatwiały im to rozmaite trunki, których niemało wypili w wagonie restauracyjnym. Z widocznym zadowoleniem spoglądali na zmieszanego kolejarza. Zygfryd Sonnenberg sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej dwa banknoty stumarkowe. Podał je funkcjonariuszowi w czerwonej czapce.

— To chyba wystarczy.

— Nie przypuszczam, by mógł pan uważać, że można mnie w jakimkolwiek sposób przekupić, szanowny panie Sonnenberg — powiedział zawiadowca, starając się zachować godność — ale tak poważnemu człowiekowi jak pan chętnie wyświadczę grzeczność. — Pochwycił dwa stumarkowe banknoty i ruchem godnym iluzjonisty ukrył je gdzieś w mundurze. — Nic nie widziałem, proszę panów. — Przyłożył dwa palce do daszka i pokuśtykał do siebie.

Spojrzeli za nim ubawieni. Brandin zaś powiedział:

— Czyż nie był wprost wspaniały? A może zwyczajnie ludzki? Można by też powiedzieć, że całkiem na miarę naszych czasów.

— Takie też czasy u nas nastąpiły.

— Chłopie, tak było zawsze — poprawił go Tomasz. — Dobrze o tym wiemy. Zawsze chodziło tylko o to, ażeby jakoś przeżyć. W miarę możliwości bez narażania się. Praktycznie znaczy to tyle, co zabezpieczać się, wykupywać się, wydostawać się ze strefy zagrożeń, a wszystko za pomocą środków i możliwości wynikających z aktualnego układu sił. Tak samo jak wtedy!

— Dokładnie mówiąc, jest to konieczne w sprawach, które mamy jeszcze do załatwienia. W skuteczny, wypróbowany sposób. Właśnie tak jak wtedy.

Ósme interludium

Jak nadal bronili własnej skóry

Gdy tylko w owym wielkim sowieckim obozie jenieckim z pięciocyfrowym numerem, który też nosił dumną nazwę „Czerwona Przyszłość”, rozeszła się wieść o śmierci plutonowego Bachmanna, w baraku fryzjerskim natychmiast pojawił się sierżant Eichler. Przybrał groźną postawę, stając w rozkroku i przyglądając się Sonnenbergowi i Brandinowi. Trwało to dłuższą chwilę. Następnie oświadczył tonem z lekka ostrzegawczym:

— Nie mogę sobie wprost wyobrazić, ażebyście mieli coś wspólnego ze śmiercią naszego drogiego kolegi Bachmanna, jednego z najlepszych wśród nas. Bo nie uważam ciebie, Sonnenberg, za tak bardzo głupiego. Ani też twego Brandina.

— Po co mamy nawet zastanawiać się nad czymś podobnym? — poddawał mu pod rozwagę Sonnenberg, gotów do ugody. — U nas wszystko przebiegało idealnie! Na Bachmanna napadł prawdopodobnie ktoś na terenie obozu, kiedy powracał z dziennym utargiem. Ale to zapewne nie zmieni niczego w naszej wzajemnej współpracy, prawda? Na pewno pozostanie tak, jak było?

— Możesz być tego pewny — odpowiedział Eichler. — Teraz dopiero wszystko ułoży się jak należy! Ażeby sprawy szły jak najlepiej, przydzielę wam naszego Vespera.

Jak wkrótce obaj się zorientowali, stanowiło to poważne zagrożenie. Vesper nie był bowiem w żadnym wypadku kimś podobnym do takiego Bachmanna, którego zależnie od okoliczności można było bądź zająć czymś innym, bądź też o czymś przekonać. Vesper przychodził, sprawdzał i inkasował.

— Nie wściecie się, koledzy, wystawiać mnie przypadkiem do wiatru. Nie jestem durniem, co to przechwała się mięśniami. — Była to niedwuznaczna aluzja do Bachmanna. — W moim wypadku macie do czynienia z człowiekiem myślącym.

Po tej całkiem jednoznacznej zapowiedzi Sonnenberg i Brandin przeżyli kilka niespokojnych dni i przegadanych nocy. Jednocześnie powoli dojrzewał ich wspólny plan, po którym mogli sobie co nieco obiecywać. Ponieważ, jak im się wydawało, trafnie odgadli, że Vesper uważa się za kogoś niezwykłego, uznali, że trzeba mu zaoferować coś równie niezwykłego.

Pierwsza faza ich działania przebiegała pomyślnie. Pewnego razu, po rozliczeniu za cały dzień, Sonnenberg oświadczył, że ma Vesperowi do zaproponowania coś absolutnie szczególnego. Potem, mrugając porozumiewawczo do niego, Zygfryd wydobył puszkę po konserwie, której dno na wysokość dwóch centymetrów pokrywał przezroczysty płyn o ostrym zapachu. Dał mu powąchać.

— Czy to czasem nie wódka? — zawołał Vesper z niedowierzaniem.

Sonnenberg zaproponował mu, by wypił. Była to naprawdę wódka!

Następna faza rozegrała się kilka dni później. Sonnenberg po raz drugi wyciągnął puszkę po konserwie. Znow zawierała wiadomy płyn, lecz było go znacznie więcej niż poprzednio. Vesper powąchał, wypił, po czym odezwał się ze zdziwieniem:

— Sonnenberg, chłopie, jak ci się udało zdobyć tę wódkę? Ściągasz ją sobie chyba ukradkiem u komendanta, kiedy go golisz?

— Ta sztuka udaje się Brandinowi — wyjaśnił mu Zygfryd. — Ułatwia mu to lekarka Natasza. To w ogóle bardzo ludzka kobieta.

— *Co ty powiadasz!* — Po *jednym* czy dwóch łykach wódki Vesper wyglądał już na podchmielonego. Kompletnie odzwyczajony od podobnych przyjemności, zaczął wietrzyć coś naprawdę niezwykłego. Mruwnął znacząco do Brandina. — Ta Natasza, lekarka, ma chyba słabość do ciebie?

Nie dostał na to jasnej odpowiedzi.

Nadeszła jednak trzecia faza. Po kilku dniach, przy zamknięciu kasy z coraz większym udziałem wewnętrznego kierownictwa obozu w zyskach, Vesper odezwał się:

— Zastanawiałem się nad tą sprawą lekarki i Brandina. Bardzo gruntownie. Doszedłem do przekonania, że ona jest całkiem po prostu pazerna na chłopów. Ale nie na tych Rosjan. Raczej na nasz gatunek. Jak myślisz?

Sonnenberg wzruszył ramionami, co mogło znaczyć „być może”, i w odpowiedzi od razu wyciągnął spod swego łóżka pełną półlitrową butelkę wódki. Postawił ją przed Vesperem. Pili z niej wszyscy trzej.

Wkrótce Vesper zaczął się zataczać. Jednocześnie wyrzucał z siebie potoki słów — o kobietach, ich możliwościach, ich nieobliczalności i powabie. Wreszcie popatrzył tępo na Brandina.

— Ale dlaczego akuratnie ty u niej?

Teraz włączył się Sonnenberg:

— Radzę ci, kolego, ażebyś sobie zdawał sprawę z tego, że ta przepracowana lekarka mieszka w lazarecie wśród chorych, a oni wszyscy jęczą, rzygają, srają. Zrozumiała rzecz, że chce od czasu do czasu oderwać się od tego choćby na chwilę. Wszystko jej jedno, w jaki sposób. Ale nie musi jej do tego być potrzebny Brandin. Wystarczy, by ten ktoś miał trochę kultury.

Vesper poczuł się nie byle jak zachęcony.

— Kultura — zapewnił już mocno płaczącym się językiem — jest właśnie tym, co mi odpowiada! — Pochwycił więc butelkę z wódką, którą obaj podali mu skwapliwie. — No, to postaram się ją uszczęśliwić! — Po czym ochoczo ruszył chwiejnym krokiem.

Kilka minut później został zastrzelony przez wartownika. Z powodu samowolnego wkroczenia na teren lazaretu oraz usiłowania zgwałcenia osoby należącej do sowieckiego kierownictwa. Zatem on także spoczął na stosie zwłok, układanym w obozie codziennie.

John Frankfurter i Eryka byli już od dwóch lat po ślubie. Za zgodą Zygryda na razie odbył się tylko ich ślub cywilny. Nie ulegało jednak wątpliwości, że tę parę łączy głęboki, serdeczny stosunek.

Siedzieli właśnie przy herbacie o wczesnym zimowym zmierzchu. John, jak zdawało się, był głęboko pogrążony w myślach, prawie ponury. Eryka uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

— Nadeszła odpowiednia pora — stwierdziła — teraz możemy już wyruszyć.

— Tak — odpowiedział półgłosem — a co się w związku z tym tyczy twego brata, to pozwól, że powstrzymam się od wypowiedzania swego zdania o nim. Muszę się przecież liczyć z tym, że ty go bardzo kochałaś.

— Wciąż go kocham i nadal będę kochała bez względu na to, co było i co nadejdzie! Nawet gdyby to było coś okropnego. Ale jestem twoją żoną i mam nadzieję, że resztę życia spędzę razem z tobą. Czy nie brzmi to bardzo po niemiecku?

— Znacznie gorzej — powiedział czule — to brzmi po prostu po żydowsku. — Jednocześnie ujął delikatnie jej obie ręce.

— Nie możesz kochać Zygryda. I wcale nie musisz. To mój brat, a nie twój! Ale on ciebie coraz mocniej niepokoi, prawda?

— Nie bezpośrednio, Eryko, a przynajmniej nie w sferze spraw rodzinnych. Pod tym względem jest on bardzo miłym szwagrem, serdecznym, wielkodusznym, wyrozumiałym.

— Ale na pewno trudno z nim współpracować w interesach?

— Nie mam z nim pod tym względem najmniejszych nawet kłopotów, Eryko, to muszę szczerze przyznać. Zygfryd jest bardzo solidnym, godnym zaufania partnerem. Jeśli o to chodzi, zgadzamy się wspaniale. Wspólnie zdążyliśmy już osiągnąć zdumiewające zyski.

— A jednak jest w nim coś, co ci nie daje spokoju! O co więc chodzi?

— O jego metody! Jego bezwzględna, niewzruszona pewność siebie, jeśli wchodzi w grę osiągnięcie korzyści. Ujawnia się przy tym zimne, mnie osobiście odpychające wyrachowanie. Mam ochotę powiedzieć, że odczuwam wstręt do jego postępowania.

W odpowiedzi na to ostrożnie podsunęła mu myśl:

— Może to zjawisko jest skutkiem czasów, w jakich żyjemy, może jest tylko przejściowe?

— Pozwól, Eryko, moja kochana, że ujmę rzecz w taki sposób. Jego, co tu się stało w ciągu ostatnich dziesięcioleci, żadna siła nie wymaże z kart historii. Nie potrafię nawet domyślić się, co z tych czasów wyniósł twój brat. Co uczyniło go takim, jakim jest teraz. W każdym razie brutalne metody osiągnięcia korzyści, które stosuje wspólnie ze swoim przyjacielem Brandinem, wychodzą na jaw raz po raz i coraz trudniej je znieść.

— W takim razie powiedz, kiedy wreszcie pojedziemy do Ameryki.

— Najchętniej pojechałbym już jutro. Ta para potworów opanowała sytuację. Oni nie tylko utrzymują, że stanowią niezniszczalną jedność, oni naprawdę są braćmi tego samego pokroju. Stali się nimi z konieczności. Wydostali się z otchłani po brzegi wypełnionej trupami.

— Czy nie skłania to ciebie do okazania im litości?

— Całe Niemcy zasługują na litość! Narodowi niemieckiemu bezlitośnie nakazano przelewać krew. Potem porwano się na zniszczenie jego ideałów i powiodło się to bez wielkiego trudu. Naród był gotów na wszystko, byle tylko nie musiał przyznawać się do własnej niebywałej głupoty. Teraz więc zachodzi obawa, że wahadło dziejów wychyli się daleko w przeciwnym kierunku. Dawni gorliwi ideałści stali się łapczywymi materialistami.

- Jeżeli rzeczywiście tak jest, to naprawdę żal mi ich.
- Trzeba się ich bać — stwierdził John całkiem poważnie.

Tomasz Brandin udał się do zamku Rosenburg. Mógł się spodziewać, że czeka tam na niego wspaniały posiłek wraz z wyszukаныmi trunkami. Oprócz tego zaś gwałtowne pieszczoty ze strony jego żony Izoldy.

Kiedy jednak chciała znów rzucić się na niego, powstrzymał ją z poważnym wyrazem twarzy. Nie była go w stanie ułagodzić nawet mająca tworzyć odpowiedni nastrój muzyka z włączonej na pełny regulator amerykańskiej aparatury stereofonicznej. Tym bardziej że Izolda nastawiła Wagnera, pragnąc się nim oszołomić. Tomasz wołał Haydna, lecz ona nie miała o tym pojęcia.

Zasiadł w skórzanym fotelu z szeroko rozstawionymi nogami. Ona, wcale nie bezpodstawnie, odczuła to znów jako rozmyślną prowokację, zresztą jedną z wielu w ostatnim czasie. Zawołała do niego:

— Cóż ci się znów stało? A może coś cię jeszcze od dawna gryzie?

— Ciągłe to samo, Izoldo. Mówiąc otwarcie, nasze małżeństwo nie sprawia mi szczególnej radości.

— Nie opowiadaj podobnych głupstw, Tomaszu! — odparła z oburzeniem. — Przecież powodzi się nam wspaniale! Pod względem materialnym możesz sobie pozwolić na wszystko, czego ci się tylko zachce. Tak samo też ja. Dlaczego nie mielibyśmy być szczęśliwi?

— Zastanów się tylko — drażnił ją podstępnie. — Pobraliśmy się prawie pięć lat temu. Wcale nie mało znaczyło to, że spodziewałaś się dziecka.

— Naszego dziecka! — wykrzyknęła wzburzona. — Dlaczego musisz mi o tym przypominać? Przez całe lata unikaliśmy rozmowy na ten temat. Dlaczego rozdrapujesz bolesne rany? Dlaczego?

Dziecko Izoldy, a był to chłopiec, zmarło przy porodzie. Opłakiwano je szczerze, szczególnie bolał nad jego utratą Werners, który nie doczekał spełnienia swych marzeń o dziedzicu. Postanowił wszakże nie tracić nadziei, ale dotychczas czekał nadaremnie.

— Tomaszu — ostrzegła go — był to naprawdę tragiczny wypadek. Przeżyłam go bardzo boleśnie.

— Rzeczywiście? — zapytał nie bez cienia ironii.

— Bardzo! — potwierdziła, patrząc na niego uporczywie. — Przy-

znając, że starałeś się, byśmy mieli drugie dziecko, ale bez skutku. Nie obwiniam ciebie z tego tytułu, tylko stwierdzam fakt.

— Z pewnym wyrzutem, co?

— Tomaszu, staram się ciebie ostrzec, byś mnie nieustannie nie prowokował! Mogłabym się zresztą zastanowić nad tym, kim jesteś ty i kim ja jestem. I dlaczego naprawdę ożeniłeś się ze mną. Miałabym mianowicie ochotę stwierdzić, że tylko ze względu na miliony mego ojca!

Brandin całkiem obojętnie zniósł wybuch złości, który sam sprokował.

— Przypomnij sobie, jak to było naprawdę! Twoje dziecko, rzekomo siedmiomiesięczne, zdaniem lekarzy było w pełni rozwinięte, chociaż okazało się niezdolne do życia. Zatem musiało począć się bez mego udziału.

— Nie mów tak — krzyknęła — i nie waz się nigdy więcej mówić czegoś podobnego! Możesz przez to stracić wszystko, co zyskałeś dzięki nam, dzięki mnie i memu ojcu! Jesteś moim mężem i to było nasze dziecko! A następnego niestety nie spłodziłeś. Ale to się może jeszcze stać!

Tomasz Brandin zadał sobie pewien przymus, ażeby zbyt wyraźnie nie okazać, jak jest ubawiony, ani też że jest lekko dotknięty w swojej męskiej godności.

— Nie ma sensu, Izoldo, rozmawiać o ewentualnych następnych dzieciach. Lepiej zajmijmy się twoim zmarłym dzieckiem i tym, kto je spłodził.

— To wprost niesłychane! Na co sobie pozwalasz? Natychmiast przestań, bo pożałujesz. Będę zmuszona poinformować o tym mego ojca.

— Dlaczegoż by nie? Możesz mu szepnąć o tym. Ale jednocześnie też o tym, czego ja się zdołałem doszukać. Znam już ojca twego dziecka. Jest nim pewien robotnik zagraniczny.

— To potwarz! — zawołała przerażona i oburzona zarazem.

— To tylko stwierdzenie faktu! — Patrzył na nią obojętnie, nadal rozparty w fotelu. — Udało mi się ostatnio uzyskać od rodzica twego dziecka oświadczenie złożone pod przysięgą. Stwierdza on w nim jednoznacznie, że nie było moje dziecko.

— Nie odważysz się na to, Tomaszu! Ani wobec mnie, ani tym bardziej mego ojca! Byłby to już twój koniec!

— Nie uznaję tego w żadnym wypadku za zagrożenie. Powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, że nie jest mi wcale potrzebna życzliwość twego ojca. To raczej on jest skazany na moją przychylność. Prawdopodobnie jeszcze o tym nie wie. A ty w ogóle nie możesz o tym nic wiedzieć.

— Musiałeś chyba zwariować! — wrzasnęła na niego.

— Dobrze wiem, co mówię — oświadczył krótko. — W tym wypadku faktem jest, że istnieje niejaki Enrico Marcelli. I wówczas, i dziś jeszcze pracownik stacji benzynowej w tej miejscowości pod Hanowerem, gdzie, jak sądził twój ojciec do pewnego czasu, miałaś być bezpieczna. Ten Marcelli złożył jednak urzędowe oświadczenie, że to z nim właśnie odbywałaś w tamtym czasie często stosunek seksualny. A więc w miesiącach poprzedzających nasze zaręczyny, do których było ci tak pilno.

— Cóż więc zamierzasz, Tomaszu? Co chcesz osiągnąć na podstawie tak niepewnych dowodów?

— To ty powinnaś się teraz dobrze nad tym zastanowić — poradził jej. Po czym wstał i wyszedł, pozostawiając ją samą.

Zygfryd Sonnenberg dopiero co wszedł do swego biura. Zaczął opróżniać teczkę. Czyniąc to, był całkowicie świadom, że jego przedsięwzięcia przeżywają niesłychanie bujny rozkwit i rozrost. Zgoła inaczej układało mu się w jego życiu osobistym. Postanowił sobie jednak, że nie będzie się tym dłużej przejmować. Nawet w tej chwili, kiedy już prawie od pół godziny czekał na pojawienie się swojej obecnej żony.

Po spędzeniu paru dni w Monachium na bardzo obiecujących, ale też męczących konferencjach wolno mu było przypuszczać, że przyjdzie się z nim przywitać. Jej jednak nie było spieszo, nie sposób było ją znaleźć. Jak się zdawało, gdzieś sobie poszła. Nie chodziło wcale o to, by jej na to nie pozwalał, ale do pewnych form przywiązywał wagę.

Nareszcie nadeszła tanecznym krokiem Chrystiana Sonnenberg, z domu Clements; od trzech już lat jego żona. Obdarzyła go tak promiennym spojrzeniem, jakby był szczególnie wyróżnianym klientem. Uściskała go mocno, tuląc się jednocześnie, i zawołała:

— Jak to ładnie, że nareszcie jesteś!

Zygfryd zareagował na ten występ w sposób równie ostrożny co

wyrozumiały. Skinął głową, starając się jednocześnie ogarnąć spojrzeniem jej wszystkie wspaniałości.

— Możesz spokojnie zająć się własnymi sprawami, bo ja mam tu jeszcze parę ważnych rzeczy do załatwienia.

Christiana wykazała całkowite zrozumienie. Uważała bowiem, że oboje z Zygfydem są ludźmi niezmiernie tolerancyjnymi jak przystało nowoczesnemu małżeństwu. Wy tłumaczyła mu, że może nią dysponować w każdej chwili; uznała, że powinno mu to wystarczyć. Teraz przywarła do niego piersiami i podbrzuszem, lecz nie wyczuła realnego skutku. Nie dotknęło jej to wcale. Poruszając się kusząco, odeszła żwawym krokiem.

Zygfyrd nie tracił czasu na oglądanie się za nią. Odsunął wyjęte z teczki dokumenty, a następnie udał się do piwnicy. Tam już na niego czekano.

Stara Klementyna, w obszernej jedwabnej sukni, sunęła na jego spotkanie. Z upływem lat wydawała się coraz młodsza, bardziej pogodna i zalotna.

— No, to jesteś nareszcie, mój mały! — zawołała do niego. — Mam nadzieję, że dobrze spędziłeś czas!

— Wspaniale, zwłaszcza jeśli chodzi o interesy — zapewnił ją.

— Dla ciebie to najważniejsze — zgodziła się z nim, po czym mrucząc z zadowoleniem dorzuciła: — ale dla mnie także! Bo twoje sukcesy zapewniają mi przyjemny wieczór życia. Wejdz, proszę!

Wszedł do jej mieszkania, które zdążyło się już przemienić w diablo miłe dla oka wnętrze wysłane pluszem, przeważnie w odcieniach fioleto. Wśród stosów poduszek spoczywały pluszowe misie i lalki.

— Najchętniej sprawiłabym sobie jeszcze koty. Całe stado — wyznała mu. — To stworzenia takie samowolne i przymilne, chociaż mają ostre pazury.

Zygfyrd zapadł w specjalnie dla niego przygotowany, dobrze wymoszczony głęboki fotel.

— Z kotami byłoby ci bardzo do twarzy — przychylił się do jej zachcianki. — Mam ci się wystarać o parę sztuk?

— Nie, mój drogi chłopcze! — odmówiła zdecydowanie. — Zwierzęta powinny brać na wychowanie tylko ten, kto przynajmniej w części może mieć pewność, że je przeżyje. Ile komu pozostało życia, nie wie dokładnie chyba już nikt w Rosenburgu, od kiedy ty tu jesteś razem ze swoim Brandinem.

— Proszę cię, oszczędź mi podobnych komplementów! — odpowiedział, jednak mile połączony. — Natomiast co się tyczy stosunków zachodzących między ludźmi a ich zwierzętami, to przyznaję ci rację. Od samego początku trzeba je układać tak, by były trwałe. Jesteśmy odpowiedzialni za zwierzęta.

— Miewasz mocne napady sentymentu, Zygfydzie! Niekoniecznie w stosunku do ludzi, ale za to wobec zwierząt. Zresztą ja ciebie rozumiem.

— Ludzie — powiedział Zygfyd w zamyśleniu — powinni właściwie zdawać sobie sprawę z tego, co czynią. Mogą zwierzać się sobie nawzajem, dokonywać wyboru, mogą wreszcie postawić na swoim. Zwierzęta tego nie potrafią. Kiedy kochają, okazują tyle oddania i wierności, że ludzkie sympatie wydają mi się przy tym nietrwałe jak śnieg w wiosennym słońcu.

— Spodziewałam się tego po tobie — wykrzyknęła Klementyna, zachwycona, wpatrując się weń z prawdziwym wzruszeniem. — Nie zapomniałeś jeszcze o piesku twego stryja.

— Bardzo możliwe — potwierdził Sonnenberg. — Ciekawe, że wciąż o tym pamiętasz. Tylko ty jedna, nie licząc Brandina, wiesz o mnie tak dużo.

Ów stryj, wiejski gospodarz, był człowiekiem wielkodusznym i niefrasobliwym. Jego bez troski śmiech niejednokrotnie rozładowywał poważne nawet sytuacje. Stryjek ten miał pieska. Było to karłowate, kudłate stworzenie trudnej do określenia rasy. Kiedy ta niezwykła psina musiała się rozstać z życiem, stryj okropnie się spłakał. Zygfyd był mocno wystraszony. Nigdy później nie zobaczył już stryja w wesołym nastroju.

— Pewnie jesteś zmęczony, chłopcze, sprawami finansowymi? — matka Gartner zmieniła temat. — Nie przejmuj się nimi zbyt, bo się w nich zgubisz. Zaparzę ci teraz specjalną kawę. Będziesz po niej znów żwawy. Potrzebne ci to, ażebyś mógł dopaść swojej ofiary.

— Co masz na myśli, matko Klementyno? Na co się zanosi?

— Na całą masę łajdactw, ale niektóre z nich będziesz mógł wykorzystać — zapewniła go z błogim uśmiechem. — Na wszystko, co tylko chciałbyś usłyszeć. Od czego mam zacząć?

— Zacznijmy od Kahlersa.

— Ten dureń — informowała go z pewną przyjemnością — ten

wścibski drapak nie zmienił się ani na jotę. Chodzi mu tylko o zysk, ale przy tym wtyka swoje łapy wszędzie, gdzie tylko spodziewa się korzyści. Obskakuje także twoją żonę. Ale nie on jeden ostrzy zęby na piękną Chrystianę. Chodzi wokół niej ten prymitywny płaz z policji! Obaj bez przerwy popełniają te same głupstwa!

Sonnenberg obojętnie kiwnął głową. Biorąc Chrystianę, sprowadził na własne podwórko coś w rodzaju przynęty.

— Na razie dajmy temu spokój. Co porabia Frankfurter?

— To człowiek honoru, mój drogi chłopaczku, ale odmiany żydowskiej! Jak wiesz, ani trochę nie jestem usposobiona antysemitcko, a jednak on mocno działa mi na nerwy. W czasie twojej nieobecności przesiadywał u ciebie w biurze nawet długo po północy nad całymi stosami dokumentów. Mam nadzieję, że to cię trochę denerwuje?

— Nawet w najmniejszym stopniu nie, matko Klementyno. On jest niezwykle dokładny, a przy tym jest to bądź co bądź mój kierownik handlowy. Zajmijmy się lepiej bardziej zabawnymi sprawami, bo przecież i ty chcesz się trochę rozerwać. A więc tak się zachowuje moja kochana żona Chrystiana?

— Dokładnie tak, jak sam przypuszczasz! — Po prostu cieszyła się tym, co miała teraz do opowiedzenia. — To łajdaczka! Jestem pewna, że nie jest to dla ciebie zbyt wielka niespodzianka. Chyba też się nie martwisz? A może będzie lepiej, jeśli pomnę to milczeniem?

— Mów dalej — powiedział, jakby to była rzecz całkiem oczywista. — Zawsze bardzo potrzebowałem ciekawej rozrywki.

— W takim razie zacznę wyrażać się dobitnie. Twoja żona Chrystiana raz po raz się z kimś przespia i specjalnie przy tym nie przebiera. Robi to bez skrępowania w każdym miejscu, jakie się tylko nadarzy: w toalecie, w magazynie, w twoim biurze, kiedy ty jesteś na wyjeździe w interesach, a okazjonalnie też na schodach przy wejściu do mnie, do piwnicy. Oczywiście nie muszę uważać, mój mały, że jesteś w tej chwili zaszokowany?

— Sprawy te nie są mi całkiem nie znane — powiedział, starając się zachować jak najobojętniej. — Dotychczas nie chciałem dopytywać się o szczegóły. Teraz jednak chciałbym się od ciebie dowiedzieć trochę więcej. Czy to się da udowodnić?

— Naturalnie! Co najmniej dwa, a może trzy razy przyglądałam się temu bezpośrednio. Mogłabym to zeznać pod przysięgą.

- Czy Kahlers jest także jednym z tych, którzy przychodzą do niej?
- Z całą pewnością tak! Ale jego na gorącym uczynku nie przyłapałam. Jednak to także dałoby się udowodnić, jeśli ci na tym zależy.

— Zależy mi na tym, moja droga, dobra staruszko! Chciałbym mieć ładny, możliwie obszerny, przekonujący zbiorek z zaznaczeniem go dziny, miejsca i pozostałych' szczegółów.

Matka Klementyna zaśmiała się z pełnym zrozumieniem.

— Chcesz więc nagromadzić jak najwięcej materiału wybuchowego?

— Byle tylko przedwcześnie nie narobić bałaganu w moim przedsiębiorstwie. Muszę mieć na względzie także to, że moja kochana żona jest bardzo łaskawa dla tego bądź innego spośród moich pracowników. W samej rzeczy zachęca ich to do bardziej wydajnej pracy, a może też stanowi nawet rodzaj specjalnej premii.

Klementynę ubawiło to niezmiernie.

— Od dawna wiedziałam, że szczwana z ciebie bestia! Już od dłuższego czasu spostrzegłeś, kto się kręci wokół tej szelmy: zagraniczni robotnicy zatrudnieni przy strzyżeniu, wypachnieni mikserzy kosmetyków, modnie ubrani przedstawiciele handlowi i na dodatek wielce szanowny burmistrz i ten jego bufon z policji. Kto by ich tam zresztą zliczył? Ty jednak nie tylko znosisz to, ale wszystko dobrze wkalkulowałeś w koszty!

— Zgadłś! — potwierdził serdecznie Zygfryd Sonnenberg. — Ale wszystko we właściwym czasie! Zanim z zyskiem sprzedamy te owce, pozwól mi nabrać tłuszczu. Mogę liczyć na twoją pomoc?

Nie musiała go zapewniać o swoim absolutnym oddaniu; skinęła tylko głową. On zaś pożegnał się z nią, nie zapominając jednak przed wyjściem położyć jej dyskretnie na stole koperty z kilkoma banknotami. Potem udał się z powrotem do swego biura.

Czekała tu już na niego Chrystiana, wyraźnie podniecona i zaniepokojona.

— Byłeś u tej Klementyny? — zawołała. — Czy czasem nie nagadała ci czegoś o mnie?

— Tylko same dobre rzeczy — zapewnił i pogłaskał ją po karku, co ją tak dalece uspokoiło, że przytuliła się do niego jak kotka. Potem mówił dalej: — Słyszałem, że ostatnio kilkakrotnie spotykałaś się z Kahlersem. Na pewno ze względu na dobre stosunki pomiędzy nim a mną, na których mi zależy.

- Jedyne w tym celu! — potwierdziła szybko. — Ze względu na ciebie. To znaczy zgodnie z twoimi zamiarami i na pewno nie będziesz miał do tego żadnych zastrzeżeń.

— Nawet najmniejszych, Chrystiano. Konrad jest nie tylko moim współnikiem, ale także przyjacielem z młodych lat! Jestem zadowolony ze wszystkiego, co przyczynia się do zgody przynoszącej korzyści. — Zauważył, że ona głęboko odetchnęła. Wobec jego lisiej przebiegłości była po prostu głupią gęsią. — Ciekaw jestem, o czym rozmawiałaś z Konradem? Zwróciłaś przy okazji na coś uwagi?

Wciąż jeszcze czuła na karku jego ręce mistrza — delikatne w dotyku, ale zdolne też mocno trzymać.

— Mówiliśmy po prostu ot tak, o wszystkim. Ale przy tym przypominam sobie, pytał mnie, czy zajmujesz się pewnym projektem, który nazwał Południowym Osiedlem Leśnym lub jakoś podobnie. Co to jest właściwie?

— Wyjaśnię ci to przy okazji — obiecał jej Zygfryd, wręcz wdzięczny za zdobytą informację. — Jesteś dobrym, godnym zaufania dziewczęciem. Postaraj się pozostać nadal taka! Tak długo, jak tylko potrafisz.

Werners — właściciel ziemski, we własnym najgłębszym odczuciu wciąż jeszcze „general”, a obecnie również właściciel Zjednoczonych Cegielni i Cementowni w Rosenburgu, w skrócie ZCCR, sądził, że osiągnął następny szczytowy punkt swego nader szczęśliwego zresztą życia. Toteż zachowywał się odpowiednio do tego. Największą komnatę w zamku Rosenburg przekształcił w swoją rezydencję. Wiszące na ścianach portrety przodków, które zdążono już odnowić na wysoki połysk, obrzeżały pustą salę. Pośrodku stało potężne dębowe biurko. Przy tym biurku królował on osobiście. Tam też, w sposób nie pozbawiony władczej przychylności, udzielił przesłuchania swemu zięciowi i kierownikowi handlowemu, Brandinowi.

— Proszę wejść, mój drogi. Niech się pan przysiadzie do mnie i opowiada!

Tomasz Brandin zastosował się do tego wezwania, jakkolwiek nie zrobiło ono na nim najmniejszego wrażenia. Od lat już przywykł do tego ceremoniału. Usiadł, chociaż gospodarz nie podał mu ręki na powitanie. Otworzył teczkę i wyjął z niej plik dokumentów.

Werners doznawał wrażenia, że w Niemczech, a szczególnie w Rosenburgu, uznaje się go nareszcie za pełnowartościowego obywatela. Zdążono go już powołać na prezesa miejscowego, bardzo wpływowego Stowarzyszenia Żołnierzy i Weteranów, natomiast Niemiecki Związek Tradycji Żołnierskiej wybrał go do swego zarządu. Poza tym miał poważne wpływy w Fundacji Niemieckiej, Związku Wygnanych z Ojczyzny i Organizacji Pomocy Dla Byłych Żołnierzy Frontowych.

Wszystko to napawało go spokojem, a on sam uważał, że jest to poczucie własnej godności, na które rzetelnie zapracował.

— Niech więc pan zaczyna, Brandin! Jak tam idą interesy?

— Że się tak wyrażę, świetnie! Idą dobrze. Jednakże poza tym...

— Najpierw służba — zdecydował niechętnie Werners — a dopiero potem przyjemność lub raczej sprawy osobiste. Zatem w jakim stanie znajduje się projekt Południowego Osiedla Leśnego?

Był tą sprawą niezmiernie zainteresowany, w czym niepoślednią rolę odgrywały względy zupełnie idealistyczne, co chętnie podkreślał. Tym bardziej że od czasu do czasu nie szczędzono mu przykrości. Na przykład bezskuteczne okazały się starania zacnych współobywateli oraz rozmaitych dobrych kolegów w Bundeswehrze, ażeby kompleks koszarowy, przewidziany do zbudowania na Łąkach Północnych, nazwać jego imieniem, to znaczy postawić tam „Koszary generała Wernersa”. Skończyło się to fiaskiem z winy niesłychanego uparciucha Sonnenberga i jego zwolenników z niepatriotycznych partii. Gardził tym Sonnenbergiem z całego serca. Udało mu się jednak go przechytzyć, i to dzięki Izoldzie! Potrafiła ona bowiem poniekąd odłączyć Brandina od Sonnenberga. Dzięki temu Werners mógł go wziąć do siebie, jak się okazało — ze świetnym wynikiem.

Brandin nadal zdawał sprawę.

— Południowe Osiedle Leśne mamy już, to znaczy pan ma, prawie zapewnione. Życzył pan sobie, to jest rozkazał pan, więc przygotowałem to.

— Brawo! — zawołał z uznaniem Werners.

Sądził, że właściwie ocenia sytuację. No dobrze, nawet generał jego formatu może przegrywać bitwy, o wszystkim decyduje jednak wygrana kampania. To właśnie spaskudził mu kiedyś ten kapral Hitler.

Teraz wydawało się, że niemiecki ogół, który zdążono już odpowiednio przygotować, zdradza chęć poznania autentycznego obrazu tych

czasów. Dlatego też uważał za wskazane rzucić na rynek książkowy swoje własne doniosłe wspomnienia. Przygotowywał je, korzystając z pomocy byłego korespondenta wojennego, który skrzętnie gromadził materiały. Całe to starannie przygotowane dzieło miało nosić tytuł *Niemiecki żołnierz — prawdziwy nieprzyjaciel Hitlera*.

Zamiar ten uskrzydlał go, ale nie pochłaniał całkowicie. Wypadało najpierw usunąć z drogi parę przeszkód i położyć podwaliny pod przyszłe działania. Południowe Osiedle Leśne było w tej chwili najważniejsze.

— Przypuszczam, Brandin, że podjął pan wszelkie stosowne przygotowania?

— Podjąłem, dla pana.

— Człowieku, należy mówić „dla nas"! Bądź co bądź ma pan w tym swój procentowy udział.

Z przedsięwzięcia tego można było rzeczywiście osiągnąć pokaźne zyski. Projekt Południowego Osiedla Leśnego miała realizować pewna szwajcarska firma z siedzibą w kantonie Ticino. Ze względu na podatki była to okoliczność nader pomyślna. W tym celu konieczne było zainwestowanie dziesięciu milionów marek. Dzięki temu, po dokładnym skalkulowaniu, niemal pewne stawało się uzyskanie piętnastu milionów, co dawałoby zysk w kwocie okrągłych pięciu milionów.

— Ma pan przecież zamiar mieć w tym swój udział, Brandin?

— Bardzo bym tego chciał, panie Werners! Biorąc jednak pod uwagę stan rzeczy w sferze życia osobistego, obawiam się, że to chyba nie będzie możliwe.

Werners, jakkolwiek w najwyższym stopniu zaniepokojony, podniósł uspokajającym ruchem obie ręce. W jego głosie zabrzmiała nutka kategorycznego rozkazu.

— Proszę się wziąć w garść, Brandin. Panie Brandin! Jestem dobrze poinformowany o pewnych kłopotach, jakie, pańskim zdaniem, ma pan z moją córką. Lecz nawet to nie może pana zwolnić od zobowiązań, jakie pan ma wobec mnie.

— Ale na skutek tego stają się one niezmiernie uciążliwe. Poddaję to panu pod rozważę.

— Człowieku! Proszę nie myśleć o dezercji! — zawołał Werners. — Niech pan uprzejmie odłoży na bok przykre, prymitywne przesady. Proszę pozostać ze mną na froncie!

Miał oczywiście na myśli swój projekt inwestycyjny na obszarze lasu południowego. Miało tam powstać supernowoczesne osiedle, któremu by później dano nazwę „Osiedle Wernersa”. Teren należał, prawie po połowie, do władz krajowych i gminy. Obaj właściciele, jak się okazało, byli jednak gotowi sprzedać tę ziemię za umiarkowaną cenę. Przygotowania do tego poczynił już wcześniej burmistrz Kahlers, który także tym razem starał się aktywnie działać „dla dobra naszego ukochanego miasta Rosenburga”.

— Nie będzie pan chyba chciał stwarzać mi trudności, panie Brandin, tam gdzie mamy szansę całkowitego zaangażowania się? Wszystkimi środkami, jakimi dysponujemy!

Dla Wernersa marka niemiecka miała przypuszczalnie tę samą wartość, co posłuszny żołnierz. Z jego punktu widzenia chodziło więc o pokazną armię. Właśnie zamierzał użyć jej w celu wygrania bitwy. Będąc jednakże prawdziwym dowódcą wyczuwał, że gdzieś się czają ukryci wrogowie i partyzanci. Na domiar złego — w jego własnym domu!

Pomimo to zachował się dyplomatycznie.

— Cóż więc pan zamierza? Czyżby się pan ważył na wciągnięcie do udziału w tym przedsięwzięciu także swego przyjaciela Sonnenberga? Chyba nie. Bo to, jak się pan zapewne zorientował, poważnie zmniejszyłoby pański zysk.

— Sonnenberg ma z pewnością aż nadto kłopotów — powiedział Brandin, a brzmiało to dość przekonująco. — Jak mi się zdaje, przebrał on już miarę w swoich własnych przedsięwzięciach. Na pewno z przyjemnością pan tego słucha, panie Werners?

— Z przyjemnością słucham! Oczywiście — odpowiedział skwapliwie Werners. — Człowieku! Kto może nam przeszkodzić w zabranii się do realizacji tego wspaniałego projektu? To nie tylko nam się opłaca, ale zapewni też rozgłos! Proszę tylko pomyśleć, że zbudujemy dla ludzi domy, nad domem słońce, wewnątrz ciepło, przed domem ogród. Mój dom jest moją twierdzą! Musi pan wziąć w tym udział!

Brandin poczuł się bezsilny wobec tej bezgranicznej pewności siebie. Zdawało się nawet, że już skapitułuje.

— Dobrze już, panie Werners. Jeśli pan bezwarunkowo obstaje przy tym, to zrobię to jeszcze dla pana.

Werners odniósł wrażenie, że Brandin jest gotów mu ulec, toteż poczuł

swoją ostateczną nad nim przewagę. Jako generał zdał sobie mianowicie sprawę, że człowieka należy „wziąć w garść” i jednocześnie zagrzewać go obietnicami. Dawniej wchodziły w grę awanse i odznaczenia, a dzisiaj — korzyści materialne. Przecież różnica między zasługą a zarabianiem nie jest zbyt wielka.

— No, to zgoda między nami?

— Jeśli chodzi o interesy, to zgoda, panie Werners, ale w sprawach osobistych niestety nie. Pod tym względem muszę się domagać obiektywnego wyjaśnienia bez względu na to, jakie wynikną z tego konsekwencje.

Werners wykonał gest odmowny.

— Wszystko po kolei. Najpierw trzeba rozkręcić przedsięwzięcie i dopiero potem zobaczymy co dalej. Zgoda?

— Nie pozostaje mi nic innego — odpowiedział życzliwie Brandin. — Zagadnienie, co począć z małżeństwem z pańską córką Izoldą, pozostawię do rozwiązania na później.

— Człowieku! — upomniął go rubasznie Werners. — Niech pan nie plecie wciąż tego samego w kółko! Musimy teraz skoncentrować wszystkie siły do następnego natarcia, które zadecyduje o wygraniu bitwy! Pod żadnym pozorem nie wolno panu zboczyć z tej drogi! — Potem, na domiar wszystkiego, Werners przytoczył pewną odpowiednio przystosowaną grecką sentencję, jak gdyby chciał uczcić doniosły moment historyczny: — „Dla człowieka nie ma rzeczy niemożliwych”!

Córka Zygryda Sonnenberga, Dagmara, miała już dwadzieścia pięć lat. Wyrosła na bardzo zmysłową, ciemnowłosą piękność. Zewnętrznie była coraz bardziej podobna do matki. Przez całe lata przywiązywała szczególną uwagę do rozwijania swej umiejętności prowokowania awantur, co sprawiało jej niemalą przyjemność.

W praktyce znacznie bardziej niż dawniej lubiła stosować drogę okrężną — nie występowała osobiście, wołała natomiast obrać sobie kogoś za konia trojańskiego i po starannym przygotowaniu wprowadzić go do akcji. Tym razem wchodził w grę pewien człowiek zajmujący się polityką, z natury już mocno zarozumiały, którego pewność siebie potrafiła umiejętnie podsycać.

Jego nazwisko nie miało znaczenia, podobnie też jego przekonania

polityczne. Było to coś w rodzaju skrzyżowania Lenina z Marksem i Mao Tse-tungiem. Odpowiednio do tego przedstawiała się jego powierzchowność — długa broda, proletariackie zachowanie, ubiór jak u chińskich komunistów. Jego to właśnie przyciągnęła Dagmara na urodziny ojca. Na ogół nie obchodzono ich uroczystości, gdyż wypadały na dwa dni przed Wigilią. Tym razem były to jednak jego pięćdziesiąte urodziny. Z tej okazji zaprosił rodzinę i przyjaciół do domu na „oblewanie”.

— Właściwą uroczystość, połączoną z przyjęciem, urządzimy jak zawsze dotychczas w drugi dzień Bożego Narodzenia! — obwieścił jako pan domu.

Był dzień 22 grudnia 1959 roku. Wieczorem znaleźli się w domu Sonnenbergów wszyscy, którzy utrzymywali i o których należało sądzić, że są bliscy Zygfydowi. A więc, oprócz jego żony Chrystiany, przyszła też matka Klementyna. Obie z wymuszoną grzecznością, stale gotowe jedna drugą zaatakować. Następnie siostra Zygfyda Eryka ze swoim Johnem. Patrzył na nich ze wzruszeniem, gdyż w jego oczach ich związek wciąż jeszcze stanowił niezniszczalną idyllę. Dalej nieodstępni przyjaciele z czasów młodości, Konrad Kahlers i Jurgen Wiese, którzy po błażeńsku zabiegali o względy Chrystiany. Wreszcie Tomasz Brandin. Przyszedł sam i siedział tuż obok Zygfyda, jak brat przy bracie. No i oczywiście córka Dagmara wraz z należycie przez siebie zaprogramowanym politykiem.

— Jest nas tu coraz mniej — stwierdził Zygfyd, podnosząc kieliszek.

— A wkrótce — odezwał się refleksyjnie Tomasz — może nas tu być jeszcze mniej.

Kahlers nie sądził, by to mogło dotyczyć jego.

— Nasza przyjaźń przetrwała dziesięciolecia i nigdy nie wygaśnie.

— Nigdy! — potwierdził natychmiast Jurgen Wiese.

Tomasz próbował nawiązać z Dagmarą kontakt wzrokowy. Ona była jednak zajęta wlewaniem okazałych dawek alkoholu w młodocianego gwiazdora polityki. Poskutkowało to już wkrótce. Chwiejąc się, wstał i powiódł wokół spojrzeniem jeszcze bardziej wzdarczym niż dotychczas. Następnie obwieścił to, co go nurtowało, a więc to, co chciała od niego usłyszeć Dagmara.

Pierwszym, przypuszczalnie dokładnie wskazanym mu obiektem zniewag stał się Zygfyd Sonnenberg. „Polityk” popatrzył na niego

przez chwilę w milczeniu, jakby miał przed sobą jakiegoś niezwykle stwora. Potem zawołał bełkotliwym głosem:

— Powiadają, że pan jest dobrym człowiekiem, panie Sonnenberg. Podobno jest pan nawet filantropem. Dlatego też jest pan w najwyższym stopniu podejrzany! Dąży pan podobno do stworzenia w zakładzie dobrej atmosfery, pojąc swoich kulisów muzyką. Lub stara się pan poufałą gadaniną zamroczyć swoje pszczoły robotnice; za pomocą paru skrzynek darmowego piwa, które pan kupuje po cenach ulgowych i potem jeszcze odejmuje od podatku. Człowieku! Jest pan jedynie typowym wyzyskiwaczem, bezwzględny geszefciarzem! Coś takiego jak pan należałoby zabalsamować, a potem wystawić na widok publiczny na przestrogę dla potomnych!

Niektórzy spośród obecnych byli przerażeni, inni oburzali się, a wszyscy z niepokojem spoglądali na Sonnenberga. Ujrzeni wszakże na jego twarzy uśmiech. Uśmiechał się niezwykle przyjaźnie, wyrozumiale, a nawet zachęcająco. I nie przestawał się uśmiechać.

Młody człowiek, nadal z radością zachęcany przez Dagmarę, kazał sobie podać szklankę, do której nalała mu dzinu, po czym wychylił tę szklankę do dna, jakby był bliski śmierci z pragnienia, a następnie zwrócił się z kolei do żony Zygryfda. Wyprostowanym palcem wskazał na Chrystianę.

— A teraz do pani mówię. Co pani sobie wyobraża? A raczej za kogo pani się uważa? Czy pani nie rozumie, że jest pani tu jedynie przedmiotem wyzysku? Wykorzystują panią, posługują się panią wbrew przeznaczeniu. Podoba się to pani? Gdzież więc jest pani kobieca świadomość? Pani poczucie własnej wartości?

— Czego on chce? — zapytała speszona Chrystiana. — To wszystko brzmi nadzwyczaj dziwnie. Muszę tego spokojnie słuchać?

— Oczywiście nie, szanowna pani! — wmieszał się Jurgen Wiese, już prawie gotów wystąpić służbowo. — Stanowczo wypraszamy sobie tego rodzaju aroganckie zachowanie! Mamy do czynienia z poważnym nadużyciem gościnności, którą tak bardzo sobie cenimy. Wyrzuć tego awanturnika, Zygrydzie!

— Dlaczego znów? Gościnności nie powinno się ograniczać. Daje mu ona prawo mówienia wszystkiego, o czym jest przekonany. Chętnie posłucham go jeszcze.

— Panie! — zawołał prawie już do nieprzytomności pijany młody człowiek. — Nieprzeciętny z pana człowiek. Mówię to z pewnym

uznaniem! Niech pan tylko nie próbuje chytrze powoływać się na tolerancję. Mnie w każdym razie nie zamąci pan tym w głowie. Jestem jednym z tych, którzy potrafią myśleć w miarę przytomnie. Dagmara także jest taka!

Po ponownym wzmocnieniu alkoholem, który mu zaaplikowała Dagmara, zaczął się chwiać jak trzcina na wietrze. Spojrzenie utkwił w swoim głównym nieprzyjacielu, jakiego mu tu nastreczono, to jest w Sonnenbergu. On uśmiechał się jednak nadal, absolutnie nic po sobie nie okazując.

Z kolei zabrał głos Kahlers:

— Przepraszam, ale muszę się stanowczo sprzeciwić! Niepewność i pokrzykiwanie są jak brat i siostra. Młodzieńcza naiwność już bardzo często manifestowała się jako czynnik wywrotowy, czyniąc to jednak w sposób nader prymitywny. Tacy wichrzyciele zakłócają tylko jasny, przemyślany postęp.

Pijany młodzieniec, bez przerwy podbechtywany przez Dagmarę, zwrócił się do Kahlersa:

— Jak też pan się tu czuje? Zapewne tak jak rozplodowy buhaj, który dostał nagrodę na wystawie? Kręci się tu, bo kroją mu się niesłychane interesy. Rzekomo dla Rosenburga, a naprawdę tylko dla kompanów partyjnych. Sam też nie będzie wśród nich ostatnim!

— Nonsens! — krzyknął oburzony Kahlers. — Czy muszę tu wysłuchiwać podobnych rzeczy, Zygfrydzie?

— Lepiej tu niż gdzie indziej — trzeźwo zauważył Sonnenberg. Z ciekawością przyglądał się głościelowi moralów, którego przyprowadziła Dagmara. — Ale to jeszcze nie wszystko, jak przypuszczam.

Zdecydowany na wygłoszenie w tym miejscu swoich przekonań do końca brodacz ze szklistymi już oczami, lecz jeszcze donośnym głosem ciągnął:

— Gdziekolwiek się spojrzy, nie sposób dostrzec choćby śladu przyzwoitości bądź poczucia odpowiedzialności! Nie mówiąc już o godności! Wszędzie tylko pod płaszczykiem demokracji machinacje niejakiego Kahlersa lub zakłamaný rzekomy socjalizm niejakiego Sonnenberga. Pomijając już bezwstydné praktyki Wernersa! A wszyscy znajdują pomocników: potakujących urzędników, oszukańczych księgowych, spekulantów, bez wahania czepiających się ich jak rzep psiego ogona! Do tego ostatniego gatunku należy Brandin, podły sługus!

— Przejrzał mnie na wylot! — zaśmiał się Tomasz, nie przejmując się tym wcale. — Zgoda! Kogo jeszcze oprócz mnie?

Zdeklarowany polityk czynił mało skuteczne wysiłki, ażeby utrzymać się w pozycji pionowej. Wsparła go jednak Dagmara, nie przestając zachęcać do aktywności. On zaś rozejrzył się raz jeszcze wokół i dojrzał Johna Frankfurtera.

— A kimże jest pan? Kim chce pan być? — zapytał go. — Żydem? Ostrożnie, bo się roześmieję! — Był już bliski torsji. — Pan też jest w samej rzeczy tylko jeszcze jednym wykonawcą w służbie tych dotkniętych kompletną zarazą Niemców! Nie wstyd panu?

— Czy naprawdę muszę się wstydzić? — zapytał sam siebie John Frankfurter, jak gdyby się nad czymś zastanawiał.

— Tego już stanowczo za dużo! — zawołała Eryka, w najwyższym stopniu zaniepokojona.

— Ja tego krzykacza zaaresztuję! — oświadczył Jurgen Wiese, mocno oburzony. — Podobny typ nie powinien po prostu pozostawać na wolności!

— Zamknij z łaski swojej ordynarny nażarty pysk, glino! — ryknął brodac. — A może ci zależy na tym, ażeby ci wypolerował facjatę?

Nie doszło jednak do tego, gdyż młodzian w stylu Marksa i Mao, zaśliniony, zwałił się z hałasem na podłogę i już się nie podniósł.

— Pozostawcie go mnie! — zaproponowała matka Klementyna, żadna wrażeń. — Wyciągnę go stąd do siebie, do piwnicy. Tam spróbuję przywołać go do przytomności.

Klementyna pochwyciła go, dźwignęła w górę i wyniosła z pokoju. Jak niemowlę w powijkach. Fizycznie ciągle jeszcze była niezwykle silna.

Wszyscy patrzyli na wyczyn Klementyny z podziwem i wcale nie mniejszą ulgą. Ta niesamowita kobieta znów zademonstrowała miastu pyszne widowisko. Niektórzy z obecnych mieli ochotę nagrodzić je oklaskami. Siostra Zygryda, Eryka, zareagowała inaczej. Uwolniła się od dłoni męża, który uspokajał ją, głaszcząc jej ręce, wyprostowała się sztywno w fotelu i powiedziała:

— Wiesz o tym, Dagmaro, że bardzo cię kocham. Uważam jednak, że nie powinnaś być pozwalając sobie na urządzenie aż takiej prowokacji. Ze względu na swego ojca, zwłaszcza w dzień jego urodzin.

Również Chrystiana spoglądała na Dagmarę z naganą, na co ta nie

zwracała uwagi. Kahlers i Wiese kiwali głowami, zgadzając się z Eryką. John powstrzymywał się od uwag. Z coraz większym zainteresowaniem przyglądał się natomiast Sonnenbergowi i Brandinowi. Wymieniali oni znaczące spojrzenia, czyniąc to wszakże dość ostrożnie. Wreszcie odezwał się Zygryd:

— To powszechne pranie brudów ogromnie ożywiło nasze spotkanie. Tym bardziej że ja nie czuję się dotknięty. — Spojrzał wprost na swego przyjaciela Tomasza. — Co sądzisz o tym?

— Należałoby spróbować wyświetlić niektóre sprawy — dość zdecydowanie zwrócił się do Dagmary. — Byłabyś gotowa rozmówić się ze mną i wyjaśnić co nieco? W cztery oczy?

— Ależ oczywiście — zapewniła go z miejsca — spodziewam się tylko, że obiecujesz sobie po tej rozmowie to samo, co i ja.

— Porozmawiajcie sobie na ten temat w miarę gruntownie — zachęcił ich Zygryd.

— Chodź no ze mną dziewczyno — zawołał Brandin.

Dagmara poszła za nim na górę, ciekawa jak sroka. Po chwili znaleźli się w laboratorium na najwyższym piętrze i spojrzeli na siebie z wy-czekiwaniem.

— A więc, moja droga Dagmaro — zaczął Tomasz tonem niemal mentorskim. Najwidoczniej usiłował zapobiec wytworzeniu się pomiędzy nimi atmosfery poufałości. — Zawsze starałem się zrozumieć ciebie i zawsze miałem nadzieję, że ty zrozumiesz nas, swego ojca i mnie.

— Jakie tam zrozumienie! Przejrzałam was na wylot!

— W takim razie musiałaś się zorientować, Dagmaro, że znajdujemy się w sytuacji skrajnie trudnej. Stoimy w obliczu skomplikowanych i dla nas wszystkich ogromnie uciążliwych pertraktacji i decyzji.

— Znów to samo! — Dagmara pogardliwie machnęła ręką. — Bez przerwy utrzymywaliście to samo, przez całe dziesięć lat, kiedy rozpychaliście się tu i sadowiliście coraz wygodniej. Ale ten cyrk, który urządzaacie w Rosenburgu, nie może trwać wiecznie, zwłaszcza dla mnie! Kiedyś wreszcie muszą ustać wasze, a szczególnie twoje wielkie przyrzeczenia.

— Dotrzymam ich, Dagmaro! Jeszcze odrobinę cierpliwości.

— Nie! — Głos Dagmary brzmiał niemal radośnie. — Chcę wreszcie wiedzieć, na jakiej pozycji stoję, Tomaszu. A ty powinieneś mnie zapytać, dlaczego chcę wiedzieć.

— A więc dlaczego?

— Chodzi mi o ciebie! Ale też o nas oboje! Otwarciem powiem ci, że jest nareszcie odpowiednia pora na fakty dokonane. Zbyt długo już czekam i nie mam zamiaru czekać dłużej. Musisz to pojąć. Przyjmijmy nareszcie do wiadomości, że istnieję tu dla ciebie! Czy ty też żyjesz dla mnie?

— Tak — zapewnił ją prawie uroczyście. — Jeśli tylko ty, Dagmaro, jesteś absolutnie pewna, że mnie kochasz, to teraz wszystko ułoży się pomyślnie.

Laboratorium wraz z całym wyposażeniem, a więc pustym stołem pośrodku, schludnymi półkami, ustawionymi w rzędy butelkami, garnuszkami i szklankami, ze świetlikami w pochyłej ścianie, przez które widać było zasnuwane chmurami zimowe niebo, mogło naturalnie nastrajać bardzo otrzewiająco. Oni nie dostrzegali jednak tego wszystkiego. Oboje zerkali na leżankę, stojącą w kącie za nimi, przystrojoną kolorowymi kwiecistymi kocami i poduszkami, co czyniło ją podobną do małego, rozświetlonego ogródka. Podeszli do niej oboje, jakby ich tam ciągnęła jakaś magnetyczna siła. Dagmara bezwolnie opadła na leżankę, bez przerwy wpatrując się w Tomasza szarozielonymi, błyszczącymi oczyma. Mrugnęła do niego zachęcająco, a on, ani przez sekundę nie zwlekając, położył się obok niej.

Kiedy już wszystko się dokonało, rozłączyli się. Czuli się tak, jakby nareszcie udało się im naprawić zaniedbanie trwające dziesięć lat. Co uczynili z ogromną radością.

— Tylko ciebie jedną kocham, Dagmaro, od chwili gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Ale ostatecznie stało się, moje kochanie!

— Tak, Tomaszu, teraz istniejemy dla siebie tylko my oboje.

Ubierali się, przyglądając się sobie czule. Znów padli sobie w objęcia i przeniknęło ich drzenie. Nagle Dagmara stwierdziła bardzo trzeźwo:

— Ale ty jesteś żonaty. Do tego nie tylko ze swoją żoną, ale także z pieniędzmi Wernersa.

— To złudne wrażenie — powiedział Tomasz. Wydawało się, że wcale nie przejął się stwierdzeniem Dagmary.

— Sądziś, że będziesz się mógł uwolnić od tego? Na przykład gdybym zaszła w ciążę?

— Wiedz o tym, Dagmaro, że oprócz przyjaźni z twoim ojcem nigdy

nie uznawałem żadnych trwałych związków. Ty zaś jesteś jego córką. Zatem w wypadku, gdybyśmy mieli dziecko, z przyjemnością zostanę jego ojcem!
Istotnie wierzył w to, co mówił. Ona również. Tacy już są ludzie.

Panorama pięciu lat, które tymczasem minęły — w Rosenburgu, w okolicy i na pozór daleko poza nim od 1956 do końca 1959 roku.

W roku 1956 znów nie przyznano nikomu Pokojowej Nagrody Nobla. Tymczasem światowy potencjał nuklearny oceniano na około 50000 bomb. 35000 przechowywano w arsenałach Stanów Zjednoczonych, a 15000 w ZSRR. Sąd konstytucyjny Republiki Federalnej Niemiec orzekł delegalizację partii komunistycznej. Hitler został urzędowo uznany za zmarłego.

W tym samym roku zmarli: Erich Kleiber, wybitny dyrygent niemiecko--austriacki, oraz Emil Nolde, ekspresjonistyczny malarz, prześladowany przez narodowych socjalistów jako „zdegenerowany”, twórca cudnie jaśniejących pejzaży. Sir Alexander Korda, węgiersko-brytyjski twórca filmów i jeden z dyktatorów współczesnego kina również nie przeżył tego roku.

W roku 1957 Francuz Albert Camus otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Natomiast zmarli: Kathe Dorsch, słynna aktorka niemiecka; Ralph Benatzky, który odniósł sukces jako kompozytor „Białego konika”; Beniamino Gigli, wspaniały włoski tenor, czczony jako następcą Carusa. Ponadto Curzio Malaparte, Erich Ponto i Erich von Stroheim — ten ostatni zwany też „Hunem z Hollywood”.

Szostakowicz skomponował swoją 11 Symfonię; Henry Moore wystawił „Ginącego wojownika”. Reżyser filmowy Lean stworzył „Most na rzece Kwai”, Lumet „Dwunastu gniewnych ludzi”. Nadal umierali: Max Ophüls, Europejczyk w Ameryce; we Francji Sacha Guitry, Christian Dior i Charles Pathe, pionier filmu.

W owych latach burmistrz Kahlers zaczął planować wybudowanie w Rosenburgu „domu spotkań”. Miały się w nim mieścić sale przeznaczone na dyskusje polityczne, a także na koncerty i przedstawienia teatralne. Poza tym hala sportowa i kryta pływalnia. Przewidywano również bibliotekę, nazywaną też „księżnicą ludową”. Cementownia Wernersa, zarządzana przez Brandina, produkowała taśmowo gotowe

elementy budowlane. Sonnenberg wprowadził na zachodni rynek swój pierwszy preparat kosmetyczny, uznany w skali ogólnoświatowej. Był to krem zalecany na noc, skuteczny nawet przy bardzo szorstkiej skórze, skomponowany na bazie płatków kwiatowych.

Następnie, w roku 1958, następcą surowego papieża Piusa XII został obrany niezwykle pogodny Jan XXIII. Niejaki Chruszczow został premierem ZSRR. Złożył on wizytę Mao Tse-tungowi i nawiązał rozmowy z Kennedym. Szach Iranu rozwiódł się ze swoją żoną Sorayą. De Gaulle ścisnął się z Adenauerem.

Borys Pasternak dostał Literacką Nagrodę Nobla. Johannes R. Becher, przedtem jedynie poeta, lecz potem również „zasłużony” działacz kulturalny NRD, zmarł; urządzono mu państwowy pogrzeb, co poetom zdarza się niezmiernie rzadko. Stosowanie pigułki zapobiegającej poczęciu zaczęło się szerzyć w tempie epidemii. Groziło to upadkiem od wieków przestrzeganej „moralności seksualnej”.

W roku 1959 ludzie ze skrajnej prawicy sprofanowali synagogę w Kolonii. Adenauer pojechał do Paryża, ażeby się tam spotkać z de Gaulle'em. Spotkał się jednak też z Eisenhowerem i MacMillanem. Niemcy (Zachodnie) były znów kimś! Chińska Republika Ludowa zajęła Tybet. W Europie powstał Wspólny Rynek. Zmarł Mario Lanza, amerykański tenor pochodzenia włoskiego, uznany następca Gigliego i Carusa, mając niewiele ponad trzydzieści lat. T.S. Eliot napisał dramat wierszem *Mąż stanu*, Jean Genet *Balkon*, a Gunter Grass *Blaszany bębenek*. Graham Greene, zapewne najlepszy narrator tego stulecia, znów był „podejrzany” o kandydowanie do Nagrody Nobla.

Wśród zmarłych znalazł się najznakomitszy oskarżyciel niemieckiego wojującego kapitalizmu, George Grosz. Niemal razem z nim także pełen tajemniczości, dogłębny rysownik wielkiej grozy Alfred Kubin. Również Hans Henry Jahn, organomistrz i organista, a też pisarz, władca fantastycznego świata dźwięków, rozstał się z tym światem, który go nigdy naprawdę nie uznał.

W Rosenburgu krótko przed końcem roku 1959 miał miejsce długo oczekiwany punkt kulminacyjny, a mianowicie „Wielka Konferencja”.

Tak zwana szumnie Wielka Konferencja, starannie przygotowana przez wszystkich zainteresowanych, odbyła się dnia 23 grudnia, a zatem

w przeddzień Wigilii. Miejszem jej był służbowy gabinet burmistrza Kahlersa, a czasem — godzina dwunasta w południe.

Oprócz burmistrza Kahlersa i dwóch oddanych mu referentów do spraw budownictwa, planowania i komunikacji, byli obecni przedstawiciele dwóch największych w mieście grup interesów.

Najpierw grupa Wernersa. Przewodził jej osobiście generał. Szytwny jak kij, siedział dumnie, jak gdyby postanowił nie ulec żadnemu wrażeniu ani tym bardziej zachwiać się. Obok niego usadowił się Brandin, niejako jego nieodłączna część. Spokojnie przeglądał przyniesiony ze sobą pojemny segregator, wypełniony dokumentami. Następnie grupa Sonnenberga. Na pierwszym planie Zygfryd. Bardziej za nim niż obok niego John Frankfurter. Obaj, co było widać, nie posługiwali się żadnymi dokumentami.

Na wstępie, chcąc wytworzyć przyjazną, swobodną atmosferę, Konrad Kahlers stwierdził, że chodzi tym razem o projekt, największy dotychczas spośród tych, jakie zdarzyło mu się przygotowywać. Zaproponował też, ażeby obecni bezwzględnie powstrzymali się *od* pochopnego reagowania. Na początek, jak zachęcająco zaznaczył, bardzo wskazany byłby nieduży posiłek. Ażeby spojrzeć na sprawę z pewnego dystansu. Przygotowane są już rozmaite przekąski.

Kahlers wskazał na nie zapraszającym gestem, wcale nie bez dumy. Sądził bowiem, a nawet był pewny, że świadczą one o jego wyrafinowanym smaku, ale także o jego szerokich i wielorakich kontaktach. Miał więc możliwość podać rosyjski kawior, norweskiego łososia oraz wędzonego rzecznego węgorza z Niemiec. Obok znajdowało się kilka butelek, położonych na kostkach lodu: okowita „Liniowa” — z gwarancją, że dwukrotnie została przewieziona przez równik, autentyczny koniak z prowincji Cognac, również polska żubrówka z żdziebełkiem trawy w środku. Poza tym jeszcze dekoracyjnie uformowany wzgórek maślany i rozmaite bułeczki — z kminkiem, z siemieniem lnianym oraz solanki — wszystkie pachnące, prosto z pieca.

Na razie nikt z obecnych nie sięgał po nie. Zapewne nie chcieli odrywać się od sprawy projektu, który miał być właśnie dyskutowany. Jedzenie i picie można było zostawić na potem. Szczególnie chętnie, z długo hamowaną ochotą miała zapewne oddać się spożywaniu tych wspaniałości ta strona, która wygra.

Kahlers z góry to przewidział. Wiedząc zaś, jak zawsze zresztą, w jaki

sposób postępować w interesach na obszarze własnej gminy, również tym razem domyślał się już, jak ułożą się sprawy. Dlatego też do rachunku otrzymanego ze sklepu delikatesowego nie wstawił na razie nazwiska tego uczestnika, który miał potem za wszystko zapłacić. W każdym razie mógł już przypuszczać, kto nim będzie.

Burmistrz zasiadł więc na swoim miejscu i rozpoczął wywód:

— Przypuszczam, że powszechnie wiadomo, o który projekt chodzi tym razem, mianowicie o Południowe Osiedle Leśne, przedsięwzięcie na pokaźną skalę. Wobec naglącego tempa musimy zmierzać do osiągnięcia na tym posiedzeniu wiążących, ostatecznych uzgodnień.

— Jesteśmy na to zdecydowani — oświadczył Werners. — Moja firma, mój generalny pełnomocnik i ja. Dokumentacja, której sporządzenie zleciliśmy pewnemu przedsiębiorstwu szwajcarskiemu, ma pełne zabezpieczenie finansowe. Oświadczamy więc, że jesteśmy gotowi z pełną odpowiedzialnością przejąć do realizacji projekt Południowego Osiedla Leśnego. W stu procentach.

— W stu procentach? — Zygfryd Sonnenberg wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony. — Czego podobnego u nas się nie praktykuje. To nie zgadza się z dotychczasową zasadą możliwie sprawiedliwego podziału, tworzenia wyrównanego uczestnictwa. O wysokość poszczególnych udziałów w procentach można by się targować. W każdym razie nie wchodzi w grę sytuacja, w której tylko jeden dobrze się obłowi.

— Pozwól, drogi Zygfrydzie — zaproponował ostrożnie Kahlers — że zwrócę ci uwagę na następujący fakt. Zapoznałem ciebie z tym projektem we właściwym czasie. Prosiłem cię, nawet kilkakrotnie, ażebyś w tej sprawie zajął stanowisko. Ty jednak zawsze odpowiadałeś wymijająco. Musiałem zatem przyjąć, że nie jesteś nią zainteresowany.

— Jesteś w błędzie, Konradzie — powiedział Zygfryd Sonnenberg. — Zdążyłem się dokładnie zastanowić i dojść wreszcie do wniosku, że powinienem wziąć udział w tym przedsięwzięciu.

— Twoja decyzja, Zygfrydzie, jest mocno spóźniona — wyjaśnił burmistrz Kahlers z prawdziwym, jak się wydawało, żalem.

— Tak sprawa wygląda — potwierdził Werners — spóźnił się pan.

Zygfryd Sonnenberg wyprostował się, gotów walczyć. Rzucił przenikliwe spojrzenie Tomaszowi Brandinowi, a następnie tonem najwyższego oburzenia zawołał:

— Cóż to wszystko ma znaczyć? Czy ktoś przypadkiem nie odważa

się tak po prostu mnie wyUiminować? Mnie! Na dobitek przy twojej pomocy, Tomaszu?

— Moim obowiązkiem — wyjaśnił ten z kolei niedbale, nie przejmując się niczym — jest reprezentowanie pewnych dokładnie określonych interesów. W obecnej sytuacji jednak nie są to twoje interesy.

— Bardzo słuszna uwaga! — zgodził się Werners z widocznym zadowoleniem.

Na to Zygfryd Sonnenberg zakipiał. Grzmotnął pięścią w stół i ryknął na Tomasza Brandina:

— Podobne postępowanie to hańba. Chłopie! Po każdym spodzie wałbym się tego, ale nie po tobie.

Tomasz, niby to mocno broniąc się, zaprotestował:

— Nawet ty powinienesz wreszcie zrozumieć, że nie wszystko musi się układać tak, jak tobie się zachciewa.

Zupełnie niespodziewane, lecz nadzwyczaj efektowne widowisko nie chybiło swego celu. Obaj przyjaciele, dawniej zgodni jak rodzeni bracia, teraz oszczekiwali się wzajemnie niczym dwa kąśliwe psy należące do różnych panów. Na czas tego przedstawienia nawet Kahlersowi odjęło mowę.

John Frankfurter wtrącił całkiem rzeczowo:

— Projekt tego Południowego Osiedla Leśnego również mnie wydaje się poniekąd problematyczny. Ten, kto podejmie się jego realizacji, może popaść w zależność od szwajcarskiego przedsiębiorstwa, wprawdzie silnego podobno pod względem finansowym, lecz nie rozpoznanego do końca. Dlatego właśnie pozwoliłem sobie, panie Sonnenberg, odradzać panu ten projekt, i to bardzo usilnie.

— Och, cóż tam, szanowny panie Frankfurter — wtrącił się Werners, który uważał, że będąc uformowany przez wydarzenia historyczne ma ogromną przewagę nad pozostałymi. — Przecież pan jest Żydem! Oczywiście jest pan godny szacunku. Ale właśnie Żydem! Jako Żyd, po straszliwych przeżyciach, ma pan prawo być podejrzliwy. Zatem jest pan gotów przeczyć wszystkiemu. Lecz nawet pan powinien był już pojąć, że teraz także u nas wszystko wygląda inaczej. Nareszcie, chciałoby się powiedzieć!

— Bardzo słusznie! — zgodził się Kahlers.

— A ty? — zapytał Zygfryd surowo swego, jak należałoby stwierdzić po tym, co się wydarzyło, byłego przyjaciela. — Jesteś tego samego zdania?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Nie była zresztą wcale potrzebna. Brandin odchylił się w tył, jak gdyby chcąc się odseparować od Sonnenberga. Zamiast Brandina zabrał głos Werners.

— Panowie, bardzo was proszę, przestańmy mówić w kółko bez sensu. Projekt należy do nas! Zatem kości zostały rzucone.

Tak też się stało.

2. Wielka przegrana

Święto Bożego Narodzenia roku 1959, a ściślej — wieczór wigilijny, zaczęło się w domu Sonnenbergów wśród podejrzanego wprost ciszy. Jak się zdawało, Zygfyrd był z tego rad. Widocznie przypadła mu do gustu rola milczącego sybaryty.

Matka Klementyna bez przeszkód szarogęsła się w kuchni. Przygotowywała tam świąteczne danie: duszonego karpia błękitnego. Na wstępie miał być podany esencjonalny czysty rosół z kury, a na zakończenie świeżo upieczone, jeszcze ciepłe ciastka marcepanowe w kształcie serca, gałązki jodłowej bądź świeczki. Smakowity zapach już od paru godzin rozchodził się po domu.

Zygfyrd rozsiadł się w dużym pokoju. Aktualna pani Sonnenberg stroiła tam choinkę. Czyniła to w sposób artystyczny, używając bez miary srebrzystych błyskotek. Jednocześnie, z perfekcją nabytą w damskim salonie fryzjerskim, przyszyrzygała drzewko.

Zygfyrd postawił przed sobą kieliszek czerwonego wina, lecz nie pił go. Z coraz większym upodobaniem przyglądał się Chrystianie zajętej choinką.

Potem uznał jednak za stosowne poświęcić trochę uwagi swojej córce Dagmarze. Już od pewnego czasu siedziała ona w pobliżu. Zjawiała się całkiem bezgłośnie, co było u niej bardzo dziwne, niemal zaskakujące. Patrzyła na swoje dłonie, splecione na brzuchu.

— Masz jakieś problemy, moje dziecko? — zapytał ostrożnie.

— Nie mam żadnych — odpowiedziała — przynajmniej takich, których nie dałoby się rozwiązać, jak się spodziewam.

— Możesz na to liczyć, Dagmaro — zapewnił ją serdecznie. Po czym dorzucił wesoło, chociaż lekko przytłumionym głosem: — Bądź co bądź powinnaś wiedzieć, zresztą chyba już wiesz, że we wszystkich swoich

poczynaniach stale miałem na uwadze ciebie. Układałem plany z myślą o tobie.

— Spodziewam się tego po tobie, nawet nie pytając o to. Przypuszczam, że w związku z tym może się nam jeszcze co nieco przydarzyć, prawda?

— Zapewne jesteś już na to przygotowana, Dagmaro! Mam nadzieję, że nie będziesz kierowała się przesądami. W każdym razie mój Tomasz powiadomił mnie, że oboje chcecie właściwie tego samego. Słyszac to, bardzo się ucieszyłem. To dobrze! Ale to chyba jeszcze nie wszystko, mam nadzieję. Czego oprócz tego mogę się spodziewać?

W tym nader delikatnym momencie do domu Sonnenbergów weszła Margot, żona adwokata i zarazem siostra adwokata. Zbliżyła się do Zygryda trochę niepewnie i z wahaniem. To właśnie było u niej niesłychanie sympatyczne. Widząc ją, Zygryd odstawił swój kieliszek. Wstał i podszedł do niej. Ujął ją za rękę i powiedział:

— Serdecznie witam!

Margot była lekko zakłopotana. Uśmiechnęła się do Chrystiany i Dagmary, niejako prosząc o wyrozumiałość. One obie zaś odpowiedziały jej przyjaznym z okazji Świąt uśmiechem. Gdyż Sonnenberg zapewne sobie tego życzył.

— Powiadomiłeś mnie, drogi Zygrydzie, że mogę tę Wigilię spędzić u ciebie, wśród twojej rodziny. Ponieważ mój mąż, jak wiesz, znajduje się w szpitalu, byłabym bardzo samotna we własnym domu.

— Przysiądź się do nas, do mnie — zaprosił ją Sonnenberg.

— Czy mogę? — Margot znów spojrzała niepewnie na Chrystianę i Dagmarę.

— Dlaczegoż by nie — odpowiedziała Chrystiana po prostu, nie przeczuwając nic złego. — Mój mąż życzy sobie tego, a więc wszystko jest jak należy.

— Bardzo się cieszymy, że pani przyszła! — stwierdziła żywiołowo Dagmara. Spojrzała bowiem na ojca i odczytała z wyrazu jego twarzy, że przypisuje temu spotkaniu wielkie znaczenie.

— Dziękuję — powiedziała Margot. Usiadła obok Zygryda, przyjęła od niego kieliszek wina i podziękowała skłonieniem głowy. — Jak to dobrze, że mogłam przyjść do was.

— Dobrze, że przyszłaś, Margot. Mam ci co nieco do powiedzenia, jeżeli tylko zgodzisz się posłuchać.

Wkrótce potem w domu Sonnenbergów zasiedli wszyscy do wieczerzy wigilijnej, tym razem w niewielkim gronie rodzinnym. Zygryd cieszył się. Nie tylko dlatego, że wszystko było tak smaczne. Było mu dobrze wśród tych czterech niezwykłych kobiet. Cieszył się niezmiernie, że będzie je mógł potem wspaniałomyślnie obdarować pod bożym drzewkiem.

Przy podobnych uroczystościach rodzinnych rozdawanie podarków najczęściej urządzano przed wieczerzą. Tym razem jednak Zygryd rozmyślnie zmienił kolejność, ażeby później mieć okazję podelektowania się jeszcze trzecim punktem świątecznego programu, a mianowicie wspólnym toastem z przyjaciółmi domu o północy! W tym celu urządzono zimny bufet z całymi górami kiełbas, pasztetów i pieczeni.

— Najpierw zobaczymy, co nam przyniosło Boże Dzieciątko — oznajmił swoim czterem kobietom wyśmienicie usposobiony Zygryd.

Zadzwonił zawieszonym na choince dzwoneczkiem. Na ten sygnał szeroko otworzyły się drzwi, po czym wszedł człowiek przebrany za świętego Mikołaja. Jak stwierdziła na pierwszy rzut oka Chrystiana, był to jeden z fryzjerów Zygryda, okazałej postawy Turek. Wtoczył on do pokoju taczki przystrojone gałązkami jedliny i wyładowane paczkami. Wsunął je pod choinkę i głośno zawołał:

— Wesołych Świąt!

Potem wyszedł, zapewne zgodnie z otrzymanym poleceniem.

Zygryd zachęcająco skinął głową swoim czterem damom. Skupiły się wokół niego wyczekująco. On zaś rozdzielał pomiędzy nie podarunki.

Chrystiana dostała bransoletę znacznej wartości, wysadzaną wysokokaratowymi brylantami rzucającymi ostre ognie. Nie wiedziała jeszcze, że jest to swego rodzaju prezent na pożegnanie. Zachwycona, wydawała odgłosy przypominające krzyk mewy. Dagmara miała okazję odebrać prawdziwe futro nurkowe. Uszczęśliwiona, otuliła się nim cała, okrywając zwłaszcza brzuch. Matka Klementyna została obdarowana grubą na pozór, lecz cudownie lekką kołdrą z sierści lamy, przeznaczoną na jej łóżko. W dodatku kołdra ta była elektrycznie podgrzewana. Klementyna omal nie uściskała z radości swego ukochanego Zygryda.

Również Margot nie została pominięta. Zygryd wręczył jej czarne aksamitne etui. Wewnątrz znajdował się ręcznie wykonany złoty łańcuch.

- Nie może być! — zawołała na ten widok uradowana Margot. Najchętniej uściskałaby namiętnie Zygryda. Rzuciwszy jednak przelotnie okiem na Chrystianę i Dagmarę, nie pozwoliła sobie na to. Za to obdarzyła go promiennym spojrzeniem.

— Łańcuch ten — powiedział jej z powściągliwą poufałością, jednocześnie nachylając się nad nią — możesz nosić na szyi, ale możesz się też owinąć nim w talii. Jak tylko zechcesz.

— Jak tylko ty będziesz chciał go na mnie widzieć — szepnęła do niego Margot.

Zygryd Sonnenberg również nie pozostał z pustymi rękami. Dostał trzy krawaty, do tego dwie pary skarpetek oraz połączaną zapalniczkę. Oprócz tego jeszcze dwa tuziny chustek do nosa z własnym monogramem i wreszcie trzy notesy. Matka Klementyna zrobiła dla niego na drutach wzmocnione skórą pantofle domowe.

— To dobre na zmarznięte stopy, kochany chłopcze; na pewno często tu marzniesz.

Wytworzył się zatem nad wyraz przyjemny nastrój, prawie serdeczny, po prostu rodzinny. Utrzymywał się wciąż jeszcze, kiedy zgodnie z zaproszeniem „na godzinę przed północą” przybyli następni goście na przyjacielskie opijanie przy rustykalnym bufecie świątecznym. Byli wśród nich Eryka i John Frankfurter, jak zwykle nierozłączni. Przyszedł również Konrad Kahlers wraz z Jurgenem Wiese. Kordialnie uściskali swego przyjaciela z młodzieńczych lat, Zygryda, po czym niezwłocznie zajęli się uprzejmie gruchającą Chrystiana. Na koniec nadszedł, już z lekka chwiejnym krokiem, Tomasz Brandin. Tylko z daleka powitał obecnych gestem i usiadł obok Dagmary.

— Słuchaj no — stwierdziła rzeczowo Dagmara — jesteś przecież kompletnie zalany!

— Możliwe — odpowiedział jej z pewnym trudem. — To wynika z obecnej sytuacji, Dagmaro. Ale to się wkrótce na pewno zmieni.

Usiłował ją objąć. Ona jednak odsunęła się od niego.

— Wcale mi się nie podobasz w takim stanie!

Oprócz Zygryda nikt spośród obecnych specjalnie się nimi nie interesował. Eryka i John byli jak zwykle mocno zajęci sobą. Kahlers i Wiese tokowali wokół Chrystiany. Matka Klementyna oczywiście

skorzystała z dogodnej, jej zdaniem, sposobności, ażeby na swój opryskliwy sposób porozmawiać z Margot.

— Cóż to się właściwie zawiązuje między panią a moim droгим chłopcem? — dopytywała się. — Myśli go pani zagarnąć dla siebie?

— Nie powiedziałbym tak, pani Klementyno. Bądź co bądź Zygryd i ja znamy się już od tak dawna. Sama pani wie.

— Zgadza się — stwierdziła Klementyna ze zwykłą u niej naturalnością. — A ja, dziewczyno, znam panią jeszcze z czasów, kiedy była pani dzieckiem. Bardzo wrażliwym dzieckiem, łatwo obrażającym się i nadzwyczaj nieśmiałym wobec ludzi z wyjątkiem pani pięknego brata.

— To było dawno, pani Klementyno!

— Wiem, wiem. Ale tymczasem wyrosła pani na damę. Nigdy nie puszczała się pani z kim się dało i gdzie się dało, jak tu poniektóre robią. Dlatego wygląda pani zawsze tak świeżo. — Sapiąc ciężko, Klementyna ciągnęła dalej: — Dla mego drogiego chłopca byłaby pani rzeczywiście w sam raz odpowiednią żoną.

— Bardzo ładnie, że to właśnie pani o tym mówi.

— Mówię, Margot, i myślę też tak samo. Czyście już sobie planowali coś w tej materii?

— Skądże znów! Przecież wszystko jest tak strasznie skomplikowane. On jest żonaty, a ja mam męża.

— I co z tego, moja piękna dziecinko! Zygryd może w każdej chwili rozwieść się ze swoją żoną, jeśli tylko zechce. A wydaje się, że chce. A w pani wypadku jest to jeszcze prostsze. — Nic nie było w stanie pohamować bezpośredniości tej kobiety. — Przecież pani mąż, o ile mi wiadomo, jest nieuleczalnie chory. Przypuszczalnie niedługo zostanie pani wdową. Piękną, młodą, reprezentacyjną wdową. Dla Zygryda. To aż się prosi o włączenie do programu!

— Nie mam odwagi o tym myśleć!

— Oj, moja kochana, piękna dziewczyno, proszę samej sobie nie wmawiać istnienia przeszkód, a tym bardziej nie wmawiać tego mnie. Taki już jest ten nasz dzisiejszy świat. Kiedy jeden zyskuje, ktoś inny musi tracić. A kiedy ktoś umiera, to pozostają przecież żywi! W tym wypadku będzie to pani i Zygryd.

Matka Klementyna nie oczekiwała żadnej odpowiedzi. Wystarczyło, że wyłożyła tej delikatnej Margot to, co sama uważała za ważne i czym, jej zdaniem, należałoby się kierować. Nie zwlekając, już była gotowa

oświecić następnego z liczby zaplanowanych do nawiedzenia, a mianowicie Jurgena Wiese.

Obwieściła mu więc radośnie:

— Ty zapewne nie nauczyłeś się niczego przez te dziesiątki lat. Wciąż jeszcze jesteś skory powtarzać swoje stare, głupie, nic nie warte błazeństwa.

— Powoli, staruszko, nie tak spiesznie! — Jurgен Wiese próbował ją zmitygować. — Znam te twoje dowcipy, Klementyno. Czym chcesz mnie tym razem rozśmieszyć?

— Skądże znowu, chłopaczk! Tym razem robisz na nas wrażenie wazeliniarza z urzędu! Wobec Kahlersa byłeś nim zawsze, wobec Zygryda też, głównie ze względu na jego kobiety. Ostatnio, jak słyszałam, stajesz na baczność nawet przed jakimś Wernersem! Myślisz, że nawet na to możesz sobie pozwolić?

— Nonsens, matko Klementyno — odpowiedział drętwo. — Musisz sobie zdawać sprawę, że wobec prawa, którego jestem tu przedstawicielem, wszyscy ludzie są równi. Ja natomiast stoję w ich obronie.

— Zawsze byłeś trochę głupawy — zaśmiała się do niego pogardliwie. — Ale coś mi się zdaje, że ostatnio zramolałeś. Nie zauważasz nawet, kto wygrywa wielki wyścig, kiedy ciągle stawiasz swoje babki z piasku! — Klementyna wskazała przy tym na Sonnenberga. — Oto on! Tylko on! Jego musisz się uchwycić, jeżeli nie chcesz się wkrótce udusić, włączając komuś do tyłka.

Zygryd Sonnenberg znalazł się wraz z Konradem Kahlersem w tym kącie pokoju, gdzie stało boże drzewko. Stali więc tam twarzą w twarz przy oknie, osłonięci choinką. Na dworze prószył śnieg — pogoda — wyczarowywała prawdziwie niemiecki nastrój wigilijny, zupełnie jak w książce z obrazkami. Nikt z obecnych nie zwracał jednak na to uwagi. Wszyscy byli mocno zajęci sobą.

Sonnenberg patrzył na burmistrza pogodnie, jak przystało w Boże Narodzenie, co wszakże zaniepokoiło Kahlersa. Natychmiast więc ruszył do obrony.

— Nie gniewasz się chyba na mnie, Zygrydzie, z powodu przebiegu wczorajszej konferencji? Gdybyś mi był przedtem powiedział, na jakim

stoisz stanowisku, jak się zapatrujesz na sprawę i jakie masz życzenia, wszystko przebiegłoby z pewnością inaczej.

— Naprawdę?

— Z pewnością, mój przyjacielu! Oczywiście byłem zgorszony absolutnie niespodziewanym zachowaniem się tego Brandina w stosunku do ciebie. Tym bardziej zadziwia mnie jego obecność tu, przy twojej córce, jakby nigdy nic się nie stało.

— Przypuszczam, Konradzie, że nie jest to jedyna rzecz, która jeszcze wprawi cię w zdumienie.

Tym razem burmistrz Kahlers przeraził się.

— Mogę ci tylko poradzić, Zygfydzie, mój przyjacielu, ażebyś nigdy nie wątpił w moją wypróbowaną lojalność wobec ciebie. Naprawdę powinieneś oszczędzić sobie podobnych aluzji! A także posądzeń i prowokacji!

— Nie miałem takiego zamiaru, Konradzie — życzliwie odpowiedział burmistrzowi Zygfyd — natomiast zamierzam zaofiarować ci święteczny podarek szczególnego rodzaju, a może nawet dwa.

Zapowiedź ta nastroiła Kahlersa jeszcze bardziej podejrzliwie.

— Do czego zmierzasz tym razem, chłopie?

— Ma się rozumieć, mój drogi, że do tego projektu osiedla w Lesie Południowym.

— A jednak jesteś na mnie zagniewany. Ależ nie masz do tego żadnych podstaw, Zygfydzie! Kazałem ci wysłać wszystkie rodzaje dokumentów dotyczące tego obiektu. Poza tym przypuszczałem, że Brandin będzie cię dokładnie informował. Potem już wszystko potoczyło się piekielnie szybko. Najpierw gwałtowne naleganie Wernersa, a potem jego przedwczesne umowy ze szwajcarską spółką i finansowe zaangażowanie z góry, z pokaźną gwarancją. A wreszcie po prostu zdecydowane ustawienie zwrotnic przez tego Brandina! A ja zawsze dotychczas myślałem, że Brandin jest twój. Tymczasem teraz Werners i Brandin, kroczący w jednym zaprzęgu, odważyli się nawet mnie strofować!

— Nie podniecaj się sztucznie, Konradzie! — Zygfyd niedbale machnął ręką. — O ile wiem, Werners już osobiście podpisał kontrakt w tej sprawie. Zatem zobowiązał się do udziału w wysokości dziesięciu milionów i jednocześnie za pośrednictwem banku przekazał do dyspozycji jedną czwartą tej sumy.

— Tak, przekazał. Wczoraj, od razu po konferencji, zostało to poświadczane notarialnie. Werners jest pewny, że zainkasuje przy tej okazji prawie pięćdziesiąt procent zysku. A potem podzieli się nim z twoim, a raczej swoim Brandinem. Nic nie mogłem na to poradzić.

— Prawdopodobnie w ogóle nie chciało ci się, Konradzie, o ile cię znam. — Po Zygfyrdzie znać było wyraźnie, że nagle ucieszył się z tego. — Zrozumiałe, że będziesz uczestniczył w tym interesie. Z pewnością nie zrobisz tego jednak, nie upewniwszy się wcześniej dokładnie.

— Znasz mnie, Zygfyrdzie. Wiesz, że nie lubię połowicznej roboty. Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem nasza rada miejska będzie obradowała nad tym projektem. Nie ulega wątpliwości, że zaakceptuje go. Wszystkie zwrotnice zostały już ustawione właściwie. Aleja dopiero potem wejdę do tego przedsięwzięcia i wtedy będę mógł wywierać na projekt bezpośredni wpływ. Powinieneś być z tego tylko zadowolony. Bądź co bądź jestem twoim zaufanym współnikiem, dbającym o twoje interesy.

— Którego wolałbym nie stracić — powiedział Sonnenberg, mrużąc porozumiewawczo oko. — U mnie masz udział w granicach od dwudziestu do dwudziestu pięciu procent. Czy on ci oferuje więcej?

— Nie może! W tym projekcie do mnie należy tylko dziesięć procent! Pomimo wszystko, gdy obliczy się zysk od pięciu milionów, wychodzi całkiem pokaźna suma. Nie powinieneś mi jej zazdrościć, Zygfyrdzie. Jestem i nadal pozostanę twoim wiernym przyjacielem. Dlatego też będę w tym przedsięwzięciu uważnie pilnował nie tylko swoich, ale też twoich interesów. Niech cię to nastroi pojednawczo!

— Tobie, mój drogi Konradzie, nie żałuję po prostu niczego, nawet własnej żony. Wcale nie żartuję. Przyjmij to do wiadomości, bardzo cię proszę! W każdym razie wiedz, że mam co do Rosenburga także inne poważne plany i pilnie potrzebuję pomocy od ciebie jako doświadczonego urzędnika.

— Zawsze możesz na mnie polegać! — zapewnił go Kahlers z pewnym wzruszeniem i odczuwalną ulgą z powodu tak przyjemnego zwrotu w rozmowie.

— Właśnie dlatego — ciągnął Sonnenberg — wcale mi się nie podoba, że wdajesz się w niepewne przedsięwzięcia. Ten cały projekt Południowego Osiedla Leśnego, muszę ci to powiedzieć bardzo dobit-

nie, według mego rozeznania jest w obecnej sytuacji martwo urodzonym dzieckiem. Nie powinieneś do tego przykładzić ręki. W tej chwili możesz się jeszcze wycofać. Przecież chcesz się włączyć dopiero po uchwale rady miejskiej, która cię całkowicie zabezpieczy.

Podejrzliwość Kahlersa wydawała się nie mieć granic.

— Cóż to znów za manewr? Czyżbyś jeszcze raz próbował kogoś położyć na łopatki? Na koniec nawet mnie?

Sonnenberg roześmiał się od ucha do ucha.

— Konradzie, możesz o mnie myśleć, co ci się żywnie podoba. Miej jednak na uwadze trzy rzeczy. Po pierwsze, nie jestem idiotą, zatem nie będę usiłował oszukiwać najważniejszego dla mnie ze względu na interesy człowieka w Rosenburgu, to znaczy ciebie. Po drugie, nigdy nie doradzałem ci czegoś, co nie okazałoby się dla ciebie korzystne. I wreszcie po trzecie, zawsze dawałem ci słowo tylko wtedy, kiedy byłem pewny, że mogę go dotrzymać.

— Zgadza się — przyznał Kahlers, ciężko oddychając.

— Jeśli pojmujesz to, Konradzie, to zapewne do czegoś dojdziemy. Musimy się tylko zastanowić, jakby tu nie działać zbyt pochopnie. A tymczasem zajmijmy się naszymi drogimi przyjaciółmi. Już na nas czekają.

Rozeszli się każdy w swoją stronę. Obaj potrzebowali chwili wytchnienia, gdyż ich rozmowy stawały się coraz bardziej wyczerpujące. Kahlers podszedł do Chrystiany, Sonnenberg zbliżył się do Margot.

Świeczki na choince wypaliły się; ich mdły blask zastąpiło światło elektryczne. Stół był zastawiony mnóstwem na wpół pustych butelek. Obfity zimny bufet pozostawał prawie nienaruszony. Nikt nie zauważał, że za oknem łagodnie opadają na ziemię duże płatki śniegu. Zygfryd przysiadł się do Margot. Nachylił się do niej i odezwał z dobrze udaną szczerością:

— Moje możliwości nie są wprawdzie specjalnie wielkie, ale też wcale nie takie skromne. Będę ci mógł jednak zapewnić prawie wszystko, o czym sobie tylko zamarzysz.

— Czegóż to jeszcze miałabym się spodziewać? — zapytała z rezygnacją.

— Dzisiaj po południu odbyłem dłuższą rozmowę telefoniczną

z twoim bratem w Monachium. Sama wiesz, jak wiele mu zawdzięczam. Od chwili, kiedy po raz pierwszy zasięgnąłem jego rady jako adwokata, za każdym razem okazywało się, że jest on absolutnie godny zaufania, nawet w najdelikatniejszych sytuacjach.

— To przecież rozumiałe, Zygrydzie. Stale byłeś naszym przyjaacielem, a myśmy cię zawsze lubili.

W podziękowaniu skinął jej głową.

— Rozmawiałem dzisiaj z twoim bratem o rozmaitych sprawach, ale również o tobie. Zna dokładnie twoją sytuację. Podobnie jak ja ubolewa, że nieubłaganie zbliża się moment odejścia twego ciężko chorego męża. Serdecznie odniósł się do mojej gotowości przyjścia tobie z wszelką możliwą pomocą. Czy mogę się spodziewać, że też jesteś gotowa zgodzić się na to?

Margot obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

— Nie chciałabym jednak stać się dla ciebie ciężarem, Zygrydzie! Szczególnie teraz, kiedy stoisz wobec bardzo poważnych rozstrzygnięć.

— Ale właśnie teraz nie chciałbym się czuć zbyt osamotniony, Margot — powiedział.

Zygryd spoglądał jednocześnie w stronę Eryki i Johna Frankfurtera, siedzących gdzieś w zakątku. Margot poszła za jego spojrzeniem i odgadła, że ta para bardzo wiele znaczy — również dla niej. Zewnętrznie byli tak różni — Eryka wyglądała na poważną i opanowaną, John zaś był bardziej delikatny i ruchliwy — a jednak panowała między nimi wielka, cudowna, pełna szczęścia harmonia.

Zgoła inne wrażenie robili Dagmara i Tomasz. Wydawało się, że są pełni niepokoju. Patrzyli na siebie uważnie, śledzili każde swoje poruszenie, zważali na każde słowo. Zachowywali się tak, jakby dopiero co zaczęli się poznawać i usiłowali to czynić z męczącą dokładnością. Dagmara zaparzyła Tomaszowi dzbanek mocnej kawy.

— Gdyby mi się udało rozproszyć twoje niebывałe zamroczenie alkoholowe, to chciałabym się dowiedzieć, czy twoim zdaniem możliwe jest bezbolesne wypłatanie się z tego piekielka, w które wpakowałeś się z własnej woli?

— Tak, Dagmaro! Jeżeli we wszystkich przejściach, jakie nas czekają, będę mógł całkowicie polegać na tobie, to wydam się bezboleśnie. Mogę ci zaufać?

Ona patrzyła tymczasem na choinkę, pociemniałą i zszarzałą po

wypaleniu świeczek. Wokół choinki i pod nią piętrzyły się stopy kartonów, pudełek i kolorowego papieru — dekoracyjne odpadki, żalodne pozostałości po rozrzuconych podarkach.

Kahlersowi poszczęściło się, gdyż Chrystiana odpowiedziała mu pożądliwym spojrzeniem. Gdy tylko spostrzegł to Wiese, zaczął się też kręcić, by jak najszybciej znaleźć się w pobliżu tej nader powabnej osobki. Zanosił się na idyllę w troje, lecz matka Klementyna z przyjemnością temu przeszkodziła — nie trzeba jej było wcale mówić, na co ma uważać.

Mocno uchwyciła za ramię rosenburskiego komendanta policji i przymusiła go, by znów usiadł przy niej.

— Nie wtrącaj się — poradziła mu stanowczo. — Nawet twoje błazeństwa powinny wreszcie mieć jakieś granice.

Idylla rozwijała się więc bez przeszkód, gdyż została rozmyślnie osłonięta. Chrystiana zachowywała się, jakby ją kto wcześniej zaprogramował. Radośnie zamruwała do Kahlersa, który usiadł obok niej.

— No, to jesteś nareszcie!

— Co, jak mam nadzieję, nie będzie tu źle rozumiane — poddał jej ostrożnie pod rozwagę.

— Kto miałby źle zrozumieć?—zapytała głupio-naiwnie Chrystiana. Pochwyciła go za ręce i przyciągnęła do siebie zachęcająco. — Och, wiesz, Konradzie, tak wiele rzeczy mogą ludzie źle rozumieć. Ale nie Zygryd, a już szczególnie jeśli chodzi o nas.

— Jesteś tego pewna? — zapytał, nastawiając ucha. — Czy tylko przypuszczasz, że tak jest?

— Całkowicie pewna, Konradzie! Przecież nasz Zygryd zawsze mnie zachęcał: „zajmij się moim przyjacielem”, a miał na myśli ciebie. „Zajmij się nim”, powiedział, „na każdy możliwy sposób, zależy mi na tym”. Czemu więc miałabym tego nie robić? Robię to nawet z wielką przyjemnością.

Zatrzepotała rękami. Wyglądało na to, że zamierza rzucić mu się w objęcia. Otworzyła szeroko usta, jakby nie miała czym oddychać. Wilgotnym różowym językiem oblizywała wargi. Właśnie ostatnio obejrzała film z Marylin Monroe i teraz usiłowała ją naśladować. Wcale nie bez powodzenia.

— Gdyby było tak rzeczywiście — zastanawiał się Kahlers z wyraźnym chowaniem — a więc jeżeli Zygryd miał na myśli to, o czym myślisz,

może to być niesłuchanie ważne. — Uwolnił się od niej, nawet dość zdecydowanie. — Pozwól, że wyjaśnię sprawę natychmiast.

„Wyjaśnianie” okazało się możliwe bez szczególnych trudności. Mianowicie gdy Konrad zaproponował Zygfydowi jeszcze jedną rozmowę, ten oczywiście od razu był gotów. Rozmawiali w przedpokoju na górnym piętrze domu Sonnenbergów. Podłogę zaścielały grube, kolorowe wiejskie chodniki, wokół stały jaskrawo pomalowane meble.

Konrad Kahlers rozpoczął rozmowę od stwierdzenia:

— Przedstawiłeś mi dotychczas ponętne, nadzwyczaj zyskowne oferty, ale nie było między nimi ani jednej, za którą nie spodziewałbyś się odpowiedniego rewanzu. O co więc chodzi, chłopie?

— Wiesz o tym — oświadczył z wolna Zygfyd — że jestem w stanie w dowolnej chwili gruntownie zmienić kształt swoich interesów, i to bez najmniejszego trudu. Nawet tak, ażeby ciebie z nich wyłączyć. Jestem w stanie, powiedziałem, ale nie chcę. Dążę natomiast do takiego rozwiązania wszystkich nagromadzonych problemów, ażebyśmy wszyscy byli zadowoleni. Niektóre problemy mają charakter bardzo osobisty.

Kahlers słuchał uważnie, nie okazując jednak specjalnego zaniepokojenia. Znał już przyjaciela.

— Powiedz wreszcie, do czego zmierzasz?

— Najpierw stwierdzam, że jeśli chodzi o podstawową zasadę, to zgadzamy się dość dokładnie. Prawie pod każdym względem. Moja mama Emma była ci bardzo przychylna, moja poprzednia żona Ewa-Ingeborga także. Po prostu należysz do naszej rodziny. Ale dopiero teraz tak naprawdę, bo, jak spostrzegłem, odczuwasz wyraźną skłonność także do mojej obecnej żony, Chrystiany. Zgadza się?

— No tak, Zygfydzie, może być, szczerze mówiąc. Czyżbyś uważał to za coś złego?

— Ależ nie, chłopie! — zapewnił go kordialnie Zygfyd. — Właśnie ten układ mi odpowiada, nawet bardzo. Dzięki temu, jak już powiedziałem, zanosি się na drugi podarek świąteczny dla ciebie.

Konrad Kahlers był niezmiernie zdziwiony.

— Na miłość boską, przyjacielu. Pomimo całej sympatii, jaką odczuwam do Chrystiany, a być może ona również do mnie, wierzyć mi się po prostu nie chce, by ona kiedykolwiek chciała się zgodzić na rozwód z tobą.

— Ja w każdym razie wierzę.

— Nie powinieneś uważać Chrystiana za tak naiwną, a może nawet głupią. Ostatecznie jesteś bogaty jak Krezus, masz widoki na wspaniałe interesy, a ja tymczasem jestem zaledwie burmistrzem, chociaż mam też niemałe wpływy. Byłaby skończoną idiotką, gdyby się chciała z tobą rozwieść! — Po czym, naturalnie badając ostrożnie grunt, dorzucił: — Chyba tylko za pokaźne odszkodowanie.

Sonnenberg roześmiał się szorstko, po czym powiedział tonem ostrzeżenia:

— O tym, mój przyjacielu Kahlers, lepiej zapomnij jak najszybciej. Mianowicie pomiędzy mną a Chrystiana, jak zapewne wiesz, istnieje notarialnie potwierdzony rozdział majątku. Pomimo to moglibyśmy pomówić o pewnego rodzaju prezencie ślubnym ode mnie dla was obojga w postaci, powiedzmy, powiększenia udziału.

— Jesteś pewny, że potem wszystko poszłoby już gładko? Muszę się jednak liczyć także z tym, że nie wymyśliłeś tego z czystej *przyjaźni!* Próbujesz przy tym ogniu upiec jeszcze jedną pieczeń. O co chodzi?

— Ma się rozumieć, mój przyjacielu, że idzie przy tym o pewien interes. — Ostatecznie wystarczyło, by Sonnenberg udał, że myśli podobnie jak Kahlers. Zresztą już kilkakrotnie z powodzeniem próbował z nim tej sztuczki.

— To już bardziej podobne do ciebie — roześmiał się z ulgą Kahlers. — Na jaki to interes ostrzysz sobie tym razem zęby?

— Znasz Margot. Znasz także jej brata, a tym samym jego bajeczne powiązania z wielką finansjerą i przemysłem. Zawdzięczam mu co nieco.

— Wiem o tym, Zygrydzie.

— Trzeba tylko we właściwym czasie wynajdywać właściwych przyjaciół, tak jak myśmy się kiedyś odnaleźli. Bądź co bądź sam rozumiesz, że wobec brata Margot czuję się mocno zobowiązany. — Spostrzegł, że Kahlers potwierdza to kiwnięciem głowy. — I to, mój drogi, jest już całe wyjaśnienie.

— Nie jestem co prawda ograniczony umysłowo, ale musisz mi to, chłopie, wyjaśnić trochę dokładniej.

— Dobrze, Konradzie. A więc tak. Brat Margot dowiedział się, że jej mąż z pewnością nie przeżyje najbliższych dni. Dlatego też prosił mnie, błagał nawet, że tak to określeń, ażebym zechciał zaopiekować się

jego siostrą pod każdym względem w stopniu, w jakim tylko okaże się to możliwe. To właśnie mu przyrzekłem.

Konrad teraz nareszcie uznał, że ma właściwe rozeznanie w sprawie.

— A więc chcesz się ożenić z Margot?

— Dlaczegoż to, mój drogi, mówiąc między nami tak szczerze, jak zwykliśmy, nie miałbym chcieć? Tym bardziej że rozwiązanie takie byłoby także najlepsze pod względem finansowym. A może miałbym dopuścić do tego, że będę płacił za jej standard życiowy, to znaczy mieszkanie, ogród, samochód, suknie i pozostałe zakupy? Będzie przecież najprościej, oczywiście pod względem materialnym, jeśli się z nią ożenię.

— To do ciebie podobne! — zawołał Konrad Kahlers, jakby pozbywając się wątpliwości. — To tłumaczy prawie wszystko!

— Jeszcze nie wszystko, Konradzie. Jest coś, czego nie przeoczyłeś i czego nie radziłbym ci przeoczyć.

— Chyba nie myślisz o Południowym Osiedlu Leśnym, Zygfrydzie! Ten projekt właściwie przeszedł, nie uważasz?

— Jeszcze nie. Nie tak, jak należy!

Spojrzeli obaj na opadające płatki śniegu. W radiu ktoś krzykliwie wyśpiewywał kolędy. Reszta towarzystwa była pogrążona w przyciszonej gadaninie.

— Czy zatem domagasz się, bym się sprzeciwił temu projektowi i tym samym swemu własnemu interesowi?

— Niekoniecznie aż tak od razu, Konradzie. Zalecam ci jedynie, byś się nie spieszył. Powstrzymuj to przedsięwzięcie, zwlekaj z własną decyzją, a tym samym opóźniaj decyzję rady miejskiej. Tylko to leży w twoim interesie, możesz mi wierzyć. Całą resztę możesz spokojnie pozostawić mnie i Brandinowi. Już my to załatwimy.

— Zdaje mi się, że masz piekielnie perfidny plan. Na czym on polega?

— Nie mogę jeszcze powiedzieć tak całkiem dokładnie, mój przyjacielu. Ale jeśli się powiesz, natychmiast to odczujesz. I będziesz mi wdzięczny.

— Mój Boże — westchnął Kahlers — cóż to musiało się dziać, że ty stałeś się aż taki? Możesz mi to wytłumaczyć?

Dziewiąte, to jest ostatnie intermezzo Jak wówczas znaleźli ostateczne rozwiązanie

W owym syberyjskim obozie, oznaczonym za pomocą pięciocyfrowego numeru, a noszącym też nazwę „Czerwona Przyszłość”, ludzie marli jak muchy. Każdy rodzaj śmierci, jaki tylko można sobie wyobrazić, musiał być zarejestrowany, a więc na przykład: zgon na skutek ogólnego wyniszczenia fizycznego, uduszenie w wyniku ciągłych wymiotów, krwawienie z odbytnicy, gorączkowe drgawki z przejściem w całkowite zneruchomienie...

Przyczyna tego była przeraźliwie prosta — niedożywienie, brak lekarstw, osłabienie woli życia. Całe lata wegetowania wśród smrodu, w trzaskającym mrozie bądź duszącej spiekocie. Byli przy tym niedostatecznie ubrani, nie mieli już prawie bielizny, a mundury rozlażyły się coraz bardziej. W tych warunkach nawet sierżancki głos Eichlera mocno przycichł.

Pewnego razu komendant obozu, starając się być bardzo rzeczowy, stwierdził:

— Tak ogólnie jest u nas tak samo jak w innych obozach. To nieuniknione wobec tego, że wojna z Hitlerem obarczyła nas odpowiedzialnością za te miliony ludzi. A jednak w naszym obozie przeciętna liczba zgonów jest o parę procent wyższa niż gdzie indziej.

Komisarz też to potwierdził. Lekarka Natasza jednak wyznała:

— Czuję się całkowicie bezradna! Powinniśmy coś zrobić, aby temu zaradzić, ale co?

Na to Sonnenberg poradził komendantowi, a także komisarzowi, ażeby przynajmniej spróbowali jakiejś akcji zapobiegającej wzrostowi zachorowań. Oczywiście pod kierownictwem lekarki, ale z jego i Brandina udziałem i przy pomocy wybranych jeńców. Za hasło przyjąć: czystość zapobiega zakażeniu!

— Na pewno chcesz jeszcze więcej strzyc, co? — Komisarz był wprawdzie lekko ubawiony, ale okazał też przychylność i zrozumienie. Tym bardziej że lekarka żywo poparła tę inicjatywę. Potem także komendant oświadczył zdecydowanie: — A więc akcja pod hasłem „czystość” ma się odbyć.

Odbyła się rzeczywiście, jakkolwiek kosztem przejściowego ograniczenia działania zakładu fryzjerskiego. Sonnenberg sklecił natryski,

które sam wykombinował, a które zapobiegały marnotrawstwu wody. Do tego doszły stanowiska do prania odzieży i przyrządy do opryskiwania pomieszczeń w barakach, oszczędnie dawkujące osiągalne środki dezynfekujące. Wkrótce panujący wszędzie odór zgnilizny przemienił się w zapach dość znośny.

Szybki i łatwo dostrzegalny efekt akcji zdołał wyrzucić wrażenie nawet na sierżancie Eichlerze. Był on bowiem wciąż jeszcze decydującą osobistością w „wewnętrznym kierownictwie”, chociaż jego prestiż po stracie obu przybocznych zbirów poważnie osłabł. W każdym razie musiał teraz sam przyznać, że jego wpływy słabną, natomiast znaczenie Sonnenberga rośnie w oczach!

Chcąc wyrobić sobie co do tego zdanie, przyszedł do Sonnenberga, a tym samym także do Brandina.

— Spodziewam się, koledzy, że chyba nie usiłujecie wywindować się nade mnie, a mnie wyeliminować i przestać się ze mną liczyć?

Sonnenberg uśmiechnął się w sposób ogromnie drażniący dla przybysza. Brandin tymczasem usunął się z lekka na dalszy plan, ażeby nie demonstrować zbyt wyraźnie swojej satysfakcji. Bardzo chętnie odstąpił swemu przyjacielowi to, czego teraz należało dokonać. Sonnenberg zaś powiedział:

— Dlaczego miałbym ciebie nie uznawać, Eichler? Jesteś tu kimś wpływowym, więc bądź nim nadal. Powiedzmy sobie, współpracując ze mną. Z nami.

— Z byka spadłeś, chłopie? A może ci ktoś do głowy nasrał? — Sierżant był bardzo bliski wybuchu wściekłości lub czego innego. — Coś podobnego jak ty, jak wy obaj, trzeba zlikwidować! Jak najprędzej.

— Czego już kilka razy próbowaliście, wiem o tym. — Uprzejmość Zygfyda wynikała z ukrywanej determinacji. — Usiłowałeś mnie, nas obu, wykończyć, nasyłając swoich ludzi. Ale ja, to znaczy my, wykończyliśmy ich. Czyżby to uszło twojej uwagi?

Sierżant Eichler poczerwieniał jak burak. Nie mógł złapać oddechu, usiłował coś powiedzieć bełkotliwie:

— Mój Boże! Co jeszcze powiesz, człowieku?

— Chcę ciebie tylko oświecić, Eichler, co do twojej obecnej pozycji, która beze mnie, bez nas obu, jest gównem warta. Twego podręcznego mordercę, tego Bachmanna, załatwiliśmy tak, że nadawał się tylko do

dołu na odpadki. A co się tyczy Vespera, to poiiliśmy go systematycznie alkoholem, po czym on spróbował dobrać się do pewnej towarzyszki. Oczywiście nie przeżył tej próby.

Eichler, nie na żarty przerażony, chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi, jakby chciał się znaleźć w bezpiecznym miejscu.

— To wszystko po prostu nie może być prawdą!

— A jednak to prawda — powiedział spokojnie Sonnenberg. — Ale ty możesz sobie oszczędzić podobnego losu. "Wystarczy, byś oświadczył, że w przyszłości chcesz współpracować ze mną, z nami. Pod naszym kierownictwem. Na warunkach, które my ci postawimy. No więc?"

— Dlaczegoś taki pewny siebie, ty podstępna świnię?

— Mam dla ciebie parę drobiazgów, w naszej sytuacji bardzo przydatnych — powiedział od niechcenia Zygfyrd. — Nie chciałbym się już przechwalać, że komendant nie jest wcale od tego, by mnie uważnie słuchać, kiedy ja go strzygę... Bądź co bądź wspólnie z komisarzem już zaplanowaliśmy, a co ważniejsze, przeprowadziliśmy parę przedsięwzięć. Ale nawet to nie musi dla ciebie tak wiele znaczyć. Jest tu jeszcze nasz Brandin, teraz zatkaj na chwilę uszy, Tomaszu, któremu udało się pozyskać pewną przychyłność naszej lekarki obozowej.

— Czy on z nią przypadkiem...?

— Nic podobnego nie twierdziłem! Nie znaczy to jednak, że taka rzecz nie jest możliwa. Nic na to nie poradzisz, Eichler.

— Ale coś podobnego nie może trwać wiecznie. Na pewno przeżyjemy to. A potem policzymy się z wami, wy świnię!

— Nie tak szybko, Eichler! Ma się rozumieć, że ubezpieczyliśmy się. Daliśmy tej lekarce list w zamkniętej kopercie. Zapowiedzieliśmy, że gdyby przydarzyło się coś mnie lub Brandinowi, to prosimy ją, ażeby ten list oddała komendantowi albo komisarzowi. A ona to nam obiecała niemal uroczyście. Musisz wiedzieć, Eichler, że list ten dotyczy prawie wyłącznie ciebie. No, co powiesz teraz?

— Strasznie podła z ciebie kreatura! Najchętniej rozdeptałbym cię jak robaka!

— Wiem! Chciałbyś, ale nie możesz. Nie masz wyboru; możesz tylko pracować tu razem ze mną, z nami. A teraz dość gadania! Jesteś gotów?

— Tak — powiedział Eichler ulegle, jakby stanął twarzą w twarz z własnym przeznaczeniem.

Zaledwie kilka dni później w Rosenburgu Nowym Osiedlu zaczęły się objawiać skutki ostatnich wydarzeń. Coś w rodzaju „ostatecznego rozwiązania”. Zanosilo się na to, że obejmie ono wszystko kompletnie; przebiegało, jakby je zaplanowano w sztabie generalnym. Pomimo że opracowali je zaledwie dwaj byli jeńcy wojenni najniższych stopni.

Pierwsza faza była łatwa do ustalenia, przynajmniej jeśli chodzi o godzinę, miejsce i datę. Była godzina 16.55, co odpowiadało dokładnie zachodowi słońca w Europie Środkowej. Miejsce — zamek Rosenburg. Data — ostatni wieczór roku 1959, czyli Sylwester.

Brandin stawil się u Wernersa. Zanim stanął przed nim, musiał najpierw przemierzyć gabinet, rozległy jak boisko futbolowe. Werners wyglądal, jak zawsze, bardzo dostojnie, zupełnie jakby udzielał audjencji. Współpracowników, podobnie jak kiedyś, w czasie wojny, uważał za podwładnych i za nic więcej. Zaliczał do nich także tak zwanego zięcia, sądząc zresztą, że ma do tego prawo. Wciąż jeszcze.

— O każdej porze chętnie pana widzę, mój drogi — zawołał na powitanie — o ile pan tylko nie zamierza snuć opowieści o nowych komplikacjach w małżeństwie z moją córką, czego wolałbym się nie spodziewać. Jeśli idzie o moją Izoldę, nie mam zamiaru tolerować żadnych wątpliwej wartości podejrzeń!

— Jestem tu wyłącznie w sprawach interesów — zapewnił go Tomasz Brandin.

— Może pan oczywiście usiąść, tu, koło mnie. — Werners, znów całkiem po generalsku, wskazał krzesło stojące w przyzwoitej odległości naprzeciw biurka. — W każdym razie muszę wyznać, że przychodzi pan bardzo nie w porę. Zamierzam bowiem odbyć przechadzkę po swoich łąkach i lasach. Podobnie jak zwykli byli niegdyś czynić moi przodkowie. Pan niewiele chyba może mieć zrozumienia dla tego zwyczaju. Lecz moi przodkowie zawsze w ostatni dzień roku przemierzali pieszo swoje posiadłości, co ja też chętnie bym uczynił. Jednak w tej chwili pan mi w tym przeszkadza. Czym pan to tłumaczy?

— Wydaje mi się, panie Werners, że zaistniała sytuacja bardzo delikatna, by nie powiedzieć katastrofalna. Jej skutki, niestety już łatwe do przewidzenia, będą po prostu straszne.

— Człowieku! Proszę nie pleść byle czego! Sam pan wie, że uznaję tylko zupełnie wyraźne informacje. Niech pan więc odpowiednio do tego się zachowuje. A więc o co chodzi?

— Chodzi o projekt Południowego Osiedla Leśnego, panie Werners.

— Niech pan mnie tym nie zanudza! Przecież ta sprawa jest już załatwiona, umowa zawarta i ubezpieczona najlepiej jak można; nawet na kilka sposobów.

— Wydawało się, panie Werners, że jest tak rzeczywiście lub że tak powinno być. Polegał pan na swoim szwajcarskim pośredniku. Zbyt pochopnie, bez zastanowienia, jak należy teraz sądzić. Ponieważ ten pański człowiek...

— Jak to: mój człowiek? — Werners usiłował ostrym, rozkazującym tonem zamaskować wzbierającą w nim obawę. — To pański człowiek, pan mi go tu przywłókł! — Była to często wśród wojskowych przełożonych stosowana metoda przerzucania odpowiedzialności. — Pan mi to doradził, panie Brandin!

— Pozwoli pan, panie Werners, że skoryguję pański pogląd. Ten człowiek ze Szwajcarii oczywiście zgłosił się najpierw do mnie, ale tylko po to, ażeby poprosić o skontaktowanie go z panem. Okazało się, że pan jest zainteresowany jego ofertą, toteż polecił mi pan przebadanie wszystkich wariantów transakcji i przeprowadzenie odpowiednich wstępnych rokowań. Ostateczną decyzję w sprawie tego projektu zastrzegł pan jednak sobie. Sobie osobiście. Sam pan doprowadził potem tę umowę do końca i sam podpisał.

— Co to wszystko ma znaczyć, Brandin! Ma pan może zamiar uchylić się od swoich zobowiązań?

— Nie mam żadnych, przynajmniej w tej sprawie. Nie czynię panu przez to zarzutu, gdyż szwajcarskie firmy uchodzą powszechnie za godne najwyższego zaufania i solidne. Jednakże jeśli w mocnym łańcuchu powiązań finansowych znajdzie się choć jedno słabe ogniwo, łańcuch pęka.

— Dość tej gadaniny! Wyraźnie usiłuje mi pan podsunąć jakieś podejrzenie. O co więc chodzi?

— Myślę o tym pośredniku w Lugano, którego pan tak chętnie zaakceptował jako partnera do umowy i któremu udzielił pan odpowiednich pełnomocnictw. On to właśnie, jak się wydaje, okazał się nieprzeciętnym aferzystą: kłamcą, defraudantem i oszustem na nie byle jaką skalę.

Werners wyraźnie .zbladł.

— Nie chce mi się wierzyć! Proszę powiedzieć, że to nieprawda!

— To niestety fakt — bezlitośnie upierał się przy swoim Brandin. — Już kilka razy telefonowałem do Zurychu i Lugano. Bez specjalnego wysiłku upewniłem się, że pański partner już zainkasował pierwsze pieniądze, które pan przekazał do jego dyspozycji. Dwa i pół miliona marek! Ale nie dla swojej szwajcarskiej grupy finansowej, tylko do własnej kieszeni. Zdążył już zniknąć razem z tą sumą. Przymuszczałnie wyjechał do Włoch albo do Libanu.

— To po prostu straszne! — wyrzucił z siebie Werners, nie posiadając się z oburzenia. — Taka rzecz jest zwykłym przestępstwem. Trzeba natychmiast powiadomić policję, najlepiej Interpol!

— Koniecznie — potwierdził Brandin, spięty wewnątrz. — Pański adwokat mógłby to zlecić policji. Jednakże ani o jednego feniga nie zmieni się na pańską, Werners, panie Werners, korzyść pańskie zobowiązanie wypłacenia, zgodnie z umową, kwoty w wysokości dziesięciu milionów marek. Umowa jest bezwzględnie wiążąca i należy zapłacić. Za obiekt, który w tej chwili uchodzi w siną dal. Bo pańskie przedsiębiorstwa nie przetrzymają straty na razie okrągłych dwu i pół miliona.

Jeden raz w życiu tylko zdarzyło się Wernersowi, wówczas jeszcze wyłącznie generałowi, znaleźć się w podobnie wyjątkowo trudnej sytuacji — wtedy kiedy po ostrej utarczce słownej ze skorym do kapitulacji kolegą Laschem musiał poddać twierdzę Królewiec. Nim jednak do tego doszło, jego zdecydowane trwanie pociągnęło za sobą niezliczone ofiary — mordęgę, głód i śmierć kolegów. On sam był jednakże przekonany, że są oni nadal gotowi trwać przy wysoko wzniesionym sztandarze.

Miał nadzieję, że podobnie jest i teraz. Werners był zdolny zdać sobie sprawę, że jeśli prawda jest to, co ma odwagę twierdzić ten Brandin, to on, generał, jest kompletnie zrujnowany. Zdawało mu się jednak, jeszcze w tej chwili, że odgaduje, co się łęgnie w głowie podwładnego.

— Pan mi nawarzył tego piwa! — wykrzyknął do niego.

— Jestem u pana jedynie kierownikiem przedsiębiorstwa, panie Werners. Niczym więcej.

— Nie czas na dezercję, człowieku! — krzyknął. — Ostatecznie przez małżeństwo z moją córką jest pan także moim krewnym. Należy więc pan do nas. Ma pan udziały we wszystkich moich przedsiębiorstwach, udziały, które stale rosną. Nie chce mi się wierzyć, Brandin, by pan był gotów zrujnować mnie. A tym samym także siebie!

— To pan jest zrujnowany, Werners! O mnie niech się pan już nie martwi.

Tymczasem wciąż jeszcze nieugięty generał postanowił, nawet w tym momencie, uciec się do swojej starej metody, która nie powinna zawieść, to znaczy zagrozić zniszczeniem. Niejeden z podległych mu dowódców po czymś takim czym prędzej uderzał w pokorę. Teraz nadarzała się podobna okazja.

Stosownie do powziętego zamiaru Werners oświadczył, jak mu się zdawało, bezwzględnie władczym tonem rozkazu:

— Jeśli zamierza pan wytworzyć sytuację, w której odmówi mi pan posłuszeństwa, to ostrzegam, że zwolnię pana ze skutkiem natychmnia stowym z wszelkich zobowiązań wobec mnie!

Miało to znaczyć: w stosunku do przedsięwzięcia Wernersa. Oznaczało to jednak także wypowiedzenie jakiegokolwiek udziału, a więc stałej miesięcznej wypłaty, zwolnienia od czynszu za mieszkanie w zamku Rosenberg i tak dalej, i tak dalej.

— Przyjmuję to do wiadomości — powiedział spokojnie Tomasz.

— Nie musi to być przecież pańska ostateczna decyzja, panie Brandin! — zawołał błagalnie Werners. — Wciąż jeszcze mam nadzieję, że może się panu uda uporządkować te nieszczęsne szwajcarskie sprawy, za które jedynie pan jest odpowiedzialny. Do tego czasu daruję sobie okazywanie panu życzliwości, nie będę więc przywiązywał większej wagi do łączących nas więzi rodzinnych. Odpowiednio do tego zamierzam nakłonić moją córkę, Izoldę, ażeby opuściła pana i udała się do swojej ciotki, a mojej siostry w północnych Niemczech.

— Gdzie Izolda na pewno poczuje się doskonale — odparł, nadal spokojnie, Brandin — gdyż tam wciąż jeszcze, na tej samej stacji benzynowej, przebywa ojciec jej nieżyjącego dziecka. Mam zresztą jego oświadczenie w tej sprawie, uwierzytelnione notarialnie.

— Brandin — przemówił z kolei Werners, szczerze zmartwiony, do czego zresztą miał prawo, zważywszy jego zapatrywania — czyżby panu zależało na tym, bym pana nazwał podstępnyim kretynem, nędznym pasożytem, wyrzutkiem społeczeństwa? Nie pozwala mi na to moje wychowanie, wyznawane przeze mnie zasady tolerancji i duch prawdziwego koleżeństwa. Dlatego właśnie jeszcze teraz daję panu ostatnią szansę: niech pan zaprowadzi porządek w tej stajni Augiasza!

Tomasz zaprzeczył ruchem ręki. Nadal stał, całkowicie opanowany.

Nie odczuwał ani odrobiny osobistego triumfu. Szeroko otwartymi oczyma niemal ze smutkiem wpatrywał się w tego generała. Trwało to dłuższą chwilę.

Wreszcie odezwał się:

— Jeszcze raz, Werners, odwołuje się pan do rzekomo prawdziwego koleżeństwa. Słyszac to, doświadczam pokusy zwrócenia panu uwagi, że tego rodzaju uczucie powinien pan być okazać memu ojcu, kapitanowi Brandinowi. Potrafi pan jeszcze przypomnieć go sobie?

— Kim on jest?

— Kim on był? Tak należałoby zapytać — poprawił go Brandin.

Dawny generał Werners, nic absolutnie nie rozumiejąc, wlepił wzrok w swego, w tej chwili byłego, kierownika handlowego.

— O kim pan mówi?

Nie był w stanie pojąć, jaka groźba nad nim zawisła.

Prawie dokładnie w tym samym czasie Zygryd udał się w odwiedzinach do niezrównanej piekielnicy mieszkającej w suterenie domu Sonnenbergów, to znaczy do matki Klementyny. Wyszła mu skwapliwie na spotkanie, szeleszcząc spódnicami.

— Dobrze wyglądasz, mój mały. Masz minę lisa w pobliżu kurnika! Jeżeli dopuścisz mnie do sekretu, sprawisz mi wielką przyjemność!

— Natomiast ty — oświadczył jej — nie czujesz się dobrze, jak zakomunikowałem swojej kochanej żonie. Leżysz w łóżku z powodu ostrej grypy lub czegoś podobnego. Ja zaś musiałem na krótko zajrzeć do ciebie.

Klementyna, jak zwykle, już weszła po łobuzersku jakąś intrygę.

— No, to leżę już, ja biedna, stara, słabowita kobieta. Ledwie się ruszam. Tak ma być? — On skinął jej głową. — Ty zaś, zatroskany o mnie, jak to masz w zwyczaju, przyniosłeś mi na wzmocnienie parę butelek wódki. Duńskiej żytniówki? — Znów skinął głową. — Świetnie! W takim razie, leżąc, będę ciężko dyszała, bardzo przekonująco na wypadek, gdyby twoja kochana żona mnie odwiedziła. Dlaczego, pytasz? Rzekomo z troski o mnie, a naprawdę ażeby mnie skontrolować. Ale co ty zrobisz tymczasem?

— Po odwiedzinach u ciebie, jak powiedziałem swojej kochanej żonie, muszę pójść jeszcze na konferencję, która potrwa trzy do czterech

godzin. Dlatego muszę ją pozostawić samą, może nawet aż do powitania Nowego Roku, które ma się zacząć o północy. Ale do tego czasu ty będziesz oczywiście znów zdrowa.

— Będę! — zapewniła matka Klementyna. Rozumieli się doskonale. — Chcesz więc swojej Chrystianie pozostawić, że się tak wyrażę, zupełnie swobodną rękę w nadziei, że ona... Ależ ona to zrobi! Nigdy przecież nie przepuści nadarzającej się okazji. Ale ja będę musiała pilnować i w razie czego natychmiast powiadomić ciebie. Zgadłam?

Uśmiechnął się do niej.

— Mój stary, kochany klejnocie! Gdyby ciebie tu nie było, to musiałbym ciebie wynaleźć! Jesteś absolutnie niepowtarzalnym okazem.

Zaczerwieniła się zupełnie jak dziewczynka. Chociaż zasłużyła na pochwałę, to jednak zagruchała z zadowolenia jak całe stado gołębi.

— Nie zawstydzaj mnie, mój drogi chłopcze. Gdzie będę mogła ciebie znaleźć, gdyby do tego doszło?

— Zatrzymam się tuż za rogiem, w restauracji Pod Trzema Lwami. Wystarczy, byś zatelefonowała, od razu przyjdę. W ciągu pięciu minut.

Wkrótce, bez większych niespodzianek, wszystko rozegrało się tak, jak przewidywali Zygfryd i Klementyna. Chrystiana, nie zadając sobie nawet trudu zajrzenia najpierw do rzekomo chorej staruchy w suterenie, przemierzyła cały na pozór zupełnie pusty dom i weszła do pokoju dla pracowników w stojącym na tyłach budynku produkcyjnym. Zastała tam też, jak się zresztą spodziewała, pewnego godnego zainteresowania cudzoziemskiego robotnika.

Chodziło jej mianowicie o tego zwałistego Turka, którego mocne łapy bardzo sobie ceniły nie tylko klientki damskiego salonu fryzjerskiego. Przed paroma dniami, przebrany za świętego Mikołaja, miał on okazję wtoczyć pod choinkę w domu Sonnenbergów taczki z podarkami. Chłopisko to leżało w tej chwili na swoim łóżku polowym — prawdopodobnie śniło o gajach oliwnych wśród skał, o falach morskich i plaży, o słońcu świecącym bez przerwy nad ścieżkami nędzy.

Gdy Chrystiana podeszła do niego, nadal trwał bez ruchu, raczej ulegle niż wyczekująco. Był jednak wdzięczny jej, że przyszła. Miał też ochotę dać tego dowód. Stanowiło to rodzaj przeciwionego, często powtarzanego rytuału, jaki rozgrywał się pomiędzy nimi. Wcale nie była do tego potrzebna znajomość obcego języka ani z jego, ani z jej strony. Opadła na niego bez słowa.

Reszta okazała się już tylko rutyną. Baczna na wszystko Klementyna wezwała Zygryda. Przyszedł, nie spiesząc się specjalnie. Ona zaprowadziła go pod drzwi, za którymi znajdowało się tamtych dwoje. Zygryd otworzył drzwi. Leżało przed nim to, na co czekał, co spodziewał się zobaczyć — stękające zwierzę o dwóch grzbietach.

— Przepraszam! — zawołał do nich Zygryd, mając za sobą rozłożystą Klementynę jako świadka. — Nie chciałem przeszkadzać. Nie krępujcie się, macie czas! Ale potem, Chrystiano, chętnie bym z tobą porozmawiał.

O tej samej porze, w ostatnich godzinach roku 1959, u Eryki i Johna Frankfurtera pojawiła się para gości — Dagmara i Tomasz. Zostali serdecznie powitani. W dużym pokoju zasiedli parami naprzeciwko siebie. Otaczała ich atmosfera nietuzinkowego smaku artystycznego. Wisiał więc na głównej ścianie z lekka połyskujący, mieniący się barwami obraz Emila Nolde, przedstawiający bagnisko. Pod nim stała syjamska figurynka pograżonego w myślach Buddy. Jego kształtne ręce wydawały się niezmiernie czule osłaniać pępek. Na podłodze, szeroko rozparty, leżał chiński pies z porcelany — wielkooki pekińczyk, okryty powodzią gładkiej, jedwabistej połyskującej sierści.

— Wszystko to — wyjaśnił John, czyniąc ręką gest przypominający błogosławieństwo — zdobyłem co najmniej dziesięć lat temu, kiedy tych rzeczy pełno było wszędzie i można je było dostać, za cenę śmieszną wprost w porównaniu z sumami, jakie daje się za nie dziś. Także i to mogę ci odstąpić, Tomaszu, jeśli chcesz, za tyle, ile sam wtedy zapłaciłem.

Brandin spojrział z niedowierzaniem najpierw na Johna, potem na Erykę, a wreszcie na Dagę.

— Nie mam zamiaru niczego przyjmować — powiedział — a już w żadnym wypadku nic z rzeczy, które należą do ciebie i Eryki.

— Ale jedynie ty wchodzisz w tym wypadku w rachubę, ty i Dagmara. Chciałbym powierzyć, oddać w wasze i tylko wasze ręce to wszystko, a do tego jeszcze ten dom. Dom nie jest co prawda mój, wynajmuję go tylko z prawem pierwokupu, a umowa będzie ważna jeszcze przez dziesięć lat.

Ten szczegół trochę oburzył Tomasza.

— Jak to, Johnie, ten dom nie jest twoją własnością? Nie mogłeś go

sobie kupić? Nawet dzięki temu, czego dokonałeś w ostatnich latach, mając wyjątkowe pełnomocnictwa do pośredniczenia, dysponowania i obracania pieniędzmi? Musiały to być sumy rzędu setek milionów. Przecież Rosenburg, tak świetnie dziś prosperujący, zawdzięczał możliwości rozwoju nie tylko położeniu, ale w ogromnej mierze także Johnowi Frankfurterowi, począwszy od chwili, kiedy zjawił się on tu jako oficer amerykańskich wojsk okupacyjnych. Nasz Zygryd — orzekł Tomasz, kręcąc głową — będąc na twoim miejscu, wygospodarowałby w każdym razie wielokrotnie większe zyski.

— Ja nim nie jestem — powiedział John Frankfurter, uszczęśliwiony, że żona złożyła ręce na jego dłoniach — a on nie jest mną! Kiedyś wyznaczono mnie tu na powiernika władz okupacyjnych, a ja starałem się zachowywać tak, jak wypadało w tej sytuacji. Zygryd jest po prostu genialnym handlowcem i nikomu nie musiał okazywać względów, a zatem nie okazywał. Możliwy był bądź co bądź pewien wyjątek: jeśli ktoś był mu bez reszty oddany, to Zygryd bywał podobnie oddany jemu. My z Eryką wiedzieliśmy o tym, ale zrozumieliśmy, że nie może to trwać wiecznie.

— A więc to prawda, że chcecie nas opuścić?

— Mielśmy zamiar zrobić to już przed pięcioma laty, Tomasz. Zygryd potrafił nas jednak przekonać, że koniecznie jest mu potrzebna nasza pomoc. Stało się to poniekąd z twego powodu, bo przeszedłeś do Wernersów i dopiero teraz dokładnie widać, co było tego prawdziwą przyczyną. Wobec tego, że i ta sprawa wyjaśniła się, możemy wreszcie wyjechać. Toteż chętnie to zrobimy.

— A w samej rzeczy od kogo względnie od czego uciekacie? Może od dzisiejszych Niemiec? Niepokoi was coraz bardziej rażąca pewność siebie, coraz groźniejsza żądza życia i użycia?

Eryka spojrzała na Johna z zapytaniem w oczach, a on odpowiedział we własnym i jej imieniu:

— To zjawisko, Tomasz, jest chorobą ponadczasową, o światowym zasięgu i powtarzającą się cyklicznie. Przeraża mnie tylko niesłuchanie krótki czas, w ciągu którego powróciło. W roku czterdziestym piątym to dziedzictwo po Niemczech spadło na niewiarygodnie niski poziom. Ale już wkrótce dało się słyszeć: znowu jesteśmy kimś, mamy coś własnego, trzeba się z nami liczyć! Mój Boże, przerażenie mnie ogarnia!

— A jednak, pomimo wszystko, nie odnoszę właściwie wrażenia, byś był nieszczęśliwy — powiedział Tomasz Brandin.

— Dlaczegoż miałbym być nieszczęśliwy? Żyję z Eryką! Oboje zrozumieliśmy, że ludzie, którzy czują się tak ściśle związani ze sobą, są mocni jak twierdza, jak bastion, który jest w stanie oprzeć się wszystkiemu.

— Nawet wypadom i atakom takiego Zygryfryda?

John uśmiechnął się znacząco.

— To jest problem już nie nasz, ale wasz, twój i Dagmary. Spodziewam się po was obojgu, że także z tym dacie sobie radę. Jesteście zresztą w szczęśliwszym położeniu: Zygryfryd kocha was oboje. Prawie tak samo jak samego siebie.

r. j

Zygryfryd Sonnenberg przyjął swoją żonę Chrystianę z domu Clements. Odbyło się to w jego biurze, zatem w miejscu wcale nie przypadkowym. Biuro to bowiem było zarazem miejscem, w którym brały początek jego nie byle jakie interesy.

Zygryfryd spoglądał na swoją piękną żonę z wyraźnie życzliwym pobłażaniem. Zauważył, że wygląda ona „całkiem normalnie”. Trudno było dopatrzeć się w niej choćby śladu tamtej, na pewno dość męczącej przygody, którą przedsięwzięła, dysząc z pożądania, przed jakąś półgodziną.

Wskazał jej krzesło, ale nie obok siebie. Zlekceważyła zaproszenie. Nadal stała przed nim, wołając głosem wprost oskarżycielskim:

— Co chcesz ze mną zrobić? Do czego chcesz mnie zmusić? Na co mam być przygotowana? Może chcesz mnie zamordować, tak jak zamordowałeś swoją żonę Ewę-Ingeborgę i swoją matkę Emmę?

— Wolałbym tego nie słyszeć — poradził jej surowo. — Mogłabyś sobie raz na zawsze darować tego rodzaju lekkomyślne posądzenia! Zrozumiałaś?

— Jeżeli pozwolisz sobie na coś podobnego ze mną — prychnęła — to będę się broniła, zdecydowana na wszystko. Wcale nie będę sama!

— O czym ty tu opowiadasz, dziecinko? — zapytał łagodnie tonem handlarza. — Bądź uprzejma nie przeceniać samej siebie! Spróbuj trzeźwo spojrzeć na swoje położenie.

— Bądź co bądź jestem twoją żoną.

— Zgadza się — oświadczył cierpliwie, spięty wewnątrz. — Ale w żadnym razie nie możesz wysuwać wobec mnie jakichś prawnie

uzasadnionych roszczeń. Nie masz prawa ani do mego majątku, ani do moich interesów i przedsiębiorstw. Istnieje między nami notarialnie poświadczony rozdział majątkowy, a mam nadzieję, że ty wiesz, co to oznacza? Jeżeli nie wiesz, to niech ci to ktoś wyjaśni, na przykład Kahlers.

— Do czego zmierzasz, Zygfrydzie?

— Chcę ci zwrócić uwagę na rzetelnie udowodnione fakty. Można ci także udowodnić wielokrotnie powtarzane łamanie wierności małżeńskiej. Mam na to kilku świadków, gotowych zeznawać pod przysięgą. Ale czy to naprawdę konieczne?

— Ty chcesz mnie załatwić! — krzyknęła. — A może to z powodu tej Margot?

Zygfyrd nie był absolutnie przygotowany do dyskusji nad tym posądzeniem, wcale nie tak dalekim od prawdy. Raczej wolał ją zapewnić:

— Widocznie nie doceniasz mnie, moja droga Chrystiano, a zdarza ci się to nie pierwszy raz. Chcę przecież tylko twego dobra, które całkiem przypadkowo jest korzystne też dla mnie.

— Cóż to takiego, według ciebie?

— Chodzi o naszego wspólnego przyjaciela Konrada Kahlersa. On ciebie kocha, zauważyłem to. Pytałem go nawet o to, a on przyznał, że tak jest. Możesz więc w każdej chwili zostać jego żoną, żoną człowieka zasłużonego, niezwykle szanowanego burmistrza, którego, jak mi się zdaje, ceni sobie nasz premier. No, to jak? Czy to nie brzmi ciekawie? Czy to nie korzystna oferta?

— Sądzisz, że on się na to zdecyduje?

— Ręczę ci. Jeżeli tylko zechcesz. A chcesz?

— No, tak — powiedziała, certując się i wdzięcząc trochę jednocześnie. — Jeśli zależy ci na tym i uważasz to za odpowiednie, Zygfrydzie, a zatem godzisz się i utorujesz mi drogę, to dlaczego miałabym się nie zgodzić?

Już sobie wyobrażała, co to będzie, nie czując się wcale nieszczęśliwa — oficjalne przyjęcia, udział z urzędu w uroczystych zebraniach i świątecznych imprezach, uroczystościach partyjnych i festynach ludowych. I ona — stale obecna u boku Konrada, w samym centrum życia towarzyskiego Rosenburga.

— W ten sposób — zakonkludował Zygfyrd — już prawie zostałam

żoną naszego burmistrza, i to z moim błogosławieństwem, którego ci chętnie udzielam. Na waszym ślubie byłbym gotów występować jako świadek, dzięki czemu wydarzenie nabraloby odpowiedniego blasku. Zgoda?

Oczywiście zgodziła się.

Zygryd Sonnenberg czekał tylko na to, co musiało się stać nieuchronnie. Poczyni! już najważniejsze przygotowania, włączył odpowiednie regulatory. Cały ładunek spraw mógł ruszyć do stacji przeznaczenia, a miał nadzieję, że nastąpi to wkrótce. Czas oczekiwania na tę chwilę spędzał w swoim laboratorium. Pracował tam, na pozór bardzo spokojnie, nad nowym preparatem. Miał to być zbliżony do mleczka kosmetycznego krem, nadający skórze całego ciała jedwabistą gładkość. Pierwsze próby przebiegły z wynikiem wyraźnie zadowalającym. Zdawało się, że Zygfryd nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

Po pewnym czasie wtargnął jednak do tego pokoju Konrad Kahlers. Z trudem hamował podniecenie, lecz wcale nie ukrywał niezadowolenia.

— Jakiś bałwan z twojej firmy usiłował nie wpuścić mnie i odprawić z kwitkiem. Mnie! Aż wreszcie zjawiła się matka Klementyna i natychmiast postarała się, bym się mógł dostać do ciebie!

— Moja poczciwa starucha wie przecież, że zawsze jesteś mile widziany. Właśnie ty. Proszę cię jednak, miej jeszcze odrobinę cierpliwości, tylko parę minut. Pozwól, że dokończę niedużego obliczenia dawkowania.

Burmistrz Kahlers, sapiąc ciężko, usiadł na łóżku. Wyciągnął z kieszeni wielką, oczywiście białą, chustkę, wyczyścił nos, po czym wytarł nią — właśnie w tej kolejności — spocone czoło. Czekał, z wysiłkiem ukrywając zniecierpliwienie.

— Trzeba ogromnie uważać przy tej robocie — powiedział Zygfryd, wskazując całą baterię próbek — na pozornie bardzo prostą podstawową zasadę. Najpierw jednak należy do niej samemu dojść. Chodzi o nieprzerwane uzupełnianie oddziaływania kosmetyków, a z tym wiąże się powstawanie całej serii. Na przykład produkuję już piankę do kąpieli. Ta pianka jednak siłą rzeczy niszczy częściowo warstwę ochronną, która pokrywa całe ciało. Należy zatem tę warstwę odnawiać za pomocą mleczka kosmetycznego. Właśnie teraz staram się spreparować coś w tym rodzaju.

— Dzięki czemu — mruknął Konrad, jednak nie bez odrobiny uznania — zarobisz dwa, a może trzy razy więcej!

Zygfyrd spojrział na niego przyjaźnie.

— W czym ty też będziesz miał udział, jeśli tylko wszystko będzie się nadal układało pomyślnie. U mnie i u ciebie.

— U mnie, chłopie, rozpełtały się piekielne moce, a ty o tym wiesz!

— Nie tylko wiem o tym, drogi przyjacielu. Ja to przewidywałem i pozwoliłem sobie ostrzec cię przed tym. Z pewnością jeszcze we właściwym czasie, mam nadzieję.

— Niestety, mam podstawy przypuszczać, że nie tylko przewidywałeś, ale nawet mocno się o to starałeś. Razem ze swoim Brandinem, kutym na cztery nogi.

— Oszczędź sobie prawienia podobnych komplementów — odparł Sonnenberg, uśmiechając się, ale z ukrytą pogrózką. — W każdym razie komukolwiek poza mną. O wszystkim decydują jedynie fakty. Werners został oszukany na dwa i pół miliona, a to przyprawia go o ruinę. Jest to skutek tego, że ktoś wchodzi w układy z partnerami nie zasługującymi na zaufanie.

— Ale Werners usiłuje teraz wyrównać stratę, jakoś ją zrekompenzować. Stara się nakłonić gminę, ażeby bezpośrednio zaangażowała się w projekt Południowego Osiedla Leśnego. Sam gotów jest wnieść wszystkie środki, jakie mu jeszcze pozostały. Tej gotowości nie można tak po prostu odrzucić.

— Och, drogi Konradzie, przecież dobrze umiesz liczyć. Dlatego też rozumiesz, że strata takiej sumy stanowi potężną wyrwę w gmachu finansów Wernersa. Trudno ją załatać, tym bardziej że dzięki niej wkrótce pokażą się następne dziury. Ręczę ci, że jest tylko kwestią czasu, i to bardzo krótkiego, kiedy to wszystko się rozsypie.

— Być może, Zygfrydzie — burmistrz okazał z troską z pozycji urzędowej — jednakże ja muszę zważać też na dobro naszej wspólnoty. Gdyby się rozpadła struktura finansowa Wernersa, musiałoby to wywołać w mieście katastrofę gospodarczą i społeczną: unieruchomienie fabryk cementu i elementów budowlanych, zwolnienie robotników, zmniejszenie wpływów z podatków...

Sonnenberg roześmiał się.

— Ile on ci zaoferował tym razem? Dotychczas miałeś pięć procent, teraz daje ci pewnie dziesięć, co? Ale w bardzo wątpliwej jakości

układach. Biorąc pod uwagę to, że chcesz mieć pewność, raczej nie spodziewam się po tobie, byś miał ochotę wchodzić w te układy.

— Cóż więc mam robić, chłopie?

— Całkiem po prostu przyłączyć się do mnie. Jak zwykle! I to już wszystko.

Kahlers spojrzał na niego z podziwem.

— Przeczuwałem właśnie coś podobnego. Czy jesteś jednak całkiem pewny, że możesz sobie rzeczywiście na to pozwolić, nawet na tak ogromną skalę?

— Bez wątpienia. Oczywiście przy twoim wydatnym wsparciu. Oprócz tego także przy pomocy kilku grup finansowych, które będą w tym uczestniczyły. Na pewno możesz się domyślić, kto je do tego nakłoni. Przy okazji mogę też uspokoić to, co ty nazywasz sumieniem społecznym. Przedsiębiorstwa produkcyjne Wernersa dostaną się w najbardziej do tego powołane ręce, gdy tylko on będzie musiał je opuścić, co, jak sądzę, nastąpi dość szybko.

— Moje uznanie, Zygfrydzie — odezwał się Kahlers z szacunkiem. — Jesteś pewien, że poradzisz sobie z tym wszystkim: przejęciem przedsiębiorstw Wernersa, projektem osiedla, a oprócz tego z zaplanowaną rozbudową swoich własnych zakładów?

— Nie ma powodu do zmartwienia, mój drogi, przynajmniej jeśli chodzi o moją osobistą sprawność. Nie mam zamiaru sam się nadmierne przemęczać. Ostatecznie mamy na miejscu specjalistę od Południowego Osiedla Leśnego, który przez pięć lat starannie i ze skutkiem zgłębiał tę materię, który zna ją w najdrobniejszych szczegółach, zresztą sam zaplanował i zaprojektował to przedsięwzięcie. Do nikogo nie mam tak wielkiego zaufania, jak do niego.

Burmistrz kiwnął głową, całkowicie zgadzając się z Sonnenbergiem. Wiedział, o kim mowa, oczywiście o Brandinie. Ci dwaj spreparowali to wszystko z wyrachowaniem i właściwą sobie bezwzględnością.

— No dobrze, Zygfrydzie. Jeżeli sprawy przedstawiają się tak, będę z tobą współdziałał. Niezawodnie jak zawsze — po czym zresztą dorzucił jak gdyby mimochodem — mając dziesięcioprocentowy udział.

— Mogę ci tylko pogratulować tej decyzji — oświadczył Sonnenberg, po czym dodał, wcale nie mniej poważnie: — Nie jest to jednakże jedyny powód moich gratulacji, drogi przyjacielu z młodzieńczych lat. Pozwól,

że ci złożę najlepsze życzenia z okazji bliskiego już związku małżeńskiego. Christiana jest gotowa z miłości zostać twoją żoną.

Burmistrz Kahlers, zazwyczaj tak chętny do przemawiania, zamilkł na te słowa, i to nawet na dłuższy czas.

Jak wcześniej zaplanowano, na arenie miasta Rosenburga pojawił się z kolei ukochany brat Margot, niezmiernie wpływowy adwokat z Monachium. Potentaci budowlani ubiegali się, by zostać jego klientami, gdyż mając go za doradcę podatkowego można było z pewnością liczyć na powiększenie zysków. Z zasady miał się on tylko spraw wielkiej miary, ale jednocześnie nie rzucających się w oczy. Ów brat Margot nie uznawał bowiem demonstrowania własnej wielkości przez potężnych i wpływowych ludzi swego kraju. Stosownie do tego też ubierał się i zachowywał — dyskretnie, spokojnie, solidnie.

Toteż i tym razem, kiedy ze względu na pilność sprawy kazał się przewieźć śmigłowcem, wylądował opodal Rosenburga, na terenie pustych jak w dzień świąteczny Łąk Północnych, wśród zabudowań zakładów kosmetycznych Sonnenberga. Czekał tam na niego, jak sobie życzył, tylko służbowy samochód firmy, ciemny mercedes 300 z kierowcą.

Znakomity adwokat słabo tylko przypominał tak promiennego dawniej, rozmownego i ujmująco grzecznego ukochanego brata Margot. Mężczyzna, który wysiadł ze śmigłowca bez teczki, w prostym, lecz futrem podbitym płaszczu, był nadal nieduży, ale już nie tak delikatny jak kiedyś. Jego połyskujące inteligencją żabie oczy kryły się za dużymi, przyciemnionymi okularami.

Zawczasu uzgodnił co należy z Zygfriedem, po czym wszystko należycie uporządkował, ażeby ruszyć z miejsca szybko i niepostrzeżenie. Przewidział na wizytę około 150 minut, łącznie z przelotem w obie strony. Około północy tego samego dnia miała go znów oczekiwać w Monachium wybitna osobistość — prezes partii, do której był zbliżony — w związku z przyjęciem sylwestrowym, które, jak się spodziewał, miało wypaść zapewne nastrojowo.

Tak przygotowany i skupiony wyłącznie na sprawach w danej chwili najistotniejszych, mecenas kazał się zawieźć najpierw do szpitala powiatowego. Był to pierwszy z trzech punktów w programie jego

odwiedzin. Ujrzał tam człowieka, który był kiedyś jego partnerem jako adwokat w Rosenburgu, a później również mężem jego ukochanej siostry; ze względu na nią on sam wyprowadził się do Monachium. Bolało go to niezmiernie, lecz w Monachium czekały go poważne sukcesy.

Ujrzał teraz tego człowieka — leżał na szpitalnym łóżku, nie mogąc skonać. Trupio błydy, prawie sztywny, najpewniej nieprzytomny. Obwieszony był kilkoma kroplówkami, których zawartość wlewała mu się w żyły.

Pośpiesznie nadszedł lekarz i oświadczył bratu Margot z nutką rutynowego ubolewania:

— Nie ma właściwie nadziei.

— Pomimo to niech pan zrobi wszystko, co tylko możliwe, bez względu na koszty. Pan Sonnenberg odda do pańskiej dyspozycji każdą sumę, jaka okaże się potrzebna.

Następnie kazał się niezwłocznie zawieźć do mieszkania siostry. Margot, uprzedzona przez Zygryda, czekała na niego z utęsknieniem. Rzuciła mu się w ramiona i powitała go czule. Trwało to kilka minut. Nie musieli przy tym spoglądać na zegarek — wystarczyło jego dobrze wyrobione wyczucie czasu. Nic nie mogło zachwiać realizmu adwokata, nie potrafiła tego dokonać nawet Margot.

— Czy to, do czego zachęcałem ciebie i Zygryda, dojdzie do skutku? — dowiadywał się. — On tego wyraźnie chce. Jak ty się na to zapatrujesz?

— Ja także uznaję słuszność twoich argumentów — zapewniła go z siostrzaną serdecznością.

— Wierz mi, kochana siostrzyczko, to najlepsze, jakie sobie można wyobrazić, rozwiązanie naszych problemów, które ciągną się właściwie przez całe życie. Zygryd to na pewno jedyny człowiek, który jest w stanie doprowadzić je do ładu. Zrobi to zapewne chętnie, zwłaszcza gdy się zważy korzyści finansowe, jakie mogą mu teraz zapewnić.

— Mój kochany braciszku — wyznała mu powściągliwie — powstała jednak pewna komplikacja, której oboje absolutnie nie spodziewaliśmy się. Zaczynam kochać Zygryda, a on oczywiście także mnie kocha. Czy to niedobrze?

— Ależ skąd? — Brat nie okazał bólu, jaki mu zadała swoim wyznaniem. Starając się zachować dobry humor, zapewnił ją tylko: — Cóż mogłoby budzić większe nadzieje niż to właśnie, kochana Margot?

To samo powiedział później Zygfrydowi Sonnenbergowi, używając podobnych słów. Zygfryd odprowadził go na Łąki Północne, gdzie czekał w pogotowiu śmigłowiec, czyniąc łoskot obracającym się wirnikiem. Podali sobie ręce, zegnając się na krótko.

— Niemal wszystko wyjaśniło się już zgodnie z naszymi przewidywaniami. Zresztą nie tylko w dziedzinie interesów. Kłopoty, w które popadł Werners, a kazałem to sprawdzić ze wszystkimi szczegółami, po prostu niszczą go. Ani gmina, ani władze krajowe nie mogą teraz angażować się w ratowanie jego przedsięwzięcia, same nie tracąc przy tym twarzy. Na pewno uda ci się wytłumaczyć to nawet temu Kahlersowi.

— To już się stało — stwierdził Sonnenberg — zgodnie z tym, co mi poradziłeś telefonicznie.

— Wobec tego — powiedział adwokat — możesz teraz oświadczyć, że budowę Południowego Osiedla Leśnego z chwilą, gdy przejmie ją firma Sonnenberg, zamiast szwajcarskiej firmy poręczy pewne niemieckie konsorcjum bankowe. Na razie kwotą dziesięciu milionów. Dzięki temu masz teraz w Rosenburgu dobrze przetartą drogę.

— Jesteś moim przyjacielem — zapewnił go z wdzięcznością Zygfryd.

— A oprócz tego bratem mojej siostry. Powierzam ci ją. Postaraj się, proszę, ażebyśmy się nie rozczarowali ani ja, ani ona. Dotychczas byliśmy zaledwie zaprzyjaźnieni ze sobą, ale niedługo będziemy krewnymi. A teraz całkiem uczciwie, Zygfrydzie. Cieszę się z tego powodu bardzo!

— Dziękuję ci — odpowiedział Zygfryd.

— Dziękuj nie mnie, Zygfrydzie, ale mojej siostrze — napomniął go adwokat. — Margot jest jedyną istotą ludzką, która jest mi naprawdę bliska. Znaczy to po prostu, że ją kocham. Spróbuj uczynić ją szczęśliwą, postaraj się o to! — Nie musiał już dopowiadać następnego zdania, które wydawało się tu nieodzowne. Było ono wyraźnie wypisane na jego twarzy: W razie jeśli nie, to...

Podali sobie ręce. Obaj dobrze wiedzieli, że mogą na sobie polegać, przynajmniej w interesach.

Zatem, jak się popularnie mawia, „przeleciał” rok 1959. Następną dekadą, która miała się rozpocząć w roku 1960, wydawała się mieć charakter poniekąd neutralizujący. Wyglądało na to, że zostały

rzucone wszystkie kości; przynajmniej jeśli chodzi o Niemcy Zachodnie. Miało tak pozostać aż do następnego wielkiego, ogólnoswiatowego „rozdania kart”.

Jak uważano, siła wybuchu, zawarta w potencjałach nuklearnych obu mocarstw atomowych, to jest Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego, była w owym roku prawie jednakowa. W sumie oceniano ją jako równą trzydziestu miliardom ton trotylu! Na skutek tego w stosunkach międzynarodowych powstawała swego rodzaju sytuacja patowa. Koszty, jakie poniesiono tylko na wyprodukowanie tych systemów broni, umożliwiłyby z pewnością przeżycie mnóstwu nieszczęśliwym ginącym z głodu dzieciom we wszystkich strefach nędzy na świecie. A również głodującym dorosłym.

W owym roku 1960 kanclerz Niemiec Zachodnich Konrad Adenauer złożył wizytę w Stanach Zjednoczonych. A potem ponownie swemu czcigodnemu „przyjacielowi”, prezydentowi Francji de Gaulle'owi.

Prawdopodobnie obaj oni sądzili, że tę coraz więcej znaczącą Europę potrafią przekształcić w wielką wspólnotę. Oczywiście pod swoim kierownictwem. De Gaulle miał wszakże na oku głównie siebie i swoją Francję.

W Argentynie izraelscy agenci wytropili, uwięzili i uprowadzili Adolfa Eichmanna, byłego obersturmbannführera SS, zwanego również „rachmistrzem śmierci”, współodpowiedzialnego za miliony mordów popełnionych w hitlerowskich obozach. Schwytano także dawnego komendanta najstraszliwszego obozu zagłady, utworzonego przez wielkoniemieckich narodowych socjalistów w Oświęcimiu. Człowiek ten ukrywał się jako robotnik leśny pod nazwiskiem Lang.

Groźne nawroty ponurej przeszłości miały raz po raz zagrażać Niemcom, tak odważnie podnoszącym się z upadku. Niemcy mieli jednak odwagę, a nawet czelność, z coraz lepszym samopoczuciem twierdzić, że nie uważają, by to ich dotyczyło! A już w żadnym wypadku — bezpośrednio.

W Niemczech Wschodnich zmarł weteran ruchu komunistycznego Wilhelm Pieck, w opinii swoich towarzyszy niezwykle szlachetny. We Francji zginął w okropnym wypadku samochodowym jeszcze jeden poszukiwacz prawdy, laureat Nagrody Nobla, Albert Camus. Nie dożyli do końca tego roku także gwiazdorzy filmowi dwóch światów — Hans Albers zmarł nad Jeziorem Starnberskim, a Clark Gable w Hollywood.

Paul Abraham, kompozytor spod znaku „lekkiej muzy”, po głośnych sukcesach, około roku 1930 został oddany do zakładu leczniczego. Gaś tam prawie przez trzy dziesięciolecia. On również zmarł w tym roku.

W Stanach Zjednoczonych niejaki Shirer w książce *Wzlot i upadek Trzeciej Rzeszy* po raz pierwszy podjął poważną próbę anatomicznego opisu epoki Hitlera. Dzieło to odegrało tylko rolę prekursorską, gdyż wkrótce po jego ukazaniu się prawdziwa lawina książek na ten temat zalała rynek — masa odprysków historii.

Prawie w tym samym czasie amerykański reżyser John Huston sfilmował sztukę Arthura Millera *Skłócenie z życiem*. Główna rola w dramacie była wprost stworzona dla jego żony Marilyn Monroe. W efekcie powstało dzieło wspaniałe, lecz chybione — epoka wielkich amerykańskich pisarzy, skupionych wokół Hollywood, chyliła się już ku upadkowi. Rosyjskiemu poecie Borysowi Pasternakowi udało się wprowadzić na zachodnio-europejski rynek chętnie kupowaną, lecz rzadko czytowaną powieść *Doktor Żywago*. Dostał za nią Literacką Nagrodę Nobla. Stało się to powodem powszechnego mocno demonstrowanego oburzenia oficjalnych władz od kultury w Związku Sowieckim. Krzykliwie uznały one to „wyróżnienie” za akt rozmyślnego oszkalowania w celach politycznych. W tymże roku 1960 w Stanach Zjednoczonych obrano prezydentem Johna F. Kennedy’ego. Przeszedł znikomą większością. Uzyskał on mianowicie 49,7% wszystkich oddanych głosów, podczas gdy jego przeciwnik nazwiskiem Richard Nixon mógł ich zapisać na swoim koncie 49,6%.

Jak się zdaje, właśnie wtedy wzięło początek dążenie do osiągnięcia w najwyższym stopniu wątpliwej równowagi politycznej — z minimalną większością lub mniejszością. Wkrótce można to było dostrzec wszędzie na świecie. Wyjąwszy państwa pod władzą dyktatorów oraz pozostałe, skutecznie do cna ogłupione narody. Zanosilo się na okres wielkiej niepewności. Nie była wolna od tej obawy również ta resztką Niemiec, a tym samym — też Rosenberg.

Najpewniej już w ciągu pierwszej godziny roku 1960 Zygfryd Sonnenberg zaplanował „całkowite oczyszczenie przedpola”. Warunki ku temu zapowiadały się bardzo pomyślnie. Zdecydowanie miał ochotę z nich skorzystać.

Uśmiechał się zyczliwie do licznej gromadki gości, którzy zjawili się

przed północą, ażeby wspólnie z nim uczcić nadejście Nowego Roku. Wszyscy, jak wydawało się, byli bardzo przyjemnie nastroszeni, gdyż goszczono ich wspaniale.

Popijali więc i zjadali z widocznym apetytem. Porozsiadali się mniejszymi grupkami i gawędzili wesoło, chociaż niezbyt głośno. Zygryd krążył od gromadki do gromadki, mając w jednej ręce kieliszek, a w drugiej pokazną — podwójnej pojemności — butelkę szampana noszącą nazwę „magnum”.

Najpierw zajął się Eryką i Johnem Frankfurterem. Siedzieli, jak zawsze, razem. Przepił do nich.

— Będzie mi was bardzo brakowało, ale stale będę pamiętał, że przelot z Frankfurtu do Nowego Jorku trwa zaledwie dziesięć godzin i tyle samo w przeciwnym kierunku. Ten świat jest coraz mniejszy, w miarę jak rozrastają się interesy, które się na nim załatwia.

Następnie podszedł do Chrystiany i Konrada Kahlersa. Oni, już przedtem wyraźnie przez niego zachęceni, uchodząc zresztą w oczach wszystkich za parę, siedzieli razem na sofie.

— Ogromnie się cieszę, patrząc na was — stwierdził jak zwykle bez skrupowania. — Spodziewam się, że jesteście szczęśliwi.

Oni oboje przytaknęli z głębokim przekonaniem.

Zygryd udał się z kolei do Jurgena Wiese, siedzącego w kącie, jak gdyby pogrążonego w myślach, a więc zapewne pijanego prawie do nieprzytomności.

— Mój drogi, zawsze okazywałeś się godnym zaufania, niezastąpionym przyjacielem. — Znać było, że tamten bierze jego słowa za dobrą monetę. — Na tobie mogłem polegać w każdej sytuacji i mam nadzieję, że tak samo będzie w przyszłości.

Wiese zgodził się z tym.

Potem Sonnenberg oświadczył mu jeszcze:

— Jak zapewne słyszałeś, w Południowym Osiedlu Leśnym zbuduje się też pewną liczbę indywidualnych domów z ogrodami. Do pier wszego, jaki zbudujemy, możesz się wprowadzić jeszcze w tym roku. Ma się rozumieć, będąc zwolnionym od czynszu. Będę zadowolony, jeśli to zrobisz. Masz ochotę?

Wiese podziękował ze wzruszeniem.

Nie chcąc nikogo pominąć w trakcie skrzętnego regulowania spraw z całym otoczeniem, w następnej kolejności poszedł do kuchni i zajął się matką Klementyną. Stała właśnie przy palenisku. Z podziwem

patrzył, z jaką pewnością i wprawą wrzuca ona bladożółtawe ciastka drożdżowe na wrzący olej. Objął ją niemal czule, pragnąc jednoznacznie wyrazić nieklamana wdzięczność.

— Czym byłbym bez ciebie, moja droga, wspaniała staruszko?

Zachichotała rozweselona i szturchnęła go kokieteryjnie w bok.

— A czymże byłabym ja bez ciebie, mój kochany, rozumny chłopcze? Jesteś dla mnie jedyną wielką pociechą na stare lata. Jestem szczęśliwa, że dożyłam chwili, kiedy ty zdążyłeś pozalać tu już wszystkich, po prostu wszystkich. Ale to mnie też trochę martwi, bo sama siebie zapytuję, co mogłabym jeszcze zrobić dla ciebie.

— Mnóstwo rzeczy, moja droga! Przecież ten mój dom pilnie potrzebuje gospodyni! Tym bardziej że mam zamiar znów się ożenić, najszybciej jak tylko można, i to z damą, która nie umie gotować. Wobec tego jesteś tu niezbędna.

Klementyna, słysząc to, oniemiała po prostu z radości — z wszelką pewnością tylko przejściowo.

Potem Zygfryd z tym większym zadowoleniem poświęcił kilka minut swojej przyszej żonie Margot. Odezwał się do niej w sposób prawie bezbłędny, z uprzejmością, jakiej od niego oczekiwała:

— Najmocniej cię proszę, moja czcigodna pani, nie trać na razie cierpliwości.

— Nie obawiaj się o to — uspokoiła go wyrozumiale, jak należało się spodziewać.

Podziękował jej, okazując zarówno szacunek, jak i czułość. Po czym, przyjemnie odprężony, skierował się do Dagmary i Tomasza.

Siedzieli oboje na uboczu, z dala od wszystkich, i o czymś sobie z ożywieniem wytrwale szepiali.

— Pozwólcie, że przerwę wam tę idyllę na jakie pół godziny. Muszę mianowicie przeprowadzić z Tomaszem pewną nie cierpiącą zwłoki rozmowę.

— Ale chyba nie ze szkodą dla moich interesów, ojcze! — ostrzegła go dość energicznie Dagmara. — Jestem raczej pewna, że nie wymagasz ode mnie, bym wyszła za mąż za twego dozgonnego pracownika.

Jak można było się spodziewać, roześmieli się obaj.

Rozmowa ta, jeszcze jedna w cztery oczy, odbyła się o piętro niżej. W głównym biurze. Nowy rok 1960 liczył sobie niecałe dwie godziny.

Zaczęli bez żadnych wstępów, bezpośrednio, szczerze. Jak to się mówi — po męsku. Sonnenberg miał możliwość dokonania ze swoim Brandinem, w pełnym zaufaniu, ostatecznego bilansu. Przedstawiał się on mianowicie tak.

Po pierwsze, projekt Południowego Osiedla Leśnego. Zapoczątkował go z żądy zysku Werners, lecz, jak można było przewidzieć, poniósł klęskę. W pogoni za zyskiem, zaślepiony, wdał się w układy z oszustem, którego wielomilionowe sprzeniewierzenie musiało go doprowadzić do ruiny.

— To twoja zasługa, Tomaszu! — stwierdził z uznaniem Zygfyrd. — Załatwiłeś go, bo miałeś do tego prawo. Właściwie kierowałeś się jednym jedynym motywem. W każdym razie on, jeśli mu tylko dopisze szczęście, będzie mógł przejść na coś w rodzaju dożywocia. Razem ze swoją córką.

— Przeprowadzenie tej operacji nie przyszło mi jednak tak łatwo, Zygfyrdzie. Muszę ci wyznać szczerze, że wielkie interesy mocno mnie wciągają. Mimo woli wpadasz w wir pogoni za zyskiem. Jest ci już prawie obojętne, jak i gdzie, choćby nawet u niejakiego Wernersa.

— Przecież on pomimo to stale traktował ciebie jak użyteczne bydlę robocze — stwierdził brutalnie Sonnenberg. — Od początku chyba nie miałeś co do tego wątpliwości!

— Pomimo wszystko nawet w stosunku do niego nieraz usiłowałem być fair. Lecz jego głupota i despotyzm, nawet w interesach, po prostu prowokowały. Na przykład bez trudu można było poznać się na tym szwajcarskim pośredniku, spostrzec, że to niepewny ptak, ale Werners był tępo wpatrzony w miraż milionowych zysków.

— Które w efekcie ty, Tomaszu, wniosłeś do naszych wspólnych interesów.

— Nie powinniśmy jednak być małostkowi, Zygfyrdzie. Bądź co bądź Izolda i ja byliśmy...

— Ależ nic podobnego, nigdy nie byliśmy małostkowi! Przyznam im parę izdebek na poddaszu zamku Wernersa.

Po drugie, jeśli Brandin jest w tej chwili zdecydowany rozwieść się z Izoldą, uciekając się do skutecznych środków, to tylko po to, ażeby poślubić Dagmarę. W ten sposób wytworzy się od dawna, dokładnie od dziesięciu lat, oczekiwany układ — oddany przyjaciel zostanie zięciem, zaufany wspólnik — członkiem rodziny!

Po trzecie wreszcie zanosiło się na to, o czym zwięźle poinformował Tomasz Zygfryd:

— Eryka i John opuszczają nas, z moim błogosławieństwem na drogę. Przy tym Frankfurter, o czym mu jeszcze nie wspominałem, mógłby zostać w Ameryce naszym generalnym przedstawicielem w dziedzinie sprzedaży kosmetyków. Natomiast jego dotychczasowe stanowisko kierownika handlowego obejmiesz ty!

— Na jakich warunkach, Zygfrydzie?

— Pełnego partnerstwa, bez żadnych ograniczeń! — zapewnił go Sonnenberg z serdeczną zachętą. — A więc pięćdziesiąt do pięćdziesięciu ze wszystkich moich udziałów. Pięćdziesiąt dla mnie i pięćdziesiąt dla ciebie i Dagmary. Odpowiada ci ta oferta? Jestem pewny, że nawet nie spodziewałeś się czego innego. Oto moja ręka. Przebij!

Tomasz Brandin jednak całkiem nieoczekiwanie nastroszył się na tak wspaniałomyślną propozycję.

— Czyżbyś uważał, Zygfrydzie, że takie rozwiązanie może mnie uszczęśliwić bez reszty?

— Tylko nie bądź sentymentalny! — poradził mu przyjaciel, z lekka zmartwiony. — Ostatecznie obaj przeszliśmy razem szkołę życia, która nauczyła nas tylko jednego: albo wyżyć, albo zdechnąć! I żadnego wyboru poza tym.

— Czy śmierć twojej matki także z tego wynikła? A może także śmierć Ewy-Ingeborgi? Tylko po to, byś ty, przy mojej pomocy, poczuł się panem sytuacji w Rosenburgu? Muszę ci jednak zadać pytanie: co by się stało, gdyby ci się nie udało, dzięki mnie, wmontować do swoich planów także Dagmary? Co wtedy? Zastanawiałbyś się nad tym, jak i ją usunąć ze swojej drogi?

— Czegóż to nie można wymyślić — rzekł Zygfryd z nutką pobłażania. — Można by sobie też łatwo wyobrazić, że Dagmara spróbuje kiedyś pozbyć się mnie. Bo ona ma moją energię i moją stanowczość. Skutecznie zapobiec temu można było tylko w jeden sposób: wprowadzając do rozgrywki ciebie! Uświadomiłem to sobie już w ciągu pierwszego dnia po naszym przyjeździe tu w roku pięćdziesiątym. Ale w tej chwili także ta sprawa jest rozwiązana.

— Jesteś pewien, Zygfrydzie?

— Naturalnie! Trzeba tylko czekać, umieć przeczekać. Ostatecznie nawet nekrolog, który dziś wywołuje wrażenie wstrząsające, już po paru

miesiącach będzie tylko wyblakłą wiadomością. Istnieje bowiem tylko to, co żyje. To, co przetrwało. Tak jak my!

W poniedziałek zapustny owego roku 1960, to jest dwa dni przed Popielcem, w domu Sonnenbergów znów odbyła się z rozmachem pomyślana impreza. Zapowiedziano obiecująco, że obejmie ona wszystkie pokoje! Zaproszono na nią bez wyjątku wszystkich tych, którzy czuli się przyjaciółmi lub których uważano za przyjaciół.

Spotkanie miało przebiegać pod hasłem: Święto Zwierząt. Już wcześniej proszono gości o przybycie w odpowiednich kostiumach. Pomysł ten nie tylko z miejsca zaakceptowano, ale również podchwycyło go przeważnie z fantazją, jakiej nawet trudno było oczekiwać.

Tak więc Zygryd, pan domu, zjawił się w przebraniu „złotego cielca”. Okryty był żółtawą szatą, mającą zapewne uchodzić za złotą. Nakrycie głowy istotnie przypominało łeb bydlęcy, lecz on nosił je dość godnie. Niecierpliwy i rozweselony, przemierzał tanecznym krokiem pokoje, jak gdyby usiłował skupić wokół siebie wszystkich obecnych.

Margot, gdy tylko nadarzyła się okazja, od razu przyłgnęła do niego, ażeby z najwyższą gotowością zademonstrować, że teraz stanowi z nim jedność. Była przebrana za lisa — rdzawoczerwony futrzany strój, sięgający od głowy do niezmiernie puszystego ogona, który nosiła przerzucony przez ramię.

Johna Frankfurtera z łatwością rozpoznawano w przebraniu nietoperza — drobnego, szczupłego, ciemnoszarego, okrytego ruchomymi płatami materiału, podobnymi do skrzydeł. Oślaniał nimi Erykę, która upodobała sobie popielaty, obramowany futerkiem kostium myszy. Nie odpowiadało to absolutnie jej *osobowości*, o czym jednakże wiedzieli tylko Zygryd i John, lecz jej ta maskarada sprawiała przyjemność. Jej brat, złoty cielec, ze wzruszeniem otoczył ją ramieniem i bardzo serdecznie przytrzymał w objęciu.

Konrad Kahlers ukazał się w postaci lwa. Porykiwał wszakże tylko od czasu do czasu, przy czym czynił to bardzo dobrotliwie. Na burmistrzowską, dumnie wzniesioną głowę nasadził sobie niby-koronę z miedzi, ozdobioną kolorowymi szkiełkami. W lewej ręce trzymał jabłko królewskie z odpowiednio przybranej frankońskiej pękatej butelki po winie. W prawej trzymał polakierowane na złoty kolor berło,

zrobione z pianki gumowej. Narzędziem tym wymachiwał i uderzał, we własnym mniemaniu żartobliwie, po głowie każdego, kogo udało mu się dosięgnąć.

Towarzyszyła mu Chrystiana. Usiłowała przybrać postać kotki. Oczywiście nie pospolitego stworzenia, jakie można napotkać na łące, w lesie bądź na polu, lecz raczej królewskiej odmiany, na przykład angorskiej lub perskiej. Zachowywała się też w odpowiedni sposób. Szła wyniośle tanecznym krokiem, nie zapominając tulić się od czasu do czasu do swego przyszłego lwiego małżonka.

Jurgen Wiese początkowo zamierzał wystąpić w charakterze byka. Jednakże przypuszczalnie z braku odpowiedniego wyposażenia, a może też po dłuższym namyśle, wołał pojawić się na tej imprezie jako osioł, zwyczajny juczny osioł. Stosownie do zamiaru przybrał się w niezwykle udany kostium w kolorze szarozółtawym. Okazjonalnie podnosił ogólny nastrój, rycząc przeciągle i-ah, co, jak wydawało się, miało głęboki sens.

Jego żona, do której obecności Sonnenberg przywiązywał szczególną wagę, potwierdzała jego oczekiwanie swoim strojem. Była ubrana podobnie jak jej mąż, ale w wytwornym kolorze srebrzystoszarym. Jej okazałe kształty nawet komuś, kto spojrzał na nią przelotnie, przywodziły na myśl wyroby masarskie najlepszej jakości.

Tomasz Brandin wołał wystąpić w charakterze zająca. Być może miał to być strachliwy królik, któremu odpowiadają zaciszne zakątki, co jest rzeczą zwyczajną u zwierzęcia pędzącego życie w klatce. Nic nie wskazywało jednak wyraźnie na to, czy jest to zając, czy też królik.

Cóż dopiero mówić o stroju Dagmary! Przebranie jej w jakimś stopniu harmonizowało wprawdzie ze strojem Tomasza, ale przypominało raczej bajeczne, pełne ogromnego wdzięku stworzenie — po części zająca, po części psa, ale też coś podobnego do borsuka i rysia. Oboje z Tomaszem, jak wydawało się, zajmowali się wyłącznie sobą, nie stroniąc jednak od pozostałych osób.

Za jedno z najwspanialszych i najbardziej godnych uwagi zjawisk na tym Świącie Zwierząt można było uznać z pewnością matkę Klementynę. Prawdopodobnie zależało jej na tym, aby zaprezentować się jako wspaniałej wagi krowa. Odpowiednio do tego rozglądała się z twarzą zaróżowioną jakby na skutek dziewczęcego zakłopotania. Również jej sposób poruszania się wydawał się niezwykle wdzięczny:

przypominał ruchy dobrze wyszkolonego cyrkowego słonia. Rzuciło się to w oczy szczególnie w chwili, gdy Zygryd poprosił ją o pierwszy taniec.

Z głośników, które zamontowali pracownicy Sonnenberga, huknęła ogłuszająca muzyka bez przerw; słuchano jej niezmordowanie z płyt długogrających, które dopiero co ukazały się na rynku. Najlepszymi w owym czasie byli Amerykanie: Glenn Miller, ściśle w rytmie swinga wygrywający prawie marszowe melodie; Tommy Dorsey, który zabył dzięki obłądnie sentymentalnemu wyciu; a także Ellington, the Duke, czyli „książę”, któremu było dane chodliwe melodie taneczne przesycać pomysłowymi osobliwościami. Powstał tak ogłuszający hałas, że nikt chyba nie starał się nie tańczyć, co zresztą było prawie niemożliwe.

Tańczyli bez przerwy — ze sobą, obok siebie, mijając się w tańcu. Z odrobiną wzajemnej życzliwości, starając się harmonijnie zespolić, a wreszcie dążąc na spotkanie szczęśliwej, zbawiennej — jak spodziewali się wszyscy — przyszłości. Nikt z nich chyba nie wiedział jednak, że przyszłość okaże się jedynie konsekwencją tego, co działo się dotychczas i niczym więcej. Być może wiedział o tym tylko Zygryd.

Wkrótce po tym poniedziałku zapustnym, jak już wcześniej postanowiono, Eryka i John Frankfurter ostatecznie zamierzali opuścić Rosenburg i tym samym Niemcy. Jurgen Wiese wraz z żoną i rodziną planował wprowadzić się do domu szeregowego, który dostał od Zygryda, dzięki czemu został ostatecznie uzależniony. Kahlers miał poślubić Chrystianę, ażeby niedługo potem zdać sobie sprawę, że ten podarek od Sonnenberga oznacza jego własny zmierzch. Tej niepohamowanej osobie bowiem było dane zrujnować kompletnie autorytet, który burmistrz nadzwyczaj zręcznie tworzył i rozbudowywał przez wiele lat, oraz jego uporczywie umacniane „dobre imię”.

Mieli pozostać Zygryd i Margot — ona w każdym razie już ha stała pod silnym wpływem brata, czego nie sposób było uniknąć. Ale oprócz nich także Tomasz i Dagmara. W ich wypadku trudno było przewidzieć, do czego doprowadzi niebywała samowola córki, mocno przypominającej uporem ojca. Tym trudniej było snuć jakiegokolwiek przewidywania.

Mogło z tego wynikać, że w tej chwili tak różowo rysujące się

perspektywy na przyszłość w razie niepomyślnego rozwoju wypadków szybko okażą się zapowiedzią bliskiej zagłady.

Jednak na razie tańczyli.

Tańczyli w tę noc zapustną roku 1960 w Rosenburgu jeszcze bardzo długo, całkiem beztrąsko, gotowi uściskać się wzajemnie. Najpewniej starali się okazywać sobie jedynie przyjaźń. Ponieważ wypito mnóstwo trunków, rozmowy prawie zamilkły. Ogarnęło ich pewne alkoholowe otępienie.

Do chwili kiedy Klementyna, nawet teraz trzeźwo rozglądająca się wokół, wszczęła alarm i z krzykiem pospieszyła do okna. Widać było przez nie czerwoną lunę pożaru. Ogień rozszerzał się szybko, z niszcząco-gwałtownością. Niedługo ogarnął niebo nad Rosenburgiem.

— Cóż to takiego? — zawołała skrzekliwie matka Klementyna, rada, że coś się dzieje.

Goście, tłoczący się do okien w domu Sonnenbergów, już wkrótce zorientowali się, co się stało. To zamek Rosenburg stanął w płomieniach! Wyglądało to tak, jakby nad miastem ktoś wywijał gigantyczną pochodnię.

Wszyscy obecni, bezradni i zaskoczeni, przyglądali się szalejącemu żywiołowi. Wszyscy — oprócz jednego. Zygfryd bowiem, nie odwracając się nawet do zebranych za jego plecami uczestników Święta Zwierząt, odezwał się z niewzruszonym spokojem:

— Niezależnie od tego, czy ten tam naprzeciwno sam urządził coś w rodzaju zagłady Nibelungów, czy też ktoś mu w tym usłudze pomógł, ja to odbieram jako symbol. — Mówiąc to, miał na myśli Wernersa. Nie patrzył przy tym na swego Brandina. Pozostali goście cofnęli się, ale Sonnenberg zawołał do nich: — Powinniście wreszcie zrozumieć. Oto macie początek nowego! A każdy początek jest związany z końcem czegoś innego!

SPIS TREŚCI

Księga I. Rok 1950 —DZIEŃ BEZ ZEMSTY	7
1. Świat, który trudno zrozumieć	7
Pierwsze interludium. Jak przyjaciele dostali się do niewoli . . .	16
2. Cuda z trudem torują sobie drogę	28
Drugie interludium. Jakie były ich dalsze losy, nim się ze sobą zetknęli	37
3. Nie ma nic stałego — wszystko jest stanem przejściowym ...	58
Trzecie interludium. Jak znaleźli do siebie drogę	69
4. Rachunki do wyrównania	89
Czwarte interludium. Jak w owym czasie wspólnie próbowali prze- trwać	113
Księga II. Rok 1955 —POSIEW WSCHODZI	145
1. Każda rzecz wydaje się mieć odpowiednią cenę	145
Piąte interludium. O tym, jak zacieśniała się niezwykła przyjaźń	164
2. Prawie niczego nie można obliczyć	174
Szóste interludium. O tym, jak nadal usiłowali wyżyć	198
3. Rzeczy trudno wyobrażalne zdarzają się co dzień	211
Siódme interludium. Jak zaczęli uprzątać ze stołu	218
Księga III. PRZEŁOM lat 1959/1960 — ZBIERANIE PŁONU . . .	251
1. Niebezpieczny ześlizg	251
Ósme interludium. Jak nadal bronili własnej skóry	255
2. Wielka przegrana	282
Dziewiąte, to jest ostatnie intermezzo. Jak wówczas znaleźli osta- teczne rozwiązanie	296